

Jackie Collins

Žony Hollywood

Prolog

W promieniu dwóch mil od Beverly Hills Hotel nikt sobie nie może pozwolić na porażkę.

Gore Vidal

Salon niewielkiego domku w Filadelfii. Stał tam wlepiwszy wzrok w ich troje. Trzy świnie.

Trzy rozrehotane twarze. Zęby, oczy i włosy. Trzy świnie.

Kipiała w nim czarna wściekłość. Wściekłość, która aż pulsowała mu w głowie.

W salonie grał telewizor. Kretyńskie dowcipy płynęły z ust Archie'ego Bunkera. Śmiech sztuczny jak z konserwy.

I ten drugi śmiech. Właśnie w tym pokoju. Chichot jeszcze bardziej bezmyślny.

Jego matka. Mysie kosmyki brych włosów. Zapuszczone tłuste cielsko i takież umysł.

Jego ojciec. Łysiejący. Chudy. Sztuczna szczęka, którą wyjmował i wsadzał wedle woli.

Joey. Myślał, że ona jest inna.

Trzy świnie.

Podszedł do telewizora i wzmoenił dźwięk.

Nie zwrócili na to uwagi. Zbyt pochłonał ich śmiech. Z niego. Tak. Oni się wyśmiewali z niego.

Wściekłość pulsowała mu w głowie, ale pozornie był spokojny. Wiedział, co należy uczynić, żeby się zamknęli. Wiedział.

Szybko i płynnie. Nim będą mieli czas, by przestać rechotać i zacząć myśleć.

Szybko i płynnie. Maczeta zatoczyła śmiertelne koło.

Szybko i płynnie. Bluznęła krew. Matka i ojciec osunęli się po pierwszym śmiertelnym ciosie.

Joey. Zwinniejsza, młodsza. Oczy rozszerzone przerażeniem, kiedy ściskając zranione ramię, kulejąc, rzuciła się w stronę drzwi.

Przestanieś się teraz śmiać, Joey. Przestanieś się śmiać.

Znowu uderzył maczetą, dosięgając Joey, nim zdołała uciec dalej.

Nie krzyknęli. Żadne z nich.

Wziął ich przez zaskoczenie niczym wprawiony w takiej robocie komandos. Tyle że Deke nie był żołnierzem, prawda? Nie był żołnierzem.

Wstrząsnęło nim gwałtowne łkanie. Dziwne, bezgłośnie szlochy, które skręcały jego ciało,

gdy maczetą wymierzał sprawiedliwość. Obdzielił po równo tych troje. Upajając się okrucieństwem straszliwych ciosów niosących śmierć.

Telewizor stłumił odgłosy rzezi. Archie Bunker. Śmiech z konserwy.

A maczetą dalej zataczała koła, siekąc, jakby kierowana jakąś piekielną siłą.

Księga pierwsza

Elaine Conti przebudziła się w luksusowym łóżu swojej ekskluzywnej posiadłości w Beverly Hills. Przycisnęła guzik, zdalnie rozsuwający kotary, i wzrok jej padł na odzianego w biały podkoszulek i wyszmel-cowane džinsy młodzieńca, oddającego doskonałym łukiem mocz prosto do jej wyłożonego kafelkami basenu.

Gwałtownie usiadła, zadzwoniła na Linę, meksykańską pokojówkę, i jednocześnie narzuciła na siebie jedwabny szlafrok zdobiony w marabuty oraz wsunęła stopy w bladoróżowe ranne pantofle.

Młodzieniec dokończył dzieła, zapiął suwak i obojętnie usunął się z widoku.

— Lina! — wrzasnęła Elaine. — Gdzieżesz ty się podziewasz?

Zjawiła się pokojówka, niewzruszona, niepomna na krzyki swojej chlebobawczyni.

— Koło basenu kręci się jakiś obcy — sapnęła wściekła Elaine.

— Zawołaj Miguela. Wezwij policję. Sprawdź, czy wszystkie drzwi są pozamykane.

Lina, na której nie zrobiło to najmniejszego wrażenia, zabrała się za sprzątanie śmieci z nocnego stolika Elaine. Zużyte chusteczki higieniczne, nie dopity kieliszek wina, rozgrzebana bombonierka z czekoladkami.

—Lina! — zaskowytała Elaine.

—Pani siedzi spokojnie, senora — odpowiedziała niewzruszonym głosem pokojówka. - Żaden obcy. Tylko chłopak, co go Miguel posłał na zrobienie basenu. Miguel chory. Nie przyjdzie w ten tydzień.

Elaine aż poczerwieniała ze złości. — Jasna cholera, dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? — Ruszyła do łazienki, zatraskując za sobą drzwi z takim impetem, że ze ściany zleciała oprawna w ramki rycina i z brzękiem tłuczonego szkła spadła na podłogę. Kretyńska pokojówka. Głupia dupa. W dzisiejszych czasach niepodobna zdobyć dobrą pomoc domową. Przychodzą. Odchodzą. Guzik je obchodzi, czy cię zgwałcą i obrabują w twoim własnym domu.

I to wszystko musiało się zdarzyć akurat teraz, kiedy Ross kręcił film. Miguel nigdy nie odważyłby się udawać choroby, gdyby Ross był na miejscu.

Elaine rzuciła szlafrok, wysunęła się z nocnej koszuli i wkroczyła pod orzeźwiający, lodowaty prysznic. Zaciśnęła zęby. Zimny tusz jest zbawienny na cerę, ujędrnia skórę. A Bóg

jeden wie, że nawet przy gimnastyce i jodze, i lekcjach nowoczesnego tańca to i owo wymaga jeszcze ujędrnienia.

No nie, nie to, żeby była gruba. Absolutnie. Ani grama zbędnego tłuszczu. Całkiem nieźle jak na trzydzieści dziewięć lat.

Kiedy miałam lat trzynaście, byłam najgrubszą dziewczynką w szkole. Etta Słonica, przezywali mnie. I całkowicie na to zasługiwałam. Tylko skąd trzynastoletni dzieciak może wiedzieć cokolwiek o zdrowej żywności i diecie, i gimnastyce, i tak dalej? Co trzynastoletni dzieciak może poradzić na ciastka i drożdżówki, chalki i bajgiety, strudle i zapiekane w cieście kurczaki, którymi napychała ją babcia Steinbergowa?

Elaine uśmiechnęła się kwaśno. Etta Słonica, niegdyś mieszkanka Bronxu, wszystkim im pokazała. Etta Słonica, była sekretarka z Nowego Jorku, teraz jest szczupła i smukła. Nazywa się Elaine Conti i mieszka w cholernym beverlyhillskim pałacu o sześciu sypialniach i siedmiu łazienkach, nie w żadnym domku przylepionym do wzgórz czy też przy drodze do Hollywood. I nie na równinie. Posiadłość pierwsza klasa.

Etta Słonica nie ma już haczykowatego nosa, mysich włosów, powy-szczerbianych zębów, okularów w drucianych oprawkach i obwisłych cycków.

Przez te wszystkie lata zmieniała się. Nosek ma lekko zadarty, wdzięczny. Prawdę mówiąc, żywcem ściągnięty od Brookie Shields. Mysie kosmyki przeistoczyły się w gęste brązowe włosy, krótko przycięte i wzbogacone jasnymi pasemkami. Cera — alabastrowobiała i nieskazitelna, zasługa regularnych wizyt u kosmetyczki. Wyreperowane zęby. Białe i równe. Ukłon w stronę „Aniołków Charlie'ego". Nie-twarzowe okulary zastąpione błękitnymi szklami kontaktowymi. Bez nich oczy były buroniebieskie i przy czytaniu musiała mrużyć powieki. No znowu tak wiele nie czytała. Oczywiście magazyny ilustrowane: „Vogue", „People", „Us". Aby nie wypaść z kursu, przeglądała „Va-riety" oraz „The Hollywood Reporter", uwagę swoją skupiając głównie na artykułach pióra Army Archerda i Hanka Granta. Przerzucała Women's Wear Daily" i „Beverly Hills People", ale w zasadzie nie obchodziło jej to, co określała mianem wiadomości cięższego kalibru. Tylko tamtego dnia, w którym Ronalda Reagana wybrano prezydentem, polityka przelotnie zaprzątneła jej myśli. Jeżeli Ronald Reagan mógł tego dokonać, to dlaczego nie Ross?

Piersi, chociaż nie dorównujące żadną miarą Raquel Welch, miały numer 36B, dzięki staraniom byłego małżonka Elaine, doktora Johna Saltwooda. Sterczały dumnie: ich nie imać się prawo ciąży. A gdyby nawet, to znowu do starego, poczciwego Johna. Elaine znalazła

go w Nowym Jorku, gdzie marnował się w szpitalu miejskim jako chirurg plastyczny. Spotkali się na jakimś przyjęciu. Natychmiast rozpoznała w nim niedocenionego przeciętniaka, podobnego jej samej. Pobrali się miesiąc później i nie minął rok, a już mogła pochwalić się stosownym nosem i piersiami. Potem namówiła męża na przeprowadzkę do Beverly Hills i na otworzenie tam prywatnej praktyki.

Trzy lata później był już głośnym specjalistą od biustu. Rozwiodła się z nim i została panią Rossową Conti. Zabawne, jak się to wszystko potoczyło.

Ross Conti. Małżonek. Gwiazdor filmowy. Pierwszej klasy sukinsyn.

Ona powinna o tym wiedzieć najlepiej. Byli przecież małżeństwem z dziesięcioletnim stażem. Nie było to bynajmniej jedno pasmo szczęśliwości. Wiedziała o Rossie takie rzeczy, z powodu których starym babom opadłyby majtki. Wciąż kochały się w nim, mimo iż zbliżał się do pięćdziesiątki, a one dawno minęły dwudziestą wiosnę życia. Z każdym upływającym rokiem robiło się coraz trudniej i, Bóg jeden wie, finansowo staczali się coraz niżej. Na dodatek każdy następny film mógł okazać się ostatnim i...

- Señora! — Lina gwałtownie zabębniła do drzwi łazienki. — Ten chłopak, on chce teraz iść. Chce zapłaty.

Elaine wynurzyła się spod prysznicu. Była wściekła. Za co tamten chce forsy? Za naszczenie do jej basenu?

Owinęła się puszystym, aksamitnym szlafrokiem i otworzyła drzwi.

— Powiedz mu — oświadczyła majestatycznie — żeby się ode mnie odeszczał.

Lina spojrzała obojętnie. — Dwadzieścia dolców, pani Conti. On zrobi to samo za trzy dni.

Ross Conti przeklinał w duchu. Chryste Panie. Co się ze mną dzieje? Nie mogę zapamiętać tych cholernych kwestii. Ósmy klaps, a on wciąż nawala.

—Ross, spokojnie — odezwał się opanowanym głosem reżyser, kładąc mu protekcyjnie dłoń na ramieniu.

Pieprzony reżyserek. Nie ma więcej jak dwadzieścia trzy lata. Pióra zwisają mu na karku niczym wiedzmię na zapusty. Dżinsy tak opięte na tyłku, że mało nie pękną.

Ross strząsnął z siebie uwłaczającą mu dłoń. — Ja jestem spokojny. To ta hołota, oni mnie rozpraszają.

—Oczywiście — pospiesznie zgodził się Chip, dając znak pierwszemu asystentowi. — Ucisz ich, do diabła. Oni mają tworzyć tło, a nie ćwiczyć główną rolę.

Asystent kiwnął głową, a następnie przekazał to głośno przez tubę.

—Gotów do następnego ujęcia? — spytał Chip. Ross przytaknął. Reżyser obrócił się ku opalonej blondynce. — Jeszcze raz, Sharon. Przepraszam cię, dziecinko.

Ross aż poczerwieniał. *Przepraszam cię, dziecinko. Ten smętny kutas miał na myśli, że mu przykro, dziecinko, ale musimy ulagodzić tego starego pryka, bo on był kiedyś pępkim Hollywoodu.*

Sharon uśmiechnęła się. — W porządku, Chip.

Jasne. W porządku, Chip. Udobruchamy starego palanta. Moja mamusia się w nim kochała. Widziała wszystkie jego filmy. Za każdym razem wychodziła z kina w mokrych majtkach.

—Charakteryzacja — zażądał Ross, a potem dodał tonem aż ociekającym sarkazmem. — Oczywiście, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu.

—Jasne, że nie. Dla ciebie wszystko, Ross.

Tak... Dla mnie wszystko. Bo ten tak zwany mistrz reżyserii potrzebuje do swojego filmu Rossa. Ross Conti oznacza pełną kasę. Kto stałby w kolejce tylko po to, żeby obejrzeć Sharon Richman? Kto w ogóle cokolwiek o niej słyszał, prócz może paru milionów maniaków telewizji,

którzy włączają odbiornik, aby zobaczyć gówniany program o instruktorkach jazdy na nartach wodnych? Gówno w sreberku. Sharon Richman

—szopa włosów i usta pełne zębów. Nie przespałbym się z nią, gdyby

nawet przyczolgała się do mojej przyczepy i błagała na klęczkach. No, może gdyby błagała...

Charakteryzatorka przybiegła na jego usługi. Tak, ona była w porządku. Ona wiedziała, kto jest gwiazdą tego filmu. Pracowicie za-krzątnęła się wokół niego, ścierając ogromnym wacikiem lśniące smugi potu z nosa, muskając brwi szczoteczką.

Szczyptał ją w tyłek. Uśmiechnęła się rozanielona. *Przyjdź później do mojej przyczepy, kotku, a pokażę ci, jak dać szczęście gwiazdzie.*

—W porządku — stwierdził Chip-padalec. — Jesteśmy gotowi, Ross? *Jesteśmy gotowi, wypierdku.* Kiwnął głową.

—Dobra. Wobec tego jedziemy.

Ujęcie zaczęło się poprawnie. Scena była nieskomplikowana. Od Rossa wymagano jedynie, by na sześć kwestii Sharon wypowiedział trzy, a potem obojętnie usunął się z planu. Problem tkwił w samej Sharon. Gapiła się na niego tak bezmyślnie, że za każdym razem sypał się w drugim zdaniu. *Suka. Robi to celowo. Chce, żebym źle wypadł.*

—Święci anieli! — wybuchnął w końcu Chip. — To przecież nie monolog Hamleta!

W porządku. O to właśnie chodziło. Tylko tak do mnie mów. Ross okręcił się na pięcie i wymaszerował z planu, nawet nie oglądając się za siebie.

Chip wykrzywił się do Sharon. — Tak zawsze się dzieje, gdy ma się do czynienia z beztalenciem.

—Moja mamusia się w nim kochała — ćwierknęła Sharon.

—Wobec tego twoja mamusia jest jeszcze większą kretynką od swojej córki.

Zachichotała. Nie obchodziły jej przycinki Chipa. W łóżku ona miała go w garści i to było najważniejsze. W zasadzie tylko to się liczyło.

Elaine Conti jechała wolno swoim bladoniebieskim Mercedeseem wzdłuż La Cienega Boulevard. Jechała ostrożnie, żeby nie popsuć sobie paznokci, wymanikiurowanych właśnie w głośnej nowej klinice zajmującej się dłońmi, o nazwie „Ożywczy Całus Dla Twych Paznokci”. Cudowne miejsce. Tak znakomicie poradzili sobie z jej złamanym paznokciem kciuka, że nawet ona sama nie mogła nic poznać. Elaine uwielbiała odkrywać nowe miejsca, dawało jej to zastrzyk pewności siebie. Wsunęła do magnetofonu kasetę Streisand i zadziwiła się, nie pierwszy już zresztą raz, dlaczego kochana Barbra nie dała sobie poprawić nosa. I to w mieście tak czułym na doskonale twarze... a przecież powszechnie wiadomo, że nie brak jej forsy. No, ale nos najwyraźniej nie popsuł jej kariery. Ani osobistego życia, jeśli już o to chodzi.

Zmarszczywszy brwi Elaine zamyśliła się nad własnym życiem. Ross od miesiący nawet się do niej nie zbliżył. Sukinsyn. I to tylko dlatego, że nie był w odpowiednim nastroju.

Od chwili zawarcia małżeństwa Elaine pozwoliła sobie na dwa romanse. Obydwa były nieudane. Nienawidziła romansów, pochłaniały zbyt wiele czasu. Te wzloty i upadki. W górę i w dół. I czy to warte było zachodu? Zdecydowała już, że nie, ale teraz znowu zaczęła się nad tym zastanawiać.

Ostatni romans miał miejsce ponad dwa lata temu. Aż się zarumieniła na samo wspomnienie. Jakże bezmyślnie wtedy ryzykowała. I to z facetem, który nie mógł jej zrobić absolutnie nic dobrego — prócz zębów, a te i tak miała doskonałe. Milton Langley — dentysta jej i prawdopodobnie każdego, kto miał forszę w Beverly Hills. Co za nieroztropność zabrać się właśnie za niego. Chociaż, uczciwie mówiąc, to on wziął się za nią. Któregoś dnia pod jakimś pretekstem odesłał na miasto pielęgniarkę, wspiął się na fotel dentystyczny i wziął ją gwałtownie. Dobrze zapamiętała sobie tamten dzień, gdyż zapaskudził jej całą nową spódnicę od Soni Rykiel.

Wspominając tę scenę Elaine zachichotała w głos, choć wtedy nie było jej wcale do śmiechu. Milton wylał szklanę wody do płukania ust na jej sponiewieraną garderobę, a kiedy wróciła pielęgniarka, wysłał ją do Saksa, by kupiła coś na zmianę. Potem spotykali się dwa razy w tygodniu w jakimś obskurnym motelu w Santa Monica. Przez dwa miesiące. I wreszcie przyszedł dzień, w którym Elaine postanowiła nie jechać na randkę. Taki był koniec tego małego epizodu.

A ten poprzedni nawet niewart był jednej jej myśli. Jakiś aktorzyna z któregoś filmu Rossa. Poszła z nim dwukrotnie do łóżka i w obu wypadkach gorzko żałowała.

Ilekoć napomykała Rossowi o tym, że ze sobą nie sypiają, wpadał we wściekłość: — Co ty sobie myślisz? Że kim ja jestem? Maszynką do seksu? Robię to wtedy, kiedy mam ochotę, a nie dlatego, że naczytałaś się w jakichś pieprzonych magazynach, że powinnaś mieć dziesięć orgazmów dziennie.

Ha! Byłaby szczęśliwa, gdyby miała dziesięć na rok. Gdyby nie jej wierny wibrator, to pewnie gryzłaby ściany.

Może Rossowi wróci potencja, kiedy ten film, który właśnie kręci, okaże się przebojem.

Tak. Tego właśnie było trzeba Rossowi. Potężny zastrzyk sukcesu dobrze by zrobił im obojgu. Nie ma nic nad sukces, by dodać wigoru mężczyźnie.

Ostrożnie skręciła w Melrose. Obowiązkowy piątkowy lunch w Ma Maison. Każdy, kto był kimś i akurat przebywał w mieście, musiał się tam pokazać. Elaine miała tam swój stały stolik.

Patrick Terrail, właściciel Ma Maison, powitał ją w progu małej restauracyjki na wolnym powietrzu. Dała mu się ucałować w oba policzki i idąc za kelnerem do swojego stolika, sokolim wzrokiem zlustrowała wszystkie znajome osoby.

Maralee Gray, jedna z jej najbliższych przyjaciółek, już czekała. Hołubiła szprycera i kwaśną minę. W wieku trzydziestu siedmiu lat Maralee udało się zachować nawet więcej niż ślad minionej urody. W swoim czasie wybrano ją najpopularniejszą dziewczyną w szkole wyższej i Miss Seksu 1960. Zdarzyło się to, nim poznała Neila Graya, reżysera filmowego, poślubiła go i rozwiodła się z nim. Jej emerytowany już ojciec był właścicielem Wytwórni Filmowej Sanderson. Pieniądze nigdy nie stanowiły dla Maralee problemu. Tylko mężczyźni.

—Kochanie, chyba się nie spóźniłam? — spytała niespokojnie Elaine, przelotnie całując przyjaciółkę.

— Ależ skąd. Pewnie ja przyszłam za wcześnie. — Potem wymieniły między sobą „jak-

świetnie wyglądasz", popodziwiały swoje stroje i obrzuciły spojrzeniem restaurację.

—Jak leci Rossowi na zdjęciach? — zaciekała się Maralee, wyjmując długą czarną cygaretkę z płaskiej jak wafel, złotej papierośnicy.

- Znasz Rossa... On przelatuje wszystko, co się rusza.

Roześmiały się obie. Reputacja Rossa jako kochanka należała do stałych dowcipów Hollywoodu.

- Ale szczerze mówiąc, nic mu się tam nie podoba — zwierzała się Elaine. — Ani scenariusz, ani reżyser, ani ekipa, ani jedzenie czy klimat... ani cały ten szajs, jak sam to wytwornie określił. Wierz mi jednak, Maralee — nachyliła się konfidencjonalnie ku przyjaciółce

—Ross będzie wystrzałowy w tym filmie. Stary Conti na najwyższych obrotach.

—Mogę w to uwierzyć — szepnęła Maralee. — Wiesz przecież, że ja nigdy nie spisałam go na straty.

Elaine kiwnęła głową. Maralee była prawdziwą przyjaciółką, a to należało do rzadkości. W Hollywood szacunek miałeś tak długo, jak długo żył twój ostatni przebój. Zaś między przebojowymi filmami zdarzały się długie przerwy.

—Mam zamiar dać sobie poprawić oczy — ogłosiła dramatycznie Maralee. — Ale mówię to tylko tobie, więc nie powtarzaj dalej.

- Jakżebyś mogła! — odparła nieco urażona Elaine. — Kto ci je zrobi?

—Fachowiec z Palm Springs. Pobędę tam parę tygodni. Przecież mam dom w tym mieście. Potem wrócę i nikt się w niczym nie zorientuje. Będą myśleli, że wyjechałam na wakacje.

- Świetny pomysł — przyklasnęła Elaine. Zwariowała ta Maralee czy co? Nikt przecież nie jeździ do Palm Springs na wakacje, nawet jeśli ma tam dom. Może na weekend albo kiedy przechodzi na emeryturę.

—Kiedy? — dopytywała się, wodząc nieustannie oczami po restauracji.

—Najszybciej jak to możliwe. W przyszłym tygodniu, jeżeli chirurg znajdzie dla mnie czas.

Przerwały rozmowę, by przyjrzeć się wejściu Sylwestra Stallone. Elaine skinęła mu dłonią, ale on najwyraźniej nie zwrócił na nią uwagi. - Powinien nosić okulary — sarknęła. — Poznałam go na przyjęciu raptem tydzień temu.

Maralee wyciągnęła małą złotą puderniczkę i wnikliwie przyjrzała się swojej twarzy. — On się nie utrzyma zbyt długo — zauważyła pogardliwie, ścierając z zęba smużkę szminki. — Umówmy się, że Clark Gable to on nie jest.

— O taaak, tak... nie przerywaj... już nigdy nie przerwij. Dooob-rze... rób tak dalej, kochanie, tylko tak dalej.

Ross Conti wsłuchał się w płynące ze swoich ust słowa, zastanawiając się jednocześnie, ile to razy przedtem je wypowiadał. Mnóstwo. To pewne.

Charakteryzatorka Stella na klęczkach pilnie pracowała nad jego wątłą erekcją. Ciągnęła, jakby była pompą ssącą. Kilka wskazówek i jej technika mogłaby być całkiem znośna. Ross w swoim czasie zaliczył parę najlepszych panienek od minety w całym tym biznesie. Były gwiazdeczki, których kariera życiowa zależała od wykonania dobrej roboty. Dojrzałe prostytutki — biegle w sprawie. Znudzone gospodynie, które minetę wyniosły na wyżyny sztuki. Poczul, że penis mu flaczeje, więc mocno szarpnął dziewczynę za włosy. Krzyknęła z bólu i przerwała swoją robotę.

Nie współczuł jej. W mgnieniu oka schował penis i zdecydowanym ruchem zapiął suwak. — Było cudownie!

Wlepiła w niego zdumione oczy. — Ależ ty wcale nie skończyłeś!

Nie bardzo mógł skłamać. — Czasami tak jest lepiej — mruknął tajemniczo, sięgając po butelkę tequila, stojącą na nocnym stoliku jego hotelowego pokoju.

—Co proszę? — Nie odrywała od niego wzroku.

—To jasne. Zachowujesz w sobie żywotne soki. Tak więc, podczas pracy wolę taki sposób.

— Jeżeli w to uwierzyła, to znaczy, że można jej wcisnąć każdy kit.

—Chyba rozumiem, o co ci chodzi — zaczęła entuzjastycznie.

—To tak jak bokser przed walką. Nie możesz trwonić swojej cennej energii. Musisz nią tak pokierować, żeby pracowała na twoją korzyść.

—Właśnie! Świetnie to pojąłeś! — Uśmiechnął się, pociągnął łyk tequila prosto z butelki i zażądał, by dziewczyna wyszła.

—Czy chciałbyś... abym coś jeszcze dla ciebie uczyniła? — spytała wyczekująco, z nadzieją, że zapragnie, aby się rozebrała i została na noc.

—Jest cała fura rzeczy, które bym chciał, żebyś dla mnie zrobiła — odparł. — Ale nawet gwiazdor filmowy musi się trochę przespać. Sama rozumiesz, prawda?

—Oczywiście, panie Con... Ross.

Ależ on wcale nie pozwolił jej na zwracanie się do siebie po imieniu. „Pan Conti” w zupełności by wystarczył. Te baby. Dać im palec, to złapią całą rękę. — Dobranoc, Sheila.

—Stella.

—Jasne.

Wyszła wreszcie, a on włączył telewizor akurat w porę na „The Tonight Show”. Wiedział, że powinien zadzwonić do Elaine do L.A., ale nie chciał psuć sobie humoru. Elaine będzie wściekła, kiedy się dowie, że dziewięć razy spaprał scenę i zszedł z planu. Elaine uważała, że on stacza się po równi pochyłej. Ciągłe męczyła go, żeby robił to, co podoba się publiczności. Ostatnio nakręcił film wbrew jej radom. Film okazał się niekasowy. Kurczę, to go załatwiło. Świetna historia miłości między podstarzałym reżyserem a aktoreczką teatralną z Nowego Jorku w głównej roli kobiecej. — Staroświecki chłam — określiła to bez ogródek Elaine. — Seks, przemoc i komedia, to się dzisiaj najlepiej sprzedaje. A ty musisz w tym wszystkim zagrać, Ross, zanim nie będzie za późno.

Miała oczywiście rację. Musiał w tym wszystkim zagrać, bo przestał już być Najbardziej Kasowym Aktorem, nie utrzymał się nawet w pierwszej dziesiątce. Zjeżdżał w dół, a Hollywood potrafił to wyczuć na milę.

Johnny Carson rozmawiał z Angie Dickinson. Flirtowała z nim, zakładając jedną smukłą nogę na drugą i przybierając uwodzicielskie miny.

Ross zdecydowanym ruchem chwycił słuchawkę. — Dajcie no mi recepcję — warknął.

Po opuszczeniu przez niego planu Chip jak niepyszny musiał pofatygować się do jego przyczepy gwiazdora. — Wszystko da się załatwić, Ross. Jeżeli masz już na dzisiaj dosyć, to możemy przenieść tę scenę na jutro jako pierwszą.

Zgodził się. Przynajmniej teraz wszyscy rozumieli, że mają do czynienia z gwiazdorem, a nie z kimś, kto stracił znaczenie.

- Słucham, panie Conti. Tu szef recepcji. Czym mogę panu służyć?

Ross, przytrzymując słuchawkę brodą, sięgnął po tequilę. — Czy potrafi pan być dyskretny?

—Oczywiście, proszę pana. To mój zawód.

—Chciałbym jakąś dupę.

—Zrozumiałe, panie Conti. Blondynka? Brunetka? Ruda?

- Może być nawet wielokolorowa. Tylko żeby miała duże cycki. Naprawdę duże.

—Zrobi się, proszę pana.

- Aha. I może ją pan dopisać do mojego rachunku. Jako obsługę hotelową. — No bo z jakiej racji miałby sam za to płacić? Niech spółka filmowa poniesie koszt. Odłożył słuchawkę i podszedł do lustra. Pięćdziesiątka. Niebawem skończy pięćdziesiąt lat. A to boli. Dotkliwie.

Ross Conti mieszkał w Hollywood od trzydziestu lat, z czego dwadzieścia pięć lat był

gwiazdorem. Przybył do miasta w 1953 roku. Tam przy dźwiganiu skrzynek na targu Sunset Boulevard szybko odkryła go młoda żona starzejącego się agenta. Oczarowała ją jego olśniewająca blond uroda, więc namówiła męża, by się nim zajął. Tymczasem zajmowała się nim osobiście, dwa razy dziennie, i nie żałowała ani jednej minuty.

Mąż dowiedział się o tym romansie tego samego dnia, w którym Universal zdecydował się na podpisanie kontraktu z jego młodym klientem. Zaślepiiony wściekłością, stary agent wynegocjował najgorsze z możliwych warunki umowy, odczekał, aż zostanie podpisana, a potem wyrzucił Rossa i obgadał go w całym mieście jako wyjątkowe beztalencie.

Rossowi to wisiało. Wyrósł w Bronxie, trzy lata spędził obijając się po Nowym Jorku, zgarniając tu i tam niewielkie rólki, toteż hollywoodzki kontrakt, bez względu na układy, wydawał mu się absolutnie doskonały.

Kobiety uwielbiały go. Dwa lata wydeptywał ścieżki w wytwórni, ostatecznie wylawiając urodziwą kochankę z zarządu, która gdy ją rzucił, szybko dopilnowała rozwiązania z nim kontraktu.

Dwa lata. Przez cały ten czas zagrał tylko kilka nieważnych epizodów w paru drugorzędnych serialach. A potem bach! Został bez kontraktu, bez perspektyw, bez forsy.

Któregoś dnia, walęsając się nie opodal drogerii Schwaba na Stripie, przygadał sobie dziewczynę nazwiskiem Sadie La Salle, zapracowaną sekretarkę o najbardziej imponującym biuście, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć. Nie była to ładna panna. Za tego, ze śladem wąsika, na kaczych nóżkach. Ale te przewspaniale cycki! Ku swojemu zdumieniu poprosił ją o spotkanie. Zgodziła się chętnie i poszli do Aware Inn, gdzie zajadając się kanapkami rozmawiali o Rossie Contim. Delektował się każdą minutą tej rozmowy. Ile dziewcząt byłoby gotowych przez pięć bitych godzin rozprawiać o nim i tylko o nim?

Sadie była niezwykle bystra, z którą to cechą Ross dotąd nie spotkał się u kobiety. Nie chciała z nim iść do łóżka na pierwszej randce, odepchnęła jego ręce garnące się ku jej magicznym cyckom, udzieliła mu rozsądnych rad co do jego kariery, a na drugiej randce przyrządziła najlepszy posiłek, "jaki zdarzyło mu się jeść.

Ten platoniczny związek trwał pół roku. Widywali się kilka razy na tydzień, a codziennie rozmawiali przez telefon. Ross uwielbiał z nią gadać, miała gotowe rozwiązanie wszystkich jego problemów. A zaiste, miewał nieustające kłopoty! Opowiadał jej o dziewczynach, z którymi sypiał, o trudnościach ze znalezieniem pracy. Wędrowanie z jednej rozmowy kwalifikacyjnej na drugą bez żadnego skutku było przygnębiające, nie wspominając już o tym,

że podkopywało jego wiarę w siebie. Sadie okazała się cudowną słuchaczką. Do tego gotowała mu dwa wspaniałe posiłki tygodniowo i jeszcze go opierała.

Którejś nocy, gdy właśnie bawił u dojrzałej kochanki, o włos uniknął niebezpieczeństwa. Otóż jej pracujący poza miastem mąż wrócił do domu wcześniej, niż się go spodziewali. Ross musiał więc pryskać przez okno w sypialni, naciągając w pośpiechu gatki. Postanowił wpaść do Sadie nie zapowiedziany i powiedzieć jej, co mu się przytrafiło. Z pewnością będzie tą historią zachwycona.

Dotarłszy do jej niewielkiego mieszkanca przy Olive Drive, zdumiał się niepomniernie, gdy ujrzał, że Sadie zabawia jakiegoś faceta. Siedzieli obydwójce przy późnym obiedzie w romantycznym blasku świec, kończąc właśnie smakowicie pachnącą zapiekankę. Na stole stało wino i wazon z kwiatami. Sadie miała na sobie wydekoltowaną sukienkę i wyglądało, że spieszyły ją odwiedziny Rossa.

Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że Sadie może mieć chłopaka. Z niewytłumaczalnych powodów poczuł się oszukany.

- Poznaj, proszę, Bernarda Leftcovitza — powiedziała sztywno, oglądając z niesmakiem jego wymięte ubranie i potargane włosy.

Rzucił się na fotel, jakby był u siebie, i bez słowa skinął głową Bernardowi Leftcovitzowi. — Zrób no mi drinka, kotku — poprosił Sadie, przechylając się jednocześnie, żeby klepnąć ją po pupie. — Szkocką, mnóstwo lodu.

Zmierzyła go wściekłym wzrokiem, ale zrobiła, czego żądał. A potem Ross przetrzymał Bernarda Leftcovitza tak, że ten wyszedł jakąś godzinę później.

—Piękne dzięki! — wybuchnęła Sadie, gdy zamknęły się za nim drzwi.

Ross wyszczerzył zęby: — A o co chodzi?

—Doskonale wiesz, o co. Ładujesz się tutaj jak do domu, traktujesz mnie niczym jedną ze swoich... swoich... cholernych bab! — Aż kipiała wściekłością. — Nienawidzę cię. Naprawdę cię nienawidzę! Myślisz, że jesteś Bóg wie kim. No to ja ci powiem...

Pochwycił ją błyskawicznie. Ruszył niczym zwierzę — wiedział, że tak powinno być — zwierzęca chuć, te uda i tyłek, i te zdumiewające piersi, które go magnetyzowały.

Odepchnęła go. — Ross — zaczęła protestować.

Nie miał zamiaru słuchać żadnych protestów. Sadie La Salle będzie jego. Wypierniczy tego całego Bernarda Leftcovitza z jej świata.

Okazało się, że Sadie była dziewczicą. Dwudziestoczteroletnią. Mieszkanca Hollywoodu i

dziewica.

Ross z trudem mógł w to uwierzyć. Był zachwycony. Dziesięć lat sypiania z panienkami i ta była jego pierwszą.

Następnego dnia spakował manatki i wprowadził się do niej. I tak od dwóch miesięcy zalegał z komornym. Praktycznie nie miał grosza przy duszy. Sadie z rozkoszą przyjęła go do swojego życia. Bernie'emu powiedziała „żegnaj” bez najmniejszego wahania i cały swój czas poświęciła Rossowi. — Musimy ci znaleźć agenta — denerwowała się, gdyż świetnie zdawała sobie sprawę, że niepowodzenia w filmie przygnębiały Rossa bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Na nieszczęście wszyscy agenci, do których się zwracał, dostali już cynk — Ross Conti oznacza kłopoty.

Któregoś dnia Sadie podjęła kluczową decyzję. — Ja zostanę twoim agentem — oświadczyła całkiem serio.

—Czym zostaniesz? — ryknął śmiechem.

—Twoim agentem. To znakomity pomysł. Przekonasz się.

W następnym tygodniu rzuciła pracę, podjęła swoje oszczędności i prędko wyszukała niewielkie pomieszczenie w na wpół zrujnowanym budynku przy Hollywood Boulevard. Do drzwi przytwierdziła wizytówkę — Sadie La Salle, Agent Gwiazd. Potem zainstalowała telefon i w ten sposób wkroczyła w biznes.

Rossowi to wszystko wydawało się zabawne aż do łez. Bo przecież, co u diabła Sadie wie o robocie agenta?

Tego, czego nie wiedziała, nauczyła się błyskawicznie. Sześć lat przepracowała jako sekretarka w dużej firmie prawniczej, specjalizującej się w sprawach show-biznesu. Kwestie prawne miała więc w małym palcu, a reszta nie była zbyt skomplikowana. Miała towar — Rossa Contiego. Kiedy tylko Amerykanki go zobaczą, zapagną go kupić.

—Mam wspaniały pomysł — oznajmiła któregoś dnia — ale nie chcę go z tobą omawiać, bo i tak na pewno zaskoczy. Wiem o tym.

Okazało się jednak, że jej pomysł ogromnie mu przypadł do gustu, choć był nieco zwariowany i straszliwie kosztowny. Sadie dopozyczyła pieniędzy od byłego szefa, chudzielca o nazwisku Jeremy Mead, który, jak Ross podejrzewał, miał na nią chrapkę. Potem zamówiła w Pacific Ocean fotosy Rossa odzianego w wyblakłe dżinsowe szorty i olśniewający uśmiech. Zdjęcie kazała powiększyć i powielić na tylu plakatach, na ile mogła sobie pozwolić. A potem oblepiła nimi całą Amerykę. Na plakatach widniało tylko tyle: KIM JEST ROSS CONTI?

Był to okres jak z bajki. Nie minęło kilka tygodni, a wszyscy się dopytywali: — Kim jest Ross Conti? — Johnny Carson w swoim programie zaczął snuć domysły. Całymi workami zaczęły napływać listy adresowane do „Rossa Conti, Hollywood” (Sadie roztropnie powiadomiła urząd pocztowy, gdzie je ma przekazywać). Rossa zaczepiano na ulicy, nagabywały go rozanielone kobiety, rozpoznawano go wszędzie, gdziekolwiek się pojawił. Stało się dokładnie tak, jak przewidywała.

Ukoronowaniem wszystkiego była podróż samolotem Sadie i jej sławnego klienta do Nowego Jorku, gdzie zaproszono go do udziału w „The Tonight Show”. Oboje byli w siódmym niebie. Nowy Jork dał Rossowi przedsmak tego, co znaczy być gwiazdorem. Sadie radowała się tym, że to wszystko jej zasługa.

W programie był doskonały — dowcipny, seksowny i magnetycznie atrakcyjny. Kiedy wrócili do Hollywood, posypały się oferty. Sadie przesiała je i ostatecznie wynegocjowała kontrakt — asa atutowego na trzy filmy dla Paramountu. Ross zapomniał o przeszłości. Momentalnie stał się gwiazdorem.

Sześć miesięcy później wypiął się na Sadie, przeszedł do wielkiej agencji i poślubił Wendy Warren, wschodzącą gwiazdkę z imponującym trzy-dziesięciocentymetrowym biustem. Zamieszkali w obfotografowanym ze wszystkich stron luksusowym domu u szczytu Mulholland Drive, pięć minut drogi od pustelni Marlona Brando. Małżeństwo przetrwało dwa lata i nie zaowocowało dziećmi. Następnie Ross stał się hollywoodzkim kawalerem. Szalone ploty, szalone wybryki, szalone przyjęcia. Wszyscy z rozkoszą przyjęli w 1964 roku wieść o jego powtórny ożenku, tym razem ze szwedzką siedemnastoletnią gwiazdeczką, oczywiście wyposażoną w okazały biust. Małżeństwo miało burzliwy przebieg i skończyło się już po pół roku. Rozwiedli się, sentencja wyroku głosiła o moralnym znęcaniu się i połowie forsy Rossa. On zaś skwitował to wszystko wzruszeniem ramion.

W tamtym czasie znajdował się u szczytu powodzenia. Każdy film okazywał się przebojem. Aż do 1969 roku, kiedy to dwa filmy pod rząd zrobiły klapę.

Wiele osób obserwujących ten upadek supergwiazdora bynajmniej mu nie współczuło. Jedną z nich była Sadie La Salle. Po tym, jak dał drapakę z jej czułych objęć, zniknęła na jakiś czas z widoku, ale wkrótce znowu wypłynęła na powierzchnię i wolno, ale pewnie budowała swoje imperium.

Ross zaś poznał Elaine, kiedy udał się na konsultację do jej męża. W wieku trzydziestu dziewięciu lat pomyślał, czy nie czas już na operację plastyczną. Na operację się nie

zdecydował, na Elaine natomiast tak, owszem. Przeniosła się do niego bez wahania i okazała się dokładnie taką osobą, jakiej potrzebował w tamtym okresie swojego życia. Była współczująca, służyła radą, również doskonale słuchała. W jej piersiach nie było nic podniecającego, ale w łóżku nie miała wymagań, co po doświadczeniach z agresywnością typowych hollywoodzkich gwiazdek bardzo mu odpowiadało. Uznał, że poślubienie Elaine jest właściwym krokiem. Ona bez trudu przekonała męża do rozwodu. Pobrali się z Rossem tydzień później w Meksyku, a jego akcje jako gwiazdora poczęły gwałtownie rosnać. Trwało to pięć lat, po czym stopniowo, powoli, zaczęły opadać. Podobnej tendencji podlegało jego małżeństwo.

Czterdzieści dziewięć lat. Nieuchronnie zbliżająca się pięćdziesiątka. Ale nie wyglądał na więcej jak na czterdzieści dwa. Blond chłopięca uroda wdzięcznie się starzała, choć nic nie mógł poradzić na siwiejące włosy ani na głębokie bruzdy pod przenikliwymi błękitnymi oczami. Włosy trzeba było starannie farbować.

A przecież był we wspaniałej kondycji. Ciało niemal jak u młodzieńca. Zapatrzony w swoje odbicie, nie usłyszał pukania do drzwi.

— Tak?! — krzyknął, gdy się powtórzyło. - Służba hotelowa — zagruchał jakiś damski głosik.

Służba hotelowa miała dwadzieścia dwa lata i ogromny biust. Ross zanotował w pamięci, żeby wynagrodzić recepcjonistę królewskim napiwkami.

—To nigdy nie był normalny chłopak, ten cały Dekę Andrews, zawsze jakiś dziwaczny.

—Tak? A czym się to objawiało?

—No, wie pan, nie interesował się telewizją, kinem czy dziewczynami. Nie tak jak inne dzieciaki z tej ulicy. Nawet kiedy dorósł.

—To czym się interesował?

—Samochodami. Z pierwszej wypłaty kupił sobie starego Mustanga. Uwielbiał go. Polerował, pieścił, całymi godzinami uwijał się przy tym gruchocie.

—A co się z nim stało?

—Sprzedali go. Nie wiem, dlaczego. Potem już nie miał żadnego.

—Jest pan pewny?

—Czego?

—Że nie miał drugiego samochodu?

—Jasne, że tak. Wiem o wszystkim, co się dzieje na Friendship Street. Od trzydziestu lat

przesiaduję przy tym samym oknie. Mówiłem już panu o moim wypadku? Spadła mi na nogi ciężka maszyna. Od tamtej pory nie zrobiłem ani kroku. Odszkodowanie? Pan myśli, że dostałem jakąś forszę? Nie dostałem ni centa za cały ten śmierdzący czas, jaki poświęciłem tamtej wszawej fabryce. Czy pan wie... — Starszy mężczyzna aż poczerwieniał na twarzy, mówił podniesionym, drżącym ze wzburzenia głosem.

Detektyw Leon Rosemont potarł grzbiet swojego wydatnego nosa i wbił wzrok w oprawioną w tanie ramki rycinę na ścianie. Kto potrafiłby zgłębić ludzką naturę? Ten stary bardziej interesował się tym, co przydarzyło mu się trzydzieści lat temu, niż tym, co stało się zaledwie parę godzin wstecz po przeciwnej stronie ulicy. Jako świadek był bezużyteczny. Nic nie słyszał. Niczego nie widział. O niczym nie wiedział.

Wkrótce gazety rozkrzyczą się wielkimi nagłówkami: OKRUTNE POTRÓJNE ZABÓJSTWO. STRASZLIWE MORDERSTWO NA PRZEDMIEŚCIU. KRWAWA MASAKRA. Prasa lubowała się w dobrych, barwnych, zbiorowych mordach. Troje ludzi brutalnie pozbawionych życia w małym domku przy Friendship Street, na szacownym przedmieściu Filadelfii. Jezu, jakże on pragnąłby wymazać tę poranną rzeź ze swojej pamięci. Coś zdławiło mu gardło, przełknął gwałtownie ślinę.

Detektyw pierwszego stopnia, Leon Rosemont. Tęgi facet, tuż po pięćdziesiątce, o szerokich ramionach i silnie zbudowany, ze strzechą gęstych siwych włosów, o krzaczastych brwiach i przenikliwych, sympatycznych, piwnych oczach. Wyglądem przypominał emerytowanego sławnego piłkarza. I rzeczywiście, w college'u był gwiazdą futbolu. Od dwudziestu dziewięciu lat służył w policji. Dwadzieścia dziewięć lat okaleczeń, zabójstw na tle seksualnym i rozpustnych rzezi. Jakże nienawidził tego całego rynsztoku, w jakim się babrał. Wszystkie co pikantniejsze sprawy oddawano w jego ręce. Ale ta była najsmaczniejsza. Troje ludzi porąbanych na kawałki. Bez żadnych wyraźnych motywów. Bez napaści na tle seksualnym. Bez rabunku. Czegokolwiek. Żadnego punktu zaczepienia. Może oprócz Deke'a Andrewsa, syna rodziny, który najpewniej dał drapak.

No więc — czyżby to było kolejne, miłe rodzinne morderstwo w staroświeckim stylu?

Nie było Deke'a Andrewsa, żeby to wyjaśnił. Ale może jest gdzieś poza miastem, u przyjaciół albo z jakąś dziewczyną. Przecież to dopiero sobotnie popołudnie, a według opinii lekarza sądowego morderstwa dokonano między dwudziestą trzecią w piątek a czwartą rano w sobotę.

Dekę Andrews. Dwadzieścia sześć lat. Odludek.

Ileż to osób przesłuchano do tej pory? Cztery? Pięć? Śledztwo nawet się jeszcze nie zaczęło. To dopiero początek.

—Czarnuchy — zdecydował z pasją stary. — Oni są przyczyną wszystkich kłopotów.

—Słucham?

—Te czarnuchy, które wprowadziły się na naszą ulicę. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby to okazało się ich sprawką — sarknął. — Teraz zamykam drzwi na klucz, nie tak jak dawniej. Tak. Pamiętam, jak kiedyś w ogóle nie trzeba było montować zamków.

Detektyw Rosemont przytaknął zimno. W ustach czuł kwaśny niesmak, a wspomnienie tego, co zobaczył wczesnym rankiem, makabrycznie tańcowało mu przed oczami. Bolała go głowa, wargi miał spierzchnięte, czuł piasek pod obolałymi powiekami. Jakże chciałby się teraz znaleźć w domu, w łóżku ze swoją żoną, słodką, czarnoskórą Millie. Czy to nie dałoby temu staremu bigotowi czegoś do myślenia?

—Powinni byli nie ruszać się z South Street. Tam jest ich miejsce - mamrotał złowieszczo stary. — Wprowadzili się tutaj między przyzwoitych obywateli. To nie w porządku. Musi być na to jakiś paragraf.

Detektyw Rosemont dźwignął się ciężko z wyściełanego miękko fotela i skierował ku drzwiom. Szlag by to. Poczul, że coś ściska mu gardło. — Dziękuję panu, panie Bullen — rzucił oschle. — Będzie nam oczywiście potrzebne formalne zeznanie. Któryś z moich ludzi później do pana zajrzy.

— Czarnuchy! — zaskrzeczał histerycznie staruch, zapalając się coraz bardziej do swojej idei. — Trzeba ich było zostawić w Afryce, żeby tam sobie latali na golasa. To moje zdanie. Tak uważają wszyscy porządni obywatele.

Rozwścieczony Leon Rosemont wypadł z domku. Na dworze padało, mżył ponury, przenikliwy kapuśniaczek. Wozy transmisyjne telewizji blokowały wylot ulicy, a kilku lubujących się w makabrze gapiów kłębiło się przed zaporą policyjną. Po diabla oni tutaj przyjeźli? Cóż było tak interesującego w fasadzie domu, w którym popełniono brutalne morderstwo? Co spodziewali się tutaj ujrzeć?

Potrząsnął głową. Ludzie. Nigdy ich nie zrozumie. Posepnie uniósł kołnierz swojego starego angielskiego prochowca i szybko przekroczył ulicę.

Przez wszystkie lata ciężkiej harówki na służbie nigdy nie miał do czynienia z przypadkiem morderstwa, w którym znalazłby osobiście jedną z ofiar. I oto pierwszy raz prowadził taką właśnie sprawę, potworną i przyprawiającą o mdłości. Przeszył go dreszcz, gdyż zastanowił

się, czy i on nie miał w tym swojego udziału.

Montana Gray przyglądała się swojemu mężowi, który z kolei podziwiał własne odbicie w lustrze garderoby ich domu przy Coldwater Canyon. Bawiła ją jego obsesja na punkcie własnego wyglądu, ilekroć wkładał garnitur. Cierpliwie czekała, aż padnie nieuniknione pytanie.

Nie rozczarował jej. — Dobrze wyglądam? — spytał, najzupełniej pewien, że prezentuje się świetnie. A jednak niespokojnie oczekiwał jej aprobaty.

Uśmiechnęła się. — Skąd ta twoja wieczna niepewność, skoro sam świetnie wiesz, że wyglądasz zabójczo?

- Ja? Niepewny? Nigdy w życiu — odparł głosem Richarda Burtona, doskonalszym niż oryginał. — Po prostu lubię, jak mnie chwalisz. Uwielbiała jego angielski akcent. Był nieodmiennie pociągający.

Hmm... — Popatrzyła na niego figlarnie. — Później, w łóżku... tak będę cię chwaliła, aż włosy ci staną dęba.

—Tylko włosy? — zakpił.

—I wszystko to, o czym myślisz.

—A owszem, coś przyszło mi do głowy.

Roześmiała się. — Nie wątpię. Jesteś nie tylko największym reżyserem filmowym w okolicy, ale masz także niezgorszą wyobraźnię.

Chwycił ją w ramiona i zaczęli się całować.

Montana miała dwadzieścia dziewięć lat, Neil pięćdziesiąt cztery. Przez rok wspólnego mieszkania i następne cztery lata małżeństwa dwudziestopięcioletnia różnica wieku nigdy nie stanowiła dla nich problemu. Chociaż ogromnie zajmowała osoby postronne — była żoną Neila, Maralee, niektórych jego przyjaciół i wszystkie ich żony.

—Hej. — Delikatnie odsunęła go od siebie. — W Bistro cała kupa gości niecierpliwie oczekuje naszych znakomitych osób. Musimy ruszyć tyłki.

Westchnął teatralnie.

- Nie zwalaj tego na mnie, Neil. Ta cała uroczystość to twój własny pomysł.

Ugiął się żartobliwie pod tym ciężarem i zagonił ją do drzwi. — Wobec tego, madam, ruszmy tyłki, jak to dosadnie ujęłaś.

Montana. Pięć stóp dziesięć cali wzrostu. Sięgające pasa czarne włosy. Przenikliwe, nakrapiane złotymi cętkami tygrysie oczy. Szerokie, zmysłowe usta. Oryginalna i uderzająca

uroda.

Montana. Ochrzczona tak na cześć stanu, w którym urodziła się co najmniej niekonwencjonalnym, trzeba to przyznać, rodzicom. Ojciec był geologiem, matka pieśniarką folk. Oboje uwielbiali podróże i nim Montana skończyła piętnaście lat, zdążyła już dwukrotnie objechać świat, zaliczyła dwa przelotne romanse, władała biegle francuskim i włoskim, uprawiała narciarstwo (także wodne) oraz jeździła konno niczym kowboj.

Jej rodzice byli silnymi, niezależnymi ludźmi, którzy swojej jedynaczce zaszczepili niezachwiane poczucie wiary w siebie i własnej wartości. — Jeżeli w siebie uwierzysz, wszystko zdołasz osiągnąć — często mawiała jej matka. — Nigdy nie bój się życia — brzmiało motto ojca.

—Godnie i z przekonaniem stawiaj czoło temu, co spotkasz na swojej drodze.

W ich przypadku zasady te się sprawdziły; mieli siebie wzajem, ale ona, chociaż bardzo ją kochali, często czuła się niczym intruz. Kiedy wreszcie zdecydowali się osiąść na ranchu w Arizonie, zrozumiała, że nadszedł czas, aby wyprowadziła się do swojego własnego świata. Wyruszyła więc w drogę z ich błogosławieństwem i niewielką sumką pieniędzy na dobry początek. Był rok 1971, miała siedemnaście lat, cały entuzjazm i energię samego szczytu młodości.

Najpierw zamieszkała w San Francisco u starszego kuzyna. On wprowadził ją w świat seksu, narkotyków i rock'n'rolla, po czym zostawił samej sobie. Była dociekliwa i chętna do nauki, próbowała wielu zajęć — począwszy od kelnerowania po wyrób srebrnej biżuterii, którą

dawała potem na ulicy.

Następnie spotkała rockowego muzyka, który namówił ją na wyjazd do Indii i na medytacje. Wylądowali w Punie, siedzieli u stóp czcigodnego guru, Rajnesza. Montanę znudziło to szybciej niż jej towarzysza, toteż już sama udała się do Londynu, gdzie zatrzymała się u przyjaciół w Chelsea. Otoczyła się gronem fotografików, modelek i pisarzy. Skosztowała wszystkiego po trochu, aż wreszcie przeniosła się do Nowego Jorku wraz z pewnym dziennikarzem o radykalnych poglądach i zaczęła robić to, co uznała za najbardziej interesujące. Zaczęła pisać. Teksty, które wychodziły spod jej pióra, były zarazem cyniczne i eleganckie, toteż wkrótce wyrobiła sobie nazwisko i dostała kolumnę w „Wordly”, awangardowym magazynie. Przebywając w podróży służbowej w Paryżu po raz pierwszy spotkała Neila.

Przyjęcie na lewym brzegu Sekwany. Tłumy gości. Gwar. Montana wpadła tam w towarzystwie ówczesnego przyjaciela, Lenny'ego. Neil już tam był, ululany mieszkanką whisky Jack Daniel's i marihuany Acapulco Gold. Zniszczony facet z przepastnymi oczami, steraną twarzą i czupryną niesfornych, szpakowatych włosów. Siedział w kącie otoczony dworem wielbicieli, spijających każde słowo padające z jego ust.

—Wiesz, cholernie chciałbym poznać tego faceta — zwierzył się Lenny. — On jest lepszy od Altmana.

—Nikt nie jest lepszy od Altmana — zgasiła go z lekceważeniem, kierując się w stronę przyjaciół.

Dopiero po kilku godzinach trafiła wreszcie do grupy osób otaczających Neila Graya. Lenny przedstawił ją.

Tymczasem Neil urznął się już do tego stopnia, że z trudem mógł mówić. Jakoś jednak udało mu się wybelkotać: — Co to za gówniane imię „Montana”?

Zignorowała go, uśmiechnęła się słodko do Lenny'ego i zażądała: .— Zrywamy się stąd.

Dwa dni później, kiedy przeglądała magazyny w American Drug przy Champs Elysees, usłyszała czyjś głos: — Montana. Co to za gówniane imię?

Odwróciła się i przez chwilę nie potrafiła sobie przypomnieć, skąd go zna. Dopiero gdy wionął jej w twarz przesyconym whisky oddechem, przyszło jej do głowy tamto przyjęcie.

—Masz ochotę na kielicha? — spytał.

—Niekoniecznie.

Ich oczy spotkały się i przez moment przebiegła między nimi dwojgiem jakaś iskra. Montanę na tyle to zaintrygowało, że zmieniła zdanie, chociaż nigdy nie gustowała w starszych facetach.

Zaprowadził ją do baru, w którym najwyraźniej był stałym bywalcem. Tam urznął się w trupa, oczarowawszy ją uprzednio bystrą, rozumną i błyskotliwą rozmową. Montana zaczęła się zastanawiać, dlaczego on potrzebuje tego rodzaju zapomnienia, i zadała sobie trud dowiedzenia się o nim czegoś więcej. Okazał się skomplikowanym mężczyzną balansującym na granicy samozatracenia. Utalentowany reżyser, który na skutek picia i nieobliczalnego zachowania zraził do siebie wiele osób i teraz stoczył się do poziomu kręcenia za ciężkie pieniądze reklam telewizyjnych. Forsą tą wspierał swoją byłą żonę, Maralee, żyjącą w luksusie w Beverly Hills.

W Paryżu, zdaje się, cieszył się swoją sławą, rozpoczynając każdy dzień na trzeźwo i

nieodmiennie upijając się w sztok wczesnym popołudniem.

Montana przełożyła termin powrotu do Nowego Jorku i coraz więcej czasu spędzała w towarzystwie Neila. Był wyzwaniem i to ją podniecało. Jej ojciec powiedziałby, że miała na niego chrapkę. Od kiedy podrosła, seks był zawsze otwarcie dyskutowanym tematem w jej rodzinie, a jedyna rada, jakiej udzielili jej rodzice, brzmiała, żeby robiła to, co uważa za słuszne. Coś jej podpowiadało, że Neil jest właśnie „słuszny”, chociaż nie uczynił nic, by zaciągnąć ją do łóżka. Wreszcie wprosiła się tam sama, a on, ku swojemu pijackiemu rozbawieniu, nie był w stanie z tego skorzystać.

Montana natomiast wcale nie uznała tego za zabawne. Pomyślała, że może już czas, żeby zrobić coś z panem Neilem Grayem; wynajęła więc samochód, wypożyczyła od przyjaciół pałacyk na wsi i namówiła Neila na spędzenie tam weekendu. Zgodził się, spodziewając się dwudniowego picia, hulanki i swawoli.

Pałacyk okazał się pusty i na odludziu. Montana dopilnowała, żeby nie było w nim żywego ducha. Schowała kluczyki od samochodu, zerwała połączenie telefoniczne i przytknęła Neila na szalone trzy tygodnie. Prawdę mówiąc, szalone stały się dopiero po pierwszych kilku dniach, kiedy już go uspokoiła, przetrzymała wściekle ataki szału i wreszcie wciągnęła trzeźwego do łóżka. Kiedy Neil nie znajdował się pod tłumiącym reakcje wpływem alkoholu, okazał się znakomitym kochankiem. Żaden tam młody osiłek, tylko mężczyzna, z którym było jej dobrze.

Do miasta wrócili już zdecydowani, iż ta zabawa nazywa się „wspólne życie”. W Paryżu mieszkali zaledwie parę miesięcy, podczas których Montana zdołała przekonać Neila, że marnuje talent. Zgodził się więc na powrót do Ameryki. Szybko rozniosła się wieść, że jest trzeźwy i w dobrej formie, toteż już pod koniec ich pierwszego wspólnego roku znowu pracował, kręcąc niskobudżetowy dreszczowiec na ulicach Nowego Jorku. Film okazał się na tyle przebojowy, że raz jeszcze pokłoniło mu się Hollywood. Ruszyli za zachód. — Znienawidzisz Beverly Hills — ostrzegł Montanę Neil. — Jest tam więcej gówna w centymetrze kwadratowym niż w całym rynsztoku.

Uśmiechnęła się i zajęła własnymi planami. Miała pomysł na serial telewizyjny, chciała też napisać książkę o Hollywoodzie w latach trzydziestych. Neil ją do tego wszystkiego gorąco zachęcał. Nalegał także, by się pobrali. Ona byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby wszystko zostało po staremu, ale on bał się ryzykować, że ją utraci. Była kimś wyjątkowym. Dzięki niej wytrzeźwiał, znowu pracował, ona otworzyła mu w życiu nowe perspektywy.

Ślub odbył się w Palm Springs i od tamtej pory krążyli między wynajętym na stałe apartamentem w Beverly Wilshire Hotel a nowojorskim mieszkaniem.

Montana napisała scenariusz serialu telewizyjnego, który zyskał sporą popularność. Pracowała nad książką o Hollywoodzie i, połknąwszy bakcyła filmu, napisała, wyprodukowała i wyreżyserowała świetną krótką nowelkę o dzieciakach z dzielnicy Watts w Los Angeles. Film zdobył dwie nagrody.

Neil był bardzo dumny z jej sukcesów, toteż gorąco zachęcał ją do zrealizowania kolejnego pomysłu, nad którym właśnie pracowała — ambitnego scenariusza zatytułowanego „Ludzie z ulicy”. Napisała go za jednym zamachem w ciągu sześciu tygodni. Kiedy Neil go po raz pierwszy przeczytał, był poruszony. Jako reżyser czuł, że zawiera materiał na interesujący i ważny film. I od razu wiedział, że sam chciałby go kręcić. Znowu był wziętym reżyserem. Dwa jego poprzednie filmy przyniosły forszę i wiele wytwórni gotowych było zrobić wszystko, co zechciał. Ale on pragnął kontroli, więc po dyskusji z Montana zaniósł scenariusz do producenta Olivera Easterne'a. Oliver był zmija, jednakże Neil wiedział, że zapewni im dokładnie to, czego było trzeba.

Teraz wszystko już uzgodniono i tego właśnie ranka podpisano kontrakty.

Umowa była znakomita. Pełna kontrola artystyczna, co oznaczało, że nikt nie będzie się wtrącał do scenariusza Montany ani do tego, co Neil zamierzał nakręcić. Jeżeli tylko nie przekroczą budżetu ani harmonogramu zdjęć, nikt nie będzie w nic wściubiał nosa. Oboje byli zachwyceni.

Kształt ostateczny. Pełna kontrola. Magiczne słowa, a teraz specjalny obiad, na którym obwieści się nowinę przyjaciołom.

Kiedy trzy godziny później wracali do domu, Montana ponuro spoglądała przez okno samochodu. Jeżeli o nią chodzi, to cały ten wieczór był jedną wielką stratą czasu. Przyjaciele. Bogu dzięki, może się bez nich świetnie obejść. Oczywiście, jak długo jest przy niej Neil, gdyż on ma wszystkich dokładnie w nosie, w tym zaś pełnym wazeliniarzy mieście jest to cecha wyjątkowa. Prawdę powiedziawszy, właśnie to najbardziej ją w mężu pociągało.

— Papierosa? — wyciągnął jednego z paczki, prowadząc jednocześnie swojego srebrzystego Maserati przez Santa Monica w górę Bever-ly, ku Sunset.

Przyjęła papierosa bez słowa; jej myśli wciąż zaprzętała reakcja tak zwanych przyjaciół na nowinę Neila. Wszyscy wykrzykiwali: — Cudownie! Gratulacje! — Po czym na wyprzódki jęli wbijać szpile.

Bibi Sutton, nadająca ton społeczności Beverly Hills, szykowna Francuzka, żona jednego z największych gwiazdorów kina, Adama Suttona.

—Koteczku? Neil? On robi film, któryś ty napisała? — Ledwie skrywała swoje zdumienie.

Chet Barnes, utalentowany scenarzysta, co potwierdzały dwa Os-cary na jego koncie. — Pisanie dla filmu jest bardzo szczególnym rodzajem sztuki, Montana. To nie to samo, co chałtura w TV.

—A pies ci mordę lizał, panie Barnes.

Giną Germaine, trzydziestoletni symbol seksu, usiłująca wywalczyć traktowanie jej serio i wyglądem przypominająca przerośniętą lalkę Barbie. — Czy ty masz murzyna do pisania, Montana? Możesz mi zaufać, nikomu nic nie zdradzę. Prawdę mówiąc, ja też trochę piszę.

I tak dalej, i tak dalej. Jedna szpila po drugiej. Ci ludzie byli po prostu zawistni, i to jest cała prawda. Urodziwe kobiety mają w życiu do odegrania swoją rolę i powinny się jej trzymać. Mogą być sobie gwiazdami filmowymi, modelkami, paniami domu, płatnymi kochankami, ale niech Bóg broni, żeby jakaś spódniczka zapuściła się na Terytorium Wielkich Chłopców. Napisanie znaczącego scenariusza dla znaczącego reżysera należało właśnie do Terytorium Wielkich Chłopców. I w zawołowanej formie wszyscy jej to dawali do zrozumienia.

—Czasami nienawidzę ludzi! — wybuchnęła.

Neil roześmiał się. — Nie marnuj na to swojej energii, kochanie.

—Ale oni wszyscy są tacy...

—Zawistni.

—Też to zauważyłeś?

—Jak mogłoby być inaczej. Karen Lancaster namawiała mnie, abym się jej przyznał, że to ja jestem autorem tego scenariusza.

—Ta rozpustna suka!

—Potem Chet uparł się, że mi wytłumaczy, jak to zrujnuje całą moją karierę. Aha, nawet Adam Sutton chciał wiedzieć, dlaczego pomagam ci właśnie w ten sposób.

—Chryste! A to dopiero przyjaciele.

Zdjął rękę z kierownicy i pogładził żonę po kolanie. — Mówiłem ci przecież, kiedy cię tutaj po raz pierwszy przywiozłem, żebyś nigdy nie traktowała ich poważnie. Hollywood to zabawne miasteczko, rządzące się zabawnymi regułami. A ty je wszystkie łamiesz.

—Tak sądzisz?

—Ależ oczywiście.

—Jak mianowicie?

—Wyliczmy: nie robisz zakupów na Rodeo Drive. Nie wydajesz szalonych przyjęć. Nie latasz na lunch z dziewczynami. Nie zatrudniasz pokojówki. Nie masz nieskazitelnych paznokci. Nie plotkujesz. Nie szastasz forszą z szybkością dźwięku. Nie...

Zaśmiewając się, podniosła rękę. — Dosyć już! Wracajmy do domu i połóżmy się do łóżka.

—Oraz nie czekasz nawet, aby cię poproszono.

Jej dłoń prześliznęła się nad dźwignią biegów i spoczęła na jego kroczu. — Czyż wobec tego nie możesz mówić, że masz szczęście?

Maserati gwałtownie zбочzył z drogi. — A kto mówi coś innego, kochanie?

Montana spała głęboko. Neil wysliznął się cichutko z łóżka wczesnym rankiem. Przekonał się już, że z wiekiem coraz mniej potrzebuje snu. Wziął więc prysznic, wykonał kilka niezbyt wysokich pompek, potem wyszedł na patio i napawał się krajobrazem. Kiedy nie wisiał smog, widok rozciągał się na mile aż po ocean. To była jedna z głównych przyczyn, dla których kilka miesięcy temu zdecydowali się na kupno tego domu. Wiele osób wyprowadzało się z Los Angeles, ale Neil prawdziwie kochał to miasto. Urodzony i wychowany w Anglii, nigdy za nią nie tęsknił. Ameryka była jego domem, i to już od przeszło dwudziestu lat.

Pierwszy raz Neil Gray pojawił się w Hollywood w 1958 roku. Był młodym, pewnym siebie reżyserem, któremu wydawało się, że zjadł wszystkie rozумы. Wytwórnia, która ściągnęła go tutaj po jego pierwszym przebojowym filmie w Anglii, zajęła się nim po królewsku. Bungalow Beverly Hills Hotel, parada pięknych gwiazdeczek i nieograniczone konto na drobne wydatki. Wyreżyserowany przez niego film okazał się fiaskiem finansowym. Przegrał też wytoczony przez pewną kobietę proces o ustalenie ojcostwa, któremu gorąco zaprzeczał, wrócił więc jak niepyszny do Anglii.

Jednakże w jego krew wszczepiono amerykańską gorączkę, pragnął czegoś więcej. Toteż we wczesnych latach sześćdziesiątych znowu zawi- ■ tał do Hollywood. Tym razem nie wspierała go żadna wytwórnia. Wynajął pokój w Chateau Marmont, skromnym, staroświeckim hotelu poza Stripem. Potem usiłował zrealizować scenariusz, który zaakceptował bez zastrzeżeń. Szło mu ciężko, aż do dnia, w którym na basenie dosłownie zderzył się z Maralee Sanderson. Ładną, zepsutą nastolatką, której, gdy miała czternaście lat, umarła matka. Chowal ją sam ojciec, Tyron, założyciel Wytwórni Sanderson. W owym czasie Maralee miała romans z aktorem — zwolennikiem szkoły nowojorskiej, ale Neil natychmiast wpadł jej w oko, toteż zmieniła obiekt westchnień. Sam Neil nie miał nic do gadania. Maralee bowiem zwykle

dostawała to, czego chciała. Poza tym, schlebiali to Neilowi. Była młoda, olśniewająca i bogata. Tatuś posiadał wytwórnię. Czegóż więcej mógłby żądać bezrobotny reżyser?

—Tatuś zainwestuje forszę w twój film — obojętnie rzuciła któregoś dnia Maralee. — To znaczy, jeśli go o to poproszę.

—No to na co czekasz?! — wrzasnął.

—Na pewien drobiazdek zwany małżeństwem — odparła niewinnie. Małżeństwo. Samo słowo go przerażało. Raz już tego popróbował mając dziewiętnaście lat i okazało się to smętną nudą. Ale teraz, po siedemnastu latach, po wielu kobietach, po morzu wody...

Małżeństwo. Rozmyślał nad tym jakiś tydzień. Potem zdecydował się — dlaczego by nie? Już chyba czas na dokonanie kolejnego wielkiego kroku, a poza tym, to zdaje się jedyna pewna droga do zrealizowania filmu.

Tylko jakiś wewnętrzny głos uporczywie go dręczył: A co z uczciwością? Dokonaniem tego o własnych siłach? Co z miłością?

A chrzanię to, pomyślał. Chcę nakręcić film. Przyda mi się niewielkie oparcie w tym mieście.

—Zgadza się — oznajmił Maralee.

—Świetnie — ucieszyła się. — Tatuś chce cię poznać.

Tyron Sanderson z pewnością nie osiągnął tego, co osiągnął, dzięki swojemu czarowi osobistemu. Był niski i zwalisty. Palił ogromniaste cygara i preferował gwiazdeczki z ogromniastym wyposażeniem. Rozpaczliwie pragnął wydać córkę za mąż i tym samym się jej pozbyć. Przez łóżko Maralee przewinęło się z pół Hollywoodu, ale dopiero Neil Gray przykuł jej uwagę na dłużej.

—Więc jak chcesz robić film, to go rób — burknął podczas ich pierwszego spotkania.

—Mam scenariusz. Może zechciałby pan rzucić na niego okiem?

—Przeczytać? Kręć pan i już.

— Nie ciekawi pana, o czym jest?

—Mnie ciekawi tylko zamążpójście mojej córki. Kropka.

Dwa tygodnie później pobrali się na tarasie posiadłości tyrone'a w Bel-Air. Wesele uświetniła obecność większości sław Hollywoodu.

Miesiąc miodowy spędzili w Acapulco, potem wrócili na Rodeo Drive do domu, który tatuś kupił im w prezencie ślubnym. Neil z punktu ostro zabrał się do pracy.

Jego pierwszy film odniósł sukces zarówno artystyczny, jak finansowy. W ten sposób z pozycji jedynie „zięcia” przeobraził się w nowe cudowne dziecko tego miasta. Łaknęła go każda

wytwórnia, a ponieważ Tyron Sanderson nie podpisał z nim kontraktu, mógł robić to, co mu się żywnie podobało.

—Powinieneś trzymać się tatusia — nalegała Maralee. — On pierwszy dal ci szansę.

—A pieprzę twojego tatusia — odciął się. — Ja sam dałem sobie szansę, jemu nie mam nic do zawdzięczenia.

Neil nakręcił kilka głośnych filmów, Maralee kilka głośnych romansów. Neil pil, Maralee szastała forszą.

Razem zrobili klapę. Nagle Neil okazał się nieudacznikiem. Wyjechał do Europy po ciężkiej kłótni, która skończyła się, gdy Maralee wezwała na odsiecz ojca. — Jeżeli go tutaj ściągniesz — ostrzegął ją Neil — będzie koniec z nami.

—No to krzyżyk na drogę — prychnęła. — Ty angielski dupku bez talentu.

Montana pojawiła się dokładnie we właściwym momencie. Nie było łatwo rozwieść się z Maralee. Bo chociaż wcale go nie chciała, to również nie chciała z niego rezygnować.

Rozwód był uciążliwy i kosztowny. Ale wart każdego centa.

Neil, rozkoszując się osnutym mgielką krajobrazem, myślał o Montanie. Była silna, inteligentna i zmysłowa. I dochował jej wierności dłużej, niż kiedykolwiek podejrzewał, że jest to możliwe. Ale w ciągu minionego roku, czując zresztą do siebie wstręt, co jakiś czas zabierał do łóżka blond kociaki o kurzych mózdkach. Co mu się stało? Gdyby Montana kiedykolwiek się o tym dowiedziała, po prostu by odeszła. Na tyle znał swoją żonę.

Więc dlaczego to robił? Uczciwie mówiąc, nie wiedział. Może podniecał go element ryzyka? Albo fakt, że czasami potrzebował kobiety, która nie byłaby mu równa, cycatej i głupiej laleczki. Żadnych rozmów. Intelktualnego spotkania umysłów. Wyłącznie czysty seks.

Nie to, żeby Montana nie była najlepsza. W łóżku podniecała go jak zawsze. Ale nieodmiennie była równą mu partnerką, toteż niekiedy odczuwał palącą potrzebę przespania się z kobietą całkiem innego typu. Od czasu do czasu chciał sobie po prostu popieprzyć w bezosobowy, obojętny sposób. Miał pięćdziesiąt cztery lata. Życie ucieka, a człowiek nigdy się niczego, do cholery, nie nauczy.

Przeszedł z patio do mieszkania, do kuchni, gdzie zaparzył filiżankę herbaty i przyrządził sobie talerz płatków owsianych.

Giną Germaine. Puszysta. Jasnowłosa. Głupia. I jeszcze gorzej. Gwiazda filmowa.

Przespał się z nią dwukrotnie i wcale nie miał zamiaru na tym poprzestać. Było to szaleństwo, na które nic nie potrafił poradzić.

Rozpłynięcie się w Nowym Jorku nie nastreczyło Deke'owi najmniejszych trudności. Zagrzebać swoją wściekłość gdzieś w małym pokoju w Village. Pomyśleć. Zaplanować przyszłość. Zdecydować, co i jak.

Znaleźć pracę. Zmienić nazwisko.

Tylko spokojnie.

Zmienić wygląd. To było proste. Para nożyczek ułatwiła skrócenie długich do ramion włosów. Fryzjer dokończył dzieła, strzygąc go tak, że na głowie pozostał tylko króciutki język, który najbardziej kojarzył się z kuracją odwszenia.

Z oczami nic nie mógł zrobić. W bladej, przeciętnej twarzy płonęły czernią i furią.

Był wysoki, szczupły, zbudowany jak miliony innych młodych mężczyzn ubranych w dżinsowy mundurek i szmatławą kurtkę.

Był maniakiem czystości. W jego pokoju wszystko leżało w idealnym porządku. Ale i niewiele było do bałaganienia. Z Filadelfii wyjechał tylko z niewielką torbą.

Pracował w nędznym hoteliku w Soho. Popołudniowa zmiana — od punkt dwunasta w południe do szóstej! Siedział w recepcji i wydawał klucze do pokoi klientom najdziwniejszego autoramentu — gościom, którzy najwyraźniej przybyli do miasta bez forsy, dziwkom, czubkom, biznesmenom, którzy nie życzyli sobie, aby widziano ich na popołudniowej randce z sekretarkami.

Przez pierwsze sześć tygodni regularnie odwiedzał kiosk przy Times Square, gdzie sprzedawano filadelfijską prasę. Po powrocie do domu pochłaniał ją od deski do deski. Nic nie uchodziło jego uwagi. Po przeczytaniu starannie wycinał wszystkie artykuły traktujące o zbrodni przy Friendship Street. Kiedy wreszcie uznał, że nie pominął niczego, co wiązało się z przebiegiem śledztwa, chował wycinki między strony magazynu motoryzacyjnego, który utykał pod materacem.

Powoli artykuły przestały się pojawiać. Przecież w tej sprawie nie było nic aż tak sensacyjnego. Przeciętne małżeństwo w średnim wieku. Pan i pani Willisowie Andrews. Kogo to obchodziło? Joey Kravetz. Zwykła uliczna dziewczka, która odkąd skończyła czternaście lat, była stałą bywalczynią poprawczaków. Kogo to interesowało?

POLICJA PRAGNĘŁABY PRZESŁUCHAĆ DEKE'A ANDRE-WSA, ZAGINIONEGO OD DNIA MORDERSTWA.

Niezwykle uprzejmie.

DETEKTYWI PILNIE POSZUKUJĄ DEKE'A ANDREWSA, DŁUGOWŁOSEGO SYNA

ZAMORDOWANEGO MAŁŻEŃSTWA.

Trochę mniej uprzejmie.

NALEŻY KONIECZNIE ODNALEŹĆ TEGO POTWORA.

Oczywiście, dziennikarka.

ANI ŚLADU PO DEKE'U ANDREWSIE. POLICJA W KROPCE.

Kiedy to czytał, na jego wargach pojawił się uśmiezek.

Nowy Jork okazał się idealnym miejscem. Ulice zaakceptowały go i wchłonęły jak swego. Mógł się odprężyć i zająć sobą.

Niebawem będzie gotowy do następnego posunięcia.

W supersamie Safewaya przy Santa Monica Boulevard kłębił się tłum kupujących. Angela Hudson wzięła wózek, a ujrzawszy długie kolejki przy kasach westchnęła.

Chłopak pakujący sprawunki do mocnych, papierowych toreb nie mógł oderwać od niej oczu. Takie właśnie wrażenie wywierała na przedstawicielach płci odmiennej. Oglądali się za nią nawet homoseksualiści.

Rzeczywiście, Angela miała w sobie coś. Dziewiętnastolatka. Pięć stóp pięć cali gładkiej, śmietankowej skóry, lazurowe oczy o długich rzęsach, mały, kształtny nos, pełne różowe wargi, naturalne długie włosy barwy pszenicy, krągłe piersi, szczupła talia, wąskie biodra i długie nogi. W jej przyciągającej wzrok urodzie nie było nic z dziwki, nie była też przeciętna.

Jak zwykle miała leciutki makijaż i niezbyt wyszukany strój, na który składał się różowy sweter i szerokie, białe ogrodniczki. Ale to nie stanowiło bariery dla wlepionych w nią spojrzeń.

Niespiesznie pchała wózek między ludźmi tłoczącymi się przy półkach. Tu i tam przystawała, by sprawdzić ceny. Hmm, pomyślała, Safeway Safewayem, ale i tak tu jest drogo. Miała tylko trzydzieści pięć dolarów, za które musieli wyżyć z Buddym przez cały tydzień. Pomyślawszy o Buddym uśmiechnęła się. Kiedy wspomniała dzisiejszy poranek, aż się spłoniła. Jego dłonie na całym jej ciele, język penetrujący najbardziej sekretne zakamarki.

Wspomnienie Buddy'ego przeszło ją dreszczem. Był taki cudowny i taki obyty ze światem. Taki przystojny. Znowu zadrzała. Był jej mężem od dwóch niebiańskich, cudownych dni.

—Hej — zaczął ją czyjś głos.

Zerknęła na muskularnego mężczyznę w czerwonej, rozpiętej pod szyją koszuli i wyprasowanych w kant spodniach.

—Czy myśmy się nie poznali ubiegłej nocy na przyjęciu? — spytał, omijając jej wózek tak, by stanąć tuż obok.

—Przykro mi — odpowiedziała pospiesznie — ale dopiero wczoraj przyjechałam do tego miasta.

Dlaczego się tłumaczy? Buddy powtarzał jej to już z tysiąc razy. „Nie mów zawsze, wszędzie i każdemu: «przykro mi». Musisz nauczyć się większej agresywności w życiu”.

—No cóż — rzekł tamten. — Jeżeli dopiero wczoraj zjechałaś do miasta, to może dziś wieczór postawię ci kolację. Co ty na to?

—Przykro... — zaczęła, ale zaraz się pohamowała. — Jestem mężatką — oświadczyła dumnie. Facet roześmiał się niedwuznacznie. — Jeżeli tylko tobie to nie przeszkadza, to mnie tym bardziej.

Dlaczego oni zawsze muszą się jej czepiać? Odkąd sięga pamięcią, nieznajomi zaczepiali ją i nagabywali. Na ulicy, w kinie. Wszędzie. Zdecydowanym ruchem popchnęła wózek wzdłuż regału, mając nadzieję, że zgubi natręta. Ale on ruszył za nią, mamrocząc któryś z miliona wyświechtanych banałów.

Zatrzymała się i spiorunował go swoimi zapierającymi dech w piersiach oczami. — Proszę zostawić mnie w spokoju — powiedziała cichym głosem. - - Mówiłam już panu, że jestem mężatką i mojemu mężowi nie spodobałoby się to, że mnie pan zaczepia. Byłby bardzo niezadowolony.

Wcale nie chciała, by zabrzmiało to jak pogróżka. Ale chyba poskutkowało, albowiem facet spłynął.

Buddy rzeczywiście nie cierpiał, jak wgapiali się w nią inni mężczyźni. Gdyby tylko wiedział, że nieustannie ją podrywano, wściekłby się. Ale przecież to nie jej wina, prawda? Nigdy nie ubierała się w obcisłe sukienki czy w mini-spódniczki. Zachowywała się skromnie i niczym ich nie prowokowała. To Buddy był pierwszym chłopakiem, który kiedykolwiek zdołał osiągnąć coś więcej niż zwykły całus na do widzenia. A i tak stało się to dopiero po ślubie. Angela wiedziała bowiem instynktownie, że należy poczekać, szacunek zaś, jaki okazał jej Buddy w noc poślubną, wynagrodził wszystkie klapsy w rękę i frustracje z przeszłości. Miała prawdziwe szczęście, że właśnie na niego trafiła — był jakby igłą w stogu siana.

—Przepraszam, panienko — wymamrotał wysoki, obszarpany chłopak w podartej koszulce do gry w baseballa. — Chyba to pani zgubiła.

Popatrzyła osłupiała na wyciągnięte ku niej pudełko krakersów.

—Przykro mi, ale to nie moje.

- Nie? Wydawało mi się, że spadło to z pani wózka.

—Przykro mi.

Chłopak nerwowo rozdrapał krostę. - Gdybym stanął za panią w kolejce, to mógłbym pomóc pani odnieść cały ten towar do samochodu.

—Nie, dziękuję. — Szybko przejechała za półkę. W Safewayu aż się od takich roiło. Może następnym razem Buddy mógłby jej towarzyszyć?

Frances Cavendish rozparła się na krześle za swoim nowoczesnym, lśniącym chromem biurkiem i posaża łączywie fikę, w której tkwił skręt. Na kilka dobrych chwil wciągnęła w płuca gęsty dym, potem wydmuchała go z głębokim westchnieniem nie tajonego zadowolenia. Nie podzieliła się tym wynalazkiem z Buddym Hudsonem, który posepnie garbił się po przeciwnej stronie. Niewygodnie mu było na małym krzeselku o prostym oparciu.

—Okazałeś niezmierny tupet, żeby przyjść prosto tutaj — stwierdziła Frances.

—Co proszę?

—Nie rznij głupka. Wepchnęłam cię do telewizyjnego serialu, a ty przy pomocy tamtej starej wariatki, u której koczowałeś, dałeś plamę, że ha, i wszystko zawałiłeś.

—Oj, Frances. To było tak dawno temu. Teraz potrzebna mi praca. Naprawdę. Ożeniłem się.

—Przykro mi, Buddy — zgasiła go machnięciem ręki. — Ale musisz przecież wiedzieć, jak teraz sprawy się mają. Interes idzie kiepsko. Nie potrafię ci pomóc.

Mogłaby, gdyby zechciała. Była jednym z najskuteczniejszych agentów w całym mieście.

—Oj, Frances — zaszedł ją z drugiej strony. — Chcesz mi powiedzieć, że t y nie masz niczego? Olewasz Buddy'ego Boya? Sądziłem, że łączy nas coś niecoś.

Frances schwyciła okulary w metalowej oprawce i wepchnęła je na swój nos Baby Jagi. — Chyba powiedziałeś, żeś się ożenił, co? A może się przesłyszałam?

—Nie.

—No to, koteńku, w takiej sytuacji sądzę, że to jednak zmieniło co nieco w naszych wzajemnych stosunkach. Nie uważasz?

Jakich znowu stosunkach? Kilka razy towarzyszył jej na jakichś imprezach. Podrzucała mu ochłapy z filmów. Gdyby ją kiedykolwiek przeleciał, to co innego.

—Dlaczego? — spytał urażony. Teraz żałował, że w ogóle puścił parę z gęby.

Spojrzała na niego wściekle. — Nie dawałeś znaku życia przez osiem miesięcy. A teraz wmeldowujesz się tutaj jak gdyby nigdy nic i obojętnie oświadczasz, żeś się ożenił. I to jest, według ciebie, powód, dla którego powinnam cię potraktować wyjątkowo?

Wstał. — No to nie traktuj.

Zdjęła okulary i zmrużyła swoje przenikliwe oczy. Buddy Hudson był najbardziej przystojnym samcem, jakiego oglądała od miesięcy. Pozwolić mu tak po prostu wyjść bez niczego, byłoby szkoda. — Mogę cię posłać do reklamy — westchnęła.

—Nie życzę sobie już nigdy występować w żadnym takim chłampie. Pół roku spędziłem na Hawajach wyśpiewując aż do obrzydzenia. Nie mogli się mną nacieszyć. Teraz więc chcę dobrej roli w jakimś programie telewizyjnym. Trochę sztuki aktorskiej, trochę śpiewu, i rzucę całą publikę na kolana.

Frances ujęła pióro i popukała nim niecierpliwie w biurko. — To bierzesz tę reklamę czy nie? Zastanowił się nad swoim położeniem. Dwieście dolców na koncie, stary Pontiac po stłuczce, jednopokojowy „apartament” poza Stri-pem, wypożyczony do przyjaciela.

Niezła sytuacyjka. I do tego dwudniowa żona o imieniu Angela. Piękna, słodka, niewinna i cała jego. Przywiózł ją tutaj z Hawajów niczym bohaterski zdobywca. Myślała, że jest wziętym aktorem, na którego czeka w ogonku kilka ról. Nie powinien odzierać jej ze złudzeń na tak wczesnym etapie małżeństwa.

—Dobra... biorę — zdecydował się.

Frances, nagryzmoliwszy coś na kartce, wręczyła mu ją. — O czwartej, jutro. Tylko się nie spóźnij.

Zerknął na kartkę, potem na agentkę. — Frances — powiedział — nie mogłabyś mi dać przynajmniej macha?

Angela, cicho nucąc, rozpakowywała zakupy. Ledwie mogła uwierzyć we własne szczęście. Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie. I wszystko ułożyło się w najdoskonalszy z możliwych sposób.

Pomyśleć tylko — zaledwie półtora roku temu skończyła szkołę średnią w Louisville, w Kentucky, dostała posadę recepcjonistki w salonie piękności i któregoś dnia wzięła udział w konkursie ogłoszonym przez jakiś magazyn poświęcony sprawom filmu. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że wygra. A tak właśnie się stało. Nagrodą był czek na tysiąc dolarów i wycieczka do Hollywood dla dwóch osób.

Hollywood. Kraina z baśni, o której Angela mogła dotąd tylko poczytać. Hollywood.

Spełnione marzenie.

Bez wahania spakowała walizkę i ruszyła na zachód ze swoją najlepszą przyjaciółką, Sue-Ann. Wyjazd nie stanowił najmniejszego problemu. Angela była bowiem adoptowanym dzieckiem w licznej rodzinie, toteż dodatkowa przestrzeń w małym domku, w którym mieszkali, była więcej niż mile widziana.

Tydzień w Hollywood w Hyatt Hotel na słynnym Sunset Boulevard. Ona i Sue-Ann ledwie znalazły czas, by złapać oddech. Magazyn robił reportaż z ich pobytu, fotografując wszystko, począwszy od zwiedzania Disneylandu po lunch z Burtem Reynoldsem.

Burt Reynolds! Angela myślała, że zemdleje. Ale aktor okazał się bardzo miły i dowcipny. Do zdjęcia nawet objął ją i Sue-Ann ramionami.

Tydzień minął jak jeden dzień, ale kiedy dobiegł końca, Angeli wcale nie uśmiechał się powrót do starego, nudnego Louisville. Nic właściwie jej tam nie ciągnęło. Rodzina, u której mieszkała, nigdy nie traktowała jej źle, ale ona sama zawsze czuła się jak ktoś obcy, jak intruz, czasami ktoś niewiele lepszy od służącej. Kiedy dorastała, wydawało się jej naturalne, że musi wszystkim usługiwać, ale kiedy wkroczyła w okres dojrzewania i kiedy rozkwitła jej uroda, rodzina odnosiła się do niej coraz bardziej niechętnie.

Pomysł rozstania się z nimi tkwił w jej głowie od niepamiętnych czasów i teraz, zdawałoby się, trafiała się idealna okazja. — Zamierzam tutaj zostać — oświadczyła przyjaciółce. Jej oczy świeciły blaskiem kon-wertytki. — To właśnie jest moje miejsce. Chcę zostać aktorką! Sue-Ann bezskutecznie próbowała wyperswadować jej ten pomysł. Angela już zdecydowała. Czyż każdy napotkany w Hollywood mężczyzna nie mówił jej, że powinna zagrać w filmie? No to dlaczego by nie spróbować? Miała tysiąc dolarów nagrody i jeżeli będzie żyć oszczędnie, powinno jej to starczyć przynajmniej na kilka miesięcy.

Przede wszystkim musiała gdzieś mieszkać. Nie zamierzała trwonić majątku na hotele. Fotograf dał jej adres dziewczyny, o której wiedział, że wynajmuje pokoje. — Zadzwoń tam — powiedział puszczając oko. — / pamiętaj, moja śliczna, że gdybyś nie znalazła lokum, zawsze możesz zatrzymać się u mnie.

Zignorowała tę jednoznaczną ofertę, zadzwoniła i już po godzinie instalowała się w oficynie przestronnego, niechlujnego domu za Fairfax.

— Dwie minuty do May Company i jedna przecznica od Farmers Market. Czy można żądać czegoś więcej? — spytała krzykliwie ubrana, rudowłosa kobieta zajmująca się wynajmem mieszkań. — Jesteś nowa w tym mieście, kotku? Angela kiwnęła głową. — Chcę zostać

aktorką.

—Jasne, aktorką. A papież się wczoraj ożenił.

—Słucham?

—Nieważne.

Zostanie aktorką nie było łatwe, ale czy ktoś kiedykolwiek twierdził, że ma być inaczej? Angela najpierw odkryła, że potrzebne są fotosy, a potem Daphne, owa rudowłosa, wytłumaczyła jej: — Musisz wstąpić do jakiegoś idiotycznego związku. Chce ci się? Są prostsze sposoby zdobycia forsy. Kociak z twoją urodą... — umilkła wlepiwszy w nią wzrok.

Profesjonalne zdjęcia kosztowały sto dolarów, choć fotograf sugerował inną niż gotówka metodę zapłaty. Angela udawała, że nie rozumie, do czego tamten pije.

Po obejściu kilku agentów wybrała sobie takiego o ojcowskim wyglądzie i biurze na Sunset. Wydawał się lepszy od tych młodszych. Instynktownie wiedziała, że mogliby przysporzyć jej kłopotów. W ciągu sześciu tygodni wysłał ją na cztery sesje zdjęć próbnych, z których żadna nie zaowocowała kontraktem. Dostała natomiast furę zupełnie innych propozycji. Potem agent oświadczył jej, że mógłby załatwić drugoplanową rolę w filmie pornograficznym, co słysząc, Angela zalana łzami wybiegła z jego biura.

—Świński stary skurwysyn — współczuła jej Daphne. — Powiem ci coś. Zabiorę cię na wycieczkę na Hawaje. Na mój koszt.

—A co z twoją pracą? — spytała Angela na próbę. Daphne powiedziała jej kiedyś, że jest kimś w rodzaju przedstawiciela handlowego i że musi być do dyspozycji w dzień i w nocy.

—Pieprzę tę robotę. Należą mi się wakacje.

Angela ledwie mogła uwierzyć we własne szczęście, że udało się jej trafić na tak wspaniałą przyjaciółkę jak Daphne. Co to przeszkadza, że ma zbyt wyzywający makijaż i nosi jaskrawe ciuchy? Jest po prostu miłą osobą. A poza tym pokusa zobaczenia Hawajów była za bardzo nęcąca, by ją odrzucić.

Przybyły tam późnym wieczorem po uciążliwym locie. Dwudziesto-rminutowa jazda taksówką i wprost z lotniska znalazły się w Hawaiian Village Hotel. Daphne, która podczas pięciogodzinnej podróży wlała w siebie pokazną porcję alkoholu, zapadła w pijacki sen. Angela zapłaciła więc za taksówkę i zaczęła potrząsać Daphne, by się ocknęła. Jednocześnie rozglądała się wkoło zachwyconym wzrokiem.

—Kurde — wymamrotała Daphne. — Już przyjeżdżowałyśmy? Angela zerknęła na taksówkarza, czy aby tego nie słyszał, ale on obojętnie patrzył przed siebie.

Weszły do hałtu i skierowały się ku ladzie recepcji. — Ty sobie klapnij, a ja nas zamelduję — zarządziła Daphne.

Angela czekała cierpliwie, żałując, że jej przyjaciółka nie jest bardziej trzeźwa. Może wtedy używałaby mniej wulgarnego języka. No, ale to przecież nie Louisville. Daphne zaś nie jest Sue-Ann. No i tak wspaniale było wyrwać się w szeroki świat.

—Załatwione. — Daphne zatoczyła się na nią. — Kotku, jestem cholernie zmęczona. Zaraz złożymy nasze stare zwłoki do wyra.

Pokój okazał się czysty, z kolorowym telewizorem i widokiem na basen. Oraz z podwójnym małżeńskim łóżem. Angeli niezbyt podobała się myśl o wspólnym spaniu. Ciężkie perfumy używane przez Daphne bynajmniej nie tłumili ostrego odoru jej ciała.

—Daj temu facetowi napiwek — rozkazała Daphne, wskazując na chłopca hotelowego, który właśnie ustawił na podłodze ich walizki.

Angela poszperała w torebce, myśląc przy tym, że pieniędzy nie wystarczy jej na tak długo, jak się tego spodziewała. Z tysiąca dolarów zostało tylko czterysta. Dała chłopakowi dolara, co go najwyraźniej nie zachwyciło.

Kiedy już wyszedł z pokoju, Daphne zdarła z siebie swoją płomienną sukienkę i skierowała się do łazienki, mając na sobie jedynie purpurowe figi.

Angela nie widziała możliwości odmówienia spania we wspólnym łóżu bez urażania uczuć tamtej, więc tylko westchnęła i otworzyła swoją walizkę. Wyjęła błękitną, jakby dziecinną koszulkę nocną, kupioną w May Company. Jedyna jej ekstrawagancja, ale koszulka była tak śliczna, że nie potrafiła jej sobie odmówić.

Daphne wyszła z łazienki, tak jak ją Pan Bóg stworzył, wsparła ręce na biodrach i zatrzęśła potężnym biustem. — Niezłe, co? I absolutnie moje własne.

Angela umknęła do łazienki. Gdy brała prysznic, przyszło jej do głowy, że może wycieczka na Hawaje nie była wcale takim świetnym pomysłem.

Kiedy wróciła do sypialni, panowała tam cisza. Daphne leżała w pościeli, światło było zgaszone. Angela wśliznęła się na drugą połowę łóżka i zaczęła rozmyślać o swoich próbach zostania aktorką. Musi dostać pracę, żeby utrzymać się na powierzchni. Może mogłaby zostać sekretarką w studio filmowym, a może Burt Reynolds potrzebuje sekretarki. Albo Richard Gere. Albo...

Z początku dłoń pełznąca po jej nodze tylko ją zirytowała. Nie zorientowała się, o co chodzi, póki dłoń nie zanurkowała między jej uda i Daphne nagle nie znalazła się nad nią. — Och,

nie — aż zachłystnęła się zszokowana Angela. — Co ty wyprawiasz?

—Na pewno nie gram w tenisa, kotku — odparła Daphne, usiłując wsunąć palce pod ciasną gumkę majtek Angeli.

—Przestań! Przestań natychmiast! — Angela szarpnęła się.

—Co, udajesz niewiniątko, tak? Dobra, ja też nie mam nic przeciwko takim gierkom. — Gumka pękła, a palce Daphne błyskawicznie dopadły ciepłego, puszystego trójkąta.

—Przestań zaraz! — krzyknęła Angela, usiłując wstać z łóżka.

— Co ci się stało?

—Co mi się stało? A jak myślisz, po co cię tu przywiozłam?

—Na wakacje — wyjąkała drżącym głosem.

—Na pieprzenie, kochaneczko. Po maciupęńkie, mięciutkie futerko zamiast twardego kutasa. Angela podniosła dłoń do ust. — Dobry Boże! Robi mi się niedobrze!

—To idź rzygać gdzie indziej — bluznęła Daphne. — Jak się nie chcesz pobawić, to łap walizkę i won stąd do diabła!

—Ależ... ja nie mam gdzie iść.

Daphne to nie interesowało. — Głupia cipa — sarknęła.

Kwadrans później Angela stała w hallu, cała nieszczęśliwa i opuszczona, błagając gburowatego recepcjonistę, który raz po raz powtarzał jej, że w hotelu nie ma wolnych miejsc.

Buddy Hudson, świeżo po energicznej scenie z australijską turystką, nie mógł nie zauważyć zachwycającej blondynki. Kobiety taksował automatycznie, a ta była wyjątkowa. Kiedy odwróciła się od kontuaru, podszedł do niej. — Jakies kłopoty? — spytał pełnym współczucia tonem.

Spojrzała na niego i dosłownie ugięły się pod nią nogi. — Och! — wymamrotała.

—Co „och”? Kłopoty, prawda? — Musiał ją zdobyć. Była gwiazdkowym podarunkiem, tyle że pół roku wcześniej.

—Ja... tego... nie mogę tu dostać pokoju. — Nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Buddy Hudson był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Ucieleśniał jakby jej dwóch ulubionych gwiazdorów filmowych, Richarda Gere i Johnny'ego Travoltę. Tyle że wydawał się lepszy, miał gęste czarne, falujące włosy i smoliście czarne oczy. Ciało zarazem muskularne i szczupłe.

—Hej, hej. To niedobrze. Nie zrobiłaś wcześniejszej rezerwacji? To turystyczna wioska w

pełni sezonu.

—Zrobiłam, ale... — Oczy jej zaszklily się łzami. — Właśnie przed chwilą przydarzyła mi się najokropniejsza rzecz w życiu.

Zapowiada się, że będzie łatwo. — Chciałabyś o tym porozmawiać?

—Nie potrafiłabym.

—Ależ oczywiście, że tak. Rozmowa zawsze pomaga. No, chodź, postawię ci drinka. —

Zaprowadził ją do pobliskiego barku. Kelnerka powitała go po imieniu. — Co ci zamówić?

— spytał, zastanawiając się jednocześnie, ile czasu zajmie mu zaciągnięcie jej do łóżka.

—Poproszę koktajl owocowy.

—Z kropelką rumu dla smaku?

—Nie, bez niczego.

Spojrzał zdumiony. — Nie pijesz? Potrząsnęła głową.

—Palisz?

Znowu zaprzeczyła.

Pomyślał, czy się ośmieli. Nie. Chyba nawet nie pożartuje sobie z niej, choć ażby się prosiło.

—No więc — zaczął — opowiedz mi, co się stało. Jakiś podrywacz zrobił ci przykrość?

Nie wiedziała sama, dlaczego mu zaufała, ale tak właśnie się stało. Nie minęło wiele czasu, a już zwierzyła mu się ze wszystkiego, co jej się przytrafiło — od chwili, w której po raz pierwszy postawiła nogę w Hollywood, do ostatniej odrażającej sceny z Daphne. — Czuję się taka zbrukana — mówiła cicho. — Czy możesz sobie wyobrazić, żeby dziewczyna chciała robić takie rzeczy?

Czy potrafił to sobie wyobrazić? O rany, gdyby tylko mógł zliczyć wszystkie laleczki, które widział w akcji. A ta mała lisica albo go wpuszcza w maliny, albo rzeczywiście jest taka niewinna. — Mam wolne łóżko, na którym mogłabyś się przespać — rzucił obojętnie.

Angela błyskawicznie przypomniała sobie, że to przecież mężczyzna. A mężczyźni chcą tylko Jednego. — Nie, dziękuję.

Nie nalegał. Po prostu rzeki łagodnie: — / tak musisz gdzieś zaparkować na dzisiejszą noc.

—Nie, wcale nie muszę. Pojadę na lotnisko i tam poczekam na powrotny samolot do Los Angeles.

—To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

—Czemu?

—Bo, słoneczko, jesteś tutaj, na jednej z najpiękniejszych wysp na świecie. A ja nie mam

zamiaru pozwolić ci na wyjazd, póki osobiście wszystkiego ci nie pokażę.

—Ale...

Położył palec na jej wargach. — Żadnego ale. Mam przyjaciela, który jest właścicielem niewielkiego hoteliku. Tam znajdziemy dla ciebie pokój.

— Ale...

—Pierwsza zasada: nigdy nie sprzeciwiaj się Buddy'emu Boyowi. Trzy tygodnie minęły jak z bicza strzelił, a Buddy, zgodnie z tym, co przyrzekł, pokazał jej wyspę. Nie tylko zafundował jej wycieczkę z przewodnikiem po Honolulu, ale także namówił swojego innego przyjaciela, pilotującego turystyczną awionetkę, żeby zawiózł ich na całodzienne wycieczki do Maui, Lanai i Molokai. Zwiedzali białe, bezludne plaże, rafy koralowe, zamieszkane przez egzotyczne, tropikalne ryby, dżungle oraz teatralny Paradise Park.

Nigdy w życiu Angéla nie czuła się tak podekscytowana i ożywiona. Buddy wzniecił w niej uczucia, o których istnieniu nie miała pojęcia. Zakwaterowana w miłym pokoiku w hotelu przyjaciela, codziennie niespokojnie wyglądała Buddy'ego. Kilkakrotnie próbował ją zabrać na noc do siebie, ale za każdym razem wyjaśniała mu starannie, że ona naprawdę nie zalicza się do „takich dziewczyn”.

Roześmiał się, gdy mu to powiedziała. Ale jego śmiech nie zmiękczył jej postanowienia, choć sama przed sobą przyznawała w sekrecie, że rzeczywiście go pragnie. Tęskniła za tym, żeby jego muskularne, silne ciało całkowicie wzięło ją w posiadanie. Kiedy Buddy całował ją na dobranoc, jedynie najwyższą siłą woli udawało się jej go odepchnąć.

Buddy śpiewał przy pianinie w barze. — Tak naprawdę to jestem aktorem — wyjaśnił. — Ale potrzebowałem wypoczynku, dlatego wyjechałem z L.A. i siedzę tutaj już od kilku miesięcy. W Hollywood pracowałem bez wytchnienia. Sama wiesz, filmy, programy telewizyjne. Występowałem wszędzie tam, gdzie możesz sobie wyobrazić.

—Naprawdę? — Jego słowa zrobiły na niej wrażenie.

—Jasne. Nie poznałaś mnie od razu?

Potrząsnęła głową. — Nie oglądam zbyt wiele telewizji.

—Ha! A ja myślałem, że to właśnie dlatego pozwoliłaś mi siebie zagadnąć. Ja jestem sławny, dziecinko!

Tylko raz zabrał ją do lokalu, w którym pracował. Siedziała przy barze i przyglądała się pełnym miłości wzrokiem, jak odbębniał różne melodie od „My Way” po „Chicago”.

—Tutaj lubią takie staromodne kawałki — wyjaśnił Buddy nieco zażenowany. — Naprawdę

w moim repertuarze jest raczej Billy Joel i rock. Ale muszę zarabiać na życie.

Któregoś dnia, kiedy leżeli na zacisznej plaży, niespodziewanie rzucił się na nią i zaczął całować mocniej i gwałtowniej niż kiedykolwiek dotąd.

—Doprowadzasz mnie do szaleństwa — mrucał. — Nie potrafię już dłużej tak żyć.

Poczuła, jak coś twardego wsuwa się między jej uda. Jej ciało instynktownie poddało się temu.

—Och, dziecinko — mamrotał Buddy, chowając twarz w jej złotych włosach. — Och, dziecinko... dziecinko... dziecinko... Muszę cię mieć. Rozumiesz, co mówię? Posiąść cię.

Chciała go równie gorąco, jak on ją. Był ucieleśnieniem jej marzeń, a nawet i czymś więcej. Mógłby jej stworzyć rodzinę, której nigdy nie miała. Był kimś, kim mogłaby się opiekować. Kimś, kto by się o nią troszczył. Kimś, do kogo by należała.

—Moglibyśmy wziąć ślub — szepnęła cichutko.

Wycofał się. Błyskawicznie. Później to przemyślał. Cóż tak strasznego w poślubieniu najpiękniejszej dziewczyny pod słońcem? — No dobra, maleńka — oznajmił jej i już po tygodniu byli małżeństwem. Nieskomplikowana ceremonia. Buddy w pożyczonym garniturze, Angela w białej koronkowej sukience kupionej za ostatnie pieniądze.

—Wiesz co? — zakomunikował rażno Buddy nazajutrz po ślubie.

—Wracamy do Hollywood. Ty i ja, dziecinko, zrobimy tam coś tak wielkiego, że rzucimy całą publikę na kolana.

Angela, śniąc na jawie, skończyła rozpakowywanie zakupów. Miała wielką nadzieję, że Buddy pochwali to, co przygotowała na obiad. Hamburgery, zielony groszek, pieczone ziemniaki i ciasto z jabłkami.

Uśmiechnęła się czule, pomyślawszy o tym, co czeka ich po obiedzie. Ona i Buddy tylko we dwójkę. We dwójkę w łóżku. Kochając się we dwójkę.

Dziękuję ci, Daphne. To ty odmieniłaś moje życie i uczyniłaś mnie najszczęśliwszą kobietą pod słońcem!

Nim Buddy opuścił biuro, zdołał przynajmniej wywołać uśmiech na twarzy Frances. Dała mu nawet pociągnąć kilka razy ze swojego skręta. Nie tyle, by był na haju... Ale komu potrzebna trawka, jeżeli ma Angelę u boku? Samo spojrzenie na nią dawało mu taki zastrzyk adrenaliny, że starczało bez problemu na cały długi dzień.

Kto by pomyślał, że Buddy Hudson da się kiedykolwiek złapać w sidła? On sam na pewno nie, to jasne.

Buddy Hudson. Bożyszczę dziewczyn. Twardziel. Bohater. Super-gwiazdor. No dobra, kurczę — jeżeli on sam nie uwierzy w siebie, to w takim razie kto? Któregoś dnia wszystko to osiągnie. Któregoś dnia.

Buddy Hudson. Dwudziestosześcioletek. Wychowany w San Diego przez ubóstwiająca go matkę. Aż do przesady. Bez przerwy trzymała go przy sobie, a wypuszczała z rąk tylko do szkoły.

Jego ojciec zmarł, gdy Buddy miał dwanaście lat. I chociaż zabezpieczył ich materialnie, matka była zrozpaczona; — Teraz ty musisz zaopiekować się mamusią — jęczała. — Musisz być moim dużym mężczyzną.

Chociaż był taki młody, jej słowa przeraziły go. Już teraz jej bliskość była uciążliwa, a skoro ojciec umarł, sytuacja z pewnością się pogorszy.

I tak też się stało. Zmusiła go, by sypiał z nią w jednym łóżku. — Tak się boję — usprawiedliwiała się. Nienawidził tego, że go tłamsiła. Dlatego też z utęsknieniem wyczekiwał pory wyjścia do szkoły i spotkania się z przyjacielem o imieniu Tony. Tony również miał kłopoty w domu. Obaj marzyli o wywalczeniu sobie choć odrobiny swobody. — Może by rzucić to wszystko na dobre? — zaproponował Tony któregoś dnia.

Pomysł spodobał się Buddy'emu. Miał już czternaście lat, był wysoki i dobrze zbudowany, gorąco pragnął wkroczyć w szeroki świat i przekonać się, jak smakuje. — Klawo — zgodził się. — Zróbmy tak.

Kilka dni później pożyczył sobie dwadzieścia dolarów z torebki matki

/ podczas przerwy na lunch wymknęli się z Tonym ze szkoły. Pognali ulicą, zaśmiewając się i pokrzykując z ulgi.

- Co teraz? — spytał Buddy.

Tony wzruszył ramionami. — Bo ja wiem? A co ty uważasz?

Buddy wzruszył ramionami. — Bo ja wiem

W końcu zdecydowali się na plażę i kino. Na plaży było gorąco. Film nosił tytuł „The Thomas Crown Affair” i Buddy zakochał się w Faye Dunaway. Uznał również, że jeśli Steve McQueen mógł zostać aktorem, to czemuż by nie on? Ziarno ambicji trafiło na podatny grunt.

Z kina wyszli nie mając pojęcia, gdzie spędzą noc. Pomaszrowali niepewnie ulicami prowadzącymi do portu. Buddy zastanawiał się, co jego matka robi samotnie w swoim wielkim łóżu. Nie żeby mu było przykro. Po prostu zachwycał się tym, że zdołał uciec.

Pokręcili się koło baru, wyludzając papierosy od wychodzących ma- \ rynarzy, aż wreszcie

podszedł do nich jakiś starszy mężczyzna w garniturze. — Chcecie iść na przyjęcie? — spytał, świdrując ich małymi oczkami.

Buddy popatrzył na Tony'ego, Tony na Buddy'ego i obaj entuzjastycznie pokiwali głowami.

- No to chodźcie za mną — powiedział mężczyzna, kierując się ku dużemu samochodowi zagranicznej marki.

Chłopcy posłusznie wskoczyli na tylne siedzenie.

- To chyba Rolls-Royce — szepnął Tony.

- Raczej Bentley — odszepnął Buddy.

Facet, wsadziwszy ich do samochodu, przestał się nimi interesować. Prowadził sprawnie w milczeniu. Po jakichś dziesięciu minutach Buddy przechylił się do przodu i klepnął go w ramię. — Przepraszam, proszę pana, ale gdzie właściwie jest to przyjęcie?

Facet gwałtownie zahamował. — Jak masz życzenie wysiąść, to powiedz od razu. Nikt cię nie zmusza, żebyś gdziekolwiek jechał. To sobie zapamiętaj.

Słyszac takie słowa Buddy poczuł się niepewnie. Szturchnął Tony'ego. — Spływajmy — szepnął.

- Coś ty? — sprzeciwił się Tony. — Nie mamy się przecież gdzie podziać.

Szczera prawda. Nagle Buddy poczuł, że wolałby być w domu. Tylko że teraz nie mógł stracić twarzy ani przyznać się do tego Tony 'emu.

Po upływie następnych dziesięciu minut wjechali na prywatny podjazd i wreszcie z piskiem opon zatrzymali się przed rześcicie oświetloną posesją. Na podjeździe parkowało już mnóstwo innych samochodów.

—Fiu, fiu! — gwizdnął Tony. — A to ci dopiero chałupka!

—Idźcie za mną — nakazał mężczyzna, prowadząc ich przez drzwi frontowe do przestronnego hallu. — Jakie macie imiona? — spytał.

—Ja jestem Tony, a to Buddy — wyjaśnił Tony przymilnie. — / obaj jesteście okropnie głodni. Znajdzie się tutaj coś do jedzenia?

—Wszystko w swoim czasie. Tędy.

Popchnął dwuskrzydłowe drzwi wiodące do ogromnego salonu pełnego ludzi. Było tam gwarno od rozmów i brzęku szkła. Stanęli w progu, aż ich spostrzeżono i zgiełk umilkł.

—Panowie — zaanonsował formalnie ich przewodnik. — Chciałbym przedstawić wam Tony'ego i Buddy'ego.

Wszystkie oczy skierowały się w ich stronę, na jedną chwilę zaległa jakby cmentarna cisza. —

Nie było marynarzyków, Freddie? — przerwał milczenie sztucznie kobiecy głos i salon zagrział śmiechem. Z tłumu wyłonił się niski, tłusty gość w jaskrawopomarańczowym kaftanie. Podszedł do nich, wyciągając upierścienioną dłoń. — Witajcie na moim przyjęciu, chłopaki. Czym mogę was poczęstować?

I Tony podał grubasowi rękę. — Żarcie! — wyjaśnił z uśmiechem, rozkoszując się każdą chwilą tej przygody. Buddy zaś dalej czuł się nieswojo. Mimo to pozwolił zaprowadzić się wraz z Tonym do salonu, gdyż pojął, że za późno na rejteradę. A na dodatek, kiedy się znalazł przy stole uginającym się od wykwintnego jedzenia, wcale nie był taki pewien, czyby tego chciał.

Zaserwowano im drinki. Wcale nie mocny trunk, tylko pienne mieszanki w wysmukłych szklankach, które smakowały mniej więcej tak jak mleczne koktajle. Krzatali się wokół nich wszyscy — nie tak, jak wokół pary dzieciaków, ale uprzejmie, zagadując o ich zdanie na taki czy inny temat, dopełniając szklanki, ledwie się do połowy opróżniły, i częstując ich papierosami. Niebawem Buddy poczuł się doskonale.

— Proszę, skosztuj tego. — Tłuścioch podsunął mu jakiś dziwny gatunek papierosów.

Udało mu się tylko raz zaciągnąć, gdy Tony wyrwał mu skręta i spytał: — To trawka? Daj spróbować! Grubas uśmiechnął się. Miał ostre, niczym fretka, zęby.

Tony wyduł wargi, zaciągnął się głęboko i zaczął kastać jak oszalały.

Tłuścioch zaśmiał się w głos i nawet facet, który ich tutaj zagarnął, pozwolił sobie na błady uśmieszek.

Tony, ponownie się zaciągając, zmrużył oczy; tym razem udało się mu nie zakrztusić, na chwilę przytrzymał dym w płucach, potem wydmuchał go triumfalnie.

— Szybko się uczysz — mruknął Tłuścioch.

— Jasne — odął się Tony. — Masz jeszcze coś do spróbowania? Tłuściochowi zaświeciły się oczy. — Czy jesteś na tyle dorosły, by pokosztować odrobinę koki? — Jestem na tyle dorosły, by popróbować wszystkiego. Tymczasem Buddy'emu zrobiło się wściekle niedobrze.

— Muszę do łazienki — wybełkotał, wytaczając się z salonu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Ośrodkiem zainteresowania stał się Tony, który właśnie przymierzał się do powąchania białego proszku podsuniętego mu przez Tłuściocha na szklanej tacce.

Buddy odszukał ubikację i serdecznie się wysikał. Ulżyło mu znakomicie, ale wciąż męczyły go nudności. Wmaszerował do hallu, w którego głębi natknął się na uchylone okno. Tego mu było trzeba: kilka haustów świeżego powietrza. Otworzył okno szerzej i wychylił się.

Zakręciło mu się w głowie. Nim się zorientował, stracił równowagę i wypadł, lądując niczym worek z piaskiem na trawniku.

I nie potrafił sobie przypomnieć już nic więcej aż do chwili ocknięcia się następnego ranka. Światło dnia raziło go w oczy. Ciało miał zeszywniałe, wszystko go bolało. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Ogarnął go paniczny strach. W głowie mu pulsowało, w ustach miał niesmak. Zbierając się na nogi w zapuszczonym ogrodzie i rozglądając się wokół, rozpaczliwie starał się zmusić do myślenia.

Tony. Ja i Tony. Ucieczka. Kino. Port. Facet z samochodem. Pedaly. Żarcie. Picie.

Matka mnie zatłucze. Na pewno mnie zatłucze.

Otrzeptał ubranie i przeszedł na front budynku. Na podjeździe ani śladu po samochodach. Posesja świeciła pustkami, a niedyskretny blask poranka ujawnił, że to rudera z łuszczącym się tynkiem, nie zaś taka imponująca posesja, jak zdawało się wczoraj wieczorem.

Zmarszczył brwi. Drzwi frontowe były zamknięte, ale zdołał zajrzeć przez okno. Zdumiał się na widok nielicznych mebli zabezpieczonych pokrowcami przed kurzem. Zdawało się, że nikt tu od wielu miesięcy nie mieszkał. Buddy pokręcił się po okolicy w nadziei, że pojawi się Tony. Cały czas pilnie wypatrywał jakiegoś wejścia do środka. Ale wszystkie drzwi solidnie zamknięto. Najwyraźniej Tony dał drapaka — niby czemu nie miałby tego zrobić. Pewnie podejrzewał Buddy'ego o to samo.

Niespodziewanie pomysł ucieczki z domu przestał wydawać mu się taki sprytny. Nie wtedy, gdy był sam jak palec, było mu zimno, czuł się zmęczony i głodny. Matka stłucze go na kwaśne jabłko, mimo to powrót okazał się jedynym rozwiązaniem. Ruszył w tę stronę, która zdawała mu się właściwa.

Dotąd prześladowało go wspomnienie ostatnich dwudziestu czterech godzin. Czasami zdarzało mu się zbudzić w środku nocy, był zlany zimnym potem i widział wszystko jak na jawie — tak wyraźnie, jakby wydarzenia te miały miejsce dopiero co wczoraj. Powrót do domu. Matka cała w spazmach. Policja. Przesłuchanie. O piątej rano na Bay Arenue z samochodu wyrzucono ciało Tony'ego. Zmasakrowane, zmalretowane seksualnie, bardzo, bardzo nieżywe.

Gliny uważały, że to jego dzieło. Zabrano go na komisariat i przez bite siedem godzin przesłuchiowano na wszystkie sposoby, aż wreszcie matce, przy pomocy rodzinnego adwokata, udało się go stamtąd wyciągnąć.

Odwieziono go do domu, zaaplikowano środek uspokajający. Spal ciurkiem dziesięć godzin.

Potem znów zjawili się gliniarze, żądając, aby wskazał im dom, w którym odbyło się przyjęcie. Obwieziono go po całej okolicy, nie potrafił jednak zidentyfikować tego miejsca.

— Jesteś absolutnie pewien, że to było przyjęcie? — dopytywał się podejrzliwy detektyw. — Na pewno był jakiś dom?

Po trzech bezowocnych godzinach zawieziono go znów na posterunek, gdzie przedstawiono mu album zamazanych zdjęć. Nie rozpoznał żadnej twarzy. Wreszcie detektyw uznał, że trzeba pokazać mu ciało. Razem weszli do lodowatej kostnicy, cuchnącej formaliną i śmiercią. Upiorny odór poraził nozdrza Buddy 'ego. Ścisnęło go w żołądku.

Detektyw obojętnie poinstruował odzianego w biały kitel patologa policyjnego, żeby zademonstrował zwłoki. Wyciągnięto metalową szufladę ze ściany. A w niej leżał Tony. Nagi i martwy. Nieżywy, posiniaczony, poraniony.

Buddy wlepił w niego wzrok, nie mogąc uwierzyć, że zmuszają go do patrzenia na to. Potem wybuchnął płaczem, szloch rozrywał mu pierś. Zaraz zwymiotuję — wybelkotał. — Proszę mnie stąd wypuścić! Zabierzcie mnie stąd!

Detektyw ani drgnął. — Przypatrz się dobrze. To mogło przydarzyć się i tobie, chłopcze. Zapamiętaj to.

Buddy zarzygał całą podłogę.

Detektyw schwycił jego ramię w żelazne kleszcze. — No to odszukajmy tamten dom. Może widok twojego przyjaciela odświeżył ci pamięć.

Nigdy nie udało mu się zlokalizować posesji ani zidentyfikować żadnego mężczyzny z tamtego przyjęcia. Tony emu wyprawiono pogrzeb i po zalewie wściekłych artykułów cała sprawa zniknęła z nagłówek gazet. Przecież to było jeszcze jedno z tylu nie wyjaśnionych morderstw.

Tylko że to szczególne nie wyjaśnione morderstwo odmieniło życie Buddy'ego. Kiedy dotąd obcowanie z matką było zaledwie uciążliwe, teraz stało się nie do zniesienia. Matka nie zostawiała go samego ani na sekundę, bez przerwy gładziła go po włosach, pieściła po twarzy, czepiała się kurczowo jego dłoni.

W jej łóżku spało się mu niewygodnie. Starał się trzymać jak najdalej od jej ruchliwych, pieszczotliwych dłoni.

I ciągle go przepytywała: — Czy tamci mężczyźni zbliżali się do ciebie z „tymi rzeczami”? Rozbierali cię? Wiesz, to nienormalne, dwóch mężczyzn razem...

Czyżby uważała go za kompletnego idiotę? Sam wiedział, że to wbrew prawom natury. Zaczął

już podglądać koleżanki z klasy, coś niecoś przeżyło mu się, gdy myślał o tym, jak mógłby z nimi pofiglować.

Nie było mowy. Od matki nie dało rady uciec, nie mógł nawet na chwilę wyjść z domu. Musiał więc zadowolić się sekretnymi sesjami w szkolnej toalecie ze sponiewieranym egzemplarzem „Playboya” jako główną atrakcją.

Doszedł już do piętnastu lat. W oko wpadła mu panienka imieniem Tina. Chciałby ją skusić na randkę, ale to było niemożliwe. Matka nie puszczała go od siebie ani na krok. Kiedy na to narzekał, mierzyla go wzrokiem zranionej sarny i posepnie pytała: — A pamiętasz Tony'ego? Dlatego też chwycił się wszelkich nadarzających się okazji. Tina również nie była od tego, gdyż Buddy bezsprzecznie był najprzystojniejszym chłopakiem w całej szkole. Podczas przerwy na lunch, w laboratorium fizycznym, nie wykorzystywanym o tej porze dnia, zaczęli się gorączkowo obmacywać. Tina miała sterczące piersi, Buddy uwielbiał je pieścić, a ona w zamian masowała go aż do spełnienia w chusteczkę higieniczną.

- Chyba zakochałam się w tobie, Buddy — westchnęła Tina po kilku miesiącach takiej współpracy.

—Ja też cię chyba kocham — odparł stosownie, ufając, iż oznacza to wreszcie, iż Tina pozwoli mu na „te rzeczy”. Ściągnął z niej bluzkę i stanik i teraz bawił się zapięciem spódnicy. Tina namiętnie patrzyła mu w oczy.

Spódnica opadła na podłogę. Tina powiedziała szybko: — Nigdy tego przedtem nie robiłam, a ty?

—Też nie — odparł szczerze, pospiesznie zdejmując z niej majtki, by tylko nie dać jej czasu na zmianę zdania.

—Och! — Zadrżała. — Ty też się rozbierz.

Nie musiała mu tego dwa razy powtarzać. Był tak podniecony, że mógłby się spuścić natychmiast, nawet bez zdejmowania ubrań. Ściągnął spodnie i jednym szarpnięciem rozpiął koszulę.

Żadne z nich nie usłyszało wejścia dyrektora, oprowadzającego właśnie po szkole grupę rodziców.

Po długim wzajemnym zrzucaniu na siebie winy przybyła po niego matka. Usta gniewnie zacisnęła w linijkę. Zamieniła słówko z dyrektorem, a następnie w milczeniu odwiozła Buddy'ego do domu.

Jak tylko się tam znalazł, natychmiast zwiął do swojego pokoju. Przynajmniej dzisiaj matka

nie będzie go chciała w swoim łóżku. Nigdy dotąd nie widział jej tak rozzłoszczonej. Rozebrał się i położył na wąskim łóżku, na którym tak rzadko dane mu było sypiać. Bolał go brzuch, rozmyślał o Tinie. Jego dłonie wśliznęły się pod kołdrę i zacisnęły na penisie. Światło zapaliło się tak nagle, że ręce zmartwiały mu na stwardniałym członku. W progu stała matka w długiej, nocnej koszuli, policzki miała zaczerwienione, jej ciemne oczy płonęły. — A więc — mruknęła ochryple chcesz się przekonać, jak wygląda kobiece ciało? No to je zobacz. — Jednym szarpnięciem ściągnęła koszulę i stanęła przed nim naga. Jego własna matka! Był zszokowany, przerażony, a co gorsza — miał erekcję. Matka podeszła do łóżka i zerwała kołdrę. Świeży wzwód członka trudno by było mu ukryć. Zaczęła go delikatnie pieścić. Wstydził się. Zbierało mu się na płacz. Chciał uciekać. Ale leżał tylko całkiem nieruchomo, poddawszy się jej dotykowi. Zupełnie tak, jakby opuścił własne ciało i stał się wyłącznie postronnym obserwatorem. Wsiadła na niego i wprowadziła jego penis w ciepłą wilgoć. Tak ciepłą, tak wilgotną, tak dobrą. Zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może skończyć, a to zapowiadało się lepiej niż kiedykolwiek przedtem z jakąkolwiek panienką ze zdjęcia w „Playboyu” czy z Tiną i chusteczką higieniczną. I oooch... oooch... — Od dzisiaj nie będziesz nikogo potrzebował, bo zawsze masz mamusię, prawda, Buddy? Prawda? — zagruchała słodko, głos jej dźwięczał pełną satysfakcją. Uciekł bladym świtem, kiedy jeszcze spala. Tylko że tym razem był sprytniejszy. Odciążył jej torebkę z dwustu dolarów i zabrał kilka sztuk cennej biżuterii. Tym razem odszedł na dobre. I nigdy, za nic, nie miał zamiaru powracać. Buddy, opuściwszy biuro Frances, wyciągnął z kieszeni gumę do żucia i obejrzał się za wysoką rudowłosą dziewczyną wchodzącą właśnie do budynku. Najpewniej bezrobotna aktorka. Każda z nich miała ten sam wyraz desperacji w oczach, jak gdyby za cenę roli była gotowa na wszystko. I większość z nich rzeczywiście to „wszystko” robiła. Oblepił gumą język i wolno pomaszerował na parking mieszczący się na tyłach budynku. Buddy miał najdoskonalszy chód hollywoodzkiego podrywacza, coś między chodem Travolty z „Gorączki sobotniej nocy” a Gere'a z „American Gigolo”. Wiedział, że prezentuje się wspaniale. I tak powinno być — ciężko się natyrał nad wytrenowaniem takiego leniwego, zmysłowego, kołyszącego się kroku. Świetnie nadawałby się do roli męskiej w „Gigolo”.

Sam przecież ją odegrał, na miłość boską. Jedenaście lat, które przeżył na własną rękę, spędził ucieleśniając większość ról.

—Hej, Buddy! Jak się masz, stary? — Quince, czarnoskóry aktor, jego przyjaciel. Podeszli do siebie i przyklepali dłonie. — Frances dziś w dobrym humorze?

Buddy wzruszył ramionami. — Zaczyna być, ale nie dałbym za *to* głowy.

—Stary, kiedy wróciłeś?

—Na dniach.

- No to poczekaj chwilkę, napijemy się razem kawy. Zaprosiłeś nowego, całkiem niezłego kociaka na przekazanie śniadanka. Musisz ją poznać, prawdziwa brzoskwinka. I ma siostrę.

- Może innym razem. Mam spotkać się z jednym gościem w sprawie serialu.

Jasne, no to później. Zadzwoń do mnie i zabawimy się razem.

Wpadnij któregoś dnia do Mavericka.

— Dobra. — Znowu przyklepali dłonie i każdy poszedł swoją drogą.

Buddy podniósł kołnierz swojej skórzanej kurtki i skierował się do samochodu. Dlaczego nie przyznał się Quince'owi, że jest żonaty? Dlaczego wolałby, żeby nie wiedziała o tym Frances? Przecież niczego nie żałował, no nie?

No nie, do diabła. Ale facet powinien reprezentować sobą pewien wizerunek, a jego wizerunkiem był twardziel, zabijaka, gotowy zrobić wszystko i iść wszędzie w dowolnie wybranej chwili. Do takiego obrazu żona jakoś nie pasowała.

Zapuścił silnik starego samochodu i złapał w radiu stację nadającą muzykę rockową. Bezsprzecznie Angela nie była żoną, której musiałby się wstydzić. Była młoda, piękna i niewinna. Śmieszne słowa, ale jak inaczej określić dziewczynę w typie Angeli? Większość babek obijających się po Hollywood robiła wszystko i ze wszystkimi, zanim jeszcze dobiła dwudziestki. Angela była inna. Tylko jak ją taką zachować w tym mieście rojącym się od podrywaczy?

Teraz jednak nie to stanowiło największy problem. Najbardziej palącą potrzebą było wytrzaśnięcie skądś gotówki. Angela sądziła, że Buddy jest człowiekiem sukcesu, a on w żaden sposób nie może wyprowadzić jej z tego błędu, nawet jeśli byłoby to równoznaczne z po-padnięciem w dawne, złe nawyki — oczywiście tylko przejściowo. Mocno przycisnął stopą pedał gazu i skierował się ku Beverly Hills.

Millie Rosemont mruknęła coś przez sen i przerzuciła bezwładne ramię przez pierś męża.

Leon leżał na plecach ze wzrokiem bezmyślnie utkwionym w suficie. Ostrożnie odsunął

ramię żony i odwrócił się, by na nią popatrzeć. Tak by pragnął, żeby się obudziła i żeby mogli sobie pogadać. Ale ani drgnęła. Po cichutku wyśliznął się z łóżka, podreptał do kuchni, otworzył lodówkę i ponuro ocenił jej zawartość. Sześć jaj, miska jabłek, trochę chudego mleka, talerz twarożku. Co za uczta. Ale on ma być teraz na diecie i Millie tylko mu w ten sposób pomaga. W ciągu trzech miesięcy przytył dwadzieścia cztery funty. Przeciętnie dwa na tydzień. Czuł się wielki i niezgrabny, nie wspominając już, że trzy razy musiano mu poszerzać spodnie w pasie, a w marynarkach i koszulach trzaskały szwy.

To wszystko wina Millie. Była wyśmienitą kucharką.

To wszystko jego wina. Żarł jak wieprz, szczególnie kiedy go coś nurtowało.

Zabrał twarożek, wyciągnął z szuflady łyżeczkę i usiadł przy kuchennym stole. Nie można zaprzeczyć, rzeczywiście coś go nurtowało. Morderstwo na Friendship Street — troje ludzi zaszlachtowanych na śmierć. Bez żadnych wyraźnych motywów. A jedną z tych osób była żalosna, mała Joey Kravetz.

Gazety rozpisywały się o niej jako o „pięknej nastoletniej modelce”. Jeśli tylko ofiara miała poniżej trzydziestki i była płci żeńskiej, automatycznie określano ją jako „piękność”. Tak lepiej wyglądało w nagłówkach.

Modelka, akurat, pomyślał. On to wiedział najlepiej. Za każdym razem, kiedy przypominał sobie Joey i jej zmasakrowane, zakrwawione ciało, ogarniała go wściekłość i wyrzuty sumienia. Joey. Prawie jeszcze dziecko.

Pomyślał o ich pierwszym spotkaniu.

—*Pan nie chciałby się zabawić?*

Leon nie mógł uwierzyć, że ta zaczepka była skierowana właśnie do niego. Rozejrzał się wkoło, przekonany, że dziewczyna o dziecięcej buzi, w czarnej minispódniczce ze skaju i na śmiesznie wysokich obcasach zwraca się do kogoś innego.

Ulica była pusta.

—*Ile ty masz lat?* — *spytał podejrzliwie.*

—*Wystarczająco dużo.* — *Mrugnęła impertynencko. Zauważył, iż jej lewe oko wyraźnie zezuje. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście! szesnaście lat.*

—*No to jak będzie, kowboju?* — *Wsparła dłonie na biodrach i wyszczerzyła do niego .zęby.*

—*Pokazać ci drogę do raju?*

—*Najpierw ja ci pokażę swoją legitymację. Jestem detektywem. Uśmiech rozplynął się.* — *Glina? O kurde.* — *Przechyliła głowę na*

jedno ramię. — Chyba nie masz zamiaru mnie zapuszkować, co? Przecież myśmy sobie tak tylko gadali. Niczego ci nie proponowałam.

—Gdzie mieszkasz?

Nie była pewna, czy przystał na jej wcześniejszą ofertę, czy tylko zamierzał ją zlokalizować.

— Muszę już lecieć — zaskamlala.

—Mieszkasz z rodzicami?

—Ja nie mam rodziców, stary. Mam osiemnaście lat. Mogę robić, co mi się podoba.

—A ja, jeśli mi się spodoba, mogę cię zabrać na posterunek i wciągnąć do rejestru prostytutek.

Wbiła wzrok w bruk i zastanowiła się, czy nie dałoby rady prysnąć. Ale ten facet był potężny i najprawdopodobniej by ją złapał. Więc tylko wsadziła kciuk w usta i zaczęła go ssać. — Powiem ci coś. Mogę ci dać za darmo — odezwała się po jakiejś chwili.

Pomyślał, że chyba powinien ją zgarnąć. Aresztowanie nieletnich, włóczących się prostytutek nie należało do jego obowiązków. Chryste Panie! Przecież był gliną. Powinien mieć jakieś poczucie odpowiedzialności. To za ledwie dziecko.

—Myślę, że lepiej będzie, jak pójdziesz ze mną — powiedział znużony i schwycił ją za chudziutkie ramię.

—Skurwysyn! — Kopnęła go boleśnie w goleń, wyrwała się i uciekła.

Masował kostkę, patrząc za biegnącą niczym oszalała dziewczyną, potem pokuśtykał do samochodu i zamyślony usiadł za kierownicą. Przekaze informację kolegom z wydziału do spraw nieletnich. Ci szybko ją odnajdą.

Rozeźlony Leon wpakował łyżkę twarożku do ust. Joey. Co za okropnie zmarnowane życie.

Przebiegł w myślach sprawę zaginięcia Deke'a Andrewsa. Tylu ludzi przesłuchano. Uzyskano mnóstwo sprzecznych opinii. Deke'a Andrewsa zapamiętano jako bystrego, głupiego, gburowatego, uprzejmego, agresywnego, sprawiającego kłopoty, odludka.

Ta lista ciągnęła się i ciągnęła i nie sposób było znaleźć dwóch osób ^{ma}Jących takie samo zdanie.

Fakt: Miał bzika na punkcie samochodów.

Fakt: Nosił długie do ramion włosy. Wielkie mi co — najprawdopodobniej obciął je w chwili ucieczki.

Fakt: Miał ziemistą cerę, sześć stóp dwa cale wzrostu, był szczupły, ale silny.

Fakt: Nie miał szczęścia do kobiet. Z czterech jego dziewczyn, które odnaleziono, żadna nie

przyznała się do pójścia z nim do łóżka. Prawdę mówiąc, żadna też nie posunęła się dalej poza jedną jedyną randkę.

—Dlaczego? — dopytywał się Leon.

—Bo ja wiem... — Dziewczęce wzruszenie ramionami. — On był taki... no, dziwny.

Powtarzało się to w każdym przypadku. Więc dodano przymiotnik „dziwny” do listy jego cech szczególnych. Młody, najwyraźniej zdrowy chłopak, a nie potrafili znaleźć ani jednej dziewczyny, z którą by się przespał. Logiczny wniosek — sypiał z kurwami albo był pedałem. I stąd wzięła się Joey. Ale dlaczego zaprowadził ją do swojego domu? I dlaczego popełnił tak pełny pasji mord?

W miarę jak dni rozciągały się w tygodnie, a tygodnie w miesiące, Leon próbował stworzyć sobie wizerunek Deke'a. Ale było w nim tyle sprzeczności, że okazało się to niemożliwe. Tylko fakty były jasne. Rodzina Andrewsów przeprowadziła się do domku przy Friendship Street ponad dwadzieścia lat temu. Ich pochodzenie było osnute taką tajemnicą, iż wydawało się, że wychynęli z nicości.

Deke chodził do podstawówki, potem ukończył szkołę średnią, dostał pracę w warsztacie samochodowym i pracował tam aż do chwili morderstwa. Potem rozplynał się, zabierając tylko torbę i sekret o tym, co poprzedziło jego bestialski czyn.

Nieuchronnie napływały kolejne sprawy i morderstwo z Friendship Street zaczęło tracić na aktualności. Prasa przestała się nim zajmować, gdyż było już nie najświeższej daty.

W komendzie policji sprawa była wciąż otwarta, ale nie najpilniejsza — napływały i odpływały inne sprawy. Leon jednak nie chciał pozwolić, by zblakła i przeistoczyła się w zakurzone akta. A przede wszystkim nie chciał zapomnieć o Joey.

Do kuchni weszła Millie z twarzą napuchniętą od snu. Spojrzała na talerz twarożku, jakby to było coś zdrożnego. — Co ty sobie myślisz, Leonie Rosemont? — spytała surowo.

Millie sypiała nago. Na wyprawę do kuchni nie fatygowała się ubieraniem swojego cudownego, czarnoskórego ciała. Leon po raz pierwszy od tygodni poczuł pożądanie. Uśmiechnął się i podniósł od stołu.

Oczy Millie natychmiast przyłgnęły do jego naprężonego penisa. — Wielkie nieba! — wykrzyknęła. — Więc to mam robić, żebyś chciał ze mną spać? Po prostu przynieść ci do łóżka odrobinę twarożku?

Śmiejąc się pospieszył za nią do sypialni. A kiedy zaczęli się kochać, przestał się wstydzić obwarzanków tłuszczu na brzuchu. Z Millie wszystko było naturalne. Była najcieplejsze

ludzką istotą, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia.

Przypomniał sobie ów dzień, w którym ją po raz pierwszy ujrzał. Pracowała wtedy jako nauczycielka i przyprowadziła na posterunek grupkę młodzieży na wycieczkę. To ci dopiero wycieczka. prostytutki wykrzykujące wulgarne przekleństwa. Jeden czy dwóch przyłapanych złodziei kieszonkowych. Kilku członków jakiegoś gangu z rozwalonymi łbami. Sutenerzy, homoseksualiści, gliny po cywilnemu, frajerzy, złodzieje samochodów, narkomani i ofiary gwałtu.

Po prostu normalny dzień pracy.

Millie była ciemnoskóra i miała miękki głos. Oczy brązowe i miłe, usta szerokie i zmysłowe. On miał pięćdziesiątkę na karku i od lat był rozwiedziony ze swoją pierwszą żoną, Helen. Nie istniał więc żaden powód, dla którego nie miałby odszukać jej numeru telefonu i zadzwonić. Miesiąc później wzięli ślub. I trzy lata później dalej byli naprawdę szczęśliwi.

Millie westchnęła i okręciła się na bok. — Tak było cuuudownie.

—Trochę jednak za szybko — usprawiedliwiał się.

—Nie z mojej winy.

Święta prawda. Co stało się z jego samokontrolą? Millie nie wyglądała jednak na rozczarowaną. Szybko jej oddech pogłębił się, spowolniał. Zasnęła.

Leon leżał rozbudzony. Myślami wrócił znów do Deke'a Andrewsa. Płatał się gdzieś tutaj. Gdzieś w ciemnościach nocy. Gdzieś...

A on, Leon Rosemont, musiał go odnaleźć. Przez pamięć Joey.

—Wyciągnąć się... Tak jest, moje panie. Włóżcie w to trochę wysiłku. Jeszcze jeden raz. Proszę się wyciągnąć.

Elaine przestraszyła się, że może się nabawić trwałego kalectwa. *Leżała* na brzuchu w przestronnej sali gimnastycznej razem z trzydziestoma innymi kobietami, z których większość miała figury bez zarzutu. Prawe ramię wyciągnęła w tył, przywierając desperacko dłonią do kolana lewej nogi. Wszystkie mięśnie ciała napięte. Czowała się strasznie.

—W porządku, moje panie. Proszę puścić chwyt. Odpoczynek — zarządził instruktor. Elaine padła plackiem na twarz, zastanawiając się jednocześnie, czy ten facet nie jest ciotą. Najwyraźniej zadawanie bólu sprawiało mu przyjemność. Oglądała go ze swojej horyzontalnej pozycji. Miał na sobie żółty trykot, czarne getry i kolorową opaskę. W jego kroczu coś wypuczało się niepokojąco. — Czy to pedał? — szepnęła do Karen Lancaster, leżącej obok.

—Przypuszczam, że tak — odparła Karen. — Jak wszyscy przystojniacy w dzisiejszych czasach.

—Świetnie — odezwał się instruktor. — A teraz chciałbym, aby panie naśladowały mnie w niewielkim ćwiczonku o nazwie „Wąż”.

Ryknęła muzyka disco, a trzydzieści niemal doskonałych ciał wilo się na brzuchach po podłodze.

Elaine dołączyła do nich i niespodziewanie poczuła niewiarygodne podniecenie. Naprężenie łechtaczki. A ze strony Rossa nic od Bóg wie kiedy. Chociaż tego popołudnia ma wrócić ze zdjęć i może, jeżeli będzie miała wyjątkowe szczęście...

Chcę spełnienia, myślała, teraz, zaraz. Wlepiła wzrok w imponujące krocze i tak kurczyła się i kręciła, aż osiągnęła całkiem zadowalający orgazm. Muzyka ryczała, lekki odór potu przesączał się przez intensywne zapachy „Joy”, „Estee” i „Opium”.

—O Boże — westchnęła.

—Co takiego? — spytała Karen.

—Nie, nic — zachichotała, czując ogromną ulgę.

—Znakomicie, moje panie. Na dzisiaj koniec. Podobało się? Chyba żartuje. Elaine postanowiła przychodzić tutaj codziennie.

Podwójna satysfakcja przyprawiła ją niemal o głośny śmiech. Zadowolona z siebie wstała i pomaszerowała pod prysznic.

Zajęcia gimnastyczne dla zdrowia i urody Rona Gordino. Najnowsze i najlepsze. Odkryła je Bibi Sutton. A za Bibi podążyły inne.

Elaine rozebrała się w niewielkiej szatni, a potem naga bezwstydnie weszła pod wspólny prysznic. Bardzo nie w stylu Beverly Hills. Ale tu wyjątkowo na miejscu. Każda, która bałaby się zademonstrować wszystko u Rona Gordino, natychmiast dostałaby się na języki. Nagość i prezentacja siebie, były wręcz obowiązkowe.

Perfumowane mydło tryskało z kranu w ścianie za naciśnięciem guzika. Elaine namydliła się cała, oczy jej zaś strzelały w prawo i w lewo. Lustrowała paradę nagich ciał. Karen miała największe sutki, jakie w życiu widziała. Wielkie, brązowe guzy niczym gigantyczne gałki radia tranzystorowego. Elaine uznała, że gdyby ona była mężczyzną, to najprawdopodobniej byłyby dla niej odrażające.

—Słyszałaś już o nowym filmie Neila Graya? - spytała Karen. Była wysoka, o giętkim, opalonym ciele, gęstych włosach koloru miedzi i starannie wymodelowanych rysach. Miała

najlepsze koneksje. Znała wszystkich i wszystko, gdyż ojcem jej był George Lancaster, wielki supergwiazdor, który z filmem zerwał pięć lat temu, by poślubić Pamelę London, trzecią w kolejności najbogatszą kobietę Ameryki. Lancaster mieszkał teraz w Palm Beach i Karen często go odwiedzała. Była tuż po trzydziestce, dwukrotnie rozwiedziona.

—Nie. A co kręci? — Elaine namydlila się pod pachami i usiłowała oderwać wzrok od wstrętnych sutek przyjaciółki.

—Film, do którego scenariusz napisała jego żona. Możesz to sobie wyobrazić?

Elaine przez chwilę osłupiała. — Maralee?

—Nie, nie jego eksmałżonka, idiotko. Jego żona, Montana. Ta nadęta baba.

—Ach, ta. — Elaine zamilkła na chwilę, by przetrwać tę informację. Zawsze jako o żonie Neila Graya myślała o Maralee, choć od lat byli rozwiedzeni. Elaine nigdy nie widziała Montany, ale oczywiście wiele o niej słyszała.

—Neil wysłał scenariusz tatusiowi w nadziei, że będzie chciał to zagrać — ciągnęła Karen.

— Tatuś powiedział mi, że jest świetny. Jasne, nikt nie wierzy, że to naprawdę napisała Montana. Musiał to spłodzić sam Neil i postanowił dać jej szansę.

—A George jest tym zainteresowany? — spytała zaciekawiona Elaine, zastanawiając się, ku czemu zmierza Karen.

—Tata za żadne skarby nie zagra już w filmie. Nawet gdyby obiecywali mu drugie „Przeminęło z wiatrem”. On ma film na co dzień. Znakomicie odpowiada mu rola małżonka Pameli London. To znaczy, w zasadzie Palm Beach jest ich własnością.

Razem wyszły spod prysznicu, owijając się gigantycznymi prześcieradłami kąpielowymi.

—Rzecz polega na tym — ciągnęła Karen bez ogródek — że tatuś jest zdania, iż ta rola jest wprost idealna dla Rossa. Wiesz, tatuś zawsze go lubił.

Dla Elaine było to coś nowego. Ross nieodmiennie jak najgorzej wyrażał się o George'u Lancasterze, nie szczędząc mu epitetów, od „aktora z bożej łaski” począwszy, na „pyszałku” skończywszy. Nie zaproszono ich nawet na wesele do Palm Beach, jedno z największych wydarzeń towarzyskich w owym czasie. Karen wtedy pospieszyła z wyjaśnieniami: - - Tata nie mógł zaprosić zbyt wielu osób z show--biznesu. Tak sobie zażyczyła Pamela. — No to wobec tego, jakim cudem mogli się tam znaleźć wszyscy od Lucille Bali po Gregory Pecka? Elaine przez wiele tygodni wprost kipiała ze złości.

—Kto jest agentem Rossa? — dopytywała się uparcie Karen. Elaine przyjrzała się przyjaciółce, zachodząc w głowę, skąd takie

nagle zainteresowanie karierą jej małżonka. — Zack Schaeffer.

Karen zmarszczyła brwi. — Nie rozumiem, dlaczego nie wybrał sobie Sadie La Salle. Ona jest zdecydowanie najlepsza.

Elaine sama nie mogła tego pojąć, ale kiedykolwiek poruszała ten temat, Ross bąkał coś, że nie pasują do siebie z Sadie. Na przyjęciach starannie się unikali i Ross storpedował propozycję Elaine, by zaprosić wszechmocną panią La Salle do ich domu. Wszyscy wiedzieli, że to Sadie przed wieloma laty odkryła Rossa — ale najwyraźniej nic to dla nich obojga nie znaczyło. Fakt ten doprowadzał Elaine do pasji, gdyż Sadie La Salle była, jak zauważyła trafnie Karen, absolutnie najlepsza.

— Słyszałam, że pertraktują teraz z Tonym Curtisem czy z Kirkiem] Douglasem — mówiła dalej Karen. — Dlaczego więc nie miałabyś] natychmiast uruchomić Zacka? Tytuł brzmi chyba „Ludzie z ulicy” Producent Oliver Easterne. Znasz przecież Olivera, prawda?

Tak, znała Olivera. Był wcielonym bohaterem „What Makes Sam-j my Run”, przebojowym, energicznym facetem, któremu się poszczęściło. Ross także i jego nie mógł znieść. A swoją drogą, skoro]

George Lancaster był zdania, że Ross byłby idealny do tego filmu, to dlaczego sam nie podsunął jego kandydatury?

— Ross jest teraz okropnie zapracowany — mruknęła wymijająco.

- A jeżeli rozmawiają z Curtisem i Douglasem, to pewnie nie jest to nic wielkiego.

Karen parsknęła cichym śmiechem. — Och, daj spokój, Elaine. Nie zamydlaj mi oczu. Wiem o wszystkim, co się w tym mieście święci. Rossowi przydałby się dobry film, a ten właśnie się może takim okazać.

—Dziewięćdziesiąt dwa... dziewięćdziesiąt trzy... dziewięćdziesiąt cztery — słowa te padały z ust Buddy'ego, jego ramiona zaś unosiły ciało w górę i w dół. Pompki. Sto dziennie. To pozwalało mu utrzymać najlepszą kondycję w tym mieście. — Dziewięćdziesiąt osiem... dziewięćdziesiąt dziewięć... sto. — Podniósł się energicznie, niemal nie zasapany.

Angela z podziwem zaklaskała w dłonie. Przyglądała się temu co rano. — Buddy, kocham cię — zaszczębiotała. — Jak ogromnie cię kocham!

—Hej, hej — uśmiechnął się. — Skąd ten nagły wybuch?

—Po prostu jestem szczęśliwa. — Podbiegła ku niemu, a on otworzył dla niej ramiona. Angela najbardziej w świecie uwielbiała pieszczoty. Co prawda, z Buddym zawsze kończyły się one zgoła czymś innym, ale nie miała nic przeciwko temu.

Teraz jednak odsunął ją delikatnie od siebie. — Idę trochę popływać, potem mam to ważne spotkanie. Pamiętasz? Mówiłem ci wczoraj.

Nie pamiętała. Ale może dlatego, że on ciągle biegał to tu, to tam. W Hollywood mieszkali od dwóch tygodni i za dnia prawie go nie widywała. — Interesy — tłumaczył jej. — Wiesz, maleńka, długo mnie tutaj nie było. Musi minąć parę tygodni, nim wszystko znowu zaskoczy na swoje miejsce.

Miała nadzieję, że stanie się to szybko, gdyż nie mogła doczekać się chwili, w której potowarzyszy Buddy'emu do studia. Już widziała nagłówki w magazynach filmowych: *Pani Buddy Hudsonowa odwiedziła dziś swojego męża na planie jego najnowszego filmu. Cóż za cudowna Para. Angela Hudson, początkująca aktorka, powiedziała: „Najważniejszy jest dla mnie Buddy i zacisze domowe”.*

Wyobrażała sobie reportaż na rozkładówce przedstawiający ich razem. Jogging w identycznych dresach. Karmienie się nawzajem lodami. Roześmiana para w gorącej kąpieli.

—Buddy? — ruszyła za nim, gdy kierował się ku drzwiom. — Jak myślisz, czy szybko będziesz kręcił film?

Spojrzał na jej wzniesioną ku górze twarz, rozszerzone oczy i minę pełną uwielbienia. Chyba zbyt skutecznie wmówił w nią, że jest kimś ważnym w świecie filmu. No, ale przecież przez myśl mu nie przeszło, że uwierzy mu tak bez zastrzeżeń. — Jasne, kotku. Mówiłem ci już, że mnie tutaj nie było, a to miasto ma wyjątkowo krótką pamięć.

—Ojej... — Twarz Angeli spowiła chmura rozczarowania.

—Ale możesz się założyć, że wkrótce Buddy Boy dostanie jakiś ogromny, soczysty kąsek. Odrzuciłem propozycję zagrania drugoplanowej postaci w „Cheers”. Nie była najlepsza. A ja chcę powrócić na ekran w jakiejś naprawdę wyjątkowej roli. Mam rację, kochanie?

—Oczywiście, Buddy. — Znowu się rozpromieniła.

Pomyślał, czyby nie odłożyć pływania. Kochanie się z Angelą było jak droga do raj.

Ale natychmiast rozważył to: „Nie, powinienem działać zgodnie z planem, utrzymać w formie muskulaturę, na basenie muszę wypłukać z siebie wściekłość i frustrację, które zaczynają przenikać do każdego zakamarka mojego ciała”.

Już dwa parszywe tygodnie w tym mieście, i nic. Żadnego odzewu, gdziekolwiek by się zwrócił. Reklamy. Film. Telewizja. Gówna.

Sześć rozmów.

Sześć klap.

Przecież jest Buddym Hudsonem. Reprezentował sobą wszystko, co najlepsze. Więc dlaczego nie witają go z otwartymi ramionami?

Biorąc po dwa stopnie zbiegł po schodach ku obiektowi szumnie zwanemu „basenem”. W budynku tym znajdowały się dwadzieścia dwa mieszkania, w każdym przynajmniej po dwoje lokatorów. Codziennie czterdzieści cztery ciała chlapały się i pluskały w wąskim, dwudziestopięciostopowym baseniku, którego chyba nigdy nie czyszczono. Jediną zaletą ich małego mieszkania było to, że mieli je za darmo, dzięki szlachetności przyjaciela Buddy'ego, Randy'ego Felixa, obecnie obdarzającego w Palm Beach swoimi wdziękami zamożną wdowę i jej córkę. Buddy codziennie się modlił, żeby ten związek przetrwał na zawsze.

Było jeszcze wcześniej, więc basen świecił pustkami. Cienka warstewka oliwy utworzyła plamy na wodzie. Buddy natychmiast zanurkował, a potem młócił wodę tam i z powrotem niczym oszalały delfin zamknięty na zbyt małej przestrzeni. Gdy już osiągnie sukces, to, ludzie!, będzie chadzał na największe i najlepsze baseny w całym mieście. Gdzie jest dużo miejsca, woda czysta i chłodna, trampolina, włoskie kafelki i działający sprawnie filtr.

—Dzień dobry. — Na brzegu stanęła jakaś dziewczyna i przypatrywała się Buddy'emu. Miała kędzierzawe, jaskraworude włosy okalające drobnymi pierścionkami głowę, na sobie zaś najskąpsze bikini, jakie kiedykolwiek widział. Ledwie przykrywało jej obfite piersi i przysłaniało krocze.

Pływał dalej.

Usiadła na brzegu i zaczęła namaszczać ciało oliwką.

W czasach przed Angelą byłby ją poderwał. Natychmiast. Zawsze u jego boku widywało się prawdziwe piękności, a ta, choć daleko jej było do Angeli, na swój sposób była wybitną sztuką.

—Na imię mam Shelly — przedstawiła się. — A ty? Wynurzył się z wody i zaczął robić przysiady. — Buddy. Buddy

Hudson.

—Mieszkasz tu sam? — spytała z wyraźną intencją, odpinając górną część bikini i zdejmując ją.

Nie mógł powstrzymać się od patrzenia na jej pełne, prężne piersi. — Nie, mieszkam tutaj z żoną.

Parsknęła niepohamowanym śmiechem. — Nie mów, że jesteś żonaty.

A co w tym takiego śmiesznego? — Owszem, jestem żonaty. — Zapamiętałem pracował nad

swoimi nogami — jeszcze cztery wyrzuty każdą, a potem prosto do wody na dalsze tortury. Trzydzieści razy pokonał czałem długość basenu, nim wreszcie z niego wyszedł.

Shelly leżała na plecach, z rozłożonymi nogami, apetycznie namaszczona oliwką, piersi sterczały w górę niczym dwa wypolerowane melony. Na oczy włożyła ciemne okulary, radio nastawiła na KIIS FM.

Buddy zabrał ręcznik i wszedł do budynku. W drodze na górę zajrzał do skrzynki na listy. Trzy rachunki na nazwisko Randy'ego. Ulotka nawołująca wszystkich razem i każdego z osobna: PRZYŁĄCZ SIĘ DO PANA. Tudzież broszurka szczurołapa-entuzjasty: JEŚLI MIEWASZ W DOMU MYSZY — ZAŁATWIMY CI JE W CISZY.

Angela krzątała się z odkurzaczem po jednopokojowym mieszkanku. Kiedy Buddy wszedł, wyłączyła maszynę i uśmiechnęła się. — Pożyczyłam go od sąsiadki. Powiedziała, że mogę z niego korzystać, kiedy tylko zechcę. Czyż to nie miłe ?

— Jasne. — Angela miała fioła. Odkurzanie tego szmatławego dywanu było czystą stratą czasu. Buddy ściągnął slipy i cisnął je na podłogę. Potem udał się do komórki, którą nazywano łazienką. Tam wszedł pod prysznic, ze sprężyną do ćwiczeń, rozciągając ją aż po kurki — niełatwe ćwiczenie.

Kiedy skończył, Angela była zajęta wyciskaniem dla niego świeżego soku za barkiem, służącym jednocześnie za kuchnię. Cały ten apartament bez trudu pomieściłby się w dwóch średniej wielkości walizkach.

Buddy otworzył szafę i wyjął z niej czarne spodnie, swoją jedyną jedwabną koszulę i lekką marynarkę firmy Yves Saint Laurent. Na szczęście w przypadku Buddy'ego nie ubranie zdołało człowieka. Cokolwiek na siebie włożył, wyglądał świetnie. I wiedział o tym. Zdumiewało go to. Skoro zawsze się tak dobrze prezentuje, to czemu jeszcze nie został gwiazdorem?

Ubrany, pochłonał podany mu przez Angelę sok. — Wróć koło szóstej, siódmej. A ty, co masz zamiar dzisiaj porabiać?

—Pójdę chyba na zakupy. Tylko że nie mam pieniędzy.

—No tak, oczywiście. — Było mu głupio. Nie miał forsy. Był splukany do ostatniej setki. Wyciągnął kilka banknotów z kieszeni, podał żonie dwie dziesiątki. — Tylko nie wydaj tego od razu. — Wstrętna, stara jak świat odżywka. Czasami nienawidził sam siebie.

Uśmiechnęła się. — Spróbuję.

Pochwycił ją w objęcia, dłońmi przesunął po jej wspaniałym ciele, pocałował w usta. — Do

zobaczenia, kochanie.

Przygotowania do rozpoczęcia filmu szły pełną parą. Ponieważ „Ludzie z ulicy” mieli być kręceny głównie w plenerach, wymagało to sporo pracy. Pierwszorządne znaczenie miało też zmontowanie ekipy, z którą Neil zwykle współpracował. Jak dotąd wszystko układało się pomyślnie — żadnych większych kłopotów. Neil prawie codziennie ruszał świtem z głównym operatorem i drugim reżyserem na poszukiwanie odpowiednich plenerów. Niektórzy reżyserzy zatrudniali w tym celu kierowników planu, ale Neil wolał dokonać tego osobiście. Montana zaś miała pełne ręce roboty z obsadzaniem ról. Zainstalowała się w jednym z gabinetów w biurowcu Olivera Easterne'a i na-wchmiast przystąpiła do pracy. Mogła zaangażować aktorów przy pomocy agencji, która przesiałaby setki kandydatów, albo wynająć naprawdę pierwszorzędnego fachowca od obsady, jak Frances Caven-^{dis}h ale chciała sama wszystkich obejrzyć, a potem przedstawić swój wybór Neilowi do ostatecznej akceptacji. To był jej film i pragnęła, aby takim pozostał.

Podniecenie wynikające z faktycznego przystąpienia do organizowania produkcji przyprawiało ją o zawrót głowy. Zdawała sobie sprawę, iż ma szczęście, gdyż Neil jest jej mężem, scenariusz ogromnie mu się spodobał i chciał go nakręcić. A nawet gdyby mu się nie spodobał... no cóż była na tyle pewna jego wartości, aby zanieść go do jakiegokolwiek wytwórni, nawet niezależnej, i zainteresować nim kogo trzeba. Ponieważ była to najlepsza rzecz, jaka wyszła spod jej pióra, wcale nie miała zamiaru udawać fałszywej skromności. „Ludzie z ulicy” to znakomity scenariusz, bo wzięty prosto z życia. Sylwetki postaci oparła głównie na tym co sama zaobserwowała kręcąc film o dzieciakach z ulic Los Angeles. Entuzjizm Neila działał tylko na plus, ale Montana w najbardziej skrytych zakamarkach swojej duszy nie potrafiła opędzić się od myśli, że gdyby Neil nie położył na nim ręki, to może... może... mogłaby wykorzystać tę szansę i wyreżyserować film osobiście.

Bzdury. Od kiedy to kobietom oferuje się taką szansę? Oprzytomnij, kochanie, i ciesz się, że twój stary zrobi to w przynajmniej pięćdziesięciu procentach tak, jak ty byś to zrobiła.

Do obsadzenia były trzy główne role plus trzydzieści dwie dalsze, mówione. Niektóre z nich nie większe niż na jedną linijkę tekstu, ale wszystkie ważne. Montana nie potrzebowała aktorów ogranych w każdym głównym programie telewizyjnym. Szukała nowego talentu — cieszyła się każdą minutą oczekiwania na idealnego aktora czy aktorkę do każdej, najmniejszej nawet postaci.

Nadciągali setkami. Uśmiechnięci, gburowaci, chętni. Starzy, młodzi, ładni, brzydki.

Wszyscy przynosili albumy ze swoimi fotosami, życiorysy opisujące przebieg ich kariery. Ze wszystkich stron atakowali ją agenci. Ci dobrzy i ci źli. — Chciałabyś kogoś w typie Marilyn Monroe? Mam taką dziewczuszkę, która postawi wszystkie kutasy stąd do Valley.

—Ten chłopak, którego ci podsyłam, to James Dean. Mówię ci, Dean. Tylko lepszy.

—Młody Brando.

—Starsza Brookie Shields.

—Seksowna Julie Andrews.

—Wyższy Dudley Moore.

—Amerykański Michael Caine.

Osaczał ją tłum wszelkich możliwych typów. Ale powoli zaczęła przebierać i wybierać, coraz bardziej rozentuzjasmowana każdym nowym odkryciem.

Wieczorami pracowała nad scenariuszem — dodawała sceny, zmieniała dialogi. Neil opowiadał jej o znalezionych przez siebie plenerach, a ona o niektórych osobach, z jakimi rozmawiała. Oboje żyli, oddychali i karmili się „Ludźmi z ulicy”. Film stał się samym jądrem ich egzystencji.

Niekiedy się spierali. Trzy główne role pozostawały nie obsadzone. Oliver Easterne upierał się przynajmniej przy dwóch kasowych gwiazdach, a Neil gorąco obstawał przy George'u Lancasterze, supergwiazdorze, który wycofał się z filmu. — Jeżeli uda się nam skaptować George'a — tłumaczył — pozostała dwójka może być nieznana.

—Jeżeli dostaniemy tego dupka — zgodził się Oliver. Dla niego wszyscy aktorzy byli dupkami, bez względu na to, czy to gwiazdy, czy statyści. — Co, jak dotąd, wydaje się mocno problematyczne.

—W najbliższy weekend polecę do Palm Beach — postanowił Neil. — Scenariusz mu się podoba. Sądzę więc, że go namówię.

—Mam nadzieję. Czas szybko leci. Ja sam mam parę pomysłów.

Neil wiedział, o co chodziło Oliverowi. Na wpół zapomniane nazwiska gwiazd były po trzykroć złe. Nie miał zamiaru nawet się nad nimi zastanawiać.

Montana nie była wcale tak entuzjastycznie, nastawiona do George'a Lancastera. — On nie potrafi grać — stwierdziła kategorycznie.

—Potrafi. Pod moim kierunkiem.

Nie była przekonana, miała jednak na tyle poczucie rzeczywistości, by wiedzieć, że pewne ustępstwa muszą być poczynione. — Co zamierzasz? Mam jechać z tobą?

Neil szybko pokręcił głową. — Nie. I tak masz tutaj w co ręce włożyć. Potrafię sobie sam poradzić z George'em.

Zgodziła się. — Mam kilku aktorów, których, jak sędzę, powinniśmy wypróbować do roli Vinnie'ego.

Jeżeli tylko ugadamy George'a Lancastera. W przeciwnym razie będziemy zmuszeni poszukać kogoś o głośnym nazwisku.

Nie widzę powodów.

Ależ widzisz. Nazywa się on nabijaniem kasy.

—Nigdy nie podobało mi się nabijanie kasy.

—Nauczysz się tego.

—A pieprzę cię — mruknęła elegancko.

—No, gdybyśmy tylko mieli czas... — odparował.

Roześmiała się. — Znajdziemy na to czas po twoim powrocie.

Dzień Elaine.

Po ćwiczeniach u Rona Gordino wizyta w „Ożywczym Całusie Dla Twych Paznokci”, potem cztery godziny u Elizabeth Arden: woskowanie nóg, modelowanie brwi, kosmetyczka, mycie i czesanie włosów. Zdążyła do domu akurat na czas, by przebrać się w zieloną, luźną piżamę od Norella przed powrotem Rossa ze zdjęć. Nawet we własnych oczach wyglądała cudownie.

— Jesteś boska — szepnęła swojemu odbiciu w lustrze sypialni. *Lamiesz serca, Etto Słonico.*

Pewnym krokiem weszła do salonu i już miała nalać sobie drinka, kiedy zerknąwszy przez wielkie tafle okna, ku swojej zgrozie ujrzała go znowu. Sikającego do jej basenu!

—Lina! — wrzasnęła, rzucając się ku oszklonym drzwiom i wypadając na zewnątrz. — Lina!

Chłopak niespiesznie zapiął suwak i — jak się zdawało — bez najmniejszego zainteresowania tym, co działo się wokół, wycedził: — Dzień dobry, ma'am.

—Ty parszywa świnió! — krzyknęła. — Widziałam, coś zrobił! Chłopak pochylał się teraz nad węzem gumowym, z którego woda

chlustała do basenu. — Co?

—Nie mów do mnie „co”! Wiesz dobrze, o co mi chodzi!

W tej chwili pojawiła się Lina, wycierając dłonie w fartuch zawiązany w talii i marszcząc brwi. — Co jest, senora? Próbuję uczynić obiad.

Elaine wycelowała w chłopaka swoim nieskazitelnie wymanikiurowanym palcem. — Nie życzę sobie go tutaj więcej oglądać! Pojmujesz, Lina! Nigdy więcej.

Chłopak dalej zajmował się szlauchem, Lina zaś wydała z siebie teatralne westchnienie: — Miguel, on chory... — zaczęła.

—Gównu mnie obchodzi Miguel! — rozdarła się Elaine. — Mam to w nosie, nawet jeśli by padł trupem przy pracy. Ale nie życzę sobie, i proszę to wreszcie pojąć, nie życzę sobie, żeby ten... ten... ta osoba kiedykolwiek się jeszcze tutaj pojawiła. Rozumiesz, Lina?

Lina ponownie głęboko i przesadnie westchnęła. Wzniosła oczy ku niebu. — Jasne — powiedziała. — Rozumiem.

—To znakomicie. Więc wyrzuć go stąd natychmiast. — Elaine odmaszerowała do domu i skierowała się prosto do barku. Przyrządziła sobie podwójną wódkę z jedną kostką lodu. Niewiarygodne! Służba w dzisiejszych czasach! Nie do wytrzymania!

Zza budynku wyprysnęła stara półcieżarówka właśnie w chwili, gdy pod front domu podjechała długa, czarna limuzyna. Ross! Elaine błys-; kawicznie sprawdziła swój wygląd w staromodnym lustrze wiszącym nad barkiem. Świetnie. Czyż nie byłoby miło, gdyby Ross to zauważył?

Nic nie zauważył. Wkroczył do domu w zabłoconych kowbojskich butach, w które wpuścił wyblakłe džinsy, i w kraciastej koszuli oraz starej, skórzanej kurtce. Ostatnio Ross zaczął małpować modę młodzieżową. Z miernym skutkiem. Wyglądał niczym kowboj na emeryturze.

—Kochanie! — Elaine obowiązkowo cmoknęła go w policzek, co wynagrodzone zostało prostackim klepnięciem.

—Upał jak cholera — zakomunikował Ross. — Jestem szczęśliwy, że wyrwałem się z tego zadupia. — Rzucił się na białą, obszytą brokatem sofę, którą, ponosząc znaczne koszty, Elaine kazała właśnie obić, i wyciągnął nogi. — Jestem wypompowany! Zrób no mi drinka, póki, do kurwy nędzy, nie odkituję!

Gwiazdor filmowy wrócił do domu.

Buddy pogwizdując zbiegał w dół po schodach. Angela o ufnych oczach. Nigdy nie marudziła, nie narzekała na mieszkanie czy brak forsy. Nigdy nie wypytywała go, kiedy wracał do domu, ani nie upierała się, by wyspowiadał się z tego, co robił, minuta po minucie każdego dnia. Była doskonała. Złocista dama. Kiedyś obrzuci ją futrami, klejnotami, sprzętem stereo i samochodami. Będzie miała wszystko, czego dusza zapagnie.

Kiedy? Oto pytanie. Kiedy to wszystko się zdarzy? Już od dziesięciu lat mieszkał w Hollywood. Dziesięć lat to szmat czasu — naprawdę szmat czasu.

Powtórne pryśnięcie od matki było proste, szczególnie że miał w zanadrzu dwie setki, które to ułatwiły. Szesnastolatek, czujny niczym lis i zdecydowany, że nie da się złapać, wyrwał się z San Diego najszybciej, jak tylko się dało. Wskoczył do autobusu jadącego do Los Angeles, potem stopem nad morze. Tam sypiał, gdzie popadło, podkradał żarcie i nawiązywał przyjaźnie. Była tam kupa dzieciaków w podobnej sytuacji. Uciekinierzy, nie mający do roboty nic, prócz pięciu „S”: Surfingu, Słonecznych Kąpieli, Spania, Seksu i Siedzenia w Wodzie. Plus nieco prochów, kiedy tylko było ich na to stać. Buddy nie wahał się ani chwili, zaczął uprawiać seks na wielką skalę. Nie brakowało partnerek wśród dziewczyn. Zresztą wśród chłopców także, ale to zdecydowanie nie było w guście Buddy'ego.

Jako pierwszą poderwał wysoką, piegowatą panienkę, która lubiła to robić niedelikatnie. Uwielbiała pieprzyć się na plaży, kiedy piasek wdzierał się w każdy najmniejszy załomek ciała. Miał ją parę razy do dnia, w którym odjechała Cadillakiem z jakimś grubasem obiecującym jej Acapulco. Następną była drobna, rudowłosa dziewczyna, której specjalnością okazało się „ssanie ptaszka”, jak to sama określała. Buddy nie był tym zachwycony, taki rodzaj seksu czynił go jakby nazbyt bezbronny, jakby ostre ząbki mogły się zacisnąć i w ten sposób zrujnować jego przyszłość. Przerzucił się więc na gwiazdkę rodem ze Szwecji, która chadzała na plażę, by gimnastyką powiększyć sobie piersi. Nauczyła go prowadzić swojego bladorożowego Thunderbirda i dawać sobie w szyję. Obie te rzeczy przypadły mu do smaku.

Znalazł sobie robotę, polegającą na wciskaniu hamburgerów plażowiczom, i zarobił akurat tyle, by wynająć sobie pokój. Przyjaciel nauczył go gry na gitarze, w czym Buddy okazał się całkiem niezły. Pracował nad swoim głosem, a także nad repertuarem. Od czasu do czasu brzdąkał i podśpiewywał publicznie, co dawało mu zastrzyk finansowy.

Pięć wielkich „S” nie uległo zmianie. Spalony słońcem, krzepki od surfingu, muskularny od pracy. Miał wszystkie dupcie, jakich zapragnął, sypiał, z kim chciał, a matki nigdy nawet nie wspomniał. Dla niego była nieboszczką.

Był typem samotnika. Z własnego wyboru.

Zaprzyjaźnił się z początkującym aktorem o nazwisku Randy Felix. Któregoś dnia podjechał stopem do Hollywood i zajrzał na zajęcia, na które uczęszczał Randy: Szkoła Sztuki Aktorskiej metodą Joy Byron. Joy Byron — stara angielska dama o zgrzytliwym głosie. Odziana w kwieciste suknie, z nieodłączną parasolką, nawet w pomieszczeniach zamkniętych. Jej studenci uwielbiali ją i czcili regularnie dwa razy w tygodniu w opuszczonym magazynie

po niewłaściwej stronie Wilshire. Kiedy Randy przestał się uczyć, zajęty innymi sprawami, Buddy chodził tam dalej już na własną rękę. Wyzyskiwał każdą chwilę dwugodzinnych zajęć i wkrótce grał już wszystko, od Stanley a Kowalskiego w „Tramwaju zwanym pożądaniem” po Jaya Gatsby'ego w „Wielkim Gatsbym”.

Joy Byron utrzymywała, że jest dobry, a już kto jak kto, ale ona powinna coś o tym wiedzieć. W swoim czasie grywała z najlepszymi — Olivier, Gielgud, wszyscy znakomici Anglicy. Przynajmniej tak twierdziła, ale Buddy skłonny był jej wierzyć.

Jak tylko zaraził się aktorstwem, plaża straciła swój urok. Przeprowadzka wydała się czynem zgodnym z logiką. Randy, dzielący dom z dwiema dziewczynami, powiedział, że dla Buddy 'ego miejsce zawsze się znajdzie. Toteż tuż przed ukończeniem dwudziestki Buddy się tam wprowadził.

Dom był zapuszczony, dziewczyny kurwiszony, ale mieszkanie w Hollywood miało swój smak. Buddy natychmiast poczuł się tam jak u siebie. Problemem był tylko brak forsy i samochodu. Raz, żeby dojechać na plażę, dwa, żeby poruszać się po mieście. Randy, jak się wydawało, zawsze dysponował rozsądną kwotą, więc Buddy spytał, jak on to robi.

—Płacę mi po prostu za to, co ty rozdajesz za darmo — wyjaśnił Randy. — Mam agenta, który bierze sobie dwadzieścia procent i wszystko organizuje. Żadnych kłopotów. Żadnej fatygi. Sprzedaję ptaszka damom. To złoty interes!

—Co sprzedajesz?

—Weź i sam popróbuj, Buddy. Mnie się oplaca każde wyjęcie kutasa.

Obaj zaczęli się śmiać. — Naprawdę? — upewniał się Buddy między atakami chichotu. — Naprawdę?

Randy kiwnął głową. Miał pięć stóp dziewięć cali wzrostu, miły wygląd, ale nic specjalnego. Wydatny nos, małe oczka, brak zębów trzonowych. Szczególnie gdy się śmiał, było to bardzo widoczne.

—Więc zostanę męską kurwą! — wykrzyknął Buddy.

Randy zaprowadził go na spotkanie ze swoim agentem, czarnym homoseksualistą ubranym od stóp do głów w obcisłą białą skórę.

—Tylko żadnych, no... tego... męskich klientów — bąknął Buddy, ledwie mogąc uwierzyć, w co się wdaje.

—Żadnych facetów? — prychnął agent, znany w swojej stajni młodych, sprawnych ogierów jako Dandys. — A kim ty jesteś, jakimś cudem?

W ten sposób Buddy rozpoczął życie jako męska prostytutka.

Za pierwszym razem miał obawy, czy mu w ogóle stanie. Spotkał się z tamtą kobietą w apartamencie załatwionym przez Dandysa. Spóźniła się dwadzieścia minut. W średnim wieku, w skromnej biurowej garsonce.

— Jesteś nowy — zauważyła obojętnie, co sugerowało, że zna wszystkich chłopaków Dandysa. — Ja się nie rozbieram — oznajmiła, podwijając spódnicę wokół bioder i ściągając niewyszukane, białe majtki.

— Ale ty masz być nagi. Rozbieraj się. — Rozłożyła się na łóżku i przyglądała, jak Buddy nieporadnie wysupluje się z ciuchów.

Kurczę! Czul się jak w poczekalni u dentysty! W żaden sposób nie potrafił się podniecić, aż wreszcie zrozpaczony przypomniał sobie radę Randy'ego: „Zamknij oczy i włącz wyobraźnię”. Szybko przywołał więc na pamięć dziewczynę, z którą ostatnio sypiał. Dziewiętnastolatka. Ład-niutka. Stosująca sztuczkę z lizaniem jaj tak, że strzelał spermą dwadzieścia stóp w górę.

Poskutkowało. Niespodziewanie znalazł się w akcji.

Nigdy nie oglądał się wstecz. Obsługiwanie babek za forszę nie było problemem. Pokrywało rachunki i umożliwiało postępy w nauce aktorstwa. Joy Byron załatwiła mu agenta, zrobił sobie kilka fotosów i zaczął chodzić na rozmowy. Prawie natychmiast dostał dwie kwestie w serialu „Starsky i Hutch”. Następnie małą rolę w szlagierze Burta Reynoldsa. Trafił na właściwą drogę! Zostanie gwiazdorem!

Tylko że wszystko porobiło się niedokładnie tak. Nadeszła zła passa - epizod ze „Starsky'ego i Hutch” wyparował i nikt go nie widział. A potem w kinach zaczął iść film Burta Reynoldsa — również bez Buddy'ego.

Upokorzenie zrodzone z podwójnego wystrychnięcia na dudka było czymś więcej, niż potrafił znieść.

— Nie przejmuj się — pocieszała go Joy Byron. — Przyjdą następne role.

Zabawna stara kwoka, zapraszająca go na „ekstra lekcje”. Schlebiali mu to i zaczął naprawdę znajdować przyjemność w graniu z Joy scen ze wszystkich wielkich dramatów, chociaż czasami w zakurzonej sypialni jej domu w Hollywood Hills, w środku jakiejś sceny, posuwała się nieco za daleko, by mógł się czuć swobodnie. Regularnie obsługiwał kobiety, ale sama myśl o przespaniu się z Joy była nie do strawienia. Począwszy od tego, że miała co najmniej siedemdziesiątkę. Czuł dla niej szacunek. Była wielką aktorką. Była jego

nauczycielką, na miłość boską.

Któregoś wieczoru powiedziała mu: — Buddy, mam cudowny pomysł. Nasz warsztat wystawi specjalne przedstawienie „Tramwaju”. Ściągnę agentów, speców od obsady, kierowników wytwórni. Znam tych ludzi i jeżeli ich zaproszę, na pewno przyjdą. Ty oczywiście zagrasz Stanleya Kowalskiego. Idealna rola dla ciebie!

—Hej... to cudownie — zaczął. Ucapiała go, nim zdołał dokończyć zdanie. Nie było to takie złe.

Nie było też zbyt dobre.

Musiał zerwać z prostytutką. Przeniósł się do zwariowanego domu Joy, ona też zajęła się jego rachunkami.

Musiał ćwiczyć dzień i noc, noc i dzień. Przerzucił sterty starych scenariuszy filmowych. Harował do upadłego.

Joy Byron wiele go nauczyła o tym fachu. Począwszy od charakteryzacji po oświetlenie i najkorzystniejsze ujęcie kamery. Pokierowała jego mimiką, dykcją, ruchami. Nie zostawiała mu ani jednej wolnej chwili i zgodnie z obietnicą obsadziła w głównej roli w studenckim przedstawieniu „Tramwaju”.

Rzeczywiście, pojawiło się wiele znaczących osób, między innymi i Frances Cavendish. Bystrooka agentka zajmująca się obsadzaniem ról była jednym z najlepszych fachowców w mieście, gdyż nigdy nie zmarnowała okazji odkrycia jakiegoś nowego talentu.

Buddy wyglądał sensacyjnie. Znoszony podkoszulek. Ścisłe opięte dżinsy. Marlon Brando wysiada. Buddy wielokrotnie oglądał w telewizji tamtą ekranizację z 1951 roku. Przestudiował każdy szczegół i wiedział, że gra dobrze. Nie zdziwiło go więc, kiedy Frances Cavendish wysłała do niego list z zaproszeniem do jej biura.

Odczekał tydzień. Nie chciał, by wyglądało, że mu bardzo zależy.

A potem leniwym krokiem wmaszerował do jej biura, klapnął na blat biurka i burknął: — Słyszałem, że masz ochotę zrobić ze mnie gwiazdora.

Frances poprawiła okulary i wbiła w niego wzrok. — Zdejmij swój tyłek z mojego biurka, synku. Obsadzają horror w Unhersału. Uważam, że możesz się nadać. Więc zasuway tam natychmiast.

Dostał rolę. Trzy dni. Bez żadnej mówionej kwestii. A potem nastąpiła seria podobnych kawałków. Tydzień w filmie gangsterskim. Dwa dni w „Policjantce”. Reklama kremu do golenia. Drugoplanowa rolka w „Vegas”, jak dotąd największe jego osiągnięcie. I wreszcie

— strzał w dziesiątkę.

— Sądzę, że będziesz dobry w głównej roli w nowym serialu — oświadczyła Frances i mówiąc to naprawdę się uśmiechała. — To może być to, Buddy.

Był na fali. Spodobał się producentom. Wracał spieszenie do domu Joy ze scenariuszem i ze ściśniętym z wrażenia żołądkiem. Miał zagrać główną rolę w nowym serialu. Zostanie gwiazdorem.

Joy Byron przeczytawszy scenariusz stwierdziła: — Gównno. — Potrafiła być bardzo dosadna, jak na starszą damę. — Ale zrobimy z tego coś naprawdę wartościowego — dodała wzdychając teatralnie.

Pracowali długo i ciężko. Joy udzielała mu instrukcji, wskazówek, jak, co i kiedy robić. Towarzyszyła mu nawet na planie, by dopilnować, czy gra dokładnie tak, jak mu powiedziała. Nazajutrz, zaraz po tym, jak producent obejrzał zdjęcia z poprzedniego dnia, Buddy z hukiem wyleciał z pracy.

— No i co z tego? — prychnęła Joy Byron. — Mówiłam ci przecież, że to gównno!

Wymknął się z jej domu w środku nocy, gdy spała. Chciało mu się rzygać z rozczarowania, wściekłości, frustracji. Kiedy wreszcie Buddy Boy stanie się gwiazdą?

Pożeglował prosto do starego trybu życia. Tylko że teraz zaczął zbyt mocno popijać i brać za dużo prochów. Przyjaciółka poznała go z Ma-xie'm Sholto, niesympatycznym agentem zarządzającym hollywoodzkie przyjęcia, w trakcie których wynajęta służba odstawiała dla gości spektakl. Przynajmniej tam było Buddy'ego widać. Co z tego, że wczółgiwały się na niego ze dwie dziwki? To przecież przedstawienie. A kobiety biorące udział w tych przyjęciach uwielbiały go.

Któregoś dnia wpadł na swojego przyjaciela, Randy'ego. — Zostaniesz psim gównem w tym mieście, jeżeli nie będziesz na siebie uważał — przestrzegął go Randy.

Buddy akurat był naćpany. — Zarabiam kupę szmalu. Może chcesz skorzystać z moich usług? — I co ci da ta twoja wielka forsa? Ja widzę tylko prochy w twoim nosie i trawkę w płucach. Weź się w garść, bo się wykończysz.

Wziął się w garść. Trzy wieczory później. W samym środku orgietki, ze spermą grubego producenta płyt ściekającą mu po twarzy, z chudą dziewczyną siedzącą okrakiem na jego kutasie. Zobaczył tę scenę w lustrze, a do tego jeszcze pracującą kamerę, co wpieprzyło go do szaleństwa.

Zrzucił z siebie dziewczuchę, rozwalil kamerę, dokopał producentowi płyt i wypadł stamtąd jak

huragan. Był Buddym Hudsonem. Miał zamiar zostać gwiazdorem i nic go przed tym nie powstrzyma.

Następnego dnia złapał samolot lecący na Hawaje, gdzie otrzeźwił, znalazł sobie pracę piosenkarza w knajpie i spotkał Angelę.

No tak, pomyślał Buddy wsiadając do swojego gruchota. I co teraz § począć? Powrót do L.A. ze świeżo poślubioną małżonką u boku i zapalem do zawojowania miasta to jedno. Rzeczywistość to drugie. Potrzebował forsy, a na to istniał tylko jeden pewny, znany mu sposób.

Neil Gray rozejrzył się po poczekalni dla uprzywilejowanych pasażerów. Piastował w rękę whisky Jack Daniels z lodem. Już drugą.

Po przeciwnej stronie siedziała Gina Germaine. Jasnowłosa, ożywiona, kwitnąca i seksowna. Otaczał ją pełen uwielbienia personel linii lotniczych, prześcigający się w spełnianiu wszystkich jej życzeń. Kiedy weszła, Neil powitał ją zdawkowo. Dwoje ludzi, znających się jedynie przelotnie. Chryste! Ależ jego jaja tęskniły do niej. Nie mógł doczekać się chwili, w której znajdzie się z nią w samolocie. Może dopadnie jej w toalecie, jeżeli mu na to pozwoli.

Rzeczywiście, jeżeli mu na to pozwoli! Gina Germaine pozwoliłaby mu się wypieprzyć nawet na deskach Trader's Vic w sobotni wieczór, gdyby wyraził takie życzenie.

Boże! Czyżby pierniczał? Dlaczego odbiła mu taka szajba na punkcie jakiejś tam blond gwiazdy filmowej? Doprawdy, coś się z nim dzieje niedobrego. Wleczenie jej ze sobą do Palm Beach to czyste szaleństwo. Ryzyko, że ktoś się o tym dowie...

I właśnie owo ryzyko wywołało u niego najpotężniejszą od niepamiętnych czasów erekcję.

Nowy Jork może zrobić z ciebie czubka. Jeżeli już nim nie jesteś.

Co za parszywe ulice. Brud, smród i plugawa, przytłaczająca rzeczywistość. Szczury. Karaluchy. Ulice się od nich roiły — także od takich ludzkiego rodzaju. Przechadzka po mieście gwarantuje nieustanne spotkania z szaleństwem.

Dekę trzymał się na uboczu. Maszerował pewnym siebie krokiem, z brodą wtuloną w kołnierz, z przymrużonymi, czujnymi, zimnymi oczami.

Pewnego razu dwójka dzieciaków usiłowała napaść na niego na rogu 39th Street i Seventh Avenue. Było jeszcze zupełnie jasno, na ulicy kupa przechodniów. Nikt nie pospieszył mu z pomocą, kiedy szarpał się z dwójką zwariowanych nastolatków, z których jeden uzbrojony był w nóż.

Dekę odparł atak. Kopał, walił, drapał, aż wreszcie zdołał pochwycić i wyrwać nóż

napastnikowi i wbić go w klatkę piersiową chłopaka. W zmartwiałych oczach tamtego odmalowało się zdziwienie, kiedy krew bluznęła z jego ciała.

Drugi napastnik uciekł. Deke zaś obojętnie odszedł, podczas gdy przechodnie rozpięchli się po ulicy, umyślnie odwracając wzrok w drugą stronę.

Ten incydent wprowadził Deke'a w dobry nastrój — dał mu cudowny zastrzyk poczucia własnej siły. Przypomniawszy mu Filadelfię. Tamtą noc — tamtą szczególną noc.

Wspominając przyspieszył krok...

Maczeta, którą kupił w lombardzie za dwadzieścia dolców, gdyż mu się spodobała. Nie używana, wisiała na ścianie jego pokoju całe dwa lata, choć niekiedy zdejmował ją i wymierzał nią ciosy na niby przed lustrem. Nigdy nawet nie przeszło mu przez myśl, że nadejdzie taki dzień, w którym skorzysta z niej naprawdę.

Pomyślał o Joey. O jej chudym ciele, nastroszonych włosach i szerokich, czerwonych ustach. Joey Kravetz.

—*Hej, hej. Chciałbyś się zabawić, chłopie?*

Deke próbował ją wyminąć, ale zdecydowanie zastąpiła mu drogę. Przechyliła głowę na ramię i mrugnęła do niego lubieżnie.

—*Nie chcę cię zgwałcić, nic z tych rzeczy. Chcę tylko zabrać się za twoje portki i zaoferować ci najlepsze ssanie w całym twoim życiu. Idziesz na to?*

Patrzył na nią osłupiały. Była prawie ładna, choć miała przekrzywiony nos, lekko zezowała na jedno oko, a szminka rozmazała się wokół jej czerwonych ust. — Ile? — burknął.

—*Papier za minutę. Nie znajdziesz nic tańszego. — Pozezowała do góry, gdyż Deke był o wiele wyższy od jej pięciu stóp i dwóch cali.*

—*Nie pożałujesz ani centa, kowboju.*

Kowboj. Nikt nigdy dotąd go tak nie nazwał. Poczul się znakomicie.

—*Zgoda — mruknął, wiedząc, że cała ta impreza nie potrwa dłużej niż pięć minut. — Gdzie?*

—*A mam taki mały apartament, w którym mogę złożyć tylek.*

—*Złapała go za ramię. — Dwie przecznice stąd, a po drodze opowiem ci historię mojego życia. Ja mam na imię Joey, a ty?*

Nigdy przedtem nie spotkał takiej dziewczyny. Jasne, miał wiele dziwek o suchych wargach i pustych oczach. I dziewczyny, z którymi chodził na randki, uprzejmie uśmiechnięte i nigdy nie dające się nawet dotknąć. Joey była inna. Kiedy tak szli razem zalaną deszczem ulicą,

zdawało mu się, że naprawdę pragnie z nim być.

Jej „apartament” okazał się niewielkim pokoikiem na drugim piętrze, ze zlewem w jednym kącie, łóżkiem, na którym panoszył się biały tłusty kot, i samotną lampą okrytą różową, przysmaloną apaszką z szyfonu.

Joey spędziła kota z łóżka, zrzuciła plastikowy płaszcz od deszczu i odezwała się: — Przyjemnie, co? Po mojej ostatniej nocy komfort jak cholera.

Stał niepewnie w progu, zastanawiając się, czy odbędzie się to tak jak zwykle. Najpierw pieniądze na stół, potem szybkie ruchy nad milczącym kawałkiem mięsa.

Joey odpięła suwak swojej obcisłej, czarnej minispódniczki i ściągnęła ją. Pod spodem miała różowe mini-majtki z wyhaftowanym na czerwono „wtorkiem”. Choć to był piątek.

Deke sięgnął do kieszeni po pieniądze.

— Otem potem. Sam jeszcze przecież nie wiesz, jak długo tu zechcesz zostać — zachichotała.

— Pewny jesteś, że nie życzysz sobie zmienić zamówienia? Pięćdziesiąt doków za tyle czasu, ile ci się spodoba?

Pokręcił głową.

— Rozdziel się, chłopie — poprosiła, ściągając sweter przez pomarańczowe nastroszone włosy i ciskając go na podłogę. Miała bardzo małe piersi z uróżowanymi tanią szminką sutkami. Szminka rozmazała się, tak samo jak tusz pod zezującym okiem.

Uniosła dłonie i tak długo bawiła się sutkami, aż stanęły na sztorc. — No i jak, nie są warte półtora dolca? — roześmiała się. — Znam kupę takich sztuczek, kowboju.

Zakaszłał sucho.

— Jesteś naprawdę jajny — stwierdziła, nie przestając drażnić uszminkowanych sutek. —

Podobasz mi się. Myślę, że ty i ja możemy być kumplami, wiesz, naprawdę bliskimi kumplami.

Już samo patrzenie na ciebie mnie bierze, kowboju, samo patrzenie...

Został tam bite dwie godziny. Kosztowało go to sto dwadzieścia dolarów i warte było każdego centa.

Z oddali dobiegło Deke'a znajome wycie policyjnych syren. Przyspieszył kroku. Już najwyższa pora, by się stąd ruszyć. Nowy Jork to dobre miejsce na odpoczynek, miasto, w którym można się ukryć, póki morderstwo nie zblaknie. Za dzień, dwa ruszy w drogę. Miał do załatwienia to i owo, musiał wpaść tu i ówdzie.

Tak więc, sławny gwiazdor filmowy był w domu. Klnąc i narzekając na wszystko.

Leżeli w łóżku. Ross rozparty na czterech poduszkach, z oczami wlepionymi w ekran

telewizora. Elaine uznała, że to właściwy moment, by napomknąć o filmie, o którym opowiedziała jej Karen Lancaster. — Chyba powinieneś się natychmiast skontaktować z Zackiem.

—Ha! Wielki George Lancaster coś odrzucił i ty uważasz, że wobec tego ja powinienem zadzwonić do swojego agenta — prychnął Ross. — Jak rany, Elaine! Jak ty coś czasami palniesz!

—Jeżeli tę rolę zaproponowano George'owi, to musi być dobra

—nalegała uparcie Elaine.

—Gównu! George wyprodukował więcej gówna niż fabryka środków przeczyszczających. — Zirytowany zmieniał pilotem kanały TV.

—George Kutas Lancaster jest o piętnaście pieprzonych lat starszy ode mnie. Nie zapominaj o tym.

—O dwanaście — sprostowała Elaine. Znała wiek wszystkich co do dnia.

Ross dźwignął tyłek i pierdnął rozgłośnie.

Elaine rozzłościła się. Och, gdyby tylko jego wielbicielki mogły go teraz zobaczyć! — Jeżeli musisz już to robić, to bądź uprzejmy wyjść do łazienki — syknęła.

W odpowiedzi pierdnął po raz drugi i zmienił kanał.

—Jakim cudem, zanim się pobraliśmy, udawało ci się panować nad fizjologią? — spytała zimno.

Sparodiował jej ton. — Jakim cudem, zanim się pobraliśmy, nigdy nie nudziłaś?

- Boże! Stajesz się nie do zniesienia! — Wyskoczyła z ich królewskiego łóża i nałożyła turkusowy, jedwabny szlafrok.

—Gdzie idziesz? — spytał donośnie.

—Do kuchni.

—To przynieś mi lodów. Waniliowych i czekoladowych oblanych gorącym karmelowym sosem.

—Masz przecież być na diecie.

—Nie potrzebuję diety.

—Dieta jest potrzebna każdemu, kto skończył dwadzieścia pięć lat. Zmiękł. — Przynieś mi lody, a zadzwonię do Zacka.

—Słowo?

Uśmiechnął się słynnym uśmiechem Contiego. — Czy ja cię kiedykolwiek oszukałem,

kochanie?

Montana siedziała w swoim biurze i przyglądała się młodemu aktorowi po przeciwnej stronie gabinetu. Usiłował wywrzeć na niej wrażenie, z czego świetnie zdawała sobie sprawę. Opuściła wzrok i przejrzała podsuniętą przez niego listę osiągnięć. Zwykły zestaw telewizyjnych śmieci i niedobrych filmów.

—Nigdy nie przypuszczałem, że kiedy wejść dzisiaj do tego gabinetu, to za biurkiem zobaczę taką osobę jak pani — powiedział niskim, matowym głosem.

Znowu omiół ją wzrokiem. Przenikliwe spojrzenie, które ogromnie ją peszyło, gdyż mogła dopatrzeć się w nim wilczej desperacji. Tak świetnie to rozumiała. — Tutaj jest napisane, że pan ma dwadzieścia dwa lata. Mnie zaś potrzebny jest ktoś trochę starszy — wyjaśniła szybko.

—O ile starszy? — odparował.

Zawahała się. Trzeba odrzucić go delikatnie. Taka rzecz nigdy nie jest łatwa do przeprowadzenia. — No... jakieś dwadzieścia pięć, sześć.

—Potrafię wyglądać na starszego. Naprawdę mam dwadzieścia cztery lata. — Miał tik twarzy, który się właśnie objawił, rujnując jego cukierkowo przystojny wygląd.

—Znakomicie — odparła, oddając mu życiorys. — Będę to mieć na uwadze. Dziękuję, że pan tutaj przyszedł.

—I to wszystko? — W jego głosie zadźwięczało zdumienie. — Pani nie chce, żebym coś przeczytał? Czy zagrał?

—Nie tym razem.

—Czy to znaczy, że zostanę ponownie wezwany? Uśmiechnęła się. Miała nadzieję, że niezobowiązująco. — Dziękuję, panie Crunch. — Crunch. Co to za nazwisko? — Będziemy w kontakcie z pana agentem.

Wstał i powoli do niej podszedł. — Może mógłbym się kiedyś z panią umówić? — spytał. Zdesperowane spojrzenie i tik całkiem już nie kontrolowany.

Współczuła i jemu, i setce innych, podobnych do niego młodych aktorów. — Proszę pana — powiedziała cierpliwie. — Niechże pan się trochę ceni.

—Co?

- Jest pan prawdopodobnie świetnym aktorem, ale do tego filmu pan nie pasuje. Więc proszę przestać nalegać.

Poczerwieniał, przygryzł mocno dolną wargę, ale nie ustąpił. —Pani i ja, możemy przeżyć

wspólnie piękne chwile. Da mi pani szansę? — zaproponował niedwuznacznie. — Mam najwyższe rekomendacje, rozumie pani, o czym mówię?

Zaczęło ją to złościć. — Proszę stąd wyjść. Zgoda?

— Pani sama nie wie, co traci — mruknął.

Jej cierpliwość wyczerpała się. — Hej, mam wrażenie, że doskonale wiem, co tracę.

Ociągając się, powoli wyszedł z gabinetu.

Westchnęła. Hollywood. Centrum ambicji. Miasto, gdzie grało się w „Sukces”. Jeżeli go osiągnąłeś, to stałeś na szczycie piramidy. Jeżeli nie — to cześć, złotko, jesteś mniej niż zerem.

Hollywood. Żeby zostać aktorem czy aktorką, trzeba naprawdę być masochistą. Bez dwóch zdań.

A jeżeli już przy tym jesteśmy, to zawód pisarza też nie jest kaszką z mleczkiem. Wspomniała swoje pierwsze podejście z własnym szkicem serialu telewizyjnego. Po pierwsze, nikt jej nie potraktował poważnie. Chodziła od agenta do agenta i do tak zwanych kierowników sieci telewizyjnych. *Kim pani jest? Jakie ma pani referencje? Dziecinko — przeciw tobie przemawiają trzy rzeczy. Po pierwsze — pochodzisz ze Wschodniego Wybrzeża. Po drugie — jesteś kobietą. I po trzecie — jesteś kobietą.*

Och, doprawdy?

Więc może byśmy poszli do łóżka i to sobie omówili?

Nigdy nie wykorzystywała wpływów Neila, aby cokolwiek osiągnąć. Pomysł na serial był dobry. Ostatecznie go sprzedała. Potem przyszła książka o Hollywood sprzed lat i pisanie stało się błogosławieństwem, j Była bowiem panią samej siebie i nikogo nie musiała słuchać. Nakręcenie filmu o dzieciach stało się wyzwaniem największym ze wszystkich. Zrobiła go całkiem sama. Odniosła niemały sukces. Szczególnie jak na kobietę, pomyślała cynicznie.

Zadzwoiła, by podesłano jej następnego aktora, i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się głęboko. Jak tam sobie Neil radzi w Palm Beach z tym wspaniałym George'em Lancasterem? Nie żeby ją to specjalnie obchodziło. Jeżeli uda się im go namówić, film będzie kasowy. W przeciwnym wypadku może znajdą aktora z prawdziwego zdarzenia. Kogoś, kto potrafiłby tchnąć życie w postać starego gliiniarza. Taka perspektywa była dużo bardziej pociągająca.

Otworzyła leżący przed nią na biurku skrypt i przerzuciła strony. Ten film będzie znakomity. Z Neilem jako reżyserem nie ulegało to żadnej wątpliwości.

No więc, co taki facet ma począć? Pozwolić swojej świeżo poślubionej małżonce na

głodowanie? Bo niechybnie do tego dojdzie, jeżeli natychmiast nie skombinuje paru dolców. Buddy posepnie siedział za kierownicą samochodu, rozmyślając o tym wszystkim. Po raz któryś z rzędu. Tyle ostatnio rozmyślał, iż zdawało mu się, że mu głowa pęknie.

Był aktorem. To jego rzemiosło. Nie może znaleźć pracy. Więc? Jakie inne zajęcie pozwoli utrzymać mu się na powierzchni i jednocześnie umożliwi chodzenie na kolejne rozmowy? Nie miał ochoty zarabiać na życie pracą parkingowego.

Odpowiedź była prosta. To nic takiego, jeśli się nad tym naprawdę zastanowić. Pół godzinki w łóżku z jakąś kobietą bez twarzy, setka w kieszeni i czas dla Angeli. A czego oczy Angeli nie będą widzieć...

Już się zdecydował. Sprawdził swój wygląd we wstecznym lusterku, nastroszył włosy i przymrużył smolistoczarne oczy. Usatysfakcjonowany wyskoczył z samochodu i zdecydowanym krokiem skierował się do sklepu dla panów, własności Dandysa, na Santa Monica Boule-vard. Sześć lat temu było to po prostu okienko w ścianie, przez które sprzedawano wyroby ze skóry. Od tamtego czasu Dandys nabył budynek po przeciwnej stronie ulicy i porósł w piórka. Teraz sklep miał szyby wystawowe na kilka bloków, a handlowano tam wszystkim od garniturów Cerrutiego po kaszmirowe szaliki w szkocką kratkę. Na Buddym zrobiło to wrażenie. Pomyślał, czyby nie dało rady dostać tu zniżki?

W sklepie wybiegł mu naprzeciw wyperfumowany transwestyta.

—Wiiitaj — zaćwierkał ten odziany w lamę stwór o niepokojąco męskim głose. — Czym mogę ci służyć?

Buddy odruchowo zrobił krok w tył. Pederasci. Nieodmiennie go denerwowali. — Czy jest wasz szef? Transwestyta zatrzepotał sztucznymi rzęsami. — Czy chodzi ci o pana Jacksona?

—To Dandys?

—Słucham?

—Murzyn. Nosi skórzane ciuchy.

—Wygląda mi to na pana Jacksona.

—Przekaż mu, że Buddy jest tutaj.

—Z największą rozkoszą bym to zrobił. Ale pan Jackson nigdy nie pojawia się przed pierwszą. — W zadumie przytknął wymanikiurowany palec do brody. — Może zechciałbyś zaczekać?

—Hej — prychnął Buddy. — Nie mogę czekać. Mam kupę spraw do załatwienia.

—Oczywiście, oczywiście. — Transwestyta był zakochany. Bursztynowe oczy pały

obietnicą wierności.

—Gdzie mógłbym go teraz złapać?

—Doprawdy, nie mam pojęcia.

—No to się zastanów.

—Och, mój drogi. Wiesz, pań Jackson ma surowe zasady co do podawania jego domowego adresu i numeru telefonu.

Buddy zmrużył oczy manierą twardego gościa. — A ja mam surowe zasady, by zawsze dostać to, czego chcę.

Transwestyta zamachał delikatnymi dłońmi. — To co wobec tego uważasz, że powinienem uczynić?

Buddy puścił oko. — Daj mi ten adres. Nikt nigdy się o tym nie dowie prócz nas dwóch. To będzie nasz wspólny sekret. Zgoda?

Transwestyta uśmiechnął się nerwowo. — Jeżeli ty tak mówisz...

Nic w tym dziwnego, że George Lancaster uwielbiał życie w Palm Beach. W Beverly Hills czy w Palm Springs byłby tylko jeszcze jednym emerytowanym gwiazdorem. Plątały się tam tuziny jemu podobnych - Sinatra, Kelly, Astaire, Hope. Za każdym razem, jak tylko wytkniesz nos z domu czy zajrzysz na pole golfowe, to na nich wpadasz. Natomiast w Palm Beach George Lancaster sprawował niepodzielną władzę. Był królem. Albo przynajmniej księciem małżonkiem u boku swojej żony, Pameli London, trzeciej w kolejności najbogatszej kobiety Ameryki.

Neil ostrożnie sondował ich oboje podczas lunchu wydanego na jego cześć. Pamela była niewiastą, przy której należało się mieć na baczności. Słyszała ze swojego ostrego języka i błyskotliwego dowcipu. Czterech mężów już miała, George był piąty z kolei. — Jeden mąż na dekadę — lubiała powtarzać. — Żaden z nich nie utrzymał się dłużej. Z wyjątkiem, oczywiście, George'a.

Pięćdziesiąt cztery lata, grubokoścista, wysoka na sześć stóp, z dziką strzechą kręconych, rudych włosów.

George natomiast to znakomicie zakonserwowany sześćdziesięciodwulatek. Przedtem dwukrotnie żonaty. Pierwszy raz przez trzydzieści dwa lata z sympatią z dzieciństwa. Owocem tego związku była córka, Karen. A po raz drugi z hollywoodzką kurewką przez dokładnie dziewięć miesięcy, trzy dni i dwie minuty.

Pamela i George tworzyli imponującą parę. W ciągu pięciu lat małżeństwa wypracowali sobie

wzajemną, przyjacielską animozję. Królowały uszczypliwości, ale ich grze było na imię „wspólne życie”.

—No więc jak? — zagadnęła Pamela, mierząc Neila niebieskimi jak chabry oczami. — Chciałbyś, żeby stary George ruszył swój tłusty obwisły tyłek i wrócił do pracy? Co?

Neil uśmiechnął się i zerknął na drugi kraniec długiego stołu, gdzie siedział George, pochłonięty rozmową ze spieczoną na słońcu królową kosmetyków. Można było zaufać Pameli, że uplasuje go jak najdalej: Ona wiedziała dobrze, że przyjechał tutaj specjalnie dla George'a.

—Jeżeli zechce — odparował lekko.

- Jeżeli zechce — prychnęła. — To znaczy, masz na myśli, jeżeli ja zechcę.

Neil znał Pamelę od lat. Swego czasu była żoną producenta filmowego, jego przyjaciela, mieszkała w Beverly Hills, obracali się więc w tych samych kręgach towarzyskich. Jego nie zastraszy. Uśmiechał się dalej:

—George'owi podoba się scenariusz, ja zresztą też. I co byłoby złego w krótkim odskoku od tego luksusu? Możesz się przecież z nim zabrać.

Roześmiała się ochryple. — Sam wiesz, jak ja kocham Beverly Hills. Gwiazdeczki wystawiające na pokaz wszystko, co mają. Obrzydliwi starzy faceci noszący złote łańcuchy i pomarszczoną opaleniznę. Ta-niocha, Neil, kochanie, a ja nienawidzę taniochy!

—No to nie jedź — rzekł zgodnie. — George mógłby tu wracać samolotem co piątek. Załatwimy prywatny samolot.

- Ja już mam prywatny samolot — roześmiała się. — A prawdę powiedziawszy, to dwa.

—Wiem. Ale po co korzystać z twojego, kiedy producent filmu może dostarczyć wszystkiego, czego tylko George zapragnie?

Uniosła brwi. — Czego tylko zapragnie?

—Wystarczy powiedzieć.

—Hmm... — Popatrzyła w zamyśleniu.

Neil przełknął to niewielkie zwycięstwo. Bardzo bogate osoby uwielbiają samą myśl o tym, że mogą dostać coś za darmo. — No i? — nacisnął.

—Właśnie myślę.

—Może coś pomogłoby ci podjąć decyzję?

Wskazała palcem jego szklanę z wodą mineralną Perrier. — Dlaczego nie pijesz nic mocniejszego?

—Nie zmieniaj tematu.

—Nie cierpię facetów, którzy nie piją. Czuję się przy nich nieswojo.

Neil skinął na kręcącego się w pobliżu kelnera. — Podwójny Jack

Daniel's z lodem. — Potem zwrócił się do Pameli. — Nie chciałbym, żebyś się czuła nieswojo.

Uśmiechnęła się kokieteryjnie. — Dobrze wyglądasz, Neil. Może rzeczywiście powinniśmy pojechać do L.A. Powłóczyć się trochę po tej dziurze.

Lunch jedli w Palm Beach Country Club. Intymne przyjęcie na trzydzieści osób, z których Neil nie znał żadnej, a większość dźwigała na karku piąty krzyżyk. Nagle zaczęło przygnębiać go towarzystwo równolatków. Pomyślał przelotnie o Montanie i jej fascynującym uroku młodości. Kiedy byli razem, nie odczuwał różnicy wieku. Ale teraz otaczały go twarze po operacjach plastycznych, kosztowna biżuteria i dłonie nakrapianie plamami wątrobianymi. A potem przypomniał sobie Ginę Germaine, czekającą cierpliwie w hotelu, gdzie rano wynajęli dwa sąsiadujące ze sobą numery. Przy niej też nie czuł się staro. Sprawiała raczej, że czuł się niczym młodzik. A przynajmniej młode było jego ciało. Dokładnie rzecz biorąc, jego kutas.

— Centa za brudną myśl, która przeleciała ci przez głowę — odezwała się niespodziewanie Pamela.

—Co takiego? — zdumiał się Neil.

Uśmiechnęła się. — Zawsze odgaduję, kiedy mężczyzna myśli o seksie.

—Ja nie myślę.

Uniosła brwi. — Nie? A czym ty się różnisz? Czyżbyś w miejscu jaj miał kłębki wełny?

Roześmiał się. — Ty się tutaj marnujesz, Pamela. Powinnaś pisać dymiące seksem powieści.

—A skąd wiesz, że nie próbowałam? Jak zresztą wszystkiego.

—Wyszczrzyła się do niego. Tyle forsy w kieszeni, a takie żółte zęby.

—Prócz ciebie, Neil, kochanie. Ile to już lat, a my ani razu sobie nie pofiglowaliśmy. Wiesz, powinniśmy nadrobić stracony czas. — Poglaskała go ukradkiem po kolanie. — Ja zawsze gustowałam w pieprzeniu na brytyjską modłę. To tak klasycznie, tak w stylu Richarda Burtona. Prawdę mówiąc, uważam, że przypominasz odrobinę drogiego Richarda. Ten sam wściekły wyraz twarzy, ten sam...

— Pamela. — Odsunął jej dłoń. — Nie rób uników. Wracajmy do tematu. Chcesz czy nie, żeby George nakręcił ten mój film?

— Cholera jasna! — rozdarł się Ross, ciskając słuchawką. — Ci agenci. Wypieprzyć ich i rzucić rybom na pożarcie. Przeklęte pasożyty!

Cześć, Ross... Tak, Ross... Nic do roboty, Ross...

A cóż oni wiedzą? Nic. Zero. Nawet tyłka sobie nie podetrą bez oddarcia dziesięciu procent srajtaśmy.

Przez całą swoją zawodową karierę Ross wszystko im podawał na tacy. *Zadzwoń do Foxa. Zadzwoń do Paramountu. Zadzwoń do Wil-dera. Zadzwoń do Zanucka.* To praca odnajdywała jego. Nigdy żaden agent nie ruszył dupy dla Rossa. A teraz, po dwudziestu pięciu latach podstawiania im wszystkiego pod nos, chciał, aby coś działali.

—A co z nowym filmem Neila Graya? — spytał Zacka Schaeffera.

— Słyszałem, że byłaby tam dla mnie dobra rola.

Nic nie wiem na ten temat, Ross. Rozejrzę się, Ross... Oddzwonię ci, Ross...

Dlaczego on nic o tym nie wiedział? Jego fach polegał na dowiadywaniu się.. Sadie La Salle wiedziałaby. To w jej dłonie powinien był złożyć swoją karierę.

—Elaine! — ryknął.

Przez drzwi wsunęła głowę Lina. — Pani Conti na gimnastykę. Chce pan kawy?

Zaklął dziko pod nosem. Elaine nigdy nie było pod ręką, kiedy jej potrzebował. W przeciwnym razie — zawsze.

—Chcę — warknął.

Lina zniknęła. Usiadł przy telefonie i zasepił się.

Sadie La Salle. To ona to wszystko puściła w ruch. Niechętnie musiał przyznać, że bez Sadie i jej plakatu może nigdy nie zostałby tym, kim jest.

I jak on się jej za to odpłacił? Dał nogę z pierwszą piękną parą cycków, jakie zwróciły się w jego stronę. Podpisał kontrakt z wielką agencją. Bez pożegnania. Listu, telefonu. Po prostu, któregoś dnia, kiedy Sadie akurat była poza domem, zwinął żagle.

Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, Sadie La Salle powinna była zwyczajnie zniknąć z jego życia raz na zawsze. I owszem, zniknęła — ale tylko na trochę. Kiedy kariera Rossa zaczęła zwyżkować, nic o Sadie nie słyszał. A gdy już usłyszał, to nie było w tym nic nadzwyczajnego. Więc chciała zostać agentem? I co z tego? Oprócz Rossa nie miała innych klientów.

Odkryła nieznanego komika o nazwisku Tom Brownie i uczyniła go największą gwiazdą kabaretu na miarę Reda Skeltona. Potem zajęła się neurotyczną pieśniarką Melody i stworzyła z niej nową Judy Garland. Adam Sutton, dopóki nie dołączył do jej stajni, grywał w drugorzędnych filmidłach. Nie minęły dwa lata, a stał się najbardziej kasowym aktorem. George Lancaster zdezerterował dla niej z ICM. Wszyscy ciągnęli do niej jak pszczoły do miodu. W ciągu tych lat na jej liście znalazła się najlepsza klientela Hollywood.

Sadie La Salle. Niska, gruba Sadie z wąsikiem.

Od czasu do czasu natykali się na siebie na przyjęciach i premierach. Wąsik zniknął — zasługa kosztownej elektrolizy. Zrzuciła trzydzieści funtów, miała drogie i świetnie skrojone ubrania. Krótka fryzurka zastąpiła rozwichrzone czarne kędziory. Nie była żadną pięknoscią, ale bezsprzecznie wyglądała znacznie korzystniej.

Usiłował być wobec niej przyjacielski. Odpowiadała mu zimnym skinieniem głowy. Starał się nawiązać rozmowę. Odwracała się na pięcie.

We wczesnych latach siedemdziesiątych uznał, że jej potrzebuje. Czysto profesjonalnie, rzecz jasna. Więc zatelefonował, dobił się jedynie do sekretarki, zaproponował, by może pani La Salle zechciała do niego wpaść.

Nigdy na tę propozycję nie odpowiedziała. Co wprawiło go w furję. Jakaż ona piastuje do niego urazę? Przyłapał ją na następnym party. Przyszła w towarzystwie homoseksualisty, projektanta mody. Rozeszły się pogłoski, że i ona gustuje we własnej płci. Ale Ross coś na ten temat wiedział.

— Sadie — zagał słodko. — Myślę, że ty masz szczęśliwą rękę. Wiesz, co? — Błysnął słynnym uśmiechem Contiego. — Szukam wł" nie nowego agenta. Może ty mogłabyś nim zostać?

Zmierzyła go zimnym spojrzeniem. — Nie potrzebuję więcej klientów, Ross.

Cios. Niespodzianka. Omotać ją czułymi słówkami. — Minęło piętnaście lat, kochanie. Teraz to tylko interesy.

—Pieprzę interesy — odparowała twardo. — Gdybym miała polegać na tobie, że dasz mi jeden jedyny ciepły posiłek tygodniowo, zdechłabym z głodu. Rozumiemy się, Ross?

Suka! Lesba! Przechodzona cipa! Od tamtej pory nie zamienił z nią ani słowa.

Może już czas, by spróbować raz jeszcze. Teraz, kiedy jest żonaty z Elaine i minęło następne dziesięć lat.

—Panie Conti. — Lina stanęła niczym słup w drzwiach, jej słoniowate nogi wystawały spod

białego mundurka, wymysłu Elaine.

Zduślił przygnębienie i udało mu się uśmiechnąć. Nie może zawodzić swoich wielbicieli. —

Tak, Lina? O co chodzi?

—Miguel chory. Okay, gdy przyprowadzę chłopca?

Po jaką cholereę zawraca mu głowę? Sprawy domowe to działka Elaine. Bóg jeden wie, ile wyrzuca forsy, żeby wszystko szło gładko. — Jaki chłopiec? — spytał zły, gdyż zamierzał kazać Miguelowi umyć Corniche'a.

—Dobry chłopiec. Bardzo miły. Okay, gdy dam mu basen?

—Ma prawo jazdy?

—Jasne, ma.

—Świetnie. No to dawaj go tutaj. Niech weźmie z garażu Corniche'a. Niech go umyje i przygotuje na pierwszą.

Lina kiwnęła głową i uśmiechnęła się, co w jej przypadku było rzadkością.

—A gdzie moja kawa? — spytał Ross.

Potrząsnęła głupio głową. — Zapomniałam.

—No to zaraz ją przynoś.

Wyleciała z pokoju. Zadzwoił telefon. Ross chwycił słuchawkę i warknął krótko: — Tak?

- Witaj w domu, kotku — szepnął niski, ochrypły głos.

—Kto mówi?

—Nie wiedziałam, że masz taką krótką pamięć. Czyżby nasze popołudnie na plaży było tak nieistotnym doświadczeniem? Rozumiem, że zdarzyło się to już całe tygodnie temu, ale jednak zdarzyło się naprawdę, Ross.

Roześmiał się. — Karen!

—Ta sama.

—Kiedy się będę mógł z tobą zobaczyć?

—Określ tylko czas i miejsce, a twoja wierna Karen się tam stawi.

—Twój dom przy plaży. Trzecia trzydzieści.

—Będę czekać.

—A ja dojdę.

—Och, wiem, wiem, że dojdiesz do szczytu. Oboje się roześmieli.

Elaine spóźniła się na lekcję tenisa i jej trener, ruchliwy nowojorczyk z zębami oślepiającymi jak śnieg i chwytem samuraja, nie był tym faktem zachwycony. — Dziesięć minut

spóźnienia, pani C, to dziesięć minut straty.

I co z tego?, pomyślała zirytowana. Przecież to ja płacę. Czy, ściślej mówiąc, Ross. Po trzech latach kiepskiego przerzucania piłki nad siatką postanowiła wreszcie, że musi się podciągnąć. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z faktem, że Bibi Sutton rozpoczęła wydawanie sutych tenisowych lunchów „dla dziewczyn” w swojej posiadłości w Bel-Air. I że Elaine raz tam zaproszono, ale grała jak noga, więc na ' tym się skończyło.

Stanął sztywno na swojej stronie kortu. Po dwóch dniach ciężkiej harówki u Rona Gordino bolały ją łydki. Nie tak łatwo ćwiczyć tam codziennie. Może zmniejszy liczbę zajęć do trzech tygodniowo. Ale w jakie dni? To problem. Które były właściwe? Kiedy pojawia się tam Bibi Sutton? Piłka śmignęła obok jej rakiety, Elaine zamachnęła się na pół gwizdka, ale nie trafiła.

—Pani C! — skarcił ją trener.

Wolałaby, żeby nie zwracał się do niej per „pani C.” Brzmiało to zbyt familiarnie, a ona bynajmniej nie należała do tych, co chciałyby się spoufalać z trenerem tenisa. — Moje nazwisko brzmi Conti — przypomniała mu ostrym tonem.

—Wiem — odparł niefrasobliwie. — No a teraz, czy sądzi pani, że zdoła się pani skoncentrować, pani C?

Zmierzyła go wściekłym wzrokiem. Miał owłosione nogi i węzły mięśniów ginące w wykrochmalonych, białych szortach. Pomyślała sobie, jakiego też on może mieć kutasa? Pewnie owłosionego, twardego i... Potrząsnęła głową. Po kiego licha myśli o jego kutasie? Przecież nie trawi faceta. Szybko przyjęła pozycję do gry i z wdziękiem odbiła piłkę, skierowaną właśnie w jej stronę. — Tak już lepiej! — pochwalił ją.

Ośmielona zdobyła się na znośny wolej, zwinnie biegała po korcie. Trzy kwadransy później lekcja dobiegła końca. Elaine zlnana potem pospieszyła do szatni, gdzie wzięła trzeci tego dnia prysznic. Zdumiewające! Jej skóra wyschła niczym śliwka. Musi pamiętać, by nie mieć lekcji tenisa tego samego dnia co gimnastyki. Wyjęła z torebki mały, czarny, oprawny w skórę notes od Cartiera i napisała szyfrem: TENISGIMNIE! A po namyśle dodała: SPYTAĆ KAREN. Karen z pewnością będzie wiedziała, w jakie dni należy pokazywać się na zajęciach Rona Gordino. Trochę zmęczona, ubierała się powoli. Myślała, czy wszystkie te witaminy, jakie zalecił jej dietetyk, wychodzą jej na dobre. Ross wykrzywił się, kiedy przyłapał ją na łykaniu tuzina pigułek dziennie. Ale gdy wytłumaczyła mu, że dodają człowiekowi energii, zapobiegają przeziębieniu, rakowi, poprawiają cerę, wyostrzają wzrok... no tak, szybko

zmienił zdanie. I teraz sam je łykał. Plus żeńszeń, o którym mówiono, że koncertowo wzmacnia potencję. Po trzech tygodniach kuracji nie zaobserwowała u męża żadnej zmiany na lepsze.

Miała nadzieję, że skontaktował się z Zackiem Schaefferem w sprawie filmu Neila Graya. Och, cóż to byłby za triumf powrócić znów na szczyty — znaleźliby się na wszystkich listach gości, telefon by się urywał, a głośni projektanci mody błagaliby o noszenie podarowanych przez nich strojów, szoferzy zaś i goryle strzegliby każdego kroku państwa Conti.

Pomyślała z niechęcią o Rossie. Dlaczego pozwolił się zepchnąć w dół? W której minucie, godzinie, dniu spadł z piedestału?

Starzał się, oto, jaka była przyczyna. Za dużo pił, zapuścił sobie brzuch, pod oczami pojawiły się worki, a skóra obwisła niczym na starym parobku z rancho. Elaine zaklinała go, aby wrócił pod czułą opiekę jej byłego męża, chirurga plastycznego. — Nie ma mowy — prychnął. — Nie życzę sobie, żeby moja twarz wyglądała niczym jakaś cholerna maska.

Co miesiąc musiał płacić różnej wysokości alimenty dwóm poprzednim żonom. Kiedy zarabiał kupę forsy, było to ledwie odczuwalne. Ale gdy szmal przestał płynąć, ubytek okazał się dotkliwy. Proces redukowania wydatków natomiast bolesny. Najpierw oszedł szofer, potem stała gospodyni wraz ze swoim dwuosobowym personelem, następnie ogrodnik i facet sprawujący pieczę nad basenem. A teraz została tylko Lina, przychodząca na dzień, prócz weekendów. I Miguel, będący kimś pośrednim między ogrodnikiem, baseniarzem i szoferem. Elaine parsknęła ze złości, wkładając szybko sukienkę z dzianiny od Giorgio oraz sandały na wysokich obcasach od Charlesa Jourdana. Jediną rzeczą, przy której stanowczo sprzeciwiała się oszczędzaniu, były jej ciuchy. Mój Boże! Jeżeli nie możesz pokazać się w Beverly Hills w odpowiednich strojach, to równie dobrze możesz wleźć w mysia dziurę i zniknąć! Chociaż i tak znakomicie sobie radziła. Przecież wcale nie zostali jeszcze definitywnie spisani na straty. Po prostu, musieli żyć odrobinę oszczędniej, zgodnie z tym, co tak dosadnie ujął doradca finansowy Rossa: -- Wielka forsa jest już poza tobą, Ross.

—Głupiec. Co on wiedział? Elaine ponownie wywinduje Rossa na sam szczyt, nawet po trupach.

—Wracaj na górę, Ross — prosiła nagląco Karen Lancaster. Uniósł głowę spomiędzy jej ud.

— Nie robię tego ze wszystkimi

—zdziwił się. — Prawdę mówiąc, nie pamiętam ostatniego razu.

—No to czego się spodziewasz? Nagrody? Wracaj na górę! Posłuchał i zaczął z wigorem

pompować.

Karen zaliczała się do kobiet „jękliwych”. Jej „ochy” i „achy”, i „jeszcze, kotku, jeszcze”, stawały się coraz głośniejsze.

Im więcej robiła hałasu, tym Ross gorliwiej pompował, aż wreszcie jednocześnie osiągnęli głośny orgazm.

Ross przeturlał się na bok ze słowami: — Cholernie nieźle! — Oczekiwał pochwały.

Karen obróciła się na brzuch i leżała jak martwa.

Do ogromnego pomieszczenia o przeszklonych ścianach wpadały ukośnie promienie słoneczne, igrając na ogromnym kolistym łożu, na którym leżeli w skotłowanej, satynowej kapie.

A na zewnątrz Pacyfik niespiesznie toczył swoje fale, pieszcząc delikatnie plażę Malibu. Dzień był doskonale przejrzysty.

—Nieźle — powtórzył Ross, gdy stało się jasne, że Karen nie zamierza przemówić pierwsza.

— Wcale nieźle. — Cisza. Lekko poklepał ją po pupie. Brak reakcji. — Śpisz? — spytał niedowierzająco.

—Daj mi z pięć minut — wymamrotała, zwijając ciało w ciasny kłębek.

Wstał z łóżka i poczłapał na bosaka przez pokój. To dopiero pokój. Kollista fantazja zaprojektowana wokół płytkiej sadzawki. Z jednej strony ocean, z drugiej zieleń i podjazd, w tej chwili zajmowany przez złocistego Corniche'a i sportowe, czerwone Ferrari Karen.

Ross odnalazł supernowoczesną kuchnię na tyłach domu i wyjął z lodówki oszronioną butelkę Budweissera.

Nie ma co mówić, Karen była warta wycieczki na plażę. Już za pierwszym razem to podejrzewał, ale teraz upewnił się na dobre. Za jej przyczyną zdobył się na takie szpasy, jakich nie robił od wieków.

Mała Karen. Chryste, znał ją, odkąd miała sześć latek. George Lancaster często przyprowadzał ją z sobą do studia.

Mała Karen. Był na jej pierwszym ślubie z potentatem handlu nieruchomościami, wiele czytał o jej drugim ślubie z osławionym kompozytorem. Od kiedy została najbliższą przyjaciółką Elaine, mnóstwo wieczorów spędził w jej towarzystwie.

Mała Karen. Oblaskawiona tygrysica.

Zetknęli się całkiem przypadkowo koło Brentano w Wilshire, w przededniu jego wyjazdu na zdjęcia. — Musisz koniecznie obejrzeć moje nowe Ferrari Spyder — nalegała. — Dopiero

wczoraj go kupiłam.

Zaciągnęła go przez ulicę na parking American Savings, gdzie parkingowy specjalną troską otaczał jej ostatni nabytek.

—Prezent od tatusia? — spytał obojętnie, nie poświęcając zbytnej uwagi smukłej, czerwonej maszynie. Nigdy nie miał hopla na punkcie samochodów.

—No a jak inaczej? Chodź, Ross, przejedź się ze mną. Chyba się nigdzie nie spieszysz?

Jeśli miał być szczery, to tak. Miał umówione spotkanie ze swoim prawnikiem, ale Karen zaczęła raptem nadawać jakieś sygnały. Nie potrafił się oprzeć sprawdzeniu, czy znaczą to, co mu się wydawało. Wsiadł do samochodu.

—Fajny, nie? — spytała Karen, moszcząc się za kierownicą. A potem odjechali z rykiem silnika przez Wilshire w zapierającym dech Pędzie, o wiele za prędko jak na stateczny, trzypasmowy ruch Cadillaców, Mercedesów i Lincolnów. Ciężarówka dostawcza umknęła spod świateł, a jakiś dzieciak ścigał się z nimi od krawężnika do krawężnika. Kiedy dobili do Westwood, Ross cieszył się każdą chwilą tej zwariowanej jazdy.

—Masz ochotę na plażę? — spytała Karen, podczas gdy w jej oczach było zupełnie inne, nie wypowiedziane pytanie.

—Czemu nie? — Spotkanie z prawnikiem może poczekać. Niech zajmie się tym jego doradca finansowy. Przecież chyba za to mu płaci.

Dwadzieścia minut później znaleźli się u drzwi jej plażowego domu w Malibu. Pięćdziesiąt dwie sekundy potem turlali się po puszystym futrzaku, na oślep ściągając z siebie wzajem ubranie. Dosiadł jej niczym ogier, rozrywając zamszową spódnice i przedzierając się przez jej majtki.

Jej fantazja zaskoczyła ich oboje.

Musieli się spieszyć na umówione spotkania w mieście. Następnego dnia Ross wyjechał z L.A. na zdjęcia.

Ucieszył się, gdy zadzwoniła po jego powrocie. Karen zapowiadała się na coś więcej niż tylko przelotny skok w bok. Tego był pewny.

Dandys rezydował w apartamencie pod dachem budynku przy Do-heny Drive. Mieszkał wraz z białym projektantem wnętrz Jasonem Swankle, oraz ze szkaradnym buldogiem o imieniu Shag.

Buddy niecierpliwie nacisnął dzwonek. Kiedy już raz zdecydował się wrócić do dawniejszej formy zarobkowania, chciał jak najszybciej się za to zabrać.

Drzwi otworzył Jason. Tłuściutki jak suseł facecik w pawoniebieskim dresie ozdobionym złotą biżuterią. Towarzyszył mu Shag. Obwąchawszy pobieżnie nogę Buddy'ego, wspiął się na nią, jakby to była pierwsza lepsza suka z sąsiedztwa.

—Hej! — krzyknął przerażony Buddy. — Zabierz go ze mnie!

—Leżeć, pies! Leżeć — rozkazał Jason, ciągnąc za wysadzaną diamentami obrozę Shaga.

Buddy trzasnął nogą z obrzydzeniem. — Kurde. Shag zlął i zawarczał ostrzegawczo.

—Czym mogę ci służyć? — spytał zalotnie Jason, wspierając jedną pulchną, upierścienioną dłoń na biodrze. Obciął Buddy'ego z góry na dół i napawał się tym widokiem.

—Szukam Dan... tego... pana Jacksona.

—Ubiera się. Idziemy na ślub. Może ja mógłbym w czymś pomóc — rozjaśnił się Jason. Potem puścił oko. — Zrobiłbym to z największą przyjemnością.

Co te pedały w nim widzą? — To kwestia biznesu — wyjaśnił szybko Buddy. — Osobista. Zabiorę mu tylko minutę.

Jason wydał mięsiste wargi. — Marvin nie lubi prowadzić interesów w domu. Czy to coś w związku ze sklepem?

Marvin! Buddy kiwnął głową i spróbował przekroczyć próg frontowych drzwi.

Shag warknął, a Jason powziął decyzję. — No dobrze. W porządku. Poczekaj tutaj, przywołam go.

Odszedł kaczym chodem na swoich krótkich, zwalistych nóżkach. Buddy'emu przyszło przez myśl, że muszą tworzyć z Dandysem dziwną parę — Dandys taki wysoki, szczupły i czarnoskóry, Jason zaś okrągły, tłuściutki i biały. Ale co tam, każdemu wedle jego gustu.

Gwizdnął cicho przez zaciśnięte zęby, mając nadzieję, że Dandys może ma coś od ręki. Tak miło byłoby wrócić do domu z prezentami dla Angeli.

—Kim ty, do kurwy nędzy, jesteś? — Oto Dandys we własnej osobie, szczuplejszy, niż Buddy pamiętał, z czarnymi włosami zaplecionymi w warkoczyki i ozdobionymi różnokolorowymi paciorkami.

—I czego, do kurwy nędzy, chcesz?

Nie ma to jak serdeczne powitanie. — Hej, stary, D.J. To ja, Buddy Boy. Musisz mnie przecież pamiętać. — Wyciągnął przyjacielską dłoń, którą Dandys energicznie odepchnął. — Przecież pracowałem dla ciebie, stary. Randy Felix mnie wprowadził. Byłem jednym z twoich najlepszych.

Dandys pociągnął nosem. — W czym jednym z najlepszych?

Buddy obejrzał się na korytarz. — Czy mogę wejść? Możemy porozmawiać? — Spróbował przekroczyć próg. Shag wściekle zawarczał.

—Ja... no... chciałbym znowu wejść w interes. Wiesz, tak jak kiedyś, potrzeba mi forsy. A ty zawsze znakomicie organizowałeś takie rzeczy.

—Nie zajmuję się już tymi rzeczami. — Dandys splunął, znowu pociągnął nosem i zaczął zamykać drzwi. — A nawet gdybym się zajmował, czego nie robię, to uwierz mi, człowieku, dobrze cię zapamiętałem. Ty byłeś tym czarusem, który mógł robić to wyłącznie z paniami. Prawda? I, jeżeli dobrze pamiętam, wypiąłeś się na mnie i wszedłeś w układy z tym tłustym kutasem Maxie'm Sholto. A z nim, o ile się orientuję, pieprzyłeś się na prawo i lewo. Więc gdybym dalej robił w tym biznesie, co, jak powtarzam, nie jest prawdą, wtedy gdybyś nawet pierdział w rytm hymnu narodowego i owijał sobie za każdym razem ptaka flagą, to wciąż nie byłbym zainteresowany w podsuwaniu ci nikogo z rodzaju ludzkiego. A teraz spływaj! — Zatrzasnął z hukiem drzwi.

—Cholera! — mruknął wściekle Buddy. — Co za cholerne gówno! Zły, okręcił się na pięcie i pomaszerował do windy. Sam, kurwa, był sobie winien.

Jason Swankle dopadł go akurat w chwili, gdy już wyjeżdżał z podziemnego garażu. — Szczęście, że cię jeszcze znalazłem — wysapał, podbiegając do samochodu i ciągnąc za sobą opierającego się Shaga.

Buddy spiorunował go wzrokiem. — Bo co?

—Bo chciałbym ci pomóc. Przypuszczam, że mogę ci pomóc.

—Nie jesteś w moim typie — warknął Buddy złośliwie.

- Weź moją wizytówkę — nalegał Jason. — Zadzwoń do mnie do biura. Jutro. — Wrzucił przez uchylone okno mały biały karteluszek. Sfrunął on na podłogę w chwili, w której Buddy opuścił stopę i z rykiem silnika wyjechał w późnopółnocne słońce.

Mała włoska restauracyjka z kraciastymi obrusami, znakomitym makaronem i mocnym domowym winem. Tłum gości. Sobotnie wieczory zawsze przyciągały tłumy. Millie Rosemont świetnie się bawiła, ale Leon czuł się nieswojo. Przyrzekł Millie solennie, że za nic w świecie nie będzie przynosił do domu kłopotów z pracy. I dotrzymywał tego przyrzeczenia. Aż do czasu morderstwa z Friendship Street. Aż do czasu, kiedy zobaczył zmasakrowane ciało Joey Kravetz.

Przypomniał sobie ich drugie spotkanie. Na długo przed tym, nim poznał Millie.

To nie był taki sobie zwyczajny deszcz. Lało jak z cebra. Wracając późnym wieczorem do

domu — wycieraczki zmagaly się ze strumieniami wody — Leon uznał, że nade wszystko jest głodny. Za ledwie godzinę wcześniej odwołał telefonicznie randkę z atrakcyjną rozwódką, z którą się ostatnio spotykał. Była całkiem miła, ale on w głębi duszy czuł, że jest piekielnie nudna. Odruchowo skręcił w lewo do Howarda Johnsona i zaparkował samochód na tylnym podjeździe. Potem przez deszcz pospieszył do narożnej niszy, gdzie zamówił grzanekę z kurczakiem i gorącą kawę. Otworzył gazetę i zajął się studiowaniem kolumny sportowej. Kelnerka przyniosła grzanekę i kawę, a on rozsiadł się, chcąc odpocząć po długim i męczącym dniu.

—Ty sukinsynu! — zaskrzyphiał czyjś głos.

Zdumiony spojrział znad gazety i zobaczył przy swoim stoliku drobną, rozzłoszczoną dziewczynę. Ramiona skrzyżowała na niechlujnej koszulce, jej nogi ginęły w wojskowych spodniach z demobilu, o kilka numerów na nią za dużych.

—Nie przypominasz mnie sobie, co? — Spiorunowała go wzrokiem.

—A powinienem? — spytał po chwili.

—Powinienem! Ha! Powinienem? Powinieneś, ty stary kutasie! Odłóż gazetę. — Chwileczkę! Jak ci się zdaje, do kogo ty mówisz?

—Do ciebie, gliniarzu! — splunęła.

—A czy ja ciebie znam? — zezłócił się.

—Przez ciebie zapuszkowali mnie w poprawczaku dla bab na cały pieprzony rok. Powinieneś mnie znać — wychrypiała triumfalnie.

Dopiero wtedy spostrzegł zezujące oko i wróciła mu pamięć. To ta prostytutka o dziecinnej twarzy, która zaczepiła go któregoś wieczoru, potem kopnęła w pizszel i zwiata. Zadzwoził potem do Grace Mann z wydziału dla nieletnich, podał namiar miejsca i rysopis, i złożył wszystko w fachowe dłonie policjantki. Grace najwidoczniej sobie z tym poradziła.

—Myślałem, że tak jak mówiłaś, naprawdę masz osiemnaście lat — oskarżył ją.

—No to kłamałam, wielkie mi co. I przez ciebie nakryli mnie, przymknęli na jakiejś gównianej farmie z kupą dzieciaków. Piękne dzięki, kowboju.

Starał się zdusić uśmiech. Była tak rozpaczliwie wściekła. Nie chciał jeszcze bardziej podsycać jej gniewu. — To dla twojego dobra — wyjaśnił.

—Pieprzę cię — bluznęła i niespodziewanie usiadła. — Facet, z którym się umówiłam, nawalił. Więc ty możesz postawić mi kawę. Należy mi się chyba coś więcej niż szarpnięcie się na filiżankę kawy. — Potarła wierzchem dłoni nos i głodnym wzrokiem obrzuciła jego

kanapkę z kurczakiem.

—Chcesz coś zjeść? — spytał. Była tak wynędzniałym stworzeniem, że zrobiło mu się jej żal.

—Może być — zgodziła się, jakby robiła mu wyjątkową łaskę.

—Zafunduj mi taką jak sobie.

Skinął na kelnerkę i złożył zamówienie. Napelniwszy jego filiżankę kawą, kelnerka spieszenie odeszła.

—Jak ci na imię? — spytał Leon.

—Joey — pociągnęła nosem. — A na co ci to?

—Stawiam ci grzanekę. Więc mógłbym chociaż wiedzieć, kim jesteś.

Spojrzała na niego rozognionym, podejrzliwym wzrokiem, mruknęła:

—Parszywy gliniarz — i żarłocznie zabrała się za przyniesione właśnie jedzenie.

Leon przypatrywał się, jak je, zauważył jej obgryzione do kości paznokcie, brudną szyję i rozczochrane, ufarbowane na pomarańczowo włosy. Budzi we mnie ojcowskie instynkty, pomyślał kwaśno.

—Rozumiem, że zwolnili cię z tej farmy dla dziewcząt — zauważył.

—Mam nadzieję, że nie karmię uciekiniarki.

—Wypuścili mnie — przytaknęła z pełnymi ustami. — Musieli, kiedy wreszcie przyjechała po mnie moja siostra. A swoją drogą, to skończyłam już szesnaście lat i potrafię sama o siebie zadbać.

—Jasne, że tak.

—Możesz się założyć. — Rzuciła mu chytre spojrzenie. — Dzięki tobie, zresztą.

—Jakim cudem?

—No... Gdybym na ciebie nie trafiła, gdybyś nie nastąpił na mnie młodzieżówki, mogłabym nigdy nie spiknąć się z tymi superkociakami z farmy. Wiesz, poznałam je dobrze i kupę się od nich nauczyłam.

Przyszło mu nagle do głowy, że nie powinien z nią siedzieć. Pospiesznym gestem poprosił o rachunek.

—Gdzie lecisz? — spytała.

—Do domu — wyjaśnił, potem dodał ironicznie: — Oczywiście, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

—Myślałam, że chociaż mnie podwieziesz — jęknęła żałośnie.

—Zobacz, co się wyprawia na dworze.

Odwrócił się i wyjrzał przez duże okno. Deszcz dalej padał jak oszalały. — A skąd to przypuszczenie, że jadę w twoją stronę?

—No, jeśli to za duża fatyga, to podrzuc mnie przynajmniej na dworzec autobusowy. Jadę do siostry, ona mieszka poza miastem. Nie chciałabym się spóźnić na autobus.

Wiedział, że powinien jej odmówić, ale co, do cholery, był już po służbie, a Joey to tylko dzieciak.

—Wkładaj płaszcz — westchnął.

— Nie mam płaszcza.

— Na taką pogodę?

—Kto mógł przewidzieć, że będzie lać?

Uregulował rachunek, zabrał z wieszaka swój prochowiec, już miał go włożyć, kiedy zmienił zamiar i zarzucił go na ramiona dziewczyny. Chodźmy — powiedział.

Pobiegli do samochodu, Joey dreptała z tyłu, jęcząc wniebogłosy, kiedy siekły ją strugi deszczu.

—Chodź — powtórzył Leon, podnosząc głos. Otworzył drzwiczki. Wturlała się do wewnątrz jak wściekły szczeniak. Mimo osłony prochowca była przemoczona do suchej nitki. Zapalał silnik, ona tymczasem odnalazła w radiu muzykę disco.

—Masz szługa? — spytała.

—Rzuciłem palenie — burknął. — I ty też powinnaś.

—Jasne — prychnęła. — Jak mam już w życiu wszystko, to po co mi jeszcze fajki.

Zerknął na nią i ściszył radio. — O której masz ten autobus? Chwilę siedziała w milczeniu ssąc kciuk i wiercąc się w fotelu.

—Co za różnica, o której — wymamrotała wreszcie — skoro i tak nie ma sensu, bym jakikolwiek łapała.

Zmarszczył brwi. — Myślałem, że chcesz, bym cię podrzucił na dworzec.

—Jasne. Mogę tam przekimać na ławce. Robiłam to już zresztą i przedtem.

Jego cierpliwość wyczerpywała się z chwili na chwilę. Wylączając pstryknięciem radio spytał: — O czym ty mówisz?

—No... widzisz, moja siostra wybyła do Arizony. Żyje tam w jakiejś komunie. Miałam zebrać trochę forsy i dobić do niej. Ale mnie okradziono. — Rozpędziła się, opowiadając swoją historyjkę. — Napadło mnie dwóch czarnych. Chcieli mnie na ulicy przelecieć, ale im zwiątałam. Dostała się im tylko cala moja forsa, jaką zaoszczędziłam w pracy. Więc teraz

muszę zacząć od zera. — Przerwała. — A może ty masz trochę szmalu na zbyciu? Wypieprzę cię za dziesiątą.

Leon przyduśił hamulec i zatrzymał samochód. — Wynocha — rzucił ostro.

—O co ci chodzi? — zaskomlała.

— Won.

—Dlaczego?!

—Sama dobrze wiesz.

—Nie wiem, o co...

—Wynoś się. A może chcesz wrócić do młodzieżówki? Tam znajdą dla ciebie łóżko.

—Świński skurwiel! — zakląła, rozumiejąc, że Leon nie żartuje. Przechylił się, otworzył drzwiczki po stronie pasażera. Do samochodu wdarł się ulewny deszcz.

Głos Joey załamał się. — Wyrzucasz mnie na taką pogodę? Dlaczego nie możesz mnie odwieźć na dworzec?

—Bo mam cię powyżej uszu, a na dworzec mi nie po drodze. Ty zaś kłamiesz. A teraz won!

Ociągając się, wysiadła wprost w strugi deszczu. Zatrzasnął za nią drzwiczki i odjechał.

Ależ tupet. Zrobić mu coś takiego po raz drugi. Nagabywać go, jak gdyby był pętkiem, który musi płacić za te rzeczy. Może powinien był odwieźć ją w czułe objęcia wydziału dla nieletnich. Byłoby to z pewnością uprzejmiejsze, niż wyrzucanie jej na środku ulicy.

Chryste Panie! A teraz ma wyrzuty sumienia!

No tak, Joey miała zaledwie szesnaście lat, a noc jest paskudna. Jednakże, rozumował, nie byłaby mu wdzięczna za wydanie odpowiednim władzom. I przecież potrafiła o siebie zadbać. A na dodatek, on nie był za nią w żaden sposób odpowiedzialny.

Rozzłoszczony pojechał do domu, zostawił samochód na podziemnym parkingu i wsiadł w windę, by dotrzeć do mieszkania.

Dopiero stając pod gorącym prysznicem przypomniał sobie, że Joey i nie oddała mu prochowca.

Millie, przechyliwszy się ponad stołem, powiedziała bardzo słodkim głosem: — Kochanie, a gdybym teraz wyszła stąd, czy zrobiłoby ci tój jakąkolwiek różnicę?

—Co takiego? — Leon, zaskoczony, wrócił do rzeczywistości. Millie pocieszająco pogłaskała jego dłoń. — Witaj z powrotem.

—Zamyśliłem się.

—O, doprawdy? — Nie ukrywała ironii. — Sama bym nigdy na to nie wpadła.

—Po prostu zamyśliłem się — powtórzył starannie — gdzie tego roku moglibyśmy spędzić wakacje. Zdecydowałaś już, gdzie miałabyś ochotę pojechać?

—Do Kalifornii — odparła bez wahania. A potem, niespokojnie:

— Chyba nas na to stać, prawda?

—Oczywiście.

—Zawsze pragnęłam zobaczyć Kalifornię — mówiła z roziskrzonymi oczami. — A ty?

Leon zmarszczył brwi. Mógł szczerze przyznać, że nigdy nawet nie postąpiła mu w głowie myśl o wycieczce na Zachodnie Wybrzeże. Dla niego Kalifornia to kraina słońca, pomarańczy i wariatów. — W przyszłym tygodniu wpadnę do biura podróży — przyrzekł.

Millie rozpromieniła się. — Mamy mnóstwo czasu, ale na pewno miło będzie wszystko to wcześniej zaplanować.

Przytaknął z uśmiechem, zastanawiając się jednocześnie, czy Deke Andrews też wszystko wcześniej zaplanował. Czy zaplanował, że w tak bestialski sposób zaszlachtuje troje osób? Czy zaplanował, że potem się spokojnie umyje, wyjdzie i zniknie?

Pojawił się kelner z dwoma talerzami parującego spaghetti polanego sosem z mały. Leon poczuł, jak nabiera apetytu. Millie uśmiechnęła się i mruknęła coś o tym, że teraz najpewniejszym sposobem na rozchmurzenie męża jest talerz pełen dobrego, ciepłego jedzenia.

Na to nic nie odpowiedział. Nie lubił żartów na temat coraz dłuższych przerw w ich seksualnym pożyciu. Nie to, że nie pragnął Millie. Był po prostu piekielnie zmęczony. A gdy już się położył i zamykał oczy, to przeważnie w jego wyobraźni pojawiały się obrazy wcale nie erotyczne. Zjawy Deke'a Andrewsa. Jego zdjęcie ze szkolnego albumu z ostatniego roku nauki — miał wtedy osiemnaście lat. Niewiele zmienił się od tamtego czasu — zapewniali rozmaici świadkowie. — Tylko mu włosy trochę urosły.

Policyjny portrecista sumiennie napracował się nad tym zdjęciem. Postarzył Deke'a o osiem lat, dorysował dłuższe włosy. Fotografie rozesłano po całym kraju.

Leon znał tę podobiznę na pamięć. Przeciętny chłopak o nieprzeciętnych oczach. Płonących, czarnych oczach mordercy. Te oczy go prześladowały. Tak jak zmasakrowane ciało Joey z niemal odrąbane głową. Rany były wręcz teatralne.

—Jedz — zachęciła go Millie.

Wbił wzrok w talerz spaghetti i poczuł, że najwyraźniej robi mu się niedobrze. Co się z nim dzieje? Musi wziąć się w garść. Cholera jasna! Przez dwadzieścia lat miał do czynienia z

potwornymi zbrodniami! i żadna z nich nie obeszła go aż do tego stopnia. Owinął kilka nitek; spaghetti wokół widelca i wsunął je do ust.

—Dobre, co? — spytała Millie.

„Dobre, co?“, przedrzeźniał ją w wyobraźni Leona Dekę Andrews.

—Przepraszam — odsunął się gwałtownie z krzesłem od stołu, upuścił z głuchym brzękiem widelec. — Zew natury. Zaraz wracam.

Zdumiona Millie uniosła brwi, gdy wybiegał, szukając schronienia w toalecie dla panów. Tam, wsparłszy głowę o chłodne kafelki ściany powziął decyzję. Otworzył akta Deke'a Andrews. Zwróci się do kapitana o pozwolenie, a jeśli go nie uzyska, to będzie rozpracowywał tę sprawę po godzinach.

Niespodziewanie poczuł się lepiej.

Elaine miała ogromne, lustrzane okulary przeciwsłoneczne, kapelusz o szerokim rondzie i luźny, biały bawełniany płaszcz. Wędrując przez dział kosmetyków, rozglądała się wokół obojętnie. Nie zauważona, wepchnęła do kieszeni flakonik „Opium“ za siedemdziesiąt dolarów. Strzelając bystro oczami dokoła dołożyła do perfum w kieszeni i ceramiczne, podręczne lusterko i szminkę.

Serce waliło jej jak młotem, natomiast obojętne kroki nie zmyliły rytmu. Powędrowała do działu okularów przeciwsłonecznych i tam udało się jej zwędzić dwie pary za sześćdziesiąt dolarów każda. Potem zjechała windą do działu bielizny i galanterii. Tu zagadnęła ją sprzedawczyni w średnim wieku, w czerni i w kwarcowym naszyjniku: — Czym mogę pani służyć, madam?

— Dziękuję, ale niczym — odparła Elaine. — Po prostu tak się rozglądam.

— Więc proszę sobie nie przeszkadzać. Będą na panią uważała, w razie gdyby pani znalazła to, czego pani potrzebuje.

Elaine przełknęła złość, uśmiechnęła się i czym prędzej wycofała się do działu odzieży męskiej. Tam zdołała do swojej kolekcji dóbr dodać krawat od Yves Saint Laurenta.

Rozejrzawszy się wokół spostrzegła, że przygląda się jej sprzedawca. Teraz jej serce waliło już jak oszalałe. Dosyć. Niespiesznie skierowała się w kierunku wyjścia.

Wychodzenie ze sklepów zawsze bywało chwilą prawdy. Co, jeśli w progu na jej ramię opadnie czyjaś dłoń? Co, jeśli odezwie się czyjś głos: — Czy mogłaby pani wrócić do środka na chwilę? — Co, jeśli ją przyłapią?

Absolutnie niemożliwe. Była na to zbyt ostrożna. Brała jedynie wtedy, gdy miała pewność, że

nie obserwują jej żadne przyczajone oczy czy ukryta kamera. I zabierała przedmioty wyłącznie o wartości poniżej stu dolarów. Jakoś wydawało się jej, że tak jest o wiele bezpieczniej.

Już na ulicy. I żadnej ciężkiej dłoni na jej ramieniu.

Skierowała się do Mercedesa zaparkowanego przy parkometrze na Westwood Boulevard, zdjęła bawełniany płaszcz o kieszeniach wypchanych łupem, złożyła go pieczołowicie i wsadziła do bagażnika. Potem zdjęła kapelusz i okulary. Cisnęła je w ślad za nakryciem.

Czuła się fantastycznie! Jakże niewiarygodnie dowartościowywało ją takie niezgodne z prawem hulanie po sklepach. To lepsze od jakiegokolwiek romansu. Nuąc cicho, wsiadła do samochodu.

Elaine od ponad roku z powodzeniem oddawała się kradzieżom w sklepach. Raz na tydzień, regularnie, robiła to, co nazywała „maskaradą”, i zabierała się za magazyn albo butik. Magazyny samoobsługowe były bezpieczniejsze, ale butiki dawały większą frajdę. W tym przypadku naprawdę jedzie się do serca miasta i pod samym nosem wścibskiej ekspedientki zwija apaszkę czy jedwabny, ręcznie szyty sweter, a nawet utyka w kieszeni parę butów. Och, jakież to podniecające! Jaki silny bodziec! Zastrzyk adrenaliny, która godzinami utrzymuje cię na najwyższych obrotach! Najlepszy ze wszystkich narkotyk!

Wszystko zaczęło się przez przypadek, naprawdę. Któregoś dnia stała w kolejce do stoiska z kosmetykami u Saksa w „Klinice Kosmetyków”. Gwałtownie potrzebowała pudru, już była spóźniona na lunch, wykończona po lekcjach tańca (wtedy kursy baletu nowoczesnego były samym krzykiem mody) i odrobinę bardziej niż zazwyczaj zniecierpliwiona i zła. Wtedy nagle najprostsza rzecz okazało się zabranie puderniczki — wygodnie uplasowanej na samym froncie lady. Oraz wsunięcie jej do torebki i wymaszerowanie jak gdyby nigdy nic ze sklepu. Elaine była wówczas prawie pewna, że ją zatrzymają, a wtedy zimno i spokojnie wyjaśniłaby, że po prostu chciała w ten sposób zaprotestować przeciwko karygodnej arogancji sprzedawczyń, które wolały plotkować między sobą, niż zająć się klientką.

Czy by jej uwierzyli?

Była panią Rossową Conti. Oczywiście, że tak.

Ale nie zatrzymano jej. Nie wtedy. Ani następnym razem. Ani później.

I w ten sposób to, co zaczęło się jako protest, szybko przerodziło się w nałóg. Nie do pokonania.

—Buddy — szepnęła miękko Angela. — Czy mogłabym się spotkać z twoim agentem?

— Co takiego? — Zmarszczył brwi. Leżeli ramie przy ramieniu na wąskim łóżku w mieszkaniu udostępnionym przez Randy'ego Felixa. I Oglądali jakiś teleturniej na kiepskim, czarno-białym telewizorze.

Angela usiadła, jej długie, jasne włosy rozsypały się wokół nieskazi- I telnej twarzy, oczy błyszczały podnieceniem. — Przemyślałam to — oświadczyła. — Jakoś głupio, żebym przesiadywała całymi dniami I w domu, kiedy także mogłabym spróbować znaleźć pracę. Gdybym I porozmawiała z twoim agentem, może mógłby coś dla mnie wyszukać. Czyż nie byłoby cudownie, gdybym to właśnie ja coś dostała?

Buddy starannie wycodził odpowiedź: — To nie jest dobry pomysł.

Z kolei ona zmarszczyła brwi. — Dlaczego? — spytała płacząco.

—A dlaczego tak?

—Gdyż — tłumaczyła pospiesznie — nie wygląda na to, byś ty tak łatwo dostał pracę. A ja pragnęłabym ci pomóc. Zanim wyjechałam na Hawaje, postanowiłam, że zostanę aktorką.

Zaczerpnął głęboki, równy oddech. To nie był dobry dzień. — To znaczy, że uważasz, że ja nie potrafię cię utrzymać?

Oczy Angeli rozszerzyły się. — Wiem doskonale, że zawsze się będziesz mną opiekował. Ale potrzeba nam pieniędzy, prawda?

Niespodziewanie ogarnęła go złość: — Kto tak powiedział?

Angela bezradnie wskazała na zagracony pokój. — Przecież to nie jest nawet nasze własne mieszkanie. Samochód się rozlatuje, a ty ostat-_nio jesteś taki podenerwowany. Buddy, ja się naprawdę nie skarzę. Po prostu chcę pomóc.

— Kurwa mać! — wybuchnął. Wyskoczył z łóżka, naciągając Le-visy na francuskie gatki i chwytając koszulę.

Angela wyglądała na przerażoną. — Co się stało?

Złapał portfel i kluczyki od samochodu leżące na telewizorze. — Chcesz mnie zgnoić? Żebym się poczuł śmieciem? Nie ze mną takie numery, moja droga.

Nim zdołała jakoś zareagować, zatrzasnął drzwi mieszkania.

Angela była wstrząśnięta. Nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji. Prawdę mówiąc, to przewidywała raczej czułą scenę, w której to Buddy zapewniałby o swej ogromnej miłości i wdzięczności za to, że jest taką rozumiejącą wszystko i pomocną zoneczką.

Oczy jej zaszkliły się łzami. Co poszło nie tak? Cóż tak niewłaściwego powiedziała? Czyż małżeństwo nie powinno trzymać się razem, zwierzać się sobie ze wszystkiego i nie mieć

przed sobą żadnych sekretów?

W miarę upływu dni, kiedy Buddy stawał się coraz bardziej nerwowy i nie pojawiła się żadna główna czy też epizodyczna rola, Angela zaczynała pojmować, że rzeczy wcale nie mają się tak, jak on jej to przedstawił. Nie, żeby mu to miała za złe. Dostanie się Tam i Zrobienie Tego nie zawsze było drogą usłaną różami. Niekiedy trafiały się Dziury i Wyboje. Nieobecność Buddy'ego uczyniła swoje i teraz po prostu musi upłynąć nieco czasu, żeby znowu odnalazł się na swoim miejscu. Ale kiedy on na to czekał, to dlaczego ona nie miałaby popробować? Chciała mu tylko pomóc.

Zapłakana wstała z łóżka i wygładziła kapę. Jakże tęskniła za tym, by szybko wrócił, by wziął ją w ramiona, zapewnił, że wszystko jest w porządku i długo, delikatnie ją kochał. Przeszył ją dreszcz, otuliła ramionami swoje szczupłe ciało.

Buddy. Jeżeli nie życzył sobie, aby pracowała, nigdy więcej nawet o tym nie piśnie.

Buddy. Tak gorąco go kochała. Był dla niej wszystkim i zamierzała zostać z nim na zawsze.

—Czy kiedykolwiek myślałaś o gorącym kutasiku w twojej dupce — zapytał jakiś podniecony, męski głos.

—Zrób mi tę frajdę i wypieprz się sam. — Montana z trzaskien odłożyła słuchawkę. Obsceniczne telefony. Jakim cudem ci kretyni! zdobywają numery telefonów? Czy przerzucają książki telefoniczne! w poszukiwaniu nazwisk samotnych kobiet? Czy może obijają się po supersamach i magazynach, szacując klientów i ich karty kredytowe. Kto to wie? Kogo to naprawdę obchodzi?

Energicznie wyskoczyła z łóżka. Fala rozdmuchanych przez pras napadów zasiała ziarno strachu na wzgórzach Hollywoodu, Beverlj i Holmby. Mieszkańcy wyposażyli się w strzeżone bramy, psy obronne, elektroniczne systemy alarmowe i broń. Montana nie zwracała sobie głowy żadnym z takich środków ostrożności. Nie chciała żyć pod ciągłą strażą. Co ma być — będzie. Jeżeli obsceniczny żartowniś telefoniczny przypuszczał, że zepsuje jej dzień, to wykręcił zły numer.

Nucąc bezgłośnie, wykonała przy basenie kilka ćwiczeń jogi. Była dopiero ósma rano. Czysty dzień bez smogu. Poczwała niezdrową chętkę rzucić to wszystko w diabły i pojechać na plażę. Czemu nie?

Z wielu powodów.

Dwudziestu aktorów — rozmowy zaplanowane dokładnie co do kwadransa.

Spotkanie z młodym projektantem kostiumów, którego chciała zaangażować do filmu.

Podróż na lotnisko, aby zrobić Neilowi niespodziankę. Wracał właśnie z Palm Beach.

Po raz pierwszy poczuła się naprawdę dobrze w L.A. Była szczęśliwa, że parę miesięcy temu Neil namówił ją na kupno tego domu.; Odnajęli swoje nowojorskie mieszkanie, spakowali czterdzieści pudeł książek, płyt i rozmaitych sprzętów i tym sposobem L.A. wreszcie przestało im się kojarzyć z hotelową tymczasowością.

Neil kochał Kalifornię. Montana zaś zawsze była dzieckiem miasta, ale to mogłaby zmienić, prawda? Dla Neila stać ją było na wiele.

Pięć wspólnie spędzonych lat i wciąż go kochała. Chyba nawet więcej niż na początku, gdyż na początku było to tylko pożądanie. Uśmiechnęła się do tej myśli. Ona, która do łóżka chadzała tylko z młodymi, pięknymi samcami. I wtedy zjawił się Neil Gray, ze swoją sylwetką pana j w średnim wieku, siwiejącymi włosami i przekrwionymi oczami.

Pragnęła go wtedy. I pragnęła go teraz. Równie mocno. Dał jej więcej, niż może dać młode i piękne ciało. Dał jej wiedzę, a na dłuższą Oietę o to właśnie chodziło w życiu.

Wspólna praca otworzyła nowy rozdział w ich związku. Jak dotąd zdecydowanie na plus. Film był dla Neila równie ważny jak dla niej samej- Prawdę mówiąc, obecnie rozmawiali tylko na ten temat. Nie żeby się skarżyła — czyż mogłaby żądać czegoś więcej?

Zastanowiła się, czy usidlił George'a Lancastera.

I jeszcze coś. Co by czuła, gdyby mu się to zadanie udało?

Rozczarowanie. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej nie podobał się jej ten pomysł. Ale Oliver Easterne aż do znudzenia powtarzał wysoce nieoryginalne twierdzenie: „Gwiazda jest gwiazdą jest gwiazdą”.

Szybko włożyła żakiet od Calvina Kleina, zwykłe dzinsy, podkoszulek za sześć dolarów i kowbojskie buty za dwieście. W takiej kompozycji było jej do twarzy, szczególnie gdy szesała swoje wspaniałe czarne włosy gładko do tyłu i zaplotła je w długi warkocz.

Zlekceważywszy śniadanie usiadła za kierownicę swojego poobijanego Volkswagena. Neil wciąż namawiał ją na kupno nowego wozu, ale Montanie pasował ten VW. Nie przyciągał niczyjego wzroku, mogła nie zauważona poruszać się po mieście. A o to jej właśnie chodziło.

Aktorzy. Kolejna dwudziestka na dzisiaj. Może ten — za którym tęskni —ktoś odpowiedni — zjawi się właśnie dzisiaj w jej biurze i wcieli w życie stworzoną przez nią postać.

Boże! Przygotowania do produkcji filmu są takie podniecające. Bardziej podniecające od wszystkiego, co dotąd zrobiła w życiu.

Filmowanie. To się ma we krwi. A ona i Neil razem — co za para!

Cichutko się śmiejąc, zapaliła silnik Volkswagena i ruszyła do biura.

— Dlaczego nie jesteś w stanie wydobyć dla mnie kopii tego cholernego scenariusza! — pieklił się w słuchawkę Ross. — Wielki Boże, Zack, nie proszę cię przecież o miejsce przy stole na Ostatniej Wieczery. Chcę tylko ten parszywy skrypt. Dziewięćdziesiąt pieprzonych stron spiętych razem! To chyba niezbyt skomplikowane zadanie. — Rozeźlony postukał palcami w szklany stolik przy basenie. Wysłuchał odpowiedzi. Brzmiała, że „Ludzie z ulicy” są przytrzymywani pod kluczem. Nikt, dosłownie nikt, nie dostał kopii.

Nikt, prócz George'a Lancastera i Tony'ego Curtisa, i Kirka Doug-lasa, i Sadie La Salle, i Bóg wie jeszcze kogo. Najpewniej połowy tego pieprzonego Hollywood.

Zniechęcony, z trzaskiem odłożył słuchawkę. Oto on, wielki gwiazdor filmu, uganiający się za rolą w jakimś kretyńskim, pieprzonym filmie napisanym przez babę. I co więcej, nie widział jeszcze tego scenariusza na oczy. Do cholery, co się z nim dzieje? Czyżby wraz z włosami tracił klasę?

Sama ta myśl popchnęła go błyskawicznie do kabiny kąpielowej. Dlaczego uważa, że łysieje? Wcale nie. Absolutnie. No, może odrobinę. Nic, co by rzucało się w oczy. Nic, czego nie zatuszowałaby zmiana fryzury.

Przyjrzał się swojemu odbiciu w wyłożonej lustrami kabinie.

Ross Conti. Gwiazdor filmowy. Wciąż znakomicie prezentujący się sukinsyn. Tylko on i Paul Newman tak dobrze się trzymali. Reszta j rozpadła się na kawałki — utyli, wyłysieli, przeszli koszmarnie płaś- i tyczne operacje twarzy, nosili fatalne peruki. Sinatra dalej wyglądał nieźle, choć wszczepiono mu włosy. Dalej miał kupę wielbicielek, któ- I re słysząc jego wyszmelcowane po całym świecie piosenki, sikały w majtki. Ross, zadowolony z siebie, wrócił nad brzeg basenu.

W obramowaniu przeszklonych drzwi prowadzących do salonu stała Elaine. Elaine. Jego żona. Nieźle się prezentuje jak na starą połowicę. I jeszcze coś — jest w dobrej formie, nie pije, nie szlaja się z łóżka do łóżka, nie robi z niego jelenia.

— Kochanie — odezwał się ciepło. — Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Zmierzyła go wzrokiem z góry na dół. Rzucało się w oczy, że wy-s hodował sobie brzuch. Świetnie to było widać w tych jedwabnych kwiciastych szortach, jakie właśnie miał na sobie. — Zrobię dla ciebie wszystko, Ross, kochanie — odparła słodko — o ile mi przyrzekniesz, że znowu zaczniesz chodzić na gimnastykę.

Udał zdziwienie i poklepał się po żołądku. — Myślisz, że tego mi potrzeba?

—Potrzeba tego wszystkim powyżej dwudziestu pięciu lat.

—Co to za pieprzona bzdura: „wszyscy powyżej dwudziestu pięciu lat”?

—Proza życia, kochanie. Im ktoś starszy, tym ciężiej musi się napracować nad swoim wyglądem.

—Bzdura.

—Naga prawda.

—Bzdura.

Elaine westchnęła. — To co mam dla ciebie zrobić?

Podrapał się po brodzie i zmrużył swoje słynne niebieskie oczy.

—Zadzwoń do Maralee Gray. Wydobądź od niej kopię nowego scenariusza Neila, tego, o którym rozmawialiśmy.

—A Zack nie może?

—Zack nie potrafiłby wydoić krowy, nawet gdybyś mu dała cycek. Elaine kiwnęła głową. Nareszcie Ross zaczyna myśleć tak jak ona.

—Potrzebuję Sadie La Salle — niespodziewanie wygadał się Ross. On naprawdę zaczyna myśleć tak jak ona. — Chcesz, żebym zorientowała się, czy zdołam to załatwić? — spytała przeciągle.

Ross rozpromienił się. — A sądzisz, że ci się to uda? Uśmiechnęła się. — Przecież sam zawsze powtarzasz, że ja dostaję to, czego chcę.

—Więc trzymam cię za słowo. Pomyśl, jak skaptować dla mnie Sadie La Salle i kopię tego cholernego scenariusza.

Elaine uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Nade wszystko lubiła wyzwanie. — Ross, słoneczko, już je masz!

Odwzajemnił uśmiech. — Elaine, słoneczko, moje pieniądze należą do ciebie.

Wreszcie małżeński błogostan.

—Kupiłam ci prezent — mruknęła, wręczając mu skradziony wcześniej jedwabny krawat projektu Saint Laurenta.

Ucieszył się. — Bez chwili przerwy myślisz o swoim gwiazdorze, co? — spytał, uśmiechając się od ucha do ucha.

Przytaknęła. — Bez chwili przerwy, kochanie, bez chwili przerwy.

U Mavericka kłębił się tłum, w barze pełno, muzyka disco rozrywała bębenki uszu.

Buddy od dawna tu nie zaglądał — jeszcze przed Hawajami, jeszcze przed czasami małego,

tlustego Maxie Sholto. Wzdrygnął się na samą myśl o Maxie'm. Na szczęście, w porę oprzytomniał. Nigdy więcej narkotyków, nigdy więcej orgii, jeśli chodzi o Buddy'ego Boya. Ten styl zastrzeżony jest wyłącznie dla nieudaczników. Praca dla Dandysa to jedno. A Maxie Sholto to zupełnie inna para kaloszy.

—Buddy! Jak miło cię widzieć! Gdzieś się podziewał?

Kiwnął dłonią barmanowi. — Tu i tam — odparł. — W okolicy. A tu co się działo?

—Nic nowego. Interes kwitnie. Widziałeś mnie w „Hill Street Blues”? Miałem tam całe kwestie, bracie, kwestie!

Tak? No to co robi jeszcze za barem u Mavericka?

—Wspaniale — rzekł Buddy. — Jest może Quince?

—Gdzieś z tyłu.

—Dzięki.

Utorował sobie drogę przez zatłoczony bar i takież parkiet i powędrował wzdłuż boksów, szukając Quince'a.

Znalazł go otoczonego dziewczynami. Trzema.

Quince. Wysoki. Czarnoskóry. Przystojny. A do tego dobry aktor. Pracowali razem u Joy Byron.

—Cześć, stary — zaczęli unisono i przyklepali sobie dłonie.

—Siadaj, bracie — zaprosił Quince. — Dołącz do nas.

Buddy wcisnął się na wyłożoną skórą ławę, podczas gdy Quince przedstawiał mu kolejno dziewczyny. — To moja pani, Luann. Jej siostra, Chickie. I przyjaciółka, Shelly.

Luann była wspaniałą, czekoladową blondynką. Chickie była niższa, ciemniejsza, z takimi zębami, za które Farrah Fawcett wydrapałaby jej oczy. A Shelly to Shelly, dziewczyna z basenu, świetnie wyglądająca w szkarłatnej, skąpej bluzce bez pleców i w przezroczystej, zawiązywanej spódnicy.

—Hej — zagaił. — My się znamy.

—Hej — odparła. — Buddy Hudson. Pan Żonkoś. Gdzie twoja stara?

—Buddy. Żonaty. A to ci dopiero — zaśmiał się Quince. Shelly kiwnęła głową. — Jest żonaty.

Quince niedowierzająco uniósł brew i wyszczerzył zęby do Bud-dy'ego. — Powiedz, że to nieprawda, bracie.

Buddy skrzywił się. Trzeba mieć jego pecha, żeby wpaść na tę gadatliwą panienkę. Pechowy

dzień. Czy wieczór. — No tak, jestem żonaty, wielkie mi co — mruknął.

Quince zaczął rechotać z radości. — Nigdy nie myślałem, że dożyję takiej chwili, kiedy i ciebie złapią w sidła. Co się stało? — Klepnął się otwartą dłonią po czole. — Wiem, wiem.

Ma osiemdziesiąt trzy lata, jest dziana i, mój Boże, słabuje na serce. Trafiłem, co?

Grymas na twarzy Buddy'ego pogłębił się. Uciekł od Angeli, by znaleźć chwilę wytchnienia.

— Ta... ta... jasne, masz rację — odparł szybko. — Tylko że ona jest bliżej pięćdziesiątki niż osiemdziesiątka trójki. Takie są bardziej w moim guście, rozumiesz?

Quince zachłysnął się głośno. — Oto cały Buddy Boy! Nie przepuści żadnej okazji.

—Może zatańczymy? — spytała Chickie, wiercąc się w rytm przeboju Donny Summer.

—Przepraszam — wtrąciła się Shelly. — Ale ja byłam pierwsza. — Uczepiwszy się Buddy'ego, zmusiła go do wstania. Potem wyśliznęła się z boksu, zarzuciła Buddy'emu ramiona na szyję i popchnęła go w kierunku zatłoczonego po brzegi parkietu.

—Osiemdziesiąt trzy lata, akurat — prychnęła. — Dwadzieścia, i do tego cholernie ładna.

Widziałam ją na basenie. Dlaczego trzymasz ją w ukryciu?

Wzruszył ramionami. — W jakim tam ukryciu.

—Nie łgasz? To wobec tego, gdzie ona teraz jest?

—A ty co, lesbijka?

Z całych sił przycisnęła swoje krocze do jego. — Gdybym nią była, kotku, dobijałabym się do twoich drzwi w tej samej chwili, w której ty byś wystawił nogę za próg. Po to, coś ty przyskrzynył w domu.

Gwałtownie odepchnął ją od siebie i zajął tańcem disco. Travolta mógłby brać u niego lekcje — tak był płynny, zmysłowy i cholernie dobry. Allanie Carr, proszę, chodź tutaj i teraz mnie sobie obejrzyj!

Shelly okazała się równa jemu. I ona była dobra.

Zaczęło mu się to podobać. Tańczył po raz pierwszy od dłuższego czasu, a kiedy ma się partnerkę, która dotrzymuje kroku, to ekstra nastrój murowany.

Ustali, kiedy oboje opadli z sił. Kiedy pot spływał strużkami po nagich ramionach i piersiach Shelly. — Hmm — rzuciła krótko. — Jesteś świetny.

—Ty też.

Wrócili do stolika. — Mam nadzieję. Jestem profesjonalistką.

—Profesjonalistką w czym?

Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. — Tancerką. — Odwróciła ^{s1}C, by powitać nowo

przybyłego, który przysiadł się do Chickie. ~ Jer, kotuś, co ci się dzisiaj dobrego przydarzyło?

Jer kotuś był przystojnym, młodym facetem o nerwowych, chytrych oczkach. Wzruszył ramionami. — Stara bieda, sama wiesz.

—A jak... — zgodziła się współczująco. — Hej, a czy wy dwaj się znacie? — Zaprzeczyli ruchem głowy, lustrując się wzajemnie. — Buddy Hudson. Jericho Crunch — ciągnęła Shelly, doskonała gospodyni.

Buddy zmarszczył brwi. To ta głośna muzyka disco musiała go drażnić. Jericho Crunch. Co to za nazwisko! Brzmi niczym pobożny Wielebny Amos!

Przebiegłe oczka Jericho otaksowały go. — Jesteś aktorem?

—W czym mnie widziałeś? — spytał szybko Buddy.

—W niczym. Ja także jestem aktorem.

—Aha. A co zrobiłeś?

Jericho wyrecytował tytuły kilku znanych programów telewizyjnych, potem oblizawszy wargi dodał: — Ale mam na widoku coś naprawdę super. I chyba się na to załapię.

—Co super? — zbystrzał nagle Buddy.

Jericho zrobił tajemniczą minę. - - Nic, o czym mógłbym powiedzieć.

—Serial?

—Skąd.

—Reklama?

—Nie.

—Więc co?

—Film. Naprawdę wystrzałowy.

—Dla telewizji?

—Nie. Prawdziwy.

—Jaki ma tytuł?

Jericho zmrużył oczy. — Myślisz, że ci powiem, żebyś i ty mógł si zakrzatnąć wokół tej roboty? Nie ma mowy. A poza tym, i tak jest już prawie zaangażowany. Ta kurewka od obsady niemal nasikała w majtki na mój widok — łypnął lubieżnie okiem. — Wyobrażasz sobie?

Owszem. Buddy sobie wyobrażał. Ten chujek nie chciał puścić far by. Pomyślał o Angeli. Nie miała zamiaru mu przecież dokuczyć. Po prostu wpasowała się w zły moment, kiedy w

kieszeni zostały mu tylko czterdzieści dwa dolary i nie miał pojęcia, skąd wziąć więcej. Pośred-niak dla bezrobotnych nie wchodził w rachubę. Buddy nigdy się nie kwapił do żadnych formularzy, papierków i całego tego gówna. I teraz tym bardziej nie chciał z tym zaczynać. — Spływam — oznajmił, wstając od stolika. Przepchnął się przez tłum i wyszedłszy na ulicę, głęboko odetchnął. Shelly ruszyła za nim. — Podwieź mnie do domu — poprosiła. Przyjrząwszy się jej zdecydował, że może być użyteczna. — Jasne. Mój samochód stoi parę domów dalej.

Kroczyła przy jego boku, pachniała lekko potem i mocno perfumami.

—Jaki gatunek tańca uprawiasz? — spytał.

—Artystyczny — wyjaśniła.

—Striptiz, co?

—Jeden z najlepszych.

—Skromna jesteś.

- Odpieprz się. Jestem jedna z najlepszych i jestem z tego dumna. Doszli do samochodu, on usiadł za kierownicą i otworzył dla niej drzwiczki po stronie pasażera.

- A ty jesteś aktorem — zaczęła mówić, moszcząc się wygodnie. — Powinnam była zgadnąć.

—Jednym z najlepszych — dorzucił szybko.

Roześmiała się. — Jasne. Dlatego prowadzisz taką kupę złomu.

- Mogę nim wszędzie dojechać. Nie zależy mi na szpanie.

—Nie możesz sobie pozwolić na nic innego, co?

—Ten mi wystarcza.

Wyciągnęła z torebki skręta i zapaliła go. — Powiem ci coś - oświadczyła, częstując go machem. Odmówił. Jeszcze by tego brakowało, aby o tej porze nad ranem przyskrzynyły go gliny. — Byłby z ciebie wystrzałowy striptizer. Masz ekstra ciało i znakomicie się ruszasz.

Roześmiał się w głos. — Żartujesz chyba.

Ale ona była poważna. — A co w tym śmiesznego. To dobry zarobek i w dzisiejszych czasach zajmuje się tym wielu facetów.

—Jestem aktorem, mówiłem ci już.

—To wcale nie znaczy, że nie mógłbyś ściągać z siebie ciuchów i jeszcze dostawać za to

forsy.

Ty pewnie wierzysz, że i Sylvester Stallone robił takie rzeczy dla Pieniędzy. — Owszem. A ty nie czytujesz plotek?

—Nie powinnaś wierzyć w bzdury, które wypisują w tych szmatławcach. A co z twoim przyjacielem? Brunch, Crunch... z tym wielkimi murem Jerycha. On też się rozbiera?

—Nago jest fatalny. Obwisłe ramiona, węzłaste kolana, nie ma na czym zawiesić oka. Kelneruje trochę na hollywoodzkich przyjęciach. Myśli, że w ten sposób go odkryją.

Do diabła z tym. Buddy sięgnął po skręta, zaciągnął się nim aż po pępek, potem rzekł obojętnym tonem: — Może w jego przypadku to się sprawdziło. O jakim filmie on mówił, że go zaangażowano?

—Och, daj sobie siana. Chybaś w to nie uwierzył? Jer, gdy podaje kanapkę Johnny'emu Carsonowi, to rozpowiada wszystkim, że ma wystąpić w „The Tonight Show”.

—Więc nie ma żadnego filmu?

—Był na rozmowie wstępnej.

—Gdzie?

Roześmiała się cicho. — Chciałbyś wejść mu w paradę? Starannie zaparkował samochód w wygodnym miejscu naprzeciw ich domu. — To wolny kraj.

—Skoro tak mówisz.

—No więc, co to za film?

—Chodź do mnie na prochy. Koka zawsze ożywia moją pamięć.

Pomyślał o Angeli. Pięknej. Niewinnej. Czekającej na niego.

A potem pomyślał o czterdziestu dwóch parszywych dolarach. — Jasne. Czemu nie?

Gina Germaine miała agenta, menedżera, sekretarkę, specja od makijażu, fryzjera, księgowego, doradcę finansowego, nauczyciela sztuki i aktorskiej oraz dwóch eks-mężów na utrzymaniu. Niezła ekipa. Wszyscy z jakichś powodów byli od niej zależni.

Miała trzydzieści trzy lata — dla prasy dwadzieścia dziewięć. Blondynka — farbowana, nie naturalna. Urodziwa, z okrągłymi, nieznacznie wypukłymi niebieskimi oczami, lekko zadartym nosem i ustami lu- 1 dożercy z galerią ostrych, białych, nieskazitelnych zębów. Na Zachodnim Wybrzeżu było tysiące dziewczyn równie dorodnych jak Gina Germaine. To jej ciało uczyniło z niej kogoś wyjątkowego. Długie, szczupłe i nogi, mały tyłeczek, dwudziestocalowa talia, a do tego wszystkiego imponujący biust. Trzydzieści dziewięć soczystych cali z ogromnymi, jasnoczekoladowymi sutkami.

Giną Germaine została gwiazdą właśnie dzięki swoim atrakcyjnym piersiom. W wieku dziewiętnastu lat pojawiła się na rozkładówce „Playboya” i natychmiast przyciągnęła uwagę Hollywoodu. — Ślijcie po nią czym prędzej — zażądało dwóch dyrektorów wytwórni, trzech prezesów rad nadzorczych i czterech rozentuzjasmowanych agentów.

Ale ona już była w mieście. Maxie Shołto, obrotny wyga, który docenił jej sensacyjne cycki, jak tylko je zobaczył, dobrał się do niej pierwszy. — Pozwól mi siebie reprezentować — zaproponował, demonstrując najszerszy ze swoich chytrych uśmiezków. — Niech zrobię z ciebie gwiazdę.

Te wyświechtane, a jednak kuszące słowa odniosły skutek. Giną, na-onczas niezłe prosperująca modelka w Houston, w Teksasie, spakowała manatki i poleciała z Maxie'm do Los Angeles. Tam Maxie załatwił jej kilka drugorzędnych ról. Nic nadzwyczajnego. Aż do dnia, w którym poszła z dyrektorem sieci telewizyjnej do jego gabinetu, usiadła naprzeciw niego na wysokim krześle i jak gdyby nigdy nic wyciągnęła przed siebie i rozsunęła swoje długie, szczupłe seksowne nogi. Tak zresztą poradził jej Maxie.

Przekrwione oczy dyrektora z podniecenia niemal wypadły z orbit. Giną Germaine miała bowiem na sobie tylko białą minispódniczkę i nic pod spodem. Ani majtek, ani rajstop. Dosłownie nic.

Wylądowała w cotygodniowym telewizyjnym serialu i co tydzień spotykała się z telewizyjnym dyrektorem, który dwa lata później skończył na zawał.

Ginie było go żal. Taki słodki staruszek. Ale prawdę mówiąc, już dawno przestała go potrzebować. Telewizja uczyniła z niej gwiazdę, a Maxie swoją żonę.

Program Giny przetrwał pięć lat, małżeństwo zaledwie kilka miesięcy dłużej. Rozstali się jednak z Maxie 'm po przyjacielsku. Był honorowym gościem na jej głośnym ślubie z aktorem typu macho, którego głównym hobby okazało się bicie Giny. Z nim także się rozwiodła.

Jej życie osobiste było w stanie chaosu, natomiast kariera filmowa kwitła. Seriale zrobiły z niej aktorkę kasową. A w ślad za tym przyszedł kolejny złoty interes. Była rzadkością — gwiazda małego ekranu, która potrafiła zostać także gwiazdą wielkiego. Natychmiast stała się kimś sławnym. Każdy jej film nabijał kasę. Wspomagała spadające super-gwiazdy, grała wierną towarzyszkę debilnych komediantów, skakała i tańczyła oraz z monotonną regularnością zdejmowała z siebie ciuchy.

Publiczność jednak wcale tak nie uważała. Publiczność ją uwielbiała.

Była ich Giną. Cudownym kawałkiem złocistego ciała. Gwiazdą filmową — kurewką o złotym

sercu i odpowiednich do tego cyckach. Gwiazdą w typie dawnych lat, przywodzącą na myśl wspomnienia o Monroe i Mansfield.

— Chcę, żeby traktowano mnie serio —jęknęła któregoś wieczoru do Johnny'ego Carsona.

— Wiesz, Johnny, pragnę kręcić zupełnie inne filmy. Takie ze społecznym przesłaniem.

Na co Johnny tylko spojrział w kamerę, na jego zaś twarzy pojawił się wystudiowany wyraz powagi. I to starczyło za całą odpowiedź. Publiczność pękała ze śmiechu, a Ginę była na tyle sprytna, by przymknąć się i ponownie wysuwając w przód biust oddać się żartobliwemu flirtowi. Ale w głębi duszy aż kipiała z frustracji. Dlaczegoż ona nie mogłaby kręcić poważnych filmów?

Dwa tygodnie później na jakimś przyjęciu poznała Neila Graya. Przyszedł z żoną, ale taka drobna przeszkoda nigdy nie stanowiła dla Giny problemu. Dostawała to, czego chciała. To jedna z korzyści, jakie niesie status gwiazdy.

Neil Gray był poważny przez duże „P”. Kręcił ważne filmy. Takie, o których Ginę wiedziała, że powinna w nich zagrać.

Cichutko ruszyła do ataku. Schlebiała mu, spijała słowa płynące z jego warg i miała baczenie, by zapewnić Neilowi dobry widok na jej oszalamiające piersi, gdy nachylała się do niego po papierosa, drinka czy zakąskę. Trzy dni potem zatelefonowała do niego. — Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam — odezwała się głębokim głosem, wiedząc znakomicie, że jeśliby się zachowywała tak jak zwykle, to z pewnością by mu przeszkodziła. — Wiesz, ogromnie potrzebuję dobrej rady. A ty chyba jesteś człowiekiem, który mi może pomóc.

Neil był rozbawiony, zaintrygowany. Wiedział, że „dobra rada” jest synonimem „dobrego łóżka”. Oboje bowiem byli biegli w języku Hollywoodu.

Lunch. U niej w domu. W ogrodzonej murem posiadłości na San Ysidro Drive.

Salatka „Nicoise”, następnie solidne pieprzenie. Oboje byli niecierpliwi i nie chcieli tracić czasu.

Po dwóch tygodniach druga schadzka. Według tego samego scenariusza.

Nie rozmawiali wiele, ale Ginę się tym nie przejmowała. Kiedy tylko jakiś facet raz zasmakował w jej wspaniałych cyckach, zawsze do nich wracał. Na pogaduszki przyjdzie jeszcze pora.

Podczas obiadu wydanego przez Grayów w Bistro, na którym ogłoszono rozpoczęcie przygotowań do produkcji nowego filmu, przyjrzała się dokładnie Montanie. Sama pojawiła się tam z Chetem Barnesem. Neilowi z pewnością zatrzęśły się portki. Ale nie miał powodów

do niepokoju. Gina była jak kamień. Pogawędziła nawet uprzejmie z Montaną, opowiedziała jej o swoim własnym scenariuszu. Nie żeby już taki napisała. Miała tylko zamiar.

Tak więc nowym filmem Neila będą „Ludzie z ulicy”. Następnego ranka zadzwoniła do Sadie La Salle, swojej agentki, i zażądała kopii skryptu.

—Nikt jeszcze nie widział go na oczy — wyjaśniła Sadie pospiesznie.

— A poza tym, nie uważam, żeby film był w twoim typie. Z tego, co wiem, to rzecz o dwóch gliniarzach, młodym i starym.

—Musi tam być jakaś kobieta —przerwała ostro Gina.

—Chyba tak. Ale nie jest to główna rola. I z pewnością nie jest to działka Giny Germaine. — Umilkła na chwilę. — A teraz mi powiedz, kochanie, czy przeczytałaś już „Sprawkę dzieciny”?

—Nie — prychnęła Gina. — Załatw mi kopię filmu Neila, Sadie. I niech ja sama zdecyduje, czy to jest moja działka.

Kiedy Neil zadzwonił z propozycją spędzenia weekendu w Palm Beach, Gina odparła „tak” bez chwili wahania.

—Ale wszędzie będziemy osobno — uprzedził ją. — Pokoje, podróż, wszystko.

—To oczywiste — zgodziła się.

—Możesz się nudzić. Ja muszę trochę czasu poświęcić Pameli i George'owi.

—Zabiorę ze sobą książkę.

Zabrała książkę, ale nawet do niej nie *zajrzała*. Podwędziła kopię skryptu „Ludzi z ulicy” z walizki Neila, jak ten tylko wystawił nogę za próg ich sąsiadujących ze sobą pokoi. Przeczytała ją jednym tchem w ciągu pięćdziesięciu pięciu minut. Potem raz jeszcze, teraz koncentrując się na postaci Nikki. Oszołomienie, zastrzyk adrenaliny.

NIKKI — TUŻ PO DWUDZIESTCE — NIE ZEPSUTA URODA — FANTASTYCZNE CIAŁO, CHOCIAŻ BEZ PRZESADY

— NATURALNA BLONDYNKA — RZUCAJĄCA SIĘ W OCZY NIEWINNOŚĆ.

Mogę zagrać Nikki. Mogę. Mogę.

Cudowna rola. Katalizator między dwiema męskimi. Córka jednego. Ukochana drugiego.

Z takiej postaci jak Nikki mogłabym piekielnie dużo wyciągnąć.

Była za stara.

Zawsze wyglądałam na młodszą.

Nie można powiedzieć, żeby była nie zepsuta.

Dobre aktorstwo to zatuszuje.

Fantastyczne ciało miała nawet więcej niż przesadne.

To co? Odchudzę się. Ścisnę biust. Jeżeli trzeba, to się zagłodzę.

Niewinna?

Mogę udawać.

Ledwie potrafiła doczekać się powrotu Neila. Wyglądał na zmęczonego i był jakby zbity z tropu. Otoczyła go ramionami i podprowadziła do łóżka.

—Pamela to stara cwana gapa — wykrztusił, gdy zaczęła rozpinać mu spodnie.

—Naprawdę? — spytała. — A to czemu?

—Ponieważ... — zaczął, potem jęknął. Wzięła go w usta i zaczęła tak ssać, jak gdyby od tego zależało jej życie. Co do pewnego stopnia zgadzało się z rzeczywistością.

W powrotnej drodze do Los Angeles, kiedy samolot już wylądował, Neil wydał Ginie kilka poleceń. — Lepiej odczekaj z pięć minut. Ja pójdę przodem.

Giną nadeła się. — Wstydzisz się ze mną pokazać?

—Nie bądź śmieszna. Umówiliśmy się, że będziemy dyskretni. Westchnęła. — Zgoda! Ale wkrótce zobaczymy się znowu, prawda?

—Szybciej, niż się spodziewasz. — Cmoknął ją w policzek i pospieszył swoją drogą.

Większość mężczyzn to właśnie takie sukinsyny. Ale co to ją obchodziło? To ona ich wykorzystywała. Oni jej natomiast nawet w najmniejszym stopniu. Jej życie pełne było tego, co określała „pieprzeniem się w interesach”. Pełne mężczyzn, którzy mogli popchnąć w przód jej karierę, pomóc jej w zrobieniu fotosów (imponująca kolekcja), asystować przy zakupie nieruchomości (trzy domy w Beverly Hills i biurowiec) i ogólnie radzić jej w każdej sprawie od podatku po skrobankę.

Giną zawsze zwracała się do największych fachowców i nigdy za nic nie płaciła. Zestaw jej aktualnych kochanków składał się, między innymi, z: hiszpańskiego magnata, brazylijskiego biznesmena, bardzo bogatego Araba (ten sprawował pieczę nad jej biżuterią, to znaczy obkupywał ją u Freda i Tiffany'ego za każdym razem, kiedy zawitał do miasta), najlepszego prawnika, adwokata i ginekologa w całym Beverly Hills.

Tak naprawdę, to przydałby się jeszcze senator, tylko że dotąd nie poznała Teda Kennedy'ego, którego sława przyciągała ją niczym głodnego komara tłuszcikiem ciała.

Neila Graya traktowała jako następnego szczebel swojej kariery. Mógł traktować ją tak źle, jak

tylko miał na to ochotę. Gdyż przyjdzie pora, że za wszystko zapłaci. W ten czy w inny sposób. Tego była absolutnie pewna.

Wydawało się, że Neil jest zmęczony. Montana ucałowała go w oba policzki mówiąc: — Niespodzianka! Pomyślałam, że moglibyśmy sobie pogadać w drodze do domu.

Zerknął przez ramię. Bogu dzięki, że zmusił Ginę, by została z tyłu. Szybko chwycił żonę za ramię. — Cudownie, kochanie. Po weekendzie z Pamelą i George'em właśnie ciebie mi brakowało. — Błyskawicznie wyprowadził ją z lotniska.

—No i jak? — pytała. — Nie mogę się doczekać. Mamy czy nie wielkiego George'a Lancastera?

—Nigdy w to nie uwierzysz — odparł spiesząc ku limuzynie, przy której otwartych drzwiczkach czekał z uszanowaniem szofer w liberii.

— Ale sam tego jeszcze nie wiem.

—Hej! — zawołał Buddy. — Ty ćpasz na serio?

Shelly za pomocą zwiniętego w rurkę banknotu wyciągnęła wąską strużkę białego proszku z lustrzanego blatu stołu. — Jasne. Jak wszyscy.

—Taa... Chyba w Hollywood. — Zakłopotany przedzierał się przez jej zabałaganione mieszkanie. — Sam kiedyś się w to bawiłem, ale w ten sposób można wpaść w nałóg.

—Nałóg — powtórzyła i uśmiechnęła się. — Jesteś pod kreską i po prostu nie możesz sobie pozwolić na ten nawyczek. Zgadza się?

—Wiesz co? — Wziął do ręki album z fotosami i zaczął przerzucać strony. — Masz ostry jęzor.

Łapczywie wchłonęła kolejny niuch koki. — Tak mówią, panie Żonkoś.

—Wróciła ci już pamięć? — spytał.

Przeciągnęła się leniwie. — A spieszysz ci się?

Owszem. Spiesz było mu się. Chciał wrócić do Angeli. — Skądże.

—Więc się odpręż. Ściągnij portki. — Ziewnęła. — Jeżeli chcesz, to tak cię wyssam, aż stanie ci mózg. — Roześmiała się. — Kupujesz to?

Westchnął. — Oj, Shelly, Shelly. Co ty na mnie ćwiczysz? Jesteśmy tylko we dwoje, więc chyba nie musimy się zgrywać.

—Masz rację. Ale mówię to na wypadek, gdybyś kiedyś był w potrzebie. Zaliczam się do najlepszych w te klocki w całym mieście. Setki facetów mi to powtarzało. I wiesz co, stary?

Jestem dobra, bo mi się to podoba. Więcej, uwielbiam to. — Zaśmiała się znowu. — Na pewno nie masz ochoty na szybciutki sztosik?

—Na pewno, piękne dzięki. — Było w niej coś, co przypominało mu jego samego sprzed poznania Angeli. Prawdziwy cwaniak. Mistrz błyskawicznego ataku i pospiesznego seksu.

—No tak... — Wstała, pociągnęła za wiązanie swojej spódnicy.

— Może masz rację. — Spódnica opadła na podłogę. Potem Shelly bardzo wolno wsunęła palce pod bluzkę bez ramion i ściągnęła ją.

—Hej — zareagował szybko. — Dosyć. Zachowujesz się jak prostytutka.

—Swoją zawsze pozna swego — odcięła się, pozbywając się bluzki.

Zmarszczył brwi. — Myśmy się już przedtem spotkali?

—Aha! Przypomniałeś sobie. — Podeszła do niego całkiem naga prócz pantofli na wysokich obcasach.

Cofnął się. — Wracam do domu.

—Nie jesteś ciekaw, gdzie się poznaliśmy?

—Guzik mnie to obchodzi.

—Oj, Buddy. Daj, zrobię ci dobrze. No chodź! Tak miło cię proszę.

Wycofywał się w kierunku drzwi. Odszukał klamkę, otworzył.

- Do zobaczenia na basenie, złotko. I nie złap aby grypy.

Lubieżnie mlasnęła językiem. — Ten film, o który zabiega Jer, nazywa się „Ludzie z ulicy”.

Producent Oliver Easterne. Powodzenia.

— Hej, w porządku. Przyda mi się. — Biegł do góry, przesadzając po dwa stopnie.

Trzydzieści sekund później wkładał klucz do zamka, wołając: — Angela! Dziecinko! Jestem w domu!

—Po prostu nie mogę uwierzyć, że ten sukinsyn nie dał ci jasnej odpowiedzi. Przecież po to pojechałeś na tę całą wycieczkę, aby to z niego wydusić.

—Nie musisz mi o tym przypominać — odparł zgryźliwie Neil.

Leżeli z Montaną na ich królewskich rozmiarów łożu. Ona włożyła duże okulary do czytania i męską koszulę, wyciągnęła przed siebie długie nogi; gęste czarne włosy opadały falą aż do pasa.

Neil, w pizamie, wyglądał na zmęczonego i zniechęconego. Dwa bite dni z Giną Germaine każdego by wykończyły. Pękliby nawet Warren Beatty czy Ryan O'Neal. Giną lubiła pieprzenie. Poprawka. Neil nie potrafił się zorientować, czy lubiła się pieprzyć, czy też

pieprzyła się, żeby dać się lubić. Interesująca kwestia. Ale nie dla niego. Jemu Giną była potrzebna tylko i wyłącznie do jednego.

—Gwiazdy! — krzyknęła pogardliwie Montana. — Każda to gigantyczne gównno. — Sięgnęła po Salema i zapaliła go. — Prawdziwym powodem, dla którego George Lancaster nie udzielił ci zdecydowanej odpowiedzi, jest ten, że on uważa, że gdyby powiedział ci „nie”, to ty zaproponowałbyś tę rolę komuś innemu. A to uraziłoby jego dumę.

Neil podrapał się po brodzie. — Problem tkwi w Pameli. W tamtym domu to ona nosi portki.

—I wkłada je, by powiedzieć „tak” czy „nie”?

-Nie przypuszczam, żeby już coś postanowiła. Podoba się jej pomysł, by George zagrał w filmie, natomiast nie podoba się jej, by objął się po Hollywood samopas.

-Jasne. — Montana ze zrozumieniem kiwnęła głową. — Ta dama boi się ambitnych, szesnastoletnich nimfetek lecących do łóżka jej starego.

Rozbawiło to Neila. — Nie poznałaś Pameli, co? Jediną rzeczą, której naprawdę by się przestraszyła, to gdyby ktoś zagroził jej zabranie forszy.

—Nie mogę doczekać się spotkania z nią.

—Polubisz ją.

—Założysz się?

—Nigdy nie ryzykuję z tymi, którzy wygrywają.

Na twarzy Montany pojawił się uśmiech. Zsunęła okulary na włosy. — Cóż za szarmancja.

—Oczywiście.

Wyciągnęła ramiona. — Chodź do mnie, szarmancie.

—Głowa mnie boli.

—Neil! To przecież babska wymówka.

—Ale mnie naprawdę boli — zapewnił ją.

Wstała z łóżka i poszła do łazienki. — Przyniosę ci proszek przeciwbólowy — powiedziała współczująco. Weekend w Palm Beach z George'em Lancasterem i Pamelą London z pewnością nie był kaszką z mleczkiem. Neil chyba był wykończony. A prawdę mówiąc, to i ona sama wcale nie miała ochoty na seks. Mimo że nie robili tego od paru tygodni. Oczywiście, łóżko z Neilem ciągle było wspaniałe, ale żyli ze sobą już na tyle długo, żeby nie czuć potrzeby sypiania ze sobą codziennie. A oprócz tego, obecnie największą jej namiętnością stał się film. Przecież organizacja zdjęć nigdy nie była łatwym zadaniem. Montana wyczuwała, że Neil martwi się tym bardziej, niżby można sądzić.

Wysypała z flakonika dwie aspiryny, napełniła szklanekę wodą i wróciła do sypialni. — Tak więc — powiedziała, podając mu lekarstwo — musimy poczekać na jego decyzję, prawda? Przełknął szybko pigułki, unikając jej wzroku. Wcale nie bolała go głowa. Po prostu jakikolwiek wysiłek fizyczny po tym, co przeżył z Giną, zupełnie nie wchodził w rachubę. — George i Pamela przyjadą tutaj za dwa tygodnie. Wtedy otrzymamy odpowiedź — wyjaśnił. Chryste! Jak bardzo dręczyły go wyrzuty sumienia. A pogłębiało je jeszcze współczucie żony.

—Wizyta pary królewskiej! Cóż za zaszczyt — skomentowała lekko.

—Daję ci słowo, że polubisz ich oboje.

Niedowierzająco uniosła brwi.

Angela doskonale wiedziała, że Buddy wszedł do mieszkania. Choć dochodziła już trzecia nad ranem, nie wysiłał się bynajmniej, by zachować ciszę. Trzasnął drzwiami, zawołał ją po imieniu, zapalił wszystkie światła.

Leżała na łóżku na brzuchu, nieruchoma i milcząca. Zaraz po tym, jak od niej uciekł, niespokojnie wyglądała jego powrotu. Ale w miarę upływu godzin, gdy on nawet nie pofatygował się, by do niej zatelefonować, poczuła się urażona, a następnie rozgniewała się. Czym sobie zasłużyła na takie traktowanie? Dlaczego zawsze się to w ten sposób kończyło? Całe życie przeproszała, że żyje. Przy Buddym to wszystko miało się zmienić. Był dla niej nowym początkiem, startem do życia rodzinnego.

Mężczyźni: Czyż jej przybrana matka nie ostrzegala przed nimi?

—Angela? — szepnął Buddy miękko.

Mężczyźni: Nigdy im nie ufaj.

—Nie śpisz, słodki pysiu? — Trochę głośniej.

Mężczyźni: Mają brudne nawyki i brudne myśli.

Pogładził ją po plecach. — Angela, kochanie?

Mężczyźni: Chcą tylko Jednego.

Niespiesznie wsunął dłonie pod kołdrę.

Mężczyźni: Jeżeli im To dasz, stracą do ciebie szacunek. Ściągnął kołdrę z jej nieruchomego ciała. Miała na sobie swoją krótką niebieską koszulkę i także majteczki.

—Nie śpisz?

Wciąż leżała na brzuchu mocno zaciskając powieki.

Buddy się nie zniechęcał. Wsunął palce pod gumkę majtek i ściągnął je.

Milczała: Bo i co mogła powiedzieć? Miała bzika na jego punkcie, prawda?

Rozsunął jej nogi, pochylił głowę, język wdarł się w ciepłą wilgoć niby jadowity, zimny wąż. Dlaczego miał tak zimny język? Dlaczego nagle zadrżała z podniecenia? Dlaczego nie potrafiła przestać wariować na jego punkcie?

—Oooch... Buddy... — Słowa te wyfrunęły z jej ust niczym kwiaty osypujące się z drzewa.

Podniósł głowę tylko po to, by powiedzieć: — Przecież szalejesz za mną, prawda, dziecinko?

Westchnęła bardzo, bardzo miękko i wymruczała: — Zgaś światło, Buddy, proszę...

Zdarł z siebie spodnie. — Dlaczego? Masz coś do ukrycia? — Chryste! Ale mu przy niej stawał! Rozsunął szerzej nogi Angeli i zamienił spragniony język na coś, co zachowywał tylko dla niej przez całą długą noc.

Deke Andrews dojechał metrem do Queens i cały ranek spędził przebierając w używanych samochodach na złomowisku przy Queens

Boulevard.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Zgrabny, brązowy mikrobus z podartymi zasłonkami na tylnych szybach. Miał pięć lat i kupę mil

na liczniku.

—Ile? — spytał sprzedawcę w koszuli z podwiniętymi rękawami.

Handlarz otaksował potencjalnego klienta. — Wisi tam cena — powiedział po chwili.

—Widziałem — odparł Deke. — Ale takiej nigdy nie dostaniesz.

—A kto tak powiedział?

—Nie jest tyle wart. Wymaga remontu.

—Co ty możesz wiedzieć?

—Mogę się domyślić.

—Nawet się nim nie przejechałeś.

—Ale się domyślam.

Handlarz wypluł gumę do żucia na ziemię. — Mogę opuścić setkę.

—Trzy stówy.

—To cały mój zysk.

—Gotówką.

Zdziwienie sprzedawcy wzięło górę. — Chcesz się przejechać?

—Chcę wyjechać. Ubijamy interes?

Handlarz skinął głową. Mógł opuścić i ze czterysta, byle się go pozbyć. Ten silnik to rupieć.

Powędrowali razem do biura i dobili targu.

Kwadrans później Dekę wyjechał mikrobusem ze złomowiska.

Doskonale wiedział, że to truchło, ale wiedział także, że kiedy nad nim popracuje, to silnik będzie śpiewał. Dekę miał rękę do samochodów.

—*Masz samochód?* — *spytała Joey.*

—*Nie. Kiedyś miałem. Mustanga. Był to... zaczął wyjaśniać Deke.*

—*Ożesz kurr...cze.*

—*Co?*

Miałabym chętkę na przejażdżkę. Może do Atlantic City. Fajnie, co? Moglibyśmy porobić te rzeczy na plaży. — Jakie rzeczy?

—*Chrysss... te! Czasem aż nie mogę uwierzyć. Widujemy się od trzech tygodni. No i co ty uważasz, że będziemy robić? Babki z piasku?*

—*Przepraszam. Ja...*

—*Nie mów przepraszam. Nie cierpię, jak tak mówisz.*

—*Mogę postarać się o auto.*

—*Skąd?*

—*Z tego warsztatu, w którym pracuję.*

—*Kiedy?*

—*Nie wiem. Muszę poczekać, aż oddadzą coś do remontu i zostawią tam na noc.*

—*Cholerrra!*

—*O co ci chodzi?*

—*Chciałabym się przejechać dziś wieczór.*

—*To niemożliwe.*

—*W takim razie chyba sobie dziś popracuję. Wracaj lepiej do domu.*

—*Nie! Wynajdę dla nas samochód!*

—*Tak? A jesteś pewny, kowboju?*

—*Jestem pewny!*

Wolno i ostrożnie prowadził swój mikrobus. Nie byłoby dobrze, gdyby go zatrzymano. Minął lotnisko imienia Kennedy'ego, zjechał z głównej autostrady i znalazł cichą, boczną drogę. Tam zaparkował i otworzył maskę samochodu. Silnik był mniej więcej w takim stanie, jak Dekę przypuszczał. Wymagał kilku dni wytężonej pracy.

Zadowolony, pojechał znowu do Queens, gdzie zostawił mikrobus w pobliżu stacji i metrem

wrócił do Nowego Jorku.

Jego pokój czekał. Kilka bezosobowych stóp kwadratowych. Łóżko, szafa, nieliczne rzeczy osobiste.

Pakowanie zabrało mu raptem kilka minut. A potem, raz jeszcze, ruszył w drogę.

Lunch: Bistro Gardens.

Obsada: Elaine Conti. Maralee Gray. Karen Lancaster. Menu: Sałatka, sałatka, sałatka.

Wszystko nie tuczące. Permanentna dieta.

Temat: Ploty.

Karen do Maralee: — Wyglądasz absolutnie bosko. Palm Springs musi ci służyć.

Maralee, z uśmiechem: — Rzeczywiście. Poznałam tam interesującego mężczyznę. Nazywa się Randy Felix.

Elaine: — Czy żyje zgodnie ze swoim nazwiskiem?

Maralee: — A skąd ja mam wiedzieć? To nie jest znajomość t e g o J typu.

Karen, ironicznie: — Znajomości innego typu nie istnieją.

Maralee: — Randy zajmuje się ekologią.

Karen, sarkastycznie: — Doprawdy?

Elaine, sprowadzając rozmowę do konkretów: — Ile ma lat? I czy ma pieniądze?

Maralee, śmiejąc się: — Nie wiem i guzik mnie to obchodzi. Nie planuję z nim ślubu.

Elaine: — To jakie masz plany?

Karen: — Zamierza wdrzeć się do kalesonów tego biednego dzieciaka. A kiedy on zjeżdża do miasta?

Maralee, urażona: — To wcale nie dzieciak. Ma jakieś dwadzieścia sześć, siedem lat. A jeśli już o tym mowa, to przyjedzie do L.A. niedługo. Ma tutaj własne mieszkanie.

Karen i Elaine unisono: — Jasne.

Maralee: — Boże! Ale z was świnie.

Karen: — Nie ma nic złego w pójściu do łóżka.

Maralee: — Nigdy nie twierdziłam, że jest. A kiedy już zdecyduję się na zbadanie zawartości kalesonów tego „biednego dzieciaka”, Karen, kochanie, to nie omieszkać cię zawiadomić.

Karen: — Szczegółowo! Pożądam szczegółów! Jak on się pieprzy i czy dobrze robi minetę.

—Karen!

—No dobra, dobra. Już się przemykam.

Te trzy kobiety były najlepszymi przyjaciółkami. Obracały się w tych samych kręgach, miały takie same zainteresowania — ciuchy, forsa i seks. Żadnej z nich nie pętała kula u nogi w postaci potomstwa — Karen, gdyż nigdy nie chciała, Maralee, gdyż będąc żoną Neila dwukrotnie poroniła, Elaine zaś, gdyż nie mogła zająć w ciążę (który to fakt nigdy nie spędzał snu z powiek ani jej, ani Rossowi).

— O! Patrzcie, kto właśnie przyszedł! — zawołała Karen.

Trzy pary oczu wzmocnionych trzema parami kosztownych szkieł kontaktowych przywarły do drzwi. A tam, elegancka, ubrana w białą jedwabną sukienkę i zakiet od Ungaro, z diamentami od Cartiera odpowiednimi na dzień, stanęła Bibi Sutton.

Bibi przekroczyła pięćdziesiątkę, ale nikt by nie powiedział. Od dwudziestu lat, kiedy to stała się tak zwaną lwicą salonową śmietanki Beverly Hills, nie postarzała się ani na jotę. Miała zadbaną, gładką jak oliwka cerę, gęste włosy koloru miedzi, fantastyczną figurę bez grama tłuszczu. Mówiono, że w ojczywej Francji była dziennikarką, że wysłano ją na przeprowadzenie wywiadu z amerykańskim gwiazdorem, Adamem Suttonem, bawiącym właśnie w Paryżu. Ale mówiono także, że była wysoko płatną ekskluzywną dziwką, która co noc odwiedzała go w jego apartamencie w hotelu George V. Za darmo.

Kogo to teraz obchodziło? Od tamtej pory minęły całe lata i kimkolwiek wtedy była, teraz została kobietą, z którą należy się liczyć.

Bibi Sutton dyktowała modę. Mogła postawić na świeczniku lub zniszczyć projektanta mody, restaurację, artystę, dostawcę artykułów żywnościowych. Miała przebicie, styl i silną osobowość. Plus francuski akcent, nawet po upływie tych dwudziestu lat brzmiący jak u Brigitte Bardot w najgorszym wydaniu. Podkreślała ułomności swojego angielskiego, stanowił on część jej charyzmy.

Dla kontrastu z nią Adam Sutton był wysoki i stateczny. Znakomity aktor z dwoma Oscarami na koncie. Mimo skończonych sześćdziesięciu lat, wciąż gwiazdor tudzież znakomitość społeczności Los Angeles.

Mieli dwójkę dzieci: osiemnastoletnią córkę, studiującą w bostońskim college'u, oraz dziewiętnastoletniego syna na Harvardzie. Plotka głosiła, że Bibi przed ślubem urodziła jeszcze jedno dziecko — owoc burzliwego związku z George'em Lancasterem. Ale Bibi stanowczo temu zaprzeczała. — Plugawe łgarstwo — oświadczyła jednemu dziennikarzowi

na tyle odważnemu (czy głupiemu), aby ją o to spytać. I plotce zamknięto gębę.

Bibi i Adam Suttonowie tworzyli królewską parę Hollywoodu. Doskonałe małżeństwo. Bogaci. Pożądani w towarzystwie. Wszechwładni.

—Hmmm... -- mruknęła Karen. — Jakżebym chciała przyłapać Bibi z majtkami spuszczoneymi do kolan. — Karen zawsze bawiła myśl, że wiele lat temu Bibi i jej ojciec uwikłali się w romans.

Maralee oblizwała wargi. — A ja bym chciała którejś ciemnej nocy przyłapać naszego Adama w łóżku. Najchętniej z samą sobą.

Karen zdumiała się. — Adama Suttona! Chyba żartujesz. On musi być najnudniejszym kochankiem w całym Beverly Hills.

—Kto to może wiedzieć? — odcięła się zgryźliwie Maralee.

—Ja z całą pewnością nie — odparła Karen. — I, prawdę mówiąc, nie przypuszczam, żeby ktokolwiek to wiedział. Ten facet nie wchodzi do każdego łóżka.

—Jakie to niezwykle — stwierdziła Maralee.

Elaine zignorowała je obie. Wstała i szybko skierowała się ku Bibi Sutton.

—Kochanie! — krzyknęły obie jednocześnie. Cmok, cmok w policzki. Wargi nawet nie musnęły skóry. - Jak się masz? - znowu unisono. — Cudownie wyglądasz!

Rytuał dobiegł końca. — Bibi — odezwała się pospiesznie Elaine.

—Myślę o urządzeniu małego soiree dwudziestego czwartego tego miesiąca. W piątek. Nic hucznego. Tyle że od wieków nie miałam dość czasu, by cokolwiek zorganizować. Ross był taki zajęty. Mój Boże, czyż ja muszę tobie mówić, jak to wygląda. Moglibyście więc wpaść z Adamem?

—Kochanie! — Bibi wyglądała na całkowicie skonsternowaną.

—Hmmm... Skąd mogę wiedzieć? Nie sądzisz chyba, że bez notesu wiem, co mam w planie. Zadzwoń do mnie. Jeżeli będziemy wolni, z rozkoszą przyjdziemy. Zgoda, kotku?

—Świetnie. Więc później się z tobą skontaktuję '-- zgodziła się posłusznie Elaine. Wydawanie przyjęcia w terminie, w którym Suttonowie mieliby coś innego do roboty, mijałoby się z celem. Prędko wróciła do swojego stolika ustawionego w modnym, skąpanym w słońcu ogródku.

—Udało ci się? — dopytywała się Karen, która знаła każde posunięcie Elaine.

—Mam do niej później zadzwonić — odparła posepnie Elaine.

—Nic nie może powiedzieć bez swojego notesu.

- Pieprzy — stwierdziła dosadnie Karen. — Ona nigdy na nic się nie zgadza, póki nie jest pewna, że w tym samym czasie nie odbywa się nic lepszego. Wieki temu tata urządzał dla niej przyjęcie urodzinowe, ona zaś odwołała je w ostatniej chwili, żeby polecieć na jakiś gówniany obiad z Chruszczowem. Tata był wściekły.

— Wyobrażam sobie — zgodziła się Maralee. — Mój tata wyprodukował dla Adama dwa filmy, a ona dotąd jeszcze nie zaprosiła go ani razu do siebie, gdyż tatuś nie pojawił się na którymś z jej bankietów.

Elaine przypatrywała się przyjaciółkom. Niekiedy, gdy przebywała w ich towarzystwie, ogarniało ją niemiłe uczucie niepewności. One były tak pewne swego. Słusznie zresztą. Obie wyrosły w Beverly Hills u boku bogatych, sławnych ojców. Nigdy nie narzekały na brak pieniędzy, a każde ich zamążpójście było powszechnie akceptowane. Ten przywilej dawało im ich pochodzenie. Mała Etta Grodinski z Bronxu musiała sama sobie wszystko wywalczyć. Mariaż z gwiazdorem filmowym, osiedlenie się w rezydencji w Beverly Hills, a także przepoczwarczenie się w atrakcyjną, inteligentną Elaine Conti nie było łatwym zadaniem. Smętnie wysączyła białe wino.

Uważaj siebie za szczęściarę. Te kobiety to twoje przyjaciółki. Akceptują cię. Lubią. Opowiadają ci wszystko o swoim życiu i miłościach, ciuchach i makijażu, operacjach plastycznych i ginekologach. Teraz jesteś jedną z nich. Jesteś. Nie zapominaj o tym.

Etta. Elaine. Jak starannie zatarła swoje pochodzenie. Jej żyjący jeszcze rodzice dawno temu przeprowadzili się z Bronxu do miłego domku na Long Island. Po dziś dzień nie zaprosiła ich do Beverly Hills. Po dziś dzień nawet nie poznali Rossa. Dzwoniła do nich raz w tygodniu, co miesiąc posyłała czek. Byli to prości, mili ludzie. W jej świecie czuliby się nieswojo.

Wstydzisz się ich, Elaine.

Nie, wcale nie.

— Spójrzcie, kto towarzyszy Bibi — odezwała się Karen.

Oczy ich obróciły się, by oszacować towarzysza Bibi, który się spóźnił i teraz spieszył ku niej poprzez zatłoczoną restaurację.

— Ależ to tylko Wolfie Schweicker — zauważyła Maralee lekceważąco.

— Mój Boże! Przez chwilę myślałam, że to jakiś prawdziwy mężczyzna! — krzyknęła Karen.

— Zmienił się. Jak on to zrobił?

— Zrzucił jakieś czterdzieści funtów — wtrąciła Elaine.

- Chyba tak! - zdumiała się Karen. - Teraz jest naprawdę szczupły.

Wolfgang Schweicker. Zawodowy towarzysz. Terminem tym określano każdego samotnego, ustosunkowanego towarzysko mężczyznę eskortującego zamężne kobiety w takich razach, gdy ich mężowie nie mieli czasu na najrozmaitsze wystawy, galerie i restauracje, w których one po prostu musiały się pokazać. Nancy Reagan miała swoich towarzyszy. Wolfie był ich odpowiednikiem dla Bibi. Swego czasu wyjątkowo otyły, zdołał schudnąć i stał się wyjątkowo smukły. Miał okrągłą twarz, kaczę nóżki, ubrany był kosztownie w najlepsze rzeczy, jakie Gucci mógł zaoferować. Tuż po pięćdziesiątce, właściciel świetnie prosperujących sklepów z wyposażeniem łazienek, z przedstawicielstwami na całą Amerykę. Wszyscy uwielbiali Wolfie'ego. Był taki dowcipny. Ale on należał do Bibi Sutton i nigdy nie pozwolił sobie na zdradę.

—Czy wiecie? — odezwała się Maralee postukując nieskazitelnie wymanikiurowanymi paznokciami w blat stolika. — Zaprosiłam kiedyś Wolfie'ego na wieczorek. A ten, nie zająkawszy się nawet, spytał, czy Bibi i Adam też przyjdą. Wtedy byłam żoną Neila, on nie cierpiał Bibi i guzik go obchodziło, czy ktokwiek o tym wie. Nazywał ją towarzysko poronioną francuską cipą! — Maralee zachichotała na to wspomnienie. — No więc, powiedziałam, że nie, na co on też „nie”. Możecie to sobie wyobrazić? Bez niej nie ośmielił się wpaść nawet na niewinny wieczorek.

Lunch upłynął w powodzi plotek, pomówień i ogólnie rzecz biorąc obgadywania. Reputacje, romanse, talenty i prezencja niedbale rozłożone na czynniki pierwsze. Elaine poprosiła o rachunek i zapłaciła kartą kredytową American Express. Karen pospieszyła do swojego psychoanalityka. Elaine z Maralee dostojnie wyszły, by przejąć z rąk uprzedzająco grzecznego parkingowego własne imponujące samochody.

Maralee uchyliła okulary przeciwsłoneczne, popatrzyła konspiracyjnie na przyjaciółkę i spytała: — No i co ty o tym sądzisz?

Elaine okiem profesjonalistki oszacowała efekty niedawnej operacji plastycznej. Będąc niegdyś żoną chirurga plastycznego wiele się nauczyła. — Znakomicie — orzekła po bacznej inspekcji. — Naprawdę, robota pierwszej klasy.

Maralee wzruszyła się. — Szczerze?

—Czy ja kłamię?

— Oczywiście, że nie.

Parkingowy podprowadził nowy model Porsche Turbo Carrera należący do Maralee. Z alimentów od Neila wrywała każdy cent, choć w zasadzie nie potrzebowała pieniędzy.

Ojciec ustanowił dla niej dwie spółki powiernicze, nad którymi zdobyła sobie władzę. Kiedy zaś Ty-rone Sanderson umrze, odziedziczy niezłą fortunę. — Jadę do Nei-man-Marcusa — oznajmiła. — Ty się tam nie wybierzesz?

Elaine potrząsnęła głową. — Muszę wracać do domu. Teraz, kiedy Ross jest na miejscu, nie jestem panią swojego czasu.

Maralee ze zrozumieniem kiwnęła głową i skierowała się do samochodu.

- A tak przy okazji... — Elaine przytrzymała przyjaciółkę za ramię. — Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

—Tak?

—Wiem, że nie jesteś w najlepszych kontaktach z Neilem.

—Odkryłaś Amerykę!

—Ale czy byś mogła... zechciała...

Maralee zniecierpliwiła się. — Co takiego, Elaine?

—Potrzebna mi jest kopia scenariusza „Ludzi z ulicy” — wykrztusiła szybko. — To ważne. Jak najprędzej.

Maralee uniosła brwi. — Ten kawał szmelcu?!

—Czytałaś to?

—A muszę? Napisała go niby ta cała Montana. Czy to ci nie wystarczy?

Elaine poczuła, że jej twarz oblewa się rumieńcem. Jakże nienawidziła prosić kogokolwiek o cokolwiek. — Zdołasz go dla mnie zdobyć?

Maralee chytrze spojrzała na przyjaciółkę. — Nie mów mi, że Ross jest tym zainteresowany.

Elaine wzruszyła ramionami; miała nadzieję, że obojętnie. — On lubi o wszystkim wiedzieć.

—A jego agent nie może mu tego załatwić?

—Trzymają to najwyraźniej pod korcem.

—Pewnie dlatego, że ten scenariusz jest taki zły — prychnęła Maralee. — Och, no dobrze, jak ci tak na tym zależy, dostaniesz go. W tym mieście nie ma niczego, czego nie mogłabym dostać w swoje ręce.

—Dziękuję, Maralee.

—Nie ma za co.

Wargi musnęły policzki. Rozstały się. Maralee z rykiem silnika odjechała swoim nowym Porsche, Elaine zaś posępnie wsiadła do swojego czteroletniego Mercedesa. To wszystko się zmieni — państwo Con-ti niebawem powrócą na sam szczyt i już nigdy nikogo nie będzie

musiała prosić o przysługę.

—Właśnie rozstałam się z twoją żoną — wychrypiała Karen w słuchawkę.

—No i?

—Do wszystkiego się jej przyznałam.

Ross dłuższą chwilę przeżuwał tę informację. — Co zrobiłaś? — wykrztusił wreszcie.

Głos Karen dźwięczał podnieceniem. — Do wszystkiego, Ross. Pewnie cię zabije! — Nie potrafiła dłużej pohamować śmiechu.

—Cwana dupa.

—Ty to mówisz.

—Gdzie jesteś?

—W poczekalni u mojego psychoanalityka. Mam właśnie zamiar opowiedzieć mu o nas.

—Nie wolno ci!

—A dlaczego nie? Przekażę ci to, co powie. Przyrzekam.

—Cholera jasna, Karen. Nie wymieniaj mojego nazwiska.

—A co dostanę, jeśli tego nie zrobię?

—Największe pieprzenie w życiu.

Aż zachłysnęła się z radości. — Nie byłabym tego taka pewna.

—Zadzwoń do ciebie jutro.

—To nie wystarczy. Kiedy?

Pragnął jej, ale jeszcze bardziej pragnął scenariusza „Ludzi z ulicy”, toteż nie zamierzał wychodzić z domu, póki go nie dostanie.

—Powiedziałem, że zadzwonię jutro.

Niełatwo było ją spławić. — Słyszałam, że w domu Contich ma się wkrótce odbyć przyjęcie.

—Aha.

—Elaine cały lunch poświęciła na urabianie Bibi Sutton.

—Z jakim skutkiem?

—Uzyskała „może”. Znasz Bibi.

Ross orientował się w towarzyskich układach Beverly Hills. Jeżeli Elaine nie zdoła ściągnąć na swoje przyjęcie Bibi Sutton, to równie dobrze może go wcale nie urządzać. Ale gdyby on sam zadzwonił do Adama, odwołał się do starej przyjaźni...

—Muszę już lecieć — odezwała się niespodziewanie Karen. Chciała mieć tę satysfakcję, że

to ona pierwsza odłożyła słuchawkę.

—Nie waż się tylko mówić o mnie czegokolwiek psychoanalitykowi — przestrzegł ją Ross.

Rozłączyła się bez słowa. Ross wrócił na leżak, na którym się pracowicie opalał, i wyobraził sobie scenę w Bistro Gardens. Bibi uchylająca się od zaproszenia, Elaine osaczająca ją oraz Karen delektująca się każdą sekundą takiego pokazu lizusostwa.

Karen. Przez jeden straszliwy moment uwierzył, że wyznała wszystko Elaine. Ta niewiasta ma swoiste poczucie humoru. Może powinien z nią zerwać?

Ale znowu dlaczego? Na pewno nie piśnie Elaine słowa. A on wciąż tak bardzo pożądał jej szczupłego ciała i cudownie podniecających sutek. Och, te sutki!

Wciąż — ale nie natychmiast. Po przeczytaniu scenariusza. Kiedy Sadie La Salle zostanie jego agentem. Kiedy... znajdzie się na mocniejszym gruncie.

Buddy'emu zdawało się, że ledwie zamknął oczy, a już obudził go dzwonek telefonu.

—Co jest? — wymamrotał.

Wybuch śmiechu, potem: — Buddy? Ocknąłeś się?

—Zadzwoń do mnie rano — powiedział rozespany.

—Już jest rano — wyjaśnił zniecierpliwiony rozmówca. — Jest jedenasta i najwyższy czas, byś się ruszył.

—Randy! — Buddy powoli otworzył oko. — Jak ci leci?

—Lepiej niż dobrze. Przygruchałem sobie naprawdę wspaniałą i bogatą babkę.

—Hej, to świetnie. — Otworzył drugie oko i przesunął ręką po łóżku w poszukiwaniu Angeli. Nie było jej.

—Owszem — przyświadczył Randy dziarsko. — I jak amen w pacierzu, wykorzystam tę szansę do cna. Póki co, to jestem Pan Obojętny i to ona się za mną ugania. A przy jeszcze większym nakładzie pracy sądzę, że rzeczywiście mogę się znaleźć na właściwej drodze.

—Świetnie, świetnie... — wymamrotał Buddy, mając nadzieję, że telefon Randy'ego nie ma nic wspólnego z mieszkaniem.

—Przyjeżdżam jutro — oświadczył Randy, jak gdyby kierując się zmysłem telepatycznym — i będzie mi potrzebne moje mieszkanie. Wiem, że to nagle. Ale kiedy ci je pożyczałem, umówiliśmy się tylko na parę tygodni. No i przecież co nieco sobie pomieszkałeś. Zjawiam się jutro koło południa.

—Koło południa?

—Zgadza się.

Buddy zmagał się z sobą, by coś powiedzieć. Ale co? *Hej, stary. Nie mam gdzie się wynieść. Nie mam forsy. Mam natomiast żonę na utrzymaniu. Nie mam niczego więcej.* Ale do tego nie mógł się przyznać. Za żadne skarby.

Duma. Miał jej wystarczająco dużo, by się nie przyznać, że od chwili powrotu nie udało mu się załapać na żadną śmierdzącą, parszywą robotę.

—Do tej pory już się wyniesiemy — przyrzekł pogodnym tonem.

— I dzięki ci za ten kawałek podłogi, Randy. Sprawy tak się układają, że przenosimy się do Sunset Towers.

—Sunset Towers? Więc wszystko gra?

—Jasne.

—Nie mogę doczekać się, kiedy poznam twoją starą.

—Zdzwonimy się w ciągu tygodnia i jakoś to zorganizujemy.

Z trzaskiem odłożył słuchawkę i wyskoczył z łóżka. Cholera jasna!

Rzucił się do lodówki, pochłonał sok pomarańczowy wprost z kartonu, schwycił pełną garść rodzynek i wgryzł się w jabłko.

Potem zastanowił się nad tym, co ma począć.

Dandys. Wycofał się z interesu.

Maxie Sholto. To już najbardziej ostateczne rozwiązanie.

Frances Cavendish. Natychmiast zadzwonić do niej w sprawie „Ludzi z ulicy”.

Shelly? Jak to jest zostać męską striptizerką?

Wciągnął szorty i zaczął ćwiczyć pompki. Potem przypomniał sobie współlokatora JDandysa, krągłutkiego, niedużego pedała z wściekłym psem. Pedałek zostawił mu wizytówkę i powiedział: — Zadzwoń.

Dlaczego by nie? Od czegoś trzeba zacząć.

Tak. Ale gdzie wizytówka tego gościa? Co z nią zrobić? Buddy

usiłował skoncentrować się na pompkach, na próżno. Jak można się skupiać na ciele, kiedy lada chwila masz znaleźć się na bruku?

Gwałtownie zerwał się na równe nogi i wystukał numer telefonu Frances Cavendish.

—Pani Cavendish ma spotkanie. Czy może do pana później zadzwonić? — zabręczał nieznajomy głos.

—To pilna sprawa — warknął Buddy.

—Och! No, dobrze, zorientuj się. Kogo mam zaanonsować?

—Roberta Evansa.

Szacunek. — Oczywiście, panie Evans.

Trzydzieści sekund czekania, potem: — Bobby, jak się masz. Czym ci mogę służyć?

—Frances, tu Buddy Hudson. Nie wściekaj się na mnie, to naprawdę pilne.

—Chryste Panie!

Mówił pospiesznie. — Frances, jest taki film, „Ludzie z ulicy”. Jest w nim dla mnie rola. Nie zechciałabyś wykreować nowego gwiazdora? Więc załatw to dla mnie, dobrze?

Frances była bardziej niż zirytowana. — Żadne dobrze.

—Dlaczego?

—Bo, drogi chłopcze, rzeczywiście kompletują obsadę do filmu o tym tytule. Ale ja nie wiem, czy tam jest dla ciebie odpowiednia rola, gdyż nie widziałam na oczy scenariusza. Prawdę mówiąc, czytali go tylko nieliczni. Trzymają go w sekrecie.

—To bzdura, Frances. Ty wszystko czytasz.

Parsknęła niczym rozeźlony koń. — Szczera prawda, Buddy. Jednakże w tym wypadku obsadę ustala autorka. — Jej głos przepelniało szyderstwo. — Która oczywiście wie wszystko lepiej od nas, biednych, starych fachowców. Ja robię w tym tylko trzydzieści lat i tyle. Więc co ja mogłabym umieć?

—Kto jest autorką?

—Montana Gray, żona reżysera. Mówi ci to coś? A teraz wyłącz się, Buddy, i nigdy więcej nie waż się ze mną kontaktować pod fałszywym nazwiskiem. Dotarło?

—Potrzebuję pracy, Frances.

Westchnęła. — Jak zawsze. Ale nigdy nie udało ci się zahaczyć o żadną robotę, jaką ci podesłałam.

—A miałybyś coś dla mnie? Następnym razem się wstrzele. Jestem pewny. — Wiedział, jak ją podejść. Chciał, żeby załatwiła mu wstępną rozmowę.

—Interesuje cię statystowanie? — spytała w końcu.

Ogarnął go gniew. Statystowanie. Prędzej to miasto opuści, niż się przed nim ukorzy. — Nie — odparł zimno.

—No to szkoda. Wobec tego nie jestem w stanie pomóc ci inaczej. Jakże znienawidził ten cały aparat telefoniczny. Najpierw Randy, potem Frances. Jedna po drugiej złe wiadomości.

Brzęk klucza Angeli w drzwiach. I co on ma jej teraz powiedzieć?

Wyglądała wyjątkowo pięknie, jaśniejac blaskiem niekłamanej niewinności.

- Przepraszam, że nie było mnie w domu, aby ci przygotować śniadanie — wymruczała miękko, podchodząc do niego i obejmując go ramionami w pasie. — Musiałam iść do lekarza.

W głowie Buddy'ego wirowały myśli. Montana Gray, żona Neila Graya. Sami obsadzają film. Producent Oliver Easterne, jak powiedziała Shelly. Wymierzył Angeli delikatnego klapsa. — Zadzwoń dla mnie do informacji, maleńka. Potrzebny mi numer Easterne Productions.

Popatrzyła na niego zranionym wzrokiem. — Powiedziałam ci, że musiałam iść do lekarza. Nie chcesz znać przyczyny?

—Taa... jasne, chcę. — I nagle jakby oprzytomniał. — Dlaczego nic nie powiedziałaś, że masz wizytę?

—Ja... nie byłam pewna, czy się ucieszysz. — W jej wzroku, utkwionym w mężu, blask szczęścia przesłaniała niepewność.

Uderzyła go cała groza tego, co chciała mu wyznać. — Chryste, kotku. Ty chyba nie jesteś... — nie mógł się zdobyć na dokończenie tego zdania.

Kiwnęła głową i szepnęła owo opuszczone słowo: — W ciąży!

—Och, nie!

—Och, tak! Czy to nie cudowne, Buddy? Czy to nie jest absolutnie cudowne?

Nie wiedział, jak zareagować. Zamurowało go. Chciał odepchnąć Angelę, ale się pohamował.

—Hej, lecę na basen. Potem pobiegam. Wrócę. — Wypadł z mieszkania niczym złodziej.

—Buddy! — zawołała za nim. Nie zatrzymał się. Przymknęła na sekundę powieki, zacisnęła je z całych sił, zdecydowana powstrzymać łzy. O Boże... to jasne, że w filmach zupełnie inaczej to pokazują. Ale musi przestać rozczulać się nad sobą. Jeżeli Buddy nie czuje się uszczęśliwiony dzieckiem, to już to samo w sobie jest okropne. Ona była zachwycona. On w końcu też będzie. Tego była pewna. Bo, poza wszystkim, on ją kocha, prawda? I teraz stworzą prawdziwą rodzinę.

—Jeżeli chcesz, zabierz to — powiedział kapitan Lacoste. Wskazał opasłe akta leżące przed nim na biurku. — Ale wiesz, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Po całym kraju rozesłano rysopis, fotografie, odciski palców. Następny ruch należy do niego.

—Wiem — zgodził się Leon. — Ale mam takie wrażenie, że istnieje coś, co uszło naszej uwagi. Dlatego chciałbym jeszcze raz przestudiować te akta. I muszę mieć na to trochę czasu. — Wziął teczkę. Nie było w niej papierka, którego by już nie widział. Opuścił gabinet przełożonego i skierował się prosto do swojego samochodu. Padało.

Leona złościło to, że stracił prochowiec. Był rodem z Anglii, kupiony przez jednego z przyjaciół u Burberry 'ego w Londynie i przywieziony jako specjalny prezent urodzinowy. Świadomość, że będzie w nim paradowała Joey-kurewka, rozwścieczała go do białości.

Pomyślał, czyby nie wsiąść do samochodu i nie ruszyć na poszukiwania, ale po długim, ciepłym prysznicu decyzja ponownego wyjścia w parszywą noc nie bardzo mu się uśmiechała. Wobec tego włożył piżamę, nalał sobie solidną porcję brandy i rozsiadł się, by obejrzeć w telewizji stary western.

Musiał zasnąć przed odbiornikiem, gdyż nagle obudziło go natarczywe bębnienie w drzwi. Na wpół śpiąc, po omacku dowlókł się do drzwi, zerkając po drodze na zegarek i zastanawiając się, kto u diabła zawraca mu głowę o drugiej w nocy.

Otworzył drzwi na oścież i natknął się wzrokiem na żaloszny obraz. Na Progu stała przemoczona do suchej nitki Joey Kravetz. Podkoszulek °blepił jej ciało, workowate spodnie zwisały luźno, pomarańczowe włosy przykleiły się do czaszki, a z czubka haczykowatego nosa skapywała woda.

—Odniosłam ci prochowiec — oświadczyła bezradnie, wręczając mu płaszcz.

Ucieszył się na jego widok, mniej na widok dziewczyny. — Skąd wytrzasnęłaś mój adres?

Pogrzebawszy w kieszeni prochowca, wyciągnęła zmiętą kopertę.

—Twój rachunek za elektryczność — oświadczyła, potem natychmiast zaczęła kichać.

—Chyba będzie lepiej, jak wejdziesz — warknął niechętnie.

—Cholera, dzięki — kichnęła. — Myślałam już, że mnie nigdy nie zaprosisz. — Potem jej twarz rozjaśnił złośliwy uśmiešek. — Fajna piżamka. Naprawdę seksowna. Śliczna dziurka!

Zmartwił, zorientowawszy się, że ma rozchyłony rozporek. — Chwileczkę — rzucił sztywno, po czym pospiesznie umknął do łazienki, gdzie wrzucił na grzbiet szlafrok. Kiedy wrócił do salonu, znalazł Joey stojącą przed telewizorem. Na dywan skapywała woda.

—Posłuchaj — rzekł gniewnie. — Dam ci jakieś ciuchy, póki twoje nie wyschną. Potem zadzwonię po taksówkę.

—Nie mam dokąd jechać — siąknęła nosem.

—Musi przecież być jakieś miejsce.

—Nie — potwierdziła uparcie.

—Więc znowu podrzucimy cię wydziałowi dla nieletnich. Nastrój Joey zmienił się błyskawicznie. — A gównu! — smarknęła.

—Ty ciągle nawijasz o tym samym. Wydział dla nieletnich. Tyle tylko umiesz powiedzieć.

—Joey — powiedział cierpliwie. — Nie wrzeszcz na mnie, bo ja wcale nie chcę twojej krzywdy. No to masz się gdzie podziąć, czy nie? ,

—Owszem — odparła ponuro. — Jutro wraca moja przyjaciółka. Mogę się zatrzymać u niej, póki nie zarobię dosyć forsy na wyjazd do Arizony. — Dalsze jej słowa przerwał nowy atak kichania.

—Może idź do łazienki i ściągnij mokre ubranie, zanim dostaniesz zapalenia płuc.

Posłusznie kiwnęła głową. Pokazał jej drogę, cały czas zastanawiając się, co by tu z nią począć.

—Mogę wejść pod prysznic?! — zawołała.

—Chyba powinnaś — odparł niegrzecznie. — Wyrzuc mi tutaj swoje ubranie. Postaram się je wysuszyć.

Poszedł do kuchni, włączył elektryczny czajnik, potem zebrał z podłogi ubranie i położył je na grzejniku. Następnie znalazłszy w szafie jakiś porozciągany sweter i stare spodnie cisnął je pod drzwi łazienki, żeby Joey miała je pod ręką.

Jakim sposobem on, Leon Rosemont, wylądował z szesnastoletnią prostytutką biorącą prysznic w jego własnej łazience? Wielki Boże! Jeżeli którykolwiek z sąsiadów to odkryje, obśmieją go jak amen w pacierzu.

Joey wyszła sucha i czysta, śmiesznie drobna w jego ubraniu. Akurat zagotowała się woda. Nalał ją więc do filiżanki, dorzucił herbatę ekspresową i dwie kostki cukru. Wręczył to Joey.

Ta zasiadła przy kuchennym stole i z wdzięcznością zaczęła siorbać.

—No i co ja mam z tobą począć? — odezwał się Leon.

—Pozwól mi przenocować na twojej kanapie, a ja skoro świt się zmyję — odparła błyskawicznie.

—Nie mogę tego zrobić.

—A to czemu?

Zastanowił się chwilę. Jedyłą alternatywą było wyrzucenie jej za drzwi, a to oznaczało ubranie się i powleczenie na dworzec. Wciąż lało, a tego biednego dzieciaka jeszcze przed świtem zapuszczają i zaczynają grzebać w kartotece.

Powziął szybką decyzję. Do czorta z tym wszystkim. Niech śpi tutaj na kanapie, a rano odwiezie ją do tej przyjaciółki i sprawdzi, czy nie skłamała. Gdzieś w zakamarkach jego głowy czaiła się myśl: „Źle robisz”, ale zignorował ją, wyciągnął zapasowe koce z szafy w korytarzu i podał je Joey.

Zamknął za sobą drzwi do swojej sypialni, wszedł do łóżka, przeczytał dwa rozdziały powieści Josepha Wambaugh'a i zasnął.

Burza rozpętała się koło trzeciej trzydzieści nad ranem. Oszalałe groty błyskawic i hucząca kanonada grzmotów. Leon spał. Nie obudził się. Joey ocknęła się natychmiast, owinęła nagie ciało kocem i zaczęła dygotać. Przeraziło ją jaskrawe światło piorunów i dudnienie grzmotów.

Zeskoczywszy z kanapy pomknęła do sypialni Leona. Spał na wznak, ^ohrapiąc, niepomny na nic.

Cichutko uniosła koldrę i wśliznęła się obok niego. Ani drgnął. Przytulila się mocniej, jego masywne ciało dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Poruszył się we śnie, jęknął, coś zamamrotał.

Nie śpisz? — szepnęła, moszcząc się przy jego plecach, obejmując ^o ramieniem przez pierś. Leżał nieruchomo, ciężko oddychając.

Głaskała go po piersi, po gęstych, skręconych włosach, aż odnalazła sutki. Doświadczenie nauczyło ją, że podobnie jak kobiety, i mężczyźni można podniecić drażniąc sutki.

Schwyciła jedną, potem drugą, a ich koniuszki zaczęły poddawać się jej grubym, krótkim palcom. Sutki pod dotykiem naprężyły się. Przesunęła dłoń w dół, w spodniach piżamy wytropiła rozporek, wsunęła tam ręce i zacisnęła je na zwiotczonym penisie Leona. Bardzo delikatnie zaczęła manipulować nim w górę i w dół. Powolne, rytmiczne ruchy wyrwały z ust Leona cichy jęk rozkoszy, choć on sam się nie obudził.

Joey uśmiechnęła się, zapominając o burzy i skupiając się na doprowadzeniu Leona do orgazmu bez wyrywania go ze snu. — Masz przecu-downego kutasika — szeptała zachęcająco w jego ucho. — Prawdziwe cudo... No, dalej, kowboju, daj mi, co tam masz... oddaj wszystko mamusi... oddaj mi cały swój słodki sok...

O tak, ona świetnie wiedziała, czego mężczyźni uwielbiają słuchać. A to było takie łatwe. Leon szybko doszedł, sperma w długich, drżących spazmach wystrzeliła na prześcieradła.

Joey mocno przytulila się do jego pleców i zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, świtało, a burza się dawno skończyła. Leon u jej boku chrapał z

ukontentowaniem. I dlaczego by miało być inaczej? Dała mu to, czego chciał. Czego chcą wszyscy faceci. Mógł sobie odstawić kretyńskiego ojczulka, ale przecież był tylko mężczyzną. Tak naprawdę to nie obchodziło go, co się z nią stanie.

Ostrożnie wysunęła się z łóżka i obserwując kątem oka jego bezwładne ciało, przeszukała leżący na komodzie portfel. Za usługę należy się zapłata. Trzysta dziewiętnaście doków. Impulsywnie złapała forszę, porwała z kuchni swoje ciuchy, ubrała się pośpiesznie, a potem bezszelestnie wymknęła się z mieszkania.

Millie Rosemont przeklinała dzień, w którym kapitan Lacoste wyraził zgodę, by Leon zabrał do domu akta sprawy Deke'a Andrewsa. Od dwóch i pół tygodnia co wieczór zamykał się w swoim dusznym gabinecie, rozkładał na biurku te obraźliwe dla Millie papierzyska. Potem przesiadywał nad nimi godzinami, bazgrząc coś bez sensu w swoim służbowym notesie (co rano sprawdzała kosz na śmieci i znajdowała tam stos kartek z tajemniczymi: *Dlaczego? Gdzie on teraz jest? Kiedy znowu uderzy?*).

Millie uznała, że już czas najwyższy, aby położyć temu kres. Wkroczyła do gabinetu niosąc filiżankę kawy i kanapkę. — Leon — odezwała się ostro. — Czy możemy chwilę porozmawiać?

Zdjął ciężkie okulary do czytania, potarł grzbiet swojego mięsistego nosa i spojrzał w górę. — Jeżeli my nie możemy, to nie wiem kto z kim może.

Odstawiła na biurko kawę i kanapkę i wpatrzyła się w męża z powagą. - Ta sprawa staje się twoją obsesją, a to mi się wcale nie podoba.

Spojrzał na nią ze współczuciem i postarał się ocenić tę sprawę z jej punktu widzenia. Lepiej by było, gdyby mógł jej wszystko wytłumaczyć, przyznać się, dlaczego czuje się tak osobiście zaangażowany. Ale nie, na to nie potrafił się zdobyć. Było mu wstyd, czuł się zażenowany.

Przeciągnął się, zdrętwiały mu ramiona i zeszywniał kark. — Jeżeli nie chcesz, abym to ciągnął...

Rozłożyła bezradnie ręce. — Rzecz nie polega na tym, czego ja chcę, a czego nie. Chodzi o to, jak byłoby najlepiej dla ciebie.

—Najlepiej dla mnie — odparł powoli - byłoby, gdybym rozwiązał całą sprawę.

—Co to. znaczy „rozwiązał”? — odcięła się rozzłoszczona. — Przecież wiadomo, kto jest mordercą. Wiesz, że zrobił to ich syn. I wiesz także, że przyłapią go na czymś innym. Zawsze się tak dzieje. Sam mi to tłumaczyłeś.

Upił łyk gorącej kawy. — Chcę zrozumieć, dlaczego to zrobił, Millie. Muszę się tego dowiedzieć.

Odgryzł kęs kanapki, popił kawą, potem wziął do ręki notes. *Gdzie się urodził Dekę Andrews?, zapisał. W którym szpitalu? W jakim mieście? Kiedy?*

Najprawdopodobniej było to nieistotne, ale zawsze. Wśród papierów pozostałych po Andrewsach nie znaleziono dokumentów mówiących o ich życiu sprzed przeprowadzki do Filadelfii dwadzieścia lat temu z okładem — ani aktu ślubu, ani metryk, ani listów od krewnych. Najmniejszej wskazówki, skąd pochodzili.

I to nurtowało Leona. Dlaczego brak jakichkolwiek danych o ich przeszłości? Czyżby Dekę natknął się na coś, o czym nie powinien był wiedzieć?

To jest jakiś pomysł.

Na czystej kartce Leon zanotował: *Wyciągnąć komputerowe dane o Willisie i Winifredzie Andrewsach.*

Czemu nie? I tak nie było nic do stracenia.

Wyglądał najprzystojniej, jak potrafił. A to już było coś. Panienska w recepcji oniemiała i nawet nie sprawdziła, czy jego nazwisko widnieje na wypisanej na maszynie liście. Skierowała go ku windzie, racząc promiennym uśmiechem i słowami: „Powodzenia”.

Powodzenie. Tego mu było trzeba.

Powodzenie. Jego ciało tęskniło za nim, tak jak ćpun wzdycha do narkotyków.

Nacisnął guzik windy. Dwudzieste piętro. Czyżby dwudziestka miała okazać się wystrzałowym numerem jego życia?

Świetnie wyglądasz... świetnie wyglądasz... wyglądasz dokładnie tak świetnie, jak powinien wyglądać gwiazdor.

No, właśnie! Myśl w ten sposób. Dodawaj sobie ducha.

Z windy wysiadł prosto w morze ludzi. Siedzieli, podpierali ściany, tłoczyli się na każdym calu przestrzeni. Wszelakiego wzrostu, figury, wieku. W pośrodku tej ciżby stało ogromne biurko, okupowane przez urzędowo wyglądającą blondynę i starszą od niej rudowłosą. Dla Bud-dy'ego czterdziestka to był wiek zaawansowany. Chyba że chodziło o Jane Fondę czy Raquel Welch.

Pewnym krokiem podszedł prosto do biurka. Jednocześnie błyskawicznie odszukał wzrokiem miejsce, które było centrum tego całego rozgardiaszu. Wyłożone dębina drzwi. Mała, mosiężna wizytówka. Na niej: MONTANA GRAY.

Kobieto, masz szczęście. Buddy Boy przyszedł. Buddy Boy jest tutaj, by zagrać główną rolę w twoim filmie.

Skierował się ku blondynce. Miała wspaniałe zielone oczy, nieskazitelną cerę i okropnie zrobiony nos.

—Buddy Hudson — zaanonsował siebie pewnym głosem. — Pani Gray mnie oczekuje.

Blondynka uśmiechnęła się, włożyła okulary w lawendowej oprawce i zaczęła sprawdzać na liście.

Buddy wiedział, że nie znajdzie na niej jego nazwiska, więc rzucił pospiesznie: — Rozmowę załatwił osobiście Bob Evans.

Blondynka oderwała się od czytania. — Tak? A z kim?

—No... rozmawiał z Montaną, panią Gray. Powiedziała, żebym przyszedł prosto tutaj. Kręcę właśnie serial dla NBC i mam — zerknął wymownie na zegarek — dokładnie czterdzieści dwie minuty do pojawienia się znowu na planie. — Teraz pora na uśmiech, mówiący: *Uważam, że jesteś najbardziej seksowną babką, jaką kiedykolwiek widziałem. Tak chciałbym iść z tobą do łóżka, bo jesteś całkowicie, absolutnie, nieodparcie wspaniała.* — No więc — ciągnął — byłbym wdzięczny, gdybym mógł tam zaraz wejść. Chyba że miałyby to w jakiś sposób zrujnować pani harmonogram.

Trudno powiedzieć, żeby blondynka prowadziła życie pustelnicy. Przy najrozmaitszych okazjach zaliczała najrozmaitszych mężczyzn. Uważała siebie za twardego orzech do zgryzienia. Z jej twarzy nigdy nie schodził uśmiech. Ale Buddy Hudson był zupełnie kimś innym! Instynktownie wiedziała, że jej pożąda, i to nie tylko dlatego, że przez nią prowadziła droga do Montany Gray.

—Zobaczę, co się da zrobić — przyrzekła, zapisując jego nazwisko.

Popatrzył jej prosto i wymownie w oczy. — Będę naprawdę wdzięczny.

.Najpierw Buddy'ego uderzyło, że ta kobieta nie jest w jego typie. Absolutnie. Wcale.

Siedziała za masywnym biurkiem, chłodna i opanowana, w żakiecie o poszerzonych ramionach i w koszuli w drobne prążki. Kruczoczarne włosy miała zaplecione w długi warkocz, a prawie całą twarz przesłaniały ogromne, fotochromatyczne okulary. Cera oliwkowa, olśniewająca, wargi szerokie i nie tknięte szminką.

Nic wielkiego. Zupełnie nie w jego typie. Buddy Boy lubił puszyste blondynki, słodkie i pociągające. Dziewczęce.

Pochłonięta notowaniem czegoś, nie podniósłszy nawet głowy, gestem wskazała mu, by

usiadł. Do tego celu po drugiej stronie biurka ustawiono obity skórą fotel. Zmierzył go zrozpaczonym wzrokiem. Komu potrzebne siadanie? Co w nim takiego wystrzałowego? Najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Kiedy tamta uniesie oczy znad tej bazgraniny, to Buddy chce się jej pokazać w pełnej krasie.

Czaił się przy drzwiach, gotów podejść do biurka w chwili, gdy Montana całą swoją uwagę skupi na jego osobie. Chód był istotny. To część jego osobowości. Ten kołyszący się, niedbały krok. Chryste! Przecież się nie denerwuje, co nie? Buddy Boy nigdy nie tracił nad sobą panowania.

Więc skąd wzięły się te mokre plamy pod pachami? I dlaczego nad górną wargą pojawiła się smużka potu?

Cholera jasna! Czy ona ma zamiar cały dzień zajmować się pisaniną? Dotąd poszło mu jak z płatka. Kto by przypuścił, że tak niewinnym kłamstewkiem utoruje sobie tutaj drogę? I to na dodatek przed całym tym tłumem, który prawdopodobnie miał umówione wcześniej spotkania! Winien był wdzięczność blondynce z okropnym nosem za ten łut szczęścia.

Pragnąłby wiedzieć cokolwiek o tej roli. Czy ma być agresywnie seksowny? Chłopięcy? Czarujący? W typie Dustina Hoffmana, tylko przystojniejszy?

Szlag by to wszystko trafił. Znał tylko tytuł filmu, wiedział, że ta kobieta jest jego autorką, a jej stary będzie go kręcił.

Coś ścisnęło mu żołądek. Nerwy. Jak tak dalej pójdzie, to przed trzydziestką nabawi się wrzodów.

Taaa... A jakżeby mogło być inaczej? Randy wyrzuca ich z mieszkania. Brak forsy, pracy i zaledwie parę godzin temu Angela powiadomiła go spokojnie, że spodziewa się dziecka.

Przestępował nerwowo z nogi na nogę.

— Jeszcze minutkę — powiedziała Montana, nie podnosząc wzroku.

Mogę poczekać. To znaczy, dlaczego nie mógłbym? Przecież jestem tylko jeszcze jednym bezrobotnym aktorką. Kogo obchodzi to, co ja czuję?

Spokojnie przyjął nowinę Angeli. Była tak uszczęśliwiona. Wydawało mu się jakoś niestosowne wyjaśnić jej wtedy, że ciążę trzeba usunąć. Za nic nie mogą pozwolić sobie na dziecko. Buddy starał się ukryć, jak bardzo nim to wstrząsnęło. A potem włożył swój jedyny przyzwoity strój i wyniósł się z domu. Czym prędzej.

Wtargnięcie do biurowca Easterne'a było decyzją jednej chwili.

I oto jest tutaj — i ta kobieta jest tutaj — pani Montana Gray. Nie w jego typie. Wcale. Ale

dla takich, co gustują w mocnych, męskich niewiastach całkiem, całkiem.

Wetknęła długopis do ust, zsunęła okulary na czoło i utkwiała w nim swoje przenikliwe, tygrysie oczy. — Buddy Hudson — powiedziała lodowatym tonem. — Nie przypominam sobie, żeby Bob Evans kontaktował się ze mną w pana sprawie.

Niełatwo byłoby ją zbajerować. Od razu to zauważył. Więc popróbuje uczciwością i ruszaj do ataku. Przymaszerował do biurka, opadł na fotel, niedbale wyciągnął nogi. — Bo tego nie zrobił.

—Nie zrobił — powtórzyła cierpliwie.

—Nie.

—Więc może zechciałby mi pan wyjaśnić, skąd pan się tutaj wziął?

—Smoliste, czarne oczy spotkały się z przenikliwymi, tygrysimi. Przytrzymały je.

—Ponieważ — wyjaśnił przeciągle i z odrobiną bezczelności — byłoby z pani stratą, gdyby mnie pani nie zobaczyła. — Obdarzył Montanę leniwym, zmysłowym spojrzeniem.

Zdusiła irytację. — Doprawdy?

Od Buddy'ego bił blask fałszywej pewności siebie. — Jasne. Wyjęła czubek długopisu z ust.

— Może byśmy darowali sobie te brednie, panie Hudson?

—Co takiego?

- Darujmy sobie, że jestem najbardziej-w-świecie-godną-pożądania-maszynką-do-seksu i pozwólmy, bym obejrzała sobie pana takim, jakim pan jest naprawdę.

Zmarszczył brwi. — Hej...

Uśmiechnęła się na zgodę. — Wszystkich nie można olśnić.

—Ja...

—Ma pan jakieś fotosy? Życiorys?

—Niczego ze sobą nie przyniosłem.

—To może wobec tego sam mi pan opowie, co dotąd zrobił?

—Przytknęła długopis do rozłożonego na biurku notesu. Chryste! Ją interesowały jego aktorskie doświadczenia. Naprawdę interesowały!

—Ja... tego... Zagrałem w serialu „Starsky i Hutch”. I w „Smokey and the Bandit”. To znaczy, kręciłem tam zdjęcia, ale kiedy film pojawił się na ekranie, nie było...

—Chyba rozumiem.

—Nie żebym był zły — dodał pospiesznie. — Prawdę mówiąc, byłem świetny, za dobry. Jak w tej scenie, kiedy to Burt Reynolds i ja...

—Tak, rozumiem.

Wstał i podekscytowany przechadzał się przed jej biurkiem, zapominając w tej chwili o wywieraniu oszałamiającego wrażenia. — Sztuki aktorskiej uczyłem się u Joy Byron, pani wie. Byłem jednym z najlepszych jej studentów. Grałem Stanleya Kowalskiego w „Tramwaju”. Specjalne przedstawienie dla odkrywców talentów, agentów, całej tej menażerii. Wywarłem pioruńskie wrażenie, kilka wytwórni chciało podpisać ze mną kontrakty. Ale ja miałem już zaklepane występy na Hawajach... Nigdy, za nic nie zerwałbym podpisanego kontraktu.

—Mówił coraz szybciej, słowa mknęły niczym pociąg ekspresowy.

—Jestem profesjonalistą w każdym calu, może się pani założyć.

Z pewnością pan jest — mruknęła, przypatrując mu się badawczo.

—Tak... no więc... Wróciłem z Hawajów prosto w bezrobocie. Dziesięć ról na dziesięć tysięcy aktorów, pani wie?

Kiwnęła współczująco głową. — Rozmawiałam już tutaj chyba z większością z nich. — Na biurku zabręczał dzwonek intercomu; powiedziała: — Słucham.

—Pan Gray na linii — odezwał się głos sekretarki.

—Proszę zorientować się, gdzie jest. Skontaktuję się z nim później.

Buddy powrócił na krzesło za biurkiem, zastanawiając się jednocześnie, czy czegoś nie powiedział za dużo. Co ją mogło obchodzić, że wycięli go z jakiegoś parszywego filmu Burta Reynoldsa? Co ją obchodziło dziesięć tysięcy aktorów uganiających się rozpaczliwie za pracą?

—Warto obejrzeć tego „Starsky'ego i Hutch'a”? — zapytała bez ogródek.

Niespodziewanie szczerość okazała się najlepszą taktyką. — Stamtąd mnie także wycięli. Pani wie... Paul Michael Glaser... Roześmiała się. Co za śmiech. Bardzo seksowny.

—Wiem, wiem. Paul Michael Glaser nie mógł znieść takiej konkurencji, zgadza się?

Buddy wyszczerzył zęby. — Z ust mi to pani wyjęła.

—Więc nie ma takiego filmu, w którym bym mogła sobie pana obejrzeć?

Nerwowo przesunął dłonią po włosach. — Nic wartego oglądania. — Buddy Boy. Twardziel. Dokąd to wszystko prowadzi?

—Rozumiem — zamilkła na chwilę. — No to wobec tego... może zechciałby mi pan coś przeczytać. Jeżeli uznam, że robi to pan dobrze, moglibyśmy zaaranżować dla pana próbne zdjęcia.

Ledwo mógł dobyć głosu: — Zdjęcia próbne?

— Jeżeli powiesz się panu czytanie. Proszę — podsunęła mu leżący na biurku scenariusz.

— Proszę to wziąć i popracować nad tym chwilę. Kiedy pan będzie gotowy, proszę powiedzieć sekretarce. I wtedy znowu się zobaczymy.

Wstał, kurczowo chwycił maszynopis. — Hej. Na pewno pani tego nie pożałuje. Będę znakomity.

Pokiwała głową. — Mam taką nadzieję.

Przy drzwiach zawahał się. — Tego... a która to rola?

Roześmiała się w głos. — Założę się, że pan nawet nie wie, o czym traktuje ten film.

I Buddy odzyskał nieco swojego zwykłego tupetu. — A kto wie? Każdy spec od obsady w tym mieście szaleje ze złości, że nie może położyć na nim łapy. Gdybym teraz zwinął stąd tę kopię, to pewnie mógłbym zbić majątek.

— A najpewniej pożegnać się z rolą Vinnie'ego.

— Vinnie. W porządku! — Wypadł jak burza z gabinetu ściskając scenopis.

Patrzyła w ślad za nim. Miał w sobie coś, co się jej podobało — plus oszałamiająco dobry wygląd i rzucającą się w oczy wrażliwość.

Tak. Z pewnością ta rola dostanie się Buddy'emu Hudsonowi — jeżeli tylko potrafi grać.

Elaine leżała w solarium naga, jedynie z małymi, plastikowymi kłapkami na oczach. Zrezygnowała ze słuchawek Sony na rzecz czystych, nie zmaconych niczym myśli. Jak zorganizować najgłośniejsze w mieście przyjęcie? Jak uczynić je zajmującym i podniecającym — takim, o którym będzie się mówić jeszcze długo potem?

Towarzystwo. To najważniejszy element. Jakkolwiek znakomite byłyby jedzenie, oprawa, muzyka, wszystko sprowadza się do towarzystwa. W wypadku gdyby goście byli nieodpowiedni, to w ogóle nie ma czym sobie zawracać głowy.

Oczywiście, na pierwszym miejscu Bibi i Adam Suttonowie. Gdy ich pozyskasz, reszta gości jest gwarantowana. Od spotkania z Bibi w Bistro Gardens Elaine dzwoniła do niej dwukrotnie. I w obu przypadkach natknęła się na mur nie do przebycia w postaci stanowczej sekretarki, która przyrzekała sumiennie, że pani Sutton z pewnością od-dzwoni. Jak dotąd, nie uczyniła tego.

Elaine okręciła się na bok i założyła jedno ramię na drugie nad głową. Postanowiła na swoim przyjęciu wystąpić w delikatnej opale-niżnie, a słońce z solarium było o całe niebo lepsze od wystawiania się na to prawdziwe, bezpowrotnie rujnujące cerę. Tak chciałaby, żeby Ross

przestał przypiekać się na ciemny mahoń, nabawiając się jednocześnie coraz bardziej widocznych zmarszczek.

Ostry brzęczyk. Urządzenie wyłączyło się automatycznie. Elaine, zadowolona, ześliznęła się z białej, plastikowej leżanki i obejrzała się w zawieszonym na ścianie lustrze. Obejmowało całą jej postać. Każdy cal skóry aż lśnił. Tyle że nie było komu podziwiać jej doskonale opalonego ciała. A Ross najprawdopodobniej niczego nie zauważy.

Zmarszczyła brwi. Może już czas, aby i ona się nieco zabawiła. Ale z kim? Tak ograniczony miała wybór, jeżeli w ogóle jakikolwiek. Po tamtych: dentyście i aktorzynie postanowiła definitywnie, że wszelkie romanse nie są warte zachodu. Podobnie zresztą jak seks.

Jesteś rozpaskudzona, Elaine. Po Rossie byle kto cię nie zadowolili. Kutas Contiego jest legendarny.

Uśmiechnęła się do tej myśli. Może, jeżeli zdobędzie scenariusz... Maralee przecież przyrzekła. A potem, jeżeli uda się jej ściągnąć na przyjęcie Sadie La Salle i przekonać ją, by została agentką Rossa.

Dobry Boże! A cóż to za sposób myślenia! Czyż musi wprawiać własnego męża w dobry nastrój, żeby ją zerznął?

No cóż... z pewnością by to pomogło.

Buddy jak na skrzydłach wybiegł z biurowca wytwórni Easterne'a na Sunset. Rola Vinnie'ego była jakby dla niego stworzona — bez dwóch zdań. Czytał wystrzałowo i ta babka w przyćmionych okularach i kowbojskich butach, Montana Gray (nie była w jego typie, ale musiał przyznać, że na oko prezentowała się wyjątkowo), przyznała, że wywarł na niej wrażenie. „Wywarł wrażenie”, dokładnie takich słów użyła. A potem jeszcze bardziej magicznych: — Wygląda na to, że będziemy musieli zrobić z panem próbne zdjęcia — oświadczyła spokojnie. Kurczę blade! Jak ona mogła być tak chłodna!

—Hej! — wrzasnął. I jeszcze głośniejsze i bardziej niepohamowane:

— Hej! Hej! Hej! — Zamaszyście chwycił ją w pasie i okręcił po pokoju.

Wyrwawszy się z jego uścisku, umknęła za biurko. Stamtąd, przerażona jego brakiem opanowania, zaczęła wygłaszać przemówienie o tym, że to tylko próbne zdjęcia, inni aktorzy też przez nie przejdą i żeby nie napalał się za bardzo na coś, co może się skończyć wyłącznie rozczarowaniem.

Czyżby nie rozumiała, że próbne zdjęcia do głównej roli głośnego filmu są najlepszą sprawą, jaka kiedykolwiek przydarzyła mu się w życiu?

—Jak się nazywa pana agent? — spytała. Agent! Komu potrzebny jest agent?!

-Hmmm... właśnie jestem w trakcie zmiany agenta — wykrztusił.

-Aha. Więc może powie pan mojej sekretarce, w jaki sposób można się z panem skontaktować. Zawiadomimy pana o terminie zdjęć.

—Kiedy?

—Za jakiś tydzień, dwa.

—Czy dacie mi scenariusz, żebym mógł się przygotować?

- Sekretarka wręczy panu te strony, nad którymi chciałabym, żeby pan popracował.

I tym sposobem wyszedł stamtąd blady i dumny. Mimo iż w dalszym ciągu nie miał pojęcia, gdzie spędzą z Angelą następną noc.

Przekłety Randy. Nie mógł to dalej zabawiać się w Palm Springs z tamtą mamusią i córeczką?

Konieczny jest dobry agent. Fakt, że będą go próbować do nowego filmu Neila Graya, powinien skusić każdego agenta z głową na karku do wciągnięcia go błyskawicznie na listę swoich klientów. Zwróci się do tych największych — Williama Morrisa, ICM, Sadie La Salle.

Pontiac Buddy'ego ustawiony w miejscu niedozwolonym do parkowania wyglądał niczym kupa przerdzewiałego złomu. Kiedy już zgarnie duży szmal, to po pierwsze sprawi sobie jakiś odpowiedni wóz. Cadillaka, Merca, może nawet Rollsa. A może nie. Rolls jakoś do niego nie pasuje. Odpowiedniejsze byłoby jakieś sportowe autko. Coś produkcji włoskiej albo importowany Jaguar XJS. O, to jest samochód!

Chryste! Nareszcie dostał wiatru w żagle! Zostanie gwiazdorem!

Otworzył drzwiczki samochodu, wsiadł i siedział tak w milczeniu, aż kipiąc z podniecenia.

Dwie godziny później znowu znalazł się w psychicznym dołku. Nie wiadomo dlaczego, ale był przekonany, że teraz, kiedy miał nakręcić próbne zdjęcia, wszystko się odmieni. Fortuna mu sprzyjała, a dobry hazardzista zawsze idzie za głosem szczęścia. Postępując więc zgodnie z tą regułą udał się do Agencji Williama Morrisa, spodziewając się gorącego przyjęcia, a natknął się jedynie na „proszę zostawić swoje nazwisko i numer telefonu” ze strony sekretarki. To samo powtórzyło się w ICM. Natomiast w biurze Sadie La Salle potwór w mini-spódnicz-ce oświadczył, że powinien przysłać swój fotos, życiorys i listy polecające. Czyżby ta tępa cipa nie rozpoznała w nim od razu gwiazdora?

Z biura przy Canon wypadł wściekły. Wsiadł do samochodu, tym razem przyozdobionego

kwitkiem parkingowym. I wtedy właśnie jego wzrok padł na małą, białą wizytówkę poniewierającą się po podłodze. Chwytał ją jednym ruchem. Pośrodku karteczki wydrukowano: JA-SON SWANKLE, a na dole w lewym rogu: ARCHITEKT WNEŹTRZ. PORADY OSOBISTE oraz adres i numer telefonu.

Buddy jednym kopniakiem uruchomił wóz. No dobra, czymże ryzykował?

Jasna sprawa, że to było szaleństwo. Weekend w towarzystwie Giny Germaine wyczerpał go, ale kiedy zadzwoniła, Neil -Gray poleciał na jej pierwsze skinienie. Oceniał już całą sytuację logicznie, uznał, że musi usunąć Ginę ze swojego życia, a potem postanowił zwyczajnie przesycić się jej ciałem.

Kochali się na jej kurewsko różowym, puchowym łożu. Następnie zabrała się do niego w jej kurewsko różowej łazience, w której na samym środku futrzaka ustawiono wannę w kształcie serca.

Po dwóch orgazmach był cały zlany potem, serce waliło mu nicz; młot. — Dostyc — zdołał wykrztusić, kiedy Giną ponownie zaczęła igrać z jego zwiotczającym penisem.

— Nigdy nie będziesz miał mnie dostyc — szepnęła Giną, zastanawiając się jednocześnie, jak daleko może pociągnąć ten dialog. Niezbyt daleko — Neil był sprytniejszy od większości mężczyzn. Chociaż kiedy zdejmiesz z nich spodnie, część ich mózgu przestaje funkcjonować. Wtedy możesz pleść, co ci się żywnie podoba, a oni i tak w to uwierzą.

— Muszę już iść — powiedział Neil słabym głosem. — Przygotowania do produkcji są najważniejszą częścią filmu, a przez ciebie, moja słodka pani, zaniedbuję swoje obowiązki.

— Rozumiem — mruknęła współczująco. — Ale przecież my dwoje robimy coś naprawdę wyjątkowego, prawda? Aż się iskry sypią.

Dlaczego kobiety zawsze podnoszą tyle wrzawy o zwykłe pieprzenie?

— Owszem, robimy — zgodził się, myśląc o Montanie i odczuwając coś więcej niż tylko wyrzuty sumienia.

Przez żaluzje w oknach łazienki przesączało się popołudniowe słońce. Nagle Neil poczuł, jak jest straszliwie śmieszny, kiedy tak leży na wysłanej futrzakiem podłodze nazbyt ozdobnej łazienki Giny. Rytm jego serca jakoś się uspokoił. Chryste! Sesja z Giną Germaine bezsprzecznie równała się tygodniowym ćwiczeniom na sali gimnastycznej.

Wstał. — Chciałbym wziąć prysznic, jeżeli pozwolisz.

Rozczulał ją trochę jego akcent Richarda Burtona, ale naprawdę przyciągał talent. — Możesz zrobić to, na co tylko masz ochotę — odparła, przeciągając się kusząco. Naprawdę miała jedno

z najpiękniejszych ciał Hollywoodu. I doskonale o tym wiedziała. Neil wszedł pod prysznic i tak długo kręcił regulatorem temperatury wody, aż poleciała lodowato zimna.

Kiedy skończył, Giną zdążyła już przysłonić koronkowym stanikiem i francuskimi figami swoją nagość. Podała mu wielki ręcznik kąpielowy. — Neil — wymruczała miękko — muszę ci się do czegoś przyznać.

—Do czego? — Wytarł się szybko, odświeżony i gotowy wrócić do pracy.

—Więc... — zawahała się, jak gdyby dalsze wyznanie przychodziło jej z trudem.

—Co takiego? — powtórzył, sięgając po gatki.

—Kiedy byliśmy w Palm Beach, podkrađłam z twojej walizki kopię „Ludzi z ulicy” i przeczytałam ją.

Zdumiał się. Nigdy nie podejrzewał Giny o zainteresowania czytelnicze. — Doprawdy?

Jej głos nabrał ostrości i oficjalnego brzmienia, zniknęło gdzieś całe wahanie idiotki. — Neil, zakochałam się w nim. I powiem ci coś jeszcze. Rola Nikki jest wprost wymarzona dla mnie — absolutnie wymarzona.

Odebrało mu mowę. Nikki! Niewinna, nie zepsuta piękność. Nie skażona życiem słodka młoda dziewczyna. Nikki! Czyżby Giną stroiła sobie niesmaczne żarty?

—Widzisz — ciągnęła szczerze — przez całą swoją zawodową karierę grałam identyczne postaci. Seksowne blond idiotki o złotych sercach. A to zupełnie nie zgadza się z moim charakterem. — Przerwała, by zaczerpnąć oddechu. Potem brnęła dalej, jej obfity biust falował z emocji.

— Neil — oświadczyła dramatycznie. — Prawdziwa ja to właśnie Nikki. A każdy widzi tylko Ginę Germaine, wielką seksgwiazdę. Ale pod tym przebraniem czai się wrażliwa dziewczyna. Dziecko życia!

Ku czemu, do kurwy nędzy, prowadzi ta cała przemowa?

—Pragnę *zagrać* w twoim filmie — ciągnęła, jej okrągłe niebieskie oczy wytrzeszczyły się niepokojąco. — Muszę zagrać. Nadaję się i nie obchodzi mnie, co inni sobie o tym pomyślą.

—Giną, po prostu sam nie wiem — zdołał wyjąkać, jednocześnie zastanawiając się, co by tutaj powiedzieć. Gdyby z nią nie sypiał, byłoby to proste. Fura aktorek nagabywała go o rolę i zawsze potrafił poradzić sobie w takiej sytuacji — czasami dobrocią, czasami brutalnie. — Wiem, że jesteś świetną aktorką...

- Nie gadaj bzdur — przerwała mu ostro. — Nigdy nie widziałeś, żebym grała w czymś przyzwoitym.

—Ależ tak — skłamał.

—I właśnie masz zamiar powiedzieć mi, że nie nadaję się do roli Nikki.

Starannie dobierał słowa. — Miałem zamiar powiedzieć ci, że jesteś zbyt wielką gwiazdą, aby nawet zastanawiać się nad taką rolą.

Zamilkła na chwilę, wlepiając w niego pełne niechęci spojrzenie.

Sięgnął po pozostałe części garderoby i zaczął się ubierać. Im szybciej wypłacie się z tej rozmowy i znajdzie poza jej domem, tym lepiej.

—Sądzę, że powinieneś wiedzieć, że ja jestem gotowa przejść dla tej roli przez próbne zdjęcia — oznajmiła wolno. — A jeżeli to cię nie przekonuje...

Wyobraził sobie minę Montany, gdyby powiedział jej, że Giną Germaine chce próbnych zdjęć do roli Nikki. Przecież to nonsens.

—Dlaczego nie miałbym się nad tym zastanowić? — rzekł uspokajająco.

—Dlaczego nie miałbyś się zastanowić nad tym, że w mojej sypialni jest ukryta kamera? — Nie na darmo Giną była kiedyś żoną supercwaniaka Maxie'ego Sholto.

—Co jest ukryte?

—Chcę tylko próbnych zdjęć — powiedziała słodkim głosem.

— A potem wyłącznie do ciebie będzie należała decyzja, czy nadaję się do tej roli, czy nie.

—Przeprowadzamy się — oświadczył Buddy, wpadając do mieszkania i okręcając Angelą w powietrzu.

—Przeprowadzamy się? Nie rozumiem.

—Właśnie tak — pocałował ją w usta. — Buddy Boy ma zostać gwiazdorem, a my się stąd zabieramy.

—Och, Buddy! Dostałeś rolę!

—No... tak jakby. Chcą kręcić ze mną próbne zdjęcia. Ale sama wiesz, że to tylko formalność. To znaczy, że wszyscy przez to przechodzą. Nawet Brando przed „Ojcem chrzestnym”.

—Naprawdę?

Jeszcze raz ją pocałował. — Jasne. Mówię ci, robią tak z każdym.

Uśmiechnęła się słodko. — Czuję, że już wkrótce przydarzy się nam coś dobrego. I nie myliłam się.

Pogłaskał ją po brzuchu. — Już przytrafiło się nam coś dobrego, prawda?

Kiwnęła głową. — Buddy, ty naprawdę cieszysz się z dziecka? — spytała otwarcie.

—Hej, pewnie, że tak. — Jeżeli sprawy miały przybrać taki obrót, to się cieszył. Pa, pa, skrobanko! Witaj, dziecinko! — Jak możesz nawet pytać? — dodał, obejmując ją mocno.

Angela spuściła oczy. — No, bo ty... dziś rano... kiedy ci o tym powiedziałam...

—Wiem. Zupełnie, jakbym stąd uciekł. Ale miałem tyle na głowie. Rozumiesz sama, najpierw praca, a dopiero potem mogę się odprężyć.

—Och, Buddy! — Przyłgnęła do niego całym ciałem. — Tak bardzo cię Kocham.

—Ja ciebie też, słodkie maleństwo, ja też.

—I będziemy bardzo szczęśliwi?

—Szczęśliwi. Bogaci. Sławni. Co tylko chcesz. — Delikatnie odsunął ją od siebie. — Hej! My się naprawdę przeprowadzamy. Zapomniałem ci powiedzieć... Randy dzwonił, że wraca.

Przeraziła się. — Kiedy?

—Nie dasz wiary. Jutro.

—Och, nie!

Podniósł władczo dłoń. — Bez paniki. Znalazłem dla nas takie miejsce, na widok którego stanie ci mózg.

—Gdzie?

—Pytania, pytania. Musimy się spakować, dziecinko, i wtedy sama zobaczysz.

Podczas gdy Angela zbierała ich rzeczy, postanowił sobie popływać. Ten dzień był wyjątkowy. Adrenalina buzowała na najwyższych obrotach. Musiał trochę oprzytomnieć i odprężyć się. Jak to jeden jedyny dzień potrafi odmienić całe życie! Miał zostać ojcem. I gwiazdorem. Skontaktował się z Jasonem Swankle'em, a czy mu to wyjdzie na dobre, czy na złe, to się zobaczy. Jak dotąd, z całą pewnością okazało się pożyteczne.

Królestwo Jasona Swankle'a znajdowało się przy Robertson Boule-ward. Elegancki, przeszklony od frontu sklep, na tyłach luksusowe biura. Buddy postanowił nie uprzedzać telefonicznie o swoich odwiedzinach. Spotkanie twarzą w twarz zawsze było najlepsze. Zorientuje się, czego tamten się po nim spodziewa. Miał nadzieję, że nie jego ciała. Buddy nigdy nie uprawiał praktyk homoseksualnych. A owszem, tamte parę szalonych miesięcy z Maxie'm Sholto, kiedy to brał udział w bardzo wielu śmiałych scenach — ale wyłącznie z przedstawicielkami płci żeńskiej. Niekiedy zabawiali się jednocześnie z nimi i inni mężczyźni, nie zbliżając się jednak do Buddy'ego. O nie, tę sprawę od razu stawiał jasno, bez względu na to, jak bardzo był na-ćpany. Najdalej posunął się ów tłusty producent płyt tamtej

nocy, kiedy to Buddy wściekł się i rozwalił kamerę, odkrywając, że cała scena jest filmowana. Nawet teraz na samą myśl o tym dostawał furii. Oczywiście, usiłował tego nie wspominać, ale zarówno tamto zdarzenie, jak i inne uporczywie podsuwała mu pamięć. Choć za wszelką cenę pragnąłby wyrzucić je z głowy.

Na przykład jego przyjaciel, Tony. Śpiący wiecznym snem w zirnym, betonowym łożu. Miał czternaście lat. Zamordowała go banda pedałów dających upust swojej chuci.

Niekiedy w pamięci stawała mu twarz mężczyzny, który ich poderwał. Chytra twarz o małych, przebiegłych oczkach. I twarz gospodarza przyjęcia. Tłuściocha. Tęgiego, krągłego niczym niemowlak fa-cecika o przyjacielskim uśmiechu i o uścisku dłoni godnym śniętej ryby.

Widział ich wszystkich wyraźnie. Tak jak i swoją matkę. Nagą. Z triumfalnym uśmiechem. Jakżeby pragnął wymazać te obrazy z pamięci. Ale utkwiły mu w głowie na zawsze, wszędzie mu towarzyszyły. Dlatego też nie kwapił się, by do tamtych koszmarów dodawać następne.

—Czym mogę panu służyć? — zapytał mężczyzna o piaskowych włosach, w luźnym, beżowym garniturze pasującym do koloru wąsów, kiedy Buddy wkroczył do sklepu Jasona. Ale to wcale nie był taki sobie zwyczajny sklep, bardziej galeria, w której wystawiono luksusowe włoskie meble i kilka świetnie wyeksponowanych antyków.

Buddy podetkał facetowi pod nos trzymaną między kciukiem a palcem wskazującym wizytówkę Jasona i pomachał nią. — On chciał się ze mną widzieć.

—Pan Swankle?

—Nie przyszedłem do Ronnie'ego Reagana.

Piaskowowłosy mężczyzna z obrzydzeniem popatrzył na czubek własnego nosa. Nie cierpiał takich aroganckich twardzieli, którzy zachowywali się tak, jakby cały świat do nich należał. Ten tutaj zajeżdżał nieokrzesanym seksem i dobrze o tym wiedział. A co jeszcze gorsze, pysznił się tym. — Sprawdź, czy pan Swankle jest wolny. Kogo mam zaanonsować?

—Buddy'ego Hudsona. To on sam pragnął mnie widzieć.

Piaskowowłosy wycofał się na tyły sklepu, a Buddy tymczasem obszedł salon dokoła podziwiając przedmioty. Ustawiono tu obite skórą kanapy, marmurowe stoliki, rzeźbione lampy, kryształowe wazy pełne świeżych róż. W tym miejscu czuło się klasę.

Piaskowowłosy wrócił błyskawicznie, wydymając pogardliwie wargi pod niepokąźnym wąsikiem. — Pan Swankle przyjmie pana natychmiast.

Gabinet Jasona Swankle'a okazał się przestronnym, pomalowanym na biało pokojem, pełnym zieleni, kwiecistych kanap, z ogromnym, marmurowym stołem, którego blat zaścielały rysunki i szkice. Na ścianach wisiał cykl grafik Davida Hockneya, przedstawiający chłopca na basenie.

Dla siebie Jason przeznaczył miejsce centralne. Ubrany był w różowy garniturek typu safari i bladozieloną jedwabną koszulę. W klapę marynarki wpiął różową różę.

Shag, lubieżny buldog, drzemał na puszystym dywanie, oddychając ciężko niczym astmatyk. Jak tylko Buddy pojawił się w gabinecie, Shag ocknął się, warknął i wdrapał na jego nogę.

— Shag! — pisnął Jason. — Leżeć, chłopcze! I to już!

Pies z wyraźną niechęcią usłuchał i wycofał się na swoje miejsce na dywanie.

— Bardzo cię przepraszam — powiedział Jason z przyjacielskim chichotem. — Doprawdy nie wiem, dlaczego wziął się właśnie na ciebie.

— Ja tym bardziej — poskarżył się Buddy, natychmiast wyczuwając, że o co tylko poprosi Jasona, będzie mu dane. W okrągłych, niebieskich oczkach grubasa zapalały się miłosne błyski.

— Może się czegoś napijesz? — miotał się Jason, wskazując napakowany po brzegi barek na kółkach.

Buddy usadowił się na krańcu jednej z kwiecistych kanap. — Jasne. Czemu nie. Wódka z lodem. Bez żadnych dodatków.

— Oczywiście. Cała przyjemność po mojej stronie.

Podczas gdy Jason przyrządzał mu drinka, Buddy obejrzał sobie uważnie swojego gospodarza. Był niski, tęgi, koło czterdziestki. Miał źle ufryzowane włosy i sztuczną opaleniznę. Oraz obfitą i jak najbardziej autentyczną biżuterię. Cóż on miał wspólnego z takim świrem jak Dandys? Głupie pytanie.

Jason, jakby czytając w jego myślach, rzekł szybko: — Mam nadzieję, że wybaczyłeś Marvinowi jego zachowanie? Był taki grubiański. To niewybaczalne. Powiedziałem mu to, oczywiście. Było mu bardzo przykro.

Akurat! Maranowi Dandysowi Jacksonowi przykro! To dopiero byłoby wydarzenie.

Buddy zastanawiał się, ile Jason wie. Czy znany jest mu fakt, że jego współmieszkaniec-przyjaciel wynajmował facetów na godziny i że on, Buddy, należał do jego stajni?

Jakby ponownie odpowiadając, Jason dodał: — No wiesz, przestraszyłeś Marana. Jego przeszłość jest już poza nim. Teraz to ja się nim opiekuję. Rozszerzyłem jego horyzonty - - ten

dwuznaczył okraszył dyskretny uśmiezek. — Toteż obecnie całkowicie pochłania go jego sklep z odzieżą. Nie musi już dłużej prowadzić tej idiotycznej firmy oferującej usługi towarzyskie, ma inne źródła dochodów. Firma usługowa! No, tak!

—Od tamtej pory upłynęło już trochę czasu, a twoje najście na nasze prywatne mieszkanie i tak dalej... trochę wytrąciło go z równowagi.

—Nie miałem takiego zamiaru — powiedział Buddy, podejmując tę wersję. — Nie było mnie dłuży czas w mieście, a potrzebowałem pilnie pieniędzy. Więc wpadłem na pomysł, by zajrzeć do starego Dan... tego... do Marana i sprawdzić, czy dalej prowadzi ten interes. Sam wiesz, turyści pragnące zwiedzić Disneyland.

—Możesz mi wierzyć, że to rozumiem. — Jason podał mu drinka w kobaltowym kieliszku i niby niechcący dotknął jego dłoni. Buddy ją szybko odtrącił. — Dlatego właśnie za tobą pobiegłem — dodał Jason. — Ja naprawdę nie cierpię, jak Marvin zachowuje się w taki sposób. Sądziłem, że mogę załatwić ci to, czego chcesz.

I oto oferta. *Zapomnij o tym. Aż tak bardzo nie zależy mi na forsie.* Buddy przełknął drinka, lód zmroził mu zęby.

—Zastanawiam się, czy może zechciałbyś wyświadczyć mi pewną grzeczność — ciągnął Jason. — Oczywiście, nie za darmo.

—Jaką grzeczność? — spytał czujnie Buddy.

Jason przysiadł na kwiecistej kanapie. — Znam takie dwie damy, które właśnie przyjeżdżają do miasta. Bardzo zamożne. Jedna jest wdową i wygląda na to, że jej mąż nieboszczyk zostawił jej w spadku pokazną część Teksasu. — Przerwał, aby Buddy'emu dostatecznie utrwaliła się ta wiadomość. — Druga, rozwódka, kupiła w Bel-Air posiadłość. Podczas ostatniej swojej tutaj bytności przekazała ją w moje ręce, abym urządził ją wedle własnego gustu.

Buddy zmarszczył brwi. — Hę?

—Udekorował ją, drogi chłopcze. Przebudował. Przemeblował.

—Ach, tak.

—A teraz prawdopodobnie zastanawiasz się, co to wszystko ma wspólnego z tobą i w jaki sposób mógłbyś wyświadczyć mi przysługę.

—Owszem, właśnie o tym myślę. — Buddy wstał, dopił wódkę i ruszył na drugą stronę pokoju.

—Widzisz — mówił dalej konspiracyjnie Jason — te dwie damy, obce w tym mieście, nie

mają przyjaciół, żeby się zabawiać w ich towarzystwie.

—Jak to... zabawiać? — spytał podejrzliwie Buddy. Przecież teraz miał zostać gwiazdorem. Wszystkie pomysły, że wróci do biznesu, rozwiały się jak dym. Jego ciało nie było już na sprzedaż.

Jason zachichotał. — Nic intymnego. — Wstał z kanapy i przemaszerował przez gabinet tak, że znowu znalazł się blisko Buddy'ego. — Mnie chodzi o to, żebyś zabrał te dwie damy na obiad, do teatru, do paru klubów. Za co, oczywiście — dodał pośpiesznie — stosownie cię wynagrodzę.

—Ile?

Jason rozłożył szeroko ramiona. — Ty określ cenę.

Buddy pomyślał błyskawicznie. Dwie stare baby przez kilka dni. Żadnego seksu. Tylko poobwozić je tu i tam. To kaszka z mleczkiem. -Nie jestem tani.

—Nic, co warto mieć, nie jest tanie — pociągnął nosem Jason.

—Potrzebny mi jest nowy garnitur.

—Oczywiście.

—I ty pokryjesz wszystkie koszty?

—Naturalnie.

—A co z samochodem?

—Cadillac z szoferem wystarczy?

Czyżby to były pienia anielskie? To zbyt wspaniałe, aby mogło działać się naprawdę. Gdzie kryje się tutaj pułapka? Wziął głęboki oddech. -Pięć setek dziennie.

Jason nawet nie mrugnął. — Załatwione.

O, kurwa! Za tanio się sprzedał. Tutaj właśnie zastawiono tę pułapkę. Nie mógł się opanować. — Więc co to za podpucha?

Jason rozjaśnił się szczęściem. — Nie ma... żadnej podpuchy. Po prostu pragnę, aby te damy były zadowolone. A jeżeli one będą zadowolone, to może ta, która ma w kieszeni połowę Teksasu, kupi dla siebie skromny dom za powiedzmy trzy, cztery miliony, żeby być w pobliżu swojej przyjaciółki. I zgadnij, komu powierzą jego urządzenie? Zachęcisz je do tego, Buddy, prawda? Mój drogi.

Buddy uśmiechnął się całą gębą. Przebiegły, mały sukinsyn.

— Przedstawię cię jako mojego siostrzeńca — postanowił Jason, przemierzając gabinet. — I powiem, że jesteś aktorem.

—Bo jestem.

—Oczywiście, że jesteś.

—Ależ to prawda. Jestem. Niebawem mają ze mną kręcić próbne zdjęcia do nowego filmu Neila Graya.

—Wspaniale!

—Owszem, mogłoby być wspaniale, tylko że mam pewien kłopot.

—Może mógłbym w czymś pomóc? — spytał współczująco Jason, kładąc mu na ramieniu przyjacielską dłoń.

—Mam żonę...

—O, Boże! To rzeczywiście niemały kłopot!

—Ona jest cudowna — stanął w obronie Angeli, uchylając się jednocześnie tak, aby z jego ramienia zsunęła się ciepła dłoń. — Sama w sobie nie jest żadnym kłopotem. — W zamyśleniu spoglądał na Jasona, a jego umysł pracował na najwyższych obrotach. — No wiesz, jak to jest: zatrzymaliśmy się w mieszkaniu mojego przyjaciela. A on jutro wraca — całkiem niespodziewanie. Dał mi znać zaledwie kilka godzin temu, więc zupełnie nie miałem kiedy znaleźć nowego mieszkania. Z największą ochotą pragnąłbym towarzyszyć twoim dwóm damom — wymownie wzruszył ramionami — ale w tych okolicznościach obawiam się, że muszę z tego zrezygnować.

Jason był na tyle bystry, by natychmiast połapać się, do czego zmierza Buddy. — Bo nie masz gdzie mieszkać?

Buddy przytaknął i nalał sobie kolejnego drinka. — Zgadza się. Chodzi mi o to, że zbyt pochłonie mnie szukanie nowego lokum. Rozumiesz?

—A jeśli ja mógłbym ci coś podsunąć?

—Hej! — krzyknął Buddy. — Jeżeli coś masz, to rozwiązuje to moje kłopoty. To znaczy, jeżeli ty mi pomożesz, ja pomogę tobie i będziemy sobie żyć w pełni szczęścia. Jasne?

— Tylko ty i twoja żona? — spytał powątpiewająco Jason, przemyślawszy to jeszcze raz. — Żadnych dzieci czy zwierząt?

—Masz na to moje słowo.

Przez chwilę Jason się wahał. Ale coś go pociągało w tym przystojnym młodym mężczyźnie o smolście czarnych oczach i potarganych włosach. Nie mówiąc już o tym, że wcale sobie nie wymyślił tych dwóch kobiet. Rzeczywiście przyjeżdżają do miasta. I będą zachwycone towarzystwem w postaci Buddy'ego Hudsona. Co jest równoznaczne z następną ogromną

posiadłością do urzędu i z kolejnymi zleceniami na wszystko, począwszy od sedesów po onyksowe popielniczki.

Oczywiście, wiąże się to także z ryzykiem. Cóż on wie o Buddym Hudsonie? I jeszcze do tego ta żona. Najpewniej jakaś hollywoodzka panienska. Ale pewnego dnia Buddy może obudzić się przekonany, że chłopcy dają więcej szczęścia. I czy wtedy nie byłoby wprost cudownie, gdyby to on, Jason Swankle, przekonał go o tym ostatecznie?

Energicznie odchrząknął. — Właśnie ukończyłem pracę nad pewnym domem przy plaży — powiedział. — W Malibu Colony. Właściciel jest w Europie i nie wróci wcześniej jak za jakieś trzy, cztery tygodnie. Jeżeli obiecasz mi, że będziesz bardzo, ale to bardzo ostrożny... Żadnych zabaw, orgietek czy czegoś w tym rodzaju.

Chrys... te! Miał dzisiaj swój dzień. I do tego, co za dzień! Kurczę blade, chałupka przy plaży!

—No więc — ciągnął Jason — nie widzę przeszkód, abyś nie miał się tam zatrzymać. Czasowo, oczywiście — dodał pośpiesznie.

Nie rzucaj się na to od razu, Buddy. Spokojnie. Niech to on ciebie ponamawia.

—Brzmi to nieźle, ale sam nie wiem...

—Och, ależ musisz! Nalegam!

I w ten sposób to wszystko się ułożyło. Na swoim miejscu.

Było wpół do siódmej. Na basenie roiło się od ludzi. Ani mowy o przepłynięciu trzydziestu długości w wodzie rojącej się od zmęczonych ciał, które przyszły tutaj prosto po całodziennej harówce. Z obrzydzeniem zawrócił na pięcie i wpadł prosto w objęcia Shelly. Miała wysoko upięte kręcone, lśniące włosy, na umięśnione ciało włożyła wyjątkowo skąpe bikini. Przez ramię nonszalancko przewiesiła ręcznik kąpielowy.

—Hej, Shelly! Jak leci?

Popatrzyła na niego kpiąco. — Wygląda na to, że tobie leci świetnie. Gdzież podział się ten przegrany kłębek nerwów, który jak szalony wyleciał ode mnie wczoraj w nocy?

Roześmiał się zakłopotany. — Przypuszczam, że byłem bardzo napięty.

—Napięty! Ha!

—Cieszę się, że cię spotkałem.

Wyciągnęła przed siebie długą nogę i zaczęła obracać kostką. — Bo co?

—Bo zakręciłem się koło tego filmu, o którym mi powiedziałaś, i właśnie mam kręcić próbne zdjęcia. Dasz wiarę?

—Jasne. Twoja karma zwyżkuje.

Pochylił się do przodu i ucałował ją delikatnie w policzek. — Dzięki, Shell. I do widzenia. Wyprowadzamy się z tej rudery.

—Kiedy?

—Zaraz.

—Oho! Jedne tylko próbne zdjęcia i od razu naprawdę wzięłeś to sobie do serca.

- Zostanę gwiazdorem, dziecinko. Załatwię ci rolę w którymś z moich filmów.

Roześmiała się lubieżnie. — Ja chciałabym ciebie wyłącznie w jednej roli.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Wybij to sobie z głowy. Jestem żonaty.

- Aha, aha. Powtórz to za pół roku. — Puściła do niego oko. - Ale mimo to, powodzenia. I do zobaczenia. -- Nie oglądając się za siebie skierowała się nad basen, odrzuciła ręcznik i z gracją dała nurka między stłoczone ciała.

W innych okolicznościach... gdyby nie było Angeli...

Do diabła, co mu chodzi po głowie? Angela to jego życie, miłość. Gwałtownie otrząsnął się i popędził w górę, przeskakując po dwa stopnie.

Wyprowadzają się stąd. I wszystko może się zmienić tylko na lepsze.

Musiało upłynąć parę dni, nim Neil zdobył się na to, by w obecności Montany wspomnieć o Ginie Germaine. Ta blond suka szantażowała go. Dał się złapać w zastawioną przez nią tandetną pułapkę i teraz musiał albo nakręcić z nią próbne zdjęcia, albo ponieść inne konsekwencje.

Siedzieli w wytwornym biurze Olivera Easterne'a, zabawnie przyozdobionym oprawionymi w ramki telegramami od rozmaitych reżyserów i sławnych aktorów, przysięgających na wszystko, że już nigdy nie zechcą z nim współpracować. Oliver, płowowłosy mężczyzna pod pięćdziesiątkę, starannie polerował swoje biurko irchową szmatką. Miał takiego bzika na punkcie czystości, że aż zakrawało to na obsesję. Jeżeli ktokolwiek pozwolił sobie choćby na zapalenie papierosa w jego biurze, natychmiast czyścił popielniczkę.

Montana omówiła sylwetki kilku aktorów, których zamierzała przetestować do roli Vinnie'go, a potem rozmowa automatycznie zeszła na dziewczyny odpowiednie do roli Nikki.

—Jeżeli namówimy George'a Lancastera, tamtych dwoje może być zupełnie nieznanych. W przeciwnym razie, trzeba koniecznie zaangażować aktorów o głośnych nazwiskach — upierał się Oliver.

—Powtarzasz się — zauważyła zimno Montana. — Nie sądzisz chyba, że jeszcze do tej pory

o tym nie wiemy. Neil przystawił rewolwer do czoła George'a. Więc po prostu musimy poczekać.

Oliver zlekceważył ją. — Uważasz, że George da nam wkrótce odpowiedź? — zwrócił się do Neila.

—Jestem pewny, że tak — odparł Neil. — A skoro mówimy już o gwiazdach, to chyba wpadłem na pomysł niezłej Nikki.

—Kto? — spytała Montana przypalając papierosa, co przyprawiło Olivera o nerwowy dygot.

—Nie upuść popiołu — wymamrotał. — Ten dywan jest nowy. Neil odchrząknął, potem oświadczył obojętnie: — Giną Germaine mogłaby być zupełnie dobra.

Montana prychnęła drwiąco. — Chyba żartujesz?!

—Gdyby zeszkrobać z niej ten cały makijaż...

—Obciąć cycki...

—Jest bardzo kasowa — wtrącił się Oliver.

—Do cholery, a co to ma za znaczenie? — parsknęła wściekle Montana. — To nie do wiary, że w ogóle o niej mówimy.

—Bardzo, bardzo kasowa — zadumał się Oliver.

—Chodzi mi tylko o to, żeby zrobić z nią próbne zdjęcia — dodał szybko Neil.

Montana uniosła niedowierzająco brew. - Doprawdy? A jakim cudem nigdy dotąd o tym nie rozmawialiśmy?

—Ona nigdy nie miewa próbných zdjęć! — wykrzyknął podniecony Oliver. — Czy się na to zgodzi, Neil?

—Myślę, że tak — odparł sztywno Neil, dotkliwie czując na sobie rozwścieczony wzrok żony. Podszedł do barku i napełnił sobie szklanekę bourbonem. — Mnie osobiście ten pomysł się podoba.

—Chryste! — wymamrotała Montana z obrzydzeniem. — Zupełnie nie rozumiem, jak w ogóle mogłeś pomyśleć o tej cycatej dziwce w roli Nikki.

- Posłuchaj — wtrącił się pospiesznie Oliver. — Jeżeli ona to zagra, to co my na tym tracimy?

Montana rozmyślnie strzepnęła popiół na jego cenny dywan.

—Uważaj na dywan! — wrzasnął udręczony Oliver.

—Jadę do domu — oświadczyła zimno. — Ty przyjechałeś swoim samochodem, Neil?

Kiwnął głową.

—No to do zobaczenia później. — Wściekła wypadła z biura. Giną Germaine! Święty Boże! Kiedy Neilowi przyszedł ten pomysł do głowy? I dlaczego nie omówił tego z nią wcześniej, zanim wspomniał cokolwiek Oliverowi?

Była zła. „Ludzie z ulicy” to miało być ich specjalne przedsięwzięcie. Jak Neil ośmielił się zachowywać tak, jak gdyby jej zdanie się nie liczyło? Od dnia powrotu z Palm Beach zachowywał się niemożliwie. Gburowaty, wszystko go denerwowało, pił jak za dawnych dni. A jeśli chodzi o seks — spuśćmy na to zasłonę milczenia. Montana sama była zbyt zajęta, żeby zwracać uwagę na jego humory. Po prostu składała to wszystko na karb tego, że nie uzyskał konkretnej odpowiedzi od George'a Lancastera, i tolerowała męża cierpliwie.

Z pewnością zdawał sobie sprawę, jakim idiotyzmem było mówienie Oliverowi o Ginie Germaine bez wcześniejszej z nią konsultacji. A chrzanię go!

Parkingowy w podziemnym garażu ukłonił się jej na dobry wieczór.

—Zabieram samochód męża — powiedziała krótko. — Proszę panu Grayowi dać mój.

—Dobrze, proszę pani. — Pospieszył, by podprowadzić srebrzyście lśniącego Maserati. Gdy wrócił z ukochaną zabawką Neila, obdarzyła go napiwkami. Neil nie cierpiał jej małego Volkswagena. Więc jeśli mu się nie podoba, niech wraca na piechotę.

— Zabawisz się za dwudziestaka? — zaczęła go, cedząc przeciągle słowa, prostytutka. Tęga, tleniona blondynka, która zapomniała o odrostach włosów, czarnych i niechlujnych.

—Za drogo — mruknął Dekę, rozglądając się ukradkiem wokoło po nędznie oświetlonej ulicy.

—Za dziesiątaka mogę ci obciągnąć druta — oświadczyła dumnie jak gdyby oferowała przecenę w sklepie.

Zacisnął zęby. — Nie chcę — syknął.

Poprawiła podarte ramiączko stanika pod przepoconym podkoszulkiem. — Decydujesz się czy nie? Dwie dychy za pieprzenie. Dycha za minetę. Więc jak będzie?

Chciał trzasnąć ją w zapyziałą gębę i odejść. Ale nie mógł. Potrzebował jej. Nie miał nikogo od czasów Joey. Nikogo.

—Gdzie? — spytał burkliwie.

—W hotelu za rogiem.

Ruszyła, drobiąc niezgrabnie na sześciocalowych obcasach, przeszła na drugą stronę ulicy i skierowała się ku zapuszczonej alejce znajdującej się między ociekającą tłuszczem jadłodajnią a sklepem z czasopismami porno.

Dekę podążył w ślad za nią, wdychając smugę odoru potu i zapachu tanich perfum, jaka się za nią ciągnęła. Do Pittsburgha przybył zaledwie kilka godzin wcześniej. Całą drogę z Nowego Jorku pokonał bez przystanku. Jego świeżo nabyty mikrobus nie zawiódł go. Całą trasę pokonał gładko i sprawnie. I tak być powinno. Ciężko się nad nim napracował, aby działał bez zarzutu. Kupę forsę wydał na nowe części, ale z tym się już liczył wcześniej. Zanurzyli się w alejce. prostytutka zaczęła fałszywie gwizdać fragment piosenki Beatlesów „Eleanor Rigby”.

W alejce było ciemno, unosił się smród gnijących śmieci. Dekę szedł za gwizdzącą dziewczyną i stukotem jej obcasów.

Dziwki. Kurwy. prostytutki.

Kobiety.

Zawsze takie same. Wszystkie chcą tylko jednego.

Chciwe, zagarniające dłonie. Leniwe, lubieżne ciała.

Joey była inna. Joey nigdy nie traktowała go jako kolejnego frajera. Ją naprawdę obchodził. Joey miała...

Pierwszy cios dosięgnął go z boku głowy i powalił na ziemię. A tam w brzuch zaczęły go kopać podkute buty. Siła bólu zdumiała go.

Rozpaczliwie próbował się zwinąć w ciasny kłębek, zaczął wyrnio' tować, jednocześnie czuł, jak wzbiera w nim wściekłość, kiedy kopniaki trafiały w jego sponiewierane ciało.

— Dosyć, zabieraj forsę tego sukinsyna i zmywamy się stąd — usłyszał głos dziwki.

Potem po jego zeszmaczonej kurtce przesunęły się obcesowo czyjeś dłonie w poszukiwaniu portfela, zwitka banknotów, czegokolwiek.

Zaskoczyli go, gdy się tego nie spodziewał, tak jak tamtych dwóch łobuzów na ulicach Nowego Jorku. Tylko że tamtych dał nauczkę, prawda? I tych dwoje spotka to samo.

Z niespodziewanym, rozdzierającym okrzykiem zamierzył się, złapał za nogi, pociągnął i pozbawił je równowagi.

Jakieś ciało upadło na niego, usłyszał ordynarne przekleństwo, potem stłumiony śmiech, aż wreszcie coś eksplodowało z tyłu jego czaszki i wszystko pochłonęła ciemność.

Samochód zrobił na Joey wrażenie. Kiedy w godzinę po jej stanowczej prośbie podjechał nim, uśmiech rozpromienił twarz dziewczyny.

Był to czarny Camaro. Włamanie się do niego i uruchomienie silnika nie nastąpiło Dekę'owi najmniejszych trudności. Miał tylko nadzieję, że właściciel nie zaplanował sobie na

tę noc jakiejś wycieczki. Później, jeśli Joey nie zechce bawić zbyt długo w Atlantic City, odstawi samochód na ten sam parking jeszcze przed świtem i nikt niczego się nie domyśli. Szczególnie, jeżeli wcześniej uzupełni zapas paliwa.

— Sam szal! — krzyknęła Joey, oglądając z góry na dół samochód, nim do niego wsiadła. — Zmyślny z ciebie kowboj!

Słyszac jej słowa puchł z dumy. Czy ktoś kiedykolwiek nazwał go „zmyślnym”?

Jazda do Atlantic City była wariacka. Joey chichotała, piszczała i ponaglała go, żeby jechał szybciej. Kiedy już dotarli na miejsce, wcale nie poszli na plażę, tylko do rzęsiście oświetlonego kasyna, gdzie Joey grała na automatach. Jej policzki płonęły z podniecenia, gdy faszerowała nienasycone maszyny kolejnymi dwudziestopięciocentówkami.

A potem uznała, że ma ochotę tutaj pozostać. — Wynajmij dla nas pokój — szepnęła. — Chcę się z tobą pokochać w Atlantic City.

Dekę denerwował się sprawą zwrócenia samochodu przed świtem. Nie uprzedził także rodziców, że spędzi noc poza domem. Wstydził się przyznać Joey, dlaczego nie chciał tu zostać na dłużej. Wyśmialaby go, a tego właśnie nienawidził najbardziej w świecie.

— Nie chcę tutaj zostać — powiedział wreszcie.

— To nie, ale ja owszem — odparła wesolo. — Jutro załapię się na jakąś okazję.

Niezbyt uśmiechało mu się zostawienie jej samej, ale nie miał wyboru. Więc pożegnał się z nią na bulwarze o trzeciej nad ranem. Ostatnie, co zauważył, to jak kręcąc pupą maszerowała z powrotem w kierunku któregoś z kasyn.

W Filadelfii nie pokazała się przez sześć tygodni. Dekę dwa razy kradł samochody i jeździł do Atlantic City szukając Joey. Na próżno.

Żył tylko oczekiwaniem na jej powrót. A kiedy już tak się stało, wróciła blada, z podbitymi oczami. Potrząsał ją za ramiona, chcąc wydusić z niej, gdzie się szlajała.

— Odwal się, stary — wymamrotała. — Nie jestem twoją własnością. Mogę robić to, co mi się podoba.

— Jeżeli będziesz moją żoną, to nie — zareagował porywczo, aż płonął z palącej zazdrości.

— Chcę cię poślubić, Joey. Chcę się tobą zaopiekować. Już zawsze będziemy razem.

Przecierpiała sześć tygodni wykorzystywana przez mężczyzn. Prawdę powiedziawszy, to całe lata cierpiała wykorzystywana przez mężczyzn. Była zmęczona, chora i wyczerpana po tak burzliwym życiu, jakie prowadziła. Zbrzydło jej więc życie jako takie, szczególnie jej własne.

Dekę Andrews to bez dwóch zdań czubek, ale przecież zdaje się, że mu na niej zależy.

—*Dobra, ważniaku* — westchnęła znużona. — *Powiedz tylko kiedy.*

Głosy. Jak przez mgłę. Mdłości. Odór wymiocin.

Otworzył oczy, w twarz zaświecił mu ostry snop światła latarki. Z ust Deke'a wyrwał się mimowolny jęk.

—Już wszystko w porządku. Wezwaliśmy pogotowie — oznajmił barczysty gliniarz, który się nad nim pochylał.

Ciuchy Deke'a przesiąkły jego własnymi wymiocinami. Od razu zorientował się, że z wewnętrznej kieszeni ulotniły się wszystkie pieniądze.

—Ilu ich było? — spytał glina.

Odruchowo wypróbował sprawność ramion, potem nóg. Chyba nic nie było złamane, choć bolało piekielnie. — Co? — wymamrotał. Na wargach zaschła mu krew. W mroku alejki, w której leżał na ziemi, majaczyła grupka gapiów.

—Ilu? — powtórzył gliniarz.

Dekę podniósł się na drżących nogach. — Nikt na mnie nie napadł — oświadczył. — Upilem się... musiałem się przewrócić. Niepotrzebne mi pogotowie. Nic mi nie jest.

—Nie rób ze mnie idioty! — zezłościł się glina. — Napadnięto na ciebie, a ja muszę się dowiedzieć, czyja to sprawka.

—Nie, proszę pana. Wcale nie napadnięto. — Powłócząc nogami zaczął odchodzić. — Zwyczajnie, przewróciłem się po pijaku.

—A niech to cholera! — wrzasnął wyprowadzony z równowagi gliniarz. —'Następnym razem zostawię cię, żebyś tak tutaj leżał.

Dekę nie zatrzymał się. Im szybciej znajdzie się daleko od tego gliniarza, tym lepiej. Mikrobus stał kilka przecznic dalej, kluczyki spoczywały wewnątrz jego buta wraz z lwią częścią gotówki. Na szczęście, Dekę zdobył już tyle doświadczenia, by nigdy nie kręcić się po ulicach z pieniędzmi schowanymi tam, gdzie się tego spodziewano. Te skurwysyny znalazły tylko pięćdziesiąt dolców, które trzymał w zapinanej na suwak wewnętrznej kieszeni kurtki. Większa zdobycz natomiast umknęła im sprzed nosa. Pięćset zielonych w pięćdziesięciodolarowych banknotach. Każdy cent, jaki zarobił w Nowym Jorku pracując na zmiany w hotelu, minus forsa, którą wydał na mikrobus.

Kipiał z wściekłości. Żeby władować się samemu w taką idiotyczną pułapkę. I ta pazerna dziwka. I ten jej cały alfons, który pewnie uważał się za cwane go.

Ależ to Dekę Andrews był cwany. To on potrafił odważyć się na morderstwo.

Dotarł do samochodu. Wściekle kopnął koło.

Zapłacą mu za to. Zanim stracił przytomność, słyszał, jak się z niego nabijają. Wyśmiewali się z niego!

Zapłacą mu za to! Ma mnóstwo czasu, żeby się nimi zająć, zanim wyruszy w dalszą drogę.

Trzy dni po tym, jak Elaine ją poprosiła, Maralee — ta naprawdę wierna przyjaciółka — oznajmiła, że ma scenariusz. Zadzwoiła wczesnym rankiem do Elaine i wytłumaczyła jej, że wcale to nie było takie proste.

Elaine zadrżała z podniecenia. Nie minęło dwadzieścia minut, a już podjeżdżała pod ogromny dom Maralee na Rodeo Drive. Przy nienagannie utrzymanym frontowym trawniku krzątało się kilku meksykańskich ogrodników. Inny Meksykanin otworzył jej drzwi.

—Powinnaś wywiesić ogłoszenie: „Schronisko dla nielegalnych imigrantów. Praca zapewniona” — zażartowała Elaine.

Maralee uśmiechnęła się. — Żaden z nich nie mówi słowa po angielsku. To takie cudowne. Taki spokój.

—Mogę to sobie wyobrazić! — mruknęła Elaine, podążając za' przyjaciółką do ogromnego salonu. Tam, nad marmurowym kominkiem, wisiał autentyczny obraz Picassa, a ściany ozdabiały najrozmaitsze oryginalne dzieła sztuki. Usiadły obie na kanapie w kolorze kości słoniowej, a tymczasem pokojówka przyniosła im kawę i placek z brzoskwiniami.

—Jak postępują przygotowania do twojego przyjęcia? — dopytywała się Maralee. — Czy Bibi dała ci już odpowiedź?

—Nie. Dzwoniłam do niej trzykrotnie, ale ona nie uznała jeszcze za właściwe zostawić mi żadnej wiadomości.

—Hmmm... — zamyśliła się Maralee. — Potrzebna ci jakaś przynęta. To przyjęcie musi się odbyć na czyjaś cześć. Andy Warhol, Diana Vreeland, ktoś z Nowego Jorku zawsze może się przydać. Bibi uwielbia takie imprezy. Zastanówmy się. Czy przychodzi ci ktoś do głowy?

Elaine bezradnie wzruszyła ramionami.

Nagle Maralee klasnęła w dłonie. — Mam! To wyśmienity pomysł!

—Kto?

—Pamela London i George Lancaster. Karen mówiła mi, że przyjeżdżają tutaj pod koniec miesiąca.

Elaine błyskawicznie zaakceptowała pomysł Maralee. Wiedziała, że gdyby wydano party na cześć tamtej pary, miałyby zagwarantowane najlepsze towarzystwo. Szkopuł tylko w tym, że

może się to nie spodobać Rossowi, ona zaś tylko jeden jedyny raz, i to raptem przez chwilę, rozmawiała z Pamelą London.

No, ale jest Karen, ona może namówić ich na przyjęcie. Znamienite osoby zawsze lubią, gdy wydaje się przyjęcia na ich cześć. Boże! To będzie kosztować majątek, absolutnie nie zmieści się w granicach pięćdziesięciu osób, jak pierwotnie planowała. *Pomyśl jednak, że to opłacalna inwestycja, Elaine. Cóż to będzie za wydarzenie. Wszyscy zechcą przyjść. Naprawdę wszyscy. Wyda najszlachetniejsze przyjęcie roku.*

Poczuła na skórze gęsią skórkę, tak była podekscytowana. Już teraz oczami duszy widziała nagłówki gazet:

Jody Jacobs:

PAŃSTWO ELAINE I ROSS CONTI WCZORAJSZEGO WIECZORU GOSPODARZAMI NAJLEPSZEGO PRZYJĘCIA, JAKIE ELITA BEVERLY HILLS WIDZIAŁA OD LAT.

Army Archerd:

ELAINE CONTI, PANI DOMU, KTÓRA WIE, JAK OZDOBIĆ DOM CAŁĄ KONSTELACJĄ GWIAZD.

Hank Grant:

KRÓLOWA ELAINE WYDAJE PRZYJĘCIE!

—Zaraz po powrocie do domu skontaktuję się z Karen — powiedziała ożywionym głosem.

—Świetnie. — Maralee wzięła dużą szarą kopertę i wręczyła ją Elaine. — Masz, to ten scenariusz. Wyświadczyłam ci dwie przysługi, więc w zamian pragnęłabym przynajmniej jednej.

Uszczęśliwiona Elaine schwyciła kopertę. Nie mogła doczekać się chwili, w której wróci do domu, odda scenariusz Rossowi, zadzwoni do Karen i rozpocznie przygotowania do przyjęcia.

—No to powiedz tylko, jaką. Już ją masz.

Maralee usiłowała mówić obojętnym tonem, ale na jej policzkach wykwitły dwa jaskrawe rumieńce, oczy zaś rozjaśniły się niezwykłym blaskiem.

—Pamiętasz, jak mówiłam ci o tym mężczyźnie, którego poznałam w Palm Springs?

—Andy Jakośćam?

—Randy Felix.

Elaine kiwnęła głową.

—Już jest tutaj, w mieście. Uważam, że byłoby miło, gdybyśmy zjedli gdzieś we czwórkę

obiad.

—Znakomicie. Kiedy?

Wyglądało na to, że Maralee straciła głowę. — Wcale nie znakomite. To znaczy, owszem, tylko że ja nie wiem, czy on ma pieniądze, ^a nie mogę go przecież o to spytać. No więc, jestem pewna, że z największą ochotą poznałby Rossa, a ty sama, ty tak wspaniale znasz się na ludziach...

—Dlaczego nie kazałaś go sprawdzić?

—Nie chcę tego robić.

Elaine była dla niej pełna współczucia. — Lubisz go, prawda? Maralee rozjaśniła się w uśmiechu. — Zgadza się.

—Świetnie. No to go poznamy. A potem ci powiem, co o nim myślę.

—Nie chciałabym się kolejny raz zawieść — westchnęła Maralee. Od kiedy rozwiodła się z Neilem, jej doświadczenia z mężczyznami były katastrofalne. Nieodmiennie przyciągała do siebie łowców po-sagów i podrywaczy bez grosza przy duszy, od czasu do czasu urozmaicając tę menażerię alkoholikami. Szastali jej forszą i tatuś musiał wydawać krocie, żeby się od niej odczepili. W sprawach męsko-damskich Maralee była krańcowo głupia.

—Może w La Scali, w piątek wieczór? — zaproponowała Elaine.

Maralee z wdzięcznością skinęła głową. — Doskonale. Zawczasu ureguluję rachunek, żeby Randy nie poczuł się zakłopotany.

—Ani mowy. To my stawiamy. — Elaine wstała i złożyła pocałunek na policzku przyjaciółki. — A teraz już muszę lecieć. Dzięki ci za wszystko. La Scala. Piątek. Spotkajmy się tam o wpół do ósmej.

Wszystko potoczyło się tak błyskawicznie. Zupełnie jakby Jason Swankle wziął w swoje dłonie jego życie. Podróż do Malibu. A tam wychodzący im na powitanie Jason. — To mój stary przyjaciel — wyjaśnił Buddy Angeli — który jest mi winien przysługę. — Kupiła to. Nie było powodu, żeby się stało inaczej. A jeżeli miała jakiegokolwiek wątpliwości, rozwiały się one w tej samej chwili, w której zobaczyła dom. Cóż to za miejsce! Niewielkie, ale frontem do plaży, a urządzone niczym w fantazji futurystycznej. Wszystko na białe, chromowane i elektroniczne. W każdym kącie głośniki kwadrofoniczne, aż wirowało w głowie.

Dom był piętrowy. Na parterze przeszklony salon wychodzący na ocean, na piętrze jedna ogromna sypialnia, w której centralne miejsce zajmowało łóżko z wodnym materacem.

— Proszę — nalegał Jason. — Zachowujcie się nadzwyczaj ostrożnie.

— Na pewno, panie Swankle — zapewniła go Angela. Miała szeroko rozwarte oczy, drżała z emocji. — Zawsze marzyłam o takim mieszkaniu. Może być pan zupełnie spokojny, że będę się o nie troszczyła, jakby było moje własne.

Jasonowi ulżyło. Żona Buddy'ego wcale nie była takim hollywoodzkim kociakiem, jak to sobie wyobrażał. Młoda, oczy miała jak gwiazdy. Wyjątkowo ładna. Ale nudna. Mógł ją zaakceptować, nie była żadnym rywalem. Pożegnał się z nimi, w pełni zadowolony, bo wyglądało na to, że wynajęcie im domu nie było czynem pochopnym.

Buddy i Angela rozpakowali się w ciągu nocy. Z przejęciem omawiali zbliżające się zdjęcia próbne Buddy'ego, razem przeczytali kilka stron scenariusza, a potem podgrzali zamrożoną pizzę na kuchence mikrofalowej. Następnie zaś długo, niespiesznie kochali się na łożu z wodnym materacem.

— Kocham cię, Buddy — powtarzała mu po wielekroć Angela. — Tak ogromnie cię kocham. Pławił się w jej uwielbieniu. Leżąc na łóżku wyobrażał sobie, że ten dom jest jego własnością. I że on jest gwiazdorem i nikt, ale to nikt nie może go tego pozbawić. A potem, gdy już zasnął, wróciły do niego dręczące go zmy. Jednakże rano, kiedy podjechał po niego prowadzony przez szofera samochód Jasona, znowu był w dobrej formie. Wcześniej pobiegał sobie wzdłuż brzegu morza, popływał w lodowatych falach i zjadł solidne śniadanie złożone z jaj na bekonie.

Zostawił Angeli kluczyki od Pontiaka i pięćdziesiąt dolców. Jason dał mu dwustudolarową zaliczkę na poczet nadchodzącego spotkania. Damy miały pojawić się w mieście za parę dni i Jason życzył sobie, aby Buddy zawczasu sprawił sobie nowe ciuchy. Jeśli chodziło o to, to Buddy wcale nie miał zamiaru się spierać z Jasonem. Wydawało mu się, że może pojadą do sklepu Dandysa. Ale kiedy samochód zabrał Jasona, ten polecił szoferowi, by podwiózł ich do najekskluzywniejszego, najdroższego sklepu z odzieżą męską na Rodeo Drive, do Bijana. Tam spędzili trzy godziny na kompletowaniu dwóch wyjściowych strojów.

Buddy ledwie mógł uwierzyć we własne szczęście. I to wszystko dostaje tylko za eskortowanie dwóch leciwych bab?

— Mogę zatrzymać to ubranie na zawsze? — zapytał, wiedząc już z góry, jaka będzie odpowiedź.

— Oczywiście — odparł rozpromieniony Jason. — A co myślisz o lunchu? Ma Maison ci odpowiada?

Ma Maison odpowiadała mu, owszem, ale pokazanie się tam w towarzystwie Jasona chyba nie było najlepszym na świecie pomysłem. Ten elegant tak ewidentnie wyglądał na pedała, że każdy z miejsca uznałby Buddy'ego za jego kochanka. Już teraz zauważył spojrzenia, jakie wymieniali między sobą sprzedawcy, kiedy przymierzał ubrania i demonstrował je do akceptacji.

Zawahał się. — Nie wiem, czy akurat mam ochotę na coś konkretnego. Ja zwykle niewiele jadam.

—Ależ możesz zamówić coś lekkiego — namawiał go Jason. — Sałatka z kaczki jest boska! — Aż cmoknął w opuszki palców z żarliwą aprobatą.

Buddy potrząsnął głową. — Muszę wracać nad morze. Pouczyć się . swojej roli. Sam wiesz, jak to jest.

Jason ze zrozumieniem pokiwał głową. — Podeślę po ciebie kierowcę jutro w południe. I wtedy zjemy wspólnie lunch.

—Doprawdy, nie wiem...

—Ależ koniecznie! Chciałbym cię przedstawić Patrickowi, właścicielowi Ma Maison. Kiedy zabierzesz tam damy na obiad, lepiej by było, żebyś nie wchodził do tej restauracji jak jakiś pierwszy lepszy turysta.

—No, skoro tak...

- A więc do jutra — zdecydował stanowczo Jason. Od tego nie było wymówki.

Montana wsiadła do Maserati, pojechała jak wściekła na wybrzeże, a potem szalała po autostradzie Pacific Coast, przystając tylko na hamburgera i cokę. Usiłowali ją wymanewrować. Wiedziała o tymi Czują to. Sukinsyny! „Ludzie z ulicy” to jej dzieło. Nie ma zamiaru wypuścić go z rąk.

George Lancaster... Giną Germaine... do diabła, co Oliver i Neil mają ochotę nakręcić? Kupę gówna? Ten gatunek filmu, z jakich słynął Oliver? Dotychczas sądziła, że Neil ma większą klasę.

Nastawiła radio na głośny program rockowy. Nie wyjmowała z usa papierosa i wreszcie, powoli, uspokajała się.

Bo, swoją drogą, czymże się aż tak przejmować? Że Neil chce nakręcić próbne zdjęcia

z tą blond idiotką? I co z tego? Jak tylko zobaczy ją na ekranie, od razu pojmie, że w tej roli Giną byłaby jednym wielkim nieporozumieniem. Oliver też to zrozumie.

Mężczyźni. Prawdopodobnie stracili rozum na widok nadmiernie wyrośniętych cycków Giny. Montana zezłościła się aż tak tylko dlatego, że Neil jej wcześniej nic o tym nie wspomniał. No i dobrze. Ona ma czterech aktorów kandydujących do roli Vinnie'ego. I wcale nie zamierza konsultować się z Neilem, nim sama nie obejrzy ich sobie na ekranie. Robienie filmów wiąże się z ryzykiem. Nigdy nie można przewidzieć, co się zdarzy, gdy jakiś aktor czy aktorka stanie przed kamerą. Cud albo kłapa. Może Giną... odpowiednio ubrana, uczesana, wyreżyserowana... to nieprawdopodobne, ale możliwe.

Niech więc Neil z Oliverem grają w te swoje idiotyczne hollywoodzkie gierki. Jeżeli taka ich wola, to ona, Montana, też jest skłonna w to zagrać.

Gdy wróciła do domu, Neil już spał przed włączonym odbiornikiem telewizyjnym. Nie miało sensu go budzić.

Następnego ranka byli wobec siebie uprzedzająco grzeczni; przy śniadaniu, przed wyruszeniem do swoich obowiązków, omawiali to, co każde z nich miało na ten dzień zaplanowane.

—A tak, przy okazji — odezwała się Montana, kierując się do swojego samochodu. -- Jeśli naprawdę uważasz, że należy przetestować Ginę Germaine, to zrób to. Może w niej jest coś takiego, czego ja nie potrafię się doszukać.

—Co chcesz przez to powiedzieć? — prychnął Neil z pozycji obronnych.

Zmarszczyła brwi. — Nic wielkiego. Ale byłoby miło z twojej strony, gdybyś przed powiedzeniem o tym Oliverowi, omówił całą rzecz ze mną.

—Miałem taki zamiar — odparł niepewnie.

- Och, gdy już jesteśmy przy tym temacie — ciągnęła Montana -postanowiłam na własną rękę przetestować wybranych przeze mnie aktorów. Nie masz chyba nic przeciwko temu, prawda?

Zmiana tematu ulżyła Neilowi. — Uważam, że to doskonały pomysł.

—No to świetnie. Chcę zabrać się za nich jak najszybciej.

—Im szybciej, tym lepiej.

Montana wsiadła do samochodu i odjechała, nie mówiąc już ani słowa więcej.

Neil odetchnął głęboko. Wygląda na to, że wszystko się dobrze ułoży. Próbne zdjęcia z Giną. Zdjęcia okażą się niewypałem. Zniknie miecz zawieszony nad jego głową.

Tylko że kogo on według siebie oszukuje?

„Ludzie z ulicy”. Co za bogactwo. Co za wspaniała dla niego rola.

Ross odłożył scenariusz na stolik do kawy w swoim gabinecie. Zamknął oczy i głęboko wzdychając przechylił się w tył. Przez chwilę siedział w milczeniu. Było już późno, był zmęczony, ale zarazem ożywiony, w głowie aż kipiało mu od pomysłów. Dochodzi pierwsza w nocy, przez bite dwie godziny czytał nieprzerwanie.

MAC. PIĘCDZIESIĄT LAT. PRZEZ CAŁE DOROSŁE ŻYCIE
POSTERUNKOWY. CYNICZNY TWARDZIEL. ALE WRAŻLIWY I PEŁEN
NADZIEI NA PRZYSZŁOŚĆ. ZMĘCZONY ŚWIATEM FACET O
STAROŚWIECKICH POGLĄDACH.

Bez dwóch zdań, rola zapewniająca nominację do Oscara. Oczywiście, niepodobna do tych ról, które dotąd grywał. Mężczyzna pięćdziesięcioletni. Zapomnij o tym.

Co to znaczy — zapomnij? Nie jesteś już dłużej cudownym chłopaczkiem. Masz pięćdziesiąt lat. A przynajmniej tyle kończysz w tym roku.

Czy publiczność zaakceptuje go w takiej roli?

Jaka publiczność? Już dawno temu przestała tłoczyć się na twoje filmy. Teraz jakaś połowa wielbicieli ogląda cię na starych filmach powtarzanych w telewizji. Przypuszczają, że już nie żyjesz, do jasnej cholery.

Wstał z kanapy i podszedł do barku. Przyrządził sobie szkocką z lodem. „Ludzie z ulicy”. Dziwną była świadomość, że napisała to kobieta. Ona ma rozum mężczyzny.

Wyraziła myśli i uczucia, które, według Rossa, mogły wyjść tylko spod pióra faceta.

Jesteś szowinistycznym wieprzem, wiesz o tym? Masz ciasne i przestarzałe poglądy.

Lepiej by było, gdybyś już dzisiaj zaczął myśleć — inaczej znajdziesz się na cmentarzysku słoni zarezerwowanym dla zapomnianych gwiazd filmu.

Jezu! Pragnął tej roli tak bardzo, że aż czuł jej smak.

Dwadzieścia pięć lat w filmie.

Dwadzieścia pięć lat gówna.

Pociągnął łyk szkockiej, zatrzymał ją na języku, pozwalając, by powoli przesączyła się przez jego gardło.

Był jednocześnie chłodny i rozgorączkowany, zdenerwowany i pewny siebie. Chryste! Nie wiedział, co się z nim dzieje. Wiedział tylko, że bez względu na cenę musi zdobyć tę rolę. Musi.

Ale jak wszystkich o tym przekonać? Jak przekonać Olivera Easter-ne'a, Neila i Montanę Grayów?

Oliver robił szwindle i pieniądze. Nie zauważyłby nawet, gdyby bomba z talentem eksplodowała tuż przed jego nosem człowieka interesu.

Neil Gray natomiast to zarozumiały angielski egotyk. Utalentowany, ale bez przesady.

Montany Gray nawet nie znał.

Sadie La Salle potrafiłaby tego dokonać. Ona mogłaby wywalczyć dla ciebie tę rolę. W tym mieście dokonywała cudów. Miała władzę.

Tak. Sadie. Ona wiedziałaby, że Ross jest do tego odpowiedni. Wiedziała, że on potrafiłby wydobyć z tej roli wszystko.

Czy Elaine zaprosiła już ją na przyjęcie? Jaką uzyskała odpowiedź? Pospieszył do ich sypialni.

Elaine spała głęboko. Włosy zczesła do tyłu i przytrzymała je białą opaską. Twarz hojnie wysmarowała jakimś „Królewskim Żelem”, który Ross mało wytwornie ochrzcił „pszczelą kupką”. Oczy skryła pod czarnymi klapkami i miękko pochrapywała.

Ross patrzył na nią z góry. Dał jej popalić minionego dnia i teraz było mu przykro. Ale czasami żona zasmarowywała go całym tym hollywoodzkim gównem. Od Maralee przybiegła jak opętana, piastując scenariusz tak, jakby to były akcje IBM. Wcisnąwszy mu go oświadczyła triumfalnie: — Oto i on. A co mi dasz za tę przysługę?

Złośliwie odłożył maszynopis na bok.

—Nie zamierzasz go przeczytać?

—Później — odpowiedział, rozkoszując się jej urażoną i rozczarowaną miną. Przetrzywał ją cały dzień, jednocześnie aż skrecając się z ochoty, by przeczytać to cholerstwo. Ale uparcie wymawiał się przed wzięciem go do rąk w obecności Elaine. Zjedli obiad, obejrzeli w telewizji jakiś film, a potem żona wymknęła się do łóżka. Ross nalał sobie drinka, rozsiadł się wygodnie i zabrał do czytania.

—Kochanie, obudź się — potrząsnął obcesowo Elaine. Pisnęła. — Kto? Co? Boże! — Jak szalona zdarła z oczu klapki, dwukrotnie zamruwała, potem spytała: — Co, u diabła, Ross? Śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

—Jest skurwysyńsko cudowny, ot, co — oświadczył rozemocjonowany.

—Upiłeś się?

—Nie. Nie jestem pijany. Jestem trzeźwy jak prosię. — Przysiadł na skraju łóżka. — Dzwoniłaś już do Sadie La Salle?

Z trudem sięgnęła po leżący przy łóżku zegarek. — Piętnaście po pierwszej. I tylko po to mnie obudziłeś?

—To bardzo ważne.

—Cholera jasna! Na pewno nie mogłeś poczekać z tym do rana?

Wyciągnął rękę i pieszczotliwie pogładził ją palcem po policzku. -

Znowu wysmarowałaś się „pszczelą kupką”?

—Nie życzę sobie, abyś tak to nazywał.

- Dlaczego? Podnieca cię to? — Kiedy to mówił, czuł, jak i w nim wzbiera pożądanie. Automatycznie sięgnął do jej biustu.

—Ross — zaczęła protestować, ale zaraz to lepiej przemyślała. Sam fakt, że nie jest przygotowana, nie oznacza, że nie powinna skorzystać z nadarzającej się okazji.

Oddali się znajomemu rytuałowi. Seks małżeński przypominał ulubione danie. Smaczne, ale nic nowego. Elaine przestała już pragnąć, by Ross zrobił to jakoś inaczej. Miał swoje nawyki i wiernie się ich trzymał.

Nie minęło więcej jak dziesięć minut, a oboje doznali orgazmu. Ona pierwsza. On drugi. Może Ross sobie mieć najpotężniejszego kutasa w całym Hollywood, ale i tak nie trwa to dłużej niż dziesięć minut.

A potem przypalił dla nich obojga papierosy i powiedział: — Nieźle, co? — Zawsze mówił „nieźle, co”. Nie było to właściwie pytanie, tylko stwierdzenie.

Wspomniała dawniejsze czasy. Pierwszy raz, kiedy się kochali. Miesiące, kiedy spotykali się potajemnie. Początek ich małżeństwa. Och, cóż za kochankiem był wtedy Ross Conti!

Ross zaciągnął się głęboko papierosem i pomyślał o Karen Lancas-ter. Naprawdę powinien do niej zadzwonić. Była niczym obłąskawiona dzika kocica. Nie jak Elaine, która kładła się, zupełnie jakby robiła mu łaskę. Nie ma dwóch zdań, teraz seks nie pasjonował już jej jak dawniej. Ross nie mógł pozbyć się wrażenia, że wpycha się na żonę i że powinien skończyć jak najszybciej. Gdyby miał wyznać prawdę, to mógłby uczciwie powiedzieć, że uprawianie seksu z własną żoną jest nudne i że wina za to z pewnością nie leży po jego stronie.

—Bardzo dobrze — mruknęła Elaine. — Zaczynałam już się obawiać, że zapomniałeś, jak to się robi.

Puścił ten przytyk mimo uszu. Ha! Gdyby ona tylko wiedziała!

—Przeczytałem scenariusz — zaczął. — I nie obchodzi mnie, czy naprawdę napisała to Montana Gray. To będzie cholernie dobry film.

Zaciekawienie Elaine wzrosło. — Naprawdę?

—Bez wątpienia.

—I... — przerwała na chwilę. — A co z tą rolą dla ciebie?

—Doskonała.

—Rzeczywiście?

—No, nie doskonała dla mnie, Rossa Conti, ale doskonała dla mnie jako aktora. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Czy rozumie? A czy on nie wie, do kogo mówi?

—Więc musimy pozyskać dla ciebie Sadie La Salle — powiedziała podniecona.

—To jest nasz najlepszy ruch.

Wreszcie zaczęli nadawać na tych samych falach. Elaine uśmiechnęła się. — Idę jutro na lunch z Karen. Da mi odpowiedź, czy mogę wydać przyjęcie na cześć George'a i Pameli. Jeżeli tak, to nikt nie odważy się nie przyjść. Nawet Sadie La Salle.

Ma Maison. Piątkowy lunch. Restauracja w małym ogródku pełna gości, ocienione parasolami stoliki ustawiono tuż obok siebie, między nimi uwijali się kelnerzy w białych kitlach.

Buddy postanowił wypróbować jasnobezową marynarkę od Arma-niego, beżowe

spodnie i pasującą kolorem jedwabną koszulę bez kołnierzyka. Prezentował się znakomicie, dyskretnie zamożnie. Jason był w siódmym niebie. — Teraz potrzebna ci jest tylko odrobina złota — orzekł, bawiąc się grubym złotym łańcuchem zawieszonym wokół własnej szyi.

— Nie, dziękuję — odmówił pospiesznie Buddy. Nie było nic gorszego od kalifornijskiego luzu zrujnowanego ciężkim wędzidłem w postaci błyszczącej biżuterii. Złote łańcuchy na szyi zawsze przywodziły Buddy'emu na myśl podtatusiałych piosenkarzy, rozbijających się po Be-verly Hills swoimi Mercedesami, o włosach szesanych do przodu w tak zwaną „pożyczkę” i wbitych w obcisłe spodnie tłustych brzuchach.

Przy stoliku w rogu siedzieli tylko we dwóch. Buddy zdecydował, że może sobie pozwolić na porozglądanie się po restauracji. Mnóstwo kobiet jedzących lunch tylko w damskim towarzystwie. Stolik przy stoliku. Eleganckie. Stylowe. Piękne.

Jason nagle poczuł się zobowiązany urządzić mu przegląd wszystkich znajdujących się tutaj sławnych twarzy. — Widzisz tę grupkę, o tam. Ta ładna brunetka to pani Freddie Fields. A przy sąsiednim stoliku siedzi Louisa Moore, żona Rogera, ona jest taka zabawna. A koło nich...

—Dudley Moore.

—Znakomicie — orzekł lapidarnie Jason. — Ale założę się, że nie wiesz, kto to taki.

— Wskazał na wybitną, kruczowłosą piękność pogrążoną w rozmowie z jakimś mężczyzną.

—Poddaję się.

—To Shakira Caine. Żona Michaela Caine'a, oczywiście. Jest z Bobbym Zaremem. To on jest autorem powiedzonka: „Kocham nowojorskie sławne, cudowne układy towarzyskie. Są takie zabawne”.

—Znasz wszystkich tych ludzi? — spytał Buddy, któremu mimo woli to zaimponowało.

—Nie prywatnie, ale większość z nich zagląda do mojego sklepu.

—Hej, to może mógłbyś przedstawić mnie jakiemuś agentowi, takiemu naprawdę z

ikrą?

—Niech się zastanowię. Jestem pewny, że wśród moich znajomych... O, a widzisz tę kobietę... To córka George'a Lancastera, Karen. A po przeciwnej stronie sali siedzi David Tebet, wiceprezes wytwórni Johnny'ego Carsona. O, i widzę Jacka Lemmona.

Buddy bez wytchnienia zerkał dokoła, tylko jednym uchem słuchając Jasona. Miał przecież oczy, mógł sam wytropić gwiazdy. Do stolika stojącego pośrodku sali przeciskał się Clint Eastwood. O jego długie nogi potykali się kręcący się po sali kelnerzy. I Sidney Poitier, i Tom Selleck — wokoło same znakomitości.

Buddy czuł się świetnie. Nie żeby ktokolwiek specjalnie zwrócił na niego uwagę. Ale przecież był tutaj, był częścią tego świata.

— Podoba ci się to miejsce? — spytał Jason, świetnie zdający sobie sprawę, że tak jest.

Buddy wzruszył ramionami. — Zaglądałem tutaj już przedtem.

— Jasne, jasne. — Jason nie potrafił oderwać wzroku od ożywionej twarzy Buddy'ego. Ten chłopak miał wygląd pierwsza klasa, urodę. Ach, gdyby tak wyczekać na odpowiednią chwilę, cierpliwie... ach!

Zielone oczy Karen błyszczały. — Mówię ci, rozmawiałam z tatą i z Pamelą. Będą zachwyceni, jeżeli zostaną honorowymi gośćmi na twoim przyjęciu.

—Naprawdę? — spytała Elaine już po raz drugi.

—Elaine, skoro ja coś mówię, to tak jest na pewno. — Karen uśmiechnęła się i pomachała Dudleyowi Moore. — Pamela chce, żebyś zadzwoniła do niej dziś o dziesiątej wieczorem. Oczywiście według czasu Palm Beach.

—Naprawdę?

—Nie rób takiej głupiej miny. Przecież tego właśnie chciałaś, co? I dzięki mnie masz to załatwione. Najgłośniejsze przyjęcie w mieście. Tylko patrzeć, jak przyleci Bibi Sutton!

Do rozmowy włączyła się Maralee. — Kto zajmie się zaopatrzeniem?

Elaine wyobrażała sobie, że wystarczy jej Lina i jej dwie meksykańskie przyjaciółki, ale teraz rzeczy miały się zgoła inaczej. — Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym

poważnie:*-.

—Już najwyższa pora! — ostrzegła ją Karen. — Mus łośosiowy, podany w zeszłym tygodniu przez Titę Cahn, był boski! Chyba odkryła kogoś nowego. Może by do niej zadzwonić?

—Morton mógłby to wszystko załatwić — zaproponowała Maralee. — Albo La Scala. Zawsze się czuję bezpieczniej, gdy ktoś korzysta z usług fachowców.

—No tak, ale nie zawsze to wychodzi na dobre — sprzeciwiła się Karen. — Tatuś uwielbia orientalne jedzenie. Więc może by tak ucztę w tyłu chińskim?

—Madame Wu? — podchwyciła Elaine, zastanawiając się jednocześnie, ile to będzie kosztowało i jak głośno będzie się pieklił Ross.

—Cudowne jedzenie — orzekła Maralee.

- Cudowne — zawtórowała jej Karen.

Buddy upił łyk gorącej kawy, rozmyślając nad tym, jak długo mają tutaj siedzieć. Jason wydawał się całkiem zadomowiony. Bawił się małą szklaneczką Sambuca.

—Hmmm... chyba powinienem już wracać na plażę — odezwał się w końcu Buddy.

— Spodziewam się telefonu w sprawie terminu zdjęć. Chciałbym też zajrzeć jeszcze do scenariusza.

Jason kiwnął głową. — Pasuje ci wszystko w tamtym domu?

—Nie mógłby być lepszy. Angela jest zachwycona.

Jasona irytowało, że Buddy przy byle okazji napomyka o swojej żonie. Zupełnie, jakby ogłaszał wszem i wobec: „Ja jestem normalny! Normalny! I nie zapominaj o tym!” Pstryknięciem palców zażądał rachunku. Niektóre z jego najwspanialszych wspomnień wiązały się z tymi tak zwanymi „normalnymi”. Kiedy już przychodziło co do czego, oddawali się temu z pasją. — Tak — mruknął. — Angela wygląda na słodką dziewczynę.

—I taka jest.

—Oczywiście. Ale nie sędzę, że powinniśmy pani Jaeger i jej przyjaciółce wspominać o tym, że jesteś żonaty.

—Jasne. — Co da kąsanie dłoni, która odziała cię w ciuchy od

Armaniego?

—One przyjeżdżają jutro wieczorem. Prawdopodobnie bardzo późno — ciągnął Jason, zerkając na rachunek. Wyciągnął z kieszeni marynarki portfel ze świńskiej skóry, a z niego godną zaufania kartę kredytową Master Charge. — Chyba będą zmęczone, więc wyślę szofera, żeby odebrał je z lotniska i odwiózł do hotelu, oczywiście Beverly Hills. Myślę, że spotkamy się wszyscy w niedzielę przy jakiejś wykwintnej przekąsce w Polo Lounge. Czyż nie będzie miło?

Buddy'emu akurat nasuwało się dokładnie odmienne określenie, ale udawał, że jest zachwycony.

—Włóż na siebie to co dzisiaj — polecił Jason. — Znakomicie się w tym prezentujesz. —Jasne, dzięki. — Zniecierpliwiony Buddy raz jeszcze rozejrzał się po stolikach. Clint Eastwood już wyszedł, ale przybyli Allan Carr, Richard Gere i Robert Wagner. Słynny producent i dwóch gwiazdorów wprawiło go w prawdziwe podniecenie. Szybko zerknął na zegarek. Trzecia po południu. Cholera! Kiedy dobieje nad plażę, zrobi się czwarta — zbyt późno, by popracować nad opalenizną. Co za zmarnowany dzień. Jason Swankle to całkiem miły facet, ale kogo on zamierza oszukać? Buddy świetnie zdawał sobie sprawę, że nadejdzie taka chwila, kiedy Jason spróbuje się do niego dobrać. Po cóż innego byłby ten dom na plaży, nowe ciuchy i forsa za eskortowanie dwóch podstarzałych damulek, którymi za pół ceny zająłby się każdy profesjonalista? Kelner zwrócił kartę Master Charge. Ruszyli ku wyjściu. Buddy szybko przemierzał restaurację, zostawiając w tyle telepiącego się Jasona. W drzwiach zderzył się z Randym Felixem. Popatrzyli na siebie, najpierw zdumieni, potem ucieszeni.

—Hej! — krzyknął Buddy. — A co ty tutaj robisz?

—Mam się z kimś spotkać — uśmiechnął się szeroko Randy i zrobił krok w tył, aby lepiej przyjrzeć się przyjacielowi. — Wyglądasz jak młody bóg.

—Święta racja!

Uściskali się pospiesznie, zaambarasowani, jak to mężczyźni. Wypuścili się nawzajem z objęć właśnie w chwili, gdy posapując nadciągnął Jason.

—Hmmm... to mój przyjaciel, Randy Felix — przedstawił go Buddy. — Poczekaj na mnie z pięć minut w samochodzie.

Jason wydał mięsiste wargi i zdawkowo skinął Randy'emu głową. — Ale nie dłużej — ostrzegł zaborczym tonem, nim odszedł.

Randy wlepił kpiący wzrok w plecy oddalającego się Jasona. — Zmieniłeś gusta, bracie?

—A, daj spokój. Do kogo ty to mówisz?

—Po prostu pytam. W dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo. Jednocześnie zauważyli machającą dłonią blondynkę. Wstała ze swojego miejsca i jak oszalała dawała znaki. — Tutaj, Randy! — wołała na wypadek, gdyby ją przeoczył.

Randy kiwnął jej dłonią. — To ta, o której ci mówiłem — wyjaśnił cicho. — Maralee Gray. Jej ojciec jest właścicielem Wytwórni Sander-son. Były mąż to Neil Gray, ten reżyser. Jak ci się to podoba?

—Pewnie, że podoba. Sam bym tak chciał.

—Więc chodź ją poznać.

Buddy'ego kusilo, aby się zgodzić na prezentację. Nazwisko Neila Graya brzmiało dla niego niczym chór dzwonów. Ale to przecież tylko eks-zona, która pewnie nie ma nic wspólnego z filmem. A poza tym, jak to będzie wyglądało, gdy wtoczy się za nim Jason?

—Innym razem. Może byś później do mnie zadzwonił? Mam ci mnóstwo do opowiedzenia.

Zatrzymali kelnera i poprosili go o papier i ołówek. Potem Buddy nagryzmolił numer telefonu domu przy plaży. Następnie przyklepali dłonie i poszli każdy swoją drogą.

—Kto to był? — dopytywała się Karen, gdy Randy usadowił się przy ich stoliku i został już przedstawiony jej i Elaine przez zdenerwowaną Maralee.

—Kto taki? — spytał Randy, wiedząc oczywiście natychmiast, że Karen Lancaster chodzi o Buddy'ego. Wszystkie baby dostawały świra na jego widok.

—Ten facet, z którym rozmawiałeś idąc tutaj — dociekała zirytowana Karen.

—Myślisz o Buddym.

—Buddy?

—Buddy Hudson. Mój przyjaciel.

—Pedał?

Randy, pośliniwszy palec przesadnym gestem, musnął brew. — Jeżeli tak uważasz, kochasiu!

Maralee roześmiała się nerwowo. — Randy! — upomniała go. -Przeستاń.

Wzrok Karen płonął wściekłością. Od pierwszego wejrzenia znienawidziła nowego przyjaciela Maralee. — Muszę się już zbierać — wycedziła. — A ty, Elaine?

Prawdę mówiąc, Elaine też miała na to ogromną ochotę. Tak chciałyby znaleźć się już w domu i zadzwonić do Bibi. Ale Maralee błagała ją, aby poznała Randy'ego przed ich spotkaniem na obiedzie. Toteż absolutnie nie wypadało powiedzieć „cześć” w chwili, gdy ten smętny facet przysiadł się do ich stolika.

—Zostanę jeszcze kilka minut — wyjaśniła przepraszająco.

—Wolna wola — parsknęła Karen i skinąwszy dłonią całemu stolikowi, oddaliła się.

—Pokochasz Karen — wybuchnęła Maralee, przywierając do dłoni Randy'ego — kiedy ją tylko lepiej poznasz.

Uśmiechnął się i mrugnął do Elaine. — Wprost nie mogę się tego doczekać — oświadczył wesoło. Elaine uznała, że go nie trawi.

Angela cały dzień spędziła na ścieraniu kurzu, polerowaniu i odkurzaniu. Ten dom w Malibu był naprawdę najdoskonalszym miejscem, jakie kiedykolwiek widziała. Rodem prosto z żurnala. A to, że mieli tyle szczęścia, by w nim zamieszkać, wprost wprawiało ją w drzenie.

Nucąc cichutko dokonywała swojego dzieła, froterując nieskazitelną podłogę w kuchni, przecierając gąbką błyszczącą powierzchnię, wylewając środek odkażający do trzech nie używanych jeszcze toalet. Przez cały ranek nad plażą unosiła się mgiełka, ale w południe słońce przedarło się, więc Angela włożywszy bikini wyciągnęła się na leżaku na patio wychodzącym na morze. Zabrała ze sobą notes i pióro. Miała zamiar napisać list do swojej przybranej rodziny w Louisville. Nie dostała od nich żadnych wiadomości, mimo że sama pisała kilkakrotnie. Tego można się było spodziewać.

Nigdy specjalnie się o nią nie troszczyli. Jej obecność oznaczała po prostu ekstra zasiłek z opieki społecznej. Ale co tam, chciała ich powiadomić, że jest w ciąży. Może się ucieszą. *Moi drodzy! Przypuszczam, że zastanawiacie się, dlaczego od pewnego czasu nie pisałam. A więc wiedźcie...*

Przerwała, by złapać wątek, i zapatrzyła się na dwójkę joggerów biegnących przez fale. Trzymali się za ręce i śmiali. Za nimi biegł pies. Buddy ostatnio był taki nierówny. Może teraz, na plaży, kiedy zamieszkali w tym pięknym domu...

Ale na jak długo? I kim był Jason Swankle? Dlaczego tak nagle pojawił się w ich życiu?

Westchnęła, potem gwałtownie zmięła kartkę i wyrzuciła ją na piasek. Teraz Buddy był jej rodziną. Louisville to przeszłość. Buddy zaś to przyszłość, nawet jeżeli się jej nie zwierza, karmi stekiem kłamstw, podczas gdy ona jest całkowicie przygotowana, by stawić czoło prawdzie. Na przykład, skąd wziął pieniądze na takie kosztowne ubranie? Dlaczego zainstalowano ich w tym pięknym domu? Kto płacił za samochód z kierowcą, który ciągle po niego zajeżdżał?

Kiedy zapytała o to Buddy'ego, ten roześmiał się, pogłaskał ją po głowie i powiedział: — Nie zaprzataj sobie tym główki, dziecinko. Mój stary kumpel Jason jest mi to winien. Po prostu spłaca dług.

Angela zastanawiała się, że skoro był jakiś dług do spłacenia, to dlaczego i ona nie dostała żadnych nowych ubrań? Nie żeby zazdrościła Buddy'emu jego strojów, ale czyż nie byłoby miło, gdyby i ona miała coś nowego? Nie poprosił jej nawet, by towarzyszyła mu w wyprawie do sklepu. Zraniło to ją. Wkrótce jednak będzie musiała dostać nowe sukienki — na ciążę.

Ta myśl przywołała na jej wargi tajemniczy uśmiezek. Nie mogła doczekać się, aż brzuch jej urośnie. To będzie potwierdzenie faktu, że osóbką, którą stworzyli z Buddym, rośnie wewnątrz jej łona. Wszystkie marzenia o zostaniu gwiazdą filmową odeszły w niepamięć. W ich rodzinie to Buddy będzie gwiazdorem, ona zaś kochającą żoneczką. Magazyny dla entuzjastów filmu będą na rozkładówkach prezentowały fotografię ich domu. Buddy taki męski i przystojny, ona w powiewnych sukienkach, z

kwiatami wpiętymi we włosy, u jej stóp gromadka uroczych dzieciaków. Matka-Ziemia. Ta myśl ją ucieszyła. Uśmiechnęła się szeroko. Ile czasu potrzeba, by zostać supergwiazdą? Dwa lata? Trzy? Nieważne. Ona zawsze będzie przygotowana.

Lekka bryza zapraszała, więc Angela, wysunąwszy stopy z białych sandałów, pospieszyła schodkami na plażę. Potem podbiegła do oceanu; jej długie, jasne włosy rozwiewały się na wietrze.

Mężczyzna, siedzący na tarasie sąsiedniego domu, przyglądał się, jak Angela zbliża się do wody. Wstał i podszedł na skraj tarasu, natężając wzrok. Chciał lepiej zobaczyć, jak dziewczyna pluska się w falach.

Kiedy wyszła na brzeg, on wciąż nie odrywał od niej oczu.

Dokładnie jedenaście minut zabrało Bibi Sutton skontaktowanie się z Elaine, po tym jak ta zostawiła u sekretarki wiadomość, że przyjęcie będzie wydane na cześć George'a Lancastera i Pameli London.

—Kochanie! — zagruchała Bibi w słuchawkę. — Byłam taka zajęta. Wiesz sama, jak to jest.

—Nic się nie stało — oświadczyła Elaine wielkodusznie. — Dokładnie wiem, co masz na myśli.

—Kochanie, naprawdę wydajesz party dla Pameli i George'a? - Bibi zawsze lubiła się upewnić, nim się do czegoś zobowiązała.

—Sądziłam, że powiedziałam ci o tym już wcześniej — odparła niewinnie Elaine.

—Nie, nie. Ale nie szkodzi. I tak byśmy przyszli, wiesz dobrze.

—Oczywiście. — Elaine bawiła się tą sytuacją. Najgorszymi wrogami gwiazd były same gwiazdy.

—Ile osób zaprosisz?

—Niezbyt wiele. To będzie takie małe spotkanie dla samych znajomych. Bliskich przyjaciół George'a i Pameli. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, nie więcej.

—Ach... — westchnęła Bibi. — To lubię. Przyjacielskie spotkanko. Stroje wieczorowe, mam nadzieję.

—Dla pań, tak. Ale mężczyźni, sędzę, lepiej się będą czuli w tym, co noszą na co dzień — wyjaśniła zdecydowanie Elaine.

—To rozsądne, koteczku — pisnęła Bibi. — Uwielbiam to. My się wystroimy. A oni w tych swoich nudnych sportowych ciuchach.

Nareszcie aprobatą. Elaine rozjaśniła się.

—A teraz — ciągnęła Bibi — co z jedzeniem?

Elaine zawahała się tylko sekundę. *Bądź pewna siebie. Nie pozwól, by ta suka zbiła cię z tropu.* — Myślałam o skorzystaniu z usług Ma-dame Wu.

—Nie!

—Nie?

-- Powierzę ci pewien sekret. Sekret, którym dzielę się tylko z najlepszymi przyjaciółkami.

Elaine czekała.

Bibi zrobiła teatralną pauzę. — Sergio i Eugenio! — zaanonsowała teatralnie.

—Nie sędzę, bym coś o nich słyszała...

—Pewnie, że nie. Nikt nic nie słyszał. Oni należą do mnie. To mój sekret.

Mówiło się, choć nie było na to żadnych dowodów, że Bibi dostaje łapówki od każdej restauracji, każdego dostawcy, sklepu itd., którym udzieli swojego magicznego poparcia. Elaine była ciekawa, czym wkupili się Sergio i Eugenio.

—Czy są dobrzy?

—Ha! — zaśmiała się radośnie Bibi. — Koteczku, czyżbym ich polecała, gdyby nie byli dobrzy?

—No nie, oczywiście. Ja...

Bibi złapała pełny wiatr w żagle. — I zawierzę ci jeszcze jedną tajemnicę. Zancussi Trio. Włoskie piosenki miłosne prosto z Rzymu. Ustawisz namiot w ogrodzie?

—Naprawdę nie...

—Ależ koniecznie! Niech udzielę ci pewnej rady...

Rozmowa trwała jeszcze przez dziesięć minut, podczas których Bibi raczyła Elaine swoimi propozycjami. Elaine jednocześnie obliczała w myślach koszty. Namiot w

ogrodzie. Trio muzyków. Sergio i Eugenio. Obsługa parkingu. Dekoracje kwietne. Dwóch specjalnych barmanów do serwowania drinków. Kelnerzy. Personel kuchenny. Nowa suknia.

Aby dobrze to zrobić, trzeba by wydać fortunę. Ale to musi być dobrze zrobione.

Bibi skończyła rozmowę dodając otuchy uwagą. Zaprosiła Elaine na lunch w przyszły poniedziałek do swojego domu. — Mam wspa niałego policjanta, który przyjdzie opowiedzieć nam o broni gazowej. Wszyscy dostaniemy pozwolenie — wyjaśniła rozradowana Bibi. — Co ty o tym myślisz? Dobry pomysł, nie?

Na co kobiecie takiej jak Bibi broń gazowa? Przecież jej prowadźny przez szofera Rolls nie wyściubia nawet nosa poza Beverly Hills.

— Znakomity — zawtórowała wylewnie Elaine, nienawidząc się zarazem za takie lizusostwo.

Bibi Sutton kiwnie palcem — a ty lecisz. Przecież nie cierpisz jej do szpiku kości.

Zamknij się, Etta.

Późniejszy obiad w La Scali z Maralee i jej nowym przyjacielem okazał się jedną wielką klapą. Skąd Maralee wystraszyła tepp faceta? Skąd ona wiedziała, gdzie wynajdywać łowców posagów o chciwych oczach, którzy dybali na jej majątek i pozycję towarzyską? Już podczas lunchu Elaine z punktu znieubiła Randy'ego, a to pierwsze wrażenie pogłębiło się jeszcze podczas drugiego ich spotkania.

Przede wszystkim Ross był wściekły, że musieli tam iść. Nigdy naprawdę nie przepadali za sobą z Maralee. Tolerował ją, gdyż była jedną z najlepszych przyjaciółek żony, ale nie widział powodu, dla którego miałby tolerować jej tępego kochasia-podrywacza. I do tego jeszcze płacić za cały ten obiad z własnej kieszeni.

Zamówili drinki. Elaine rozmawiała z Maralee, podczas gdy Randy próbował nawiązać nić porozumienia z Rossem. Zwracał się do niego per „proszę pana” i mówił rzeczy w stylu: „Był pan ulubieńcem mojej matki” czy „Widziałem w telewizji pana stare filmy”.

Wypierdek, nie ma dwóch zdań. Ross skinął na kelnera i zajął się osuszaniem kolejnych szklanek whisky z lodem.

Jakoś w połowie wieczoru nadciągnęła Karen w towarzystwie Cheta Barnesa. Rzuciła się do ich stolika niczym drapieżny ptak. Chet podążył za nią z tyłu.

— Witam wszystkich — powiedziała z oczami błyszczącymi od porcji przedobiedniej kokainy, hollywoodzkiego ekwiwalentu prochów dla klasy wyższej.

Na widok jej sterczących sutek wypychających jedwab przezrzystej bluzki bez pleców, Ross aż się wyprostował. Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego, u Boga, nie pofatygował się, by do niej zadzwonić. Postanowił naprawić to jutro zaraz z samego rana.

— Jadłaś już? — dopytywała się Elaine, wdzięczna losowi za tę odmianę.

— Właśnie mamy taki zamiar.

— Więc może się do nas przyłączyć? — zaproponowała szybko Elaine, kopiąc jednocześnie Rossa pod stołem.

Podjął wątek, zafascynowany sutkami Karen pod przezrzystym materiałem. — Oczywiście, musicie się do nas przysiąść — zachęcał ich.

Karen popatrzyła mu prosto w oczy i uśmiechnęła się słodko. — Nie, dziękujemy. Chet i ja właśnie diskutujemy na temat wspólnego orgazmu i o tym, czy posiadanie wielkiego kutasa robi z faceta dobrego kochanka. Nie chcielibyśmy nikomu obrzydzać obiadu.

Elaine roześmiała się. — Jesteś nie z tej ziemi!

Karen przyszpiliła Rossa morderczym spojrzeniem. — Zobaczymy się później.

— Więc chociaż przyjdźcie napić się z nami kawy — błagała zrozpaczona Elaine.

— Może. — Karen obdarzyła uśmiechem cały stół, jej oczy przesunęły się po Randym Felixie, jakby ten był powietrzem. Potem złapała Cheta za rękę i kelner poprowadził ich do zacisznego gabinetu na tyłach restauracji.

— Nie wiedziałam, że Karen i Chet kręcą ze sobą — zdziwiła się Maralee. — Od jak dawna się spotykają?

Elaine wzruszyła ramionami. — Ja nigdy nie nadażam za romansami Karen.

I bardzo dobrze, pomyślał Ross. Rozejrzał się po restauracji. Karen przytulała się do Cheta, szepcząc mu coś do ucha. A może lizała go tam języczkiem?

I nagle najbardziej w świecie zapragnął jej ciała. Pragnął, by przed nim klęczała, ssąc jego...

—Dobrze się czujesz, Ross? — spytała ostro Elaine.

—Co takiego?

—Wyglądasz co najmniej dziwnie.

—Chodzi ci o to, że jestem cholernie znudzony — mruknął wściekle. — Dlaczego wleciesz mnie z sobą na takie kolacje?

—Szszz...

Elaine na darmo się niepokoiła. Maralee i tak nie słuchała, zapatrzona w oczy Randy'ego, raczącego ją stekiem kłamstw o swojej przeszłości.

Codziennie koło piątej Buddy dzwonił do biura Easterne'a i prowadził długie rozmowy z sekretarką Montany Gray, tą blondynką z fatalnym nosem. On aż spalał się z chęci dowiedzenia się szczegółowo, co się dzieje nowego. Czy ustalono już termin jego próbnych zdjęć? Jakich jeszcze aktorów przetestowano? Kto, jak dotąd, zdaje się przewodzić tej stawce?

Blondynka, która nosiła imię Inga, zawierzała Buddy'emu wszystko. W każdej chwili spodziewała się, że Buddy poprosi ją o randkę. Kiedy jednak jakoś tego nie robił, powiedziała wreszcie sama: - Wiesz, niezbyt zręcznie mi jest przekazywać ci wszystkie te informacje przez telefon. Może więc wpadłbyś do^mn.ie do domu?

Wiedział, co to oznacza. — Utkwiłem na plaży, a mój wóz stoi w warsztacie — skłamał.

Niełatwo było ją spławić. Czytywała „Cosmopolitan” i znała swoje prawa. Jeżeli zachciało się jej pójść z kimś do łóżka, to miała święte prawo to wyegzekwować. — No to ja mogę po ciebie podjechać — oświadczyła stanowczo.

—To nie jest najlepszy pomysł. Mieszkam z takim jednym wariatem, który nie toleruje niczego, co się rusza. Tutaj nie ma odpowiednich warunków, nie spodobałoby ci się.

—Więc może u mnie — zaprosiła go bezczelnie.

—W tych dniach, kotku.

—Tylko powiedz kiedy, Buddy.

—Hmmm... Może zadzwoniłbym do ciebie jutro o tej samej porze?

Odłożył słuchawkę i niespokojnie przemierzył dom. Angela była w kuchni, zajęta przyrządzaniem sałatki z tuńczyka.

—Hej, może byśmy wyszli coś zjeść na miasto? — Objął ją z tyłu i przytulił.

—Wszystko już mam prawie gotowe — odparła, wydobywając się z jego ramion i dalej siekając ogórek konserwowy.

—No i co z tego? Mam ochotę się z tobą pokazać.

—Nie dzisiaj. Muszę umyć włosy, zrobiłam już kolację, a w telewizji mają puścić film z Richardem Gere'em.

Po co był jej potrzebny Richard Gere, kiedy miała jego? Poczul się naprawdę dotknięty. — Dobra, dobra. W porządku.

Szeroko otwarte oczy były niewiarygodnie piękne. — Chyba nie masz nic przeciwko temu, prawda?

—Nie, oczywiście że nie.

Wyszedł na taras. Angela zaczęła zachowywać się jak żona. A on myślał, że podskoczy do góry z radości, gdy będzie miała okazję wyruszyć z nim do miasta. Przecież nie zdarzało się im to codziennie.

Był napięty, niespokojny. Chryste! Myślał, że Angela to zrozumie. Ten zbliżający się termin próbnych zdjęć i wszystko inne.

Obiad zjedli zerkając jednym okiem w nowoczesny telewizor, zwieszony z sufitu. Potem Angela delikatnie ziewnęła i powiedziała: — Jestem taaaka zmęczona. Nie pogniewasz się, jeśli pójdę wcześniej do łóżka?

Owszem. Pogniewa się. Chciał się wyładować, uspokoić, odprężyć.

—Jasne, dziecinko. Idź.

Pocałowała go lekko i zniknęła na piętrze. Tak chciałby mieć skręta, żeby o tym wszystkim zapomnieć. Tak chciałby mieć już za sobą ten cały pieprzony test. Tak chciałby być gwiazdorem.

Do miasta wróciła siostra Joey Kravetz. Louise Kravetz. Znana jako Lulu. Pięć lat

starsza od Joey. Trzy razy aresztowana za prostytutkę, dwukrotnie za narkotyki.

Przyleciała samolotem czarterowym z Amsterdamu w niedzielę rano. Leon dowiedział się o tym dziesięć minut po jej wyjściu z sali odpraw. Miał swoje wtyczki.

Nie zważając na protesty Millie wskoczył do samochodu i podjechał pod zrujnowany dom, w którym Lulu mieszkała, na dwadzieścia minut przed jej przybyciem. Wściekła gospodyni zaprowadziła go do jej pokoju. Panował tam przygnębiający bałagan: stęchłe ciuchy, uschnięte rośliny, stary adapter, stos porysowanych rockowych płyt. Wszystko pokrywał gruby kożuch kurzu.

W jednym rogu stało łóżko ze skotłowaną pościelą. Po drugiej stronie kuchenka gazowa, na której piętrzyły się talerze z zaskorupiałym brudem.

Leon ustawił się sztywno koło drzwi, gotowy wyciągnąć swoją policyjną legitymację i przekazać siostrze Joey złe wieści.

Ciekaw był, czy jest podobna do Joey.

Leon ocknął się na dzwonek budzika. Siódma rano. Bez budzika mógłby spać na okrągło.

Wokół rozporka poczuł zaschniętą sztywną plamę i natychmiast zrozumiał, co się stało. Sen erotyczny. Wielkie nieba! Nie miał polucji, odkąd skończył szesnaście lat!

Sen erotyczny, akurat! To Joey Kravetz zabawiała się z tobą w środku nocy, kiedy ty udawałeś, że śpisz jak suseł.

Czy naprawdę to zrobił?

Tak, zrobił, a co więcej, podobało mu to się ogromnie. Nie był na tyle pogrążony we śnie, by się nie rozbudzić na dobre i powstrzymać ją.

Ogarnął go wstyd. On, Leon Rosemont, i szesnastoletnia dziwka. Przecież nie był w aż takiej potrzebie. Seks uprawiał regularnie — tyle, na ile miał ochotę. Szlag by to trafił! Jak mógł jej na to pozwolić?

Wyskoczył z łóżka, zdarł z siebie zbrukaną piżamę i przykrył się szlafrokiem.

Jak ośmieli się spojrzeć jej w oczy?

Jak mógłby tego uniknąć?

Wyobraził sobie jej minę. Będzie wlepiac w niego porozumiewawczy, triumfujący

wzrok. Jesteś taki sam jak wszyscy.

Ależ on był inny. Nie jak te zwierzaki włóczące się po ulicach w poszukiwaniu dupy.

Rozzłoszczony wymaszerował z sypialni. Obudzi ją, każe się wynosić i da na drogę dwadzieścia doków.

Właśnie w ten sposób. Zachęci ją tym do dalszego uprawiania prostytucji. Zapłaci jej i zapomni o niej. Cóż ona go obchodziła.

A owszem, tak. Szesnastolatka. Powinieneś spróbować jej pomóc Gdzie twoje poczucie społecznego obowiązku?

A gdzie to poczucie obowiązku podziewało się nad ranem?

Na podłodze poniewierały się koce i poduszka. Kanapa była pusta.

Wiedział, że odeszła, nim jeszcze zajrzał do kuchni i łazienki.

Lulu była wyższa od Joey. Pulchna niczym utuczone kurczę, na twarzy czerwone plamy, oczy o niezbyt zdrowym żółtawym odcieniu, jaki daje nadużywanie narkotyków.

Nie była sama. Towarzyszył jej chudy, nerwowy latynoski chłopak z poczochraną szopą włosów i takimi samymi żółtymi oczami. Oboje mieli przerzucone przez ramiona torby. Wydawało się, że taki ciężar jest ponad siły Latynosa. Właścicielka domu najwyraźniej uważała, że lepiej będzie nie uprzedzać ich o wizycie Leona, gdyż żadne z nich nie potrafiło ukryć przestachu i zdziwienia.

Leon machnął legitymacją.

Lulu upuściła torbę, złapała legitymację i szczegółowo ją obejrzała.

—Pieprzone świnię — wymamrotała wreszcie, ciskając ją z powrotem Leonowi. — Wyjechałam, tropili mnie. Wróciłam, to samo. — Zamachała tłustymi ramionami, demonstrując przy tym dziury w hinduskiej, haftowanej bluzce. — Jestem czysta. Zrewiduj mnie.

Nie ma co, Lulu była ujmująca. Jednakże ten potok słów wprawił jej towarzysza w przemożne zdenerwowanie. Zaczął się wycofywać w kierunku drzwi, nawet bez pożegnania.

—Wracaj, T.T.! — wrzasnęła Lulu. — Nie możesz tak nawiać ode mnie.

Czegokolwiek oni chcą, ty też jesteś w to wplątany.

T.T. zastygł, nerwowo strzygąc żółtymi, chorymi oczami.

—Ja nie chcę niczego — oświadczył spokojnie Leon. — Muszę ci tylko powiedzieć o pewnym nieszczęściu.

—Nieszczęście — powtórzyła bezmyślnie Lulu, jak gdyby po raz pierwszy słyszała to słowo.

T.T. wpadł jej w słowo. — Nieszczęście — wymamrotał.

—To dotyczy twojej siostry — zaczął poważnie Leon.

—Co ta mała włóczęga znowu zmalowała? — spytała Lulu, drapiąc się zapamiętałe w odziany dżinsem pośladek. — Wykończyła się? — zaśmiała się dziko z własnego dowcipu.

—Dokładnie tak — potwierdził Leon.

—Niech pan nie robi ze mnie balona, panie szanowny — prychnęła. — Gliniarz czy nie gliniarz, to nie jest zbyt zabawne.

—Twoja siostra, Joey, została zamordowana — oświadczył formalnie Leon.

Upstrzona plamami twarz skurczyła się. Przyjaciel nerwowo odrzucił głowę w tył.

—Współczuję — powiedział łagodnie Leon.

—Współczuję! — wrzasnęła Lulu, otrząsając się błyskawicznie z rozpacz. — Ty skurwysynu! Co ty wiesz o współczuciu? To wy, świnię, zabiliście moją siostrzyczkę.

T.T. wtrącił pospiesznie: — Zbastuj, Lulu. Pamiętaj, że to gliniarz.

—A jasne! — rozdarła się Lulu, straciwszy nad sobą panowanie i aż dygocąc z wściekłości. — A ja, kurwa, pamiętam takie razy, kiedy to gliny sobie z nią używały. Przez cały czas, stary, cały czas. Mineta na tylnym siedzeniu patrolowego wozu. Dymanie w bocznej ulicy. Jeden nawet zaciągnął ją do swojego śmierdzącego mieszkania, kiedy miała piętnaście lat, i tam się zabawił. Gliny! — smarknęła z obrzydzeniem. — Nie miała żadnej szansy. A wy, świńskie ryje, wcale jej w tym nie pomagaliście. Ciągnęliście się za nią krok w krok.

Leon nie odrywał wzroku od jej rozwścieczonej twarzy. „Jeden nawet zaciągnął ją do swojego śmierdzącego mieszkania, kiedy miała piętnaście lat, i tam się zabawił”.

Odkaszlnął i usiłował coś powiedzieć, ale w głowie czuł zamęt. *Deke Andrews. Deke Andrews. Musi go złapać. Musi go złapać dla Joey i dla siebie!*

Niepodobna żyć z taką winą.

Norma Jaeger wyglądała zupełnie inaczej, niż Buddy się spodziewał. Tak samo Celeste McQueen. Bez wątpienia minęły już pierwszą wiosnę życia, ale, jak to się mówi, były jeszcze całkiem na chodzie. A ta biżuteria, którą nosiły! Warto ją było obejrzeć.

Najpierw pani Jaeger. Rude włosy ufarbowane chną, rozwichrzone z dziewczęcą niedbałością. Z bliska twarz pięćdziesięciolatki, ale już o krok dalej trzydziestopięciolatki, z tolerancją do roku, dwóch. Dyskretny makijaż, może tylko trochę przyciężki, bursztynowy cień do powiek. Figura zachowana naprawdę znakomicie, spowita w popielatoniebieski kombinezon. A wokół szyi gruba, złota obróżka wysadzana licznymi diamentami. Bransoletka do pary. I na lewej dłoni pierścionek z diamentem wielkości gęsiego jaja, który przyprawiłby o zawał serca każdego złodzieja. Jak amen w pacierzu.

Pani McQueen. Jakiś rok, dwa starsza. Deko, dwa tęższa. Krótkie, rozjaśniane pasemkami włosy, lekka opalenizna, piegi. Biała sukienka tenisowa i naprawdę imponujące nogi. Mnóstwo turkusów i indiańska biżuteria. Oraz pierścionek z diamentem w kształcie serca, mogący śmiało rywalizować z pierścionkiem przyjaciółki.

Niedziela, samo południe. Obie wpatrywały się wyczekująco w Bud-dy'ego, kiedy w przyćmionym świetle Polo Lounge Jason dokonywał prezentacji.

—Hej — prawie wyśpiewał Buddy, sam czar. — Bardzo mi miło panie poznać. — Wśliznął się na obitą skórą kanapę tuż obok pani McQueen.

Pogłaskała go po dłoni, zmierzyła rozbawionymi niebieskimi oczami i powiedziała: — Powiedz nam to wtedy, kiedy będziemy już wyjeżdżać, kochanie. A nie teraz, kiedyśmy dopiero tutaj zjechały.

Wszyscy się roześmieli.

—Zamówilem coś dla ciebie — oznajmił nerwowo Jason. — Szampana i sok

pomarańczowy. Wędzonego łososia i jajecznicę.

—Świetnie mi to pasuje — odparł Buddy z ujmującym uśmiechem. W co on się władował? O czym on będzie z nimi rozmawiał? Luźna konwersacja nigdy nie należała do jego specjalności.

—A więc, kochanie — odezwała się pani McQueen. — Jason powiedział nam, że jesteś początkującym aktorem. Jakież to podniecające!

Norma Jaeger przechyliła się w przód, spod nadmiaru bursztynowego cienia do powiek błysnęły zielone oczy. — Czytałam w magazynie „People” — powiedziała podekscytowana — wywiad z tym młodym aktorem z „Knots Landing” czy może „Dallas”... wszystkie te tasiemcowe seriale wydają mi się identyczne. No więc, on gra w którymś z tych popularnych filmów.

—A daj już sobie z tym spokój — wtrąciła się czule Celeste McQueen. — Nie ma znaczenia, co to za film, trzymaj się tematu.

—Szszz... nie popędzaj mnie — uśmiechnęła się Norma, karcąc przyjaciółkę długim, wymanikiurowanym palcem. — Wiesz, że nie znoszę, jak się mnie popędza.

Buddy zauważył, że wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

—Ja miałabym o tym nie wiedzieć! — roześmiała się Celeste.

—Więc, widzicie — ciągnęła Norma. — Ten aktor, z którym przeprowadzano wywiad, powiedział, że jego zdaniem w dzisiejszych czasach aktorzy pragnący dostać jakąś rolę muszą tak samo jak aktorki przejść przez czyjeś łóżko. — Zerknęła figlarnie na Celeste. — A ja chciałabym wiedzieć, Buddy, czy... czy ty się z tym zgadzasz?

—Naprawdę, kochanie, to ona pyta o to — wyszczerzyła zęby Celeste — jak daleko ty byś się posunął, żeby dostać rolę.

—O nie, skąd — przerwała Norma. — Ja naprawdę pytam, czy ty... No, wiesz przecież, o co mi chodzi. Nie muszę chyba mówić wyraźniej.

—Już powiedziałaś — roześmiała się Celeste.

—Wcale nie! — zaprotestowała Norma.

Uśmiechnęły się ciepło do siebie, zupełnie nie zainteresowane odpowiedzią Buddy'ego.

I on sam miał ochotę roześmiać się w głos. To była para homo! Zaangażowano go do towarzyszenia parze lesbijek. Boże! A on się zamartwiał, że będą się do niego dobierać. Już co jak co, ale wdzięki Buddy'ego najmniej je interesowały!

Wzajemne stosunki między Montaną a Neilem przeniosły się na inną płaszczyznę i Montana nie była całkiem pewna, jak sobie z tym poradzić. Ale jedno wiedziała dobrze — nigdy, za nic nie przeistoczy się w kurę domową. Nie żeby przypuszczała choćby przez chwilę, że Neil tego by właśnie pragnął. Ale gdyby tak było?

Znowu pił. To jego zmartwienie. Był już dużym chłopcem. Jeżeli sam nie potrafi dać sobie z tym rady, to ona nie zamierza przytrzymywać go za rękę. Coraz więcej i więcej czasu spędzał w pracy — wychodził z domu wczesnym rankiem, wracał późnym wieczorem. Ona zaś nigdy nie była zwolenniczką wypytywania się w rodzaju „gdzie--byłeś-z-kim-byłeś”.

Wiedziała, że Neil martwi się obsadzeniem głównych ról. Sama więc całą swoją energię skoncentrowała na właściwym skompletowaniu reszty obsady.

Któregoś dnia wsiadła do Volkswagena i pojechała do miasta, na ulice, od których wszystko się zaczęło. Siedząc w swoim małym samochodzie obserwowała twarze przechodniów. Do diabła z aktorami — dlaczego nie miałyby skorzystać z naturszczyków?

Pewnym siebie krokiem minął ją jeden z dzieciaków, które zagrały w jej krótkometrażowym filmie. Wyrósł w ciągu minionego roku — nastoletni twardziel z dziurami w spodniach i szopą czarnych włosów. Nie zauważył jej. Pochłonięty był wydmuchiwaniami balonów z gumy do żucia prosto w twarz jasnowłosej panienki z nieźle rozwiniętymi piersiami.

Przypomniała jej Ginę Germaine. Neil rzeczywiście zabierał się do nakręcenia z nią próbných zdjęć. Wprost nie mogła w to uwierzyć, ale w tej sytuacji najrozsądniej było zaakceptować aktualny stan rzeczy — przynajmniej na razie.

Ach — potęga wielkich cycków. Gina na nich właśnie zbudowała całą swoją karierę. Montana obserwowała dwóch podtatusiałych facetów, którzy minęli parę nastolatków. Dokładnie wiedziała, jak się zachowają, i nie rozczarowali jej. Obcięli wzrokiem piersi

dziewczyny, popatrzyli na siebie, oblizali wargi i wymienili jakąś obleśną uwagę, którą obaj skwitowali głośnym rechotem. Po prostu twoi przeciętni mężczyźni z ulicy, dający sobie wzajem do zrozumienia, że kobiety to tylko cycki i dupa. Ponieważ przez całe życie nieświadomie przywykli właśnie do takiego sposobu myślenia, To typowe zachowanie. Montana zetknęła się z nim już tysiąc razy przedtem. Czasami miała wrażenie, że bez trudu potrafiłaby się przestawić na męski sposób myślenia i działania. Zazwyczaj mężczyźni byli tak łatwi do rozszyfrowania. Ale ją samą nieodmiennie pociągali tacy, których zachowania nie sposób było przewidzieć.

Wspomniała Neila z czasów, kiedy się poznali. Próźniak, marnujący swój niezły talent zalewaniem się w trupa. Ale przy tym próźniak niezwykle, olśniewająco bystry, dowcipny, wart grzechu.

Obok przeszła prostytutka w poliestrowych szortach i na szpilkach. Za nią skradał się jakiś okularnik, zbierając się na odwagę, by dokonać transakcji. Ludzie z ulicy.

Tak łatwo przyszło napisanie scenariusza. Montana była obserwa-torką z niesamowitą zdolnością do odkrywania dokładnie tego, co ludzie czują. Rozumiała ich, żywiła dla nich sympatię i przyglądała się wydarzeniom na ulicy. Z tego potrafiła stworzyć cudowną opowieść o prawdziwych ludziach.

A teraz? Co Neil zamierza z tym zrobić?

Zamierza to olać, gdyż pojawiły się naciski, którym musiał się poddać? Czy może postawi na swoim i nakręci swój własny film? Był silny. Miała nadzieję, że wystarczająco silny.

Zdawało się, że Elaine nie chce mówić o niczym innym, jak tylko o swoim przyjęciu i Bibi Ważniaczce Sutton.

—Chryste, Elaine! — warknął Ross. — Czy ty wiesz, że ona była dziwką biorącą sto dolarów za jedną noc na Champs Elysees? Ja ją miałem, George ją miał, wszyscyśmy ją przelecieli. Prawdę mówiąc, jak tylko przyjechała do Hollywood, wybuchł wielki skandal, że romansuje z George'em.

—Nonsens.

—Byli ze sobą bardzo blisko, aż nakryła ich jego żona. Mówiło się, że Bibi musiała potem wyjechać do Tijuany na skrobankę.

—Nie wierzę w to — stwierdziła Elaine stanowczo. — To tylko zwykłe gadanie Hollywoodu.

—To żadne pieprzone gadanie Hollywoodu. To prawda, do cholery, więc przestań lizać jej obwisłą dupę.

—Ona świetnie się trzyma, Ross — orzekła Elaine surowo. — Tyłek Bibi nie jest ani odrobinę obwisły, czego nie dałoby się powiedzieć o twoim. Gimnastyka, ot co. Szczególnie przed przyjęciem.

—Nigdy nie możesz darować sobie tych złościwości?

—A ty nigdy nie możesz spojrzeć prawdzie w oczy. Nawet kiedy mówię to dla twojego dobra.

—Nie bądź taka cholernie świętoszkowata. — Oddalił się do swojego gabinetu i pomyślał o telefonie do Karen. Ale kiedy Elaine była w domu, groziło to zbyt dużym niebezpieczeństwem.

W sobotni rano podjechał Corniche'em do Nate'n'Al's, zamówił kawę, bagietkę i twarożek, a potem zatrzymał się przy budce telefonicznej i nakręcił numer Karen. Telefon odebrała obsługa z recepcji. Nie miał ochoty zdradzać swojego nazwiska,

więc dla dowcipu powiedział swobodnie: — Proszę przekazać panie Lancaster, że pan Elaine dzwonił i że chciałby się z nią umówić na następne spotkanie.

Najwyraźniej nie przekazano jej tej wiadomości, gdyż dzisiaj był już niedzielny wieczór i ani słowa od niej. Oczywiście, mogła dzwonić i natknąć się na Elaine. Albo może uznała, że dzwonienie w weekend nie jest najsprytniejszą rzeczą pod słońcem. A Karen była przede wszystkim sprytna.

Elaine krzątała się po kuchni, wyrzekając, że musi usmażyć na ruszcie dwa zamrożone steki. W niedzielę Linda nie przychodziła, choć Elaine usiłowała ją do tego namówić, kusząc podwójnym wynagrodzeniem. Ona sama nie cierpiała gotować, niszczyło to jej paznokcie. A jeśli idzie o zmywanie naczyń, to to zostawiała Linie. Nie fatygowała się nawet włożeniem ich do zmywarki.

Ross wkroczył do kuchni i zajął się wydlubowaniem rzodkiewek z salaterki z sałatą. — Kto jeszcze ma być na tym zabójczym jutrzejszym lunchu? — spytał obojętnym tonem.

— Naukę obchodzenia się z bronią gazową trudno nazwać zabójczą. To niezwykle pożyteczne zajęcie z samoobrony.

— Jasne. Jak cię przy dybie jakiś facet z magnum, to co wtedy zrobisz? Sięgniesz do torebki, wyszukasz swój mały zgrabny sprayek i powiesz: — tu zaczął imitować piskliwy, przestraszony damski głosik — „Och, przepraszam pana bardzo. Czy nie postąpiłby pan spokojnie małą minutkę, żebym mogła panu psiknąć w twarz ze swojego pistoleciku gazowego? Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda?”

Wbrew swojej woli Elaine roześmiała się. — Mam nadzieję, że nigdy nie będę zmuszona z tego korzystać — odparła.

— Kopnij takiego w jaja i wiej — poradził Ross. — A wszystkim innym nie zawracaj sobie głowy.

— A ty kim jesteś, ekspertem?

— Mężczyzną.

Chciała powiedzieć: „Prawie żeś mnie o tym przekonał”. Ale nie można być zbyt złośliwą. Poza tym, Ross nie piekli się przecież zbyt głośno o koszty przyjęcia, które

rosną z minuty na minutę. Zajrzała do ładnie przypiekających się steków. — Sól czosnkowa? — spytała.

—Nie. Wolałbym nie.

—Masz zamiar rano iść z kimś do łóżka? — zażartowała. Uścisnął jej lewą pierś. — Dziś wieczór, jeżeli szczęście pozwoli. *Nie trać głowy, Elaine. Nie trać głowy.*

Głos Giny Germaine w słuchawce telefonicznej brzmiał nisko i zmysłowo. — Nie myślałam, że moje próbne zdjęcia do twojego filmu zakończą naszą piękną przyjaźń — zagruchała.

Neil wziął głęboki oddech. Załatwił jej test, tego przecież żądała. A teraz jeszcze chce, by dalej się z nią spotykał?

—Gina, kochanie — powiedział zwięźle. — Staram się ruszyć ten film z martwego punktu. Ledwie mam czas, by iść do toalety, nie mówiąc już o niczym innym.

—Tylko praca, żadnych przyjemności. A mnie ciebie brakuje; Neil. Boże, ta suka i szantażystka ma czelność. — Zobaczymy się w środę, prawda? Chyba stawisz się na próbne zdjęcia, o które robiłaś tyle szumu? Urażona aktorka. — Oczywiście, że tak, Neil, złotko. I wypadnę znakomicie. Będiesz mną zachwycony.

—A więc do zobaczenia w środę.

—Poczekaj! — Jej głos teraz zabrzmiał ostro i władczo.

—Co takiego? — westchnął.

—Wpadnij do mnie dzisiaj wieczorkiem — zaszczebotała, zmieniając taktykę. — Muszę omówić z tobą tę scenę. Chciałabym, żebyś mi pomógł.

Aż wprost trudno uwierzyć. — Gina — powiedział krótko — chyba mnie nie słuchałaś. Jestem bardzo zajęty. Ja...

—Moglibyśmy popatrzeć na film video z nami w rolach głównych — mruknęła. — Jak ci się to podoba? A może wolałbyś, żebyś wysłała ci kopię do domu? Jestem pewna, że Montana z radością obejrzy sobie ciebie na filmie. Jesteś taki zwawy i przystojny, i...

Co za bezwzględna kurwa. — Będę — warknął.

—Włożę na siebie coś bardzo seksy. No to pa!

Siedział przy biurku wpatrując się w przeciwległą ścianę. Wpatrując się, a nic nie widząc. Co to takiego mówiono w tych starych filmach Flipa i Flapa? „Wpędziłeś nas w niezłą kabałę, Flip. W niezłą kabałę.”

Pani Jaeger i pani McQueen wyraziły po lunchu życzenie zagrania w tenisa. A ponieważ Buddy skwapliwie się przyznał, że daleko mu do Connorsa czy Borga, nie nalegały, aby się do nich przyłączył.

Jason się wymówił. — Zawsze spędzam niedziele z Marvinem. W przeciwnym razie się dąsa.

Marvin Dandys Jackson się dąsa? Akurat.

—Jednakże — ciągnął Jason — pani Jaeger zechciała później obejrzeć swój dom, więc może byśmy się tam spotkali koło wpół do szóstej? Zarezerwowałem w Matteo stolik na obiad.

Buddy skinął głową, myśląc jednocześnie o Angeli, która nie ma nic więcej do roboty, jak tylko wygrzewać się na słońcu i pływać wśród fal. Jakże jej tego zazdrościł. Począł, aż Jason pdejdzie, potem przeprosił pochłonięte tenisem damy i skierował kroki ku budce telefonicznej. Angela już na drugi sygnał podniosła słuchawkę.

—Dlaczego nie jesteś na dworze? — spytał.

—Sprzątam — wyjaśniła.

—Co ty sprzątasz, do ciężkiego diabła? Przecież w tym domu jest sterylne jak w szpitalu.

Odpowiedziała lodowatym tonem. — Czyszczę szafki kuchenne. Czy wiesz, że stolarze zostawili tam pełno wiórków?

—Doprawdy?

Jego ironia nie trafiła do niej. — Oczywiście, że tak — odparła, płonąć świętym oburzeniem.

—Och, posłuchaj. Ja jeszcze jakiś czas nie wrócę, może dopiero późnym wieczorem.

—A ja myślałam, że wybierzemy się gdzieś na przejażdżkę samochodem.

—Zrobimy to jutro.

Westchnęła.

—Powiem ci coś, maleńka. Zapomnij o sprzątaniu i wyprowadź swoje piękne ciało na dwór. To rozkaz. Chcę cię widzieć opaloną.

—Czy sądzisz, że nie zaszkodzi to dziecku?

—Nie, skąd, zrobi mu jak najlepiej.

—Więc już się przebieram.

Cmoknął do słuchawki, odwiesił ją, poszukał jeszcze drobnych, a potem połączył się z sekretarką Montany Gray, Inga.

—Co nowego? — spytał ledwie powiedziawszy „cześć”.

—W niedzielę?

—Po prostu się upewniam.

—Chcesz do mnie wpaść?

—Z największą przyjemnością, ale do miasta właśnie zjechały moje dwie leciwe krewne. Odgrywam więc rolę przykładowego siostrzeńca.

—Dobrze, że nie starej cioty.

Co ona chciała przez to powiedzieć? Zakończył rozmowę i pomyślał, czyby nie zadzwonić do Randy'ego. Stary kumpel Randy był wtedy w Ma Maison w całkiem niezłym towarzystwie. Może mógłby go poznać z Maralee Gray? Zorientowałby się, czy ona coś wie o „Ludziach z ulicy”. Wystukał numer Randy'ego, ale na próżno. Rozczarowany odwiesił słuchawkę.

Zamiast wrócić prosto na korty, przeszedł się, patrząc, co się dzieje wokół basenu. Kręciło się tu stado spalonych na brąz facetów, których szyje obwieszały tony złota. I mnóstwo równie opalonych kobiet w skąpych bikini, nachalnych diamentowych kolczykach i cienkich łańcuszkach wokół talii. Wszyscy byli bliźniaczo do siebie podobni.

Pogwizdując cicho, powalał się tu i tam. Pokażna liczba pań podążała za nim wzrokiem. Także jeden czy dwóch mężczyzn. Nic dziwnego.

Poznał Josha Speeda, angielskiego gwiazdora rocka, kilku podrzędnych aktorów typu jak-ty-mnie-pocałujesz-w-dupę-to-ja-ciebie-też. Dalej pogwizdując wrócił na korty.

Celeste i Norma były w ogniu walki. Dwie podstarzałe Chris Evert w szczytowej formie. Grały świetnie i najwidoczniej sprawiało im to przyjemność. Buddy przyglądał się, śledząc lot piłki, śmigającej z jednej na drugą stronę kortu. Chryste! Ależ mu było gorąco. To jeden z takich dni, które należy spędzić leniuchując na plaży. Tylko że Buddy miał kontrakt, a póki co Jason Swankle okazał się jedynym hojnym facetem w tym mieście.

—Gem, set i mecz! — ryknęła triumfalnie Norma.

—Fiuuu! Zasłużyłaś na to! — sapnęła Celeste.

Opuściły kort, trzymając się za ręce i uśmiechając porozumiewawczo do siebie.

Buddy pstryknięciem palców przyciągnął ich uwagę. — A co teraz, moje panie?

—Solidny lodowaty prysznic — powiedziała Norma.

—I solidny lodowaty drink — dodała Celeste.

—Może poczekałbym na was w kawiarni — zaproponował Buddy.

— Potem możemy... — Wzruszenie ramion. — Na co tylko macie ochotę.

—Ile płaci ci Jason? — spytała Norma. Jej kręcone rude włosy lśniły w słońcu.

—Hej... robię to dla przyjemności — zaproponował Buddy, zdziwiony jej bezpośredniością. — Spędzam mile czas.

Norma uśmiechnęła się. — Pomyślałam, że może miałbyś ochotę spędzić czas jeszcze milej. Za, powiedzmy, podwójną stawkę w stosunku do zapłaty Jasona?

Zmarszczył brwi. — A przyjedziecie tu znowu?

—Znowu, znowu i znowu. Gdy nam się poszczęści. A jestem pewna, że my we trójkę będziemy... bardzo sobie odpowiadać. — Przerwała, oblizała pełne wargi i dodała: — A ty, co o tym sądzisz?

Wszystko zaczęło do niego docierać. Przytulne, małe „zapraszamy do trójki”.

—Hm, a o jakiej sumie myślisz? — spytał. Przecież może się zorientować, ile są skłonne zapłacić. Poza tym, nie byłoby to pierwszy raz, żeby robił takie rzeczy.

Pierwszy po Angeli.

—Nie chciałabym się targować. Ty wymień swoją cenę — powiedziała prosto z mostu Norma.

Celeste przytaknęła. Obie patrzyły na niego wyczekująco.

Szybko dokonał obliczeń. Przecież nie opływał w forszę. A teraz wydawało się, iż nadarza się okazja znacznego podreperowania budżetu.

—Hmmm... tysiąc dolarów — mruknął, na wpół spodziewając się, że Norma wybuchnie śmiechem, słysząc taką, jak oboje wiedzieli, zawrotną sumę.

Nie wybuchnęła. Wsunęła jedną dłoń pod jego ramię, z drugiej strony chwyciła Celeste i pociągnęła ich za sobą. — No to na co czekamy?

Angela skończyła sprzątać kuchnię. Dopiero potem przebrała się w biały kostium kąpielowy i wyszła na dwór. Prawda była taka, że niezbyt lubiła wylegiwanie się na słońcu. Nudziło ją to.

Ostrożnie zeszła po drewnianych schodkach z boku domu, potem przeszła przez plażę nad brzeg. Fale były gigantyczne. W oddali dwójka spalonych na brąz nastolatków niebezpiecznie igrała na swoich deskach surfingowych. Angela patrzyła na nich, wyobrażając sobie, że to ona i Buddy figlują na wzburzonym oceanie. A potem przypomniawszy sobie Hawaje. Buddy był taki czuły i romantyczny, i jakoś... inny. Wydaje się, że to sprawka Hollywoodu, że teraz stał się napięty, niezdolny do odprężenia.

Powoli wędrowała wzdłuż linii brzegu, napływające fale łaskotały jej białe stopy. Z zazdrością zerknęła na rozrzucone przy plaży luksusowe domy, wszystkie różne od siebie. Ale wszystkie warte po dwa, trzy miliony dolarów, co potwierdziła sprzedawczyni w supermarkecie.

— Przepraszam — usłyszała za sobą czyjś męski głos.

Odwróciła się przestraszona. — Słucham? — W jej akwamarynowych oczach odbił się blask słońca, przez co stały się ogromne.

Mężczyzna wlepił w nią wzrok, oszołomiony jej niewinną urodą. Odchrząknął. — Pani mnie nie zna — zaczął niepewnie — ale ja panią obserwowałem...

Wynajęły bungalow z dwoma sypialniami. Klimatyzacja działała na pełnych obrotach, rolety były opuszczone. Po popołudniowym upale apartament wydawał się zimny. Ale ani Norma, ani Celeste chyba tego nie zauważały.

—Może byś nalał martini — zarządziła Norma, wskazując zapelniony po brzegi barek.

— A my tymczasem weźmiemy prysznic.

—Jasne. — Buddy stanął pośrodku pokoju, dziwiąc się, czemu jest taki zdenerwowany.

Zdenerwowany przeleceniem dwóch starych bab? On, Buddy Hudson?

Wiele czasu upłynęło od ostatniego „profesjonalnego” spotkania.

No i co z tego?

Zabrał się za przyrządzanie drinków, sobie nalał podwójną wódkę i przełknął ją jednym haustem. Za dużo alkoholu spowolniało działanie, ale jeden szybki zawsze pomagał.

Najpierw tysiąc dolarów. Na wierzchu. Na stół.

Przez ściany sypialni przenikał szum prysznic. Zabrał dwa martini i stopą pchnął drzwi. Kapę na łóżku schludnie złożono na pół. Na kwiecistej powłoczce jednej z poduszek leżały pieniądze. Pani Jaeger widać czytała w jego myślach.

Odstawił szklanki i skoczył w tamtą stronę. Dziesięć nowiutkich studolarowych banknotów. Taaak... Pani Jaeger nie zaliczała się do biedaków. Pospiesznie wepchnął forszę do kieszeni marynarki.

Więc... jaki ma być ten plan gry? Najpierw pani J., a potem pani M.? Czy obie naraz?

Zrzucił marynarkę i rozpiął po pas koszulę. Kiedy przemierzał pokój, niepewność otuliła go niczym całunem.

Co teraz porabia Angela? Pewnie czyści którąś z szafek. Uśmiechnął się na tę myśl. Moja żona-sprzątaczką. Angela zmieniła się. Na Hawajach wolny duch, podobny jemu. A teraz Pani Porządnicka, czyszcząca i podnosząca krzyk o każde ziarenko piasku, na jakie natknęła się w domu Jasona.

—Aha. Widzę, że znalazłeś pieniądze. — W progu łazienki stanęła Norma, owinięta ściśle w aksamitny szlafrok. — Jesteś teraz gotów wejść pod prysznic?

Hej, hej. Czyżby podejrzewała, że nie jest dostatecznie czysty?

—Jasne — odparł. — Czemu nie?

Wkroczyła do sypialni, a on przemknąwszy się obok niej do łazienki szybko ściągnął z

siebie ubranie.

Letni prysznic, pachnące mydło, a potem przemyślnie zostawiony płaszcz kąpielowy. Zerknął w dół na swojego fiutka. Bardziej sflaczały niż ugotowana klucha. Czas na oddziaływanie psychiczne. Czas na słodkie myśli, powrót do erotycznych wspomnień. Czas, by zabrać się do dzieła. Pewnym siebie krokiem wymaszerował do sypialni.

Pani McQueen i pani Jaeger leżały nagie, obejmując się ramionami. Splot jęczących z rozkoszy ciał.

Czy miał się teraz do nich przyłączyć? Czy tylko się przyglądać? Czekać?

Wybór zawsze należy do klientki. A za tysiąc dolarów te damy mogą zażyczyć sobie, czego tylko dusza zapragnie.

Stał pośrodku pokoju oczekując instrukcji. Czuł, jak wiotczeje mu jego naprężony penis. Czuł się jak głupiec.

Te babki chyba nie spostrzegły jego obecności. Wiły się i wykręcały na ogromnym łożu. Spróbował więc delikatnie odchrząknąć. Tak tylko, żeby dać im znak, iż jest już tutaj.

Reakcja zerowa. Norma zaprzątnięta była atakowaniem futerka Celeste. Ciężkie oddechy sygnalizowały, że ktoś zbliża się do orgazmu. Ale z pewnością tym kimś nie był Buddy. W tej chwili orgazm to była ostatnia rzecz, jaka by mogła mu przyjść do głowy.

—Aaach...

—No, dalej, kochanie. Zrób to już. Wejdz we mnie. No, dalej. Przypominały okulałego konia i gadatliwego bukmachera. Buddy stłumił uśmiech. Ale one nie zauważyłyby nawet tego, gdyby się rozebrał i odśpiewał „Przeleć mnie w koniczynie”. Wreszcie się rozłączyły. Celeste leżała posapując, Norma usiadła i powiedziała triumfalnym głosem: — No i co, Buddy? Co ty o tym sądzisz?

Czego ona od niego chciała? Recenzji?

No więc: *W niektórych scenach akcja toczyła się zbyt wolno, a dialog był banalny. Ale w sumie przedstawienie nie było najgorsze. Norma Jaeger błyszczała w roli wiodącej, zaś Celeste McQueen jako partnerka zachowywała się stosownie histerycznie.*

—Hmmm... mile.

Wybuchnęła śmiechem. — Tylko „miłe”?

Zorientował się, że musi okazać więcej entuzjazmu. — Cholernie podniecające.

—Więc może byś się do nas przyłączył? — zaprosiła go Norma. Wyraźnie Celeste była milczącą towarzyszką.

—Właśnie myślałem o tym samym — powiedział pokornie. Może zdoła udawać?

Udawać erekcję? Cóż by to był za wynalazek! O rany! Koniec z finansowymi kłopotami. Opatentuj ten wynalazek i pieniążki same ci się pchają do rączki. Już widział tytuł poradnika: *Jak zyskać erekcję, kiedy absolutnie nie masz ochoty na seks.*

Bez pudła — bestseller.

- Zdejmij najpierw szlafrok. Chciałabym ci się przyjrzeć. Uwielbiam oglądać piękne ciała młodych mężczyzn.

O, cholera! Najchętniej by stąd zwiął!

- Chyba nie jesteś wstydlivy, co? — naciskała drwiąco Norma. Jason zwykle nie podsyla nam wstydlivych.

A więc to było to. Jason znał z góry cały scenariusz. Wszystkie te bzdury o towarzyszeniu dwóm samotnym damom sprowadzały się właśnie do tego. Jason musiał już przedtem widzieć go w akcji.

Celeste, z potarganymi, rozjaśnianymi włosami, oprzytomniała wreszcie. Miała obwisły biust, znak tego, iż już nie jeden raz był świadkiem takich scen. — Uhhmm — przeciągnęła się. — Co się dzieje?

Buddy przypomniał sobie San Diego i czternastoletniego chłopca... matkę, stojącą w progu... zdejmującą koszulę nocną... wielki, obwisły biust i piżmowe uda...

—Muszę już lecieć — wymamrotał. — Naprawdę, na mnie już pora.

- Co takiego? — zdumiały się jednocześnie Norma i Celeste.

—Zapomniałem, że mam umówione spotkanie... — Potykając się zwiął do łazienki, zrzucił płaszcz kąpielowy, błyskawicznie się ubrał. —

No, wicie, mam próbne zdjęcia i muszę przerzucić jeszcze parę stron. Już stał w progu. Sięgająca kłamki jego dłoń dotykała wybawienia.

—Moja forsa, Buddy. — Głos Normy przypominał sople lodu.

—A tak... rzeczywiście... — Sięgnął do kieszeni marynarki, wymacał zwitek szeleszczących, nowiutkich banknotów, po cichu się z nimi żegnając. — Masz — rzucił je na łóżko. Wylądowały na brzuchu Celeste.

A potem wypadł stamtąd, biegiem, biegiem, zachłystując się świeżym powietrzem, oddalając się w czasie i przestrzeni od swojej przeszłości.

Przyzwyczajona już do zaczepek mężczyzn, Angela dotąd nie potrafiła znaleźć sposobu na odtrącenie ich, bez wdawania się jednocześnie w jakieś rozmowy. Rozmowa bowiem prowadziła do zbliżenia i nagle, chcąc nie chcąc, już znasz tego kompletnie obcego człowieka.

Mężczyzna z plaży był inny. Angela natychmiast to wyczuła. Nie prawil banałów. Zwyczajnie podszedł do niej, mówiąc po prostu: — Pani mnie nie zna, ale ja panią obserwowałem. I proszę pozwolić mi coś powiedzieć. Mógłbym otworzyć przed panią bramę do całkiem nowego życia.

—Przepraszam pana — powiedziała, wycofując się.

Ruszył za nią. — Nie pragnę pani ciała. Nie mam na myśli niczego zdrożnego. Odeszła jeszcze krok dalej.

—Piękna! — wykrzyknął. — Doskonała!

Obejrzała się wokół za kims, kto mógłby ją od niego wybawić.

—Jesteśmy sąsiadami — powiedział, starając się ją uspokoić. — Mieszkam w willi obok.

- Mój mąż jest w domu — rzuciła nerwowo Angela. — Nie lubi, jak rozmawiam z mężczyznami. Jest bardzo zazdrosny.

—A co mnie obchodzi pani mąż?! — krzyknął nieznajomy, wymachując rękami w powietrzu. — Posłuchaj mnie, dziewczyno. Posłuchaj mnie uważnie. Chcę zrobić z ciebie gwiazdę filmową! Jeżeli potrafisz powtórzyć przed kamerą to, co robisz normalnie — już nią jesteś! Rozumiesz, co mówię? — zrobił teatralną pauzę. — Chcę, żebyś zagrała w moim filmie!

Oczy Angeli rozszerzyły się. Przez całe życie śniła, że ktoś jej to wreszcie powie. —

Kim pan jest? — zachłysnęła się.

— Kim jestem? — ryknął śmiechem. — Nie czytujesz gazet? Nie widziałaś mnie w zeszłym tygodniu na okładce „Newsweeka”?

W milczeniu pokręciła głową, przestraszona jego szaleńczą energią.

Zmrużył oczy patrząc na nią w skupieniu. — Nie palisz, prawda? Nie, oczywiście, nie palisz. — Wyciągnął dłonie, jakby chciał ująć w ramki jej twarz. — Pani, mała damo, zostanie gwiazdą. I to ja, Oliver Easterne, tego dokonam.

PITTSBURGH, CZWARTEK:

DZISIAJ WCZESNYM RANKIEM ZNALEZIONO W OPUSTOSZALEJ ALEJCE CIAŁA KOBIETY I MĘŻCZYZNY. KOBIETA, DWUDZIESTOLETνια NOTOWANA PROSTYTUTKA, ZOSTAŁA ZMASAKROWANA I POCIĘTA. MIAŁA PODERŻNIĘTE GARDŁO.

MĘŻCZYZNĘ, TRZYDZIESTOCZTEROLETNIĘGO KUBAŃ-CZYKA, ZNANEGO SUTENERA, NAPADNIĘTO W PODOBNY SPOSÓB. ZADANO MU TAK OKRUTNE CIOSY, ŻE MIAŁ ODCIĘTE POWYŻEJ ŁOKCIA PRAWE RAMIĘ. PRZYPUSZCZA SIĘ, ŻE NAPASTNIK ZOSTAWIŁ GO, ŻEBY SIĘ WYKRWAWIŁ NA ŚMIERĆ. POLICJA POSZUKUJE ŚWIADKÓW.

Stary, brązowy, wyłożony drewnem mikrobus z rykiem silnika pokonywał autostradę, zostawiając daleko w tyle Pittsburgh. A radio, zepsute w chwili, gdy Dekę kupował auto, grało głośno z ukrytych głośników. Rod Stewart. Namiętność.

Po barach i knajpach — namiętność, Na ulicach i w alejkach — namiętność, Pokłady fałszu — namiętność, Wszyscy szukają — namiętności.

Jakież to prawdziwe, pomyślał Dekę. Pasuje do każdego. Ale w jego własnym życiu, gdzie kryła się ta namiętność?

Posłuchaj radia — namiętność, Przeczytaj w gazecie — namiętność, Wysłuchaj z ambony — namiętność, Zobacz w szkole — namiętność.

Joey. Ona nauczyła go namiętności. Jedynej, jakiej kiedykolwiek zaznał.

Nie mogę żyć bez namiętności, Nawet prezydent potrzebuje namiętności, Każdy, kogo znam, potrzebuje namiętności, Ten i ów umiera i morduje z namiętności.

Joey. Kochał ją, chociaż była kurwą, chociaż kłamała, chociaż była kurwiącą się kłamliwą suką suką suką.

Ten i ów umiera i morduje z namiętności.

Dekę zdziwił się, że Joey przyjęła jego oświadczenia. Stwierdziła: „Dobra, ważniaku, powiedz tylko kiedy”. A potem dodała: „I mam dostać pierścionek. A skoro chcesz, bym się przestała sprzedawać, musisz co tydzień odpalić mi trochę forsy”. Potem, wzdychając ciężko, osunęła się na rozbebeszone łóżko. „A kiedy to zrobimy? Szybko?” Kiwnęła głową, jakby zadała to pytanie samej sobie. „Taaa... szybko”, zadecydowała. Patrzył na nią mrugając oczami. Propozycja to jedno. A wykonanie to drugie.

Należało rozważyć wiele okoliczności. Na przykład — matka. Tylko jeden jedyny raz przyprowadził do domu dziewczynę. Był wtedy o wiele młodszy. Matka powitała ją doskonale uprzejmie, kiedy jednak zostali już sami, uśmiechnęła się w zamyśleniu i powiedziała: — Ona chyba nie jest odpowiednia dla ciebie, mój synu, prawda? Nie jest ciębie warta.

Ale oczywiście nic nie było dostatecznie dobre w oczach jego matki. Ani stopnie w szkole. Ani praca. Ani zainteresowania.

— Samochody! — wykrzywiła nos z obrzydzeniem. — Nie po to płaciliśmy za twoją naukę, żebyś cały dzień leżał pod samochodami. Czyż nie tak, synu? Czy po to były nasze wszystkie wyrzeczenia?

Nigdy nie zaakceptowała jego pracy w warsztacie. Nigdy nie zaakceptowałyby Joey.

—Zgoda — mruknął. — Szybko.

—Kiedy? — nalegała Joey.

—Ustale...

—Gdzie będziemy mieszkać? — wybuchnęła.

Prawie pożałował swoich oświadczeń. Nie przypuszczał, że trzeba będzie podejmować tak natychmiastowe decyzje. — Znajdę coś.

—Domek?

W warsztacie nie zarabiał aż tak dużo. I oczywiście pewną sumę musiał oddawać matce. Przed poznaniem Joey udawało mu się coś niecoś odkładać, ale teraz na koncie

w banku zostało zaledwie kilkaset dolarów.

—Zobaczmy.

Wyskoczyła z łóżka. Podbite oczy pełne były złości i pogroźek. Pod wpływem zmęczenia lewe oko zezowało jeszcze wyraźniej. — Postuchaj, kowboju, nie robisz mi laski.

—Ależ nie — zapewnił ją niespokojnie.

—Mam nadzieję, że nie. — Wyciągnęła ramiona za głowę i ziewnęła.

— Mogłabym się wydać już setki razy, gdybym tylko zechciała. Mam nawet na składzie jednego gliniarza, on ma hopla na moim punkcie. I jak ci się to podoba?

Nie podobało mu się. Joey Kravetz należała do niego. I każdy, kto próbowałby mu ją odebrać, już był martwy. Zimny trup.

Mikrobus zjechał ze swojego pasa. Zirytowany kierowca Cadillaka uczynił w kierunku Dekę'a wulgarny gest. Dekę wściekł się. Celowo zmieniał pasy, aż znalazł się tuż, tuż za Cadillakiem i zaczął rytmicznie naciskać klakson.

Oba pojazdy pędziły, znacznie przekraczając dopuszczalną szybkość. Ale ani Cadillac nie zjechał na bok, ani Dekę nie zwolnił.

Niebezpiecznie ścigali się dwupasmówką, mikrobus tuż za Cadillakiem.

Zbliżali się do miejsca, w którym przeprowadzano roboty drogowe. Znaki informowały, że za milę dwupasmówką zwezi się w jednopas-mówkę.

Dekę dodał gazu i znalazł się z boku Cadillaka. Tamten kierowca mężczyzna w średnim wieku, patrzył przed siebie jak głaz. Pojął, że chyba ma do czynienia z wariatem.

Kiedy zbliżyli się do robót drogowych, zwolnił, gotów zjechać za mikrobus szaleńca. Ale szaleniec nie pozwolił mu na to, szaleniec jechał z równą jemu prędkością, blokując wjazd na bezpieczne pasmo. Chryste! Strzałki nakazywały zrobić to już, natychmiast. W nagłym przypiływie paniki kierowca przycisnął stopą gaz do dechy — nie było siły, żeby Cadillac nie mógł wyprzedzić starego, obdrapanego mikrobusu. Cudów nie ma. A jednak — mimo że to niewytłumaczalne — nie dawało się tego zrobić. Mikrobus cały czas trzymał się tuż obok, przyspieszając na chwilę przed tym,

jak rozpedzony Cadillac uderzył w masywną betoniarkę.

Kierowca w średnim wieku tylko przez sekundę poczuł przeraźliwy ból. A potem — już nic.

Trzy godziny później Deke dojechał do Cincinnati. Był zmęczony i bardzo, bardzo głodny. Nie tracąc czasu znalazł jadalnię, gdzie zamówił dwa steki. Potem przespał się pięć godzin na tylnym siedzeniu mikrobusu i odświeżony ruszył w dalszą drogę na zachód.

Czekała na niego Kalifornia. Musiał się spieszyć.

Bibi Sutton mieszkała w ogrodzonej murem posiadłości w Bel-Air. Przy kutej z żelaza bramie stali uzbrojeni strażnicy, a po dziedzińcu uganiały się specjalnie wytresowane owczarki niemieckie. Do Bibi nikt nie wpadał nie zapowiedziany.

Elaine podjechała Mercedesem pod bramę i podała swoje nazwisko strażnikowi noszącemu kowbojski kapelusz. Sprawdził na wypisanej na maszynie liście. — Zna pani drogę do głównego domu, ma'am? — spytał przeciągle.

— Tak, znam — odparła, myśląc, jak idiotyczny jest cały ten cyrk. Adama Suttona wszyscy uwielbiali. Był legendą — jak John Wayne czy Gregory Peck. Któż chciałby wyrządzić mu jakąkolwiek krzywdę?

Potem się uśmiechnęła. Owe zabezpieczenia były dla Bibi. Pewnie z połowa Beverly Hills z największą rozkoszą poderżnęłyby jej gardło!

Swego czasu posesja Suttonów należała do gwiazdora niemego filmu; Elaine nie bardzo mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. Bar-rymore lub Valentino. To bez znaczenia, skoro i tak Bibi wszystko zmieniała, kreując elegancką willę w stylu rzymskim, z pilastrami, fontannami i marmurowymi tarasami. Gdyby nie była zawodową żoną gwiazdora, mogłaby zrobić karierę jako dekorator wnętrz. Z całą pewnością wiedziała, czego chce, nawet jeżeli kosztowało to kilka milionów dolarów.

Przy frontowych schodach czekał kamerdyner w liberii, który zajął się samochodem Elaine. Pokojówka poprowadziła ją marmurowymi korytarzami ku zalanemu słońcem tarasowi, wychodzącemu na basen rozmiarów olimpijskich. Tam Bibi przyjmowała swoją świtę.

Oczy Elaine prześliznęły się po damskim zgromadzeniu. W pełnej gali najwyższej rangi damy z Beverly Hills, Bel-Air oraz z innych stosownie bogatych miejscowości. Saint Laurent, Dior, Blass i de la Renta szeleszczące kosztownie na nieskazitelnych ciałach. A nawet jeśli te ciała nie były nieskazitelne, to bardzo się o to starały.

Elektrolizy, masaże, kontrola komórek, usuwanie naczynek krwionośnych, usuwanie zbędnego tłuszczu. Przez wszystko to przeszły owe ciała, goszczące u Bibi. Podnoszenie piersi, sztuczna szczęka, korekcja nosa, podciąganie pośladków, podnoszenie powiek. Wszystko to i jeszcze więcej,

—Kochanie! — zakręciła się wokół niej Bibi, zjawisko w białej letniej sukni Galanos. Bardzo skromnej. Przecież to tylko popołudniowe przyjęcie. — Tak miło, że przyszedłaś. Podoba mi się twój strój. Widziałam go już, prawda?

—Nie.

—Ach, oczywiście. Widziałam to u Saksa w ubiegłym tygodniu. No to przynajmniej wie, że sukienka jest nowa. — Wyglądasz cudownie — zachwyciła się Elaine.

Bibi roześmiała się radośnie. — To stary ciuch. Po prostu zarzuciłam na siebie byle co.

Elaine rozejrzała się za drinkiem. Tuż przy jej boku natychmiast wyrósł czujny kelner. Na srebrnej tacy piastował trunki do wyboru. Szampan albo woda Perrier. Szybko sięgnęła po kieliszek szampana. W jeden tylko sposób można było przetrwać ten lunch i z całą pewnością sposobem tym nie była abstynencja.

W tej samej chwili, w której Elaine zniknęła za drzwiami, Ross sięgnął po słuchawkę. Karen odebrała po drugim sygnale. Jej głos brzmiał uprzejmie, ale chłodno. — Muszę wyjść, Ross. Właśnie wybieram się na lunch do Bibi i już jestem spóźniona.

—Co się stało, dziecinko? Czyżbym cię w jakiś sposób uraził?

—Może porozmawiamy o tym kiedy indziej?

—A dlaczego by nie od razu? Siedzę tutaj z taką erekcją, że aż by ci mózg stanął.

—No to sobie ulżyj.

—To nie to samo, Karen. Nie wtedy, kiedy mógłbym być z tobą. — Przerwał dla większego wrażenia. Po chwili ciągnął dalej: — Jezu, jak ty podniecająco wyglądałaś

wtedy w piątek wieczór. Co robiłaś z takim pętakiem jak Chet Barnes?

—Pieprzyłam go.

—To miło.

—Owszem.

—Czy on wciąż ma przedwczesny wytrysk?

Zatkało ją. — A ty skąd o tym wiesz?

—To miasto to mała dziura, moja pani.

—Ty kutasie!

Miał ją, mógł to usłyszeć w jej głosie. — Co byś powiedziała na lunch ze mną zamiast z Bibi?

—Ale z ciebie sukinsyn. Dlaczego nie zadzwoniłaś wtedy, kiedy przyrzekłaś?

—Nie sądziłem, że taka drobnostka urazi tak wyemancypowaną damę jak ty.

—Nie jestem byle charakteryzatorką czy fryzjerką, żebyś tak mną pomiatał — poskarżyła się.

—Gdzie się spotkamy? — spytał już pewny swego.

Westchnęła. Nie należała do osób, które odrzucały lepszą ofertę. — Na plaży, przypuszczam.

—To długa jazda.

Zaśmiała się ochryple. — Mam nadzieję, że długa!

Montana wezwała do gabinetu sekretarkę. — Inga, chciałabym mieć na czwartek wszystkich aktorów na próbne zdjęcia do roli Vin-nie'ego.

Inga kiwnęła głową. Aż przebierała nogami, aby przedzwonić Bud dy'emu Hudsonowi pomyślne wieści.

— Przekaż im, aby stawiali się w studio co godzina, począwszy od siódmej rano. Mają przyjść we własnych ubraniach, codziennych. Zasugeruj im Levisy i koszule. Makijaż i uczesanie na miejscu.

Inga ponownie skinęła, stenografując wszystkie polecenia w swoim notesie.

—Jest ich czterech, prawda? — upewniła się Montana.

—Tak — potwierdziła Inga. — Czy życzy sobie pani, aby stawili się w jakiejś

określonej kolejności?

—Bez różnicy. Wszyscy mają równe szansę. — Przesunęła okulary w tył na włosy. — Boże! Jaka będę szczęśliwa, gdy obsadzimy już ostatnią rolę w tym filmie! Wydaje mi się, że strawiłam cały ostatni rok życia na rozmowach wstępnych z aktorkami i aktorami.

Inga pomyślała, czy to nie odpowiednia chwila, by zadać szefowej kilka pytań. — Hm... czy George Lancaster dał już ostateczną odpowiedź?

— A żebym to ja wiedziała — prychnęła Montana. — Cały film ma skompletowaną obsadę prócz trzech najważniejszych ról. Cudownie, prawda?

Inga uśmiechnęła się grzecznie. — Rozumiem, że pan Gray próbuje z Giną Germaine. Przepraszam, że to mówię, ale czy ona nie jest zbyt seksowna jak na tę rolę?

— Ha! To bardzo uprzejmie powiedziane, dziecinko. Mamy odrobinę kawy?

Inga wycofała się. Rozmowa z szefową skończona. Pospieszyła do swojego biurka i próbowała połączyć się z numerem domu przy plaży, który jej podał Buddy. Bez skutku. Nikt nie podnosił słuchawki. Czy ktoś kiedykolwiek słyszał, żeby aktor nie miał kogoś, kto by za niego przyjmował telefony? Ktoś powinien się zająć Buddym Hudsonem. Może tym kimś mogłaby być ona, Inga.

Do biura wpadł Oliver Easterne, zakłócając tok jej myśli.

—Jest pani Gray? — spytał i przesunął palcem po krawędzi biurka, tropiąc ślady kurzu.

—Tak, jest. Zapowiem pana...

Zanim jednak zdążyła się nachylić nad intercomem, Oliver minął ją i wpadł do gabinetu.

Montana, przeglądająca właśnie jakieś leżące na biurku fotosy, spojrzała w górę. — Dzień dobry, Oliver — powiedziała chłodno. — Nie trudź się pukaniem. Po prostu wal jak do siebie.

Zlekceważył jej cichą ironię, wyczyścił obite skórą siedzenie fotela własną chusteczką do nosa i usiadł. — Znalazłem dla nas Nikki — oświadczył.

—Oliver? — zwróciła się do niego Montana. — Wyjaśnij mi jedną rzecz, bo jestem ciekawa. Czy kiedy masz zamiar się z kimś przespać, to najpierw odkażasz swojego kutasa?

Wlepił w nią oczy, zmarszczył brwi, a potem roześmiał się serdecznie. — Jak na kobietę masz ostry jęzor — przyznał.

- Dziękuję ci — mruknęła kpiąco. — Rozmowa z tobą jest zawsze przyjemnością.

Oliver strzelił kilkakrotnie stawami palców, potem zlustrował stan swoich nieskazitelnych paznokci, pokrytych bezbarwnym lakierem. — Nie chcesz wiedzieć, kim ona jest?

—Wiem. Giną Germaine. To pomysł z brodą.

—Ależ skąd. Znalazłem dziewczynę, przy której Giną wygląda jak jej własna matka!

Westchnęła. — Czy podzieliłeś się już z Neilem tymi oszałamiającymi nowinami?

Pochylił się nad biurkiem i zniżył głos. — Chciałem, żebyś ty pierwsza się o tym dowiedziała.

—Jasne, dzięki.

—Ta dziewczyna jest sensacyjna.

—Myślałam, że chcesz Ginę. To znaczy, właśnie według ciebie ona jest wielką gwiazdą i robi wspaniałą kasę, nieprawdaż?

—Mając George'a Lancastera, czyż potrzebujemy Giny?

—George Lancaster to wielka niewiadoma — przypomniała mu znużonym głosem.

—Wiadoma. Dzwoniłem do niego do Palm Beach wczoraj wieczorem i uzyskałem jego zgodę. Dziś po południu zobaczę się z Sadie La Salle i uzgodnię warunki kontraktu.

—Czy Neil już o tym wie? — spytała, czując się jak stara płyta, zacinająca się na tym samym miejscu.

—Neil zajmuje się sprawami artystycznymi — odparł lekko. — Ja interesami. Musiałem najpierw porozmawiać z George'em. Aktorzy. Ja wiem, jak się z nimi obchodzić. Do tego płacę mu pięć melonów i będzie miał udział w sprzedaży.

Montana pomyślała o nędznym groszu, jaki ona dostała za prawo własności. — To

miło — mruknęła. — Nie sądzisz jednak, że powinieneś podzielić się z Neilem dobrymi nowinami?

—Wyjechał na poszukiwanie plenerów. Porozmawiam z nim, jak wróci. Tymczasem zajrzałem do ciebie, by tobie powiedzieć o tej odkrytej przeze mnie dziewczynie.

—A ściśle mówiąc, to gdzie dokładnie ją odkryłeś?

—Na plaży. Jest moją sąsiadką.

Montana zmarszczyła brwi. Coraz bardziej rozczarowywała ją praktyczna strona filmowego biznesu. Po pierwsze George Lancaster -ta nowina wcale jej nie zachwyciła. A do tego mała nimfetka, którą Oliver wypatrzył objijającą się po plaży.

— Mam dość zajmowania się obsadą tego filmu — stwierdziła ostro. — Najpierw Giną, teraz jakaś kurewka, którą zdaje się poderwałeś. To zaczyna przypominać teatr amatorski, Oliver.

Zignorował jej wybuch. — Zobaczysz, o co mi chodzi, kiedy ją sama obejrzysz. Ona jest naprawdę Nikki. — Mówiąc to wstał, zwawo otrzepał siedzenie spodni, usunął zwiędły kwiatek z wazonu na biurku, wrzucił go do kosza na śmieci i wyszedł.

Montana wzięła głęboki oddech. Gdzie się podziała owa pełna kontrola nad filmem, o której wspominał Neil?

Późnym niedzielnym popołudniem Buddy zatelefonował do domu przy plaży. — Pakuj wszystko, wsiadaj w samochód i jedź prosto do mieszkania Randy'ego. Klucze zostaw i nie odbieraj telefonów. Jeżeli pojawi się Jason, to o niczym z nim nie rozmawiaj. Jasne?

—Ja nie rozu...

—Zabieraj się od razu do roboty. Chcę, żebyś natychmiast stamtąd wyjechała.

Angela zrobiła, co jej kazał, choć w głowie jej aż kipiało od pytań. Szybko spakowała rzeczy. Telefon zadzwonił tylko raz, ale zlekceważyła to. Jason się nie pojawił. Z oczami pełnymi łez uświadomiła sobie, że jest to pożegnanie z domkiem na plaży. Nie ma co ukrywać, życie z Buddym to pasmo nieustających niespodzianek.

Czekał na nią przed drzwiami mieszkania Randy'ego Felixa. W jego oddechu wyczuła alkohol, wyglądał na dziwnie podnieconego.

—Nie rozumiem... — zaczęła znowu.

Chwycił ją w objęcia. — Któregoś dnia wyjaśnię ci to wszystko, maleńka. — I popchnął ją do mieszkania na spotkanie z Randym.

I tyle było wyjaśnień. U Randy'ego siedziała dziewczyna, Shelly. Wydawała się całkiem miła, choć nieco zbyt wulgarna. Rozgościli się w małym pokoju, sącąc tanie czerwone wino i pociągając skręty, które Shelly usłużnie puszczała w obieg. Angela odmówiła, ale chyba nikt nie zwrócił na to uwagi. Byli tak pochłonięci rozmową o sobie samych.

Usiadła w kąciku, powoli wzbierał w niej gniew. Ten Buddy był zupełnie różny od tamtego, którego poślubiła. To nie był ten kochający mężczyzna, którego poznała i w którym się zakochała — ten nerwowy, hałaśliwy, nieczuły facet.

O północy Shelly wstała i przeciągnęła się. — Muszę się ździebko przespać — ziewnęła. — To znaczy, niedziela jest moim jedynym dniem wolnym, kiedy mam spokój od tego wszystkiego.

Buddy błyskawicznie porwał Angelę za ramię i pociągnął ją, by także wstała. — Będiesz spała u Shell, słodki pysiu — oznajmił, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. — Ja zabiwakuję na podłodze u Randy'ego. Jutro wyszukam dla nas jakieś mieszkanie.

Angela przeraziła się. — Buddy... — zaczęła.

Ścisnął jej dłoń. — Zrób to — szepnął. — To jedyne wyjście. Ona jest dobrym dzieckiem, żadna lesba, nie ma takich skłonności.

Angela spojrzała na niego zimno. Miał potargane włosy, przekrwione oczy, pot rozmył przystojne rysy twarzy, okropnie cuchnął. — A co z moimi rzeczami? — spytała, jednocześnie zmęczona i rozczarowana. — Nasze walizki dotąd leżą w samochodzie.

—Shell da ci wszystko, czego potrzeba. Prawda, Shell? Dziewczyna o kręconych włosach kiwnęła głową. — A jeżeli przestaniesz nazywać mnie Shell, to nawet dam jej śniadanie.

Buddy wyszczerzył zęby i zatoczył się lekko. — Dziękuję ci bardzo, Shelly. Nie zapomnę o tobie w moim testamencie.

Oddała mu uśmiech i czule pogłaskała po policzku. Ten gest nie uszedł uwagi Angeli. — Chodźmy, anielska buzio — zwróciła się do niej Shelly. — Spodoba ci się moje mieszkanie. Jest mniejsze nawet od tej nory. — Skinęła obojętnie Randy'emu, który uwaliał się na środku łóżka. — Miło cię było poznać. Dzięki za wino.

Machnął ręką niezbornym ruchem. — I ciebie było miło poznać, sąsiadko. Znakomita trawka. Następnym razem, gdybyś coś miała na zbyciu, to ja reflektuję.

— Trawka. Koka. Prochy. Powiedz tylko co. Jestem na twoje usługi.

— Co za świetne usługi! — wybełkotał Buddy.

Shelly uśmiechnęła się szeroko. — Dobranoc wam.

Angela w milczeniu podążyła za nią do jej mieszkania, dwa piętra wyżej schodami przeciwpożarowymi. W oczach piekły ją łzy, złość żądliła w język. Bardzo rzadko traciła cierpliwość, ale kiedy już tak się zdarzało, było to dla wszystkich niespodzianką. Madonna przemieniała się w tygrysięcę.

Zatrzymały się na progu. Shelly niezdarnie szukała klucza. Potem otworzyła na oścież drzwi i powiedziała: — Witaj w raju, anielska buzio. Najgorszy bajzel w całym Hollywood!

— Czy dolać pani szampana, pani Conti? — spytał usłużnie młody kelner.

Elaine kiwnęła głową i przez chwilę zastanowiła się, skąd on zna jej nazwisko.

A dlaczegoż by nie? Przecież ja także jestem sławna. Jestem żoną gwiazdora filmowego. Wkrótce-powracającego-na-szczyty-i-wypieprza-jącego-wszystkich gwiazdora.

Chryste! Miała w czubie i zdawała sobie z tego sprawę. Nie pijana w sztok, na szczęście, ale mocno wcięta.

Ukradkiem tak przechyliła kieliszek, że najprzedniejszy Dom Perig-non ciurkiem popłynął na trawę.

Siedziała w białym płóciennym krześle reżyserskim wraz z pozostałymi trzydziestoma sześcioma kobietami (przeliczyła je po lunchu). I wraz z nimi śmiertelnie się nudziła, słuchając wykładu muskularnego eks-detektywa, który przypominał Kojaka na emeryturze. Mówił niczym gadatliwy bokser, który właśnie odkrył istnienie Boga.

Tylko że ten akurat facet doznał olśnienia na punkcie broni gazowej — albo przynajmniej tak się wydawało. I żaden szczegół owego idiotycznego przyrządu nie wydawał mu się zbyt błahy, żeby go pominąć.

Chce mi się siusiu, pomyślała Elaine, zerknęła w bok na Maralee, której oczy skrywały fioletowe okulary słoneczne, pasujące kolorem do zakietu za pięćset dolarów od Annę Klein. Elaine dokładnie знаła jego cenę, gdyż sama zastanawiała się, czyby go sobie nie sprawić. Był to idealny strój wyjściowy.

—Muszę iść do łazienki — szepnęła.

—A kto ci broni? — odszepnęła Maralee.

Wstając dostrzegła karcący wzrok Bibi, zrobiła rozpaczliwą minę i pospieszyła w kierunku domu.

Kelnerka, z ustami napchanymi drogimi czekoladkami, przyłapana na gorącym uczynku, skoczyła na równe nogi. Elaine minęła ją, idąc do różowo-złotej toalety. Przez chwilę pomyślała o Karen. Mówiła, że też przyjdzie na ten lunch, więc gdzie się podziewa?

Może nagły przeblysłk intuicji ostrzegł ją, że będzie to najnudniejszy lunch tego sezonu?

Elaine obejrzała się w lustrze i pospiesznie wyszła na zewnątrz. Ponownie usiadłszy, doszła do wniosku, że w żadnym wypadku ów lunch nie jest stratą czasu. Sam fakt, że ją tutaj zaproszono, działał na plus. A podwójną korzyścią była rozmowa — nawet zdawkowa — z Sadie La Salle. — Mam nadzieję, że wpadniesz na małe przyjęcie, które wydaję na cześć George'a i Pameli Lancaster?

Nawet Sadie La Salle nie mogła odważyć się na zlekceważenie takiego zaproszenia. Kiwnęła głową, powiedziała: — Oczywiście — i jakby zdobyła się przy tym na wąły uśmiezek. Ross będzie zachwycony. Kiedy już ta agentka znajdzie się pod jego dachem, nie da rady się mu wywinąć.

Maralee delikatnie chrapnęła. Zdrzemnęła się za swoimi szklami. Elaine szybko wymierzyła jej sójkę w bok.

—Ojej! — podskoczyła Maralee.

—Coś ty robiła zeszłej nocy? — szepnęła do niej Elaine. Maralee zachichotała. —
Odpoczywałam po piątkowej i sobotniej

nocy. Randy rzeczywiście zasługuje na swoje nazwisko!

Elaine uśmiechnęła się i pomyślała, czy i ona nie powinna sobie znaleźć jakiegoś
młodego przyjaciela. To naprawdę ironia losu. Oto była żoną faceta z największym
kutasem w całym Hollywood, a zastanawiała się nad znalezieniem sobie kochanka.
Czy komuś mogłoby kiedy coś takiego przyjść do głowy?

Prawie roześmiała się w głos.

—Myślałeś kiedykolwiek o rozwodzie z Elaine? — zaciekawiała się Karen.
Jednocześnie klęczała nad nim ściskając mocarnie jego pośladki, podczas gdy jej
zmysłowe sutki kusząco muskały jego wargi.

Ross był tak zdumiony, że nie odpowiedział. W jego mniemaniu rozmowa w łóżku
była guzik warta. Odchrząknął.

—No jak? — nalegała Karen.

Praca jej mięśni była doskonała. Dlaczego więc zwyczajnie nie zamknęła dzioba?

—Rozwód za dużo kosztuje — wykrztusił.

Wprawnie położyła się na nim i zacisnęła uda.

Jęknął z rozkoszy. Ta dziewczyna знаła takie sztuczki, o których nawet on nie miał
pojęcia. Ściskając go, przyprawiała go o szaleństwo.

—Czy rozwiódłbyś się z nią, gdybym ja tego chciała? Zignorował to pytanie. Cały się
oddał owym kilku cennym chwilom tuż przed osiągnięciem orgazmu. — Ruszaj się —
błagał. — Zaraz skończę.

Milczącą odpowiedzią Karen było ściśnięcie go jeszcze mocniej i takie manewrowanie
ciałem, aż i ona była gotowa. Kiedy Ross eksplodował, ona także, wpychając swoje
nabrzmiące sutki do jego ust, chwytając go za włosy i zaciskając uda tak mocno, iż
miał wrażenie, że wycisnęła z niego spermę.

—Uważaj na włosy! — krzyknął rozpaczliwie.

—A pieprzę twoje włosy! — odwrzasnęła. Oboje jednocześnie doznali ekstazy
orgazmu.

—Jezu Chryste! — łapał powietrze Ross. — Ty naprawdę jesteś najlepsza.

Pomału uwolniła go, przechyliła się do nocnego stolika i przypaliła im papierosy. — Czy wiesz, ile mam pieniędzy? — spytała.

Cały płonął. Jasny gwint, czuł się niczym siedemnastolatek!

—Ile?

—Dosyć, by spłacić Elaine, na początek. A kiedy tatuś zgaśnie, to ile dusza zapagnie! Cudowne gadanie! George Lancaster był zaledwie dwanaście lat od niego starszy.

—O czym ty mówisz?

Zaciągnęła się głęboko dymem. — Że ty i ja moglibyśmy stworzyć świetną parę.

Roześmiał się nieszczercze. Absolutnie nie podobało mu się, że ich rozmowa schodziła na takie tory. — Jest nam obojgu dobrze właśnie dlatego, że nie jesteśmy małżeństwem.

—Tak uważasz?

—Wiem.

—Zobaczmy.

—Co zobaczmy? — spytał zaniepokojony.

—Po prostu zobaczmy, to wszystko — odparła wymijająco. — Może byśmy popływali?

—W oceanie?

—A widzisz gdzieś tutaj jakiś basen?

—Od wieków nie pływałem w oceanie.

—Więc chodźmy tam zaraz. — Wskoczyła z łóżka, pogrzebała w szufladzie i wynurzyła się z parą czerwonych kąpielówek dla Rossa i jednoczęściowym, głęboko wyciętym kostiumie dla siebie.

Naciągnął kąpielówki. Były przyciasne w pasie i jeszcze ciaśniejsze w kroku. — Oj — poskarżył się.

—Nie martw się — zagruchała Karen. — Kiedy wrócimy, kochająca mamusia ci to wszystko wymasuje.

—Dlaczego jesteś taka dobra dla mnie, Karen? — spytał żartobliwie. Uśmiechnęła się

szeroko. — Ponieważ dobro przyciąga dobro. A ty, kochanie, jesteś taaaki dobry!

Trzymając się za ręce wybiegli z domu.

Samotny fotograf, leżący na brzuchu pod palami sąsiedniego domu, ustawił ostrość obiektywu. Nie minęło pięć minut, a już zapełnił dwa filmy niezwykle interesującymi zdjęciami.

Angela prawie nie spała. Przeraził ją bałagan panujący w mieszkaniu Shelly. Dokoła ciuchy, brudne naczynia, przesypane się popielniczki i zadomowione karaluchy panoszące się w niewielkiej kuchence.

Shelly wskazała na nie posłane łóżko. — Śpimy razem? — spytała. -Mnie to nie przeszkadza, a tobie?

Angela odkryła już zwalisty fotel. — Jeżeli nie masz nic przeciwko, to wolałabym tutaj — powiedziała szybko. Wciąż miała żywo w pamięci wspomnienie swojej byłej gospodyni, Daphne.

— Rób, jak ci wygodniej, anielski buziaku. - - Shelly wzruszyła ramionami, przerzucając szufladę. — Chcesz koki?

— Nie jestem spragniona, dziękuję.

Shelly uniosła wysoko brew, ale Angela nie zwróciła na to uwagi. Ostrożnie zdjęła ciuchy z fotela i ułożyła je w schludny stosik na skraju łóżka. Spać. Pomyśleć. Wszystko sobie ułożyć. Była zmartwiona i zła. Nie miała nawet okazji, by opowiedzieć Buddy'emu o spotkaniu z Oli-verem Easterne'em. O spotkaniu, które zaparło jej dech. Jego słowa dźwięczały jej w uszach. „Ty, mała damo, zostaniesz gwiazdą”. Oczywiście, chciała natychmiast zwierzyć się z tego Buddy'emu, zrobiłoby to na nim takie samo wrażenie. Ale teraz wszystko się popsuło. Pewnie już nigdy w życiu nie spotka Olivera Easterne'a.

Kiedy Angela umościła się w fotelu, Shelly rzuciła jej złachany szal. — Słodkich snów, dziecinko — powiedziała. — Jeżelibyś wstała wcześniej ode mnie, to zachowuj się cicho. Nie chciałabym oglądać ranka, przynajmniej przed jedenastą.

Angela kiwnęła głową. A potem spędziła okropną noc, próbując ułożyć poskręcane ciało do snu. O siódmej rano była już całkiem rozbudzona. Na palcach wyszła z

mieszkania na basen. W miarę upływu porannych godzin pojawiali się inni mieszkańcy. Dwie dziewczyny w dobranych do siebie kostiumach, wykonujące serię skomplikowanych ćwiczeń. Podstarzała dama w peruce prowadząca na smyczy ufryzowanego francuskiego pudła w wysadzonej diamentami obroży. Młody uczeń ukradkiem palący pod palmą papierosa.

Potem nadciągnęli wielbicieli opalenizny, uzbrojeni w ręczniki i oliwkę, zasłony na nosy i oczy. Większość z nich to bezrobotni aktorzy. Angela w milczeniu siedziała na zepsutym leżaku. W jej pięknych oczach malowało się zmęczenie i troska. Odgarnęła w tył swoje cudownie piękne jasne włosy i usiłowała zdusić nagłe burczenie w żołądku. Była głodna, precyzyjniej mówiąc, głodna jak wilk. Zerknęła na zegarek. Już za dziesięć jedenasta. Pomyślała, że zaraz pojawi się szukający jej Buddy.

Buddy z wolna przytomniał, łomot w głowie wskazywał na to, że żyje. Ale tylko na pół gwizdka. Jęknął głośno.

Randy, nie ogolony i z przekrwionymi oczami, drżącymi rękami nalał do dwóch filiżanek kawy i podsunął mu jedną w milczeniu. -Czy myśmy zwyczajnie poszli spać? — pozałił się Buddy, parząc sobie język wrzącą kawą i wydając z siebie szereg obelżywych okrzyków.

- Na to wygląda — zgodził się Randy, drapiąc się pod przepoconą pachą i zerkając na złoty zegarek Patek-Phillipe. Prezent od Maralee. — Jak by nie brał, już druga.

— A jaki dzień? — wykrztusił Buddy.

- Poniedziałek — wyjaśnił Randy, sięgając po telefon. Wykręcił jakiś numer i poprosił panią Maralee Gray.

Buddy powlókł się do mikroskopijnej łazienki. Zdawał sobie sprawę, że natychmiast powinien zobaczyć się z Angela. Nie wyglądała na zbytnio uszczęśliwioną, kiedy ją wypchnął do Shelly. Ale, co takiego, przecież to tylko na jedną noc. Dzisiaj coś znajdzie.

Ochlapał twarz zimną wodą i spojrział w lustro. Buddy Boy nie prezentował się najlepiej. Rzeczywiście, popłynął sobie — trawka, wino po raz pierwszy od czasów Angeli. Ale był tak przygnębiony i sfrustrowany po swojej ucieczce z Beverly Hills

Hotel od tamtych dwóch bab. Musiał, po prostu musiał, jakoś odreagować.

Bogu dzięki, że istnieją przyjaciele. Randy, który wszystko zrozumiał, jak tylko Buddy pojawił się w jego drzwiach. I Shelly, która zgodziła się przenocować Angełę. Bez gadania.

Zimna woda wróciła mu życie. Prawie poczuł się jak człowiek. Randy wciąż wisiał na telefonie, zasypując Maralee stekiem czarujących kłamstw.

Buddy naciągnął spodnie i gestem dał znać, że idzie do mieszkania Shelly.

Dwukrotne walnięcie w drzwi. Trzecie. Angela w progu ze ścierką w dłoni, w powietrzu unosi się zapach lizolu.

Buddy w rozpaczy wyciągnął ramiona. — A cóż ty wyprawiasz?

Urażony, zimny głos. — Sprzątam. - Co sprzątasz, na miłość boską?

Twoja przyjaciółka Shelly mieszka w chlewie. Odwdzięczam się jej za nocleg. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić.

Schwycił ją za ramię. - Nie bądź głupia. To niepotrzebne. To...

Odrzuciła jego dłoń, jakby ją parzyła. Ekspłodowała wściekłością z całej nocy. — Nie nazywaj mnie głupią, Buddy Hudsonie! Do kogo według ciebie się zwracasz? Do lalki Barbie?

Gwałtowna reakcja żony zdumiała go. — Hej, kiciu, o co chodzi?

W oczach Angeli zapaliły się niebezpieczne błyski. — O co chodzi?!

Że mała Angela ma własne zdanie? Mała Angela okazuje własne uczucia? - Z wściekłością cisnęła ścierkę na podłogę. — Ja jestem człowiekiem. Jestem twoją żoną. I chcę dokładnie wiedzieć, co się dzieje. A jeśli mi tego nie powiesz, to pakuję swoje manatki i zwijam się stąd. Rozumiesz? Bądź wobec mnie szczery, Buddy, albo, Bóg mi świadkiem, nigdy mnie już w życiu nie zobaczysz!

Lulu Kravetz nie chciała nawet wiedzieć, gdzie pochowano jej siostrę. Kiedy już dowiedziała się o morderstwie i poznała jego szczegóły, zamknęła się w sobie.

— Nic nie słyszałam o żadnym Deke'u Andrewsie — wymamrotała. — A skoro pan jesteś taki pewny, że to on, to dlaczego dotąd nie złapaliście tego skurwysyna?

Całkiem logiczne pytanie. Proste stwierdzenie. Dlaczego go nie złapaliście?

Leon bąknął coś, że nad tym pracują. Lulu zmierzyła go spojrzeniem, które nie wymagało komentarza.

- Więc, jeśli nie przyszedł pan tutaj, by mnie wsadzić do mamra czy oskarżyć o posiadanie narkotyków, to może pan zniknie mi z oczu? — Niespokojnie rzuciła się na nie zasłane łóżko i przymknęła powieki. Stary, jestem wykończona. Od Bóg wie jak dawna jestem w drodze.

Dłuższą chwilę, w milczeniu, przyglądał się tłustej dziewczynie. Czyżby tak mało znaczył dla niej fakt, że zamordowano jej siostrę?

Joey Kravetz. Nikt po niej nie płakał. Dosłownie nikt. No, może poza nim samym.

Pierwszą reakcją była ulga. Bezszerowo zniknęła z jego życia, nie musiał więc stawać z nią twarzą w twarz. Zagotował wodę zaparzył sobie filiżankę kawy i usiadł zadumany przy kuchennym stole. Przede wszystkim. to nie powinien był. nigdy wpuszczać jej za próg. Tyle już przeżył, że mógłby o tym wiedzieć. Mogłaby teraz na przykład szantażować go, oskarżyć o gwałt, o cokolwiek.

Wzruszył ramionami nad własną głupotą, wypił kawę i pospieszył się ubrać. Dopiero kiedy wziął do ręki portfel, zorientował się, że brakuje w nim pieniędzy. Co do ostatniego banknotu. Nie bardzo przypominał sobie, ile tam było, ale coś ponad trzy setki. Mała panna Kravetz zabawiała się z nim jak z prawdziwym klientem. Pewnie jeszcze do tej pory pęka ze śmiechu.

Poczuł się jak największy kretyn pod słońcem. A potem ogarnęła go wściekłość. Pomyślał, że ją odnajdzie i odbierze pieniądze. No bo kogo, według niej, oskubała?

Miał szczerzy zamiar tak zrobić, ale po paru dniach bezowocnego przemierzania ulic, na których, jak podejrzewał, Joey się obijała, wpłynęła sprawa zabójstwa i cała jego energia została skierowana w inną stronę. Tygodnie wydłużyły się do miesięcy, zbladła postać nastoletniej prostytutki z ponad trzema stówami jego ciężko zarobionej forsy. Dostał dobrą nauczkę, to wszystko. Teraz chciał tylko wymazać z pamięci całe to wydarzenie i udało mu się. Aż do pewnej nocy w barze Mackie'ego, knajpie gliniarzy. Siedział tam w licznym towarzystwie kolegów. Oblewali spory sukces. Aresztowanie czterdziestosześcioletniego mężczyzny, który w ciągu dwóch lat zgwałcił

i zamordował siedem kobiet. Facet przyznał się po miesiącach od chwili, w której stał się w ich oczach głównym podejrzanym. Uroczystość szła pełną parą. Nawet Leon — znany przeciwnik takich bibek — bawił się świetnie.

Zobaczył ją, zanim ona spostrzegła jego. Któż mógłby przeoczyć pomarańczowe włosy i zezujące oko? Kleiła się do jakiegoś młodego rekruta, chichocząc i wsuwając różowy języczek do jego ucha.

Czyżby nie wiedziała, że to knajpa gliniarzy? Czy może miała to w nosie?

Odczekał, aż wyszła do damskiej ubikacji, samotnego miejsca na zapleczu, do którego dochodziło się długim, opustoszałym korytarzem. Damy nie były najmilej widziane u Mackie 'ego. Przetrwały tam tylko wielbicielki gliniarzy.

Leon podążył za Joey, poczekał, aż wyszła, potem chwycił ją mocno i przydusił do porysowanej sprośnymi graffiti ściany. W jego ciężkim oddechu czuło się nadmiar wypitego alkoholu. — Przypominasz mnie sobie?

— Och, to ty — odezwała się wesolutko, bynajmniej nie zdziwiona. — Jak leci, kowboju?

Lepiej by było, gdyby był trzeźwy i miał jasny umysł. Alkohol plątał mu myśli, a nawet język. — Jesteś mi winna forszę — wybełkotał.

— Naprawdę? — spytała, bystro szukając wzrokiem najlepszej drogi ucieczki.

— Tak, jestem pewny — ciągnął uparcie. — Ponad trzysta dolarów.

— Panie, pan żeś się chyba czepił niewłaściwej dziewczyny. Takie jak ja nigdy nie muszą nikogo oskubywać. Zarabiają, pan wie, o co mi chodzi? — Uśmiechnęła się do niego od ucha do ucha. — Za dziesięć doków wyssałabym pana gdziekolwiek. No i po prostu wykombinowałam, że w mieszkaniu to musi kosztować drożej.

Myśli miał już klarowne, ale wargi za nimi nie nadążały. — Posłuchaj, ty... — zaczął powoli.

Zanurkowała pod jego ramieniem i już była daleko. — Zapłata jest zapłata! — krzyknęła. — Nie sądzi pan?

Wrócił do swoich przyjaciół, po Joey nie było śladu.

Resztę wieczoru spędził próbując wytrzeźwieć, ale w dwie godziny potem, kiedy dotarł

do domu, znowu był w kiepskiej formie.

Musiał przespać kilka godzin, nim obudziło go parcie na przepelniony pęcherz. Czuł się niczym wyschnięta podeszwa. Natychmiast poprzysiągł sobie, że już nigdy więcej nie tknie alkoholu. Wygramolił się na nogi, starając się nie zwracać uwagi na ostry ból w tyle głowy. Czuł się zupełnie tak, jakby wbito mu tam tysiące igieł. A potem ją zobaczył, skuloną na kanapie, pogrążoną we śnie, tak rozpanoszoną i zadowoloną niczym zadomowiony kociak. Joey Kravetz.

Przez chwilę gapił się osłupiały, zbyt zdumiony, żeby dobyć z siebie głos. Potem zaś ogarnęła go paląca wściekłość; niezbyt korzystnie wpłynęło to zresztą na jego głowę.
— *Co ty tutaj robisz?!*

Ocknęła się błyskawicznie, przetarła oczy. Wyszczrzyła zęby. — Miło mi, że wróciłeś do życia.

— *Co robisz w moim mieszkaniu?! — wrzasnął. — Jak się tutaj dostałaś?*

Jak kociak pośliniła czubek wskazującego palca. Następnie potarła nim pod oczami, gdzie cienie do powiek i tusz. do rzęs rozmazały się, czyniąc z niej jakiegoś żalosego klauna. — Zostawiłeś klucz w zamku, ty sławny gliniarzu!

— *Czego chcesz? — Te słowa wypowiedział już ciszej. Zeskoczyła z kanapy, groteskowa w swojej białej minispódniczce ze sztucznej skóry i w wysokich botkach.*

— *Nigdy w to nie uwierzysz, ale dopadły mnie wyrzuty sumienia. Wiesz, to, że cię wtedy oskubałam, kiedy byłeś taki miły i pozwoliłeś mi przenocować i tak dalej. Świdrowała go czujnym spojrzeniem. -- Mam tam jakieś ludzkie uczucia, wiesz, jak każdy. Więc pomyślałam...*

— *Dopiero jak mnie spotkałaś.*

- *Aha. I pomyślałam, "że jak na glinę, to nie jesteś wcale taki najgorszy i że powinnam może powiedzieć ci „przepraszam” i oddać resztę forsy. — Pogrzebała w obskurnej torebce i wyciągnęła dziesięciodolarowy banknot. Wręczyła mu go z całą powagą.*

Utkwił wzrok w pieniądzach. W głowie mu pulsowało, oczy piekły.

- *Nie wyglądasz najlepiej — ośmieliła się powiedzieć. — Może byś wrócił do łóżka i*

pogadamy o tym rano?

—Posuwasz się za daleko — warknął. Wyglądała na urażoną. — Myślałam, że się ucieszysz. Skrzywił się z obrzydzeniem i odmaszerował do łazienki. Dlaczego ta zdeprawowana nastoletnia dziwka go nachodzi? Czego od niego chce?

Wypił kilka szklanek wody. Kiedy wyszedł, ujrzał, że wróciła na swoje poprzednie miejsce na kanapie. Chyba znowu zasnęła. Była czwarta piętnaście nad ranem. Nie miał ani siły, ani serca wyrzucić jej na bruk. Wobec tego zaryglował starannie drzwi wejściowe, potem zabrał klucze, portfel i broń ze sobą do łóżka. Pomyślał, czyby nie zamknąć drzwi sypialni, ale zrezygnował z tego pomysłu.

Ociężale ściągnął ubranie i nagi wśliznął się do łóżka. W głębi duszy wiedział, że ona przyjdzie do niego. Była dzieciakiem, dziwką, małym zerem. A jednak czuł, że do niego przyjdzie i — co gorsze, pragnął tego.

U Mackie'ego był tłum. Ostatni raz zaglądał tu chyba ponad rok temu. Nic się nie zmieniło.

Zamówił szkocką i samotnie stanął przy barze. Millie będzie się niepokoiła, co się z nim dzieje. No to niech się ten raz pomartwi.

Pochłonał pierwszą szklankę, zamówił następną. Zanosilo się na długi, gorący weekend.

Czwartek rano. Studio filmowe. Wymyty i uczesany. Zdenerwowany niczym Arab na żydowskim bazarze. Ale prezentujący się świetnie.

Podał swoje nazwisko wartownikowi przy bramie i wjechał w ten bajzel niczym gwiazdor. Nawet jeżeli prowadził tylko starego Pontiaka.

Bolał go żołądek. Wmusił w siebie gorącą kawę i kawałek grzanki, potem zwymiotował. Męczyły go nudności.

Kiedy dzwonił do Ingi we wtorkowe popołudnie, był jeszcze w okropnym stanie. I nagle jak obuchem w łeb: — Gdzieżeś się podziewał, Buddy Hudsonie? Mam ciekawsze rzeczy do roboty, niż łamać sobie paznokcie wystukując bez skutku twój numer.

—Co się stało? — zapytał. Natychmiast podskoczył w nim poziom adrenaliny, gdyż i

bez odpowiedzi wiedział, o co chodzi.

- Twoje zdjęcia próbne. Oczywiście, jeżeli dalej jesteś tym zainteresowany. Nigdy nie słyszałam o żadnym poważnym aktorze, który nie ma automatycznej sekretarki.

—Kiedy?

—W czwartek.

—Wielkie nieba!

I w ten sposób znalazł się tutaj. By nakręcić zdjęcia otwierające przed nim życiową szansę. Chryste! Nic dziwnego, że się denerwował.

Buddy Hudsonie, walczysz o życie. Załapiesz się, czy nie?

Zaparkował samochód, wszedł na portiernię, skąd skierowano go do garderoby przylegającej do studia numer trzy. Uczyniła to zwalista dziewczyna w dżinsach, bluzie baseballowej drużyny Dodgersów i w trampkach.

- Czy wiesz, gdzie jest charakteryzatornia? — spytała.

Już prawie miał wyznać, że nie wie. Spokojnie. Zachowaj zimną krew. Nie daj po sobie poznać, jak bardzo się denerwujesz. — Jasne. Chyba że ją gdzieś przenieśli.

- Jest, gdzie była. Na parterze, nie można nie trafić. Wróc za kwadrans. Przyjdzie garderobiana sprawdzić, jak się prezentujesz.

- Kiedy będę... hmmm... kiedy są moje... no... zdjęcia? Przypuszczam, że masz się stawić na planie koło jedenastej. Jeżeli dopisze ci szczęście, to wypuszczą cię stąd jeszcze przed lunchem. O pierwszej jest przerwa.

Dwie godziny. Więc tylko tyle czasu na to potrzeba? Wyobrażał sobie całodniową sesję zbliżeń i ujęć. Cholera! Pewnie nakręcą tylko jedną scenę.

— Do zobaczenia później — powiedziała dziewczyna odchodząc.

Chciał ją jeszcze o coś spytać, zorientować się, ilu aktorów poproszono o udział w próbnym zdjęciach. Ale za późno na wszystko prócz pocenia się ze strachu.

Obejrzał swoje oblicze w lustrze garderoby. *Wyglądasz świetnie. Wyglądasz świetnie. Wyglądasz właśnie tak, jak powinien wyglądać gwiazdor.* Ale to nie zasługa Angeli. Jego drogiej, słodkiej żoneczki. Jego drogiej słodkiej żoneczki, która go opuściła. Miłość jego życia odeszła. Zwiała. Uciekła. Po prostu.

Prawda, że bez słowa wyjaśnienia wyciągnął ją z domu przy plaży z powrotem do Hollywood. Ale co tu było do wyjaśnienia? „Hej, Angela, dziecinko, miałem wydymać dwie stare lesby, ale mi nie stanął, nie chciałem, żeby mi stanął. Bo kocham ciebie. Widzisz, Jason Swankle to pedał, leci na moje ciało. Więc wynajął mnie, żebym uszczęśliwił tamte dwie damy, a przy okazji chciał mnie przy sobie przytrzymać. Stąd ten dom na plaży, ciuchy, samochód z szoferem”.

Jak dziewczyna taka jak Angela mogłaby to zrozumieć? Nie znała tych wszystkich brudnych stron życia. I on wcale nie chciał, by poznała. Niewinność jej była jedną z przyczyn, dla których tak mocno ją pokochał. Nigdy, za nic, nie życzył sobie, aby poznała jego przeszłość. Więc postanowił trzymać żonę w nieświadomości. Tak wydawało się lepiej.

I nie wiadomo dlaczego, jego decyzja okazała się chybiona. Angela zażądała prawdy. On uraczył ją kłamstwem. Ukoił pierwszy wybuch, ułagodził ją kłamstwami i pocałunkami, a potem zmył się na basen. A kiedy wreszcie poczuł się jak człowiek, było za późno na szukanie mieszkania. — Tylko jeszcze jedną noc u Shell, dziecinko — błagał. — Jutro z samego rana wszystko załatwię. Przymierzam.

Wlepiła w niego te swoje wielkie ślipia. Patrzyła długo i twardo. Tylko że wtedy popalił już nieco trawki i zaczął bujać w obłokach. Bo, kurczę blade, od zeszłej niedzieli znowu zaczęła go dręczyć mściwa zmora matki. Toteż naćpanie się zdawało się jedynym rozwiązaniem.

We wtorek spał do późna. Kiedy otworzył oczy, dochodziła trzecia. Randy gdzieś wyszedł, w małym mieszkanku panował zaduch i bałagan. Ale po trawce przynajmniej nie masz kaca. Prawdę mówiąc, czujesz się po niej jak młody bóg.

Wiedział, że Angela nie będzie nim zachwycona, więc tym razem wziął prysznic i ogolił się. Potem postanowił na wszelki wypadek zadzwonić do Ingi. Kiedy usłyszał o zdjęciach, wypadł z mieszkania jak strzała. Nie mógł doczekać się chwili, w której podzieli się z Angela takimi nowinami. Tylko że u Shell nie było nikogo, więc spacerował przed domem aż do piątej, kiedy to Shell wróciła. Sama.

—Gdzie jest Angela? — zażądał wyjaśnień.

—Nie wiem. Była tutaj, kiedy przyszłam wczorajszej nocy. A kiedy wstałam, już jej nie było.

Od razu zrozumiał, że odeszła. Nawet nim zajrzał do bagażnika samochodu i nie znalazł tam jej walizki. I oto był tutaj, gotowy do próbnych zdjęć, do najważniejszego dnia w swoim życiu. A gdzie się po-dziewała Angela wtedy, kiedy akurat była mu najbardziej potrzebna?

- Dlaczego nie byłaś na lunchu u Bibi, Karen? — spytała Elaine, próbując oderwać wzrok od wypukłości Rona Gordino. Równie imponujących jak Rudolfa Nureyeva.

—Bo się pieprzyłam — stęknęła Karen, prostując na całą długość lewą nogę.

- Z kim? — sapnęła Elaine, usiłując zrobić to samo, bez większego jednak rezultatu.

—Z jednym świrem. Okropnie się czułam.

—Ale teraz wyglądasz świetnie.

—Słynna jestem z błyskawicznej regeneracji.

—Nie trzeba ci pomóc, Elaine? — Ron Gordino nachylił się nad nią. Złapał ją za kostkę i szarpnął nogę. Pachniał mieszanką potu i płynu po goleniu marki Brut.

- Ach... —jęknęła, rozkoszując się dotykiem jego mocnych, twar dych dłoni, przesuwających się z kostki na łydkę.

—Dobrze się czujesz? — zapytał troskliwie.

Skinęła głową, poruszona faktem, że właśnie na nią zwrócił swoją uwagę. Przydarzyło się to jej po raz pierwszy, choć często widywała, jak pochylał się nad Bibi lub Karen, zawsze nad znakomitościami.

—Masz bardzo naprężone mięśnie — stwierdził przeciągle. — Napięte. Czy ty się denerwujesz, Elaine?

—Skąd! — roześmiała się nerwowo. — Dlaczego, na Boga, miałabym się denerwować?

Jego włosy przypominały brudne siano, długie i sztywne. Zauważyła, że z uszu wyrasta mu kilka pojedynczych włosków, i zdziwiła się, dlaczego ich nie usunie.

Jego palce zagłębiły się w mięśniach jej łydki, sprawiając, że zaczęła wiercić się niespokojnie. — Proszę przyjść po zajęciach do mojego gabinetu. Potrzebny jest pani

masaż.

—Tak?

—Aha. — Uniósł swoją wodzącą na pokuszenie postać i odszedł równym krokiem.

—Myślę, że właśnie cię namierzył — szepnęła Karen, z trudem hamując rozbawienie w głosie.

—On zupełnie nie jest w moim typie — odparła stanowczo Elaine.

—No to się przemóż, kochanie. On przypuszczalnie jest superkochankiem.

—Myślałam, że to pedał.

—Biseks.

—Skąd wiesz?

—Nigdy nie pytaj o moje źródła informacji.

Reszta zajęć minęła błyskawicznie i Elaine, nim się spostrzegła, już leżała na brzuchu na stole do masażu w gabinecie Rona Gordino. Jego dłonie przystąpiły do ugniatania ciała od podstawy szyi, przesuwając się w dół. Wiele razy przedtem Elaine poddawała się masażom, ale sposób, w jaki to robił Ron Gordino, był inny. Szukał i odnajdywał — bez najmniejszego trudu — każdy napięty mięsień. Dotyk jego dłoni był tak kojący, że niemal usypiała. Kiedy skończył, klepnął ją lekko po pupie. — Lepiej? — spytał przeciągle.

—Uhm, dobrze.

—Świetnie. Następnym razem zrobię to samo z oliwką. Spodoba się to pani.

Wstała i przeciągnęła się. — Czuję się tak lekko, tak cudownie. Wyszczrzył zęby.

Mój Boże, jakie on ma wielkie zęby, pomyślała.

—Słyszałem, że pani wydaje przyjęcie, Elaine.

—Tak. Na cześć George'a Lancastera.

—To miło.

—Mam nadzieję. Chyba to jedna z przyczyn, dla których jestem tak spięta.

—Możliwe. Sytuacja stresowa. Może zechce pani przyjść na stosowny masaż już jutro.

Świetny pomysł. — Ciekawe, ile może kosztować u Rona Gordino prywatny masaż.

Prawdopodobnie okropnie dużo. Następną rzecz, o którą Ross będzie robił awanturę.

— Oczywiście. Sprawimy, że na swoim przyjęciu będzie pani odprężona. W doskonałej formie.

- Czy mam uzgodnić to z pana sekretarką, czy dołączymy to do mojego rachunku?

Obruszył się. - Nie zamierzam z pani zdzierać. Po prostu proszę pozwolić mi przyjść na swoje przyjęcie i będziemy kwita.

A, więc to o to chodzi. Nie leciał na jej ciało — tylko na przyjęcie. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Ale przynajmniej był to namacalny dowód na to, że jej party jest najgłośniejszym wydarzeniem w mieście! Co z kolei oznacza wiele więcej niż względy jednego instruktora gimnastyki.

Dopiszę pana do swojej listy, Ron. Może pan na mnie liczyć.

—Będę wdzięczny, Elaine.

—Och, drobiazg.

Tak dobrze było znowu znajdować się w centrum uwagi. Tak bardzo, bardzo dobrze.

Ku niemałemu zdumieniu Neila, Giną Germaine nie okazała się aż tak zła, jak się tego spodziewał. Oczywiście, żadna Fonda, ale ujdzie. Jeżeli pominąć monstrualny biust, który mimo kilkakrotnego owinięcia uporczywie wysuwał się w przód.

Oglądając samotnie próbne zdjęcia w sali projekcyjnej, Neil był zupełnie zadowolony. Przynajmniej jest to dowód, że nie całkiem zwariował. Teraz może bez wstydu pokazać zdjęcia Montanie i Oliverowi. Giną Germaine nie była Nikki, ale jednak coś z niej wyciągnął, cechę dotąd w niej nie spotykana.

Siedział tak w milczeniu w sali projekcyjnej, aż zapaliły się światła. Może niegłupio by było zaangażować Ginę do następnego filmu, jaki planował nakręcić po „Ludziach z ulicy”? Kupił prawa ponad dwa lata temu, teraz pracowało nad tym dwóch młodych scenarzystów. Po paru korektach tu i ówdzie będzie to świetny materiał, by oczom zdumionej publiczności zaprezentować całkiem nową Ginę Germaine.

Oczywiście, ta kobieta to szantażująca go suka. Wściekał się na samo wspomnienie sposobu, w jaki załatwiła sobie próbne zdjęcia.

Ale jeśli wepchnie ją do swojego nowego filmu, to będzie miał ją w garści. I to

wydawało się idealną okazją do odzyskania straconej pozycji.

Dziecinada, ale daje satysfakcję. Spodobał mu się ten pomysł.

Angela za nic nie miała zamiaru wracać do Louisville. Jakże mogłaby wrócić tam pokonana, w dodatku w ciąży?

Kiedy wczesnym rankiem wymykała się z mieszkania Shelly, nie wiedziała, dokąd pójść ani do kogo się zwrócić. Wiedziała tylko tyle, że musi na jakiś czas zniknąć Buddy'emu z oczu. Dać mu do zrozumienia, że ona myśli serio. Należała mu się taka nauczka. Z dnia na dzień stawało się bowiem coraz bardziej jasne, że Buddy myśli wyłącznie o sobie. Powiedział, że ją kocha. Lecz gdyby naprawdę ją kochał, to czyż potraktowałby ją tak obojętnie?

Rozmowa z Shelly w niczym nie pomogła. — Musisz zrozumieć takiego faceta jak Buddy, anielska buzio. W głębi duszy jest samotnikiem. Nie potrzebuje nikogo ani niczego. Świetnie radzi sobie na swój własny rachunek.

A ona mogła poradzić sobie bez wskazówek dziewczyny takiej jak Shelly.

- Spodziewam się dziecka — poinformowała ją chłodno Angela. -Więc będzie musiał nauczyć się żyć w rodzinie.

Shelly parsknęła śmiechem. - - Buddy? Ojciec rodziny? Anielska buzio, mylisz się tak bardzo, że aż zakrawa to na żart. Lepiej zrobiłabyś sobie skrobankę, i to szybko.

Angeli nie spodobała się zbyt dobra rada Shelly. Tej nocy skulona w fotelu rozmyślała nad tym, co począć. Potem, o siódmej trzydzieści rano, zabrała z samochodu swoją walizkę i zdecydowanym krokiem pomaszzerowała pod górę w kierunku Sunset. Miała tylko pięćdziesiąt dwa dolary, ale w przeciwieństwie do Buddy'ego nie bała się najczarniejszej pracy.

Po pewnym czasie minęła zakład fryzjerski, w którego witrynie wisiało ogłoszenie o pracy dla recepcjonistki. Nie opodal znajdowała się kawiarnia. Postanowiła poczekać tam na otwarcie salonu i spróbować dostać tę posadę. Kupiła kilka magazynów filmowych, usadowiła się przy narożnym stoliku i przez dwie godziny zaczytywała się opowieściami o gwiazdach kina.

O dziesiątej odłożyła pismo, zapłaciła rachunek i skierowała się do salonu.

Jakaś babka o dziko rudych włosach i podmalowanych na czarno oczach poinformowała ją, że właściciel nigdy nie zjawia się przed dwunastą.

—Czy mogę poczekać? — spytała Angela.

Wymalowane kredką brwi uniosły się w górę. - Chcesz czekać dwie bite godziny?

—Jeżeli to możliwe.

—No to siadaj i czekaj.

Angela usiadła, kartkując pisma i rozglądając się po otoczeniu. Cały salon wymalowany był na biało i pełen zieleni. Z dobrze ustawionych głośników płynęła głośna muzyka rockowa, a fryzjerzy obojga płci nosili identyczne mundurki składające się z obcisłych białych dżinsów i przewiewnych białych podkoszulków.

Aż do wpół do dwunastej było spokojnie. Potem zaczął napływać strumień klientów. Kobiet i mężczyzn. Angeli przyszło na myśl, że w takim Louisville za nic nie spotkałoby się kobiet i mężczyzn w tym samym zakładzie fryzjerskim.

Około wpół do pierwszej pojawił się wyjątkowo wysoki, wyjątkowo chudy mężczyzna pod czterdziestkę. Miał na sobie kraciatą koszulę, blad różową bluzę i białe tenisówki. Włosy, stanowiące bujny odpowiednik złocistych kędziorków Shirley Tempie, okalały orlą twarz. -Dzień dobry, moi drodzy! -- zaśpiewał do wszystkich i do wszystkiego. — Zadowoleni z życia?

Z szatni wynurzyła się okrągłutka niewiasta w sukni z materiału zadrukowanego w paprocie. Objęła go ramionami i popiskiwała z radości. — Koko! Ten chłopiec, co to mi go podesłałeś w zeszłym tygodniu, to absolutny geniusz! Sprawił, że naprawdę wyglądałam jak Can-dy Bergen!

—Oczywiście, kochanie. Po to tu jesteśmy, ku zadowoleniu klientów. Po to tu wszyscy jesteśmy. Nieprawda, Darlene?

Darlene, recepcjonistka o oczach wymalowanych na misia pandę, nawet nie udawała uśmiechu. Wycelowała trzycalowym, polakierowanym na czerwono paznokciem w Angelę. — Ta siedzi tutaj od chwili otwarcia. W sprawie pracy. I daj ją jej, na miłość boską, bo ja cię ostrzegam. Koko, że nie mam zamiaru znosić ani chwili dłużej awansów Raymondo. Jasne?

Koko wysunął się z objęć krągłej damy i wykrzywił się. — Znam twoje zdanie w tej sprawie, Darlene. Nie teraz, proszę. — Obrócił się ku Angeli i zmierzył ją przeciągłym spojrzeniem. — No proszę, czy nie jesteśmy ładni? No to chodź ze mną, kochanie, i porozmawiamy o twoim doświadczeniu zawodowym.

Pochwalić się mogła jedynie roczną pracą w małym salonie w Louis-ville, ale to wystarczyło. Najwyraźniej Koko równie gorąco pragnął rozstania się z Darlene, jak ona sama.

—Może mogłabyś zacząć już dzisiaj? — spytał z nadzieją.

—Muszę znaleźć sobie mieszkanie — wyjaśniła Angela.

—Jednopokojowe, tanie i w pobliżu?

—Ależ tak.

—To masz dzisiaj swój szczęśliwy dzień, moja piękna. Znam takie miejsce. Darlene!

— wrzasnął; jego przenikliwy głos przebił się przez wycie Jamesa Browna.

—Co znowu? — odrzyknęła dziewczyna ze swojego miejsca za biurkiem.

—Jaka dama! — syknął Koko. — Cóż to będzie za ulga, kiedy wreszcie zabierze się stąd na dobre!

—Jeżeli chodzi o mieszkanie... — zaczęła niepewnie Angela.

—A, tak. Jedna z moich dziewcząt w zeszłym tygodniu wyszła za mąż. Biedna idiotka. Chce podnająć swoje mieszkanie.

—Gdzie ono jest?

—Na Fountain. Odpowiada ci?

W ciągu godziny obejrzała mieszkanie i wynajęła je. Namówiła Koko, by dał jej zaliczkę, i podjęła pracę.

Darlene zebrała swoje manatki, wepchnęła je w wojskowy chlebak i opuściła świat fryzjerski prychając z politowaniem w stronę Angeli.

—Uroczą niewiastą — zaćwierkał Koko. — Nikt się jej nie podoba.

Angela słuchała tylko jednym uchem. Rozkoszowała się bowiem faktem, że w tak krótkim czasie znalazła pracę, pieniądze i mieszkanie.

Więc dlaczego Buddy'emu to się nie udało?

Ciekawa była, czy Buddy już za nią tęskni. Zdecydowała, że nie będzie się z nim kontaktować przynajmniej przez tydzień. Do tego czasu może Buddy nabierze ochoty do wyznania jej prawdy, a jeżeli tak — to mogliby na nowo zacząć wspólne życie. Ale nie wcześniej. Co do tego Angela była absolutnie zdecydowana.

Ross uznał, że gimnastyka mu nie zaszkodzi. Brzęczenie Elaine na temat jego brzucha zaczynało już przynosić pewne skutki. Ross zawsze był w świetnej formie, nigdy nie musiał się o nic troszczyć. Może jednak teraz przytył odrobinę w pasie?

No i co z tego? Przecież zbliżam się do pięćdziesiątki. Nie mogę wiecznie być doskonały.

Poza tym, w jego wieku powinno się od niego raczej wymagać umiejętności grania, a nie prymitywnej muskulatury.

Wiek. Pięćdziesiątka tuż za progiem. Pędząca ku niemu niczym spuszczone ze smyczy wielbicielka.

Jadąc swoim Corniche'em do prywatnego klubu gimnastycznego, do którego niegdyś regularnie uczęszczał, rozmyślał nad swoim życiem. Bywały czasy, kiedy nie mógł sobie pozwolić nawet na gram ciała więcej. Te dni, kiedy naprawdę był na samym szczycie. Król całego tego pieprzonego bajzlu. Pracujący w nim z wielką ochotą.

Wargi wykrzywił mu gorzki uśmiech. Gdzież podzieli się ci wszyscy przyklaskiwacze? Potakiwacze. Wazeliniarze.

No tak. Kiedy był królem, tworzyli grono jego najlepszych przyjaciół. Potentaci, bankierzy, bogacze częstujący go serdecznością niczym cukierkiem, gdyż pragnęli być przyjaciółmi gwiazdora. Ale kiedy jego gwiazda przygasła, to samo stało się z ich przyjaźnią. Żadnych więcej zaprosin czy prywatnych samolotów, żeby mógł polecieć tam, gdzie zechce, żadnych przyjęć na jego cześć. Żadnych więcej jachtów, posiadłości czy wysp, które mógł wynająć, kiedy mu przyszła na to ochota. Żadnych więcej bogatych żon zebrzących o jego ciało. Czy fanatycznych wielbicielek przyprawiających go o szaleństwo.

A pieprzę ich. Ross Conti dowiedział się już tego i owego o ludziach i o tym, jak wykorzystują siebie nawzajem. Kiedy znowu wkroczy w ten zakłęty krąg, wszyscy oni

będą się mogli wypchać. Chyba że on sam postanowi inaczej, chyba że to jemu spodoba się ich wykorzystać. Jeżeli przyjęcie okaże się sukcesem, jeżeli znowu zaczną pracować z Sadie, jeżeli załapie się na „Ludzi z ulicy”.

Na Santa Monica panował ogromny ruch. Kiedy powoli jechał swoim Corniche'em, ze wszystkich stron strzelały ku niemu zaciekawione spojrzenia. W tym mieście sławnych twarzy jego twarz była jeszcze znana. Zasluga telewizji, która przynajmniej raz na tydzień powtarzała jego stare filmy. Ale co po sławie bez wigoru? Bez forsy, za którą można by poszaleć? A pieprzę ich wszystkich.

Zatrzymał się na czerwonym świetle i przyjrzał się temu, co wyprawia się na tej ulicy. Santa Monica została wzięta w posiadanie przez społeczność homoseksualistów. Były tu dyskoteki dla pedałów, kafejki na otwartym powietrzu, sklepy z odzieżą, wszystko w mniejszym lub większym stopniu dla pederastów. Ross osobiście nigdy nie miał skłonności w tym kierunku. Za bardzo wielbił kobiety. Pomyślał o Karen i uśmiechnął się. Błyszczący oliwką, muskularny młodzieniec podpierający przystanek autobusowy zrobił w kierunku jego samochodu zachęcający krok. — Jedzie pan w moją stronę? — wyćwierkał przez uchylone okno od strony pasażera. Jedną ręką już sięgał do klamki. Uśmiech na twarzy Rossa błyskawicznie przerodził się w grymas. — Nie, nie jadę! — warknął. — I trzymaj się z daleka od mojego auta.

— Tylko spokojnie. — Chłopak odskoczył krok w tył. — Jeżeli się panu nie podobam, to nie ma o czym mówić.

Nie ma o czym mówić, co? Rozwścieczony Ross jak strzała ruszył spod świateł. Czy on wygląda, jakby sobie szukał kochanka? Cudownie — być zaczepionym przez męską dziwkę w biały dzień. Czyżby ten głupi dzieciak nie poznał go?

Ostro skręcił w lewo i wjechał na parking. Trochę ćwiczeń fizycznych, oto, czego mu było trzeba. Ostatnimi czasy jedynym ćwiczeniem było pieprzenie się z Karen Lancaster. Twarz Rossa znowu rozjaśnił uśmiech. Co za baba! Może odziedziczyła swój talent. Stary George zawsze sływał z poczynań w łóżku. Niedaleko więc pada jabłko od jabłoni.

Uśmiech powrócił na dobre. Ross wkroczył do klubu gimnastycznego.

— Kamera stop! — powiedziała ostro Montana, zwracając się do asystenta reżysera.

— Zróbmy dziesięciominutową przerwę. Muszę trochę obsztorcować Buddy'ego.

Jak dotąd rozmawiała z nim już sześciokrotnie. Zrobiono sześć ujęć. Buddy zaś wcale się nie poprawiał. Prawdę mówiąc, grał coraz gorzej.

Ale i tak był najlepszy ze wszystkich. Miał prezencję, i to się liczyło. Kim byłby Nicholson bez swojego uśmiechu? Eastwood bez kamiennego spojrzenia? Najpierw liczył się wygląd, dopiero potem umiejętności. Montana potrafiłaby je z niego wydobyć, tego była pewna. Podeszła do niego ostrożnie. Zajęty był nerwowym powtarzaniem pod nosem linijek roli.

—Hej — mruknęła miękko. — Ty mnie nie słuchasz, prawda? Nie słyszysz ani słowa z tego, co do ciebie mówię.

—Ależ tak — odparł. Tak bardzo pragnąłby w tej chwili znaleźć się gdzieś daleko stąd.

—Pogubiłeś się — powiedziała cichym, uspokajającym tonem. - To bardzo nieskomplikowana scena. Kiedy się odprężysz, rozluźnisz, to ci się uda.

—Nie mogę zapamiętać kwestii. Nie potrafię...

—Zapomnij o kwestii — uciszyła go. — Chciałabym, żebyś wydobył z tej postaci duszę. Więc tylko rób swoje i pokaż mi Vinnie'ego.

Przeraził się. — Zapomnieć rolę? Przecież pani mi ją sama dała. Nie spałem całą noc. Znam każde słowo. To znaczy, ja się naprawdę jej uczyłem.

No więc dlaczego się na tym kładziesz?, chciała go spytać. Ale nie zrobiła tego. Objęła go ramieniem i wyprowadziła z planu. — Buddy — powiedziała miękko. — Ja wiem, że ty potrafisz to zagrać. Nie prosiłabym ciebie na próbne zdjęcia, gdybym nie była tego pewna.

—Tak? — odprężył się odrobinę.

—Nie chcę, żebyś marnował swój czas. Ani mój. Jesteś dobry. Czuję to. Będziesz świetny, jeśli zapomnisz o słowach i po prostu staniesz się Vinnie'm. Nic nie szkodzi, jeżeli będziesz mówił coś innego. Zwyczajnie wciel się w postać i mów, co ci ślina na język przyniesie. Nie wysilaj się. Nakręcmy coś innego niż ciebie mówiącego do

kamery „o, cholera”.

Potulnie skinął głową. *Buddy Hudson stal przed swoją życiową szansą i „o, cholera”, właśnie ją zaprzepaszczał.*

— Wiem, czego pani chce — zapewnił Montanę, biorąc głęboki oddech. — Proszę mi wierzyć, naprawdę to zrozumiałem. Sama się pani przekona.

Uśmiechnęła się, dodając mu otuchy, i zmierzyła go tygrysimi oczami. — Robimy następne ujęcie. Tym razem będziesz bombowy, zgoda?

Obliznął spierzchnięte wargi i kiwnął głową. — Może się pani założyć.

Ucałowała go lekko w policzek i zajęła z powrotem stanowisko za kamerą.

Do przodu wyrwała się charakteryzatorka i przypudrowała go. -Powodzenia — szepnęła.

Odrobina powodzenia, oto, czego mu było trzeba.

— Gotów, Buddy? — spytała Montana.

Przytaknął, w gardle urosła mu jakaś kula, napięcie ścisnęło żołądek.

- Pamiętaj. Ty właśnie jesteś Vinnie'm. W porządku. Kamera!

Kamera. Wejście na plan przed kamerą. Zerknięcie w lustro — odruchowo wzburzył włosy. Słuchawka telefoniczna. Podnieść ją. Słowa. Gdzie się podziały te cholerne słowa? Przecież nie da znowu plamy, prawda?

Pierwsza kwestia poszła mu całkiem gładko. Pauza. Papieros. Co tam ma być dalej? Nie mógł sobie przypomnieć. Zastosować się do rady Montany. Powiedzieć coś własnego, wymyślić cały ten cholerny monolog, udawać, że z drugiej strony słuchawki jest Angela. Szeptać jej czule słówka, tak jak kiedyś.

I nagle, całkiem niespodziewanie, zapomniał o kamerze, o ekipie, zignorował to wszystko. Zaczął się zachowywać jak we własnym domu, pewny siebie, czarujący, Buddy Boy w dobrej, starej formie.

Montana patrzyła na niego z natężeniem. Nareszcie to zagrał. Słowa roli odeszły w zapomnienie, markował je niczym zawodowiec. Chryste! Jeżeli te cechy, które tutaj przedstawiał, znajdują się i na taśmie filmowej, to mu się udało.

— Kamera stop! — powiedziała triumfalnie.

A Buddy dopiero z najwyższym trudem zdołał wystopować, tak wczuł się w rolę.

—Ujęcie gotowe — powiedziała Montana, podchodząc do niego. — Dziękuję, Buddy. Byłeś wspaniały.

—Naprawdę?

—Dokładnie tak, jak to przewidziałam.

—Hej! — Wróciła mu cała pewność siebie. — Ja dopiero zacząłem. Może by jeszcze? Pokręciła przecząco głową. — W kolejce czeka jeszcze dwóch aktorów. Chyba nie chcesz pozbawiać ich szansy, co?

Wyszczerzył zęby, adrenalina na najwyższym poziomie. — Czemu nie?

Uśmiechnęła się, po raz drugi popatrzyli sobie w oczy. Potem Montana ściągnęła z włosów przyćmione okulary i bardzo formalnie wyciągnęła rękę. — Udało ci się, co mnie ogromnie cieszy. Do widzenia, Buddy, i złam nogę.

Do widzenia! Czyżby straciła zmysły? — Hej... — zająknął się. -4 Kiedy będę coś wiedział?

—Powiadomimy twojego agenta.

Ależ on nie miał żadnego agenta. Tylko że teraz nie byłoby naj-poręczniej przyznać się do tego faktu. Więc po prostu musi być w stałym kontakcie z Ingą.

—Aha — odparł pokornie. — Ale mniej więcej kiedy?

—Kiedy podejmiemy decyzję — odpowiedziała stanowczym tonem. Rozmowa skończona. Odwróciła się na pięcie i odeszła nucąc coś pod nosem. Czowała się prawie tak świetnie jak on. Praca z aktorem i zmuszenie go do świetnej gry było niewiarygodną przyjemnością. Nie mogła doczekać się chwili, w której obejrzy zdjęcia z Buddym i przekona się, czy miała rację.

Nic dziwnego, że Neil był taki roztargniony, kiedy kręcił filmy. Wszystko leży w rękach reżysera, więc on (czy ona) tworzą ten cud. Och, co za satysfakcja.

Buddy patrzył za nią. No tak, jeśli chodzi o nią, to świetnie, zrobiła swoje. Ale co z nim?

Podeszła charakteryzatorka. — Ostatnie ujęcie było sensacyjne! — entuzjasmowała się. — Nie będę zdziwiona, jeżeli to tobie dostanie się ta rola. Naprawdę, aż mnie

zatkąło.

Teraz takich właśnie słów mu było trzeba. Pewność siebie zaczynała krążyć mu w żyłach. — A dlaczego tak uważasz? — spytał.

—Mam przeczucie.

—Widziałas innych?

—Dotąd tylko jednego. Ale nawet nie umywał się do ciebie.

—Jasne, że nie. Może jednak i tak mi o nim opowiedz. — Wziął dziewczynę pod ramię. — Chodźmy gdzieś na kawę.

Nie zawadzi dowiedzieć się czegoś o rywalach. Absolutnie nie zawadzi.

Jak podobne są do siebie przedmieścia każdego miasta. Wielkie, gigantyczne autostrady wypływające z siebie objazdy, przy których przycupnęły bliźniacze stacje benzynowe, motele, kafejki.

Deke'a interesowała tylko jazda przed siebie. Ohio, Indiana, Missouri. Prawie nie zauważył, jak minął Oklahomę. Szosa nabrała magnetycznej siły, wchłonęła go, mila za milą prowadziła do miejsca przeznaczenia.

Joey wpuściła go w maliny.

Joey wyśmiewała się z niego.

Często ją widywał.

Suka.

Umarła.

Sama była sobie winna.

—*Chcę poznać twoich starych i ustalić wszystko. Rzygać już mi się chce na to ciągle mydlenie mi oczu. — Wlepila w niego nieszczęsny wzrok. — Słyszysz, co do ciebie mówię?*

Słyszał ją całkiem wyraźnie. Od paru tygodni powtarzała w kółko to samo. On zaś wynajdywał coraz to wátlejsze wymówki.

—*Uważasz pewnie, że nie jestem godna, żeby ich poznać, co? Jeśli ci o to chodzi, to zabieraj z powrotem swój pieprzony pierścionek i wynoś się do diabła. — Ściągnęła z palca tani pierścionek z granatem i cisnęła nim w Deke'a. — Albo poznaję ich w tym*

tygodniu, albo koniec z nami, kochasiu.

Pragnął wziąć z nią ślub. Wcale nie zmienił swojego postanowienia. Ale czy nie byłoby lepiej, gdyby się gdzieś zaszyli i pobrali po cichu? A dopiero potem wprowadziłby ją do domu. Wtedy starzy zmuszeni by byli ją zaakceptować.

Zaproponował to Joey już wcześniej, ale ona nawet nie chciała o tym słyszeć. Chciała natomiast, aby wszystko „odbyło się jak należy”. Tak to określiła. „Po prostu jak ludzie”. Posunęła się nawet dalej, kupiła pismo „Panna Młoda” i wycięła z niego zdjęcie sukni ślubnej.

— Czy oni nie chcą mnie poznać? — dopytywała się uparcie. — Nie pragną poznać dziewczynki, która zamierza wyjść za ich bezcennego synalka?

Nie odważył się przyznać jej, że do tej pory nawet nie wspomniał im o niej słowem. Oni nigdy nie zaaprobuje żadnej dziewczyny, którą by przyprowadził do domu. A już szczególnie nie zaakceptowałiby Joey, z jej krzykliwym strojem, nachalnym makijażem i rozczochranymi pomarańczowymi włosami.

- W przyszłym tygodniu — przyrzekł potulnie. Kochał ją. Zaspokajała jego ciało, jeżeli to oznaczało miłość.

— Obyś się tylko nie mylił — prychnęła niczym dzika, bezpańska kotka.

I nie chciał się mylić. Ale sama myśl o wprowadzeniu Joey do domu rodziców przyprawiała go o migrenę. Czego aż tak się bał?

Strumieniem wracały wspomnienia.

Miał sześć lat. Z przyjacielem stawiał babki z piasku. Pojawiła się matka, z nachmurzoną twarzą, głos jej przybrał piskliwe tony. — Ty parszywy, brudny chłopaku! Dziś rano nałożyłam ci czyste ubranie. Natychmiast wracaj do domu!

Biła go tak, aż twarz jej zaczęła ociekać potem, a nogi Dekę'a pokryły krwawe pręgi. Ojciec milczał.

Wtedy to był pierwszy raz. Ale zdarzyło się wiele następnych okazji, zawsze podobnych do siebie — a to zjedzony posiłek, a to brudne ubranie porzucone na podłodze łazienki. Kiedy Dekę skończył szesnaście lat, łanie ustało tak samo niespodziewanie, jak się zaczęło. W jego miejsce pojawiły się cięte uwagi. Potok zjadliwości nawet

bardziej bolesnych niż fizyczna kara.

Zaczął wierzyć w jej upadlające go słowa. Przecież była jego matką, o czym nigdy nie omieszkala mu przypomnieć. Dała mu życie. W bólach.

- Prawie że mnie zabiłeś — wywrzaskiwała często. — Prawie umarłam, wydając cię na świat. — Brzemie winy stawało się nie do zniesienia. Nieomal zabił własną matkę, dlatego więc go karała i dlatego musiał się z tym godzić. Powtarzała mu, że jest słaby, obrzydliwy, bezwartościowy, pasożyt, idiota. Jaka dziewczyna kiedykolwiek na niego spojrzy? Kto kiedykolwiek da mu pracę?

A przy tym matką miały sprzeczności. Kiedy przyprowadził do domu dziewczynę, to ona nie była dla niego zbyt dobra. Kiedy już dostał pracę, to ta praca była dla niego nieodpowiednia.

Poniżyć go, wywyżżyć. W co powinien uwierzyć?

Wstyd i poczucie winy, oto, z czym wyrósł. A także z mrocznym, uporczywym strachem, który zrywał go nocami. A niekiedy wysyłał na ulice, aby tam robił dokładnie te rzeczy, o które go podejrzewano.

Gwałcił kobiety. To one były jego wrogami i zasługiwały na karę tak samo, jak on na nią zasługiwał.

Zawsze zachowywał ostrożność, wybierał ofiary w starszym wieku, gdyż te były zbyt przerażone, by z nim walczyć.

Kiedy spotkał Joey, wszystko się odmieniło. I gdyby tylko jego rodzice ją zaakceptowali, wszystko mogłoby się skończyć dobrze.

Tuż przed Amarillo w Teksasie złapał go zmierzch. Dekę zatrzymał się, by uzupełnić paliwo. Kiedy ponownie wjechał na autostradę, zauważył czekającą na okazję autostopowiczkę. Była opalona, dźwigała plecak. Ubrana jedynie w króciutkie szorty khaki i podkoszulek z wydrukowanym napisem: JOGGERZY ROBIĄ TO W BUTACH.

Przystanął. Sam nie wiedział dlaczego. Że zrobił błąd, uświadomił sobie dopiero wtedy, kiedy dziewczyna siedziała już obok niego.

Chciała pogadać. — Jak masz na imię, kotku? Gdzie jedziesz? Co robisz? Jak długo

jesteś w trasie?

Jego gburowate chrząknięcia nie zraziły jej. Ignorując fakt, że jej nie odpowiada, beztrąsko gawędziła o sobie. Pochodziła z Południa, wyjaśniła, wyszła za mąż w wieku szesnastu lat, rozwiodła się mając siedemnaście. Dwa lata kelnerowała, aż pewnego dnia postanowiła ruszyć na szlak i zwiedzić kraj. — I od tamtej pory znakomicie mi się wiedzie — zwierzyła się. — Żadnego śmierdzącego zegarka, który by cię poganiał. Po prostu czysta wolność i radość z życia. — Przesunęła się na brzeg siedzenia. — Za dziesiątka wspaniale pomogę ci ulżyć sobie. A nawet poczęstuję cię skrzydełkiem. Jak ci się to widzi?

Absolutnie mu się nie widziało. Przeciwnie, zezłościło go. One wszystkie są kurwami. Wzięła jego milczenie za zgodę i pogładziła go czule po kolanie. — Za ekstra dziesiątkę zrobię ci to ustami. A za następne pięć przełknę to jak najlepszy trunek. Co ty na to?

Pomyślał, że ją zabije. Tak łatwo było usuwać mierzwę. Oczyszczyć świat ze złych ludzi. Usunąć wszystkie te kurwy i wszystkich tych alfonsów, i ludzi, którzy się z niego naśmiewali.

Ależ ona się ze mnie nie śmieje.

No to zacznie.

— Zatrzymaj się na następnym parkingu — odezwała się rzeczowo. — I, kotku, jasne jak słońce, że pokochasz moje pieszczoty rodem z Południa — roześmiała się.

A widzisz?

Ucieszył się. To był znak, że należy wykonać to, co miał wykonać. Zniweczy kurwę. Właśnie dla tej przyczyny mu ją podesłano.

Coraz wyraźniej zaczynał zdawać sobie sprawę, że pewne rzeczy nie dzieją się wcale przypadkowo, że są już od dawna zaplanowane. Że pewne jednostki ludzkie posłane są na ziemię po to, aby utrzymać na niej porządek. Spodobało mu się to wyrażenie: „utrzymać porządek”. Proste, klarowne słowa.

— Jestem Stróżem Porządku — powiedział na cały głos.

— Co takiego?

Nie może pozwolić, żeby się o tym dowiedziała. Nie może jej ostrzec przed czasem.

—A, nic — mruknął.

- No to chodź, kotku, znajdziemy sobie miejsce i pójdziemy na całość — powiedziała, przysuwając się jeszcze bliżej. — Ze mnie kobit-ka, która uwielbia te rzeczy. Niech to diabli wezmą! Ty i ja, naprawdę sobie poszalejemy!

Niech to diabli wezmą.

Kolejny znak.

Przycisnął pedał gazu. Im szybciej to wykona, tym szybciej będzie mógł ruszyć w dalszą drogę w swojej prawdziwej misji. Stróż Porządku miał w Kalifornii pewne zadanie do wypełnienia.

I miła za miłą zbliżał się do celu.

Od trzech tygodni Elaine miała romans. Pierwszy od dwóch lat. Wcale nie zamierzała wikłać się w coś tak rujnującego nerwy i pochłaniającego czas. Szczególnie że organizacja przyjęcia gładko posuwała się naprzód, choć jeszcze wiele pozostawało do zrobienia.

To przyjęcie miało tak ogromne znaczenie i dla niej, i dla Rossa, że doprawdy nie powinna pozwolić, aby cokolwiek innego zaprzętało jej uwagę. Tylko że najlepszych romansów nigdy się nie da przewidzieć. Po prostu, wślizgują się w twoje życie niczym poobiednie trunki. Jeden prowadzi do następnego i nim się spostrzeżesz, już jesteś cudownie ululana.

Elaine zaczęła dokładnie w ten sam sposób. Prywatny masaż u Ro-na Gordino. — Proszę owinać się ręcznikiem — powiedział cedząc słowa — i ułożyć się na kanapce. — Obojętnie pokazał swoją prywatną łazienkę, a Elaine zdjęła kostium i przepasała się ściśle różowym ręcznikiem, który Ron umyślnie zostawił w tym celu.

Romans? To była ostatnia rzecz, jaka mogła jej przyjść do głowy, kiedy leżała na brzuchu na stole do masażu i poddawała się silnemu uciskowi jego dłoni.

Zastosował pachnącą oliwkę, tak jak przyrzekał, pracował nad jej ramionami, plecami, podstawą kręgosłupa, mocno i delikatnie. W miarę masażu przesunął ręcznik coraz niżej i niżej, aż wreszcie, w sposób całkiem naturalny, zupełnie go zsunął. I wtedy

ukazały się koronkowe majteczki, które Elaine skromnie zostawiła na sobie.

—Elaine — poskarżył się Ron — przecież miała się pani całkowicie rozebrać do tego rodzaju masażu. Ta oliwka jest naprawdę tłusta, a nie chciałbym zniszczyć pani desusów za pięćdziesiąt dolarów.

Zdumiała się. A skądże on wiedział, że majtki kosztowały pięćdziesiąt dolarów?

—Nic nie szkodzi — rzuciła szybko.

—Ależ szkodzi, proszę je zdjąć. Chyba się pani nie wstydzi, prawda?

Zawahała się tylko przez sekundę, a potem zdecydowała, że nie chce się mu wydać pruderyjna. Mała Etta z Bronxu. — Oczywiście, że nie.

—No to proszę.

Już prawie zaprotestowała, ale to byłoby głupie, gdyż on i tak obejrzy sobie tylko jej pupę. A tę miała wyjątkowo kształtną, nawet Ross musiał to przyznać. Jednym ruchem sięgnęła do tyłu i niezgrabnie wywinęła się z kompromitującej bielizny.

Pomógł jej, ściągając majtki zdecydowanym ruchem. — Tak jest znacznie lepiej — orzekł, wyciskając oliwkę z plastikowej butelki prosto na jej obnażony tyłek.

Czuła się trochę głupio — ciekawe, czy tego rodzaju usługi świadczył także Bibi Sutton — ale już po chwili poddała się głębokim, kolistym ruchom jego palców. Cóż za podniecające wrażenie! Natychmiastowy zawrót głowy. Szczególnie że oliwka poczęła sączyć się między jej pośladkami, a palce Rona Gordino natrafiły na takie miejsce w jej krzyżu, że z ust Elaine wyrwał się mimowolny okrzyk rozkoszy.

—Nieźle, co — wycedził, absolutnie o tym przekonany.

—Bardzo dobrze — odparła, z trudem panując nad swoim głosem.

—Obróć się na plecy.

Obrócić się? Była naga, bezbronna, doprowadzona do najwyższego podniecenia. Obrócić się, a co potem? Seks? Z instruktorem gimnastyki? Czyżby nie zasługiwała na kogoś lepszego, nawet jeżeli Ron Gordino był gwiazdą tego sezonu?

Miałaś już dentystę, Elaine. Drugorzędnego aktorzyne. No to co, nagle się stałaś wybredna?

Odwróciła się na plecy. I tak się to wszystko zaczęło.

Spotykali się trzy, cztery razy w tygodniu w jego prywatnym gabinecie. Ron rozładowywał jej napięcie, a przy okazji i swoje. Rozmowy ograniczone do minimum, akrobacje łóżkowe wręcz przeciwnie. Ron Gordino wyznawał zasadę rozciągania ciała aż do granic możliwości. Elaine zaś okazała się pojętną uczennicą. Przez dwa lata odmawiano jej seksu, a tu nagle stała się jakby wędrowcem, który przebrnął przez pustynię i natrafił na tyle wody, ile tylko dusza zapagnie.

— Jesteś szaloną kobietą, Elaine — orzekł przeciągając słowa Ron. Miał oczywiście rację. Na tyle szaloną, aby się z nim spotykać, ale jednocześnie rozkoszującą się każdą sekundą tych sekretnych uciech. Jasne, że Karen natychmiast się czegoś domyśliła. — Jak mają się sprawy między tobą a tym szejkiem gimnastycznego biznesu? — spytała rozbawiona. — Spędzasz w jego gabinecie więcej czasu niż on sam.

Karen była jedną z jej najlepszych przyjaciółek. Ale prawo dżungli, jaką był Hollywood, głosiło: „Nigdy nikomu nie ufaj — a już na pewno nie swoim najlepszym przyjaciółom”.

— Jest znakomitym masażystą — odpowiedziała niewinnie Elaine.

— Pamiętasz, że miałam kłopoty z kręgosłupem? Przysięgam ci, że prawie je wyleczył.

— Jakie dawne kłopoty z kręgosłupem?

— Wypadł mi dysk, dwa lata temu. Od tamtej pory cierpiałam na bóle w krzyżu.

Karen spojrzała na nią podejrzliwie. — Hmm...

Lista tych, którzy obiecali stawić się na przyjęciu, układała się prześlicznie. Na samym szczycie widniało „tak” od Sadie La Salle, dla której to, chociaż ona sama nic o tym nie wiedziała, urządzano to party. Elaine nie posiadała się z radości. Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem, życie znowu wkroczy na lepsze tory. Już wszystko układa się pomyślniej.

To, że Angela zniknęła bez śladu z jego życia, nie poprawiło Bud-dy'emu humoru. Prawdę mówiąc, przeraziło go śmiertelnie. Mogła mieć sobie dwadzieścia lat, ale wciąż była dzieckiem, a ulice Hollywoodu roiły się od alfonsów i prostytutek, którzy nie posiadaliby się ze szczęścia, mogąc położyć swoje obleśne łapy na dziewczynie

takiej jak Angela.

Aż ciarki go przeszły na samą myśl o tym. Starał się wmówić sobie, że Angela wsiadła w samolot powrotny do domu, chociaż świetnie wiedział, że to byłaby ostatnia rzecz, jaką by uczyniła. Zmusił jednak Shelly do zadzwonienia do Louisville.

—Jakaś kobieta powiedziała, że ona jest w Hollywood — oświadczyła Shelly odkładając słuchawkę.

—Może pojechała pociągiem i jeszcze tam nie dotarła — rozumował.

—Może. A może wciąż jest w mieście. Spójrzmy prawdzie w oczy, w tym mieście toczy się i inne życie, poza Buddym Hudsonem.

Zlekceważył jej słowa. Co ona mogła wiedzieć.

W głowie ułożył sobie cały scenariusz. Angela, w Louisville, z powrotem na łonie przybranej rodziny. Buddy, w Hollywood, dzięki „Ludziom z ulicy” zostaje sławnym gwiazdorem. Potem przelot, oczywiście pierwszą klasą, do Louisville. Na lotnisko wyjeżdża po niego limuzyna, taka długa na szesnaście stóp, wyposażona w telewizor i barek z tyłu. Jazda do domu Angeli, gdzie szofer otwiera drzwiczki samochodu, Buddy wychodzi, a Angela wybiega na jego spotkanie. Piękna Angela brzemienna jego dzieckiem. I niech wszyscy pękają z zazdrości.

—Masz jakieś nowiny o swoim teście? — spytała Shelly. Zmiana myśli. Zmiana nastroju. Chwytał słuchawkę i nakręcił numer Ingi. — Co nowego? — spytał niecierpliwie.

—Buddy! Dzwonisz już dzisiaj po raz trzeci. Zdjęcia miałeś dopiero cztery dni temu, a ja przyrzekłam ci, że dam ci znać, jak tylko się coś wyjaśni.

Nie najlepiej. Czy Inga na pewno mówi mu wszystko, co wie?

—A może byśmy zjedli dziś wspólnie obiad? — spytał niespodziewanie, uznając, że odrobina osobistej uwagi może coś pomóc.

Inga zdziwiła się niepomiernie. Już od tygodni usiłowała zwabić go na randkę. — Zaklepane — powiedziała szybko, nim miał czas się rozmyślić. — Kiedy i gdzie?

—Podjadę do ciebie do biura. O której kończysz?

—O piątej.

—O piątej — powtórzył. — Będę. — Miał nadzieję, że może wpadnie na Montanę i od niej wydobędzie całą prawdę.

Zapomniał o tym, że w pokoju jest Shelly. — Tak szybko umawiasz się na randki? — spytała złośliwie. - Jakąż wy, mężczyźni, macie krótką pamięć.

—Pożyczysz mi pięćdziesiąt dolców, Shelly? — przymówił się.

Zezłościła się. — Pożyczyłam ci pięćdziesiąt przedwczoraj. Naciągnij Randy'ego, ten tarza się w forsie. A ja jestem tylko pracującą dziewczyną, która chciałaby, żeby zwrócono jej za korzystanie z jej telefonu i oddano pięćdziesiąt dolarów.

Buddy ruszył ku drzwiom. — Niech cię o to głowa nie boli.

—Łatwo ci powiedzieć, ważniaku.

—Przypuszczam, że Elaine bawi się w doktora — oświadczyła Karen Lancaster.

—Co takiego? — spytał Ross, leniwie ściskając palcami jeden z jej niewiarygodnych sutków.

—Au! — krzyknęła cicho, turlając się na swoim ogromnym, kolistym łożu tak, by umknąć przed jego dotykiem.

—Chodź no tutaj, kobieto — zażądał.

—To ty chodź i weź sobie sam — odparła.

Podczołgał się przez skotłowane prześcieradła, warcząc niczym tygrys. Rzucił się na nią z wywieszonym, ruchliwym językiem i napreżonym członkiem.

Zaśmiała się, lubując każdą chwilą. — Stajesz się nienasycony, Ross!

—Ty też nie bardzo przypominasz świętą.

Kochali się głośno, wiedząc, że ich jęki i westchnienia nie zakłócą niczyjego spokoju w tym odizolowanym domku przy plaży. A po wszystkim Karen znowu zaczęła swoje:

— Myślę, że Elaine bawi się w doktora.

I Ross znowu powtórzył: — Co takiego?

Na co Karen: — Pieprzy się z człowiekiem do wynajęcia. Znalazła sobie kochanka. Ma romans.

Prychnął z rozbawieniem. — Straciłaś rozum? Elaine nie znosi seksu nawet we własnym domu. To ostatnia osoba, która by miała ochotę na coś takiego.

—Założysz się?

—Już przegrałaś.

—Co to za problem, kotku? Nie podoba ci się myśl, że twoja żona chodzi do łóżka z kimś innym?

W głos Rossa wkradło się zniecierpliwienie. — A kogo posądzasz, że jest domniemanym kochankiem Elaine?

—Rona Gordino! — oświadczyła triumfalnym tonem.

—Co to za kutas ten cały Ron Gordino?

—Ma dwadzieścia osiem lat, sześć stóp dwa cale, były komandos. A obecnie męskie ciało numer jeden w Beverly Hills. Osobiście polecony przez Bibi Sutton.

Ross parsknął śmiechem. — Przecież to pedał!

—Biseks, kochanie. A między pedałem a takim, co robi na dwie strony, jest wielka różnica, kochanie. Zaś nasz Ron zdecydowanie robi na dwie strony, wliczając w to orgietki, o tym cię mogę zapewnić. I teraz właśnie daje Elaine wszystko to, o czym myślisz pewnie, że ona nie chce tego w domu. Pieprzy ją po królewsku, Ross. Tylko rzuć na nią okiem, jeżeli masz wątpliwości. Aż cała rozkwitła.

—Elaine nie puszcza się na lewo i prawo — uciał, jednocześnie wysilając pamięć, kiedy to po raz ostatni przyjrzał się swojej żonie.

Karen zgrabnie wstała z łóżka. — Jak sobie chcesz — mruknęła słodkim tonem. — Nigdy nie spotkałam faceta, który by naprawdę uwierzył, że jego żona przyprawia mu rogi. Nawet jeżeli on sam rzuca się na wszystko, co oddycha.

Elaine? Przyprawia mu rogi?

Ależ to śmieszne.

Elaine zajmuje się domem, ciuchami, rozrywkami, robieniem tego, co należy. Seks nawet jej nie obchodzi.

—Posłuchaj — rzekł stanowczo. — Ja wiem, że Elaine by mi tego nie zrobiła.

—Ale ty jej to robisz.

—To co innego.

Karen wyduła wargi i niespodziewanie pokazała mu język. — Szowinista!

—Krowa!

Ze srebrnego pudełka wyjęła skręta, wskoczyła z powrotem do łóżka i paląc usiadła ze skrzyżowanymi nogami.

Ross przyglądał się jej, jego palce tęskniły za jej zmysłowymi sutkami.

—Czyżby ci to przeszkadzało? — dopytywała się otwarcie, zaciągając głęboko, a potem przekazując mu trawkę.

Zaciągnął się aż po pepek.

—Owszem. — A z jakiej racji nie miałyby przeszkadzać? To on płacił rachunki. Płacił za jej paznokcie, włosy, ciuchy, ćwiczenia gimnastyczne. Ona była panią Rossową Conti. I jeżeli się puszczała (w co on osobiście i szczerze Wątpił), to czyż nie był to cios wycelowany prosto w jego męskość?

—Dlaczego? — domagała się wyjaśnień Karen.

—Nie możemy zakończyć tego przesłuchania? Kogo to obchodzi?

—Ciebie. Bez dwóch zdań.

Ziarno zostało zasiane. I to wystarczyło.

Nie minęło wiele czasu, a Angela stała się ulubienicą całego salonu fryzjerskiego Koko. Siedziała za biurkiem w recepcji z szeroko rozwartymi oczami, gładką cerą i miękkimi jasnymi włosami spływającymi na ramiona. Cóż za odmiana po wytapetowanej Darlene, naczelnej kapłance zakonu dziwek.

—Kim ona jest? — pytali wszyscy Koko. — I gdzie ją wynalazłeś?

Jest taka słodka, taka uprzejma.

—Nic o niej nie wiem — szeptał Koko, patrząc na Angelę niczym zazdrosny alfons, przerażony, że może mu ją ukraść jakiś sprytny, zdolny harcerzyk. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, w salonie panował porządek. Żadnych wrzeszczących histerycznie kobiet, żadnych gorzkich przepychanek nad źle rozpisanymi wizytami. Nawet Raymondo, fryzjer obdarzony najbujniejszym temperamentem w zakładzie, uciszył się pod wpływem jej obecności. Trzymał się od niej na pełną szacunku odległość, co w jego wypadku oznaczało niepodszczypywanie jej po pupie za każdym razem, kiedy znalazła się w pobliżu.

Jej uroda oszołomiła wszystkich. Ale Angela zaraz na wstępie wyjaśniła, że jest szczęśliwą mężatką i że jej mąż na krótki czas wyjechał z kraju. Uprzejmie odrzucała wszelkie zaprosiny na imprezy — tak ze strony personelu, jak ze strony klientów. Była przyjazna, ale wyniosła, o sobie nic nie mówiła, ale zawsze była gotowa godzinami słuchać zwierzeń o kłopotach innych osób.

Kilka razy na dzień ten i ów powtarzał jej, że powinna zostać aktorką albo modelką. Ale ona tylko z uśmiechem wyjaśniała, że to jej nie interesuje. I naprawdę tak było, gdyż rosło w niej dziecko Bud-dy'ego. Zapomniała o Oliverze Easterne'ie i jego oszałamiających obietnicach. Ważniejsze było zaprowadzenie porządku we własnym życiu.

Wiele myślała o Buddym. Potraktował ją strasznie. Instynktownie czuła, że musi mu dać trochę czasu. Po to tylko, żeby uświadomił sobie, jak ważny był ich związek.

W pewien sposób czuła się silna i dumna z siebie za to, czego dokonała. Samotne życie nie jest łatwe, ale lepsze od przebywania z Buddym i przyglądania się, jak on siebie niszczy.

—Nie poszłabyś dziś wieczór na tańce? — Raymondo zmierzył ją pożądlivym spojrzeniem. Podszedł do recepcji już po raz dziesiąty tego dnia.

Poważnie potrząsnęła głową.

—Nie, nie pójdzie — warknął Koko, materializując się ze swojej pakamery. — Prawda, skarbie?

Uśmiechnęła się łagodnie. Wzruszyła ją troska Koko. Ani na chwilę nie przestawał się nią opiekować. Odwróciła się, by powitać tęgą niewiastę o żółtych kędziarach, odzianą w obszerny kaftan. — Dzień dobry, pani Liderman. Jak pani się dzisiaj miewa?

Pani Liderman rozjaśniła się. — Jest mi gorąco. Frowie'emu tak samo. — Podniosła z podłogi miniaturowego pudła i posadziła go na biurku przed Angela. - Podaj maleństwu coś do picia. To dobry piesek. — Na jej tłustych palcach zaśniły diamenty. - Któregoś dnia razem z tymi pierścionkami odetną pani palce — westchnął Koko. — Powinna być pani ostrożniejsza, pani L.

Niewiasta zachichotała radośnie. — Bez moich małych iskierek czuję się całkiem goła.

Koko westchnął zabawnie. — To wobec tego ja bardzo panią proszę, żeby ich pani nawet na chwilę nie zdejmowała!

Pani Liderman zachichotała jeszcze głośniej. Angela uśmiechnęła się uprzejmie i tęga dama odmaszerowała, by poddać się zręcznym dłoniom Raymondo.

—Jedno z najbogatszych starych babsk w L.A. — wyjaśnił zniżonym głosem Koko.

— A jeszcze dotąd zachowuje się, jakby wycierała kąty w May Company.

—Ja tam lubię May Company — zaprotestowała Angela.

—Ty lubisz... — westchnął. — Skarbie, w najbliższych dniach po prostu muszę cię zacząć edukować. Z twoim wyglądem również możesz skończyć jako jedna z najbogatszych dam w tym mieście. Ale musisz się jeszcze wiele nauczyć.

—Czego?

—Wszystkiego.

Giną Germaine bosymi stopami przebiegła po mięsistym, białym dywanie i mocno zarzuciła Neilowi ręce na szyję. — Naprawdę podobały ci się moje zdjęcia, naprawdę? Wyzwolił się z jej objęć. — Tak.

Łaknęła pochwał* — Tylko tyle?

—Byłaś bardzo dobra.

—A co myślą o tym Oliver i Montana? — dopytywała się niespokojnie. — Czy zostałam Nikki, Neil? Do diabła, czy zostałam Nikki?

Potrząsnął głową i powiedział: — Nie. — Podniósł dłoń, by powstrzymać jej wybuch gniewu, i wyjaśnił, jakie ma wobec niej plany na przyszłość.

Słuchała z napięciem, skręcając w palcach lok platynowoblond włosów, przygryzając dolną wargę, wlepiając w niego lekko wyłupiaste niebieskie oczy.

Tak, jak on to tłumaczył, wszystko wyglądało dobrze. Nie, nie została Nikki. Miał wobec niej daleko większe plany. Nowy film. Wydarzenie artystyczne, które naprawdę uczyni z niej poważną aktorkę.

—Masz scenariusz? — spytała podekscytowana, kiedy umilkł.

Uśmiechnął się w duchu. Złapała przynętę. — Znam go na tyle, iż wiem, że każda aktorka w tym mieście dałaby się obedrzeć ze skóry, aby w nim zagrać.

Oblizła wypukłe wargi, ze wszystkich sił próbując się opanować, ale kiedy zadała pytanie, w jej głosie zadźwięczała niecierpliwość: — Kiedy zaczynamy?

— Jak tylko skończymy „Ludzi z ulicy”.

Spojrzała na niego jeszcze ostrzej. Czyżby zamierzał wystrychnąć ją na dudka? Mamiąc obietnicami, aby wyśliznąć się z jej pułapki? — Dlaczego nie miałabym wpierw nakręcić „Ludzi z ulicy”? — zażądała wyjaśnień.

— Czyżby nie dotarło do ciebie nic z tego, co ci tłumaczyłem? To wszystko by popsuło.

W głosie Giny zadźwięczała złość. — Ofiarowujesz mi gołębia na dachu?

— Ofiarowuję ci, moja droga, szansę zerwania z odgrywaniem najgłupszych cip pod słońcem. Szansę stania się poważną aktorką. — Patrzyła w zamyśleniu, więc skorzystał z okazji, by dodać: — I chciałbym nasze kasety wideo. Nie zamierzam pozwolić ci, byś wszystko zmarnowała. Musisz oddać się w moje ręce. Chcę zrobić z ciebie najbardziej rozrywaną aktorkę w tym mieście. A kiedy już tego dokonam, wszyscy się będą o ciebie ubiegać.

— Jaką mam gwarancję, że rzeczywiście masz taki zamiar? — spytała szybko. — To wszystko brzmi pięknie, ale ja nie jestem idiotką.

— Nigdy tego nie twierdziłem. Widzisz, moja droga, ja jestem gotów podpisać z tobą kontrakt. Oliver Easterne wynegocjuje warunki z twoim agentem, ale ty nie bądź taka wybredna. To tobie ten film jest bardziej potrzebny niż mnie. — Umilkł na chwilę. — I żadnej prasy ani anonsów. Aż sam ci na to pozwolę. Zgoda?

Ssąc dolną wargę kiwnęła potakująco głową.

— W tym samym dniu, w którym podpiszesz kontrakt, chcę z powrotem te taśmy. Bez żadnych sztuczek, Gino. Żadnych kopii. Ponieważ, kiedy już przystąpimy do naszego przedsięwzięcia, mogę cię wynieść na szczyty, a potem — zniszczyć.

— Chodźmy do łóżka, Neil — zagruchała, gdyż podnieciła ją jego nieoczekiwana stanowczość.

—Nic z tego — uciał obcesowo. — Od tej chwili nasze układy są wyłącznie zawodowe. Pojęłaś?

Montana zsuła swoje kowbojskie buty i nacisnęła brzęczyk do kabiny operatora. — Przegraj mi jeszcze raz te próbne zdjęcia, Jeff. — Już się robi, pani Gray. Rozsiadłszy się, po raz kolejny oglądała czterech aktorów, którzy przeszli przez test. Czterech aktorów. Każdy inny. Każdy mający coś do zaoferowania. Ale to Buddy Hudson przyciągnął jej uwagę. Nie żeby tak w ogóle był najlepszym aktorem, ale miał wyjątkową osobowość ekranową, o którą go podejrzewała i którą w końcu z niego wydobyła.

Siedziała zamyślona w ciemnościach i paliła papierosa. Teraz najbardziej pragnęła podzielić się swoim odkryciem z Neilem. Powinni teraz być tutaj razem, ale kiedy poprosiła go, by obejrzał z nią zdjęcia, wymówił się jakimś już wcześniej zaklepanym spotkaniem. Co to za spotkanie? Nie miała zamiaru wypytywać męża, a on nie pofatygował się, by jej to powiedzieć.

Zmarszczyła czoło. Coś działo się z ich małżeństwem. Coś, nad czym nie miała kontroli i co wcale się jej nie podobało. Zawsze byli tak blisko siebie, a teraz, niespodziewanie, wydawało się, że dzieli ich ogromna przepaść, nad którą jedyny most tworzył ten wspólny film.

Zmarszczki na czole Montany pogłębiły się. Pomyślała, czy to nie skutek napięcia wywołanego tym, że po raz pierwszy ze sobą współpracują. Przygotowania do produkcji wyssały z niej większość energii, prawdopodobnie to samo działo się z Neilem. Ale Montana przeczuwała jeszcze coś innego. Wspólna praca powinna ich zbliżać, a nie dzielić. Rozzłoszczona rozdeptała na podłodze papierosa. Może już czas na szczerą rozmowę.

Na ekranie sylwetka Buddy'ego Hudsona. Naprawdę udało mu się to zagrać. Elektryzujący magnetyzm. Domyśliła się go u niego już tamtego dnia, kiedy wdarł się do jej biura.

Chciała, by zagrał Vinnie'ego. Już zdecydowała. A teraz należało przekonać o tym Olivera i Neila.

Wreszcie nadeszły dane komputerowe dotyczące rodziny Andrew-sów. Leon Rosemont przestudiował je uważnie. Niewiele tam było informacji, jedyna ważna to data ich ślubu — 1946 rok, Barstow, Kalifornia. O Deke'u Andrewsie najmniejszej wzmianki. Leon niezwłocznie zadepeszował po odpis aktu ślubu. Jeżeli miał odnaleźć jakikolwiek klucz, to równie dobrze mógł zacząć od samego początku. Tymczasem zbliżały się urodziny Millie. Zaplanowała rodzinne przyjęcie. Szalała po kuchni przyrządzając kotlety schabowe, pieczone kurczaki oraz swoją specjalność — sałatkę z czarnej fasoli. Jeśli chodzi o deser, Leon zadziwił ją przynosząc ogromny placek z truskawkami, zupełnie jakby zapomniał, że upiekła już ciasteczka z czekoladą. Na widok których zresztą Leonowi niemal stanęły łzy w oczach.

Ucztował, a liczna rodzina Millie — siostrzeńcy i bratankowie — słuchali na stereo Jacksonów, dorośli zaś domagali się Jamesa Browna. Od dawna Leon nie pamiętał takiej zabawy, tylu tańców, śmiechu, zdrowej radości.

O pierwszej w nocy zostali sami wśród stosu brudnych naczyń.

—Ja pozmywam, a ty powycieraj — zaproponowała Millie.

—A dlaczego ty nie mogłabyś i pozmywać, i powycierać — zaproponował Leon.

- Aż ty leniwy strzelbisynu! - krzyknęła; czułość rozjaśniła jej twarz. — Natychmiast zabieraj ten swój tłusty tyłek do kuchni!

—*Kto ci zmywa, pierze i tak dalej?* — dopytywała się Joey.

—*Mam sprzątaczkę.*

—*Tak?* — *zamyślona* posłała kciuk. — *Mogę się tym zająć, jak chcesz. Zaoszczędziłbyś kilka dolców.*

Nie miał życzenia zaoszczędzać kilku dolców. Natomiast ogromnie życzył sobie wyplątać się z tej niezręcznej sytuacji.

Widywali się — jeżeli to było właściwe określenie — od dwóch miesięcy. W tym czasie wiele jej pomógł. Znalazł jej pracę sprzedawczyni lodów w kinie. Przeprowadził ją do zacnego pensjonatu. Dał jej poczucie własnej wartości. A ona w zamian ofiarowywała mu własną młodość i potężną erekcję. Sprawiała, że czuł się niczym dwudziestodwulatek, co przez pewien czas było miłe. Ale teraz mówiła o zmywaniu

jego naczyń i praniu i wiedział, iż właśnie nadszedł czas, by zakończyć ten rozdział życia. To jedyne uczciwe rozwiązanie, dla dobra ich obojga.

—Joey — zaczął łagodnie. — Nie myślisz czasem, by mieć przyjaciół w swoim wieku?

—Nigdy — odparła pogodnie. — A, nawiasem mówiąc, jeszcze nie jesteś takim dziadkiem, co nie? Masz mniej więcej tyle lat, co Paul Newman. — Dwadzieścia osiem razy obejrzała „Butcha Cassidy'ego i Sundance'a Kida”, gdyż właśnie ten film wyświetlano w kinie, w którym pracowała. Więc do każdej rozmowy wtrącała wzmianki o Paulu Newmanie.

—Ja natomiast myślę — powiedział Leon wyważonym tonem — że obecnie, kiedy znowu wykierowaliśmy cię na właściwe tory...

—Właściwe tory? A kim ja jestem? Jakimś pieprzonym pociągiem?

—Wiesz doskonale, o co mi chodzi — uciął stanowczo. — / nie przeklinaj.

—Dobrze więc — oświadczyła, rozpaczliwie usiłując zmienić temat. — Będę ci sprzątała. To przysługa. Nie musisz mi wcale płacić, ja tak tylko żartowałam. Więc może lepiej dasz mi klucze.

—Joey, spójrz prawdzie w oczy. Zaszliśmy już w naszych stosunkach tak daleko, jak to tylko było możliwe. A od tej pory musisz rozpocząć życie na własny rachunek, beze mnie.

—A to czemu? — spytała napastliwie.

—Gdyż tak będzie o wiele lepiej — tłumaczył jej cierpliwie. — Masz całe życie przed sobą. Jest tyle wspaniałych rzeczy do zrobienia, tylu nowych ludzi do poznania. Gdzieś żyje sobie sympatyczny miody człowiek...

—Ożesz kurczę! — krzyknęła, wykrzywiając z obrzydzeniem wargi. — Wspaniałe rzeczy do zrobienia, sympatyczny miody człowiek... Tobie wydaje się, że mówisz do jakiejś tępej świętoszki? — Zmierzyła go wściekłym wzrokiem, potem dodała: — Wiesz, że się sprzedawałam.

—To nie było w porządku — ciągnął uparcie. — Absolutnie nie, a sądzę, że jesteś na tyle inteligentna, żeby mi to przyznać.

—A znajdź ty sobie jakiegoś bachora i praw mu takie kazania — zakpiła. — Ja jestem dorosłą osobą, stary. Mam już szesnaście lat. I chyba zdążyłam z tego wyrosnąć.

—Nie bądź idiotką.

Sprzeczali się ponad godzinę. Joey nie chciała odejść? Wrzeszczała, krzyczała. Próbowała być słodka. Ciskała obelgi. Nawet płakała.

I im dalej w to brnęła, tym bardziej Leon rozumiał, jak słuszną podjął decyzję. Wreszcie o drugiej nad ranem odeszła.

Następny tydzień nie zaliczał się do najprzyjemniejszych. Wydzwaniata do Leona bez przerwy, płakała i błagała o ponowne spotkanie albo obrzucała obelgami. Wystąpił więc o należny mu sześciotygodniowy urlop, zamknął dom na klucz i wyjechał na Florydę. Po drodze na lotnisko wpadł do pensjonatu, w którym mieszkała Joey, i zapłacił właścicielce komorne za pół roku z góry.

Pieniądze dla uspokojenia sumienia?

Skąd. Po prostu prezent na odchodne, żeby jakoś Joey pomóc. Już nigdy więcej jej nie zobaczył.

Aż do dnia, w którym ujrzał jej zmasakrowane martwe ciało na podłodze domu przy Friendship Street.

Leon pedantycznie dokończył układania naczyń, potem uraczył się talerzykiem lodów i podążył za Millie na górę.

Siedziała przy toalecie zmywając makijaż.

Pragnął się jej do wszystkiego przyznać, opowiedzieć o Joey. Ale za bardzo się wstydził. Nie chciał zobaczyć w oczach żony wyrazu obrzydzenia.

—Udane przyjęcie, prawda? — cieszyła się Millie.

Zmusił się do uśmiechu, przytaknął: — Jasne — i zastanowił się, co by się stało, gdyby zgodził się spotkać z Joey na tydzień przed jej śmiercią. Kiedy do niego zadzwoniła, to zupełnie jakby wychynęła z nicości. Trzy lata milczenia i oto słyszy jej głos w słuchawce, jak gdyby rozstali się dopiero wczoraj.

—Muszę się z tobą zobaczyć, to naprawdę ważne. Potrzebuję twojej pomocy.

Nie zareagował na to. Umyślnie zmienionym głosem powiedział, że to pomyłka.

Akurat w pokoju siedziała Millie.

Nim odłożył słuchawkę, usłyszał słowa Joey: — Ożesz kurczę, Leon. Wiem, że to ty. — Ale drugi raz już nie zadzwoniła.

A w tydzień później była martwa.

Rano w dniu przyjęcia Elaine obudziła się o siódmej. Zostawiła Rossa chrapiącego na jego połowie łóżka i poszła do łazienki. Tam szczegółowo przyjrzała się swojej twarzy, wyskubała parę włosków z brwi, pieczołowicie wycisnęła mikroskopijnego wagra i zachwyciła się czystością i kwitnącym stanem swojej cery. Ktoś mógłby powiedzieć, że to zasługa Aidy Thibiant. Aida była kosmetyczką wielu gwiazd — między innymi Candice Bergen i Jacqueline Bisset; obie zresztą miały pojawić się na przyjęciu. Ale Elaine wiedziała lepiej. Wiedziała, komu naprawdę winna jest wdzięczność. Ronowi Gordino. Zwinnemu, atletycznemu Ronowi Gordino, do którego, zresztą wbrew sobie, poczuła żywą sympatię.

Nigdy nie spoufalaj się z najętą służbą, Elaine. Nawet jeżeli jest wystrzałowa w łóżku.

No, znowu tak wiele czasu to w łóżku nie spędzali. Stół do masażu, kanapa i podłoga! Elaine, zdejmując jedwabną koszulę nocną i wchodząc pod lodowate igiełki prysznicu, pozwoliła sobie na przelotny uśmiech.

Starannie układała w głowie szczegóły przyjęcia. Wszystko zostało zorganizowane, od dekoracji stołów do parkingowych. Nie przychodziło jej na myśl nic, o czym by zapomniała. Niebawem nadciągnie armia robotników, która to wszystko wcieli w życie.

Wytarła się ręcznikiem i szybko nałożyła dyskretny makijaż. Potem ubrała się w brązową jedwabną bluzkę i beżowe bawełniane szorty. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Zanosilo się na nieskazitelny kalifornijski dzień. Na bezchmurnym niebie wysoko świeciło słońce.

Ross chrapał donośnie. Niecierpliwie szarpnęła go, by się obudził.

—Która to godzina? — jęknął.

—Wczesna. Chcę, byś wstał.

—Coś już mi wstało — zaśmiał się, wskazując na zdrowo naprężony członek. —

Może by małe dymanko?

—Nie bądź idiotą — ucięła ostro. — Zapomniałeś, że dzisiaj wydajemy przyjęcie?

Znowu jęknął. — A jakim cudem mógłbym zapomnieć? Żyjesz i oddychasz tym pieprzonym przyjęciem od niepamiętnych czasów.

—Wstawaj — powiedziała stanowczo. — Idź na gimnastykę, na lunch czy gdziekolwiek, tylko proszę na wszystko, nie włącz rffl w drogę.

—Włączyć w drogę? We własnym domu? — rozżłościł się.

—Nie utrudniaj, Ross. To przyjęcie jest dla ciebie.

—Nie, nie jest — odparł zaczepnie. -- Jest za to dla George'a Kutasa Lancastera i Pameli Cipy London. I kosztuje mnie majątek, na co mnie wcale nie stać.

—Jest dla Sadie La Salle. Więc lepiej nie traćmy z oczu prawdziwego powodu, dla którego je wydajemy. Może byśmy nazwali je korzystną inwestycją na przyszłość?

Ziewnął głośno. — Dobrze by było, gdyby się taką okazało.

—Wychodzę — poinformowała go Elaine, nie mając ochoty wysłuchiwać dalszych narzekań.

—A dokąd to? — spytał, spoglądając na zegarek. — Nie ma jeszcze ósmej.

—Mówiłam ci już wczoraj wieczorem. Idę na wczesne śniadanie do Bibi, do jej domu.

—Po co?

—Przestań mnie wypytywać. Ustalimy ostateczną listę gości, jeśli koniecznie musisz wiedzieć.

—A dlaczego ona nie może przyjść tutaj?

Elaine uznała, że na takie głupie pytanie nie ma co się fatygować z odpowiedzią. — Do zobaczenia — powiedziała. — Nie zapomnij wpaść do banku i podjąć trochę gotówki. Potrzebujemy mnóstwo dwudziestodolarówek na napiwki.

—A gdzie idziesz po wizycie u Bibi?

Elaine zdusiła rozdrażnienie. Od kiedy to Ross chce znać każdy jej krok? — Do fryzjera — warknęła. — Mogę już wyjść?

—Rób, co chcesz.

Pospieszyła do kuchni. Właśnie nadciągnęła Lina z dwiema pomocnicami. Trzy

kobiety rozprawiały z ożywieniem po hiszpańsku. Elaine po raz pierwszy w życiu zobaczyła, jak na twarzy Liny maluje się wyraz inny niż opryskliwa rezygnacja.

—Buenos dias, senora Conti — odezwała się wesoło pokojówka.

—Dzień dobry, Lina.

—To moje dwie amigas. Concepcion i Maria.

Obie kobiety skinęły głowami i wyszczerzyły zęby w uśmiechu. Pewnie dopiero co tutaj przyjechały, oceniła Elaine, i nie posiadają się z zachwytu, że będą pracować w takim pięknym domu. No, piękny to on będzie, kiedy skończą go pucować od dachu po piwnice.

—Czy one mówią po angielsku? — zwróciła się do Liny.

—Ciut, ciut — objaśniła. — Ja wszystko im tłumaczyć.

—Świetnie. Chcę, żeby w całym domu błyszczało. Ludzie od namiotów przyjdą o ósmej. Kwiaty przyniosą o dziewiątej. Będą też inne dostawy. Ich listę zostawiłam w hallu.

Lina kiwnęła uspokajająco głową. — Bez strachu, senora.

—Ty będziesz odbierała telefony, Lina, i przyjmowała wiadomości. Zapisuj wszystko.

— Niepewnie użyła jedyne go znanego jej hiszpańskiego słowa. — Entiende?

—Jasne. Ja rozumiem dobrze — odparła Lina, uśmiechając się dumnie do przyjaciółek. — Pani idzie. Wszystko dobrze.

—Wrócę koło wpół do pierwszej.

Na dworze, w zaciszu swojego Mercedesa, odetchnęła głęboko. Dzień rozpoczął się jak po maśle. Żeby tylko wszystko poszło zgodnie z planem...

Włączyła silnik i odjechała. Trzydzieści sekund później zdała sobie sprawę, że nie powiedziała Linie o dwóch eks-muzykach rockowych, którzy mają przybyć w południe i zainstalować sprzęt dyskotekowy. Z polecenia Rona Gordino. — Chcesz wyprawić najlepsze przyjęcie roku, to weź Phila i Rika — poradził jej. Tak więc na wczesny wieczór Zancussi Trio i Ric z Philem na później. Boże! Lina ujrzawszy ich długie włosy za nic nie wpuści ich do domu.

Zawróciła samochód i szybko pojechała do domu.

Ross usłyszał trzaśnięcie frontowych drzwi i warkot Mercedesa Elaine. Porozmyślał chwilę, czy w opowieści Karen o romansie Elaine kryło się choćby źdźbło prawdy. Sam pomysł był śmiechu warty. Elaine to pani Rossowa Conti. Nie odważyłaby się puszczać. Przewrócił się leniwie na bok i wystukał numer telefonu Karen.

—Tak? — wymamrotała rozespana.

—Tu obsceniczny telefon.

—Ross?

—A komu jeszcze chciałoby się świntuszyć o tej porze dnia?

—Obudziłeś mnie.

Sztucznie cienkim głosem nieźle sparodiował Elaine. — Zapomniałaś, że dzisiaj wydajemy przyjęcie? Zaśmiała się ochryple.

—Co masz na sobie?

—Czerwoną satynową piżamę od Fredericka.

—Z majtkami bez kroku?

—I ze stanikiem z dziurkami na sutki.

—Kurczę, Karen, ale mi przez ciebie gigantycznie stanął.

—Nie pozbierałabym się z rozpaczy, gdyby to się miało zmarnować. Więc może byś do mnie wpadł?

—Nie mogę.

—Dlaczego? Sam dobrze wiesz, że pragniesz się przyssać do moich cycków.

Myśl o jej zmysłowych sutkach w jego ustach jeszcze bardziej wzmocniła pożądanie.

—Kusisz mnie.

—Wiem, co na ciebie działa. Więc wskakuj w portki, wkładaj ciemne okulary i przyjedź sobie skorzystać. Powiem w recepcji, że przyjedzie pan Edward Brown.

Nigdy dotąd nie odwiedzał Karen w jej apartamencie w szykownym Century City. Oboje doszli do wniosku, że byłoby to zbyt ryzykowne i zadowolili się odludnym domkiem przy plaży. Ale jakie niebezpieczeństwo może kryć się w spotkaniu pary przyjaciół?

—Ruszam co tchu — postanowił.

—Ależ nie. Poczekaj z ruszaniem, aż tu dojedziesz.

—Co za dowcip. — Odłożył słuchawkę i pospieszył pod lodowaty prysznic. A potem tego pożałował, gdyż bez erekcji nie był już taki pewien, czy naprawdę chce odwiedzić Karen. Denerwował się. Myśl, że do jego domu przyjdzie Sadie La Salle, peszyła go. A co, jeśli znowu odmówi przyjęcia go w poczet swoich klientów?

Niemożliwe. Włączy na cały regulator pełny urok Contiego... Oczaruje ją. Nie będzie miała żadnej szansy. Pospiesznie się ubrał.

Elaine wśliznęła się do kuchni i już miała powiedzieć Linie o dwóch facetach od dyskoteki, kiedy zauważyła światełko na telefonie. Myśląc, że to ktoś do niej, podniosła słuchawkę i usłyszała głos Rossa: „Kurczę, Karen, ale mi przez ciebie gigantycznie stanął”. W milczeniu wysłuchiwała reszty rozmowy, rozłączyła się jednocześnie z Ros-sem. Wypadła tylnymi drzwiami.

Wsiadłszy do samochodu, zjechała z podjazdu, włączyła silnik, pognała ulicą i z piskiem opon ledwie zatrzymała się na pierwszych światłach.

Została klasycznie wypieprzona przez swoją najlepszą przyjaciółkę.

Nie. Poprawka. To Ross jest klasycznie pieprzony przez jej najlepszą przyjaciółkę.

Etta Grodinski z Bronxu.

Karen Lancaster z Beverly Hills.

Zdusiła rodzący się w gardle krzyk, mimo zaleceń wielu terapeutów, by tego nie robić.

—Ta... ta... ta dziwka! — syknęła. *Ta dziwka z ohydnyimi sutkami.*

—Ta fałszywa, złodziejska suka! — wrzasnęła na cały głos. — Co ona sobie wyobraża, że kim jest?

Jakiś mężczyzna jadący w samochodzie obok wlepił w nią wzrok.

—I czego się pan tak gapi? — wybuchnęła i pognała Mercedesem Sunset ku Bel-Air i Bibi Sutton. Ponieważ, bez względu na to, co się stało, nigdy nie ośmieliłaby się zawieść Bibi. Audiencja u królowej to audiencja u królowej. I za nic nie można tego zlekceważyć.

Milczenie Angeli do tego stopnia wyprowadziło z równowagi Bud-dy'ego, że nawet sama myśl o tym wprawiała go w kompletną panikę. Więc wlepił bezmyślny wzrok

w scenariusz „Ludzi z ulicy” i w rolę Vinnie'ego. Przestał nawet wydzwaniać do Ingi po siedemnaście razy na dzień. Zdecydował się na raz — rano, punktualnie o jedenastej. Wtedy pytał krótko: — Coś nowego? — a Inga usiłowała przytrzymać go przy telefonie, gdyż od czasu ich randki zakochała się w nim po uszy. Chociaż wtedy do niczego nie doszło — na pewno nie z jej winy. Buddy, kiedy tylko słyszał fatalne słowa: — Nic nowego, ale wciąż rozważają twoją kandydaturę... — rozłączał się. Najbardziej to pragnęłyby gdzieś pobiec.

I pobiegł. Dosłownie. Kupił sobie solidną parę butów do joggingu i pokonywał dystans od Doheny do Fairfax i z powrotem. Codziennie rano. Dawało to znakomity upust jego energii. Rozebrany do krótkich, białych szortów prezentował się znakomicie. Był szczupły i opalony, jego ciało przypominało dobrze naoliwioną maszynę.

Tylko nie było Angeli, żeby to podziwiała. Porzuciła go niczym worek ze śmieciami. Po dwóch tygodniach milczenia Angeli Shelly oznajmiła mu, że żona zostawiła dla niego wiadomość. — Nie chce cię już widzieć, zrobiła sobie skrobankę, spotkała jakiegoś faceta i wymazała ciebie, Buddy Boyu, ze swojego życia. Wymogła na mnie, bym jej przysięgła, że powiem ci w jej imieniu „żegnaj na zawsze”.

Był wstrząśnięty. Nie mógł uwierzyć, że Angela potrafiłaby być aż tak szorstka. — Czy masz jej numer telefonu? Albo przynajmniej wiesz, gdzie mieszka? — wypytywał się rozzłoszczony.

— A ja co jestem? Posłaniec? — wybuchnęła Shelly. — Powiedziałam ci już, stary. Chce odejść na zawsze. NA ZAWSZE.

Tej nocy o mało co nie poszedł z Shelly do łóżka. Był naćpany, ona zaś jak zwykle go prowokowała. W rytm piosenki Donny Summer ściągnęła ubranie i tańczyła przed nim. Miała wspaniałe ciało, ale na tym koniec. Po prostu jeszcze jedno, jakie widział.

Osunęła się przed nim na kolana i zaczęła bawić się zapięciem jego spodni. Nie podnieciło go to. Ból, że Angela odeszła i usunęła ich dziecko, przebił się przez kokainę i trawkę. Czuł się niczym przekłuty balon. Nie pragnął nikogo prócz Angeli.

- Jesteś czubek — nacierała na niego Shelly. — Co to, stałeś się pedałem czy jak? —

Niezbyt często zdarzało się jej, by ktoś odrzucał jej awanse.

Mieszkał u Randy'ego, wyczekując wielkiej odmiany, i tęsknił do Angeli.

Shelly niezbyt długo żywiła do niego urazę. — Niebawem cię dostanę — zażartowała. — Popatrz no, przecież ja się za tobą uganiam, nie?

Forse pożyczal równo od nich obojga. Shelly przyjmowała to ze zdrowym spokojem, natomiast Randy wreszcie pękł, kiedy Buddy próbował naciągnąć go na kolejną pięćdziesiątkę.

—Pohamuj się, stary. Nie jestem jakimś pieprzonym bankiem. Potrzebuję każdego centa, aby utrzymać przy sobie Maralee. Jeżeli pomyśli, że jestem goły, da nogę.

Buddy kiwnął głową, rozumiejąc to aż nazbyt dobrze. Maralee Sanderson była dla Randy'ego strzałem w dziesiątkę. I może po latach kupczenia swoim ciałem staremu Randy'emu należy się wreszcie coś od życia.

W końcu niechętnie przyznał się sam przed sobą, że zanim będzie coś wiedział o rezultatach zdjęć próbnych, musi się wziąć za jakąś robotę. Podjąwszy tę decyzję, włożył swoją jedyną czystą koszulę, namówił Shelly, aby uprasowała mu czarne gabardynowe spodnie, i na to wszystko nałożył jeszcze białą marynarkę od Armaniego — dar Jasona Swankle'a.

Już ubrany, ruszył do biura Frances Cavendish, w nadziei, że znajdzie się tam coś dla niego.

—Hej, Francie — zaćwierkał, wkraczając do jej gabinetu, jakby widzieli się zaledwie wczoraj.

Odchyliła się w brązowym, skórzanym fotelu i obcięła go wzrokiem od stóp do głów. — No, no — powiedziała powoli. — Popatrzcie, co nam przywiał wiatr. Myślałam już, że umarłeś.

Zmarszczył brwi. — Co?

—W moim notesie aktor nie widziany jest aktorem nieżywym.

—Ale teraz mnie widzisz.

Zerknęła znad okularów. — I to w całkiem niezłej formie, muszę to z przyjemnością przyznać.

—Dużo biegam.

—Służy ci to.

Zapadło milczenie, którego Frances nie kwapiła się przerywać. Buddy odchrząknął. — Co nowego, Francie?

—Na miłość boską, nie nazywaj mnie Francie.

Zmieniła metalowe oprawki okularów na grube, rogowe. Teraz wyglądała bardziej męsko niż kiedykolwiek — z krótko obciętymi siwymi włosami i w męskim garniturze — zbyt ciężkim jak na Kalifornię, ale za to od przedniego krawca. Otworzyła boczną szufladę biurka i wyjęła tak charakterystyczny dla siebie przedmiot — obdrapaną firkę z korzenia, w której umocowała skręta. Zapaliła go, zaciągnęła się i potem podała go nad biurkiem. — Dalej zonaty? — dopytywała się obcesowo.

Instynkt podsunął mu właściwą odpowiedź. Zaciągnął się po pępek. — Skąd.

—To świetnie. Małżeństwo ci nie pasowało. Mam dla ciebie robotę. Niskobudżetowy horror, do jakiego się znakomicie nadajesz. Dwa tygodnie. Honorarium gwarantowane przez związek. Bierzesz to?

Kiwnął głową, bojąc się napomknąć o „Ludziach z ulicy”, aby nie zapeszyć. — Kiedy?

—Universal. Przyszły poniedziałek.

—Pasuje mi.

—Powinno. — Odebrała mu firkę i przypięła się do niej. Wyraźnie nie miała zamiaru ofiarować mu więcej niż jednego macha. Ale zawsze jeden mach to lepsze niż nic.

—Masz czas dziś wieczorem? — spytała niespodziewanie.

W przeszłości towarzyszył Frances na kilku nudnych obiadach ku czci laureatów i jeden wieczór spędził na mieście z jej osiemdziesięcio-sześcioletnią matką. Nie miał ochoty znowu brać na swoje barki obowiązków towarzysza. Ale z drugiej strony, zagranie w filmie Univer-

salu prawdopodobnie zależało od tego, czy dysponował dzisiaj czasem. — Tak, owszem — zdecydował się.

—To świetnie — stwierdziła szorstko. — Ross Conti wydaje przyjęcie na cześć

George'a Lancastera i Pameli London. Przyjedź po mnie dokładnie kwadrans po siódmej. Pamiętaj, gdzie mieszkam.

Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. Kiwnął głową, zachwycony, że idzie na wielkie party — nawet jeżeli miał eskortować Frances.

—Och, i jeszcze jedno mój drogi — dodała — włóż na siebie coś przyzwoitego. Teraz wyglądasz niczym jeden z tych facetów, co czyhają na podrywkę w Polo Lounge.

Zdusił grymas. Co ona tam wie, swoją drogą? Gdyby chciała, żeby to on opisał jej osobę, to powiedziałby szczerze, że przypomina damską wersję Rodneya Dangerfielda.

Rozweselony tą myślą rzucił: — Więc o siódmej piętnaście. — I wyszedł.

Oliver Easterne w roztargnieniu opróżnił popielniczkę, w której leżał zapalony papieros Montany.

—Oliver! — zaprotestowała ostro. — Ja jeszcze nie skończyłam go palić.

—Czego?

—Mojego papierosa! — Odwróciła się do Neila z malującym się na jej twarzy wyrazem niedowierzania.

Neil bardziej zainteresowany był piastowaną przez siebie szklaneczką bourbona.

Oliver grzebał w koszu na śmieci w poszukiwaniu obrażającego go papierosa.

Siedzieli we trójkę w sterylnym gabinecie Olivera. Była jedenasta przed południem.

Czekali na przybycie George'a Lancastera. Spóźniał się już całą godzinę.

I Oliver, i Neil znali go bardzo dobrze, ale Montana jeszcze go osobiście nie spotkała.

W śmieszny sposób była tym poruszona, no bo przecież wychowała się na George'u Lancasterze. Był od zawsze, znajoma twarz na srebrnym ekranie i w magazynach poświęconych filmowi. George Lancaster, John Wayne, Robert Mitchum. Kiedy miała trzynaście lat, wariowała na ich punkcie. Teraz rzeczy miały się inaczej. Napisała scenariusz. George miał zagrać główną rolę. Niestety, nie sądziła, żeby był dobrym aktorem, a rola Mąka w filmie była tak bardzo ważna. Ale George Lancaster oznaczał pełną kasę. I któż ośmieliłby się walczyć z taką prozą życia?

A swoją drogą, jak powiedział Oliver, z George'em Lancasterem jako gwiazdorem

mogli pozwolić sobie na obsadzenie dwóch pozostałych kluczowych ról tymi, którzy się im podobali. A jej podobał się Buddy Hudson. Również Neilowi i Oliverowi, po tym, jak zobaczyli reakcję licznych sekretarek, które Montana przemyślnie zaprosiła na salę projekcyjną, kiedy przeglądali zdjęcia próbne.

—Może nie jest największym aktorem pod słońcem, ale prezentuje się jak ucieleśnienie seksu. Jest idealnym Vinnie'm — tłumaczyła.

—Nie musisz mnie przekonywać. Podoba mi się — orzekł Neil. Oliver zgodził się z tym, jednocześnie wciąż uzalając się nad faktem, że nie może odnaleźć dziewczyny z plaży, którą widziałby w roli Nik-ki. Wyglądało na to, że się rozplynęła. Toteż, porzucając pomysł obsadzenia Giny, wypróbowali do tej roli szereg aktorek. Kilka z nich było doskonałych. Teraz zaś należało przekonać Olivera, żeby zapomniał o swojej plażowej nimfetcie i powziął jakąś decyzję.

Fakt że George Lancaster podpisał kontrakt, utrzymywano w ścisłej tajemnicy. — Musimy zapewnić sobie maksimum prasy — nieustannie powtarzał Oliver. — Kiedy George przyjedzie do miasta, już samo to będzie wydarzeniem. A gdy jeszcze zwołamy konferencję prasową i ogłosimy nowinę, wszystkie gazety wydrukują to wielkimi czcionkami na pierwszych stronach.

George przyjechał do miasta późnym wieczorem poprzedniego dnia. I Oliver już był w siódmym niebie. George Lancaster zagra główną rolę w filmie po raz pierwszy od siedmiu lat. „Ludzie z ulicy” — producent Oliver Easterne. Te skurwiele będą się pchali jeden przez drugiego, aby dowiedzieć się czegokolwiek o jego dalszych planach.

Na biurku Olivera zabrzączał dzwonek, a podniecony głos sekretarki oznajmił: — Przyszedł pan Lancaster.

Nim skończyła zdanie, otwarły się z impetem drzwi i wkroczył George Lancaster.

We własnej osobie. Wysoki, opalony na brąz, z gruba ciosany. Prawdziwy gwiazdor filmowy w starym stylu.

Oliver pospieszył mu naprzeciw z powitalną oracją. Neil nie pofatygował się nawet, by wstać. Montana zaś się podniosła, czekając, aż Oliver skończy się podlizywać i ją

przedstawi. Ale oczywiście Oliver był zbyt pochłonięty swoją rolą Producenta Numer Jeden, aby zaprzętać sobie głowę jakąś prezentacją.

Strzelista, na wysokich obcasach Montana, stojąc obok George'a Lancastera, poczuła się całkiem mała. Wyczekała na moment, aż Oli-ver przerwie dla zaczerpnięcia oddechu, potem wyciągnęła dłoń i powiedziała: — Dzień dobry, jestem Montana Gray.

Prawie ją zignorował, ale niezupełnie. Uraczył niedbałym uściśnięciem dłoni i lakonicznym: — Tęsknię za filiżanką kawy, dziecinko.

Sądził, że poznał właśnie jakąś sekretarkę, asystentkę, przeciętną kobietę, która tylko czeka na każde jego skinienie! Oliver nie uczynił nic, aby wyprowadzić go z błędu. Po prostu gadał dalej.

—Nazywam się Montana Gray — powtórzyła. — To ja jestem autorką „Ludzi z ulicy”.

George łaskawie obdarzył ją jeszcze jednym spojrzeniem. — Doprawdy? No, no, jak to się wszystko zmienia. Ale ja dalej chciałbym się napić kawy, dziecinko.

Wprost nie wierzyła własnym uszom. Absolutnie. Za kogo się, do kurwy nędzy, uważa ten podstarzały twardziel?

—Wobec tego proponuję — poinformowała go lodowatym tonem — żeby poprosił pan o to sekretarkę Olivera.

Jej lodowaty ton nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Przywitał się z Neilem i wygłosił kilka dowcipów z brodą, przemierzając wzdłuż i wszerz biuro z Oliverem następującym mu na pięty.

Kiedy sekretarka wniosła kawę, wynagrodził ją klepnięciem w pupę. — Ślicznotka — zauważył, nie zwracając się specjalnie do nikogo.

Oliver przedstawił plany jutrzejszej konferencji prasowej w Beverly Hills Hotel.

—Tak, tak - westchnął George, znudzony własną chwałą. — Znajdziemy się na pierwszych stronach gazet stąd aż do Pipidówka. — Ruszył do wyjścia. — Wpadniecie wszyscy wieczorem na moje przyjęcie?

—Nie omieszkamy — rozanielił się Oliver.

—Będziemy — powiedział Neil.

George odwrócił się i raczył zauważyć Montanę. — I pani też, dziecinko, nas zaszczyci, prawda?

—Zawsze szczytuję na pana widok, panie Lancaster — mruknęła złośliwie.

Jego oczy znieruchomiały na chwilę. — Nie lubię wulgarnych kobiet — stwierdził i wymaszerował z godnością. George Lancaster był supergwiazdorem. A supergwiazdy byle kto nie może wyprowadzać z równowagi.

Po jego wyjściu przez chwilę panowało milczenie. Przerwała je Mon-tana: — Piękne dzięki, panowie, za wsparcie.

— Co proszę? — spytał nieprzytomny Oliver.

Neil dalej okręcał swoją szklanę z bourbonem.

Zmierzyła ich zimnym wzrokiem. — Idę na zakupy — oświadczyła. — A jeżeli będziecie chcieli napić się kawy, to może zadzwonię na Georgia.

Wyniosła się.

W salonie aż kipiało. Prawdę mówiąc, był to najpracowitszy dzień za pamięci Angeli. — To jeszcze nic, kochanie — tłumaczył Koko. — Żebyś ty zobaczyła wieczór przed wręczeniem Oscarów. Chaos! Pan-demonium! Cuuu...downie! Uwielbiam to. Wszystkie nasze pieszczoszki mordujące się nawzajem wzrokiem. A jeżeli nie dostaniesz zaproszenia na przyjęcie"Swift'y'ego, to możesz się powiesić!

—Swift'y'ego?

—Nieważne, kochanie. Ciebie by adorował.

—Dlaczego tak tu dzisiaj tłoczno?

—Ross Conti wydaje gigantyczne przyjęcie na cześć George'a Lancastera. O George'u Lancasterze chyba już coś słyszałaś?

Kiwnęła głową.

—Dzięki Ci, Panie, za te małe łaski!

Do recepcji podsunął się Raymondo, jego kruczoczarne kędziory sterczały na wszystkie strony. — Pójdiesz dziś wieczór na tańce, jasnowłosa?

Potrząsnęła głową.

—A może byś zjadła ze mną najlepsze *taco* w tym mieście?

—Raymondo! — wrzasnął Koko. — Wracaj do pracy, jeśli łaska. Raymondo skrzywił się. — Założę się, że jesteś naturalną blondynką — mruknął. — Co? Prawda, śliczna Angelo?

—Raymondo! — piskliwy krzyk Koko zmusił go do odejścia. Jego miejsce koło biurka recepcji zajęła zgnębiona pani Liderman, tym razem bez psa.

—A gdzie Frowie? — zapytała grzecznie Angela.

Pani Liderman pochyliła się poufnie nad biurkiem. Miała zapuchnięte, zaczerwienione oczy. — Porwany! — oświadczyła we łzach. — Zabrali go dwa dni temu. Teraz czekam na żądanie okupu.

—Jacy „oni”? — spytała Angela, w której głosie zadźwięczało współczucie.

—Nie wiem — powiedziała drżącym głosem pani Liderman, wykręcając olbrzymi, diamentowy pierścień na palcu. — W tym mieście aż roi się od obłąkańców. To mógł zrobić ktokolwiek.

—Może to nie porwanie — odezwała się uspokajającym tonem Angela. — Może Frowie po prostu sobie gdzieś powędrował. Nie martwiłabym się aż tak, pani Liderman. Jestem pewna, że wszystko się dobrze skończy.

—Naprawdę tak uważasz, kochanie?

—O, tak. Jestem pewna. Frowie wróci, przekona się pani.

—Jesteś taką kochaną dziewczynką — westchnęła tłusta dama. — Prawdziwą pociechą.

—Dziękuję — odpowiedziała skromnie Angela. — Raymondo za sekundę się panią zajmie. Gdyby zechciała pani spocząć...

Tanecznym krokiem podszedł Koko. — Co się stało? — spytał. Angela wyjaśniła mu, potem dodała: — Chyba nikt nie porwałby jej pieska, prawda?

—Dlaczego nie? To jest Hollywood, skarbie.

Ranek minął jak z bicia strzelił i koło południa Angela poczuła, że umiera z głodu. Nabrała ogromnego apetytu i nawet zastanawiała się, czy to ma coś wspólnego z ciążą". Na szczęście jej brzuch jeszcze się nie powiększył, a przynajmniej nie było to

dostrzegalne w ubraniu. W końcu jej tajemnica wyjdzie na światło dzienne, ale na razie Angela nie kwapiła się z wyznaniem jej komukolwiek.

Cały czas myślała o dziecku. I starała się wcale nie myśleć o Bud-dym. Tak jak sobie przyrzekła, nie odzywała się do niego przez dwa tygodnie. Potem zadzwoniła do mieszkania Randy'ego. Nikt nie podnosił słuchawki. Więc nakręciła jeszcze jeden numer — Shelly. Poza wszystkim, uczciwe wydawało się zawiadomienie Buddy'ego, że u niej wszystko w porządku. Naćpany czy nie, pewnie się o nią zamartwiał.

—Cześć, tu Angela Hudson — przedstawiła się, kiedy odebrano telefon.

—Niech ci będzie — mruknęła rozespana Shelly.

—Słucham?

—Czego chcesz?

—Może byś była taka uprzejma i przekazała Buddy'emu wiadomość ode mnie. — Zaczęła niepewnie mówić: — Po prostu chciałabym, żebyś powiedziała mu, że mam się dobrze. Znalazłam interesującą pracę i jutro o tej samej porze zadzwonię do niego pod numer Randy'ego.

—Hmmm... — Shelly po omacku poszukała papierosa i usiłowała się ocknąć. — Dalej jesteś w ciąży?

—Tak, jestem — wyjaśniła obronnym tonem Angela.

—Kretynka. Pozbądź się tego jak najszybciej. Usłuchaj mojej rady i wyskrob się.

—Niepotrzebna mi jest twoja rada, dziękuję. Dziecko to zmartwienie moje i Buddy'ego.

—O, jasne. Ale Buddy ostatnio sypia w moim łóżku, a to mi daje jakieś prawo głosu.

Angela nie potrafiła opanować przerażenia: — Słucham?

—Dobrze słyszałaś. Więc może wreszcie dorosniesz i spojrzysz prawdzie w oczy? Przestań odgrywać Daisy Mae i weź się w kupę. Buddy ma cię w nosie. Jego drTchodzi tylko jeden człowiek na świecie, on sam. A ja potrafię sobie z tym poradzić, bo znam życie. Więc pozbądź się bachora, znajdź sobie jakiegoś przyzwoitego chłoptasia i spylaj do domciu. Bo, moja słodka Angelo, Buddy cię porzucił. Dotarło? Angela bez słowa odłożyła słuchawkę. Oczy jej zaszklily się łzami.

To zdarzyło się już całe tygodnie temu. Od tamtego czasu nie mogła się zdecydować, co ma począć. Rozwieść się z Buddym? Nie miała pojęcia, jak się za to zabrać. Był nic niewart, ale dotąd nie potrafiła się pogodzić z tym smutnym faktem.

Kiedy wybierała się na lunch, do recepcji przyzeglował Raymon-do. — Może zmieniłaś zamiar? Pójdziemy na seksy randkę?

—Zostaw ją w spokoju — zbeształ go Koko. — Znajdź kogoś swojego pokroju!

—Nie ma kogoś takiego, kto byłby mojego pokroju! — zaśmiał się oblesnie Raymondo.

—Nie wątpię — burknął Koko. — Chodź, kochanie, kupię ci order z sandwicza dla zasłużonych. Każda kobieta potrzebuje kogoś zasłużonego w swoim życiu.

Bibi Sutton nie skupiła na sobie całej uwagi Elaine i świetnie zdawała sobie z tego sprawę.

—Kotku — zaczęła. — Moja miła. Wszystko gra?

Elaine kiwnęła głową, siłą zmuszając się do dzielnego uśmiechu. — Martwię się, czy wszystko dobrze pójdzie.

—A jak tam Ross? — spytała przebiegle Bibi.

Ross to nic niewart, kłamliwy skurwysyn. — W porządku — odpowiedziała słabo.

—Jesteś pewna, kochanie?

Przez chwilę niemal się załamała. Jak dobrze byłoby się komuś zwierzyć. Ale akurat w samą porę wzięła się w karby. Zawierzenie sekretu Bibi byłoby równoznaczne z ogłoszeniem tego na całą stronę w „The Hollywood Reporter”.

—Jasne. Jestem pewna. A bo co?

Bibi wzruszyła przystrojonymi w kosztowne ciuchy ramionami. —A nic. Ludzie w tym mieście są tacy zawistni. Ja na to nie zwracam uwagi...

—A co słyszałaś? — zażądała wyjaśnień Elaine, nagle uprzytomniając sobie, że może już wie o tym całe miasto.

—Sama wiesz, kochanie, wredne plotki.

—Jakie? — nalegała Elaine.

—Że film, który Ross nakręcił, jest niedobry. Słyszałam o tym od kilku osób. Oczywiście, ja sama w»to nie wierzę. To to miasto, kotku.

Elaine niemal odetchnęła z ulgą. Co z tego, że film okaże się klapą? Kiedy Ross zagra w „Ludziach z ulicy”, wszystko się odmieni.

—Nikt jeszcze tamtego filmu nie widział — odparła spokojnie. — Nadal jest w montażu. A kto ci o tym powiedział?

—To nieważne, kochanie.

—Hmmm... Wiem, o co ci chodzi z tym miastem. Ja też słyszałam, jak coś podobnego mówiono o nowym filmie Adama. Ludzie są rzeczywiście wredni.

Bibi nie przywykła, żeby się jej odcinano. Tego ranka nie bardzo wiedziała, jak sobie poradzić z Elaine, która najwyraźniej zgubiła gdzieś całą swoją potulność.

—Przejrzyjmy ostateczną listę, kochanie. Bo zaraz muszę lecieć dalej — powiedziała szorstko.

Nie speszona Elaine odparła: — Ja także. Ledwo udało mi się dziś znaleźć czas na nasze spotkanie.

—A co cię goni? Zajęcia gimnastyczne? — słodkim tonem dopytywała się Bibi.

Francuska cipa. Pewnie wie wszystko o Ronię Gordino. Ale wzięwszy pod uwagę to, co Elaine podsłuchiwała dziś rano, jakie to ma znaczenie, czy całe Beverly Hills wie?

Instruktor gimnastyki, Elaine? Nie mogłaś poderwać przynajmniej Roberta Redforda? Zamknij się, Etta. A co złego w instruktorze gimnastyki?

Podawała ostateczną listę zaproszonych osób, a Bibi sprawdziła ją niczym ekspert od komputerów. Lista była oszałamiająca, prócz jakichś dziwnych nazwisk tu i tam — na osobiste życzenie Pameli London. Elaine zauważyła, że nawet na Bibi wywarło to wrażenie.

Wstała, nim ją odprawiono. — Muszę już lecieć. Tyle mam jeszcze roboty.

Bibi także się podniosła. — Kochanie. Dzisiejszy wieczór będzie wydarzeniem, o którym się będzie pamiętało.

Elaine uśmiechnęła się obojętnie. Czy ten jej tak zwany małżonek nawet w tej chwili tłamsi ohydne cielsko Saren Judaszówny Lancas-ter?

—Mam nadzieję, Bibi. Oczywiście, mam nadzieję.

Uzyskanie wstępu do pilnie strzeżonego apartamentu Karen Lancaster na obszarze znanym jako Century City było nie lada sztuką. Ross pamiętał czas, kiedy Century City było wytwórniami filmowymi Twentieth Century Fox, a także ów smutny dzień, kiedy wyprzedano znaczną część terenów studia. Architekci stworzyli Century City — morze betonu, szkła i zawrotnych czynszów. Ross pomyślał, że w razie trzęsienia ziemi wolałby znajdować się z dala od tej części miasta.

—Pan do kogo? — spytała ostro strażniczka przy bramie. Prezentowała rutynowy uśmiezek i budzący respekt mundur.

—Do panny Lancaster. Oczekuje mnie. — Ciekaw był, czy strażniczka go rozpoznała. Przedsięwziął środki ostrożności i ciemnymi okularami w stylu Raya Charlesa przysłonił sławny błękit oczu Contiego. Ale zostały jeszcze sławne szarozłote włosy.

—Pana nazwisko? — zapytała strażniczka, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem. Najwyraźniej nie była miłośniczką filmu.

—Ross... — zaczął, po czym natychmiast przypomniał sobie, że miał zachować incognito i że Karen na portierni zostawiła inne nazwisko, którego za Boga nie potrafił sobie przypomnieć.

—Eeee...

—Słucham? — warknęła strażniczka.

—Ross.

—W porządku, panie Ross. Proszę poczekać chwilkę.

Przecież czekam już dłużej niż chwilę. Co to za miejsce, do cholery? Skarbiec?

Strażniczka wyjęła notes i pióro i przeszła na front samochodu. Z tablicy rejestracyjnej spisała numery. Potem niespiesznie podążyła na tył auta, gdzie uczyniła to samo.

Ross nie zaliczał się do cierpliwych osób. Przejechałby własnowolnie, ale bramę blokowała drewniana bariera. — No, szybciej — mruknął.

Strażniczka, specjalnie poruszając się w żółtym tempie, wróciła do swojej oszklonej budki i wykręciła jakiś numer. Po długim mamrotaniu w słuchawkę znowu podeszła do samochodu. — Czy zna pan drogę?

—Nie — warknął.

—Proszę jechać prosto. Zatrzymać się na parkingu dla gości. Parkingowy wskaże panu apartament pani Lancaster.

Wróciwszy do budki, uniosła automatycznie szlaban. Corniche wystrzelił do przodu, o włos mijając się z wyjeżdżającym właśnie Por-sche'em.

—Ross! — krzyknęła jakaś blondynka, machając mu z okna samochodu. — Do zobaczenia wieczorem.

Nie miał pojęcia, kto to. Ale kimkolwiek była, musi teraz wynaleźć jakiś znośny pretekst dla swoich odwiedzin. Cholera! Stracił nawet całą ochotę na seks.

Na parkingu dwóch Meksykan kłóciło się zażarcie po hiszpańsku. Zignorowali Rossa, Corniche'a, błękitne oczy i znak firmowy w postaci szarozłotych włosów.

Ross wyskoczył z samochodu. — To miejsce przypomina jakieś pieprzone więzienie! — wrzasnął. — Proszę o chwilę uwagi.

Zapomnieli o kłótni. Popatrzyli na niego wzrokiem mówiącym: „A kimże jest ten amerykański pajac?” Potem jeden z nich wskazał na otwarty akumulatorowy wózek, podczas gdy drugi wręczył mu kwit i hałaśliwie odjechał Corniche'em.

Ross wskazał palcem na pojazd. — Czy ja mam do tego wsiąść?

—Si, senior. Obsługa od drzwi do drzwi.

—Cholera!

Elaine postanowiła, że musi się komuś zwierzyć. Inaczej zwyczajnie pęknie ze złości. Wyjechawszy poza bramę posesji Suttonów zwolniła Mercedesa i próbowała zdecydować, czy powinna wpięrow zadzwonić do Maralee, czy też po prostu pojawić się na jej progu. Ale ponieważ niełatwo było znaleźć budkę telefoniczną na niemal wiejskich alejkach Bel-Air, uznała, że spróbuje szczęścia i pojedzie tam od razu. Miała jeszcze w zapasie dwie godziny do chwili pojawienia się w salonie, gdzie fryzjerka powinna wykreować na jej głowie fryzurę odpowiednią dla gospodyni przyjęcia sezonu. Wydawanie przyjęć w Beverly Hills wiązało się z pewnymi niebezpieczeństwami. Zawsze za jakimś rogiem czaił się ktoś, kto pragnął wziąć nad tobą górę. Nawet Bibi dziesięć minut temu mruknęła coś, że musi wkrótce

zorganizować mały soiree. „Małe soirees” u Bibi degradowały wieczór rozdania Oscarów do poziomu frytek u McDonalda.

Wyciągnij ze swojego przyjęcia, ile się da, Elaine. Gospodyni tygodnia to lepsze niż kopniak w dupę.

Odpieprz się, Etta, co ty tam wiesz?

Co ja wiem? Ha! Wiem, że nie siedziałabym z założonymi rękami, pozwalając Karen Lancaster pieprzyć się z moim mężem. Wykopałabym ją na zbity pysk i olała to całe przyjęcie. Zapomniałaś już o Nowym Jorku, Elaine? Jesteś dzieckiem miasta, a nie jakąś potulną kalifornijską cipcią.

Na podjeździe u Maralee parkowały trzy samochody. Dwóch ogrodników pracowało nad frontowym trawnikiem, przegarniając bez sensu opadłe liście z jednego miejsca na drugie. Elaine stanęła za srebrzystym Jaguarem, wyskoczyła z samochodu i nacisnęła dzwonek.

Przedstawicielka armii Meksykanek na służbie Maralee otworzyła z hałasem drzwi, gapiąc się na Elaine i nie zdejmując mocno przytwierdzonego łańcucha.

—Buenos dias — odezwała się przyjacielsko Elaine, chociaż wcale nie miała sympatycznego nastroju. Miała ochotę wrzeszczeć na cały głos. — Czy senora Gray jest w domu?

—Que, cual?

—Senora Gray — powtórzyła Elaine. — Czy jest w domu? Czemu Maralee nie najmie takich Meksykanów, którzy choć trochę władają angielskim.

—Nie.

I zanim Elaine zdążyła zareagować, drzwi zamknęły się z trzaskiem. Odjęło jej mowę. Naprawdę trzeba poważnie pogadać z Maralee na temat manier jej służby. Ta idiotka nie spytała nawet o nazwisko. A przecież mogła być kimś ważnym. Była kimś ważnym.

Rozczarowana i wściekła wróciła w zacisze swojego bladoniebieskiego Mercedesa i usiadła za kierownicą.

Gdzie teraz, Elaine? Do fryzjera, gdzie będziesz musiała odgrywać rolę żony

gwiazdora? A może do Rona Gordino na ucziwy seks? A gdyby tak nakryć Karen i Rossa?

Zamknij się, Etta. Zrobię, co będę chciała.

A czego chciała?

Chciała płakać.

Chciała krzyczeć i wrzeszczeć.

Chciała kopać.

Chciałaby nigdy nie podnosić tamtej słuchawki i nie wysłuchać, jak ją zdradzano.

Dzień na przyjęcie był niemal doskonały. Wszędzie dokoła pieczołowicie zajmowano się nieskazitelnie zielonymi trawnikami. Służące odprowadzały dzieci do szkoły. Psy pod palmami hołdowały swoim obyczajom. Wolno przejechał wóz policyjny, dwa domy dalej zatrzymała się ciężarówka dostawcza Sparklettsa.

Beverly Hills.

Jak bardzo je kochała. Kiedy wdrapałeś się na szczyt, było najwspanialsze. Jak bardzo go nienawidziła. Kiedy zjechałeś w dół, było najgorsze.

U fryzjera zachowywała się niezwykle spokojnie. Kiedy skończono czesanie, pomyślała, czyby nie zadzwonić do Maralee. Ale potem uznała: *Nie, nie mogę nikomu o tym powiedzieć. Sama sobie z tym poradzę. Jestem Elaine Conti. A nie gadatliwa Etta Grodinski z Bronxu.*

Chrzanię Etę Grodinski.

Chrzanię Rossa Conti.

Chrzanię Karen Lancaster.

Spokojnie odebrała z parkingu swój samochód i siadłszy za kierownicą rozważała następny krok. Powinna wrócić do domu, czas gonił, ale za kierownicą Mercedesa czuła się taka bezpieczna i pewna siebie. Istniało tylko jedno miejsce, gdzie naprawdę chciała pojechać.

Jakiś mężczyzna w Cadillacu niecierpliwie nacisnął klakson i Elaine znalazła się na drodze do Wilshire. *Chcę wydać forszę, pomyślała. Chcę wydać każdego pieprzonego centa, żeby ten sukinsyn nic z tego nie miał.*

Podjechała na parking przed magazynem Saksa i weszła do sklepu niczym gladiator szykujący się na arenę. W ciągu godziny wybrała towary wartości ośmiu tysięcy dolarów i zarządziła odesłanie ich do domu.

Potem wyszła z magazynu z uśmiechem na ustach i podążyła w dół Wilshire do następnego ogromnego sklepu. Natychmiast wzrok jej padł na emaliowaną bransoletkę i poczuła, że po prostu musi ją mieć. — Płacę czekiem — poinformowała sprzedawczynię władcym tonem.

Dziewczyna zabrała kartę kredytową, a ponieważ rachunek opiewał na ponad sto dolarów, poszła sprawdzić telefonicznie wypłacalność Elaine.

Wróciła, gnąc się w przepaszających ukłonach. — Tak mi przykro, ale wynikły pewne kłopoty. Jeżeli pani zechce udać się do naszego działu kredytów, na pewno wszystko da się załatwić.

—Ale ja żądam tej bransoletki — oświadczyła stanowczo Elaine. Dziewczyna była zakłopotana. — Tak mi przykro.

—Jeszcze ci będzie przykro — pogroziła Elaine ostrym, podniesionym głosem. — Czy nie wiesz, kim ja jestem?

Dziewczyna wlepiała w nią nic nie rozumiejący wzrok. Ujrzała wcale atrakcyjną kobietę z wcale kunsztowną fryzurą. Oczywiście, nie była to ani Goldie Hawn, ani Faye Dunaway. Na szczęście uwagę jej zwrócił kolejny klient, więc szybko się nim zajęła.

—Suka! — powiedziała na cały głos Elaine. A potem zrobiło się jej przykro, że obrzuciła dziewczynę wyzwiskami. To przecież nie jej wina. Tylko Rossa. Ten skurwysyn nie uregulował ostatniego rachunku.

Przez chwilę nie była pewna, co począć. Potem, najspokojniej . w świecie, zrozumiała, że może zrobić tylko jedno. Rozejrzała się bystro dokoła. Sprzedawczyni była zajęta, pozostali klienci zajmowali się swoimi własnymi sprawami. Nikt na nią nie patrzył, miała pełną swobodę. W mgnieniu oka zwinęła bransoletkę z lady, gdzie porzuciła ją dziewczyna, pragnąca się jak najszybciej oddalić. Potem Elaine, nućąc po cichu, podążyła ku wyjściu.

Już na zewnątrz odetchnęła głęboko. Adrenalina zaczęła działać. Teraz już mogła wrócić do domu i spojrzeć Rossowi w oczy bez mrugnięcia i zdradzenia się, że wie, iż jest niewiernym, bezwartościowym kutasem.

Swoją drogą, czym się przejmować? To ona jest panią Rossową Conti, a nie zepsuta do szpiku kości, bogatą dziwką Karen Lancaster, której jedynym tytułem do sławy była sława tatusia.

Czyjaś stanowcza dłoń powstrzymała jej kroki po Wilshire. — Przepraszam, madam — odezwała się wysoka kobieta w okularach. — Proszę wrócić ze mną do sklepu. Nasz kierownik chciałby zamienić z panią słówko.

Karen wbrew obietnicom nie powitała go w czerwonej satynowej piżamce z majtkami bez kroku i stanikiem z otworami na sutki. Miała natomiast na sobie żółty dres, a na twarzy krzywy uśmiezek. Drzwi otworzyła z impetem i od razu zaczęła ochrzaniać go za to, że tyle czasu zajął mu przyjazd do niej.

Wkroczył do wnętrza urządzonego według wskazówek „Architectural Digest” i rzucił się na beżową, skórzaną kanapę. — Może byś się przymknęła? Całe dwadzieścia minut zajęło mi sforsowanie wejścia do tej warownej twierdzy i do twoich drzwi.

—Nie bądź śmieszny — wybuchnęła. — Najpewniej spałeś dalej w najlepsze, a ja tutaj stałam jak głupia, czekając na ciebie niczym jakaś wielbicielka!

Zaczął się śmiać. Sama myśl o Karen jako o wielbicielce była absurdalna.

—Nie śmiej się! — wrzasnęła. — Mogłam sobie pospać jeszcze z godzinę!

Wyciągnął ramiona nad głową i głośno jęknął. — Opieprzanie to ja mogę mieć w domu. Przyszedłem tutaj, żebyśmy się kochali, a nie, żebyś zmywała mi głowę.

Krzywy uśmiezek Karen pogłębił się. — Teraz to już straciłam na to ochotę.

Wstał i ruszył ku drzwiom. — Wyładuj sobie swoje wściekłe humorki na kimś innym. Na to ja z kolei nie mam ochoty. — Zatrzasnął za sobą drzwi i nacisnął przycisk windy. Karen Lancaster w dresie i w złym humorze nie gwarantowała najlepszego sposobu spędzenia ranka. Niecierpliwie nacisnął przycisk po raz drugi, pozwalając sobie jednocześnie na ciche pierdnięcie.

Z apartamentu naprzeciwko wychynęła jakaś starszawa kobieta i obrzuciła go

pogardliwym spojrzeniem. Spowita w wielobarwną szatę, całą głowę miała w zjadliwie różowych lokówkach.

—Tak? — spytała z europejskim akcentem, mierząc go podejrzliwym wzrokiem.

—Co, tak? — burknął.

—Co pan robi w moim korytarzu? — spytała lodowatym tonem, pociągając z obrzydzeniem nosem.

Uniósłszy maskujące ciemne okulary, rzucił jej wściekłe spojrzenie. — Pani korytarzu?

Spojrzała z równą wściekłością. — Taaa... Moim korytarzu.

—Oraz panny Lancaster, jak przypuszczam.

—Panna Lancaster nie dała panu klucza do windy. A skoro pan go nie ma, to dla mnie jest pan jedynie intruzem na moim korytarzu. Dlatego wezwę ochronę. I to natychmiast. — Szybko wróciła do swojego apartamentu, trzaskając drzwiami.

Ross nie mógł w to uwierzyć. Trzeba mieć klucz, żeby wydostać się z tego miejsca! Reżim większy niż w więzieniu San Quentin!

Zabębnił w drzwi Karen.

Otworzyła, nie zdejmując jednak łańcucha. — Co znowu? - spytała znudzonym tonem.

—Dawaj klucz do windy. Wypuść mnie z tego mamra.

—Dlaczego miałabym to zrobić? Zepsułeś mi cały ranek.

—To ty zepsułaś mi ranek.

—Nie myślę, żeby podobało mi się pieprzenie z żonatym mężczyzną. Nie odpowiadają mi twoje wolne godziny.

Przez szparę w drzwiach widział wyraźnie, że nareszcie włożyła stanik z dziurkami. Zmysłowa sutka kusząco wyłaniała się pomiędzy czarnych i czerwonych koronek.

—Hmmm... — mruknął, porzucając zamiar odejścia. — Nie poczęstujesz mnie nawet filiżanką kawy?

Polizła palec wskazujący i prowokująco przytknęła go do sutki. — Może... — powiedziała, nie robiąc jednak żadnego gestu w stronę blokującego łańcucha.

Poczuł, jak wraca mu poranna erekcja. — Już dobrze, kochanie. — Prosił, stosując się do jej gry. — Mam dla ciebie na śniadanie coś takiego, co z pewnością pokochasz!

—Coś miękkiego?

—Już nie.

—Coś twardego?

—Sama się przekonaj...

Nim dokończył to zdanie, z windy wypadł strażnik o dziecinnej twarzy wymachując pistoletem. — Hej, ty! — zakomenderował podniesionym głosem. — Ręce do góry, twarzą do ściany!

—Co takiego? — spytał rozzłoszczony Ross, wyprowadzony z równowagi histerycznym chichotem Karen.

- Nie myśl, że nie użyję broni — pisnął strażnik. — Rób, co ci każę, albo strzelam.

Europejski babsztyl w różowych lokówkach i wielobarwnej szacie uchylił drzwi swojego mieszkania. — Tak — powiedziała stanowczo. -To ten intruz.

—Święci pańscy! — krzyknął Ross.

—Ręce do góry! — powtórzył strażnik.

—O co wam tutaj wszystkim chodzi? — spytała Karen, zdejmując łańcuch i wychodząc na korytarz. — Czyżby nikt z was nie poznał od razu Rossa Conti?

W jej kierunku obróciły się jednocześnie trzy pary wytrzeszczonych oczu. „•

Karen Lancaster bowiem nie miała na sobie nic prócz majtek bez kroku, stanika z otworami na sutki i rozbawionego uśmiechu.

Wczesnym rankiem mikrobus Deke'a wjechał powoli do małego miasteczka Barstow w Kalifornii.

Dekę był zmęczony i zarośnięty, jednym ciągiem pokonał drogę z Nowego Meksyku. Sama myśl o tym, że znajduje się już niedaleko swojego celu przeznaczenia, popędzała go szerokimi, opustoszałymi drogami. Radio grało na pełny regulator, w głowie huczały dające mu natchnienie słowa — Stróż Porządku.

Często widział Joey. Siedzącą w przejeżdżającym samochodzie, ze spódnicą wysoko podciągniętą na udach. Kciukiem zatrzymującą okazję. Pozującą prowokująco na

przydrożnych reklamach.

Ale nic nie skusiło go, by się zatrzymać. O, skądże. Nie skusiło ani trochę. Teraz wiedział lepiej. Teraz.

Nie sprawdziły się jego wyobrażenia o Kalifornii. Spodziewał się białych pałaców, błękitnego morza, szerokich ulic wysadzanych palmami. Za to znalazł się na zakurzonych zjazdach, wśród tych samych stacji benzynowych i moteli. Upał był obezwładniający. Spowijał niczym koc, próbował zadławić. No, ale przecież dojechał. Barstow, Kalifornia.

Ze schowka w cholewie swoich kowbojskich butów wyciągnął zmięty skrawek papieru z nabazgranym na nim adresem. Uważnie go przestudiował.

Przez chwilę przed jego oczami zatańczyła twarz dziewczyny z Amarillo. — Dlaczego? — krzyczała przerażona. — Dlaczego ja?

Chwila jej śmierci była ekstazą. Krzyk urwał się, ciało stało się wiotkie, spokojne. Wtedy czuł się tak bardzo jej bliski, gdyż przecież to on jej pomógł. Nóż był narzędziem zesłanym przez Boga, aby Deke dopełnił Jego dzieła.

Po śmierci przeistoczyła się w Joey. Udało mu się wtedy rozładować namiętność, jaka gromadziła się w jego ciele od tak wielu miesięcy.

Ulga była cudowna.

Namiętność. Nawet prezydentowi potrzeba namiętności.

Obtłuczony neon zapraszał na kawę i pączki. Dekę podjechał na zaniedbany parking i wysiadł. W knajpie nie było żywego ducha, prócz samotnego barmana dłubiącego w nosie i oglądającego stary egzemplarz magazynu z gołymi panienkami.

—Kawy — zażądał Dekę, siadając na wyblakłym plastikowym krzeselku przy kontuarze.

Facet nawet nie podniósł wzroku znad pisma. Po prostu wrzasnął: — Kawa! — do kogoś na zapleczu.

—I pączek — dodał Dekę.

—Pączek! — wrzasnął barman ani drgnąwszy.

Wokół lepiącej się od brudu cukiernicy maszerował w najlepsze sznurek mrówek. Dekę sięgnął po papierową serwetkę i zgniatał je metodycznie jedną po drugiej.

—Widział pan kiedy gołą babkę bez nóg? — spytał barman, wyjmując paluch z nosa i przesuwając otwarte pismo po ladzie.

Dekę bez słowa obejrzał zdjęcia.

—Seksowna, nie?

Dziewczyna ze zdjęć przypominała Joey. Zdjęcia były wyjątkowo wulgarne-. Tak. Dokonał właściwego czynu, wyzwalając Joey od pokusy. Teraz była bezpieczna. Stróż Porządku dobrze wypełnił swój obowiązek.

—Co pan o tym myśli? — spytał barman, mając nadzieję na dyskusję o zaletach znalezienia się w łóżku z beznogą dziewczyną.

Dekę uniósł swoje zimne, czarne oczy znad magazynu i wlepił je w barmana. To nie w porządku, że Joey pozowała do takich zdjęć i że obcy mężczyźni mogą napawać siebie oczy widokiem jej nagości. Gdyby miał dosyć czasu, zlikwidowałby tego sukinsyna, zgniótł go na śmierć, w taki sam sposób jak mrówki.

—Wszystko to kurwy — powiedział wreszcie, rozumiejąc, że Stróż Porządku nie ma dość czasu, by zajmować się każdym śmierdzącym zbrojeńcem, na jakiego się natknie.

—Święta racja, stary — barman zachichotał szyderczo. — Sam wiem na ten temat niejedno. Przekłete dziwki — sztuka w sztuce.

Kara boża jest bliżej, niż ci się wydaje, pomyślał Dekę. Był jaż w Kalifornii i nic nie mogło go powstrzymać przed dopełnieniem tego, czego dopełnić musiał.

Psychiatra orzekłby, że to krzyk rozpacz. Czyn mający na celu zwrócenie na siebie uwagi; czyn dokonany przez osobę, która straszliwie potrzebuje pomocy. Elaine знаła cały ten psychiatryczny śmietnik. Nie po to przez rok wylegiwała się na kanapce u psychoanalitka, aby się nie nauczyć tego i owego. Nauczyła się, że wizyty u takiego specy są kosztowne, pochłaniają czas i rozdmuchują twoje ego. Któż nie lubi mówić wyłącznie na swój temat całą godzinę trzy razy w tygodniu? Był to mały luksus, bez którego ostatecznie zdecydowała się obejść.

Takie myśli przebiegały jej przez głowę, kiedy siedziała w biurze kierownika i powtarzała raz po raz: — Jestem oburzona, że nawet przez chwilę mogliście podejrzewać, że ja chcę skraść tę nędzną bransoletkę. Moim mężem jest Ross Conti. Jeżeliby miał taką fantazję, to mógłby wykupić dla mnie cały ten sklep!

—Oczywiście, rozumiem — powiedział kierownik, nic w istocie nie rozumiejąc. — Ale musi pani dostrzec nasz punkt widzenia. Wyszła pani stąd z bransoletką, za którą pani nie zapłaciła.

—To pomyłka — orzekła Elaine wyniośle. — Źle zrozumiałam waszą sprzedawczynię. Sądziłam, że dopisze to do mojego rachunku.

Detektyw sklepowy w spódnicy czaił się przy drzwiach.

—Naprawdę muszę już iść — powiedziała pospiesznie Elaine. — Ta cała afera jest z waszej strony fatalną omyłką.

—Przykro mi, ale nie możemy pozwolić pani odejść.

Jak mogła być tak nieostrożna? Jak mogła tak ryzykować wszystko w dniu swojego przyjęcia? A co, jeśli wiadomość o tym przedostanie się do gazet?

—Dlaczego? — zażądała władczo wyjaśnień.

—Ponieważ — mówił kierownik — naszym zadaniem jest karanie winnych.

Podskoczyła przerażona, myśląc o poinformowaniu opinii publicznej. — Proszę! — błagała. — Pan nie może mi tego zrobić! Mówiłam już, kim jestem. Dlaczego nie możemy zapomnieć o całej tej sprawie?

Zmarszczył brwi. — Pani powiedziała nam, kim jest. Ale to nie znaczy, że pani naprawdę jest tą osobą.

—Okazałam wam moje wszystkie karty kredytowe. Czyżby to nie wystarczyło?

—Ale nie ma prawa jazdy, żadnego zdjęcia...

—Nigdy nie zabieram ze sobą prawa jazdy — przerwała pospiesznie.

—To szkoda. — Wydał wargi. Jeżeli ta kobieta była tą, za którą się podaje, to rozgłos nie mógłby przynieść korzyści żadnej ze stron. Ale jednocześnie, nie można było po prostu pozwolić jej wyjść ze sklepu bez żadnych konsekwencji dlatego tylko, że utrzymywała, iż jest żoną gwiazdora filmowego. Wpadł jednak na pewien pomysł. —

Gdyby udało się nam skontaktować z panem Conti i gdyby on po panią przyjechał, wtedy może moglibyśmy zaniechać postępowania. Jestem pewien, że jak pani mówiła, to zwyczajna omyłka.

Detektyw płci żeńskiej wykrzywił z obrzydzeniem wargi. — Zgoda — rzuciła prędko Elaine, czując ogromną ulgę. Konale wiem, gdzie mogę męża znaleźć.

W końcu kochali się, gdyż taki był przede wszystkim cel jego wizyty. Karen zaśmiewała się, a Ross pompował solidnie. — Widziałeś minę tamtej baby? — zachłysnęła się. — No, czy widziałeś?

—Nie można było nie zauważyć — sapnął.

—Hmmm... zmieńmy pozycję. — Umiejętnie przekreśliła się, mocno trzymając go w sobie, aż znalazła się nad nim.

Zauważył, że Karen niezbyt lubiła pozycję „misjonarską”. On sam owszem, bo kiedy musiał odpocząć, mógł się wesprzeć na łokciach.

—I ten kretyn z ochrony! — chichotała. — Wyobrażasz to sobie! Gdybyś naprawdę był włamywaczem, to narobiłby w portki ze strachu! — Nakierowała swoją naprężoną sutkę do jego ust. Zaczął ją ssać żarłocznie. — Dobrze — westchnęła.

Ross czuł, że zaraz skończy. Nieźle. Ofiarował jej bite dziesięć minut solidnego seksu. Na to przynajmniej nie powinna narzekać.

—Chryste! — jęknął. — Wielkie nieba!

Telefon zadzwonił na sekundę przed wytryskiem. Mężnie^próbowali robić dalej swoje, ale sygnał był zbyt natarczywy.

Wypluwając z ust jej sutkę, Ross powiedział: — Lepiej odbierz ten pieprzony telefon.

Sięgnęła po słuchawkę. — Tak?

Ross nie mógł usłyszeć, kto dzwoni, ale ze sposobu, w jaki Karen zsunęła się z niego, wywnioskował, że musi to być George Lancaster.

—Tatuś! — zagruchała, potwierdzając jego domysły. — To znaczy... przepraszam... George. Jak się dzisiaj miewasz?

Ross patrzył, jak flaczeje jego naprężony dotąd członek. Czuł się niczym koń wyścigowy zablokowany tuż przed metą. Jeszcze dziesięć sekund i byłby zwycięzcą.

A teraz musi powtórnie pokonać ten cały przeklęty dystans. Jeżeli tylko znajdzie na to dość sił.

Zerknął wymownie na zegarek. — Muszę już iść do banku — szepnął.

Kiwnęła głową, na chwilę przysłoniła słuchawkę. — W porządku. Idź, zobaczymy się później. — A potem wróciła do rozmowy, która pochłaniała całą jej uwagę.

Co za dużo, to niezdrowo. Ross ubrał się, odnalazł klucz do windy i wyszedł.

Ten ranek z trudem można by nazwać udanym. Miał nadzieję, że w miarę upływu godzin wszystko się polepszy.

Karen rozmawiała z ojcem dwadzieścia pięć minut. Pod koniec zaprosił ją na późny lunch do Polo Lounge.

— Będę tam — powiedziała bez tchu.

Zrobiła sobie pianistą kąpiel, upięła wysoko swoje długie włosy i wśliznęła się do gorącej wody. Tatuś znowu w mieście. Gdyby tylko sobie zażyczył, to spędziłaby z nim każdą chwilę. Może i ma już trzydzieści dwa lata, ale wie dobrze, komu należy się pierwszeństwo.

Telefon zadzwonił ponownie. Odebrała go w łazience. — George? — spytała pełna nadziei. Nie znosił, jak zwracała się do niego per „tatusiu”. Mówił, że go to postarza.

—Nie. Elaine — odezwał się głos jej przyjaciółki. Bardzo oficjalny.

—O, witaj. — Ledwie zdołała ukryć swoje rozczarowanie. — Wszystko przygotowane na wielki wieczór?

—Owszem — odparła Elaine napiętym tonem. — Czy mogłabym zamienić słówko z Rossem?

—Z Rossem? — W głosie Karen zadźwięczało zdumienie.

—Wiem, że on u ciebie jest. Muszę z nim pilnie porozmawiać. Karen zaśmiała się tubalnie. — A niby dlaczego Ross miałby być tutaj?

—To ważne. Daj mi go.

—Nie rozumiem — zatroskała się Karen. — Czy ty się dobrze czujesz?

—Więc nie ma go u ciebie?

—Oczywiście, że nie ma. A ja nie...

Elaine rozłączyła się.

Karen osłupiała. Stała w wannie oblepiona pianą. Skąd Elaine wie?

Czy to Ross jej powiedział?

Nie. Jeszcze bardziej od niej samej pragnął zachować ich romans w sekrecie. Przemyślawszy całą rzecz, Karen uznała, że w zasadzie nie obchodzi jej, czy zostało to utrzymane w tajemnicy, czy wręcz przeciwnie. Posiadanie Rossa Conti było drugą w kolejności najlepszą rzeczą po posiadaniu tatusia. A skoro tatuś nie wchodził w rachubę...

Przez sekundę poczuła litość dla Elaine, ale uczucie to szybko znikło. Karen zawsze dostawała to, czego zapragnęła. Od kiedy była małą dziewczynką. A jeżeli przy okazji ktoś został skrzywdzony... no cóż, to jest show-biznes — jak mawiał tatuś.

Elaine odłożyła słuchawkę z zaciśniętymi wargami. — Znalezienie męża może mi zabrać kilka minut — wyjaśniła, zastanawiając się jednocześnie, czy to aby nie koszmar senny, z którego się zaraz obudzi.

Potem zadzwoniła do Liny, do banku, do klubu gimnastycznego Rossa, Ma Maison, doradcy finansowego, Liny, Polo Lounge, salonu piękności, do Bistro, Liny i wreszcie ponownie do Karen Lancaster. Nikt nie odebrał słuchawki, co tylko przekonało Elaine, że nawet teraz kotłują się na królewskich rozmiarów łożu w szale seksu i wyśmiewają się z biednej Elaine.

—Dzisiaj wieczorem wydaję wielkie przyjęcie — powiedziała do kierownika zrozpaczonym tonem. — Czy to naprawdę konieczne?

—A czy naprawdę koniecznie musiała pani skraść bransoletkę? Niespodziewanie wybuchnęła. — Mam nadzieję, że pan wie, co pan robi! — krzyknęła histerycznie. — Mam wpływowych przyjaciół na bardzo znaczących stanowiskach. Popełnia pan okropny błąd przytrzymując mnie tutaj!

W zasadzie już był skłonny ją puścić. Po serii telefonów, jakie wykonała, nie mogło ulegać wątpliwości, że jest tą, za którą się podaje. Ale kierownik nade wszystko nie lubił, jak mu grożono. No i za kogo ona się ma?

—Przykro mi — oznajmił gładko. — Ma pani wybór. Albo policja, albo pani mąż. Co pani woli.

Za lśniącym Corniche'em ruszającym sprzed apartamentu Karen w Century City podążył ukradkiem niepozorny, brązowy Datsun. Da-tsuna prowadził mężczyzna nazywający się Mały S. Schortz. Mając takie nazwisko, nigdy nie był nim zachwycony, ale z biegiem lat przywykł. Dzieciaki w szkole przezywały go Kurdupel Schortz. Była żona — Za Mały Schortz. A ludzie, z którymi się stykał wykonując swoją robotę, nieodmiennie wyzywali go na wszystkie możliwe sposoby.

Mały S. Schortz był prywatnym detektywem. Takim, którego można wynająć za sto dolarów dziennie na tak długo, jak długo będzie mu się płacić gotówką. A ci klienci, którzy go wynajmowali, zawsze płacili gotówką.

Nie był specjalnie wybitny, ale znał życie od podszewki i wyspecjalizował się w sprawach rozwodowych. Im pikantniejszych — tym lepiej. Był ekspertem w dziedzinie przyłapywania niewiernych mężów i żon na gorącym uczynku. Wiele drzwi hotelowych poddało się sile jego ramienia, kiedy wpadał do środka z nacelowanym aparatem fotograficznym.

Kiedy zajął się sprawą rozwodową Glynis Barnes, Mały S. Schortz poczuł, że mu się pofarciło. — Chcę znać każdy ruch mojego męża — oznajmiła mu podczas pierwszej wizyty w jego jednopokojowym biurze w Hollywood. — Chcę znać czas, miejsca i co najważniejsze, mieć fotografie każdej kobiety, z jaką się spotka.

Schortz natychmiast zabrał się do pracy. Śledzenie Cheta Barnes'a było czystą przyjemnością i Schortz wkrótce ustalił sobie plan dnia, niemal uniemożliwiający mu opuszczenie Beverly Hills. Kręcił się koło najlepszych restauracji, od czasu do czasu pstrykając Cheta Barnes'a wychodzącego z najrozmaitszymi kobietami. Raz w tygodniu do jego biura przybywała Glynis Barnes przynosząc gotówkę. Zabierała dowody w postaci zdjęć i wychodziła ze słowami: — Zajmiemy się tym jeszcze jeden tydzień.

Któregoś dnia pewne zdjęcie szczególnie przyciągnęło jej uwagę. — Czy pan wie, kto to taki? - spytała ostro, ciskając je w stronę Schortza.

Zerknął na fotografię przedstawiającą Cheta Barnesa opuszczającego La Scalę. Ramieniem opasywał miedzianowłosą kobietę w obcistej sukni. Pokręcił przecząco głową, a tymczasem Glynis Barnes nerwowo przechadzała się po jego małym biurze, mrucząc coś do siebie.

— Czy już przedtem widział ich pan razem? — zażądała wyjaśnień. — Czy mąż spędził noc w jej mieszkaniu? Co zaszło?

Szczerze mówiąc, nie miał zielonego pojęcia. Natychmiast po zrobieniu tej fotografii zabrał się i poszedł do domu. Toteż skłamał: — Tak, został u niej na noc. Pomyślałem sobie wtedy, że pani chciałaby, żebym tam został do rana i tak też uczyniłem. Praca po północy jest za podwójną stawkę, pani wie.

— To bez znaczenia — odparła. — A teraz chcę, żeby pan zrobił dla mnie następującą rzecz.

Wyjaśniła mu, że kobieta ze zdjęcia to Karen Lancaster. Nazwisko to nic mu nie mówiło, póki nie skojarzył go z George'em Lancasterem i nie zorientował się, że to jego córka.

Już od dawna Glynis podejrzewała, że jej odrażający mąż smali cholewki do Karen. Teraz, gdy zyskała pewność, pragnęła mu udowodnić, co z Karen za dziwka. — Chcę, żeby ją pan śledził — powiedziała. — I zrobił dla mnie parę dobrych zdjęć. Jednoznacznych. Proszę nie spuszczać z niej oka dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bez względu na koszty.

Zaledwie kilka dni później podążył za Karen do jej domu przy plaży. Zdjęcia, jakie udało mu się wykonać, były ze wszech miar interesujące. Najpierw wystrzelał cały film przez panoramiczne okno, kiedy Karen kotłowała się w łóżku z jakimś mężczyzną. Potem przy-dybał ją i jej kochasia w falach oceanu.

Dopiero kiedy wywołał zdjęcia, uświadomił sobie, że mężczyzną tym był Ross Conti. Oto zyskał jego podobizny, jakich jego wielbicieli nigdy nie mieli okazji podziwiać!

Uznał, że przekazanie tych fotografii Glynis Barnes byłoby idiotyzmem. Dlaczego pozbywać się ich za marne parę setek, kiedy warte były tysiące?

Odczekał jeszcze tydzień, a potem wycofał się ze sprawy ku wielkiemu

niezadowoleniu Glynis Barnes.

Odczekał jeszcze dłużej, po czym zrobił powiększenie kilku szczególnie udanych fotosów i zasadził się na Rossa Conti. To było łatwe. Musiał tylko sprawić sobie tanią mapkę z zaznaczonymi domami gwiazd. Uwzględniono na niej i państwa Conti, wraz z Tonym Cur-tisem i Johnnym Carsonem.

Pewnego wczesnego ranka Schortz zaparkował naprzeciwko domu Contich i czatował na właściwy moment.

Nadeszły trzy pokojówki, chichocząc i trajkocząc po hiszpańsku. Mleczarz dostarczył dwanaście kwart soku pomarańczowego i sześć kartonów mleka.

Z domu wyszła jakaś kobieta, wsiadła do bladoniebieskiego Mercedesa, zjechała z podjazdu, zmieniła zamiar, wróciła do domu, potem znowu wyszła i odjechała w pośpiechu.

Tracił swój cenny czas, ale wreszcie, zaledwie po dwudziestu minutach, został wynagrodzony widokiem Rossa Conti w jego Corniche'u. Śledził ten samochód całą drogę aż do apartamentu Karen Lancaster w Century City. Z przyjemnością pomyślał, że romans nadal kwitnie. Później, kiedy Ross Conti odjeżdżał swoim przyciągającym wzrok złotym Corniche'em, Mały S. Schortz podążył w ślad za nim.

W mieszkaniu Randy'ego śmierdziało płynem po goleniu Au Sau-vage, dezodorantem Yves Saint Laurenta i balsamem do ciała Jeana Nate.

— Nie cierpię tego całego gówna — oświadczył Buddy, pracowicie podnosząc ręką ciężarek.

Randy wyskoczył z łazienki, odziany jedynie w krótkie gatki. — Jakiego gówna? — zażądał wyjaśnień.

—Całego tego świństwa, którym się zlewasz. Nie wiesz, że ten szajs może spowodować u ciebie raka? — Odłożył ciężarek i leżał na brzuchu na płask. — Kurczę, wiesz, jakoś mi niedobrze. To chyba wskutek wdychania tych trujących oparów.

— Jeżeli ci się nie podoba, to dobrze wiesz, co możesz zrobić.

Buddy podniósł się z podłogi i osłabiony oparł o ścianę. — Źle spałem ostatniej nocy.

Miałem naprawdę okropny sen, tak wyraźny, jakby to się działo na jawie. Byłem...

Randy powstrzymał go ruchem dłoni. — Nie opowiadaj mi tutaj swoich snów. Ja się własnymi nie przejmuję, to dlaczego miałbym słuchać twoich?

Buddy podszedł do lodówki. — Czemu tutaj nigdy nie ma nic do żarcia? — poskarżył się.

—Chryste! Jesteś gorszy niż żona! Może byś poszedł do Shelly i ją podniecał tym, że cię brzuch boli?

To cały problem. Podniecam ją nie tylko tym. A nie mam ochoty na następny związek. Po tym, co Angela mi zrobiła...

—Zamknij się — przerwał ostro Randy. — Sam mam niemało na głowie i nie potrzeba mi jeszcze twoich kłopotów. Chciałeś nocować tutaj na podłodze, użyczyłem ci podłogi. Chciałeś pożyczyć forszę, pożyczałem ci forszę. Ale za to wymagam, żebyś nie raczył mnie bez ustanku komentarzami na temat twojego parszywego życia.

—Dzięki. Jak to dobrze mieć przyjaciół.

Randy był nie w humorze od chwili, w której Buddy zwierzył mu się, że on także wybiera się na przyjęcie na cześć Lancastera. — Trzymaj się z dala ode mnie i od Maralee — ostrzegał, niepokojąc się o swoją przeszłość.

Co ten kretyń uważa, że on, Buddy, zamierza powiedzieć? „Hej, Maralee, miło cię poznać. Czy wiesz, że twój kochanek i ja kiedyś się razem kurwiliśmy?” Jezu! Sam przecież pragnął równie mocno jak Randy wymazać to z pamięci.

Wykonał swój codzienny telefon do Ingi i jak zwykle usłyszał: — Rozważają twoją kandydaturę. Jesteś naprawdę dla nich numerem pierwszym. Bardzo się im podobasz. — Jeżeli to prawda, to dlaczego minęły całe tygodnie i nic się nie wydarzyło? Może Inga raczy go słodkimi kłamstewkami? Może rolę już obsadzono? Może należałoby już porzucić wszelką nadzieję...

— Angela! — szepnął do siebie. — Dlaczego musiałaś ode mnie uciec?

Montana pojechała do Beverly Hills, ale zamiar sprawienia sobie nowego stroju na przyjęcie George'a Lancastera przestał ją jakoś ekscytować. Chamstwo i arogancja gwiazdora wyprowadziły ją z równowagi. Za kogo on się uważa? Tracący

popularność, starzejący się su-pergwiazdor, oto, kim jest. A jeśli chodzi o Olivera i Neila, to ci naprawdę ją rozczarowali. Oliver, podlizujący się niczym współczesny Uriah Heep, i Neil, przypięty do szklanki z bourbonem niczym do piersi.

W ciągu ostatnich paru dni kilkakrotnie usiłowała rozmówić się z Neilem. Ale on torpedował wszelkie próby przeprowadzenia poważnej rozmowy odwracającymi uwagę wzmiankami na temat scenariusza, co skłaniało ją do gorączkowej dyskusji. I ani się spostrzegła, jak walczyła o sceny, które Neil pragnął usunąć. Ważne sceny, co do których wcześniej nigdy nie zgłaszał zastrzeżeń.

Była sfrustrowana, wyprowadzona z równowagi. Co się, u diabła, dzieje? Czy wszystko miało okazać się klapą? „Ludzi z ulicy”, jej ukochane dziecko, systematycznie jej odbierano. Napisała scenariusz, a teraz wyszło jakoś tak, jakby te słowa już do niej nie należały. No dobrze, obsadziła praktycznie cały film prócz ról głównych, ale co z tego? Od tej chwili będzie to film George'a Lancastera, a to był facet takiego typu, jakiego zawsze nienawidziła. Ważniak, twardziel, utwierdzony w błędnym przekonaniu, że mężczyźni są istotami wyższego rzędu niż kobiety.

Postanowiła nie wracać do biura. Plaża wydawała się bardziej pociągająca, więc pojechała przez Wilshire nad ocean, zaparkowała samochód i przechadzała się nad brzegiem, próbując się uspokoić.

Fale były wystarczająco wysokie do surfingu. Mnóstwo młodzieży pływało na deskach, ich opalone na brąz ciała śmigały z gracją po wodzie. Żałowała, że nie ma przy sobie kostiumu kąpielowego i deski — na to właśnie miałyby ochotę. A dlaczego nie? Kierując się impulsem, pospieszyła do samochodu, podjechała do sklepu ze sprzętem sportowym na Santa Monica. Tam kupiła wszystko, co potrzeba.

Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni uprawiała surfing — z pewnością było to przed poznaniem Neila. Wchodząc w fale oceanu, z początku czuła się dziwnie i głupio, a nawet, w wieku dwudziestu dziewięciu lat — za staro. Ale szybko złapała rytm i pływała po falach jak za dawnych dobrych czasów, rozkoszując się każdą chwilą.

Zapomniała o George'u, o Oliverze, filmie. Niemal zapomniała o Neilu. Ogarnęło ją podniecenie, kiedy powróciły umiejętności od tak dawna nie wykorzystywane.

Jak dobrze czuć się znowu młodą i nie myśleć o niczym prócz nadbiegającej fali.

Jak dobrze mieć nad tym wszystkim kontrolę.

—Mógłby mi pan poświęcić minutkę? — Mały S. Schortz przyskrzynył Rossa Conti przed Bijan na Rodeo Drive.

—Oczywiście — powiedział wspaniałomyślnie Ross, sądząc, że ten niepozorny facecik jest jego wielbicielem. — Co chciałby pan wiedzieć? Czy to naprawdę ja zeskoczyłem z tej skały w „Prowler”, czyrobił to za mnie kaskader? Niech pan się nie krępuje, wszyscy mnie o to pytają. I powiem panu, że to byłem ja we własnej osobie. Jeśli pożyczysz mi pan pióro, złożę panu mój autograf na tej kopercie. Dla kogo ma być — dla pana siostry?

Małego zatkało. Podejść do faceta, żeby go zaszantażować, i dostać od niego propozycję, że ten przyozdobi autografem kopertę ze zdjęciami, będącymi właśnie podstawą do szantażu!

— Pan mnie źle zrozumiał — wyjąkał. — Mam zdjęcia. - Och, pan chciałby, żebym się podpisał na zdjęciach — rzucił lekko Ross. Zawsze był zdania, że to miło mieć wielbicieli. Traktuj ich uprzejmie, a nie opuszczą ani jednego twojego filmu. *Tylko że wielbiciele opuścili cię już od dawna, kochasiu.*

—Zdjęcia, które na pewno wolałby pan, żeby ich nie opublikowano — szybko ciągnął Mały, nim ten potężny gwiazdor znowu zbije go z tropu. — Ani żeby nie obejrzała ich pana żona, matka, córka czy wnuczka.

Wnuczka! Ross wpadł we wściekłość. Ile według tego smętnego kutasa ma lat, co?

—Moja matka przeniosła się do wieczności. Nie posiadam córki. A już tym bardziej nie mam żadnej wnuczki. Więc może pan sobie zabrać tę kopertę i podtrzeć nią sobie dupę. Ross przemówił z godnością, potem okręcił się na pięcie i skierował ku samochodowi zaparkowanemu przy samym zakazie postoju.

Mały pospieszył za nim. — Jak się panu udało, leżąc w łóżku z Ka-ren Lancaster, oglądać okładkę „National Enquirer”? — spytał, wierząc się nerwowo.

Na mgnienie oka Ross zatrzymał się, ale potem pomyślał: *No, co jest? Czym się tutaj przejmować? Kto mógłby zdobyć zdjęcia moje i Ka-ren?*

Mały S. Schortz pogrzebał w swojej kopercie i podsunął mu pod nos fotos rozmiarów osiem cali na dziesięć, czarno-biały, lśniący, prezentujący Karen i Rossa w łóżku.

Mały S. Schortz miał dobry towar.

—Ile? — spytał Ross znużonym głosem.

Karen weszła do Polo Lounge pewnym siebie krokiem, pomachała Nino, kierownikowi sali, i skierowała się do stolika, przy którym zwykł siadywać George Lancaster, ilekroć bawił w mieście.

Ku jej rozczarowaniu ojca jeszcze nie było, więc usiadła, zamówiła Bloody Mary, potem wyjęła z torebki ekskluzywną puderniczkę firmy Faberge i podziwiała swoje wymodelowane rysy. Na szczęście urodę i charakter odziedziczyła po ojcu, co ją niepomiernie cieszyło. Gdyż matka, w oczach Karen, była kobietą słabą, zbyt słabą, by poradzić sobie z córką taką jak Karen czy z mężem takim jak George. Prawdopodobnie to było przyczyną, dla której przez cały czas trwania ich małżeństwa uganiał się za spódniczkami. Po śmierci matki Karen wiele czasu spędzała z ojcem. Przez sześć cudownych miesięcy byli nierozłączni. Potem pojawiła się Inianowłosa gwiazdeczka i wszystko zepsuła. George jak głupiec ożenił się z nią. Małżeństwo przetrwało zaledwie kilka miesięcy i drogo go kosztowało. Tymczasem Karen poślubiła pierwszego z brzegu mężczyznę, jaki się jej nawinał. Handlarza nieruchomości, który właśnie sprzedał jej dom. Jej małżeństwo rozpadło się w dwa dni po rozwodzie George'a. Ale wbrew nadziejom Karen, George, zamiast znowu z nią zamieszkać, pojechał z kilkorgiem przyjaciół do Palm Beach, poznał Pamelę London i jak tylko uprawomocnił się jego rozwód, wziął z nią ślub. Wesele było wydarzeniem roku. Karen naćpała się i pod stołem oddała się swojemu kochankowi. Dwa miesiące później wyszła za kompozytora-ćpuna, która wdychał tyle koki, ile tylko mogło przejść przez jego nozdrza. Kiedy Karen zorientowała się, że George'a niewiele obchodzi, z kim ona bierze ślub, uzyskała rozwód i od tamtej pory stała się samodzielną kobietą z Be-verly Hills. Samotną rozwódką z ogromnym majątkiem, wspaniałym apartamentem i oszałamiającym domem przy plaży, trzema samochodami, czterema futrami i wszystkim, czego tylko mogłaby zapragnąć jej duszyczka.

Do restauracji wkroczył hałaśliwie George Lancaster. Kiedy mijał stoliki, goście podnosili głowy, cichły rozmowy, paziowie zrywali się na równe nogi i oddawali hołd. Kiedy się zbliżył, Karen wstała. Pragnęła być znowu małą dziewczynką i rzucić mu się w ramiona. Ale tylko uścisnęli się przelotnie.

—Jak się miewa moja mała dziewczynka? — zahuczał George.

—Wyglądasz wspaniale, ta... hm... George. Naprawdę, znakomicie.

—E tam... starzeję się.

—Daj spokój. Ty — nigdy.

Uśmiechnął się niczym chłopak. — Ja i Reagan, dziecinko. Obaj trzymamy się zupełnie nieźle jak na parę starych przyków.

—Lepiej, żeby on tego nie usłyszał.

—Kto, Ronnie? Wcale by się nie obraził.

—Kocham cię, tatusiu — powiedziała, nagle czując się małą dziewczynką, jaką wciąż pragnęła być.

—Daruj sobie tego „tatusia”, dobrze? Wiesz, że tego nie znoszę. Pospiesznie przełknęła Bloody Mary, potem wesoło spytała: — A jak tam Pamela?

Jak na stare babsko nieźle — roześmiał się w głos. — Czy słyszałaś już ten kawał o Eskimosie i kostkach lodu?

Przez kwadrans opowiadał dowcipy, przerywając tylko, by pożar-tować z personelem i właścicielami, którzy nieprzerwanym strumieniem podpływali do ich stolika.

Karen z trudem przeżuła znakomitą sałatkę Neila McCarthy'ego, wlała w siebie dwie kolejne Bloody Mary, próbowała dociec, dlaczego, do diabła, Elaine dzwoniła do niej szukając Rossa, i cierpliwie słuchała sprośnych kawałów George'a.

Nie lubił kobiet. Nawet Karen musiała to przyznać.

Wreszcie podzielił się z nią nowinami o przyjęciu roli w „Ludziach z ulicy”.

Karen słyszała już takie plotki, ale puszczała je mimo uszu jako oczywistą bzdurę. Przecież George wielokrotnie zapewniał, że za nic w świecie nie zagra już w żadnym filmie.

Ogarnęły ją mieszane uczucia. Cudownie byłoby mieć znowu George'a w mieście. Ale

co z Rossem? Tak bardzo chciał zagrać w „Ludziach z ulicy”. Potrzebował tej roli.

—O, cholera — mruknęła pod nosem.

—Co takiego? — ryknął George.

—Nic, tat... George. Zastanawiałam się właśnie, czy ta rola jest dla ciebie odpowiednia.

—Odpowiednia? Ja się nie staję postacią z filmu, to ona staje się mną. Na tym właśnie polega tajemnica zostania gwiazdą w tym mieście. Nigdy o tym nie zapominaj.

Późnym popołudniem Angela była kompletnie wyczerpana. Nade wszystko pragnęła wrócić do domu i położyć się. Salon przez cały dzień przypominał dom wariatów. Wszyscy mieli nerwy napięte do granic wytrzymałości. Po raz setny rozdzwonił się telefon w recepcji. Zmęczonym ruchem podniosła słuchawkę. — Salon Koko. Czym mogę służyć?

- Angela? Moja kochana? — wybuchnęła serdecznościami pani Liderman.

— Tak.

- Ogromnie się cieszę, że cię złapałam. Nigdy nie zgadniesz, co się stało. Frowie wrócił do domu i to wyłącznie dzięki tobie, kochanie. Tobie i twoim pozytywnym wibracjom.

—Ja tylko mówiłam...

—Nieważne, co mówiłaś — przerwała pani Liderman. — Wysłałaś pozytywne fale myślowe i to wystarczyło, by namówić mojego pieścioszka na powrót do mnie. Jestem ci taka wdzięczna.

—Co się dzieje? — syknął Koko.

Angela przysłoniła słuchawkę i szepnęła: -- Piesek pani L. wrócił i ona, zdaje się, uważa, że ja miałam coś z tym wspólnego.

—Świetnie. Może da ci z pięćset dolarów.

Pani Liderman, jakby wchodząc mu w słowo, powiedziała: — Muszę cię za to wynagrodzić.

Na co Angela: — Ależ, proszę pani.

I pani Liderman: - Wyślę po ciebie mój samochód. Zabieram cię dziś wieczorem na

przyjęcie. Będziesz się cudownie bawiła. To bardzo wyjątkowe przyjęcie, wydawane na cześć mojej serdecznej przyjaciółki, Pameli London.

Koko, który teraz podsłuchiwał, entuzjastycznie kiwnął głową, podczas gdy Angela mówiła: — To bardzo uprzejmie z pani strony, pani Liderman. Ale nie sądzę, bym mogła tam pójść.

Koko wyrwał jej z ręki słuchawkę. — Pani Liderman — zagruchał. — Angela pójdzie z największą przyjemnością. Czy pani szofer mógłby podjechać po nią do jej mieszkania? Zaraz podam pani adres.

Angela bezradnie kręciła głową, kiedy Koko podejmował za nią decyzję. A gdy odłożył słuchawkę, powiedziała: — Nie idę. Za nic nie pójdę.

- Skarbie! — krzyknął. — Zaufaj mi. Musisz iść, bez dwóch zdań. Po prostu musisz nauczyć się, że w życiu nie robimy tylko tego, na co mamy ochotę. Niekiedy los popycha nas w innym kierunku. I właśnie przeznaczenie postanowiło, że dzisiaj wieczór pójdiesz na bal.

—Jaki bal?

—Nigdy nie słyszałaś o Kopciuszku? O, Boże! Czyż ja cię muszę wszystkiego uczyć? Była czwarta po południu. Elaine zachowywała spokój. Myśli jej były klarowne i precyzyjne. Czternastokrotnie próbowała odszukać Rossa przez telefon. Coraz bardziej stawało się oczywiste, że zostanie zaarrestowana.

Oczami duszy popatrzyła w przyszłość.

Nagłówki w gazetach.

ŻONA GWIAZDORA FILMOWEGO PRZYŁAPANA NA KRADZIEŻY W SKLEPIE.

ANIOŁEK Z BEVERLY HILLS WRACA DO BRONXU.

GEORGE LANCASTER: „JAKA ELAINE?”

No tak, wszyscy się nieźle zabawią jej kosztem. Będzie musiała opuścić to miasto. W niełasce, upokorzeniu, wstydzie.

Gdzie się podziewał Ross Conti?

Gdzie się podziewał ten największy, wiarołomny sukinsyn wszechczasów?

Rozpracowywanie rodziny Andrewsów nie przyniosło Leonowi Ro-remontowi wielu informacji. Wyglądało na to, że nie mieli żadnych żyjących krewnych, a z dwóch świadków, którzy złożyli podpisy na ich akcie ślubu, jeden zmarł, a drugiego nie udało się odnaleźć. Leonowi przyszło do głowy, że jedynym sposobem na dowiedzenie się czegoś więcej, będzie wyjazd do Barstow i rozpatrzenie się na miejscu. Millie przecież mówiła, że pragnęłaby spędzić wakacje w Kalifornii. Coś jednak mu podpowiadało, że Millie wcale nie miała na myśli Barstow. No, ale zawsze będzie mógł urwać się na jakiś dzień, kiedy ona będzie zajęta czymś innym.

Podążając za tym impulsem, wyszedł kupić dwa bilety na samolot do Kalifornii. Z dumą zaprezentował je żonie.

—Zrobimy sobie miesiąc odsapki — powiedział. — Należy mi się to i uważam, że powinniśmy właściwie ten czas wykorzystać. Wynajmiemy na miejscu samochód i pojeździmy sobie po okolicy.

—Do San Francisco? — spytała z płonącymi oczami. Kiwnął głową.

—Do Napa Valley? Arizony? Hollywood? Znowu przytaknął.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i uściskała go. — Kochany — pisnęła — jesteś naprawdę nadzwyczajny.

Na tydzień przed planowanym wyjazdem wręczył jej czterysta dolarów z zaleceniem, że musi sobie sprawić jakieś wakacyjne ciuchy.

Ruszyła do sklepów tak uszczęśliwiona, jakby obdarował ją czterema tysiącami.

Kiedy nie było jej w domu, skorzystał z okazji, by na dnie walizki ukryć akta Andrewsów. Nie było to wprawdzie zgodne z prawem, ale zrobił sobie fotokopie urzędowych dokumentów łącznie ze zdjęciami.

Między innymi znalazło się tam piętnaście fotografii z pamiętnego poranka na Friendship Street. Piętnaście fotografii... zbrodni.

Mniej więcej kwadrans po czwartej Ross Conti wściekłym krokiem przestąpił próg swojego domu. Panował tam wszechwładnie chaos. Dokoła same nieznanym twarze.

—Co się tutaj, do cholery, dzieje?! — wrzasnął na Linę, która pochlipując stała w drzwiach kuchni.

—Senor Conti — siąknęła nosem. — To niemożliwe. Nie biorę tego. Wychodzę.

Wczepiła się w jego ramię, a on potrząsnął nią, domagając się wyjaśnień. — Gdzie jest pani Conti?

Przerwał im jakiś rozczochrany młodzieniec w obcisłych dzinsach i porozciągany sportowym podkoszulku. — Hej, hej, stary, to ty jesteś tutaj szefem? Muszę mieć silniejsze napięcie w sieci. Moje wzmacniacze siądą, jeśli nie dostaną więcej czadu.

Do przodu przedarła się jakaś kobieta w średnim wieku i w kwiecistym spodnim. — Panie Conti. Błagam. Pańska żona zapewniała mnie, że posiada dwadzieścia jednakowych wazonów. Rozpaczliwie ich potrzebuję. Inaczej nie ułożę na czas bukietów.

Jakiś wytworny Włoch z pudłem na skrzypce dopytywał się urażonym tonem: — Czy gotowa jest nasza garderoba? Zancussi Trio zawsze ma swoją garderobę.

— Chryste! — wrzasnął Ross. — Lina, gdzie jest moja żona?! Lina rogiem fartucha otarła oczy. — Ona nie wrócić. Wszystko mi zostawiła. Ja wychodzę. — Ódmaszerowała z powrotem do kuchni, gdzie dwie jej przyjaciółki kuliły się przy tylnych drzwiach.

Ross podążył za nią, a za nim rozczochrany młodzieniec, następnie niewiasta w kwiecistym spodnim i melancholijny Włoch.

W kuchni panoszyło się już dwóch pedałów przygotowujących w zlewie warzywa, dwóch barmanów wyładowywało z pudeł trunki, kolejny smutnooki Włoch, dla odmiany z akordeonem, oraz jakaś blond nastolatka w szortach, wydekoltowanej bluzce i ze słuchawkami Sony, ściśle przylegającymi do uszu.

Ross szedł za Liną do drzwi, zastanawiając się jednocześnie gorzko, czy to Mały S. Schortz nie wpuścił go w kanał i już wcześniej nie pokazał Elaine tamtych zdjęć. Bo jaka mogła być inna przyczyna jej nieobecności w domu w dniu przyjęcia?

—Czy pani Conti dzwoniła? Zostawiła jakąś wiadomość? Cokolwiek? — pytał zrozpaczony.

—Telefonowała pięć razy — wyjaśniła Lina ponuro. — Ale nie wróciła do domu.

—Hej, hej, stary! Co z moim prądem? — wyśpiewał rozczochrany młodzieniec.

—Iz moimi wazonami? — pisnęła kwiecista niewiasta.

—Iz garderobą dla Zancussi Trio? — westchnął melancholijny Włoch, widać nie chcąc zostać w tyle.

—Odpieprzcie się! — ryknął Ross, tracąc nad sobą panowanie.

—Hej, hej, hamuj się, stary — powiedział młodzieniec, podnosząc uspokajająco dłoń.

—Coś podobnego! — oburzyła się niewiasta.

—Mama mia! Americanos! — Włoch ze smutkiem pokiwał głową.

I właśnie w tej chwili zadzwonił telefon. Ross podniósł słuchawkę. — Czego? — warknął. Potem słuchał z wyraźnym obrzydzeniem. Kilka sekund później z trzaskiem się rozłączył i nie zaszczycając spojrzeniem żadnego z nachalnych fachowców, wymaszerował z domu.

Oliver Easterne szcztokował swoje rzadniejące piaskowe włosy na wszelkie możliwe sposoby, ale żadna wymyślna fryzura nie mogła ukryć faktu, że zdecydowanie łyślał. Dopiero co wyszedł spod prysznic, lecz wysiłek związany z ułożeniem włosów spowodował, że pod pachami pojawiły się plamy potu.

Odezwał się telefon, ale nie pofatygował się, jak zwykle, by go odebrać. Niech służba się tym zajmie. Za ten tysiąc dolarów, jak ich faszerował co tydzień, powinni coś robić.

Może powinien wziąć jeszcze jeden prysznic.

Mogłoby to zrujnować fryzurę.

Mogłby włożyć siatkę na włosy.

Ostry skurcz żołądka wykrzywił mu bólem twarz. Czynne wrzody, jakby nie dosyć było łyśnienia. A na okrasę hemoroidy. Przynajmniej te nie krwawiły. Ale wkrótce zaczną, jeżeli tylko będzie miał więcej urwania głowy z „Ludźmi z ulicy”.

Neil Gray to gwarantowana migrena – ale jakież reżyser był inny?

Montana Gray to gwarantowana migrena – ale jakież scenarzysty był inny?

George Lancaster to gwarantowana migrena – ale jakież aktor był inny?

Oliver nienawidził talentu. Ale Oliver potrzebował talentu. Ponieważ sam był zdolny tylko do robienia interesów.

Jako producent w swoim czasie był legendą. Nie jako producent wyjątkowy, lecz jako wyjątkowy facet do robienia interesów. Och, te interesy, jakie robił! Nieudacznicy, których wepchnął na szczyty! Niezguły, które pokazał na srebrnym ekranie!

Nie żeby niezguły wzbudzały współczucie Olivera. Nim jeszcze film wchodził w fazę produkcji, on już zgarniał wszystko, co mu się należało. Budżet filmów Olivera Easterne'a zawsze bywał trochę lub zdecydowanie zawyżony. Zależało to od bałwanów, którzy ładowali w niego forszę. A jeżeli oryginalny budżet nie pasował, no cóż, zaplanowanie dwóch budżetów nie było karalne. Chyba żeby się specjalnie podłożyć, ale Oliver Easterne znał w tej materii każdy potrzebny kruczek.

Powąchał się podejrzliwie pod jednym ramieniem i uznał, że drugi prysznic jest absolutną koniecznością.

Włożył siatkę na włosy, zdjął szlafrok.

Dziś wieczór, na przyjęciu u Contich, będzie włożył bez wazeliny do tyłków. Będzie wściubiał nos w każdy kąt. Montana, Neil, George, wszyscy oni poczują jego fałszywą serdeczność. A on sam będzie się tym bawił, gdyż dobrze wiedział, kto na tym wszystkim najlepiej wyjdzie. Jak tylko film zostanie skończony, będzie jego – i wtedy powie im wszystkim, że mogą się wypchać sianem.

Pełna kontrola dla Neila i Montany, akurat!, pomyślał. Mogą sobie nagwizdać. Oliver znał takie sztuczki, o których nawet Houdini nie miał zielonego pojęcia!

Teraz, gdyby tylko odnalazł tamtą dziewczynę z plaży, zrobił z niej gwiazdę, podpisał z nią osobiście kontrakt.

Na lustrzanej ścianie wytropił plamkę brudu. Starannie zaczął ją czyścić chusteczką higieniczną. Znowu zabolął go żołądek. Stanowisko potentata filmowego to nie byle żarty.

Znajdowali się w niewielkim, ale schludnym i czystym mieszkanku Angeli.

—Nie mam co na siebie włożyć — powtarzała uparcie.

—Coś niewyszukanego — zastanawiał się Koko, przerzucając zawartość jej szafy. — Proste, ale eleganckie. Każda dziwka z tego miasta wystroi się niczym Zsa Zsa na Gwiazdkę. Chciałbym, żebyś ty odcinała się od nich jak pojedyncza róża na bar

micwie.

—Co to jest „bar miewa”?

Spojrzał na nią nie wierząc własnym uszom. — Czasami posuwasz się za daleko. — Potem ściągnął z wieszaka czarną, falbaniastą spódnicę. Przyłożył ją do Angeli i orzekł: — Hmm... podoba mi się. A co do niej dobierzemy?

Angela potrząsnęła głową. — Koko... proszę... ja przecież nawet nie znam pani Liderman.

- Skarbie, nie wyobrażaj sobie, że spędzisz z nią cały wieczór. Każdy hollywoodzki ogier, jak tylko na ciebie spojrzy, to...

Angela nie była próżna, ale wiedziała, jakie wywiera na mężczyznach wrażenie. — O to mi właśnie chodzi — jęknęła. — Oni wszyscy będą się do mnie tak wulgarnie zalecać. Ja zaś jestem mężatką, Koko. Ja...

Teraz nadeszła kolej Koko, by jej przerwać. — Angela, kochanie, ja nigdy nie wtrącam się w nie swoje sprawy. Ale wiem jedno, że czy jesteś zameżna, czy nie, to ten twój cały mąż zrobił coś takiego, co cię okropnie zraniło. I teraz pragniesz zamknąć się w sobie i być nieszczęśliwa. No cóż, rozpamiętywanie nieszczęścia jeszcze nikomu nie przyniosło nic dobrego. Ja ci wcale nie radzę, byś wyszła na ulicę i wskoczyła do łóżka pierwszego lepszego Warrena Beatty in spe. Mówię ci tylko, abyś wyszła do ludzi i cieszyła się uwagą, jaką na siebie zwracasz. Potem poczujesz się o wiele lepiej.

Zastanowiła się, ile naprawdę Koko wie i skąd to wie. W zaledwie kilku słowach precyzyjnie podsumował jej położenie. I prawdopodobnie miał rację. Towarzystwo ludzi dobrze jej robi. A poza tym, nie codziennie otrzymuje się zaproszenia na wielkie hollywoodzkie przyjęcia.

—Idę — oświadczyła cicho.

Koko pochłonięty był przeglądaniem jej bluzek. — Co? — spytał z roztargnieniem w głosie.

—Powiedziałam, że idę — powtórzyła zdecydowanym tonem. Orlą twarz Koko rozjaśnił radosny uśmiech. — Oczywiście, że tak,

skarbie. To nigdy nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Buddy, przygotowując się na przyjęcie, miał całe mieszkanie dla siebie. Eskortowanie Frances Cavendish było ciężką pańszczyzną. Z drugiej jednak strony, zdecydowanie korzystnie było się na takim party pokazać.

Nie mógł zdecydować, co na siebie włożyć. Uwaga Frances Cavendish na temat jego stroju kompletnie zbiła go z tropu. A swoją drogą, co ona o tym wie? Pewnie nigdy w życiu nie słyszała o Armanim. Zaś noszenie ciuchów od Armaniego — to sam szyk i elegancja, wie o tym każdy głupiec.

Ciekaw był, czy i Montana tam będzie. Jeżeli tak, to jak się powinien zachować. „Hej, tego... słuchaj, jeżeli do poniedziałku nic się nie wyjaśni, to zamierzam podpisać kontrakt z Universalem”. Zręczna odżywka, nie ma co.

Ostry dzwonek do drzwi zakłócił tok jego myśli.

Na progu stała Shelly. — Gdzieś się podziewał? — spytała obcesowo. — Myślałam, że wrócisz prosto po spotkaniu z Frances Cavendish. — Nie proszona, wtargnęła do mieszkania i rzuciła się na łóżko.

Wyraźnie widział, że była naćpana. W co on się wplątał? Nie chciał przecież wracać do takiego trybu życia, jakie wiódł przed wyjazdem na Hawaje, przed poznaniem Angeli.

—Dostałem robotę — powiedział spokojnie. — Będę mógł zwrócić ci całą forszę, jaką mi pożyczyłaś.

—Kiedy?

—Wkrótce.

—Akurat, wkrótce. Chcę forsy natychmiast. Dlaczego nie polecisz wykonać kilku numerków? Ty mnie nie pamiętasz, Buddy, ale ja znam cię z czasów, kiedy należałeś do stajni Dandysa. Nawet jednego razu pracowaliśmy wspólnie. Jak to jest, przelatywać stare babska za forszę?

Żołądek przeszył mu gorzki skurcz.

Naćpana mała dziwka.

Naćpana mała dziwka wałaca prawdę prosto w oczy.

Kurczę. Kiedy się wreszcie coś odmieni w jego życiu? Kiedy wydarzy się coś, co wyprowadzi jego egzystencję na lepsze tory?

Gdy Montana wróciła z plaży do domu, było już późne popołudnie. Czowała się podrajcowana, niczym dzieciak, który urwał się ze szkoły na wagary. Nie zadała sobie trudu, by zajrzeć do biura. Pojechała prosto do domu, umyła swoje czarne, długie włosy i splukała piasek i morską sól z ciała. Potem, owinięta białym szlafrokiem, zadzwoniła do Ingi, aby dowiedzieć się, co straciła.

—Nic takiego — wyjaśniła sekretarka. — Koło trzeciej telefonował pan Gray. Prosił, żeby przekazać pani, że coś mu wypadło i że spotka się z panią już na przyjęciu.

—A gdzie on poszedł?

—Nie powiedział.

No właśnie, Neil przestał się nawet fatygować powrotem do domu. Coś kusiło Montanę, żeby wcale nie iść na to przyjęcie. Ale potem wyobraziła sobie, że George Lancaster pomyśli, że ją wystraszył na dobre. Więc jeżeli pragnie, aby odczuto jej obecność, musi się za to zabrać już od samego początku. Wcale nie zamierzała pozwolić, by George sądził, że może wyczyniać z jej scenariuszem, co mu się żywnie spodoba. Zamierzała bywać na zdjęciach każdego dnia. Pan Lancaster po prostu musi zaakceptować fakt, że nie każda kobieta mdleje na jego widok.

Włożyła do magnetofonu kasetę Ala Greena i zadecydowała, że na tym przyjęciu musi wyglądać na mocną i stanowczą kobietę. Na taką, o której George Twardziel Lancaster nieprędko zapomni.

Skryta w Bungalowie Numer Dziewięć w Beverly Hills Hotel, Pa-1 London leżała na przenośnym stole do masażu, oddając się z rozkoszą mocnym męskim palcom ugniatającym jej ciało.

—Słyszałam, że jesteś niezły — powiedziała leniwym głosem.

—Ale ty jesteś naprawdę znakomity.

—Hmmm... dziękuję, pani Lancaster — wycodził Ron Gordino.

—Zwykle wysyłam jednego z moich chłopców, ale kiedy Karen powiedziała mi... że to dla pani... uznałem, że muszę przyjść osobiście.

—Ależ nigdy nie wysyłaj chłopca do męskiej roboty! — zaszemrała

Pamela.

—Nigdy... hmmm... bym się na coś takiego nie ośmielił, pani Lancaster.

—Proszę się do mnie nie zwracać w ten sposób. Wystarczy „pani London”.

A może by tak „Pamela”, pomyślał. Dałby głowę, że na dzisiejszym przyjęciu nie będzie się do niej zwracać per „pani Lancaster” czy „pani London”. Elaine wywiązała się ze swojego przyrzeczenia i zaprosiła go na to party.

Pamela jęknęła, kiedy wbił palce w jej kibić. Jak na starą babę, trzymała się całkiem nieźle. Musiała mieć grubo po pięćdziesiątce. No, ale kiedy jest się trzecią pod względem zamożności kobietą Ameryki, nietrudno o utrzymanie się w dobrej formie.

Ciekaw był, co by zrobiła, gdyby i jej zaoferował swoją „specjalność”. Czyby podobnie do innych hollywoodzkich matron oszalała na jej punkcie? Większość bab była łatwym kąskiem. Połóż je na stole, zdejmij z nich biżuterię i ciuchy. Zdejmij ich etykiety. Lekki ucisk tu, lekki ucisk ówdzie — i już były jego.

Kiedy miał już zdecydować na „tak” czy „nie”, do pokoju hałaśliwie wpadł George Lancaster ze słowami: — Jak ci leci, stary nietoperzu?

Roześmiała się ochryple. — Całkiem nieźle, stary ropuchu.

—Robisz się na bóstwo na przyjęcie?

—Chyba naprawdę musimy tam iść. A ja nawet nie znam tych całych Contich.

- No to co z tego. Przecież to oni bulą forszę. A jeżeli się nam nie spodoba, to zawsze możemy zabrać naszych do Chasena.

—Znakomity pomysł.

—Hej, ty — odezwał się George, jakby wreszcie zauważając obecność Rona Gordino.

— Kiedy już skończysz z moją połowicą, to możesz zabrać się za mnie.

Giną Germaine była uperfumowana, upudrowana i ufryzowana w stopniu doskonałym. Ale jednak nie ubrała się jeszcze na przyjęcie. Miała na sobie przezroczysty szlafrok, a pod nim czarną bieliznę — skąpy staniczek, mini-majtki i przejrzyste czarne pończochy przypięte do koronkowego pasa.

Giną Germaine zatrudniała trzy pokojówki. Ale kiedy u drzwi odezwał się dzwonek,

otworzyła sama, gdyż wszystkim dała na dzisiejszy wieczór wychodne.

— Witaj, Neil — mruknęła miękko. — Prezentujesz się niezwykle elegancko.

Przebrał się w biurze w śliwkowego koloru marynarkę smokingową i czarne spodnie, oraz zawiązał czarną jedwabną muszkę. Gotowy był iść prosto stąd na przyjęcie.

— Dziękuję — powiedział lakonicznie, ignorując fakt, że Giną była niemal goła. — Masz tę taśmę?

— Pewnie, oczywiście, że mam — głos urażonej niewinności. — Interes to zawsze interes, prawda?

Odwrociwszy się poprowadziła go do przeładowanego meblami różowego salonu.

— Nie mogę tu zostać, Giną. Nie chcę się spóźnić na przyjęcie. Oddaj mi tylko taśmę.

— A może byś tak wypił drinka? — Wręczyła mu kryształową szklaneczkę z bourbonem na lodzie. — Przecież lubisz.

Odruchowo przyjął drinka, zapominając, że od piątej po południu już kilka w siebie wlał.

— Taka jestem podniecona, że podpisaliśmy ten kontrakt — gruchała Giną. — Ile minie czasu, nim... no, wiesz... nim to ogłosimy?

Zmarszczył brwi. — Teraz nie możemy. Za nic. Nikomu ani słówka. Chyba to rozumiesz, nie?

— Kiedy jesteś taki groźny, tracę głowę — zamruczała.

— Od tej chwili, moja droga, tworzymy jedynie parę: aktor-reżyser.

— Aktorka — poprawiła go.

— Aktorka — zgodził się. — Gdzie taśma?

— Chodź! — Pociągnęła go za rękę. Owionął go zapach perfum „Tatiana”. Miał tylko nadzieję, że ten zapach nie przesiąknie na trwałe jego ubrania.

— To mój pokój do zabawy — oznajmiła, wprowadzając go do wielkiego pomieszczenia, w którym każdy cal ściany zajmowały oprawione zdjęcia Giny z rozlicznych magazynów filmowych. Pozostałą powierzchnię wypełniało wszystko — od jednoręcznych bandytów po najnowsze gry wideo. — Uwielbiam się w to bawić — dodała całkiem zbytecznie.

—Taśma, Gino.

—Już się robi. — Nacisnęła włącznik i nim zdołał zaprotestować, na gigantycznym ekranie video pojawił się on sam we własnej osobie. Z gołym tyłkiem, rżnący drugą co do popularności blondynę Ameryki. — Myślałam, że chciałbyś to zobaczyć — tłumaczyła słodkim głosem. — No bo przecież pewnie wolałbyś nie zabierać tego do domu i puszczać w obecności Montany, co?

Rzeczywiście, wolałby nie. Łyknął bourbona, usiadł i przypatrzył się scenom dziejącym się na ekranie z profesjonalnego punktu widzenia. Złe ustawienie kamery — nie widać Giny... Och, Boże, tak, widać ją, rusza się pod owymi dwiema wybijającymi się półkulami ciała, które wypełniają ekran.

Poczuł, jak spodnie wypycha mu erekcja. Po cichu przeklął to, co nieuniknione.

Na ekranie Giną jęczała i sapała, a on ją pieprzył.

Poza ekranem zrzuciła swój negliż, ściągnęła majtki i stanęła przed nim jak Pan Bóg ją stworzył.

Jeszcze tylko raz.

Ostatni raz.

Sam nie wiedział, jak blisko był prawdy.

Sadie La Salle wyszła z biura dwie godziny wcześniej niż zwykle. Szofer-Japończyk przytrzymał jej drzwiczki czarnego Rolls-Royce'a. Zatopiła się z ulgą w luksusowym skórzanym siedzeniu i włączyła klimatyzację na najwyższe obroty.

—Do domu, proszę pani? — spytał szofer.

—Tak, poproszę.

Dom mieścił się na ekskluzywnych wzgórzach Beverly. Posiadał długi, kręty podjazd. Był posesją z łatwością dotrzymującą kroku domom należącym do gwiazd, które Sadie reprezentowała jako agentka. Bez Rossa Conti wcale nie był domem.

Cholera! Cholera! Cholera! Dwadzieścia sześć lat minęło, odkąd byli razem, a ona wciąż o nim myślała.

Nic nie widzącym wzrokiem spoglądała przez przyćmione szyby Rollsa pędzącego majestatycznie po Rodeo Drive. Dziś wieczór idzie do jego domu. *Sukinsyn*. Dziś

wieczór zobaczy, jak on mieszka. Będzie uprzejmie gawędzić z jego żoną. *Och, jak ja cię nienawidzę, Rossie Conti.* Może nawet i sama z nim porozmawia.

Dwadzieścia sześć lat. Stała się inną osobą. Znaczącą, poważaną, niektórzy nawet mówili, że groźną. Nosiła szyte na miarę ubrania, włosy jej układał Jose Eber, co tydzień cały dzień spędzała u Elizabeth Arden i miała biżuterię od Cartiera.

Och, jasne, widywała go przez te wszystkie lata. Hollywood, to taka dziura. Niepodobna uniknąć zaproszeń na te same przyjęcia i uroczystości. Któregoś razu Ross wręcz zaproponował, żeby się nim na powrót zajęła. Za kogo się ten skurwysyn uważa? Czy wyobraża sobie, że tak zwyczajnie znów wkroczy w jej życie w roli klienta, ona już zapomniała o przeszłości? Odpowiedziała mu zimno i od tamtego czasu go ignorowała.

Dawne dobre czasy wciąż były żywe w jej pamięci. Do najdrobniejszego szczegółu.

Ten pierwszy raz, kiedy ujrzała Rossa u Schwaba. Oooh, cudowny, pomyślała. A potem, kiedy podszedł wolnym krokiem niczym jasnowłose, opalony na brąz młody bóg i zamówił kawę, nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

Pierwszy raz, kiedy się kochali. Jego dłonie na jej piersiach. Jego penis głęboko wewnątrz niej. Jego język między jej udami.

Podróż do Nowego Jorku i zaprezentowanie go w „The Tonight Show”. I emocje, kiedy się wszystko udało. Przejazdka po Central Parku otwartą bryczką. Podziwianie jego plakatu na Times Square. Hotdogi kupione na Fifth Avenue.

I seks, seks, seks. Pod prysznicem. W jego garderobie w NBC tylnym siedzeniu taksówki. Przy ścianie hotelowej windy. Ross był nienasycony, a ona to uwielbiała.

Dwadzieścia sześć lat później wciąż czuła dotyk jego rąk na swoich piersiach. — Mam bzika na punkcie cycków — powtarzał. - dziecinko, masz cycki pierwsza klasa.

Dopóki nie nawinął mu się kiedyś ktoś lepszy. Ktoś w dużo ładniejszym od niej opakowaniu. I wtedy Ross spokojnie odszedł z jej życia bez słowa i nawet bez podziękowania.

Wciąż ją to bolało. Strata. Upokarzający gniew.

Niewidzącym wzrokiem patrzyła przez okno, a samochód płynął po Sunset.

Od czasów Rossa był jeszcze tylko jeden mężczyzna, ale ten się nie liczył. Nie to, żeby nie miała okazji. Na swój sposób też była gwiazdą i wielu facetów pragnęło wychodzić sobie drogę do jej łóżka. Nie była piękną, nie była nawet ładna, ale jak tylko zaczęła piąć się na same szczyty sukcesu — to, o rany! Pędzili do niej na wyprzódki.

Bardzo rzadko chadzała do łóżka z kobietą. Seks z osobą tej samej płci nie był groźny, tylko inny. I Sadie wynajmowała mężczyzn. Wolą w ten sposób.

Pasją jej stała się praca. To prawie wystarczało. Sukces może dawać ogromną satysfakcję.

Ale minęło już dosyć czasu. Prawdę mówiąc, za dużo. Od dwudziestu sześciu lat pragnęła zemsty. I dzisiejszego wieczoru ją otrzymała.

Okolo czwartej pięćdziesiąt pięć Ross przybył do biura sklepu, by zabrać swoją żonę.

Mniej więcej dziesięć po piątej wyszedł stamtąd z Elaine u boku.

W milczeniu, z zaciśniętymi wargami, skierowali się do Corniche'a. Bez słowa odbyli drogę do domu.

Przed domem Elaine powiedziała chłodno: - To wszystko było pomyłką, sam wiesz. — *Ty sukinsynu, ty myślisz sobie, że ja ukradłam tę bransoletkę.*

Ross kiwnął głową. - Każdemu zdarzają się pomyłki - odparł rozsądnie. — *Głupia, tępa babo. Jeżeli już musisz coś takiego robić, to nie daj się złapać.*

Wkroczyli do domu. Rozczochrany młodzieniec kipiał ze złości. Niewiasta w spodniach dostała histerii. Smutnooki Włoch próbował poderwać bujną nastolatkę, która tańczyła w salonie, niepomna na nic, ze słuchawkami ściśle przylegającymi do uszu. Dwaj homoseksualiści przygotowujący sałatkę wykrzywiali się patrząc na to widowisko. Dwóch barmanów rozwalalo się po kanapie popalając trawkę. Lina i jej dwie przyjaciółki zajęły pozycję przy drzwiach kuchennych, gotowe do natychmiastowego wyjścia.

— Elaine — powiedział Ross. — Idę wziąć prysznic. Ty sama chciałaś przyjęcia. Więc się tym zajmij, kochanie, samodzielnie.

W Barstow, w Kalifornii, panował upał. Przygniatający skwar bez odrobiny

przynoszącego ulgę wietrzyku.

Dekę zatrzymał się w tanim motelu. Leżał na twardym materacu w małym zakurzonej pokoju i gapił się w sufit. Hałaśliwy wentylator obracał się monotonnie, wokół bzycały szukające drogi wyjścia muchy. W sąsiednim pokoju ryczał telewizor, nie tłumiąc jednak krzyków rozwścieczonej kobiety.

Dekę zdjął buty, spodnie i koszulę. Na nocnym stoliku położył pieniądze, nóż myśliwski, który miał zawsze pod ręką, i skrawek papieru z wypisanym na nim nazwiskiem i adresem. Ten sam papier, który wręczono mu w Filadelfii, kiedy tamtych troje się śmiało. Trzy świny naśmiewające się z niego, ze Stróża Porządku.

Tylko że wtedy nie był jeszcze Stróżem Porządku. Nie, zanim uderzył, był zwyczajnym Deke'em Andrewsem — nikiem. To ich śmiech był sygnałem. Tak, sygnałem do wyplewienia zła. Byłoby miło, gdyby Joey mogła dzielić z nim niektóre z jego sukcesów.

Joey miała na sobie czerwoną minispódniczkę, białe, plastikowe kozaczki, tanią różową bluzkę i jak zwykle wyzywająco grubą warstwę rozmazanego makijażu.

Dekę przyglądał się jej. Jemu wydawała się piękna, ale wiedział z góry, co pomyśla sobie jego rodzice. Na okrągło oglądali telewizję i wszystkie kobiety nazywali kurwami. — Każda jedna z tych hollywoodzkich gwiazdek to prostytutka — mawiała matka. — Robią kariery przez łóżko — potakiwał ojciec. Ale żadne z nich ani nawet drgnęło, by zmienić kanał czy wyłączyć odbiornik.

Dekę nigdy nie oglądał wspólnie z nimi telewizji. Wolał przebywać w swoim pokoju, gdzie mógł leżeć na łóżku, myśleć o Joey i o tym, w jaki sposób najbezpieczniej wprowadzić ją do domu.

Wiele było do rozważenia. Pragnął ją poślubić, ale nie chciał martwić matki. Przez cały czas starał się okazywać matce, jak bardzo mu na niej zależy, ale nic, co robił, nie było dostatecznie dobre. — Któregoś dnia uciekniesz i zostawisz swoją biedną matkę, która cię urodziła w takich bólach — powtarzała często. — Wiesz dobrze, że to mnie zabije.

A on nieodmiennie mówił, że tego nie zrobi.

—Może tak, może nie — odpowiadała, dodając przemyślnie: — Jeżeli zostaniesz, to któregoś dnia wszystko, co posiadamy, będzie twoje. Wiem, że niewiele tego. Ten dom, samochód, twój ojciec odłożył pieniądze... — Przy tych słowach zawsze milkła, jak gdyby „pieniężki” były zbyt podniecające, by o nich mówić.

Deke był ciekaw, ile tego mogło być. Jego ojciec ciężko pracował. Żadne z rodziców nie paliło ani nie piło. Jedyńm luksusem, na jaki sobie pozwolili, był kolorowy telewizor. Czasami, leżąc na łóżku, Dekę wyobrażał sobie, że oboje rodzice giną w wypadku samochodowym albo w pożarze. Wtedy wszystko byłoby jego. I nikt by go nie upokarzał... nie wywoływał w nim uczucia, że jest zerem, nieważnym i pełnym winy.

Potem w jego życie wkroczyła Joey. Miesiącami utrzymywał jej istnienie w sekrecie. Aż wreszcie zebrał się na odwagę i wyznał wszystko matce. Czy raczej Joey go do tego zmusiła.

A teraz przyglądał się Joey w jej krzykliwym stroju wyjściowym i z pomarańczowymi, sterczącymi włosami. I wiedział dobrze, że matka nigdy jej nie zaaprobuje.

—Gotowi, stary? — spytała, przekrzywiając głowę.

Przytaknął.

Uszczęśliwiona, mrugnęła. — No to komu w drogę, temu czas, no nie?

- Ty brudny, śmierdzący gówniarzu! — darła się w sąsiednim pokoju kobieta.

Potem Dekę usłyszał odgłosy bicia i jakieś dziecko zaczęło płakać.

Czy go wzywano? Czy był potrzebny?

Usiadł gwałtownie, sięgnął po nóż, przeciagnął palcem po ostrzu.

Nim zdecydował, co robić, hałasy ucichły. Stróż Porządku mógł odpocząć. Nie był potrzebny. Przynajmniej nie teraz.

Kolistym podjazdem Contich ciągnął sznur samochodów. A u szczytu parkingowi płci obojga przyodziani w podkoszulki z napisem „Superjock” czekali na zajęcie się paradą tych wszystkich Cadillaków, Lincolnów, De Loreanów, Rolls-Royce'ów, Porsche, Ferrarich, Bent-leyów, Mercedesów i Excaliburów.

U szczytu podjazdu stało także sześciu czy siedmiu zbitych w kupkę fotoreporterów; trzymali w pogotowiu aparaty, oczami szukali prawdziwych sław. Żadnych tam

producentów, bankierów, superagentów i śmietanki towarzyskiej. Oni chcieli czegoś naprawdę wystrzałowego, Sław Międzynarodowych o twarzach znanych od Chin do Chile.

Nagrodził ich uśmiech Burta Reynoldsa, za którym szedł Rod Stewart i jego olśniewająca żona Alana. Reporterzy pstrykali uszczęśliwieni.

W domu wszystko przebiegało pod pełną kontrolą. Elaine, wzmocniona tabletkami Valium i nową suknią za tysiąc siedemset dolarów od Galanos, witała gości, jak gdyby nic się nie stało. Uśmiechała się, ścisnęła dłonie, wymieniała pocałunki i „jak-tydzisiaj-cudownie-wy-glądasz”. Przedstawiała sobie osoby dotychczas nieznanymi, lekkim skinieniem dłoni przywoływała kelnerów, była czarująca, dowcipna, urocza i czujna. Któż mógłby nawet przypuszczać, że tuż przed przybyciem pierwszego gościa dostała ostrego ataku hysterii?

Ross — ten nielojalny wieprz — zniknął pod prysznicem, a ona sama musiała podjąć próbę zaprowadzenia spokoju i porządku w totalnym chaosie. I dokonała tego. Etta z Bronxu ruszyła do akcji. A teraz Elaine z Beverly Hills przyjmowała ukłony.

Niełatwo przyszło poradzić sobie z trzema zbuntowanymi pokojówkami, dwoma naćpanymi barmanami, rozhisteryzowaną bukieciarką, dwoma humorzastymi członkami Zancussi Trio i zarozumiałym eks-członkiem kapeli rockowej od muzyki disco oraz jego dziewczecą przyjaciółką.

Elaine uporała się z tym wszystkim akurat na czas. Zaczęli bowiem przybywać następni wynajęci ludzie. Kelnerzy. Ochrona. Parkingowi. Trzeci członek Zancussi Trio. Drugi członek duetu od muzyki disco — kolejny pomylenieć.

Wreszcie, zaledwie na kwadrans przed oficjalną godziną rozpoczęcia przyjęcia, zamknęła się w swojej garderobie i zmusiła do pospiesznego przebrania. Pragnęłaby mieć luksus dłuższego czasu, ale aż zdumiewające, co można zrobić, kiedy się naprawdę musi. Wyszła triumfująca, gotowa powitać pierwszego gościa, Sammy'ego Cahna, który obiecał odegrać jedną ze swoich słynnych parodii — tym razem George'a Lancastera.

Czas płynął, a jak dotąd nie pojawili się jeszcze goście honorowi. Ani Sadie La Salle.

Natomiast teatralne wejście zrobili Bibi i Adam Suttonowie, wraz z nieodłącznym Wolfie Schweickerem. Bibi prezentowała się olśniewająco w czarnej, jedwabnej sukni od Adolfo i w zapierających dech w piersiach szmaragdach. Adam jak zwykle był przystojny i dostojny. Elaine pospieszyła im na powitanie.

Koko znał sposób robienia makijażu, który dodawał uroku nawet urodzie Angeli.

- Nie wiedziałam, że jesteś taki zdolny! — krzyknęła, spoglądając na swoje odbicie w lustrze.

— Z tobą, skarbie, to nic trudnego.

Wyglądała prześlicznie. Włosy, szesane do tyłu, spływały swobodnie na ramiona, odsłaniając twarz. Nieskazitelną cerę Koko musnął odrobiną złotego pudru. Złotko błyszczało na policzkach, powiekach, nawet smużką na wargach. Podkreślił oczy, nakładając gęsty, brązowy tusz na jej długie rzęsy oraz różowe i brązowe cienie pod brwi. Efekt był zdumiewający, ale subtelny.

Nałożyła wybraną przez Koko czarną spódnicę i prostą białą bluzkę bez ramion z dobranym przez niego białym, koronkowym kołnierzykiem.

- Hmm... -- Koko odstąpił krok w tył, by objąć ją całą spojrzeniem. — Bosko!

Zabrzczał dzwonek. To szofer pani Liderman.

- Jestem taka zdenerwowana — zatrzepotała się Angela. — Czy jesteś pewien, że powinnam tam iść?

Ucałował ją serdecznie w oba policzki. — Baw się świetnie, skarbie. Przeżyj ten bal za nas oboje.

—Hors d'oeuvres, Lina — syknęła Elaine przez kuchenne drzwi. — Trzeba je szybciej podawać. Dopilnuj tego.

Lina kiwnęła głową. Nie odeszła, tak jak groziła. Zamiast tego i ona, i jej przyjaciółki przebrały się w czyste czarne sukienki i fal-baniaste białe fartuszki i uszczęśliwione pomagały we wszystkim. Kiedy pani Conti była w domu, wszystko szło jak po maśle i Lina nie musiała brać za nic odpowiedzialności. W ten sposób to lubiła. A do tego, wieść niosła, że wśród gości ma się znaleźć Erik Estrada. Już samo brzmienie jego nazwiska przyprawiało ją o zawrót głowy. Elaine ucałowała Bridget i Davida

Hedisonów, skinęła dłonią Dya-nowi Cannonowi, uściskała dłoń Ryana CTNeala i podeszła do Sadie La Salle, która właśnie przekroczyła próg. Ross zniknął jej z oczu. Ostatnio widziała go gawędzącego z Adamem Suttonem i Rogerem Moore'em; teraz gdzieś przepadł.

—Cholera! — mruknęła. Nigdy nie było go we właściwym momencie. — Witaj, Sadie! — zawołała. — Jak cudownie wyglądasz. Proszę, proszę dalej. Jestem pewna, że znasz tutaj absolutnie wszystkich.

—Spóźniłeś się, Buddy — zauważyła ostro Frances Cavendish, otwierając drzwi swojej hiszpańskiej hacjendy i zatraskując je z hukiem za sobą. — Wielkie nieba! Czy to twój samochód? — Obrzuciła spojrzeniem starego Pontiaka zaparkowanego na ulicy. — Przecież za nic nie możemy pojechać czymś takim.

—A to czemu? — spytał zaczepnie.

—Mój Boże, Buddy, czy to nie jest jasne?

—Mnie, Francie, on zupełnie wystarcza.

—Przestań nazywać mnie Francie — prychnęła. — Weźmiemy mój wóz. Poczekaj tutaj, zabiorę kluczyki.

Wmaszerowała z powrotem do domu, podczas gdy Buddy pośepnie wydeptywał ścieżkę.

Niebawem pojawiła się znowu. Buddy zauważył, że na tę szczególną okazję włożyła okulary wysadzane diamencikami.

Ciekawiło go, czy ona była kiedykolwiek zamężna. Plotka głosiła, że jest lesbijką, ale żadna początkująca gwiazdeczka nigdy nie uskarżała się, by Frances się do niej dobierała.

Wręczyła mu kluczyki do, jak się okazało, bardzo dużego i bardzo starego Mercedesa, po czym ruszyli w drogę.

To Angela — oznajmiała pani Liderman każdemu, kto chciał słuchać. — Drogą telepatii sprowadziła do domu mojego Frowie'ego. Czyż to nie cudowne z jej strony?

Sprowadziła pani co? — dopytywał się wysoki, szczupły mężczyzna, który miał taką minę, jakby bez przerwy mu coś śmierdziało Pod nosem.

—Mojego Frowie'ego. Mojego pudła.

Spowita w szkarłatną taftę, pani Liderman słyszalnie pobrzękiwała ogromnymi diamentami. Przy nich szmaragdy Bibi Sutton wydawały się całkiem pospolite.

—Kim jest ta kobieta? — dopytywała się zazdrosna Bibi.

—Nie mam pojęcia — odparła Elaine. — To musi być ktoś z listy Pameli.

—A gdzież to podziewają się George z Pamelą? — Bibi potrząsnęła z dezaprobatą głową. — Oni za późno przychodzą, kotku. Goście honorowi powinni być pierwsi.

Elaine sama świetnie o tym wiedziała. Bibi wcale nie musiała jej tego przypominać.

— Są w drodze — odparła zirytowana, mając jednocześnie nadzieję, że tak jest w istocie.

Samochód Montany z rykiem silnika wjechał na podjazd. Montana odczekała, aż srebrzysty wysmukły Cadillac wypłuje z siebie swoich pasażerów. Nie mogła utrafić lepiej — albo gorzej. Z Cadillaka bowiem wyłonili się George Lancaster i Pamela London.

No cóż, ona z pewnością nie zamierza tkwić w swoim Volkswage-nie, czekając, aż tamci wejdą do środka. Szybko wyskoczyła z auta i podeszła do Męża-Twardziela i Forsiastej-Połowicy.

- Jak ci leci, George? — spytała serdecznie. — Wyszłam na wiór. Mógłbyś załatwić mi drinka?

Punkt ósma Zancussi Trio poczęło grać elegancką, cichą muzykę. Ross, który krążąc dokoła odwalił kawał dobrej roboty, skorzystał z okazji, by wśliznąć się do kuchni i napchać usta kanapkami.

Elaine była w pobliżu. — Gdzieżeś się podziewał? — syknęła. — Właśnie przybyli Pamela i George, a Sadie La Salle jest już tutaj od dwudziestu minut. Czy przywitanie się z nimi przerasta twoje możliwości? Czy może zamierzasz spędzić cały wieczór w kuchni?

—Rozmawiałem z de Cordovami, Lazarami, Wilderami. Czego ty jeszcze ode mnie chcesz? Żebym sobie wypruł żyły? — spytał obronnym tonem.

—Chcę, abys powitał naszych gości honorowych, jeżeli oczywiście nie sprawi ci to kłopotu.

Zmierzyli się wściekłym wzrokiem. Oboje starali się skoncentrować na przyjęciu. Oboje byli rozzłoszczeni swoimi skrytymi myślami.

— W porządku — powiedział w końcu Ross. — Idę lizać im dupy. Jeżeli przeześlujesz w pobliżu, Elaine, to i tobie może się coś dostać.

—A to jest Angela — oświadczyła pani Liderman Pameli London.

—Ona ocaliła mojego Frowie'ego.

—Chryste, Essie — westchnęła Pamela. — Ty wciąż masz tego przekłętego bydlaka, tego, który obsikał całe moje nowojorskie mieszkanie?

—Frowie ma trzynaście lat — oznajmiła dumnie pani Liderman.

—Na ludzkie lata to jest dziewięćdziesiąt jeden. I jak na dziewięćdziesięcioletnia zachowuje się niczym mały szczeniaczek.

Pamela zmierzyła wzrokiem Angelę. Ta dziewczyna była zbyt piękna, chociaż nie wyglądała na zwykłą hollywoodzką gwiazdeczkę.

—A jak ocaliłaś Frowie'ego? — spytała oględnie. — Bo nie wiem, moja droga, czy zasługujesz na nagrodę, czy na karę. Ten psiak to rozpuszczona mała bestia, która zrujnowała jeden z moich perskich dywanów.

—Pamela! — zbesztła ją czule pani Liderman.

I obie kobiety uściskały się. Znały się jeszcze z czasów szkolnych, a ponieważ Essie Liderman była prawie tak samo bogata jak Pamela, ich przyjaźń przetrwała. Bardzo bogaci czują się dobrze tylko w swoim towarzystwie. Reguła życia, której obie damy się nauczyły, choć Essie w większym stopniu niż Pamela cieszyła się jej przekraczaniem.

Angela była oszołomiona domem, ludźmi, atmosferą. Ona, Angela Hudson, na prawdziwym hollywoodzkim przyjęciu. Ileż tu gwiazd. Widziała już Jamesa Caana i Elliotta Goulda, i Lizę Minelli, i Richar-da Gere'a. Richard Gere! Teraz już mogłaby nawet umrzeć!

Gdyby tylko Buddy był tutaj, aby wszystko to z nią dzielić.

Buddy.

Zmarszczyła brwi. Nie był takim człowiekiem, za jakiego go uważała, ani tym, którego poślubiła. I teraz musi o nim zapomnieć.

Essie i Pamela oddawały się wspomnieniom, niepomne na jej obecność. Angela rozejrzała się wkoło z lękiem.

—Dzień do...bry — odezwał się czyjś zachwycony męski głos.

—Gdzie się pani do tej pory przede mną uchowała?

- Nigdy nie powinienem był odrzucać roli we „Wściekłym byku” — opowiadał jakiś aktor w butach z wężowej skóry. — To była kluczowa pomyłka w mojej karierze.

—Płaci mi, myślę, że go to wścieka — zwierzała się jakaś rudowłosa kobieta w pelerynie obszytej futrem z norek.

—Kupuję im ciuchy, zabieram je do Acapulco, to jeszcze mam je pieprzyć? — dopytywał się rozwścieczony przystojniak.

Strzępy rozmów, które docierały do uszu Montany, kiedy torowała sobie drogę do baru. Wyglądała niewiarygodnie i uderzająco. Sześć j stóp wzrostu, białe jedwabne bryczesy wpuszczone w długie po kolana buty. Biała jedwabna bluzka rozpięta aż do pasa i długi, biały, skórzany kaftan obsyty indiańskimi paciorkami. Kruczoczarne włosy zaplecione w warkocz, również przyozdobiony paciorkami i frędzla- \ mi. Szyję okalała solidna srebrna obroża wysadzana turkusikami, a w uszach tkwiły cienkie srebrne kółka.

Ale na przyjęciu nie było Neila, który by należycie ocenił jej wygląd. Jednakże nie kto inny, a Oliver — obdarzył komplementami jej oryginalny styl. Słyszając takie pochwały z ust Olivera, sama nie wiedziała, czy powinna się z nich cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

Co za zbieranina czubków, myślała, rozglądając się dokoła. Dziś na plaży miałam więcej radości, niż oni w całym swoim życiu.

Nie była pewna, ale zdawało jej się, że zobaczyła eks-żonę Neila. Ładna, do tego blondynka. Wypiełgnowana, po operacjach plastycznych. Doskonała prezencja rodem z Beverly Hills.

Maralee musiała poczuć na sobie wzrok Montany, gdyż odwróciła się i kiedy ich oczy spotkały się na chwilę, Montana wiedziała już na pewno, że to poprzednia pani Gray.

— Sadie, jestem taki szczęśliwy, że przyszłaś. — Spojrzenie prosto w oczy. — Przecież sama wiesz, prawda?

Sadie poczuła, jak ścisnął się jej żołądek. Zdarzało się to za każdym razem, kiedy go spotykała. Ale teraz było inaczej. Tym razem zamierzała coś z tym zrobić. — Ross — powiedziała ostrożnie — tak miło być tutaj.

Ale on chciał czegoś więcej. — Tylko miło? Patrzyła mu twardo w oczy. — Podoba mi się twój dom. - Niezły, co? — Pochylił się bliżej. — Wiesz, wyglądasz wspaniale. —Dzięki — odparła, odsuwając się. Zanim się z nim rozprawi, musi wlać w siebie jeszcze jednego drinka.

—Moja mała Sadie, naprawdę to ty tego dokonałaś, prawda?

O Boże! Był taki szarmancki jak zwykle. Odsunęła się jeszcze dalej i z ulgą spostrzegła zbliżającą się przyjaciółkę. — Znasz Emile Riley? — spytała szybko.

—Jasne, oczywiście. Miło cię widzieć, Emile.

—Ciebie też, Ross -- ucieszyła się Emile. — Co za imponujące przyjęcie. Zachwygam się aranżacją kwiatów. Muszę pogratulować Elaine. A gdzie ona jest?

Sadie błyskawicznie ujęła ją pod ramię. — Chodźmy jej poszukać. Zobaczymy się później, Ross.

Słynne błękitne oczy wciąż urzekały. — Na pewno.

Patrzył, jak Sadie idzie przez salon. Wszechpotężna Sadie La Salle. Przez chwilę już była jego, tego był pewien. A wieczór dopiero się rozpoczął.

U jego boku pojawiła się Karen. — Chcę z tobą pomówić.

Miała na sobie złotą haremową piżamę z lamy, która absolutnie nie skrywała jej cudownych piersi, wyglądających zza cienkiego materiału. Ross poczuł nieprzepartą ochotę, by ich dotknąć, ale się opanował.

-Witaj w domu Contich — powiedział.

-Witaj, dobre sobie. Czy wiesz, że Elaine dzwoniła dzisiaj do mnie i szukała ciebie w moim mieszkaniu?

—Mnie?

—Tak, ciebie.

—Dlaczego mnie?

- Gdybym wiedziała, to czy zadałabym takie pytanie? Zmarszczył brwi. — Coś się dzieje. Jakiś wypierdek zaczepił mnie dzisiaj na Rodeo Drive i podetkał mi pod oczy pewne zdjęcia.

—Jakie zdjęcia?

—Nas obojga. W łóżku.

—Co takiego?

- Koteńku. Dlaczego ty i Karen trzymacie się tak blisko siebie? Nieładnie, nieładnie, wszystko powiem Elaine! — Oczywiście Bibi Sutton żartowała, ale odskoczyli od siebie jak oparzone koty.

Nie opodal kręcił się Wolfie Schweicker, olśniewający w welweto-ym garniturku, koszuli z żabotem i haftowanych, wieczorowych pantoflach. Świeżo zaondulowane włosy otaczały okrągłą twarz o małych, przenikliwych oczkach, z perkatym nosem, mięsistymi wargami i ostrymi jak u fretki zębami. Ktoś powiedział, że Wolfie przypomina wystrojoną złotą rybkę.

—To bardzo dobre przyjęcie, Ross. Właśnie mówiliśmy o tym z Bibi.

—Dzięki, Wolfie.

—Nie ma za co. Bibi i ja zawsze chwalimy to, co godne pochwały.

—Miło mi. — Ross nie mógł znieść tego faceta. Ciekawe, że ten ustępliwy Adam Sutton pozwala mu w ogóle przekroczyć próg swojego domu.

Do rozmowy włączyła się Karen. — Wspaniała suknia, Bibi.

—Tak? Tak myślisz? To takie nic, koteńku.

—Nic, akurat! — parsknęła Karen. — Musiała kosztować starego Adama co najmniej dwa tysiączki. Jak już ją masz na sobie, to chwal się tym, Bibi.

—Kotku, jesteś zbyt grubiańska.

—Jestem córką swojego ojca, a jaki on jest, to chyba tobie nie muszę tłumaczyć, co, Bibi?

Jaki był najszybszy sposób, żeby odczepić się od Frances Cavendish?

Dobre pytanie.

Buddy rozważał ten problem przyglądając się przyjęciu. Rozmowy o przemyśle filmowym w pełnym toku. Obracał się wokół gwiazd.

Było pełno ludzi.

—Jeżeli myślisz, jak tu poszwendać się po salonie, to wybij to sobie z głowy — odezwała się ostro Frances, jak gdyby czytając w jego myślach.

—Poszwendać się? Kto chce się szwendać? — zaprotestował rozzłoszczony.

—Ja tylko ostrzegam.

—A mogę wyjść do toalety?

—Teraz? Dopiero przyszliśmy.

—No to chcesz, żebym nasikał sobie w buty?

—Tylko szybko. Nie po to cię przyprowadziłam, żebym miała tu sterczeć sama jak palec.

Trzasnął obcasami. — Tak jest, ma'am.

—Witaj, Elaine.

—Witaj, Ron.

Dlaczego ona w ogóle go zaprosiła? Wyglądał tutaj zupełnie nie na miejscu.

—Nieźle... hm... zgromadzenie — wycedził.

—Dziękuję.

—Bardzo pragnąłbym poznać Clinta Eastwooda.

A któż by nie chciał? Tylko że ona nie miała zamiaru brać go za rękę i przedstawiać.

—Wybacz mi, Ron. Mam milion rzeczy do zrobienia.

—Rozluźnij się, Elaine. Nie pozwól, by spętało cię napięcie. Bierzesz te witaminy, które ci zaleciłem?

Kiwnęła krótko głową. Przypominał jej wielkiego psa o obwisłej skórze. Jakim cudem w zaciszu gabinetu nigdy nie dostrzegła dziobów na jego twarzy i sztywnej szczeciny w kolorze słomy, wyrastającej z jego uszu i nosa?

Jak w ogóle mogłaś, Elaine?

Złapać pierwszego lepszego kutasa!

—...ona jest jak lalka Barbie, nadmuchujesz ją, a ona kupuje nowe ciuchy...

—...wypieprzyłby nawet kożę, gdyby myślał, że coś na tym zyska.

Buddy przeciskał się przez salon. Był w lepszym nastroju, niż mu się to ostatnio zdarzało. Tutaj był świat, do którego należał. I zostanie w nim na zawsze — jeżeli tylko dostanie tę rolę w „Ludziach z uli-cy”.

Uśmiechnął się do Ann-Margaret, a ta oddała mu uśmiech. Rzucił: — Jak leci? — Michaelowi Caine, na co uzyskał przyjacielską odpowiedź. Naprawdę, aż unosił się w powietrzu!

I wtedy ją ujrzał. Angele. Jego Angele. Nie mógł wprost uwierzyć, ale to była ona.

Oliver Easterne prowadził chłodną rozmowę z Montaną. Ich niechęć była wzajemna, ale łączył ich film. — Gdzie Neil? — zapytał Oliver, spoglądając na zegarek.

- Myślałam, że może ty wiesz — odparła Montana. — Miał jakieś spotkanie. I mieliśmy się spotkać już tutaj.

Oliver się pocił i miał okropne uczucie, że cuchnie, mimo dwukrotnej kąpieli pod prysznicem. — Przepraszam — powiedział. — Muszę iść do toalety.

Zamknął się w gościnnej łazience i ściągnął koszulę i marynarkę. Szybkie pociągnięcie nosem potwierdziło fakt, że rzeczywiście śmierdział. Pospieszenie chwycił kostkę mydła leżącą w srebrnej mydelniczce i umył obrzydliwe pachy. Potem zsunął spodnie i na wszelki wypadek włożył namydloną dłoń w kalesony. Nie pofatygował się, by zamknąć drzwi, więc kiedy do środka wtargnęła Pamela, oboje spojrzeli na siebie osłupiali. — Co ty tutaj wyprawiasz? — spytała Pamela świdrującym głosem.

Nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia.

On natomiast nie poznał żony przyszłego gwiazdora swojego filmu. — Pieprzę kożę — odparł szybko. — Może byś tak zajęła się sobą?

—A może, chłopie, sam byś się odchrzanił?

—Słuchaj, ty...

Przerwało im wtargnięcie na wpół obnażonego Olivera Easterne'a, któremu na pięty

następowała wściekła jak wszyscy diabli Pamela London. Wynurzyli się z gościnnej łazienki.

—Jak śmiesz tak do mnie mówić, ty obleśny karle? — wrzeszczała Pamela, wywijając szczotką do włosów.

—Co ci jest, ty stary, klimakteryczny tłumoku? Odczep się ode mnie! Jesteś popierdoloną wariatką!

—Cóż to się dzieje? — zahuczał George Lancaster, odrywając się od grupki pochlebców.

—Ten żaloszny facecik onanizował się, kiedy weszłam do toalety — wytłumaczyła Pamela głosem jak dzwon.

—Ta cipa oszalała! — wrzasnął rozwścieczony Oliver.

—Ta cipa to moja żona — oświadczył George Lancaster. — Kochanie, czy poznałaś już Olivera Easterne'a, mojego producenta?

—Angela?

—Buddy?

Przez mgnienie oka omal nie padli sobie w ramiona. Potem twarz Angeli zachmurzyła się. Przypomniała sobie telefoniczną rozmowę z Shelly. Także na twarzy Buddy'ego pojawił się grymas, gdyż wspomniał, co Angela przekazała mu za pośrednictwem Shelly.

—Co ty tutaj robisz? — spytali unisono.

I wtedy podpity gwiazdor telewizyjnego programu, który już od godziny próbował zagadnąć Angelę, położył na jej ramieniu władczą dłoń mówiąc: — Czy wszystko w porządku, moja śliczna?

Moja śliczna! Buddy zapragnął walnąć w te sztuczne zęby i wybić je przez noszoną przez gwiazdora treskę.

—Owszem, dziękuję — odparła grzecznie.

- Hmmm... posłuchaj... czy moglibyśmy porozmawiać? — spytał szybko Buddy.

—Sama nie wiem.

—Co to znaczy, że nie wiesz?

—Bo ja...

—Ta dama mówi, że nie wie - odezwał się Pan Telewizor. - Więc może byś się oddalił, chłopie?

Nie ma głupca większego niż stary głupiec...

Albo młody głupiec...

Albo głupiec w średnim wieku...

Banały.

Giną Germaine była banalna. Ale także namiętna, jasnowłosa, zmysłowa, obfitobiusta i cudowna w łóżku.

Zatraciłem się w niej, myślał Neil Gray. Mc na to nie mogę poradzić.

Jakim głupcem ja jestem?

Do kogo mam się zwrócić?

Dlaczego właśnie teraz przypomniały mi się piosenki Newleya i Bri-cusse 'a? Akurat kiedy najszynniejsza blondynka Ameryki siedzi na moim naprężonym członku, a jej najintymniejsze zakamarki ciała aż kipią międzynarodowym przesianiem pożądania?

Pożądliwe myśli.

Pierwsza kobieta, z którą spałem, miała czarne pończochy i pas. Na imię Et hel, pochodziła ze Szkocji. Ja —piętnastolatek, ona — dwudzieś-totrzyletnia. Miała owłosione nogi i skłonności do figli w łóżku.

Montana za nic nie włożyłaby pasa do podwiązek, jak wdzięcznie określały tę część garderoby Amerykanki. Gdyby tylko o tym wspomniał, roześmiałyby mu się w twarz.

Mlecznobiałe uda oplatające, ściskające. A między nimi gęste futerko.

O, Boże!

Giną uniosła się, cofnęła.

—Jeszcze nie skończyłem — zaprotestował.

—Wiem — uspokajała go. — Ale przygotowałam dla ciebie niespodziankę.

—Następna ukryta kamera? —jęknął.

—Nic się nie bój. Dzisiaj mamy uroczystość. Chciałabym, żeby ta noc została ci w pamięci,

—Przyjęcie... — powiedział stłumionym głosem, patrząc, jak Gina podchodzi do drzwi. Pragnął, by do niego wróciła i skończyła to, co zaczęła. Albo tak, albo ktoś powinien go otrzeźwić, wylewając na niego kubel lodowatej wody.

—Pójdziemy na przyjęcie — zagruchała. — Jak przyjdzie pora.

Leżał rozparty na fotelu i czekał.

Nie ma głupca większego "niż stary głupiec... młody głupiec... głupiec w średnim wieku...

Druga kobieta, z którą spał, była prostytutką z Piccadilly. Naciągnęła go na pięć funtów i sprezentowała mu trypra. Miał wtedy szesnaście lat. Ona nie nosiła pasa.

I nagle pojawiły się we dwie.

Giną. Zmysłowa. Rozpustna. Wszechamerykańska bogini seksu.

A obok niej drobna Eurazjatka. Ciemnooliwkowa skóra, czarne włosy spływające niczym zasłona aż po uda, małe piersi, szczupła talia. Prawie całkiem naga, prócz białego, koronkowego pasa do pończoch, który podkreślał jedwabisty supełek jej włosów łonowych. — To jest Siu-Ling — przedstawiła ją Gina. — Mój prezent dla nas obojga. Nie mówi po angielsku, ale rozumie. Od dziecka uczono ją sztuki kochania. Uczcijmy więc nasz kontrakt, Neil. I dopiero potem pójdziemy na przyjęcie.

—Twoja co? — spytał zmartwiałym ze zgrozy Oliver, widząc już oczami duszy, jak rozmywa się jego wspaniała obsada.

—Twój co?! — wrzasnęła Pamela. A potem zaczęła się śmiać, paroksyzmy zatrzęsły jej ciałem. — To to jest właśnie Oliver Easterne

—wydusiła między atakami chichotu. — Ten... ten... wściekły mały człowieczek.

George także zaczął się śmiać. — Tak, ty głupia krowo. Nie powinnaś obrażać naszego producenta, on nam płaci.

Krztusiła się z radości. — Och, to właśnie on!

Oliver zamienił swoją wściekłość i zażenowanie w wątyły uśmieszek. Jednocześnie z maksimum godności próbował naciągnąć spodnie.

—Pani Lancaster — zaskamlał. — Proszę mi wybaczyć. Nie miałem pojęcia. Pani Lancaster, tak miło wreszcie panią poznać, pani Lancaster.

—Na miłość boską, mów mi Pamela. Poznaliśmy się już chyba dość blisko, co nie?

I mówiąc to poddała się kolejnemu atakowi niepohamowanego śmiechu.

Furora, jaką zrobili do spółki Pamela London i Oliver Easterne, przygasła, ale gwiazdor telewizji nie odczepił się ani na krok od An-geli.

Buddy usiłował go zignorować. — Musimy porozmawiać — powiedział nagłaco, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Spłoszyła się pod jego dotykiem. — Ja... ja sama nie wiem, czy mamy sobie jeszcze coś do powiedzenia.

—Całe mnóstwo.

—Dlaczego po prostu nie odpłyniesz, człowieku? — spytał prezydent.

Angela zauważyła, jak w Buddym wzbiera gniew, i szybko powiedziała: — Proszę, nie wywołuj awantury. Może później uda się nam porozmawiać.

Dlaczego ona mu to robi? Jaką idiotyczną grę prowadzi? Była jego żoną. On jej mężem. — Teraz — oznajmił stanowczo. To, co miał jej do przekazania, nie mogło czekać.

Sławny prezydent wtrącił swoje trzy grosze: — Kim jest ten nachal?

Nim Angela zdążyła zainterweniować, Buddy wymierzył wściekły cios, który o włos minął podbródek gwiazdora. Ten bowiem, niegdysiejszy twardziel, uchylił się i odpowiedział krótkim, silnym ciosem mierzonym w żołądek Buddy'ego. Znokautował go. Buddy zgął się z bólu, a nim się wyprostował, Angela wraz ze swoim rycerskim towarzyszem zniknęli w sąsiednim salonie.

Maralee Sanderson z irytacją potrząsnęła swoimi jasnymi, przyciętymi na pazia włosami. Elaine uprzedziła ją, że zaprasza Neila wraz z żoną. Więc gdzie się podziewa Neil? I dlaczego Montana miota się po całym domu niczym pomyłony Indianin? Ta kobieta wygląda dziwnie — obwieszona tymi swoimi frędzlami i paciorkami. Ile ona, swoją drogą, może mieć lat?

Maralee nie posiadała się ze zdumienia, że Neil w ogóle mógł tamtą poślubić. Przecież to wariatka. Za wysoka. Za bardzo nieucywilizowana. Same „za”.

Ręka Randy'ego skradła się po jej udzie. Pacnęła w nią niczym w uprzykrzoną

muchę. Randy był w porządku w łóżku, prawdę mówiąc był tam wspaniały. Ale na takim przyjęciu rozmywał się w tle. Czy on naprawdę nikogo nie zna? Brakuje mu tego, co jej ojciec określał jako „towarzyskie zaplecze”. Dotąd nigdy jej to nie przeszkadzało, ale dziś wieczór Randy, przyklejony do jej boku, drażnił ją. Może Karen i Elaine miały rację? Żadna z nich nie powiedziała ani słowa, ale Maralee rozumiała dobrze, że Randy nie przypadł im do gustu. Nie można najpierw wychodzić za człowieka takiego jak Neil Gray, a potem zadawać się z jakimś Randym Felixem. Przy tym zaczęło jej wreszcie świtać, że on jest bez forsy. A z dziedzictwa Maralee nikt nigdy nie dostanie złamanego centa. To jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

—Największy kutas, jakiego znałam, miał najmniejszego fiutka! — oświadczyła elegancka kobieta pod czterdziestkę, w szykownej czarnej sukni.

—Gdyby sranie kosztowało go choćby centa, toby rzygał — mówił gadatliwy producent.

— Codziennie przychodzi do mojego biura, zamyka drzwi na klucz, włazi pod biurko i obciąga mi druta — zwierzał się dyrektor wytwórni.

Rozmowy w stylu Hollywood. Ross znał je na pamięć. W jego głowie natomiast kłębiły się myśli. Dlaczego Elaine szukając go zadzwoniła do Karen? Może widziała już tamte zdjęcia? Mały S. Schortz żądał dziesięciu tysięcy dolarów. Jeżeli Elaine naprawdę je widziała, to ten kutas może się wypchać. Co i tak prawdopodobnie będzie musiał zrobić. Nie ma mowy, żeby Ross zgromadził dziesięć tysięcy gotówką. Był splukany na wszystkich frontach. Jego doradca finansowy codziennie bombardował go telefonami domagając się spotkania. Jego doradca finansowy zesra się na miękko, jak tylko zaczną napływać rachunki za przyjęcie.

Teraz zostało mu tylko kurczowe trzymanie się nadziei, że Sadie La Salle go ocali i znowu wywinduje na sam szczyt, tam gdzie jego miejsce. Już raz jej się to udało.

Oliver Easterne przemierzał salon w poszukiwaniu kogoś, kto nie był świadkiem upokorzenia, jakiego doznał z rąk herod-żony Geor-ge'a. Co za wiedźma! Nawet on nie odważyłby się pójść z nią do łóżka, mimo tych wszystkich jej milionów. Chociaż,

oczywiście, było powszechnie wiadomo, że Oliver dla pieniędzy jest gotów na wszystko.

Śmiał się wraz z tym rudym babskiem, a w środku aż go paliło. Bolały wrzody, dawały znać o sobie hemoroidy. Kiedy jednak już skończą ten film, to w kieszeni Olivera znajdzie się o wiele więcej forsy niż w ich.

Oliver nie po to tyle lat kręcił się w tym biznesie, by nie znać stosownych kruczków.

Podano obiad. Kogo jak usadzono? Albowiem w Beverly Hills miejsce za stołem jest niemal tak ważne jak samo przyjęcie.

Elaine godzinami przeglądała listę gości, by zdecydować, jak ich rozsadzić. Dwadzieścia stołów. Dwanaście osób przy każdym. Baka-ratowe szkło. Angielska krucha porcelana. Szttywno nakrochmalone serwetki. Pośrodku każdego stołu bukiety ze stokrotek, anemonów i frezji ułożone w eleganckich wazach od Waterforda. Wydrukowane wizytówki z nazwiskami. U samego szczytu Elaine i Ross Conti, a poniżej elegancko wypisane nazwisko każdego z gości.

Siebie posadziła między George'em Lancasterem a Adamem Suttonem. Rossa zaś między Sadie La Salle i Pamelą London.

Po incydencie z Pamelą i Oliverem popędziła na górę i zażyła następne Valium. Do czasu kiedy wróciła na dół, wszystko się już uspokoiło. Oliver przeprosił. A Pamelą i George, zdaje się, uznali cały ten incydent za zabawny aż do łez. I oczywiście, kiedy George się śmiał, to cały świat mu wtórował. Elaine odetchnęła z ulgą.

Ross obserwował, jak Sadie podchodzi do jego stołu. Wyglądała o całe niebo lepiej zbliżając się do pięćdziesiątki, niż kiedy była dwudziestolatką. Niemal szczupła, niemal atrakcyjna. Ciekawiło go, czy Sadie nadal gotuje. Cóż z niej za kucharka! Cóż za dupa! Cóż za cycki! Ale do stylu Rossa nie pasowała.

Usiadła.

— Tyle czasu minęło — zaczął ciepło. — Tyle czasu, a ty wyglądasz olśniewająco.

Przyszpiliła go pełnymi wyrazu czarnymi oczami. Oczy były ozdobą jej twarzy. — Już mi to mówiłeś, Ross.

— No bo wyglądasz tak znakomicie, że komplement należy powtórzyć, ot, co. A poza

tym, my dwoje... mieliśmy coś wspólnego, prawda? — Pochylił się do niej konfidencjonalnie. — Pamiętasz biednego, starego Bernie'ego Leftcovitza! I tamten wieczór, kiedy wpadłem do ciebie, a ty podejmowałaś go kolacją?

Jakim cudem mogłaby o tym zapomnieć? — Którego Bernie'ego?

—Bernie'ego Leftcovitza. Musisz przecież pamiętać fajtlapę Bernie'ego. Przecież on wtedy się zbierał, by ci się oświadczyć. No, co ty, Sadie, to był ten sam wieczór, kiedy ty i ja... po raz pierwszy... — Umilkł i uśmiechnął się. — Nie wmawiaj mi, że i o tym zapomniałaś.

Uśmiechnęła się do niego obojętnie. — Znasz przecież to miasto... Łatwo przyszło, łatwo poszło. Pojawił się kelner od wina.

—Nareszcie! — rozdarła się na cały głos Pamelą London, jak gdyby już od wielu godzin siedziała usychając z pragnienia. W rzeczywistości minęło zaledwie pięć minut. — Pokaż mi etykietkę, panie kelner.

Jeżeli okaże się, że nie jest to uczciwy Cabernet Sauvignon, to możesz się z tym zabierać!

Oliver Easterne wpadł prosto na Karen Lancaster. W tej samej chwili wydało mu się, że zauważył tamtą dziewczynę z plaży, jak kieruje się ku osłoniętemu namiotem patio w towarzystwie jakiejś starszej kobiety.

—Przepraszam — powiedział pospiesznie.

—A co się stało? — spytała Karen, parszcząc ochryplym śmiechem. — Musisz znowu lecieć do łazienki?

Zignorował ją i wyszedł na zewnątrz. Dziewczyna siedziała przy tym samym stole, co Pamelą London. Równie gorąco, jak pragnął z dziewczyny uczynić gwiazdę, tak nie miał zamiaru zadawać się z tamtą babą. Jeżeli o niego chodzi, to byłby najszczęśliwszy, gdyby już nigdy więcej nie zobaczył Pameli London!

Montana nie miała ochoty na przyłączenie się do innych gości. Nie była głodna. Sprawdziła już wizytówki i zorientowała się, że posadzono ją między dwójką jakichś nieznajomych. A do tego wszystkiego Neil jeszcze się nie pojawił, co ją doprawdy wyprowadziło z równowagi. *Co tutaj robię?*, myślała. *Mogę równie dobrze się zwinąć,*

ta zabawa nie jest w moim guście.

I wtedy zobaczyła Buddy'ego Hudsona podpierającego bar. Wyglądał niemal na równie spieprzonego, jak ona sama. Może zdoła wywołać uśmiech na jego twarzy. Podeszła i dotknęła go lekko w ramię. — Niespodzianka. Czyżbyś bawił się tak samo znakomicie jak ja?

Buddy odwrócił się i stanął twarzą w twarz z oszalamiającą kobietą, całą we frędzlach, paciorkach, kruczowłosą.

—Montana Gray — przedstawiła się, dostrzegając jego zmieszanie. — Po godzinach pracy wyglądam nieco inaczej.

Gwizdnął cicho, czując ulgę, że Frances go jeszcze nie wytropiła. Był zachwycony spotkaniem Montany. — To fakt.

—Przyjacieli pana młodego czy panny młodej?

—Co takiego?

—Według mnie, to Conti są panną młodą, ponieważ i tak wszystko skończy się tym, że ich wypieprzą, nie wspominając nawet o rachunkach za to przyjęcie. A Lancasterowie to oblubieniec, bo oni mają w nosie wszystko, co nie tyczy ich samych. Roześmiał się, gotów zapomnieć o tęym bólu ściskającym mu jądra. — Jestem tu tylko przypadkiem. Nie znam nikogo z nich.

—Tak jest najlepiej. — Pociągnęła łyk Pernodu z wodą, skrzywiła się i orzekła: — Nienawidzę tego smaku, uwielbiam natomiast skutki.

Buddy czuł się niczym rozdarta sosna. Kontynuować rozmowę z Montaną czy próbować odszukać Angelę? Instynkt podpowiedział mu, by zostać przy Montanie. Serce natomiast radziło podążać za Angelą.

—Co nowego? — spytał odruchowo, spodziewając się kolejnej bzdury w rodzaju: „Wciąż rozważamy twoją kandydaturę”.

—Miałam zamiar jutro się z tobą skontaktować, po konferencji prasowej George'a Lancastera — wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — Ale skoro spotkałam cię tutaj...

O, kurczę! Czy ona zamierza powiedzieć mu to, co mu się wydaje, że powie? Nagle zaschło mu w gardle. — Tak?

—Jesteś Vinnie'm, dzieciaku.

Przez jedną straszną chwilę myślał, że się zleje w gacie. — Słodki Micku Jaggerze! Wielkie nieba! Nie wierzę! Darł się na cały głos, ale co to miało za znaczenie?

—Ciii... — Montana śmiała się, ciesząc z jego radości. — Przecież nie ofiarowałam ci nominacji na prezydenta.

Był w siódmym niebie. — To prawie to samo.

—Miło mi, że jesteś zadowolony.

- Daj mi złapać oddech... Straciłem głowę! — Kuksnął ją. — Jesteś pewna? Nie robisz mnie w konia?

—Czy mogłabym kłamać?

—Chryste! Nie mogę uwierzyć.

—Uwierz.

—Ja... ja chyba śnię.

- Buddy! Nigdy nie myślałam, że jesteś takim ćwokiem. Uspokój się. To tylko film.

—Dla ciebie to film. Dla mnie — całe życie.

Opowieść o wpadce Olivera Easterne'a krążyła od stołu do stołu, wzbudzając powszechną wesołość. Angela nic z tego nie zrozumiała według niej, zrobiło mu się po prostu niedobrze. Rozpoznała w nim tamtego mężczyznę z plaży. Miała tylko nadzieję, że on jej nie zapamiętał.

Mogła myśleć jedynie o Buddym. Kocham cię, chciała mu powiedzieć. Ale on zepsuł wszystko i teraz nie było drogi powrotnej.

Westchnęła, targana sprzecznymi uczuciami. Pragnęła Buddy'ego. Nie, wcale nie pragnęła. A jednak wciąż go kochała.

- Czy dobrze się czujesz? — Ponad stołem przechyliła się pani Liderman. — Wyglądasz odrobinę blado.

— Znakomicie — odpowiedziała uprzejmie. Naprawdę powinna się znakomicie bawić, ale Buddy całą radość obrócił w gruzy.

Kędzierzawy mężczyzna w nieskazitelnym białym garniturze pochylił się do niej i oznajmił zapitym głosem: — Muszę tu popracować, myślisz, że to takie proste być

mną? A kim ty jesteś, kochanie? Ja mam na imię Frank.

Był przystojny. Ale Buddy'emu nie dorastał do pięt.

—...skorzystać z mojego mieszkania? Nie pozwoliłabym ci nawet skorzystać z mojej chusteczki higienicznej!

—...i wiesz, co ten skurczybyk mi powiedział? Powiedział: „Nie przepieprzaj mojego majątku. Jeżeli chcesz się kurwić, to rób to w łóżku takiego, co za to zapłaci”.

Elaine rozejrzała się po gościach i uśmiechnęła promiennie do George'a Lancastera.

— Chyba wszyscy się świetnie bawią, prawda?

— Jasne. Ale dlaczego koło mnie jest puste miejsce? — poskarżył się.

Elaine natychmiast zeszywniała. — Tak mi przykro! Miała tu siedzieć Gina. Widziałeś ją gdzieś może?

George uśmiechnął się lubieżnie. — Gdybym ją zobaczył, to na pewno bym zapamiętał. To ta z tymi wielkimi...

— Dokładnie — urwała chłodno Elaine, odsuwając się z krzesłem od stołu. — Pójdę się rozejrzeć, może ją znajdę. Prawdopodobnie jest jeszcze w środku. Za sekundkę wracam.

— Ależ oczywiście, dziecinko.

Pospieszyła do domu, gdzie wciąż marudziła grupka gości. Zobaczyła Montanę Gray gawędzącą przy barze z jakimś nieznanym. Obok nich stali zatopieni w rozmowie państwo Seanowie Connery i Rogerowie Moore. Z gościnnej łazienki wynurzyły się Karen Lancaster i Sharon Richman, chichocząc i zataczając się ze śmiechu.

Och, Karen. Z tobą jeszcze się nie policzyłam. Prawdę mówiąc, dziwko, jeszcze nawet nie zaczęłam się rachować.

Elaine podeszła do drzwi frontowych i sprawdziła u bramkarzy. Jak dotąd, Gina Germaine nie przybyła.

— Gdzież to jest Neil? — dopytywała się głośno Pamela. — Nie widziałam go przez cały wieczór.

Ross, który usiłował skupić swoją uwagę na Sadie La Salle, obrócił się do prawdziwego gościa honorowego. Pamela wyglądała, jakby nosiła jaskraworudą,

rozczochną perukę. Dlaczego nikt nie powie jej czegoś na temat fryzury?

—Pewnie kręci się gdzieś w pobliżu.

—Nie widziałam go, a ma wyznaczone obok mnie miejsce.

Chryste, pomyślał Ross. Co to za organizacja? Przy obojgu honorowych gościach puste krzesła. Czy ta Elaine nie potrafi niczego zrobić porządnie?

Jak tylko Elaine wstała od stołu, Bibi podsunęła się do George'a i ruszyła do ataku.

- George, mój słodki — wionęła. — To przyjęcie jest miłe, ale nie ekskluzywne. Ja wydam bardzo specjalny obiad dla ciebie i Pameli. Tylko garstka przyjaciół. I co ty na to?

—Ja na to, że trzymasz się całkiem, całkiem jak na starą babę. — Szczypnął ją w udo.

— Wcale seksowna jeszcze z ciebie sztuka.

—George! — Odepchnęła jego dłoń i próbowała przybrać obrażoną minę, ale to nie miało sensu. George Lancaster znał ją z czasów, gdy miała lat szesnaście i sprzedawała się na Champs-Elysees. To było coś, o czym miała nadzieję, że już dawno zapomniał.

Montana przyłożywszy palec do warg powiedziała: — Ani słowa nikomu, Buddy. Nie powinnam była ci o tym mówić przed konferencją George'a Lancastera.

—Gram główną rolę w twoim filmie i ty chcesz mi kazać, żebym siedział cicho? Daj spokój, aż tak nie panuję nad sobą.

— To się naucz.

—A gdybym miał żonę, to mógłbym jej powiedzieć?

—A masz?

Przez sekundę zawahał się, potem uprzytomnił sobie, że nie czas na wyjawienie prawdy. — A czy wyglądam na żonkosia? Roześmiała się. — Więc czemu zadajesz głupie pytanie?

—Straciłem głowę.

—To ją odzyskaj. Musisz zdać sobie sprawę, że w twoim interesie leży milczenie. To prawo Hollywoodu, dziecko: nie podstawiaj sam sobie nogi.

—A co dalej?

—Zadzwonimy do twojego agenta.

—Nie mam takiego.

—To znajdź.

—Jak mam znaleźć agenta, kiedy nie wolno mi o niczym powiedzieć?

—Agenci są jak księża, możesz im zaufać. Powiem ci coś. Ja porozmawiam z Sadie La Salle, może załatwię ci na jutro rozmowę. Co ty na to?

—Jak dla mnie, wspaniale.

Oboje się roześmieli.

Ujrzał w oddali nadciągającą Frances Cavendish. Na jej twarzy malowała się wściekłość.

—Muszę wiać — powiedział pospiesznie. — Ta... hmmm... osoba, której miałem dzisiaj towarzyszyć, nadchodzi. A wcale nie mam życzenia wydać cię na pastwę jej języka.

Montana poważnie przytaknęła. — Rozumiem. — Lubiła go, instynktownie wyczuła, skąd on startował, i wiedziała, że nie było to łatwe. Cieszyło ją, że umiał wykorzystać swoją szansę.

Ujął ją za rękę i mocno ścisnął. — Dzięki — powiedział serdecznie. — Chyba ocaliłaś mi życie.

—Co ty opowiadasz. Przestań odstawiać przede mną teatr, zachowaj to dla kamery.

Karen kipiała ze złości. Jakim prawem zepchnięto ją do najgorszego stolika razem z gośćmi pośledniejszego gatunku, razem z nikim i z niczym? Jak ta Elaine śmiała jej coś takiego zrobić.

Obelgą, która przepelniła czarę, okazał się Ron Gordino, który podszedł jak gdyby nigdy nic rozkołysanym krokiem i usiadł obok. Posadzono ją obok Rona Gordino — pieprzonego instruktora gimnastyki. Czym sobie na to zasłużyła?

Zniszczę tę Elaine Conti, pomyślała. Bez wątpienia miała zamiar upokorzyć mnie w ten sposób raz na zawsze. Ale poczekaj, skradnę ci twojego męża na dobre i będę wydawać przyjęcia, na które ty nawet nie dostaniesz zaproszenia.

Dupiasta Etta Grodinski. O, tak. Wiem wszystko o twoich gównia-nych początkach.

Twój słodki, kochany, niewierny mążusio mi o tym opowiedział.

—Hm... wspaniałe przyjęcie — zauważył przeciągle Ron Gordino.

—Powiedz mi — spytała Karen z uroczym uśmiechem — ile razy przeleciałeś naszą gospodynię?

Nogi, ramiona, piersi. Szept warg, drażnienie języków, przyspieszone oddechy, ślina, smak, dotyk, dotykalna zmysłowość.

Od lat już nie miał dwóch kobiet naraz. Może od dziesięciu. Paryż. Tamte były siostrami o bliźniaczym podobieństwie.

A teraz to inaczej. Dwie kobiety z odmiennych kultur i obie przenoszące go w takie obszary ekstazy, o których myślał, że już nigdy do nich nie trafi.

Siu-Ling naprawdę była artystką. Tyle że nie pracowała przy pomocy palety z farbami. Miała natomiast pachnące olejki i delikatne, dziecinne palce. Zajmowała się jednocześnie i Giną, i Neilem, dotykając wpierw nabrzmiąłych piersi Giny, potem naprężonego penisa Neila, co niemal doprowadziło go do wytrysku, skóra członka rozciągnęła się aż do granic niemożliwości.

Uwijała się, pieściła ich oboje, jej długie włosy na ich skórze niczym pasma cudownego jedwabiu.

Po chwili stało się to torturą.

Rozkoszną torturą.

Odepchnął Eurazjatkę i wspiał się na Ginę, która pragnęła go równie mocno jak on jej. Była tak wilgotna i gotowa, że niemal się z niej wysliznął. Ale Siu-Ling czuwała. Pomogła mu wejść w wilgotne ciepło drugiej co do popularności blondynki Ameryki. Wprowadziła go do raju. A on wiedział na pewno, że jest to najbardziej podniecające zmysłowe doświadczenie w jego życiu.

Zapomniał na dobre o Montanie.

Zapomniał na dobre o „Ludziach z ulicy”.

Zapomniał na dobre o przyjęciu.

Otwierały się przed nim wrota raju.

Punkt dwudziesta trzecia Zancussi Trio odplynęło wraz z łamiącą serce wariacją

tematu z „Ojca Chrzestnego”. Do akcji wkroczyli Ric i Phil wraz ze swoimi mikrofonami i wariacko rozczochranymi, długimi włosami. Z siedmiu ukrytych głośników buchnęła wszechogarniająca piosenka kapeli Kool and the Gang — „Get Down on It”.

— Cholera! — Ross poderwał się z krzesła. — Co za hałas!

Przygotowano parkiet do tańca i Pamela uznała, że Ross właśnie ją prosi. Także podskoczyła na równe nogi. — Owszem, Ross, pokażmy im, co potrafimy!

Wysoka na sześć stóp, ruda Pamela London zaciągnęła go na parkiet.

Sadie tylko ucieszyła się, że będzie miała chwilę wytchnienia od ciągłego naporu czaru Rossa. Przez cały wieczór ogromnie ją adorował i chociaż zdawała sobie sprawę, że to tylko gra, nie mogła oprzeć się wrażeniu. Była niemile podniecona. Ross wciąż był władny podniecić ją tylko samymi słówkami. Gdyby jej kiedyś nie porzucił, wszystko mogłoby wyglądać tak bardzo inaczej.

— Zatańczymy? — zaczęła Buddy'ego Hudsona Karen. Siedział pomiędzy nią a Frances Cavendish. Było mu niewyraźnie. A powinien czuć się wspaniale. On natomiast kątem oka obserwował siedzącą przy stole ustawionym w przeciwległym krańcu namiotu An-gelę. Skurcz żołądka przypomniał mu, że powinien wziąć się w garść aż do chwili podpisania kontraktu.

Chryste Panie! To była najwspanialsza noc w jego życiu. A zarazem najkoszmarniejsza. Kim był ten kutas kręcący się koło Angeli? Postanowił, że podejdzie do niej i poprosi ją do tańca. Potem zaciągnie ją w jakiś ustronny kącik i zapyta: — Dlaczego usunęłaś nasze dziecko? Dlaczego mnie opuściłaś? Dlaczego nie możemy spróbować jeszcze raz?

—Mówię, żebyśmy sobie zatańczyli — wybełkotała Karen. Była na haju, miała rozszerzone źrenice. Tworzyłyby niezłą parę z Shelly.

Chciał odmówić, ale skoro George Lancaster jest jej ojcem, to chyba lepiej będzie, jak się zgodzi. Spytał więc Frances, która właśnie wróciła po wypaleniu w damskiej toalecie skręta: — Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jak zatańczę?

—Rób, co ci się podoba — odpowiedziała zirytowana Frances. Nie była bynajmniej

uszcześliwiona. Trudno powiedzieć o Buddym, że okazał się troskliwym towarzyszem, jak to sobie wyobrażała. Może sobie wybić z głowy tę robotę dla Universalu. Powiadomi go o tym natychmiast, jak tylko odwiezie ją do domu.

—Tak, jasne, chodźmy — powiedział Karen. I dołączyli w pługach wokół parkietu do trzeciej co do majątku kobiety świata, która nie potrafiła tańczyć, oraz do Rossa Conti, który potrafił.

Karen mogłaby odstawiać „Get Down on It” z najlepszymi z najlepszych. Poruszała się w taki sposób, że ciało jej nachylało się w jedną stronę, nie skrepowane zaś stanikiem piersi o zmysłowych sutkach w drugą.

—Hej! — krzyknął Buddy. Uwielbiał tańczyć, a z Karen to była czysta przyjemność.

Angela, dziecinko, zrozum, to tylko interesy.

Karen podsunęła się do Rossa. — Pamela, stara psico — zabełkotała. — Nie miałam pojęcia, że z ciebie taka baletnica. Hej, Buddy, ty zatańczysz z Pamelą, ja zabieram Rossa. — Sprytnie wcisnęła się pomiędzy tamtych dwoje i nagle Buddy znalazł się z Pamelą London w ramionach. Aż zakręciło mu się w głowie z wrażenia.

Uprzejmie uśmiechnął się od ucha do ucha. Ona zaś w odpowiedzi wyszczerzyła swoje końskie zęby.

—No, jazda, Elaine, jeżeli oni mogą, to my też, stara! — huknął George Lancaster, pociągając ją, żeby wstała.

Elaine zmusiła się do uśmiechu. Ta „stara” niezbyt przypadła jej do smaku. Karen wpiła się w Rossa; jak goniąca się suka przyciskała swoje krocze do jego nogi. Na oczach wszystkich gości.

Rób dobrą minę do złej gry, Elaine.

Odpieprz się, Etta.

—Chyba dostanę orgazmu na twoim kolanie — wychrypiała pijackim szeptem Karen do ucha Rossa.

—Pohamuj się, wszyscy patrzą — uciał opryskliwie, nie spuszczając czujnego oka z Sadie La Salle, która pochłonięta była rozmową z Shakirą i Michael'em Caine'ami.

—No i co z tego? — wybełkotała Karen.

—No i się opanuj.

—Opanuj... opanuj. — Uniosła nad głowę ramiona i zakołysała się niczym striptizerka.

—To moja dziewczynka! — wrzasnął George, porzucił Elaine i stanął przed córką.

Ross, bez najmniejszej ochoty po temu, nagle został tancerzem Elaine. I akurat w tej chwili obok nich, jak spod ziemi, wyrosła blondynka z Porsche'a, która witała go dzisiejszego ranka. Teraz rozpoznał w niej Sharon Richmond.

—A kogóż to odwiedzałeś dzisiaj tak wcześnie rano? — zachichotała. — Przyłapałam cię, prawda? — Znowu zachichotała. — Ja tylko żartuję, Elaine. Wiem doskonale, że w moim sąsiedztwie mieszczą się ze trzy gabinety dentystyczne.

Partner Sharon, widząc wściekłość w oczach Rossa, szybko odciągnął ją na bok.

Elaine zmrużyła oczy. — Ty sukinsynu! — syknęła. Ramię w ramię zeszli z parkietu.

—Ganiające kutasy! — oświadczyła dziewczyna o kręconych włosach i bynajmniej nie dziewczęcej czkawce.

—Wiesz, czego bym sobie życzyła? — zawtórowała jej przyjaciółka, elegancko ubrana brunetka z ciałem Bo Derek. — Chciałabym takiego gwiazdora, który by potrafił się pieprzyć!

Cóż za błyskotliwa rozmowa, pomyślała Montana. Kiedy muzyka znalazła się we władaniu Rika i Phila, a trzy godziny wlewania drinków zrobiły swoje, wszystko mogło się zdarzyć. Tylko nie jej samej. Gdyby się pojawił Neil, to może i ona nieźle by się bawiła. Ale jego nieobecność zaczęła ją niepokoić. Oliver nie wiedział, gdzie Neil się znajduje. Odnalazła więc jego sekretarkę, ale ta także o niczym nie miała pojęcia. I nagle do głowy Montany wkradła się myśl o tym, jak Neil prowadzi swojego Maserati. Szybko. Za szybko. Może miał jakiś wypadek.

kobiet i rewolucji seksualnej? Zabierał się do niej, jakby była byle kawałkiem dupci, którą słodkimi słówkami można zapędzić do sieci. Biedny Ross. Niczego się nie nauczył przez te wszystkie lata.

Szedł dalej tym śladem. — Pragnę ciebie, Sadie — szepnął. — Pragnę cię tak ogromnie, że jeśli tylko włożysz rękę pod stół, to sama to poczujesz.

Jak tylko Pamela odeszła od stołu, Oliver zerwał się na równe nogi i pospieszył do Angeli. — To ty, prawda? — powiedział, nachylając się ku jej krzesłu.

Otworzyła szeroko oczy. — Słucham?

—Pani jest tą dziewczyną z plaży. Proszę nie wmawiać mi, że to pomyłka. Wiem, że to pani.

—Och... tak.

- Wynająłem ludzi, żeby panią odnaleźli. Czy pani nie ma ochoty zostać gwiazdą?

—Ja... ja... — Pomyślała o rosnącym w niej dziecku Buddy'ego, daleko ważniejszym niż błyskawiczne zrobienie kariery. — Nie — odpowiedziała.

- Nie? — powtórzył, nie dowierzając własnym uszom.

—Nie — potwierdziła stanowczo.

—O co ci chodzi? Czyś postradała zmysły? Nikt nie odpowiada „nie” na możliwość stania się gwiazdą.

—A ja tak — oświadczyła drżącym głosem.

—Sadie, było nam razem tak wspaniale. Gdzie więc popełniliśmy błąd?

M y. Miał czelność powiedzieć m y. Co za sobek, co za megaloman z tego całego Rossa Conti.

Chyba nie było to dla niej niespodzianką?

Pomachała spóźnionym Warrenowi Beatty i Jackowi Nicholsonowi.

—Czasami budzę się w środku nocy — ciągnął Ross — i tak sobie myślę: dlaczego Sadie nie leży tutaj ze mną? Dlaczego nie ma jej obok? Z jej miękkim ciepłym ciałem i wielkimi, fantastycznymi cyckami.

Ten facet rzeczywiście nazywa to cyckami. Prosto z mostu. I spodziewa się, że ją to weźmie. Czyżby nie słyszał nic o ruchu wyzwolenia

— Życzę sobie, byś mnie odwiózł do domu — zażądała lodowatym tonem Frances Cavendish.

—Teraz, zaraz?

—Skąd. Wystarczy jutro rano. — Zmrużyła swoje świdrujące oczy. — Natychmiast, Buddy.

—Ależ przyjęcie dopiero się rozpoczęło.

—Dla nas właśnie się kończy.

Przez jedną szaloną chwilę pomyślał, czyby nie powiedzieć jej, że może się wypchać. No bo przecież on zagra w „Ludziach z ulicy”. Komu więc potrzebna jest Frances Cavendish? Ale przeważył zdrowy rozsądek. Postanowił odwiedzić ją do domu, wrócić na przyjęcie, odszukać Angelę i naprawdę, szczerze z nią porozmawiać.

—To chodźmy — powiedział, zadowolony ze swojej decyzji.

—Muszę się pożegnać z Contimi.

Na to właśnie liczył. Kiedy Frances dziękowała Elaine, pomknął do stolika Angeli, pochylił się nad jej ramieniem i szepnął: — Muszę gdzieś pojechać. Wracam za dwadzieścia minut i chciałbym wtedy z tobą pomówić. Bez żadnych fagasów, którzy wściubiają swój nos. Chociaż to jesteś mi winna, prawda?

Zmarszczyła brwi. — Nic ci nie jestem winna. Po tym, co mi powiedziała Shelly...

—Co ci powiedziała Shelly?

—Że ty i ona... — Zawahała się, niezdolna do powtórzenia słów tamtej. — Czy to prawda?

Przekłeta Shelly. Więc rozmawiała z Angelą i zataiła to przed nim?

—Co się dzieje, kochanie? — spytał kędzierzawy z lewej, już nie tak niepokalany, bardziej rozczochrany i zmięty. Angela zignorowała go. Odsunęła się z krzesłem od stołu.

—Zgoda, porozmawiajmy. Znajdźmy sobie jakieś ciche miejsce i...

—Buddy. Ja czekam — rozkazała podchodząc Frances Cavendish.

- Za dwadzieścia minut - - powiedział rozpaczliwie ochrypłym szeptem. — Odwiozę tylko to stare babsko do domu. To ma związek z biznesem, sama wiesz.

Angela smutno pokiwała głową. Buddy nie zmienił się. Cóż dobrego mogłaby przynieść rozmowa?

—Mówię ci, Montana. Ona byłaby w tym świetna. Lepsza niż każda z tamtych, jakie przetestowaliśmy. — Oliver mówił podekscytowanym tonem. -- Chcę, żebyś z nią pomówiła. Ciebie wysłucha. Kiedy...

—Co, według ciebie, mogło przytrafić się Neilowi? Czy może powinnam zadzwonić na policję? — przerwała mu niespokojnie.

—Straciłaś rozum? Ja opowiadam ci o doskonałej Nikki, a ty mi o policji.

—Niepokoję się o Neila.

—Jest już pełnoletni.

-Doprawdy? — Jej sarkazm zbrzydził go niczym łupież.

-Daj spokój. Zapomnij o Neilu. Sam potrafi o siebie zadbać. Ta dziewczyna ma na imię Angela, dasz wiarę? Sądzę, że powinniśmy nazwać ją Angela Angeli. Prasa to łyknie. No, chodź, Montana, powinnaś przemówić do rozumu temu dzieciakowi. Przecież każda chce zostać gwiazdą filmową.

Penis miał wciąż naprężony, wciąż pulsujący, ale rozkosz nie była już jego udziałem i żadne słowa nie mogły wypłynąć, by oznajmić światu, że Neil odchodzi.

Dwie kobiety wcale się nie zorientowały, że coś się stało. Bezwładny ciężar ciała Neila nie zaniepokoił Giny, po prostu podsycał jej chwile ekstazy. A potem, kiedy już oprzytomniała...

- Neil? — mruknęła. — Neil, proszę, rusz się, miażdżysz mnie. — Podniosła głos. — Neil? — Usiłowała go z siebie zepchnąć. — Przestań się wygłupiać, to nic zabawnego. Jęknął. — Ja... nie... czuję się... dobrze.

O, nie. Przecież nie mógł dostać zawału. Nie wtedy, kiedy na niej leżał. Nie w jej domu. Och, nie!

Wpadła w panikę. Starła się go zrzucić, na co jej pochwa zareagowała, zwierając się w przedziwny sposób. — Złaż ze mnie! — wrzasnęła Gina.

Ból w klatce piersiowej zelżał. Usiłował więc wysunąć się z kleszczy jej wilgoci.

Najbardziej niezwykle uczucie pod słońcem. Nie mógł stamtąd wyjść. Penis tkwił jakby w okowach imadła.

—Gina, coś jest niedobrze — wymamrotał słabo.

- To odetnij się, Neil — warknęła wściekle.

Ach, gdyby tylko mógł!

Miał orgazm. Gęste, słone strugi esencji życia.

A Siu-Ling podsunęła mu pod nos małą ampulkę azotynu.

Toteż spuszczał się i spuszczał, i spuszczał.

Słodkie pragnienie życia. Nie kończący się orgazm... nirwana... raj... błogość.

A potem ten ból. Tak nagły. Tak niespodziewany. Piorun agonii, który schwycił w kleszcze jego klatkę piersiową i przesunął się w dół po jednym boku z morderczym natężeniem.

— Och, dobry Boże — jęknął. A przynajmniej tak mu się zdawało, gdyż nie słyszał własnych słów.

— Jedną rzecz zapamiętałem, kotku, i nigdy o niej nie zapomnę. Nigdy w życiu nie zetknąłem się z kimś, kto by zrobił dla mnie tyle, co ty. Masz chyba to samo wrażenie, prawda?

Sadie w pewien sposób pragnęła, by się zamknął. Ale jednocześnie delectowała się każdą minutą tego fałszu.

— Czy nigdy nie myślałaś, że to, co było między nami, było najlepsze? — nalegał Ross, marząc o tym, by Phil i Ric przyciszyli te swoje cholerne głośniki. Wrzaskliwa muzyka rockowa niespecjalnie nadawała się do nawiązania romansu. Ale mimo to miał wrażenie, że i tak idzie mu całkiem nieźle. Nie zmusił dotąd Sadie, by położyła dłoń na jego ptaszku, lecz i tak była pełna uwagi. Chłoneła każde słowo płynące z jego ust. — No i co? — Za wszelką cenę chciał wydrzeć z niej odpowiedź. — Czy ktoś był dla ciebie lepszy?

Wiedziała, do czego Ross zmierza, więc zdecydowała, że już czas zakończyć to żalosne przedstawienie. — Czy chcesz, żebym została twoim agentem?

— Co takiego? — Udał absolutne osłupienie.

- Spytałam, czy chciałbyś, żebym cię znowu reprezentowała.

— Sadie... mnie naprawdę nie o to chodziło.

- Chodziło ci o to już parę lat temu. Pamiętasz, na przyjęciu Foxa?

Roześmiał się niedbale. Nie mógł się oprzeć pokusie spróbowania

szczęścia. - - Tak, przypominam sobie. Poradziłaś mi, żebym się odczepił, czy coś w tym guście.

- Ściśle mówiąc, powiedziałam ci, że gdybym polegała na tobie, że zapewnisz mi jeden ciepły posiłek tygodniowo, to umarłabym z głodu. — Jak gdyby sam tego nie pamiętał.

—Naprawdę?

—Od tamtej pory zmięklam.

—Mam nadzieję.

- No więc, chcesz zostać moim klientem czy nie?

Udał, że się waha. — Jestem zadowolony ze swojego obecnego agenta.

—Cóż, szkoda. W takim razie...

- Nie, nie. Nie aż tak zadowolony. I uważam, że jest coś, co tylko ty mogłabyś dla mnie załatwić.

—Doprawdy?

—Tak. To...

- Nie teraz, Ross. Może byś przyszedł jutro do mojego biura? Czy piąta ci odpowiada?

Odpowiadała mu. Ale czy to w porządku, żeby przychodził do jej biura niczym zwykły petent? Czy nie powinno to odbyć się przy lunchu w Ma Maison albo w Bistro Gardens? Czyż to nie ona, agent, powinna o niego zabiegać?

Zapomnij o tym. Kogo ty oszukujesz? Ta gra polega na przeciągnięciu jej na swoją stronę. Nie zaś na pieszczotkach nad sałatką z kurczaka i pękaniu z dumy, ponieważ sala pełna wypierdków może zobaczyć, że siedzisz z samą Sadie La Salle.

—Znakomicie — odparł.

—Świetnie — zdecydowała wstając. — A teraz musisz mi wybaczyć. Powinnam poświęcić nieco czasu George'owi.

Patrzył za nią, jak odchodzi.

Nie było znowu tak trudno omotać cię na powrót, Sadie. Możesz sobie być twardą babką, ale przy mnie wciąż jesteś miękka jak wosk.

Ciężki łomot muzyki disco przycichł i parkiet wypełnił się mocno przytulonymi do siebie parami. Samotny reporter zdołał dostać się na teren i wdrapać na drzewo, gdzie

przywarł do gałęzi, zdecydowany za wszelką cenę zdobyć kilka zdjęć, nim ochrona ściągnie go na dół i wyrzuci.

Przez sekundę Ross pomyślał o Małym S. Schortzie. I o jego kompromitujących fotografiach. Karen miała mnóstwo forsy. Może więc ona poczuje się zobowiązana do odkupienia tych negatywów.

Rozejrzał się dokoła. Wyglądało na to, że wszyscy się znakomicie bawią. Było już po północy, a nikt nawet nie okazał chęci ruszenia się do domu. Właściwie Hollywood to miasteczko, które chodzi spać z kurami, więc godzina dwudziesta czwarta to bardzo późno. Najwyraźniej przyjęcie Elaine odniosło wielki sukces.

Przez chwilę myśli Rossa pobiegły ku żonie. Co ona sobie wyobrażała kradnąc tę bransoletkę? Czyżby postradała zmysły? Czy nie pomyślała o konsekwencjach? Musiało to jej dać po nosie. Nie ma dwóch zdań.

A swoją drogą, gdzież ona się teraz podziewa? Jego oczy wytropiły ją przytuloną w tańcu do jakiegoś tuzinkowego supermana. Pieściły ich seksualne obietnice piosenki Teddy'ego Pendergrassa. Ross pochylił się nad stołem do Maralee. — Z kim to Elaine tańczy?

Maralee zerknęła w tamtą stronę. — Och, to Ron Gordino, nasz instruktor gimnastyki. W głowie Rossa odbiły się echem słowa Karen. „Myślę, że Elaine bawi się w doktora”.

Wbił uważny wzrok w splecioną parę. Czy to złudzenie wywołane światłem, czy ten pętał pieści jej ucho?

Niemożliwe. Elaine była jego żoną. Nigdy nie odważyłaby się puszczać.

A może jednak tak?

— Chyba będziemy musiały już iść — oznajmiła pani Liderman. — Biedny mały Frowie pewnie zastanawia się, co się stało z jego mamusią.

Angela bezradnie rozejrzała się dokoła. Buddy przyrzekł wrócić za dwadzieścia minut, a upłynęła już cała godzina. Najwyraźniej przestało mu na niej zależeć, tak jak mówiła Shelly.

Oczy Angeli zachmurzyły się. Uprzytomniła sobie, że musi o nim raz na zawsze

zapomnieć i być silna. — Jestem gotowa, kiedy tylko pani zechce — odpowiedziała zdecydowanym tonem.

- Nie muszę się pytać, czy dobrze się bawiłaś — zauważyła wesoło pani Liderman. -
- Obserwowałam cię, znajdowałaś się w centrum uwagi.

Angela uśmiechnęła się z wysiłkiem. Proszono ją, by zagrała w filmie, i im bardziej stanowczo odmawiała, tym bardziej ją namawiano. Oliver Easterne posunął się nawet do tego, że przyprowadził autorkę scenariusza. — Czyż to nie jest Nikki? — nalegał. — A tamta kobieta zmrużyła oczy i powiedziała: — Może... jeśli potrafi grać.

- Ale mnie to zupełnie nie interesuje — zaprotestowała Angela. Interesuje czy nie, Oliver Easterne domagał się, by zatelefonowała do niego jutro rano. Zgodziła się wreszcie, choć wcale nie miała zamiaru dotrzymać słowa.

Pani Liderman oznajmiła: — Nie będziemy się żegnać. Nienawidzę mówić „do widzenia”. A poza tym, jutro jem lunch z Pamelą.

Na podjeździe szofer pani Liderman czekał już przy drzwiach jej kremowego Rolls-Royce'a.

Angela zatopiła się w luksusowym siedzeniu, a samochód gładko pokonywał podjazd. Gdyby wyglądała przez okno, może by zobaczyła znękanego Bud-dy'ego płacącego taksówkarzowi przy krawężniku. Buddy miał zaledwie tyle pieniędzy, by starczyło na uiszczenie taksy, za mało jednak, by wrócić do mieszkania Randy'ego. Co za wieczór! Nowy gwiazdor filmowy tego miasta jest splukany. Popędził w gąszcz gości z niepokojem szukając Angeli. Metodycznie chodził od salonu do salonu, sprawdził gościnną łazienkę, parkiet, stoliki na dworze. I nie odnalazł jej. Typowe jego szczęście, że Pontiac wybrał sobie akurat dzisiaj wieczór, by definitywnie się rozkraczyć. Na szczęście już po tym, jak Buddy umknął od rozwścieczonej Frances, która na progu swojego domu oświadczyła mu, że mimo wszystko nie wydaje jej się, by pasował do tego filmu Universalu. — Pomyliłam się — powiedziała, spodziewając się, że to go załamie.

- Czasami tak się zdarza — rzucił beztrosko.

Frances ogarnęła furia. Ograbił ją z chwili mściwego triumfu.

Na próżno szukał swojej pięknej Angeli. Mogła przynajmniej tyle dla niego zrobić, żeby poczekać. Nie dowiedział się nawet od niej adresu czy numeru telefonu. Jak mógł pozwolić jej zniknąć po raz drugi? Co z niego za kretyn!

Ale przecież — ona usunęła ich dziecko. Zrobiła to nie mówiąc mu ani słowa. Zdeptała go.

Podszedł do baru i łyknął wody mineralnej Perriera.

— Ach — przytoczyła się Karen Lancaster. — Jesteś tutaj... dan-serze. Chodźmy, przystojniaku. Zatańczymy tak, że wszystkim wyjdą oczy na wierzch.

Montana czuła, że to idiotyzm dzwonić na policję. Ale zamknęła się w sypialni Contich i mimo wszystko zatelefonowała na posterunek w Beverly Hills. Nie mieli jej nic do powiedzenia, więc jeszcze raz spróbowała połączyć się z domem. Bez skutku, tak samo zresztą, jak w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Neil jest dorosły, może sam o sobie zadbać, powiedział Oliver. Może Oliver jednak wie, gdzie on jest?

Przez chwilę siedziała nieruchomo, zbierając myśli.

Tak. Oliver wie. Musi wiedzieć. Dlatego wcale się nie niepokoi.

Przyłapała Olivera.

—Dobra, daj sobie siana z bzdurami. Gdzie on jest?

—Co się z tobą dzieje? Nie mam pojęcia.

—Masz pojęcie. I jeżeli mi zaraz nie powiesz, zrobię piekielną scenę. Chcesz tego? Tutaj? Dziś wieczór? W obecności drogiego starego George'a i twojej nowej przyjaciółki Pameli?

—Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś zazdrosną żoną.

—Zazdrosna żona. Ha! Chcę się po prostu upewnić, czy mój stary nie leży gdzieś w szpitalu. Potem zmywam się z tego przyjęcia dla bogaczy i idę spać. — Umilkła na chwilę, mierząc go rozwścieczonym wzrokiem. — Ja nie jestem taka jak ty, Oliver. Nie muszę się wszystkim podlizywać. Ja mogę wrócić do domu. Więc gdzie on jest? Oliver cierpiał. Wrzody pulsowały skurczami bólu. Hemoroidy paliły żywym ogniem.

A scena z ordynarną bogatą żoną George'a Lancastera przynajmniej przez dwa dni będzie go skręcała ze wstydu.

I nade wszystko nie mógł znieść kontaktów z Montaną. Miał już scenariusz. Nie potrzebował jej ani chwili dłużej. I swoją drogą, dlaczego ma osłaniać Neila? Ten pętał nie pofatygował się nawet, by wziąć udział w przyjęciu na cześć gwiazdora jego filmu.

—Miał spotkanie z Giną Germaine — oznajmił, delektując się tą chwilą. — Kto wie? Może się to spotkanie przeciągnęło.

Montana wbiła w niego swoje tygrysie, lodowate teraz niczym Syberia oczy. — Dziękuję ci — powiedziała zimno.

—Cała przyjemność po mojej stronie.

—Wiesz co, Oliver? Jesteś chuj. I do tego wszystkiego jeszcze śmierdzisz. Dosłownie.

— Odmaszerowała wściekłym krokiem, podczas gdy Oliver usiłował powąchać się ukradkiem pod pachami.

Przyląpała go na tym Pamela London zmierzająca w stronę toalety.

—No, no! — krzyknęła, jej donośny głos odbił się echem po całym pokoju. — Słyszałam już o świrach, ale z ciebie to naprawdę kompletny czubek.

Taniec z Karen Lancaster był kopniakiem, jakiego wcale nie potrzebował. Była i pijana, i naćpana. I wykorzystywała go, by wzbudzić zazdrość w Rossie Conti. Nie chciał być niegrzeczny. Przecież, zanim się związał z Angellą, byłby uszczęśliwiony spotykając Karen. Ale teraz — co mu po tym? Nie był Randym Felixem, patrzącym tylko, jak by tu złapać bogaczkę. Był samym sobą. I przyrzekł sobie coś: bez względu na to, jak ułożą się sprawy między nim a Angellą, już nigdy nie będzie się sprzedawał. Szacunek dla samego siebie i prawda — oto, | według jakich reguł miał teraz żyć.

Karen przysunęła się bliżej. Jej zabiegi nie wywarły na Rossie najmniejszego wrażenia, a to się jej nie podobało. — Właściwie jak ci na imię? — zabelkotała, przyciskając swoje spocone ciało do białej marynarki Buddy'ego.

—Buddy Hudson — przedstawił się, odsuwając ją delikatnie.

—Buddy co? — Uwiesiła się na nim, chwytając klapy marynarki dla podtrzymania

równowagi. — Może chcesz do mojej budy, Buddy?

Taki błysk dowcipu aż zgiął ją w pół. A kiedy się zanosila śmiechem, Buddy zauważył Randy'ego i Maralee siedzących przy prawie pustym stoliku i pogrążonych w rozmowie. Nakierował w tamtą stronę Karen i usadził ją na krześle.

- Karen! — zawołała Maralee, zadowolona, że ktoś im przerwał. — Wygląda na to, że nie zaszkodziłaby ci filiżanka mocnej czarnej kawy.

Do diabła z kawą — bełkotała Karen. — Sama wiem, czego mi najbardziej trzeba. — Obróciła się do Buddy'ego. — Siadaj.

Uczynił to, starannie omijając wzrok Randy'ego.

— Tego... niech pomyślę — ciągnęła Karen. — To Maralee... i jej przyjaciel... jak mu tam...

—Randy Felix — podpowiedziała Maralee, bawiąc się nerwowo łyżeczką.

—Jak ja mogłam zapomnieć takie imię jak Randy — chichotała Karen. — Jak ci leci, słodziutki?

Maralee zmarszczyła brwi. — Karen... — zaczęła.

—Przepraszam. Nie powinnam pytać, jak Randy'emu leci. — Złapała za rękaw przechodzącego kelnera. — Wódki. Z lodem. Piorunem.

—W roztargnieniu zapomniała puścić marynarkę kelnera i Buddy musiał przy użyciu siły odgiąć jej palce.

Popatrzyła na niego z namysłem. — A to Bud — oznajmiła. — Jest danserem.

—Witam — powiedziała uprzejmie Maralee.

—Miło cię poznać — rzucił chłodno Randy.

Karen spojrzała najpierw na Buddy'ego, potem na Randy'ego.

—A ja myślałam, że wy dwaj się znacie. Czy nie widziałam was razem w Ma Maison?

—Nie — warknął Randy.

Buddy nie pragnął zadrażnień. Zerwał się na nogi. — Musicie mi wybaczyć — powiedział. — Umówiłem się z kimś i ona prawdopodobnie mnie teraz szuka.

—Jasne — odezwała się niewyraźnie Karen. — Lepiej gnaj ją znaleźć. Zadzwoń do mnie kiedy, Bud.

—Na pewno.

Uciekł stamtąd wzdychając z ulgą.

George Lancaster gotował się do wygłoszenia mowy. Montana zdecydowała, że już najwyższy czas, by stąd wyjść. Kotłowało się jej w głowie. Neil i Giną. Neil ją zdradza.

Niech go szlag trafi.

A może to nieprawda.

W progu złapał ją Buddy Hudson. — Wychodzisz?

—Uhm.

—Załapię się na podwiezienie?

—A gdzie twój samochód?

—Zdechł na Sunset.

—Gdzie mieszkasz?

—Niedaleko Stripu.

—No to chodźmy.

Już miał podążyć za nią, gdy przekraczała próg, kiedy zatrzymał go widok Wolfie'ego Schweickera wychodzącego z toalety dla gości.

Trochę szczuplejszy, z inną fryzurą, ale nie mogło być żadnej pomyłki — te same małe wredne oczka, ta twarz jak księżyc w pełni, te same ostre zęby wychylające się zza mięsistych warg.

Tłuścioch — grubas z tamtego przyjęcia! Sprzed dwunastu lat. Zmasakrowane ciało Tony'ego w szufladzie kostnicy.

Zadrzał, wspomnienie to było wciąż zbyt bolesne.

Wolfie musiał poczuć na sobie jego wzrok, gdyż spojrział przez ramię i mylnie biorąc owo spojrzenie za seksualne zainteresowanie, po-]

wiedział: — Heeej!

—No to chcesz, żeby cię podwieźć, czy nie? — W progu pojawiła się znowu Montana. Miała drżący z napięcia głos.

Buddy zmusił się, by oderwać oczy od Tłuściocha. Pewnie się pomylił. To nie mógł

być ten sam facet. A dlaczego nie?

Pospieszył za Montaną. — Kim był ten gość? — spytał niecierpliwie.

—Jaki gość?

—Ten w hallu.

Zmarszczyła brwi. Myślni była daleko stąd. — Wolfie Jakośćam... Wolfie... a, tak, Wolfie Schweicker. Cały czas kręci się przy Bibi Sutton.

—Wolfie Schweicker — Buddy powoli powtórzył to nazwisko.

Chciał je sobie wryć w pamięć.

George Lancaster wstał, zastukał w kieliszek od szampana i huknął:

—Proszę o chwilę ciszy dla gwiazdora.

Całe zgromadzenie posłusznie się podporządkowało.

—Chcę coś oświadczyć — powiedział.

Rozległo się kilka udawanych jęknięć i miauknięć.

Nudziarstwo! — wrzasnęła na cały głos Pamela. Ocienione namiotem patio rozbrzmiało huraganem śmiechu.

Nie zwracajcie uwagi na tę starą krowę — zagrzmał George.

już dawno temu powinienem był odesłać ją na pastwisko!

Śmiech jeszcze głośniejszy.

—A mówiąc poważnie, rodacy — ciągnął George. — Naprawdę miło było mi dziś wieczór ujrzeć wszystkich starych przyjaciół... niektórych nieco starszych, niż pamiętam. — Salwa śmiechu. — Ale w zasadzie wszystko w porządku, czymże jest peruka i sztuczna szczeka między przyjaciółmi?

Wszyscy pokładali się ze śmiechu.

—Pewnie jesteście ciekawi, co znowu robi w tym mieście Kapitan? Dlaczego nie siedzi na tyłku z tym starym, nadzianym babskiem, swoją żoną, w Palm Beach? I naprawdę chcecie się tego dowiedzieć, co?

—Skracaj się — zatrzeszczała Pamela, bawiąc się każdą chwilą.

—A więc wracam przed kamery! — ryknął George. — Wiecie, co to znaczy? To to

samo, co Frank robi raz do roku!

—Znakomicie! — ktoś krzyknął.

—Kręcę film dla moich przyjaciół: Olivera Easterna i Neila Graya, gdyż Neil wmówił Pameli, że się będzie tutaj świetnie bawiła, a Oliver złożył mi taką ofertę, że nawet ja nie potrafiłem odmówić. A poza tym, nie mogli skaptować Burta, więc...

Huczał dalej, ale ani Elaine, ani Ross nie słuchali. Wymienili między sobą osłupiałe spojrzenia. George Lancaster kręci „Ludzi z ulicy”? George Lancaster, który według słów jego kochającej córki Karen już kilka miesięcy temu odrzucił tę propozycję? A oni wydali dla niego przyjęcie. Co więcej, wydali majątek, na co nie bardzo mogli sobie pozwolić — i z jakim skutkiem?

Elaine nie mogła uwierzyć. Chciała po prostu się poddać i schować do łóżka.

Ross był nawet bardziej otumaniony. Wiedział, że to jego rola. Wmówił sobie, że tylko on potrafi ją prawdziwie zagrać, tak jak powinna być zagrana. I z Sadie La Salle po jego stronie...

Gorzkie rozczarowanie, jakie nim owładnęło, było prawie że namacalne.

Pokład samolotu linii American Airlines był zatłoczony, ale Millie wcale to nie przeszkadzało. Po raz pierwszy w życiu leciała, więc była tym ogromnie podekscytowana.

Leon także był podekscytowany. Ale z zupełnie odmiennych powodów.

Zgranie w czasie było zadziwiające. Czekasz i czekasz, aż się coś wydarzy, i nic. Więc zajmujesz się czymś innym, robisz inne plany — i bęc!

Komputer podał dwa raporty. Pierwszy o podwójnym morderstwie w Pittsburghu. Kurwa i jej alfons zaszlachtowani na śmierć. A drugi raport mówił o autostopowicze z Teksasu, na której ciele doliczono się dwudziestu ośmiu ran kłutych.

W obu wypadkach Dekę Andrews zostawił swoją wizytówkę — odciski palców.

Leon pragnął odłożyć wakacje i zająć się tym nowym rozwojem wypadków. Ale nie mógł zrobić tego Millie, to byłoby zbyt okrutne.

Do Pittsburgha i do Teksasu skierowano więc młodego detektywa nazwiskiem Ernie Thompson, aby zbadał nowe ślady. Wyniki tego miał przekazać Leonowi,

gdziekolwiek by się akurat znajdował. Nie było to najbardziej zadowalające rozwiązanie — oczywiście Leon wolałby sam odbyć te podróże — ale w tych okolicznościach jedyne.

— Nie mogę uwierzyć, że już jesteśmy w drodze. — Millie uściśnęła mu ramię i pocałowała go w policzek.

Na jej czułość odpowiedział czułością. Byli w drodze, zgoda — wyglądało na to, że podążają dokładnie w tym samym kierunku co Dekę Andrews.

Tkwili we wzajemnym potrzasku. Giną Germaine, druga co do popularności blondynka Ameryki, i Neil Gray, szanowany i uznany reżyser filmowy.

Giną, niczym ryba na ruszcie, bez przerwy skowycząca.

Neil ledwie jęczący. Złapany w pułapkę przez obiekt swoich pożądań niczym mucha w pajęczynę modliszki, czuł się dziwnie odrealniony i słaby. Ból, który go wtedy powalił, zelżał, ale Neil przeraził się jego intensywnością. A sytuacja, w jakiej się znalazł, przejmowała go zgrozą. Był rozgorączkowany, wyczerpany. Zbyt zmęczony, by uczynić cokolwiek innego, jak leżeć bezwładnie na Ginie i czekać, aż wypuści go z tej śmiertelnej, kobiecej pułapki.

Siu-Ling, już nie taki słodki i uczynny obiekt seksualny, zrobiła wszystko, co w jej mocy, by ich rozdzielić. Wszystko — a więc oblała ich dolne części ciała lodowatą wodą, masowała jak szalona pośladki Neila i posmarowała obficie wazeliną ich narządy rodne. Bez skutku.

—Cholera jasna, Giną — warknęła Siu-Ling, która nagle nabrała ostrego akcentu nowojorskich ulic. — Przestań histeryzować i powiedz mi, co chcesz, bym zrobiła.

- O, Boże — zawodziła Giną. — Czymże ja sobie na to zasłużyłam? — Wierciła się z niewygody. Neila trudno byłoby nazwać lekkim. Miała takie wrażenie, jakby ktoś wepchnął w nią zimny ogórek i tam go zostawił. Wiedziała, że jeśli szybko się tego nie pozbędzie, to oszaleje.

—Może wezwę pogotowie — zaproponowała Siu-Ling.

—Och, na miłość boską! — jęknęła Giną. — Wystawilibyśmy się po wsze czasy na pośmiewisko. Spróbuj jeszcze raz zimną wodą. Boże! Zrób coś!

Mały Volkswagen pędził ulicami niczym rakieta. Kiedy dotarli do Sunset i Montana przecięła Benedict Canyon, zamiast skierować się w stronę Hollywoodu, Buddy odezwał się: — Hej, zdaje się, że zapomniałaś skrócić.

— Nie, wcale nie — odpowiedziała bezbarwnym głosem. — Chcę po prostu coś sprawdzić. Nie masz nic przeciwko, prawda?

A jak mógłby mieć? To przecież ona siedziała za kierownicą.

Samochód z rykiem silnika pokonał Benedict, potem skręcił ostro w prawo do Tower Road, jeszcze gwałtowniej w prawo do San Ysidro Drive, wreszcie zwolnił i zatrzymał się na ulicy przed ciężką, kutą w żelazie bramą.

Montana zgasiła silnik, z pełnej paczki wytrząsnęła papierosa, zapaliła go, zaciągnęła się głęboko i powiedziała: — Chciałabym, żebyś mi wyświadczył pewną przysługę.

Zgodnie pokiwał głową. — Dla ciebie: wszystko.

— Słuchaj, głupio mi prosić ciebie o coś takiego — zawahała się. Nie miał bladego pojęcia, czego od niego chce. Miał nadzieję, że nie łóżka. Była piękną kobietą, ale miało jej na nim zależeć z powodu jego talentu, a nie seksu.

— Co chcesz, bym zrobił?

Zaciągnęła się i popatrzyła niewidzącym wzrokiem przez okno samochodu. — Przedostań się przez tę bramę, zajrzyj na podjazd i do garażu tego domu. Sprawdź, czy gdzieś tam nie jest zaparkowany srebrny Maserati.

Przemyślał jej prośbę. Jakim cudem miał przeleźć przez bramę? Górą? Nawet jeżeli mu się uda, mogą go wziąć za włamywacza (co o pierwszej w nocy było jak najbardziej prawdopodobne) i postrzelić. I do tego wszystkiego było powszechnie wiadomo, że większość obywateli Beverly Hills jest uzbrojona po zęby w obawie przed rewolucją.

— Hej, posłuchaj... — zaczął.

— Do niczego cię nie zmuszam — powiedziała apatycznie.

— A swoją drogą, czyj jest ten dom? — spytał, grając na zwłokę, aż wszystko sobie ułoży.

— Giny Germaine.

Ależ on ma parszywe szczęście. Dom gwiazdy filmowej. Na jej progu pewnie śpi cała armia goryli.

—Dobra — zgodził się z ociąganiem. Przecież Montana dała mu rolę Vinnie'ego. Musiał więc się jej czymś odwdzińczyć.

Oliver Easterne prowadził lśniącego, angielskiego Bentleya, rocznik 1969, znakomity dla samochodów tej marki. Wóz był niepokalany." I I taki właśnie powinien być, gdyż nie korzystał z niego, tylko trzymał go pod fabrycznym pokrowcem w garażu na cztery auta w wynajmowanym przez siebie domu. Trzy posesje na prawo od Bibi i Adama Suttonów. Bentley był z nim od swojego zarania. Prosto z fabryki do ; rąk Olivera Easterne'a. Nieskalany samochód dla nieskalanego mężczyzny.

Przebiegł w myślach miniony dzień. Zepsuła go Pamela London. I, oczywiście, Montana. Obie były zbyt cwane. Jeżeli stało Montana--Neil rozleci się z powodu informacji, jaką jej podsunął — tym lepiej. On w każdym razie będzie tym zachwycony. Jak Montana miała czelność odzywać się do niego w taki sposób? Nazwać go przy wszystkich wazeliniarzem? Czyżby nie wiedziała, że to się wiąże z jego zawodem?

Jesteś producentem, jesteś wazeliniarzem. W tym mieście ze świecą przyszłoby szukać producenta, który zyskałby coś bez podlizywania się.

Początek dnia nie był taki najgorszy. Plusem było podpisanie z Giną Germaine angażu na nowy film w reżyserii Neila. Oliver nie mógł doczekać się ujrzenia miny Montany, kiedy usłyszy taką nowinę.

Dojechawszy do domu wziął prysznic, zażył gęsty, mleczny płyn na wrzody, a także użył preparatu H, żeby ulżyć drugiemu końcowi swojego przewodu pokarmowego. Potem nałożył czystą, jedwabną piżamę oraz siatkę na swoje rzadniejące loki i wsunął się do łóżka myśląc o Angeli. Jej nie zepsuta piękność i świeżość tak pasowały do roli Nikki. Musi namówić ją na tę rolę. Po prostu, idealnie do niej pasowała.

Zasnął, wciąż pełen myśli o Angeli.

Buddy oceniał wzrokiem żelazną bramę. Na szczycie miała kolce, była wysoka przynajmniej na dziesięć stóp. — Cholera — wymamrotał, zdejmując białą

marynarkę, składając ją pieczołowicie i kładąc na ziemi. Ponownie przyjrzał się bramie. Z obu stron otaczał ją wysoki na jakieś szesnaście stóp, gęsty, nie do pokonania żywopłot. Brama otwierała się elektronicznie. Można ją było pokonać tylko górą.

Potem zauważył przytwierdzone z obu stron tabliczki. Na pierwszej widniało: UWAGA, ZŁE PSY. Na drugiej: ZABEZPIECZENIE SYSTEMU WESTEC.

—Co ja tutaj robię? — mamrotał, wyobrażając sobie taką scenę: Buddy Hudson przedostaje się do środka i kończy w paszczy jakiegoś dobermana. Albo jeszcze gorzej — zostaje zastrzelony.

Pospieszył z powrotem do samochodu, w którym samotnie, w ciemnościach siedziała Montana.

—Tam są psy i uzbrojeni goryle — oświadczył wzburzony.

—Nie zwracaj uwagi na ostrzeżenia. Wszyscy je sobie przyczepiają.

Znakomicie. Piękne dzięki, Montana. To nie ty ryzykujesz własny tyłek.

Niechętnie zawrócił ku bramie i czym prędzej zaczął się wspinać do góry. Na szczęście styl Art Deco ułatwiał wspinaczkę, choć kolce na szczycie sprawiły pewien kłopot. Poczuł, że rozdarł sobie spodnie, co doprawdy go rozżłościło. Mamrocząc przekleństwa przelazi na drugą stronę.

A tam zobaczył pnący się w górę podjazd, oświetlony rozwieszonymi w jednakowych odstępach lampami o zielonkawym świetle. Buddy puścił się sprintem, trzymając się pobocza, wstrzymując oddech i modląc się do Boga, żeby nie dane mu było stanąć oko w oko z czujnym owczarkiem alzackim.

Przyszło jej nagle do głowy, że jedyną osobą, która by mogła pomóc, był Oliver. Jeżeli on nie potrafi trzymać języka za zębami, to już chyba nikt. Reżyser jego filmu. Gwiazda następnego. Chryste, był za nich odpowiedzialny. Po co istnieją producenci, jak nie po to, by wyciągnąć cię z matni?

—Zadzwoń do Olivera Easterne'a — jęknęła do Siu-Ling, już ubranej i gotującej się do wyjścia.

—Do kogo? — spytała bezczelnie Siu-Ling.

—Natychmiast! — wrzasnęła Gina. — Nie wypytuj mnie! — Pchnęła ciężkie ciało Neila, uderzyła go w pierś i znowu jęknęła. Oddychał z trudem. Zemdlał, a to naprawdę doprowadziło ją do furii. To o n a uwięzła pod nim. A on nic jej nie pomagał, tylko zwałił się na nią swoim masywnym cielskiem. — Wezwij lekarza — wykrztusił, nim stracił przytomność. Kretyn z Wysp Brytyjskich. Czy on naprawdę spodziewa się, że ona, Gina, pozwoli lekarzowi zobaczyć ich w takiej sytuacji? — Numer Olivera Easterne'a jest w notesie na moim biurku, zadzwoń tam, proszę. Kiedy się z nim połączysz, podaj mi słuchawkę. Chyba umieram!

—Oszczędź to sobie dla filmu, siostró — mruknęła Siu-Ling.

—Co? — zakrztusiła się Gina.

—Drobiazg — odparła Siu-Ling, odnajdując numer telefonu Olivera. — Mam nadzieję, że ten fagas jest w domu, bo ja się zmywam.

—Ty co robisz? — zachłysnęła się rozwścieczona Gina. — Pograżyłaś się w tym po uszy, na równi ze mną, ty chińska cipo!

—Nie jestem Chinką, jestem Azjatką. — Siu-Ling uśmiechnęła się zagadkowo. Nie miała wątpliwości, że w tej samej chwili, w której pojawi się Oliver, ona sama zniknie. Tego rodzaju przygoda odbija się ujemnie na interesach, a w przypadku Siu-Ling interesy zawsze stały na pierwszym miejscu.

Przyjemne sny Olivera zakłócił dzwonek telefonu.

— Oliver! — sapnęła rozhisteryzowana Gina Germaine. — Potrzebuję ciebie! Natychmiast przyjeżdżaj!

Oliver Easterne ubrał się pospiesznie, nałożywszy ciemnoniebieski kaszmirowy sweter, dzinsy o nienagannych kantach i włoskie półbuty. Jego włosy jednak znajdowały się w lekkim nieładzie — na uczesanie się potrzebowałby więcej czasu.

Histeryczny telefon Giny wyprowadził go z równowagi. Telefony w środku nocy były szczególnie złowieszcze, ten zaś nieuchronnie musiał być podobny do reszty. Szybko pokonał opustoszałe ulice Beverly Hills, po drodze połykając Maalox, przeklinając i jednocześnie zastanawiając się, co się stało.

U szczytu podjazdu znajdowała się rezydencja w stylu hiszpańskim. Na kwadratowym

dziedzińcu. Z każdego prawie okna jarzyły się światła. Odszukanie srebrzystego Maserati nie zabrało Buddy'emu zbyt wiele czasu. Zaparkowano go na widoku, dokładnie przed samym frontowym wejściem. Trzymając się w cieniu, Buddy gotował się do odwrotu.

Któregoś dnia i on stanie się właścicielem takiego domu strzeżonego przez psy i ochronę. Któregoś dnia. Niebawem. Tylko że on przynajmniej jest pewny, że jego psy zostaną spuszczone i złapią każdego nieszczęsnego łazika, który przejdzie górą przez jego bramę.

Biegł klusem w dół podjazdu, czując, jakie szkody poczynił w spodniach. Rozdarcie długości co najmniej dziesięciu cali. Zmęł w ustach cisnące się następne przekleństwa.

Śmiertelnie przeraził go szmer elektrycznie otwieranej bramy. Stał jak wryty. Potem podjazd rozjaśniły światła samochodu, pędzącego z najwyższą szybkością. Ledwo zdążył uskoczyć w krzaki, przewrócił się na prawe ramię i stłukł je dotkliwie. Jęknął. Ziemia była wilgotna od nieustannego podlewania; wpadł prosto w błoto.

Usłyszawszy szczekanie psa zamarł.

Na dzwonek do drzwi otworzyła maleńka, delikatna Azjatka.

Oliver lubił ludzi Wschodu. Oni wiedzieli, gdzie ich miejsce. — Oli-ver Easterne — przedstawił się z szacunkiem. — Pani Germaine telefonowała po mnie.

—Gdzieś się pan, do cholery, podziewał? — spytała opryskliwie ta, bynajmniej nie delikatna, Azjatka. — Idź pan za mną.

Wytrącony z równowagi takim powitaniem, podążył za nią w górę schodami do sypialni. A widok, jaki tam ujrzał, замуrował go, mówiąc oględnie. Giną Germaine — amerykański symbol superseksu — rozkraczona niczym wielka, biała plaża. Na niej zaś kołysał się wystawiony na pokaz, goły, owłosiony tyłek Neila Graya.

—Święci pańscy! — wyrwało się Oliverowi. — Wyciągnęliście mnie z łóżka tylko po to, żebym podziwiał, jak się we dwoje pieprzycie? Widziałem już wcześniej takie rzeczy, tyle że aktorzy byli o klasę lepsi.

—Ty kutasie! — wrzasnęła Giną, zbierając wszystkie siły. — Zrób coś, do jasnej

cholery! To ty jesteś producentem!

—Szukam kobiety — powiedział Dekę bezbarwnym głosem.

Pulchna kobietka w szkarłatnym swetrze i w czarnej, krótkiej spódnicy, z małym dzieckiem siedzącym okrakiem na jej biodrze, spytała z rozbawieniem: — A któż nie szuka?

Stała w progu swojego zniszczonego domu i czekała, aż Dekę powie coś jeszcze.

—Pani Carrolle — odezwał się, szperając w poszukiwaniu swojego skrawka papieru. Chociaż na pamięć znał, co tam było napisane.

—CARROLLE — powtórzył powoli, literując.

Kobieta z zastanowieniem pokręciła głową. — Nie znam. — Dziecku zaczęło lecieć z nosa, wytarła go odruchowo wierzchem dłoni.

—Nie znam — powtórzyła.

—Kto to? — dobiegł czyjś męski głos i w drzwiach pojawił się niski, przysadzisty facet. — Słucham? — warknął. — Czego pan chce?

Dekę zablokował drzwiami stopą. — Kto mieszkał tutaj przed wami? — spytał zimno.

Coś w jego oczach, tak nieruchomych i twardych, powstrzymało mężczyznę od protestów. — Jakaś stara wiedźma.

—Czy miała nazwisko Carrolle?

—Nie wiem. — Usiłował zatrzaskać drzwi, ale Dekę nie cofnął stopy-

Kobieta spytała donośnym szeptem: — Czego on chce? Dlaczego nie odejdzie?

—Gdzie mogę dowiedzieć się, kto tutaj przedtem mieszkał? — dopytywał się Dekę. Jego czarne oczy jarzyły się od zawodu.

—Przypuszczam, że może pan spróbować u tego gościa, od którego wydzierzawiliśmy ten dom — odparł mężczyzna, gorączkowo pragnąc pozbyć się Deke'a ze swojego progu. — On będzie mógł coś panu powiedzieć. My tutaj nic nie wiemy.

—Nie — wspomogła go kobieta. — My się do niczego nie wtrącamy.

Mężczyzna wszedł do domu i wyniósł stamtąd na skrawku oddar-tym z gazety

nagryzmolone nazwisko i adres. — Pan będzie uprzejmy przypomnieć temu zdziercy, że obiecał nam nowy dach przed upływem pięciu lat.

Dekę zabrał adres, zdjął stopę z progu i bez słowa odszedł ulicą.

—Pieprzony czubek — parsknął mężczyzna, zatraskując drzwi.

Dekę szedł szybkim krokiem, patrząc prosto przed siebie. Papiery.

Skrawki papieru. Każdy prowadzi gdzieś tam...

Siedzieli ramie przy ramieniu w mieszczącym się po sąsiedzku barze. Dekę sączył czystą coca-colę, podczas gdy Joey wlewała w siebie trzeci z rzędu rum z coką.

—*Późno się robi — zauważyła. — Powiedziałeś swoim starym, że o której się zjawimy?*

—*O jakiegokolwiek — odparł. — To bez znaczenia.*

—*Dlaczego? — dopytywała się natarczywie. — Czy oni nie palą się do tego, by mnie poznać?*

—*Oczywiście, że tak — rzucił Dekę ponuro, wspominając słowa matki. Matka patrzyła na niego tak, jakby wyczuwała, że tym razem to coś zupełnie innego. „Przyprowadź ją do domu, jeżeli już musisz” — powiedziała.*

—*„Czy mamy przyjść na obiad?” — brnął dalej.*

—*„Po obiedzie. Nie zamierzam gotować dla jakiejś byle dziwki, której nawet nie znam”.*

—*„Ona nie jest byle dziwką” -zaprotestował.*

Jego matka uśmiechnęła się drwiąco. — „Jeżeli ją poderwałeś, to musi być”.

- *Chodźmy już — jęknęła Joey. — Powtarzam ci, jeszcze jeden drink, a ich obrzygam.*

Dekę popatrzył na zegarek. Było wpół do dziesiątej. — Nie czuję się zbyt dobrze — wymamrotał.

—*Znowu chcesz wpuścić mnie w maliny. Ot, co.*

—*Wcale cię nie zwodzę — oburzył się.*

—*A pewnie — mruknęła.*

Wziął głęboki oddech. — Chodźmy zaraz. Jesteś gotowa?

Wyciągnęła z torebki obdrapane, kieszonkowe lusterko i obejrzała swoją twarz. Potem

sięgnęła po szminkę, umalowała się jeszcze mocniej. - Chcę się spodobać twojej mamusce — wyjaśniła. — Kobiety są wrażliwe na makijaż i ciuchy. Powiedziałeś jej, że byłam modelką, tak jak ci mówiłam?

—Zapomniałem.

—Och, kuuur... cze. Ona uznałaby to za sam szyk. Ty czasami zachowujesz się jak kretyn.

Mocno uchwycił jej nadgarstek. — Nie mów do mnie w ten sposób.

Wyrwała rękę. — Dobra, dobra. Wiesz, że naprawdę wcale tak nie myślę — teraz mówiła dziecinnym głosem. — Uśmiechnij się do mnie, kowboju. To ja, twoja mała dziewczynka. - Pieszczotliwie wykręciła mu ucho. — Dziewczynki ogromnie kochają dużych chłopczyków.

Dekę rozluźnił się.

Joey poczuła ulgę. Nie chciała, by dalej odwlekało się poznanie ma-muśki i tatuśka. Wiedziała, że jak tylko ją zobaczą, to ją polubią, a potem już wszystko pójdzie gładko. Musiała przecież znaleźć jakieś miejsce, do którego będzie należeć. Osiemnaście lat i wypalona wewnątrz. Pracowała na ulicy od trzynastego roku życia, a to nie było takie łatwe. Jakoś jednak dawała sobie radę. Miała nadzieję; że z tym gliniarzem coś się ułoży. Był pierwszym mężczyzną, który podał jej przyjacielską dłoń. Zrobiłaby dla niego wszystko. Ale kiedy zadzwoniła do niego, żeby dać mu ostatnią szansę, udał, że nie wie, z kim mówi, i odłożył słuchawkę. Świnia!

Gliniarz Leon. W końcu okazał się taki jak wszyscy.

Potem nawinął się Dekę. Od samego początku wiedziała, że to czubek. Ale zabrała się za niego ostrożnie. Szybko nauczyła się, za jakie pociągać sznurki, żeby tańczył tak, jak ona zechce.

Wizja życia rodzinnego przyprawiała ją o dreszcz. Pani Dekę And-yewsowa z mamuszką i tatuśkiem —jego mamuszką i tatuśkiem, ale oni nauczą się ją kochać, jakby była ich własnym dzieckiem.

Westchnęła. Dekę był lepszy niż nic. Całkiem przystojny, gdyby tylko ostrzygł te swoje postrzępione, długie do ramion włosy. Jego matka nienawidziła tych włosów, tyle się

już Joey dowiedziała. Razem może przekonają go do obcięcia. Kiedy już będą po ślubie, to ona, Joey, przeprowadzi wiele rzeczy.

— *No to jazda, kowboju — puściła łobuzersko oko. — Twoja mała dziewczynka jest gotowa.*

Nigdy w życiu nie zetknął się z takim skwarem. Był to upał pustyni — wszechogarniający, chwytający za gardło.

Odwiedził zakład fryzjerski i zażądał, aby ogolili go do gołej skóry.

— Pan życzy sobie, abym kompletnie obciął panu włosy? — zapytał starszawy mężczyzna, właściciel zakładu.

Dekę potaknął.

— Ma pan jakąś infekcję? Są na to różne smarowidła.

— Ogoli mi pan głowę, czy nie?

— Kim pan jesteś? Z jakiejś religijnej sekty? Przytaknął. Tak wydawało się najprościej.

Kiedy już było po wszystkim, spodobała mu się jego ogolona czaszka. Wyglądała czysto i schludnie. Wyglądała jak początek wszystkiego. Doskonale pasowała Stróżowi Porządku.

Skierował się pod nowo uzyskany adres. Do jednopiętrowego biurowca na cichej uliczce. W recepcji siedziała samotna sekretarka, ssąca marchwianą chrupkę. Była pochłonięta czytaniem rozłożonego na biurku magazynu „Us”. — Wszyscy wyszli na lunch — oznajmiła, wracając do artykułu o Tomie Sellecku.

— Może pani mogłaby mi pomóc — odezwał się Dekę.

Nie spojrzawszy nawet na niego powiedziała: — Przykro mi, jestem tutaj tylko na zastępstwie.

— Pani wie, gdzie są akta, prawda? Chciałbym odnaleźć dane dotyczące Nity Carrolle. Potrzebny mi jest jej nowy adres.

Zerknęła na niego przelotnie. Nie spodobał się jej jego wygląd.

— Niech pan wróci za godzinę.

Nie miał czasu do marnotrawienia. — Pani jest tutaj sama? — spytał.

Była sama, ale nie miała zamiaru wyjawić tego temu świrowi.

—Nie, nie jestem. Więc może pan wyjdzie?

Ruszył błyskawicznie, zrzucił magazyn na podłogę, wykręcił dziewczynie ręce do tyłu.

— Pokaż mi, jak się wyciąga akta, a nie zrobię ci krzywdy. — Głos Deke'a zamienił się w morderczy szept.

Zaczęła drżeć. Był szalony, powinna się była domyślić od pierwszego wejrzenia. — Ty ogolony na pałę sukinsynu! — syknęła, wciąż dygocząc, ale zdecydowana się nie załamać. — Już raz mnie zgwałcono i nie zamierzam pozwolić na to po raz drugi. — Podniosła głos.

—Jeżeli mnie tylko dotkniesz, to cię zabiję, ty przekłety skurwysynu!

Jej reakcja zdumiała go, ale także w przedziwny sposób uradowała.

Wcale nie zamierzał nic jej zrobić, ale przesłanie, jakie mu przekazała, było silne i wyraźne. Sama się o to prosiła.

Przekłęcie.

Skurwysyn.

Gwałt.

Nim się spostrzegł, w jego dłoni błysnął nóż. Droga do jej gardła stała otworem. Przecież, przede wszystkim, był Stróżem Porządku. Musiał wykonywać pewne zadania.

Ostatni goście wyszli dokładnie pięć po drugiej. Ross utrzymywał na twarzy uśmiech aż do chwili, w której zatrzasnęły się za nimi frontowe drzwi, a potem przemaszerował przez opustoszałe pokoje prosto do baru. Następnie zasiadł smętnie wśród szczątków przyjęcia, piastując podwójną szkocką i czekając na Elaine, aby przyszła, błagała go o wybaczenie i otoczyła swym współczuciem.

Czekał tak dwadzieścia minut, a kiedy żona się nie pojawiła, zaczął jej szukać. Znalazł ją w swojej garderobie, wściekle wyrzucającą jego ciuchy do otwartej walizki.

Stał przez chwilę patrząc i nic nie pojmując. Potem dotarło do niego, więc ryknął: — A cóż ty, do kurwy nędzy, wyrabiasz? — Choć było całkiem jasne, że go wyprowadza

z domu.

—Ja... mam... już... dosyć tego... Ross... — powiedziała sztywno, z twarzą wykrzywioną wściekłością. — Jak... śmiałeś... Ty... z... moją... najlepszą przyjaciółką. Ty nędzny sukinsynu.

Ross już we wczesnej młodości nauczył się wszystkiemu zaprzeczać.

—Nie wiem, o czym mówisz — odparł, starając się, by w jego słowach zabrzmiała złość.

—Nie wykręcaj się — prychnęła, dorzucając jedwabną koszulę do ręcznie szytych butów. — Aktorem to sobie bądź w filmach!

Ross już we wczesnej młodości nauczył się, że najlepszym sposobem obrony jest atak.

—Ty też masz mi coś do powiedzenia. A co z tym przerośniętym osiłkiem?

Zamarła w pół ruchu ze swetrem od Yves Saint Laurenta w dłoni.

—Jak śmiesz mnie o cokolwiek oskarżać! Byłam dla ciebie idealną żoną. Doskonałym wsparciem, jeżeli wolisz. — Cisnęła sweter w twarz Rossa i wybuchnęła: — Karen Lancaster, coś podobnego. Sądziłam, że masz lepszy gust.

Odgryzł się. — A dlaczego tak myślałaś? Przecież poślubiłem właśnie ciebie. Z hukiem zatrzęsnęła wieko walizki. Rzuciła mu ją. — Wynoś się

—syknęła.

Stracił zdrowy rozsądek. Inaczej nigdy by nie wyszedł.

—Won stąd! — powtórzyła.

—Spokojnie, już wychodzę. Mam powyżej dziurek od nosa twojego pieprzonego głędzenia.

Eskortowała go aż do samych drzwi. — Jutro porozumiem się z Marvinem Mitchelsonem — oświadczyła dostojnie. — A kiedy już się z tobą rozprawię, to stać cię będzie jedynie na mleko z cycków Karen Lancaster!

—Zamknij się, ty skamląca suko! Tamta przynajmniej nie musi niczego kraść.

—Wypierdalaj! — wrzasnęła. I tym sposobem Ross niespodziewanie znalazł się o drugiej trzydziści w nocy na własnym podjeździe i nie bardzo miał gdzie pójść.

Nim Buddy pozbierał się i popędził do bramy, ta była już zamknięta. Z oddali wciąż

dobiegało go szczekanie psów, które jednak, ku jego niemałej uldze, wcale się nie przybliżało. Tego mu jeszcze było trzeba, żeby jakiś rozwścieczony pies wpił mu się w gardło.

Ramię boleśnie pulsowało po upadku. Może jest złamane. Kogo mógłby za to zaskarżyć? Z pewnością nie Ginę Germanie.

I jeszcze jedno. Czy będzie mógł zagrać rolę Vinnie'ego ze złamaną ręką?

I co ważniejsze, czy ze złamaną ręką da radę przejść górą przez bramę? Spróbował, ale osunął się jak worek, zarabiając tylko rozdarcie koszuli.

—Montana! — zawołał nagle w ciemność. Pospieszyła przez ulicę. — Na co czekasz?

- Zraniłem się w ramię. Chyba nie dam rady się stąd wydostać. Patrzyli na siebie przez żelazne pręty bramy.

—Musisz próbować — powiedziała wreszcie Montana. — Nie możemy się tutaj dłużej szwendać. Lada chwila może nadjechać patrol policyjny.

—Piękne dzięki — powiedział gorzko Buddy.

—No, coś ty — dodawała mu ducha. — Trzymasz się całkiem nieźle. Podciągnij się na jednej ręce i przerzuć ciało górą.

Ponieważ nie wyglądało na to, by był jakiś inny sposób, zrobił, co mu Montana zasugerowała. Ciężko wylądował na betonie. Jęknął z bólu.

—Zabierajmy się stąd — popędzała go Montana, śpiesząc ku Volkswagenowi.

Nim tam dobiegł, już włączyła silnik, gotowa do natychmiastowego startu. Buddy wturlał się na siedzenie pasażera. Ruszyli.

Chwilę milczeli, potem Montana spytała niemal obojętnym tonem: — Widziałeś tam Maserati?

—Owszem, stał tam. Hej, słuchaj, ja się nie wygłupiam. Chyba złamałem rękę. — Umilkł, spodziewając się wyrazów współczucia, ale Montana nie powiedziała słowa. — Cholera jasna! — krzyknął. — Zostawiłem na ziemi moją marynarkę. Musimy wrócić.

—Nie zamierzam wracać.

—No, coś ty, to moja najlepsza marynarka. Od Armaniego. A na dodatek w kieszeni jest cała moja forsa.

—Kupię ci nową marynarkę i zwrócę forszę. Ile tego było?

Dolar pięćdziesiąt. Buddy był człowiekiem uczciwym, ale konieczność to konieczność. I zawsze, kiedy już będzie przy forsie, może jej wszystko zwrócić. — Sześćset dolarów — odparł, starannie zachowując prawdopodobną równowagę między zbyt dużą a zbyt małą kwotą.

Akurat wjeżdżali na Sunset, kiedy gwałtownie zatrzymała wóz. Och, nie, ona chce zawrócić, pomyślał Buddy.

Zawróciła i znowu wjechała w Benedict, potem ostro skręciła w Le-xington.

— Zabieram cię do mojego domu — oświadczyła stanowczym tonem. — Obejrzę twoje ramię i dam ci trochę pieniędzy. Może tak być?

Jak mógłby się sprzeciwić?

W porze pójścia spać Sadie La Salle odprawiała pewien rytuał. Najpierw wylegiwała się w pachnącej kąpieli. To ją odprężało. Potem wybierała jedną z kaset video Sony Betamax starannie ustawionych na półce. Wkładała taśmę do magnetowidu, włączała odbiornik i jak co noc zasypiała oglądając któryś ze starych filmów Rossa Conti.

Tej nocy zdecydowała się na jeden ze swoich ulubionych. Wielki szlagier 1958 roku. Ross u początków swojej kariery, młody i beztroski, niewinne niebieskie oczy, jasne kędziory i szczupłe, muskularne ciało. Ani grama zbędnego tłuszczu. Dziś wieczorem zauważyła, że zawiązują mu się brzuch, oczy straciły nieco blasku, włosy nie były tak jasne, skóra zaś obwisła od nadmiaru przyjemności.

Sadie była ciekawa, jak prezentowała się reszta ciała Rossa. Zadrżała myśląc o tym, chociaż sama czuła do siebie za to wstręt.

Niebawem znowu go będzie miała. I wykorzysta go w taki sam sposób, jak niegdyś on wykorzystał ją.

Tym razem to ona odejdzie.

Żadnych telefonów. Żadnego listu. Żadnych wyjaśnień.

Nic.

Ross Conti zrujnował jej życie i teraz, wreszcie, chciała mu za to odpłacić. A kiedy już z nim skończy, będzie przeklinał ten dzień, w którym ją poznał.

Z ekranu odbiornika telewizyjnego Ross się uśmiechał. Pan Nieodparcie Pociągający. Sadie umościła się do oglądania filmu. Widziała go już setki razy.

Buddy buszował po przestronnym, nowoczesnym salonie. Pulsujący ból w ramieniu zelżał. Może jednak nie jest złamane.

—Gdzie jest... tego... twój stary? — spytał obojętnym tonem. To pytanie nurtowało go cały wieczór.

Montana, zajęta manipulowaniem przy szyfrze ściennego sejfu ukrytego za obrazem, nic nie odpowiedziała.

—To znaczy, chodzi mi o to, czy nie powinienem się z nim przywitać? Czy spodobały mu się moje próbne zdjęcia? Co o nich mówił?

Otworzyła sejf, wyciągnęła plik banknotów i zaczęła odliczać studolarówki. Potem wręczyła mu pieniądze. — Tysiąc dwieście dolarów. To powinno pokryć stratę gotówki i zniszczenie twojej garderoby.

Z chęcią by ucałował Montanę. Jednocześnie ogarnęło go poczucie winy.

—A tak przy okazji — powiedziała. — Rozmawiałam z Sadie La Salle. Chce, żebyś stawił się w jej biurze jutro rano o jedenastej.

Coraz bardziej mu się szczęściło. — Hej, to cudownie. Sięgnęła po leżące na stole papierosy. Zapaliła. — Nic takiego. A teraz daj, niech ci obejrzę ramię.

—Chyba tylko je wybiłem — powiedział, zginając rękę do przodu.

Jednak Montana stanowczo chciała je obejrzeć. Długimi, smukłymi palcami szukała złamania. — Będziesz żył — zdecydowała zimno.

Teraz naprawdę poczuł się źle. Jak mógł wyłudzić od niej forszę? Przecież miał większą klasę. — Hm... posłuchaj — zaczął przepraszająco. — Naprawdę to ja wcale nie miałem w marynarce sześciuset dolarów. To był tylko taki... no... żart.

Popatrzyła na niego poważnie. — Czy potrzebujesz pieniędzy?

Potaknął.

Zaciągnęła się głęboko papierosem. — No to potraktuj to jako pożyczkę. A kiedy

dostaniesz pierwszy czek, to spodziewam się, że mi osobiście zwrócisz forszę.

—Ty jesteś niesamowitą kobietą.

—Dzięki — odparła sucho. — Ale nie musisz mi mówić, jak jestem wspaniała, ponieważ teraz właśnie czuję się podła, wstrętna i wcale nie niesamowita. — I natychmiast pożałowała, że się przed nim otworzyła, nawet w tak oszczędnych słowach. — Nalej sobie drinka — dodała pospiesznie. — Ja muszę się przebrać, potem podrzucę cię do domu.

—Nie rób sobie kłopotu. Mogę wezwać taksówkę.

—Przyrzekłam, że cię odwiozę, i dotrzymam słowa. A poza tym, mam ochotę na przejażdżkę.

Wyszła. Buddy rozglądał się po salonie. Urządzony był nowocześnie i wygodnie. Efektowny widok na Hollywood. Na stoliku do kawy oprawne w srebrne ramki zdjęcie Neila Graya. A na nim dedykacja: „Mojej kochanej M., która nauczyła mnie na nowo życia”.

Montana wpadła do salonu w ściśle opiętych, wyblakłych džinsach, wpuszczonych w znoszone kowbojskie buty, i w skromnym, białym podkoszulku. — No to chodź, gwiazdorze — powiedziała, zatraskując sejf. — Odtransportujemy cię do domu. Nie chciałabym, żebyś się jutro zjawił u Sadie z podkrążonymi oczami. Wmówiłam jej, że jako aktor prezentujesz sobą taki wygląd, jakiego nie widziano od czasów Marlona w „Tramwaju”.

Jedno można powiedzieć o Montanie: doskonale wiedziała, co i w jaki sposób mówić. Uspokoilo ją Valium. Wiedziała, że już za dużo go łyknęła, ale co z tego? Niecodziennie zdarza się, że jednego wieczoru niemal cię aresztują, wydajesz najgłośniejsze przyjęcie w mieście i wyrzucasz za drzwi własnego męża.

Elaine pokiwała głową z krzywym uśmiechem. Ten skunks sobie na to zasłużył. Jeżeli życzył sobie balansować nad krawędzią przepaści, to musiał liczyć się z upadkiem.

Daj sobie spokój, Elaine. Nigdy byś go nie wywalila, gdybyś uważała, że istnieje jeszcze jakaś szansa, by załapał się do tego filmu.

Zamknij swoją tłustą gębę, Etta. Co ty tam wiesz.

Wiem tyle, że stałaś się żalostną suką z Beverly Hills. Dlatego on lajdaczył się z Karen.

No a ty, ty robiłaś to samo z Ronem, nieprawdaż?

To wcale nie to samo!

A kto to powiedział?

Jej przeszłość i przyszłość. Pragnęła, żeby przeszłość po prostu zniknęła. Dlaczego cały czas musi pamiętać o kluchowatej Etcie Grodin-ski?

Tej nocy byłaś potrzebna Rossowi.

Ross nawet nie wie, co to słowo znaczy.

Może by sobie popłakać? Ale potem zaraz przyszło jej do głowy, że jeszcze brakuje jej czerwonych, zapuchniętych oczu, więc zarzuciła ten pomysł.

Elaine Conti. Żona w separacji. Co ma począć? Z kim się zobaczyć? Jak sobie poradzić?

Nigdy nie interesował jej ruch wyzwolenia kobiet. Kobiety były po to, by dobrze wyglądać i prowadzić dom. Do mężczyzn należało zapewnienie na to środków.

Kompletna bzdura.

Mam prawo do własnego zdania.

Wędrowała bez celu po opustoszałym domu, dwukrotnie sprawdziła, czy włączony jest system alarmowy, nagle zapragnęła mieć kota lub psa, cokolwiek.

Nie cierpiała samotności. Wyrzucenie Rossa okazało się okropną pomyłką. Mógł sobie być sukinsynem, ale przynajmniej sukinsynem, który do niej należał. Jutro rano zaraz ściągnie go z powrotem.

Montana, zwożąc Buddy'ego w dół ze wzgórza, litowała się nad sobą. Litowała nad sobą, a jeszcze bardziej nad Neilem. Przecież spodziewała się po nim o wiele, wiele więcej. A on uznał za stosowne zaryzykować ich wspólne życie dla flirtu z kimś takim jak Gina... cóż za marnotrawstwo. Ponieważ przez chwilę w ich małżeństwie pojawiło się coś naprawdę dobrego...

Jak mógł być tak cholernie głupi! Pięć cudownych lat utopionych w rynsztoku. I to dla kogo? Dla jakiejś piersiastej królowej filmu?

Przez sekundę była wściekła. Jak on śmiał to zrobić? Jak śmiał tak zawieść jej

zaufanie? A potem uprzytomniła sobie, że wściekłość w niczym nie pomoże. Stało się. Żadnych wątpliwości. Teraz należało podjąć decyzję, czy ona sama ma zostać w Los Angeles aż do ukończenia filmu, czy wypiąć się na wszystko i opuścić to miasto.

Hej, chwileczkę, a dlaczego to ja powinnam się wynieść?, pomyślała rozjuszona. *Dlaczego to ja mam porzucić ten film, w który tyle włożyłam, i zostawić go na pastwę Neila i Olivera, i Georgea, aby spieprzyli go nie do poznania?*

Powzięła decyzję. Po pierwsze musi się wyprowadzić — Neil może sobie zachować ten dom, ona nie chce nawet złamanego centa z jego kieszeni. Zabierze swoje ciuchy, płyty i książki, i samochód, za które i tak sama zapłaciła. Na koncie w banku miała dosyć pieniędzy, by wystarczyło do czasu, kiedy postanowi, co dalej. Podświadomie wiedziała, że Neil nie pozwoli jej odejść bez walki. Będzie się usprawiedliwiał na wszystkie możliwe sposoby. Biedny Neil... prawie że mu współczuła.

W bieg jej myśli wdarł się głos Buddy'ego. — Jedziesz w złym kierunku.

—Naprawdę? — spytała nieprzytomnie. — Chyba mam za dużo na głowie...

Roześmiał się. — Jak to miło, że nie zapominasz o mojej obecności.

Spojrzała na niego swoimi tygrysimi oczami. Buddy pomyślał, jak jest niewiarygodnie piękna w swój nieucywilizowany i zmysłowy sposób. Była także strapiona, a on, całkowicie pochłonięty własną osobą, wcale nie spostrzegł, że i ona może mieć jakieś kłopoty.

Zwolniła, rozglądając się za sposobnością zawrócenia.

—Hmmm, jeżeli masz ochotę na przejażdżkę, to mogę ci potowarzyszyć — zaryzykował.

Ucieszyła się, że będzie miała kogoś przy sobie. Bez słowa nacisnęła pedał gazu. Mały samochód pokonywał zakręty i zakola Sunset. — W takich chwilach chciałabym mieć Ferrari — powiedziała cicho.

Kiwnął głową, starając się zrozumieć, o co tutaj chodzi. Nieobecność Neila Graya na przyjęciu. Nieobecność Giny Germaine na przyjęciu. Srebrzysty Maserati zaparkowany przed domem blond gwiazdy filmowej. Nie trzeba być Kojakiem, by dodać dwa do dwóch.

Przechyliwszy się do przodu nacisnął włącznik kasetowego magnetofonu. Stevie Wonder. „That Girl”. Świetna muzyka w drodze na plażę. Oboje zatopili się w przyjacielskim milczeniu.

Montana myślała o tym, że znowu jest wolna. Będzie jej brakowało Neila, ale jak niespodziewanie słodka okazała się myśl o wolności.

Buddy myślał o Angeli, o tym, że dostał rolę w filmie i że ma się spotkać z legendarną Sadie La Salle. Potem jego twarz zachmurzyła się, gdyż przypomniał sobie tamtego faceta z przyjęcia — Wolfie Schweickera. I ponieważ wróciły wspomnienia, od których nigdy nie potrafił się uwolnić.

Montana poprowadziła samochód daleko wzdłuż Pacific Coast High-way, by wreszcie zatrzymać się przy wysokiej skarpie wychodzącej na mroczny, huczący ocean.

—Przejdiesz się? — spytała Buddy'ego.

—Czemu nie.

Wysiedli z samochodu, zeszli w dół zboczem ku plaży. Przyływ był wysoki, zatrzymali się więc na chwilę, Montana ściągnęła kowbojskie buty, Buddy półbuty i skarpetki.

— Zaraz jak przyjechałem do L.A., to mieszkałem na plaży — powiedział. — To były świetne czasy. Nikt się o nic nie czepiał. — Zaczerpnął głęboko powietrza. — Wiesz, czego mi najbardziej brakuje? Właśnie tego zapachu.

Uśmiechnęła się w ciemnościach. — Na pozór wyglądasz niczym największy podrywacz wszechczasów, ale w rzeczywistości wcale taki nie jesteś, prawda? Jesteś czuły i miły, i połączenie tych dwóch cech wyjdzie na ekranie. To wspaniała mieszanka. Nigdy jej nie zatrać.

Nikt, w całym jego życiu, nie nazwał go czułym i miłym. A jednak... dlaczego nie?

- Hej... — wymamrotał, nie wiedząc, co powiedzieć.

Zaśmiała się miękko. — Chodźmy na ten spacer, Buddy.

Złocisty Corniche najpierw skierował się ku apartamentowi Karen w Century City, potem gwałtownie skręcił i zawrócił ku domowi Sadie La Salle w Bel-Air. Wreszcie zatrzymał się przy Beverly Hills Hotel

—siedzicie gwiazd.

Ross bez najmniejszego trudu dostał pokój, choć hotel jak zawsze był wypełniony po brzegi.

—Jestem przyjacielem właścicielki, pani Slatkin — poinformował nocnego recepcjonistę, żeby nie zawracać sobie głowy rejestracją.

—Nie ma problemu, panie Conti. Dla pana zawsze znajdzie się miejsce — oświadczył usłużny portier.

Świetnie. Jeżeli Elaine chciała, żeby się wyniósł, to tutaj się zatrzyma Nigdy przedtem Buddy nie czuł się tak swobodnie z kobietą. Podświadomie płęć piękną traktował jak wroga. Albo walczysz z nimi, oszukujesz je, albo je podbijasz. Ale w przypadku Montany to było zupełnie coś innego. Mógł z nią szczerze porozmawiać. I zrobił to, — z dała od niej. Dzisiejszej nocy odkryła przed nim swoje prawdziwe oblicze. Okazała się niewrażliwą suką bez serca. Ona jedna tylko wiedziała, co znaczyli dla niego „Ludzie z ulicy”. Więc powinna była się nim zaopiekować.

zapominając o jej kłopotach, gdyż po raz pierwszy w życiu się komuś zwierzał. Wędrując wzdłuż ciemnego brzegu, słuchając szumu fal, przekonał się, że to wcale nie takie trudne. Jak tylko zaczął, nie potrafił przerwać. Wydawało mu się, że Montana jest naprawdę zaciekawiona historią jego życia, tak bogatego w wydarzenia.

Zaczął od wspomnień z dzieciństwa, a gdy tylko napomknął coś o San Diego, wszystko z niego wykipiało. Chociaż nie tak całkiem wszystko. Pomiął dwa najważniejsze wydarzenia — zamordowanie Tony'ego i tamtą noc, kiedy to matka weszła do jego sypialni.

Opowiedział o przyjeździe do L.A., jaki był wtedy młody i zwichrowany. O dniach na plaży i lekcjach sztuki aktorskiej u Joy Byron. Potem o hollywoodzkich nocach, o sztuczkach, jakie wyczyniał, o narkotykach, rozczarowaniach, o obietnicach, które się nigdy nie ziściły. Doszedł aż do Hawajów, potem urwał. Z jakichś powodów nie chciał wspominać o An-geli. Była jego tajemnicą. — I tak wróciłem — zakończył. — I dowiedziałem się o twoim filmie, i... hm... tak się tutaj znaleźliśmy.

Montanie spodobało się, że Buddy nazwał film jej własnym. Chyba nikt poza nim tego

nie czynił. Wiedziała, że Neil będzie usiłował go onieśmielić, George Lancaster będzie traktował z góry, a tak gorąco pragnęła, żeby Buddy wykorzystał tę, zdaje się, jedyną w swoim życiu szansę.

Kiedy wrócili do samochodu, zaczęło już wschodzić słońce. Na horyzoncie pojawili się samotni joggerzy.

Montana, wysłuchawszy zwierzeń Buddy'ego, sama poczuła się lepiej. Słuchanie bowiem uchroniło ją przed rozmyślaniami o własnych kłopotach.

Przez chwilę siedzieli w samochodzie, w milczeniu obserwując świt. Potem odezwała się Montana: — Jak tam twoje ramię?

— Hej, wiesz co? Zupełnie o nim zapomniałem. — Obmacał uważnie rękę. — Nic. I co ty na to?

— Wiesz, do czego zmierzam — powiedziała ochryłym głosem. - Chcę się z tobą kochać. Ponieważ cię lubię, ponieważ sądzę, że i ty mnie lubisz. I tego mi właśnie teraz trzeba. Żadne tam dramatyczne związki, po prostu... będziemy przez chwilę razem. — Wlepiała w niego pełne oczekiwania oczy — dzikie, tygrysie.

Buddy zupełnie nie myślał o pójściu z nią do łóżka.

Jednakże już kiedy ruszali z jej domu, ta myśl czaiła się gdzieś w zakamarkach jego umysłu.

Oliver znał lekarza, który był drogi i dyskretny. Od razu, jak tylko zobaczył nieszczęsną parę, pomyślał o nim. Przez ułamek sekundy przeleciało mu przez głowę, że pogotowie byłoby szybsze. Ale, och, te nagłówki w gazetach. W tym względzie oboje z Giną mieli podobne zdanie. Zdarzają się takie wyjątkowe sytuacje, kiedy prasa nie jest mile widziana.

— Czuję się strasznie — jęczała Gina. — Jest mi niedobrze, Oliver.

Musisz mi pomóc.

Wcale nie wyglądała na chorą. Cała złożona z gigantycznych cycków i tyłka. Olivera nigdy nie pociągały lubieżne kobiety. Lubił skromne, schludne i bardzo, bardzo czyste.

Odwrócił wzrok od kolebiących się piersi Giny i skupił swoją uwagę na Neilu. No tak, on wyglądał na chorego. Był zielonkawoblady i z trudem łapał oddech.

Oliver nie był biegły w udzielaniu pierwszej pomocy. Nie miał najmniejszego pojęcia, co zrobić. A już z całą pewnością nie miał ochoty ich dotykać — sama myśl o tym wydawała mu się obrzydliwa. Tak więc, w oczekiwaniu na przyjazd lekarza, zabrał się do tego, co było naturalne. Chwycił najbliższą popielniczkę i zaczął ją czyścić.

Nadzy i odprężeni leżeli na wodnym materacu w motelu nad oceanem. Kochali się gwałtownie i szybko. Teraz przyszła kolej na zwierzenia Montany. Opowiadała mu o niektórych epizodach z własnego życia. O myślach, opiniach, ideach. Ani słowem nie wspomniała o Neilu.

A potem kochali się po raz drugi. Powoli, leniwie, niczym para ćwiczących gimnastyków.

Ona długonoga, zmysłowa, ale także agresywna. Cecha ta podniecała Buddy'ego, gdyż nie do tego przywykł, a okazało się to bardzo przyjemne.

Montana miała wspaniałe ciało, szczupłe i zwinne niczym u kotki, szerokie ramiona, sprężyste piersi, szczupłą talię i długie nogi. Skórę lśniącą, o ciemnooliwkowym połysku. Była cudowną kochanką. Umiejętnie odszukała w jego ciele punkty erotyczne i podniecała go, masując jego szyję, klatkę piersiową, powoli, powoli w dół, aż wreszcie zacisnęła w swojej dłoni jego naprężony członek i pochyliwszy się zaczęła go pieścić językiem.

Zanurzył dłonie w jej długich, kruczoczarnych włosach, przytrzymując nieruchomo głowę, kiedy go pieściła. Pragnął skończyć w jej ustach, ale także pragnął i jej posmakować. Odsunął się, zmienił pozycję, zagłębiając głowę między jej nogami.

Rozkosz była intensywna, oboje byli mistrzowskimi i uważnymi uczestnikami w grze, dającej im obojgu zadowolenie.

Montanie potrzebne było właśnie tego typu odprężenie. Pięć lat i tylko Neil. Prawie już zapomniała, jak dojmującą rozkosz daje czyjeś nieznane ciało.

W milczeniu odegrali tę scenę.

Zmysłowo zbliżali się do orgazmu.

Buddy do tej pory sądził, że jest wyjątkiem, gdyż zachowywał w łóżku milczenie. Ale w Montanie odnalazł bratnią duszę. Tylko przeciągłe westchnienie, kiedy zaczęła drzeć. Poczawszy to i on sam osiągnął pełnię.

Dochodziła czwarta nad ranem. Zasnęli obejmując się ramionami.

Kilka godzin później obudziły ich krzyki bawiących się na plaży dzieci. Do pokoju wsączały się promienie słońca. Buddy przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. A potem wszystko do niego wróciło. Odruchowo sięgnął po zegarek.

Ósma czterdzieści dziewięć, a o jedenastej ma spotkanie z Sadie La Salle. Czas się ruszyć. Delikatnie dotknął ramienia Montany.

Mrucząc coś przeciągnęła się jak pantera.

—Już prawie dziewiąta — poinformował ją pospiesznie. — Muszę wrócić do domu i przebrać się przed pójściem do Sadie La Salle. Możemy się już zbierać?

—Ho, ho! Rano doprawdy jesteś romantycznym młodzieńcem. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Hej, a czego ty ode mnie oczekujesz? Interes to interes. Potrzebny mi jest agent, zgadza się?

Owinęła prześcieradłem nagie ciało i powiedziała rażno: — Mnie nie musisz o tym mówić. To ja załatwiłam ci to spotkanie. Idź ty pierwszy do łazienki, ja zamówię kawę. Nie martw się, zdążysz wrócić do siebie przed dziesiątą.

—Jeżeli ty tak twierdzisz... — Pospieszył do łazienki.

Podniosła słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu. — Dwie kawy.

Dwa soki pomarańczowe. — Czują się zadziwiająco dobrze. Seks okazał się cudowną terapią. Może to głupota, ale w jakiś sposób wyrównała trochę rachunki między sobą a Neilem.

Włączyła telewizor, zmieniała kanały, aż powitała ją kojąca twarz Davida Hartmana. — Dzień dobry, Ameryko — mruknęła cicho. Po ekranie przesuwały się jedna po drugiej reklamy. Ciekawa była, co też Neil będzie miał jej do powiedzenia. Oczywiście, będzie się wykręcał. Co za nieszczęście, że trzeba przez to wszystko przebrnąć.

- Tu wiadomości. Angela Black — odezwała się z ekranu piękna spikerka.

Prawdopodobnie była aktorka, oceniła ją Montana, słuchając jednym uchem informacji przekazywanych przez panią Black. Jedna w drugą niedobre. Jak gdyby nie było już nic innego do powiedzenia.

—Reżyser filmowy Neil Gray został dziś nad ranem przewieziony do szpitala z rozpoznaniem rozległego zawału serca. Rzecznik szpitala Cedry Libańskie poinformował nas, że Graya umieszczono na oddziale intensywnej terapii, a życiu jego nie zagraża już bezpośrednio niebezpieczeństwo. W Nowym Jorku senator...

Montana odruchowo wyłączyła odbiornik. Z trudem mogła zebrać myśli... Neil... atak serca... rozległy zawał... intensywna terapia.

Oszołomiona potrząsnęła głową. Potem, jakby spięta ostrogą, zaczęła się ubierać, jednocześnie wołając nagłaco do Buddy'ego.

—Co się stało? — wyskoczył z łazienki ociekając wodą.

—Stało się coś bardzo ważnego — powiedziała sucho. — Musimy stąd wyjechać. Natychmiast.

Ernie Thompson zadzwonił do Leona akurat w chwili, gdy u jego boku znajdowała się Millie z aparatem fotograficznym w dłoni, w letniej sukience i białych sandałkach, znakomicie dodających uroku jej ciemnoczekoladowej cerze. Właśnie wybierali się na wycieczkę/autokarową po San Diego. Jakże Leon pragnąłby powiedzieć żonie, żeby jechała sama, ale ona była tak uszczęśliwiona, że nie miał serca psuć jej tej radości.

—Podaj mi swój numer. Oddzwonię — powiedział niechętnie Ernie'emu.

—Co się stało? — dopytywała się Millie, kiedy już odłożył słuchawkę.

—Nic. Praca.

Uniosła brew, nie skomentowała jednak tego ani słowem. Kiedy Leon sam uzna za

stosowne, o wszystkim jej opowie. Millie nie zaliczała się do kobiet, które by wyduszały informacje.

Cały dzień spędzili w autokarze i poza nim, podziwiając rozmaite cuda San Diego. A przynajmniej Millie je podziwiała. Leon tylko włókł się za nią, cały czas zastanawiając się, co też Ernie miał mu do przekazania, i planując, jak tu wygospodarować dla siebie trochę czasu.

W San Diego wynajęli samochód i mieli pojechać do Los Angeles, zatrzymując się po drodze w Catalinie i Long Beach. Teraz czekała ich ostatnia noc w San Diego i jakaś poznana w autokarze para zaprosiła ich do La Jolli na obiad. Leon opierał się. Millie nalegała. W Tijuanie nabawił się niestrawności i teraz wykorzystywał to jako wymówkę, namawiając jednocześnie żonę, by poszła sama.

—I mam tak ciebie zostawić? — zaprotestowała. — Nie mogę tego zrobić.

—Jeżeli przyrzekniesz, że wrócisz przed jedenastą, to jakoś to przeżyję.

Millie kusiła ta wycieczka. Mówiono jej, że La Jolla to interesujący kurort nadmorski, oddalony stąd jedynie o dwadzieścia minut drogi. Malownicze knajpki na wolnym powietrzu i ciekawe sklepy. Miejsce, które należy koniecznie zobaczyć.

Zawahała się. — Jeżeli jesteś przekonany, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym tam pojechała bez ciebie...

W sekundę po jej wyjściu zatelefonował do Ernie'ego. Rozmawiali dwadzieścia minut, Leon zadawał pytania, powtarzał informacje, przyswajał sobie każdy okruch przekazywanych mu wiadomości. Robił notatki na kartce i zażądał, by przepisane raporty wysłano mu na adres Holiday Inn w Los Angeles, gdzie przybędzie za trzy dni. A więc, Dekę Andrews wreszcie wynurzył się na powierzchnię. W Pittsburghu i w Teksasie. Ten skurwysyn kręcił się gdzieś tutaj w pobliżu... zostawiał za sobą ślady.

W końcu go wytropią. A kiedy już tak się stanie, to Leon na pewno przy tym będzie.

Beverly Hills kipiało od nowin o zawale serca Neila Graya. Ataki serca stały się tematem numer jeden w całym mieście. Każdy miał swoją receptę, jak ich uniknąć.

Trzeba trzymać się w formie.

Trzeba zmniejszyć poziom cholesterolu.

Trzeba faszerować się witaminami.

Trzeba przestać popalać trawkę.

Trzeba biegać, uprawiać jogging, skakać, robić pompki... Trzeba ćwiczyć!

Och, owszem, oraz... Trzeba się pieprzyć z całych sił (to zdanie padło z ust dwudziestotrzyletniego kierownika jednej z wytwórni, który nawet nie wiedział, co to jest serce!).

Pikantne sekrety nigdzie nie mogą się dłużej utrzymać w tajemnicy — a co dopiero w Hollywood, tej Mekce plotek.

—Słyszeliście, że był wtedy z Giną Germaine?

- Słyszeliście, że odwieziono ich do szpitala szczepionych niczym para kopulujących psów?

—Słyszeliście, że wdychali kokę?

—...palili trawkę...

—...ładowali w siebie amfetaminę...

—...łykali prochy...

—...wstrzykiwali sobie w żyłę...

—On jest, oczywiście, pedałem.

—Ona to lesba.

—Urządzili sobie orgietkę. Och, ploty! Och, Hollywood!

Ileż radości sprawiało wszystkim plotkowanie, obgadywanie, wyciąganie na wierzch brudów.

Montana jak stała popędziła prosto do szpitala, w dzinsach i w podkoszulku, jej długie czarne włosy rozwiewały się dziko za jej plecami. A w szpitalu tłoczyli się już żądni sensacji reporterzy wraz z prasą, telewizją i radiem.

—Dlaczego pani wtedy przy nim nie było?

—Z kim był pani mąż?

—A gdzie pani była?

- Dlaczego mąż nie pojawił się na przyjęciu George'a Lancastera?

—Jakieś komentarze?

— Czy mogłaby pani powiedzieć słówko naszym telewidzom?

Minęła ich pędem i wpadła w ramiona jednego z goryli Olivera Easterne'a, który po schodach zaprowadził ją do samego wielkiego Olivera.

—Gdzieś ty się podziewała? — padły z jego ust pierwsze słowa. Zatrzymał się w nerwowym dreptaniu po szpitalnym korytarzu, żeby zmierzyć ją oskarżycielskim wzrokiem. — Czy zdajesz sobie sprawę, jak to wygląda dla prasy? Człowiek ma zawał, a jego żona gdzieś się szlaja.

—Jak on się czuje?

—Chryste! Ona jeszcze pyta, jak on się czuje! Jest na intensywnej terapii, to jak ma się czuć? Od chwili, w której go tam umieszczono, walczy o życie.

Za wszelką cenę usiłowała zachować zimną krew. — Co się stało?

Nie wiedział sam, czy powiedzieć jej prawdę, czy skłamać. Montana była bystra. Niełatwo byłoby ją oszukać i do tego przecież on właśnie wcześniej jej zdradził, że Neil jest z Giną.

Złapał ją za ramię. — Załatwiłem prywatny pokój. Chodźmy tam pogadać.

—Chcę zobaczyć Neila.

Wczesnym rankiem u Elaine rozdzwonił się telefon. Sięgnęła automatycznie po słuchawkę, na wpół śpiąc, przygotowana na wysłuchanie wylewnych komplementów od osób dziękujących jej za wspaniałe przyjęcie. Pełznąca po omacku dłoń strąciła na podłogę szklanę, która rozbiła się w drobny mak. Rozbudzona tym Elaine otworzyła oczy. Wcale nie leżała w swoim wygodnym łóżku, jak to sobie wyobrażała, tylko na kanapie w salonie wśród resztek przyjęcia.

— Ross — powiedziała głośno, potem jęknęła.

Przecież go wyrzuciłaś, ty głupia dupo.

Nie musiałaś mi o tym przypominać, dziękuję ci bardzo.

Telefon dzwonił dalej. Wstała i ostrożnie do niego podeszła. Jeżeli to Ross, to musi się opanować, żeby powiedzieć mu to, co należy. Był kłopotliwym skunksem; żeby wrócił, trzeba mu posmarować tyłek miodem. Podniosła słuchawkę, niezbyt zachwycona, gdy zorientowała się, że to dopiero wpół do ósmej.

—Słucham — powiedziała słodkim głosem, na wypadek gdyby to rzeczywiście był Ross.

—Elaine! — chlipnęła Maralee. — Stało się coś strasznego.

Owszem. Dla mnie. Ale skąd ty o tym wiesz?

—Co? — warknęła. Naprawdę Maralee należą się ostre słowa za to, że zbudziła ją o tej porze.

—To... to Neil.

—Co z Neilem?

—Miał atak serca. Pogotowie odwiozło go do szpitala. Muszę do niego iść. Pójdiesz ze mną?

Elaine przez chwilę była zbyt zszokowana, by odpowiedzieć. Zawsze tak reagowała na wieść o tym, że ktoś zachorował. Z jakichś niewytłumaczalnych powodów spodziewała się, że wszyscy wiecznie będą zdrowi i żywi.

—Och... tak mi przykro... to okropne.

—Możesz pojechać ze mną? — błagała przez łzy Maralee.

—Nie, teraz nie mogę. Mam... tutaj... hm... pewne problemy.

—Och... — cichutki jęk zawodu.

—Ale coś ci powiem — zebrała się w sobie Elaine. — Dojadę tam do ciebie później.

—Byłabym wdzięczna. Nie chcę być sama w takich okolicznościach.

Mając swoje miliony nigdy nie jesteś sama. A gdzież to podział się Randy? Jak przyjął tę niespodziewaną eksplozję uczuć do eks-malżonka?

—Rozumiem. Który to szpital?

—Cedry.

—Będę tam.

Odłożyła słuchawkę, zobaczyła w lustrze swoje odbicie i aż zatkało ją ze zgrozy. Wyglądała niczym wiedźma. Jakże mogła położyć się spać nie zmywszy makijażu? Boże, naprawdę musiała być okropnie zdenerwowana.

—I kto jeszcze tam był, skarbie? — dopytywał się podrajcowany Koko. — Czy było bosko? Bawiłaś się bajecznie? Przecież dzisiaj jesteś pełna wiosennej radości?

Prawda?

Angela uśmiechnęła się blado.

—Czy pani L. była obwieszona diamentami? — ciągnął rozgorączkowany Koko. — Czy zaćmiła nimi Pamelę London? Czy George Lancaster był wspaniały? A jak tam Richard Gere? Czy wyglądał jak młody bóg? Kto tam był, kochana? Opowiedz mi wszystko.

Chciała powiedzieć, że był tam Buddy. *Wiem, że muszę o nim zapomnieć, ale Kocham go tak mocno, że to aż boli. A teraz go absolutnie nie obchodzę. To, że nie wrócił, było dostatecznie wymowne.*

— Było fantastycznie, Koko — powiedziała, wzniecając w sobie cały entuzjazm, na jaki ją było stać. Wiedziała bowiem, że bardzo by go rozczarowała, gdyby nie przekazała mu sprawozdania pełnego blasku. — Absolutnie oszalamiająco.

Podrzuciwszy Montanę do szpitala, Buddy czym prędzej pospieszył do mieszkania Randy'ego. Montana pożyczyła mu swojego Volkswa-gena, co przynajmniej ułatwiło poruszanie się po mieście. Buddy zamartwiał się o film. Fakt, że Neil Gray leżał w szpitalu, oznaczał zwłokę. On to ma parszywe szczęście.

Wpadł do małego mieszkania i zdziwił się ujrawszy tam Ran-dy'ego, który spał rozciągnięty w poprzek łóżka. Buddy musiał się teraz jak najszybciej przebrać i zaraz wyjść. Nie może pozwolić sobie na to, by Sadie La Salle na niego czekała. Ot, i problem. Co tu na siebie włożyć? Najlepsza marynarka, spodnie i koszula w ruinie. Otworzył wypchaną szafę, nic nie mógł w niej znaleźć, podniósł roletę.

—Zasuń tę cholerną roletę z powrotem i zmiataj stąd. Ja śpię

—warknął zniecierpliwiony Randy.

Cudowne powitanie. Szybko przerzucił stos swoich zmiętych ubrań stłamszonych w jednym końcu szafy. Złapał drugą marynarkę od Ar-maniego. Wyglądała jak psu z gardła i bardzo prosiła się o wycieczkę do pralni. Wybrane spodnie i koszula znajdowały się mniej więcej w podobnym stanie. Przeklął pod nosem i zaczął się ubierać.

Randy usiadł na łóżku mierząc go rozwścieczonym wzrokiem.

—Do kurwy nędzy, znajdź ty sobie wreszcie jakieś mieszkanie, Buddy. Nie jestem z Armii Zbawienia, stary, i mam już ciebie powyżej dziurek od nosa.

—Niespecjalnie układa ci się z Maralee, co? — spytał współczująco Buddy.

Randy'emu nie było do śmiechu. — Odpierdol się, wynoś się stąd i nie wracaj, zostaw klucze i odeślij mi całą pierdoloną forszę, jaką jesteś mi winien.

Buddy zgarnął swoje rzeczy i spakował do walizki. Nie winił Ran-dy'ego. Istnieje coś takiego, jak nadużycie czyjejs gościnności.

Spotkanie twarzą w twarz z byłą żoną Neila nie było tym, czego się Montana spodziewała. Ale zachowała zimną krew, przedstawiła się i uścisnęła jej zdawkowo dłoń, a potem upokorzyła się pytaniem:

—Czy pani już go widziała?

Maralee, tkwiąca przed oddziałem intensywnej terapii, potrząsnęła przecząco jasnymi lokami. — Nikogo tam nie wpuszczają — wyjaśniła.

Ja jestem jego żoną, pomyślała Montana. Ja dostanę się do niego bez względu na to, czy to się komuś podoba, czy nie.

Pojawił się lekarz. Był przystojny, koło czterdziestki i wypiełgnowany do ostatniego cala. Montana od pierwszego wejrzenia straciła do niego zaufanie. Buty od Gucciego, gruby, złoty łańcuch między rozchylonymi klapami kitla — to wszystko ją zaniepokoiło.

—Pani Gray? — zapytał gładko, kierując się wprost ku Maralee.

—Tak — zachłysnęła się Maralee. Należała do tych kobiet, które w sytuacjach stresowych odzywają się ciekim, urywanym, dziewczęcym głosem.

—To ja jestem panią Gray - powiedziała stanowczo Montana, stając między tamtą dwójką.

Doktor spojrział na nią zmieszany. Zauważyła, że regulował sobie brwi, a ciemne półksiężycy pod oczami maskował muśnięciem pudru w kremie.

Zakłopotanie ustąpiło miejsca uśmiechowi, gdyż lekarz właśnie uświadomił sobie, że przecież znajdują się w Hollywood. — Aha — westchnął ze zrozumieniem. — Obie panie są paniami Gray.

—Bystra uwaga, doktorze - prychnęła Montana. — Czy jest gdzieś tutaj jakieś miejsce, w którym moglibyśmy porozmawiać na osobności?

—Więc pani jest aktualną panią Gray?

Powstrzymała się przed złośliwą odpowiedzią.

Zaprowadził ją do swojego gabinetu. Maralee usiłowała iść za nimi, ale Montana pohamowała jej zapędy jednym spojrzeniem.

-Pani Gray -- zaczął lekarz, składając razem palce obu dłoni i patrząc jej prosto w oczy. — Pani mąż jest poważnie chory.

-Zdaję-sobie z tego sprawę, panie doktorze. Chciałabym dokładnie wiedzieć, jak do tego doszło.

Wziął kilka leżących na biurku kartek i z uwagą zaczął je studiować. — Czy pani już rozmawiała z panem Easterne'em?

—Owszem, ale on mi nic nie powiedział. Czy to Oliver Easterne przywiózł tutaj mojego męża?

Doktor zawahał się chwilę. — Pan Easterne wezwał mnie... Na szczęście znajdował się wtedy przy pani mężu.

Ależ Oliver był na przyjęciu. Dlaczego miałby z niego wychodzić i iść z wizytą do Neila? Zmarszczyła brwi. Maserati Neila zaparkowany przed domem Giny. A kiedy czekała przed bramą na Buddy'ego, przyjechał jakiś samochód. Bardzo szybko. Jeśli się nad tym zastanowić, mógł to być Oliver.

Neil musiał więc dostać ataku serca, kiedy był z Giną. To ona wezwała Olivera. Oliver z kolei posłał po lekarza, który, jak wszystko na to wskazywało, miał całą rzecz utrzymać w tajemnicy.

-Jaka była przyczyna zawału? — spytała lodowatym głosem.

Lekarz wzruszył ramionami. — Kto to może wiedzieć? Przepracowanie, zbyt obfite jedzenie, stresy...

—Seks?

Nie był aktorem. Jego przystojne rysy zmąciło poczucie winy. — Może i seks. Wszystko mogło przyczynić się do tego...

—Z Giną Germaine?

Teraz dla odmiany doktor zmarszczył brwi. Przeklęty Oliver Easterne ze swoimi sekretami. Ta żona wiedziała. I prawdopodobnie cały szpital wiedział. Nie co dzień przecież przywożą na intensywną terapię parę tak ze sobą zakleszczoną, że trzeba ją rozdzielać chirurgicznie. Szczególnie gdy jedną częścią tej pary jest gwiazda filmowa. Westchnął. — Pani najwyraźniej zdaje sobie sprawę z okoliczności, pani Gray. To nic przyjemnego, ale przecież wszyscy jesteśmy ludźmi i jestem przekonany, że pani przede wszystkim pragnie, by pan Gray wyszedł z tego bez szwanku. — Zmienił tembr głosu z przyjacielskiego na profesjonalny. — Przeszedł dwa kolejne ataki serca. Pierwszy, nim go tutaj przywieziono, drugi, gdy już... jego i panią Germaine... jak by to ująć... rozdzieliliśmy.

Nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

- Słucham? — spytała, czując, jak przechodzą ją zimne dreszcze.

Starannie wyjaśnił jej całą sytuację. — Pochwica. Ostry skurcz pochwy, który sprawił, że pan Gray został... hmmm...

Przestała słuchać. Zrobiło się jej niedobrze. To, że Neil dostał ataku serca, było już dostatecznym złem. Ale w takich okolicznościach! Jak przez mgłę docierał do niej monotonny głos lekarza.

—...osłabiony ...nieprzytomny ...słabe tętno i ciśnienie krwi... reanimacja przyniosła pomyślne rezultaty... intensywna opieka... teraz wszystko pod kontrolą... zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Montana uczuła, jak słabnie jej ciało. Jak coś ją oblepia. I najnies-podziewaniej, bez żadnego ostrzeżenia, osunęła się zemdłona na podłogę.

Rossa obudziło dobiegające z korytarza krzątanie się służby hotelowej. Dyskretne dźwięki za drzwiami jego pokoju, brzęk tac, szepty w języku hiszpańskim. Przeciągnął się, odchrząknął i podumał nad rozkoszami spania w pojedynkę. A potem pomyślał o oświadczeniu George'a Lancastera i twarz jego wykrzywił gorzki grymas. To znakomity pomysł na położenie filmu. George Lancaster nie potrafi zagrać bez tej swojej maniery. Wszyscy o tym wiedzą.

Uśmiezek na twarzy Rossa pogłębił się, kiedy sięgnął po słuchawkę i zamówił obfite śniadanie.

Przecież tego właśnie Elaine chciała, nieprawda? No to dobrze, skoro jej tak na tym zależało, to, do cholery, dostanie to.

Elaine zrzęda. Elaine megiera. Elaine sklepowa złodziejka.

Miał już powyżej uszu gładzenia, żeby zrobił to, zrobił tamto, zrzucił wagę, poszedł na gimnastykę. Jesteś tusty. Jesteś stary. Łysiejesz.

Z całą pewnością nie on łysiał. Jeżeli już ktoś, to ona. Na jej szczotce kłębiły się tumany włosów — sam widział. Z radością wbił/sobie w pamięć, żeby jej o tym powiedzieć.

Kiedy? Przecież już jej nie zobaczysz, kutasie.

Wstał i wypakował swoją walizkę od Vuittona. Przynajmniej odesłała go z uczciwym posagiem. Nie żeby nie mógł się bez tego obejść. Etykiety nie interesowały go. To Elaine wiodła życie według etykietek.

Ziewnął głośno. „Pohamuj się”, powiedziałyby Elaine. Pierdnął — triumfalna salwa. „Boże, Ross! Jesteś po prostu obrzydliwy”, jęknęłyby. Jak gdyby sama nigdy nie pierdziała. Chociaż... chyba rzeczywiście jej się nie zdarzało. Ale gdyby pierdzenie stało się ostatnim krzykiem mody, wtedy, kto wie...

Roześmiał się w głos. On sobie poradzi. Opuszczenie domu oznaczało wyzbycie się przymusu oglądania napływających poranną pocztą rachunków.

Przybył kelner z wózkiem wyładowanym wszelakimi dobrami. Sok ze świeżej pomarańczy, gorąca kawa, mielone kotlety wołowe z żółtymi jak słońce sadzonymi jajami, razowe grzanki i dodatkowe kotlety siekane. Rzucił się na jedzenie, jakby od miesiąca nie miał nic w ustach.

Powinien zadzwonić do Karen, tylko że nie miał na to ochoty. Zraził go jej tak niedyskretny sposób zachowania się podczas przyjęcia. Nie miała do Rossa żadnych praw. A poza tym, jeżeli ma być wolny, to przecież może to wykorzystać i zabawić się. Teraz, kiedy został spuszczoney ze smyczy, mógł sobie pomarzyć o wielu kobietach, jakie pragnąłby spotkać — na przykład o Ginie Germaine.

Uśmiechnął się do siebie i usiłował zapomnieć o rozczarowaniu, jakim było sprzątnięcie mu sprzed nosa roli i wyrzucenie go z jego własnego domu. No, przynajmniej później w ciągu dnia spotka się z Sadie La Salle. Jeżeli ktokolwiek potrafi podeprzeć jego chwiejącą się karierę, to ona właśnie.

Wyglądało na to, że Neil dokonał rzeczy niemożliwej. Montana nigdy nie przypuszczała, że jest zdolny do wpadnięcia w tak ewidentną pułapkę, jaką zastawiła na niego żadna poklasku cyczata gwiazda filmowa. A jednak — okazał się facetem takim jak wszyscy. Zdrada męża ukłuła ją boleśnie, gdyż spodziewała się po nim większej klasy. Bolało ją, że był taki słaby. Tak słaby, że niemal sam się zabił.

Nie czuła do niego nienawiści. A mimo to nie kochała go już. Otumaniał ją swoim zachowaniem. Wiedziała na pewno, że cokolwiek ich dotąd łączyło, umarło.

Powzięła pewne decyzje. Gdy Neil będzie leżał w szpitalu, ona zostanie przy nim. Ale jak tylko stamtąd wyjdzie — no cóż, jeżeli o nią chodzi, to nie ma żadnej drogi powrotnej.

Jedenasta rano. Punktualność jest cnotą gwiazd. Mimo pogniecionego ubrania, Buddy czuł się pewny siebie.

—Do pani La Salle — poinformował recepcjonistkę, pochłoniętą opilo wy waniem paznokci.

—Co takiego? — zaterkotała.

—Do pani La Salle.

Recepcjonistka zirytowała się. Była prędką w języku. — A pan kim jest? — prychnęła.

—Hmmm... Buddy Hudson.

Sprawdziła w notesie, wskazała krzesło i powiedziała: — Poczekaj pan. — A potem przez intercom przekazała jego nazwisko.

Pięć minut urosło do dziesięciu. Buddy przejrzał magazyn „Time”, „Dramalogue”, wiadomości z branży.

Dziesięć minut przerodziło się w dwadzieścia. Przelotnie wspomniał Angełę, potem swój wieczór z Montaną. To fantastyczna babka. Miał nadzieję, że zostaną

przyjaciółmi. Seks okazał się wspaniały, taki, jakiego było potrzeba im obojgu w tamtej szczególnej chwili. Ale tylko i wyłącznie wtedy. Wiedział, że i ona ma podobne odczucia.

Zabrzączał intercom. — Pan idzie — powiedziała dziewczyna i trzy-calowym paznokciem wskazała pełny gabinetów korytarz.

Wziął głęboki oddech. Ostatnio wszedł na sam szczyt, co doprawdy podkopało mu nerwy. Buddy Boy zawsze potrafił wziąć się w garść. Ale niespodziewanie wszystko potoczyło się tak błyskawicznie.

Podeszła do niego ubrana w czerwoną sukienkę sekretarka. — Wi- g taj, Buddy — uśmiechnęła się. — Tędy, proszę.

Poprowadziła go na koniec korytarza i szeroko otworzyła drzwi do sekretariatu, w którym siedział jakiś mężczyzna piszący na maszynie, i Spojrzał do góry i szybko oszacował wzrokiem prezencję Buddy'ego. 1

— Witam — odezwał się. - - Sadie przyjmie cię za chwilę. Proszę usiąść.

— To Ferdie Cartright — przedstawiła go sekretarka. — Osobisty sekretarz pani La Salle. — I uśmiechając się wyszła.

Buddy usiadł. Koszula pod pachami przesiąkła mu potem. Miał tylko nadzieję, że nie widać tego na marynarce.

Ferdie zamasyżuje skończył pisanie i wyciągnął papier z maszyny.

— Gotowe! — oznajmił. — To osobisty list od Sadie do Barbry. Buddy patrzył przed siebie i w milczeniu powtarzał kwestię na powitanie. „*Panno La Salle*”. *Poprawka. „Pani La Salle. Marzyłem o tym dniu, od chwili w której moja stopa po raz pierwszy stanęła w Hollywood”.*

Co za gówniana bzdura!

Sadie. Pani i ja... jesteśmy stworzeni do wspólnej pracy”.

Jeszcze gorzej.

„Sadie La Salle” — powiedziane z szacunkiem. „Legenda tego miasta”.

Jasna cholera!

—Pani La Salle pragnie pana teraz widzieć — oznajmił Ferdie w odpowiedzi na trzy ostre brzęczyki.

Buddy poderwał się w górę. Kompletnie przestał nad sobą panować. Podążył za Ferdie'm, wprowadzającym go przez drzwi do słynnego gabinetu.

—Pani La Salle, przedstawiam pani Buddy'ego Hudsona — odezwał się formalnie Ferdie.

Siedziała za ogromnym, zabytkowym biurkiem zavalonym scenariuszami. W średnim wieku, krótko obcięte czarne włosy, twarz, w której nie było nic godnego uwagi prócz ogromnych, błyszczących, czarnych oczu. Ani atrakcyjna, ani nieatrakcyjna. Było w niej jednak coś znajomego, czego Buddy nie potrafił określić.

Paliła wysmukłą, brunatną cygaretkę, którą skinęła, polecając mu, by usiadł:

Sadie natychmiast pojęła, o co chodziło Montanie. Ten chłopak nie wszedł do jej gabinetu, on wmaszerował tutaj owym szczególnym, kołyszącym się krokiem, którego nie można nie zauważyć. Miał wspaniałe ciało - - co łatwo można było sobie obejrzyć w tego rodzaju ciuchach, jakie na siebie nałożył. I chociaż ciemnowłosy, przypomniawszy Sadie Rossa z czasów ich pierwszego spotkania. Ten sam chód. To samo kołysanie biodrem. Bijąca w oczy zmysłowość, na widok której zapiera ci dech. Przy jej pomocy wepchnęła Rossa w konstelację gwiazd. Cóż za Wyzwanie, aby uczynić to po raz wtóry. Och, od tamtej pory wykreowała gwiazd bez liku. Ale nigdy w taki sam sposób. Jak prezentowałby się Buddy na plakatach rozwieszonych od Atlantyku po Pacyfik? Po tych wszystkich latach kampania w identycznym stylu. Wytarte szorty z obciętych Levisów i KIM JEST BUDDY HUDSON?

Ten pomysł zaintrygował Sadie.

Buddy nerwowo przycupnął na brzeжку krzesła. Wszelkie odżywki na wejście wyleciały mu z głowy. Sadie mierzyła go wzrokiem, jak gdyby był wystawionym na pokaz bykiem. Czuł się nieswojo.

Wreszcie przemówiła: — Cieszę się, że przyszedłeś, Buddy. Monta-na Gray wystawiła ci płomienne referencje. Dziś rano obejrzałam twoje zdjęcia próbne i muszę się z nią zgodzić.

—Naprawdę? — zakręciło mu się w głowie. Jego szczęście pięło się w górę. Wszystko przybierało pomyślny obrót. — Tak się cieszę — wydukał.

—Bardziej będziesz się cieszyć, kiedy skończę nad tobą pracować. Pragniesz zostać gwiazdorem, zgadza się? A ja jestem zdania, że trafiłeś na właściwą osobę, która może tego dla ciebie dokonać.

Ledwie mógł uwierzyć własnym uszom. No, ale tego się przecież spodziewał przez całe swoje życie.

Czarne oczy spotkały się z czarnymi oczami.

—Jestem gotów — powiedział Buddy.

- Wiem, że jesteś — odparła Sadie.

Deke rozumiał, że w jego żyłach płynie potęga życiowej siły. Od dłuższego czasu czuł, jak w nim wzrastała. A teraz, kiedy miał ogoloną głowę, potęga ta została wyzwolona. Wiedział, że może dokonać wszystkiego, czego zechce, gdyż chroniła go aura potęgi. Był niezwyciężony. Samotnie szedł przez świat pełen szumowin. I jeżeli zechce, to właśnie on potrafi dać ludziom wyzwolenie.

Podcięcie czyjegoś gardła i przyglądanie się, jak wypływa przez nie krew, było aktem zbawienia. Stróż Porządku nie musiał już zachowywać ostrożności. Był nietykalny.

Bezwzględnie dowiedzione.

Wybawił sekretarkę od jej żalosalnej egzystencji. Ciął ją, aż krew trysnęła, a życie się ulotniło. Potem umył się w pobliskiej toalecie, ściągnął przesiąkniętą krwią koszulę, przepłukał lepką krew pod zimną wodą, z powrotem naciągnął wilgotną koszulę i odnalazł gabinet z aktami.

Robiąc to wszystko nie musiał się spieszyć. Czuł się doskonale spokojny i bezpieczny.

Znalazł to, czego szukał, potem resztę akt wyrzucił z żelaznej szafki na podłogę.

Następnie zapałką podpalił papiery i przyglądał się, jak ogarnia je ogień.

Niespiesznie wrócił do swojego mikrobusu zaparkowanego przecnicę dalej. Joey byłaby z niego dumna.

A teraz siedział na twardym łóżku w obskurnym pokoju motelowym i przeglądał akta szukając pożądanej informacji.

—Miło mi cię poznać — powiedziała matka, a potem zacisnęła usta w pełną dezaprobaty linijkę.

Joey schwyciła zdumioną kobietę w niezdarne objęcia i złożyła na jej policzku lekki pocałunek. — Mamuśka! — wybuchnęła. — Tak mam ochotę panią nazywać. Postanowiłam to od pierwszej chwili, w której mi Dekey o pani opowiedział.

Winifreda Andrews z pewnym wysiłkiem odepchnęła dziewczynę i usiłowała odzyskać równowagę. Nienawidziła, kiedy jej dotykano. — Nie zwracaj się do mnie w ten sposób — powiedziała, ubierając swoje rysy w beznamiętą maskę. — Nie jest stosowne, abyś tak mówiła.

—Póki co, nie! — dodała Joey z porozumiewawczym mrugnięciem.

Dekę tkwił na progu schludnego saloniku, gdzie każdy mebel, każdy bibelot wyglansowany do połysku stał na swoim miejscu. Nie chciało mu się wchodzić do środka. Wiedział, że rzeczy przybierają niepomyślny obrót i że za chwilę utraci jedyną osobę, która cokolwiek dla niego znaczyła.

—Ho, hol — krzyknęła Joey. — Co za porządny pokoik tutaj macie! Jest taki... ho, ho! Taki domowy! Uwielbiam go!

Nerwowy tik pojawił się pod lewym okiem Winifredy Andrews. Była ona kobietą o surowym wyglądzie, siwych włosach i minie dewotki. Jej małżonek, Willis, był tak bezbarwny i styranizowany, że można się było znaleźć z nim w jednym pokoju i wcale go nie zauważyć.

Co dokładnie uczyniła Joey. Całą swoją uwagę skupiła na pani Andrews, za wszelką cenę starając się zmusić tamtą, żeby ją polubiła. ~~ A gdzież to podziwia się pan A.? — spytała nieśmiało. — Czy on jest takim samym przystojniakiem jak mój Dekey?

Winifreda odwróciła się i wzrokiem spiorunowała Dekę 'a, wciąż ociągającego się w drzwiach. — Przedstaw ojcu... swoją... przyjaciółkę.

Dekę niechętnie wszedł do salonu i niezgrabnie dokonał prezentacji.

—Oooo... panie A. Wcale nie zauważyłam, że pan tutaj siedzisz — powiedziała przeciągłym głosem Joey, absolutnie nie zamierzając być złośliwą.

Nie czekając na odpowiedź, ucałowała bezbarwnego człowieczka w oba policzki,

zostawiając ślady szminki. Willis nerwowo obejrzał się na żonę.

—Siadaj! — poleciała Winifreda lodowatym tonem. — Ty jesteś Josephine, prawda?

—A jak — odparła Joey. — Ale wszyscy moi znajomi nazywają mnie Joey. To coś jakby ksywka, pani wie? — Rozłożyła się na wąskiej, brązowej kanapie i skinęła na Deke'a, żeby koło niej usiadł.

Uczynił to niechętnie.

Cisza.

Przerwała ją Winifreda. — Bardzo późno przyszedłeś, Deke. Jaki by tego powód?

—Mówiłam mu, że jest późno — wtrąciła się zrzędlwym głosem Joey. — Bez chwili przerwy powtarzałam to temu idiocie, ale on wcale mnie nie słuchał.

Teraz natomiast słuchał uważnie. Jak Joey ma czelność wyzywać go w obecności jego matki? Jak śmie?

—Nie ma sensu mówienie Deke'owi czegokolwiek — odezwała się Winifreda. — On nigdy nie słucha, robi tylko to, co sdm zechce, ani trochę nie bacząc na innych.

Joey ze zrozumieniem pokiwała głową.

Winifreda westchnęła, demonstrując swoją anielską cierpliwość.

—Zrobiliśmy dla niego wszystko. Poświęciliśmy się ponad nasze siły. Czy on ci opowiadał, że niemal umarłam przy jego urodzeniu?

Joey potrząsnęła sterczącymi włosami.

—Ale cóż to ma dla niego za znaczenie? — ciągnęła Winifreda.

—To przecież ja omal nie umarłam, nie on.

—Kurde, co za niewdzięcznik — wtrąciła się Joey, zachwycona sposobem, w jaki pani Andrews się jej zwierza.

—/ można by się spodziewać, że po tym, co przeszłam, urodziłam czulego syna, chłopaka, który troszczyłby się o swoją matkę. Ale Deke nie ofiarowuje mi nic prócz bólu i zmartwień. On...

Deke słuchał, jak cierpkie słowa oskarżeń wylewają się z wąskich, i zaciśniętych warg.

Jak tyle razy przedtem — prawdę mówiąc, przez całe jego życie.

Diabła wart, do niczego, słaby, nieczuły.

Joey chłoneła każdą sylabę, rozdziawiła umazane szminką wargi, zezujące oczy strzelały to w tę, to w tamtą stronę. Kiwała głową, że się zgadza. Brała stronę jego matki.

Poczuł się straszliwie zdradzony. Zrobili z niego zero. Dopiero przy Joey poczuł się kimś. Jej kowbojem, jej kochankiem. Czyżby ta kurwa go oszukiwała?

Niemal niedostrzegalnie do jego duszy zaczęła wkradać się wściekłość. tffe ma zamiaru pozwolić matce, by zniszczyła to, co nawiązało się między nim a Joey.

Gwałtownie zerwał się na równe nogi. — My chcemy się pobrać — oznajmił.

Willis Andrews pomknął do odbiornika telewizyjnego i włączył go. Jak gdyby taki czyn z jego strony mógł zapobiec nadciągającej awanturze.

Winifreda spojrzała na Dekę 'a jak na rozkładającego się trupa.

Joey klasnęła w dłonie niczym dziecko, które właśnie dostało nową zabawkę. A potem wypowiedziała niefortunne zdanie: — Pani zobaczy, pani A., kiedy się pobierzemy, to ja naprostuję Dekeya. Pani i ja weźmiemy się za niego. — Zachichotała głupkowato. — Zmusimy go, by obciął te swoje tłuste klaki, i kupimy mu odpowiednie ciuchy. — Jej oczy lśniły. — Pani A., obiecuję pani, że będę dla pani fantastyczną córcią. Pani mnie pokocha. — Każdy cal ciała Joey promieniował nadzieją. — Niech ja skonam.

Winifreda Andrews najpierw wlepiała oczy w Joey, potem w Dekę'a.

— Czy tego właśnie chcesz, synu? — spytała z niedowierzaniem w głosie. — Tej... tej... tej dziewczki?

Twarz Joey zachmurzyła się.

Willis Andrews nie odrywał spojrzenia od ekranu telewizora.

— Owszem — odpowiedział Dekę.

Wąskie wargi wykrzywił grymas. — Czy ja się nie przesłyszałam? Powiedziałeś „owszem”?

— Ona mnie kocha, a ja jej pragnę.

— Kocha cię, myślałby kto. Jak gdyby ktokolwiek mógł cię pokochać.

Zaczęło mu pulsować w głowie. — Ona tak.

— Czyś ty się jej w ogóle przyjrzał? Przecież to śmieć.

Hej... — zaczęła Joey, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

—Jest dobra dla mnie. Miła.

—Jest nędzną uliczną dziwką. Ale i tak dla ciebie jest jeszcze za dobra. Każda kobieta jest dla ciebie za dobra... sam o tym wiesz, co?

Joey skuliła się na starej, brązowej sofie. W jakiś sposób musiała się przeliczyć. Więc teraz lepiej siedzieć cicho, aż wreszcie uda się z powrotem nakierować rzeczy na właściwe tory.

Winifreda nie ustawiała w poniżaniu syna. Bez zająknięcia, twardym głosem mieszała go z błotem.

Całe życie przyjmował to w milczeniu. Nigdy nie próbował się bronić] czy odpyskowywać. Nawet kiedy zmuszono go do sprzedaży jego samochodu. Jego dumy i radości. Ale kiedy siedziała tutaj Joey, wysłuchiwanie...

—Nienawidzę cię! — wrzasnął nagle. — Chciałbym, żebyś naprawdę zdechła dając mi życie. Chciałbym, żebyś się do jasnej cholery przekreśliła. To ty zrujnowałaś moje życie!

Winifredę zatkalo tylko na ułamek sekundy.

—Ty niewdzięczny pasożycie — zakipiła złością. — Ordynarny język rodem prosto z rynsztoka. Wzięliśmy cię znikąd. Daliśmy ci dom, jedzenie, ubranie. Chociaż nawet nie byłeś z naszego ciała i krwi. Twoja matka porzuciła cię...

—Winifreda — zaprotestował Willie.

—Siedź cicho! — bluznęła. — Czas, aby wreszcie poznał prawdę.

Dekę potrząsnął głową. O czym ona mówi? Nic z tego nie zrozumiał.

—Kupiliśmy cię — wyjaśniła, jej matowe oczy niemal się ożywiły.

—Tak jak się kupuje psa. Wybraliśmy cię z całego miotu. Ha! To ci dopiero wybór!

—O czym ty mówisz? — jęknął żałośnie.

—Sto pięćdziesiąt dolarów. Wtedy to było mnóstwo pieniędzy. 1

—Twarz Winifredy rozjaśniła się triumfem, jak gdyby doświadczyła właśnie jakiejś cudownej ulgi. — / co ty na to?

Drżał cały. — Kłamiesz.

—Wcale nie.

—Kłamczucha! — wrzasnął.

—Nie jestem żadną kłamczucha — powtórzyła uparcie. Przeszła przez salon do biurka, które trzymała zawsze zamknięte, i otworzyła je. Jedyne dźwięk w pokoju dobiegał z odbiornika telewizyjnego. Willis Andrews ukrył twarz w dłoniach i mamrotał coś niezrozumiale.

Joey siedziała jak sparaliżowana. Jakże okropną przygodą okazała się ta wizyta. Doprawdy, kochająca rodzinka. Przyjmująca ją z otwartymi ramionami.

Winifreda wyciągnęła jakiś papier i cisnęła go w Dekę 'a.

— Masz — powiedziała. — To nazwisko i adres kobiety, od której kupiliśmy cię w Kalifornii, w Barstow. Akuszerka. Bóg jeden wie, skąd ciebie wytrzasnęła.

Dekę miał uczucie, że umiera. Całe życie przemknęło przed jego oczami niczym na filmie. Bicie, upokorzenia, nieustanna tortura powtarzania, że jest zerem...

I ta wina...

NIEMAL UMARŁAM PRZY PORODZIE. PRA WIE MNIE ZABIŁEŚ, KIEDY CIĘ RODZIŁAM.

Cale jego życie to poczucie winy.

Za coś, co nie istniało?

To nie była jego prawdziwa matka. Och, Boże, to nie ona...

Łomot w głowie, przed oczami ciemne plamy. Czuli, że dławi się z rozpacz i z wściekłości.

Winifreda Andrews. Obca kobieta. Zaczyna się śmiać bezlitośnie.

TO WCALE NIE AŻ TAK ŻŁE... TO WCALE NIE TAK ŻŁE.

Dołączyła do niej Joey. Reakcja nerwowa.

TAK. TO ŻŁE. TAK. Z TYM MUSZĘ COŚ ZROBIĆ.

Roześmiał się także i Willis. A może zapłakał? Nieważne.

Informacja znalazła się w aktach między pożółkłymi listami pełnymi skarg. Próchnienie. Wilgoć. Najazd myszy. Pani Carrolle mieszkała w tamtym domu od 1956 do 1973 roku, kiedy to przeprowadziła się do Las Vegas. Na podartej, białej

wizytówce widniał wypisany starannie na maszynie jej nowy adres.

Pani Nita Carrolle.

Miał nadzieję, że zastanie ją jeszcze przy życiu. Tęsknił do tej przyjemności, jaką mu da zabicie jej potem, jak już wyciągnie z niej wszystkie informacje potrzebne mu do przetrwania.

Trzy świnię. Trzy rozrehotane twarze. Zęby i oczy, i włosy. Trzy świnię.

Piątkowy lunch w Ma Maison. Wkracza Giną Germaine. Zwracają się ku niej wszystkie oczy. Cisza. Tylko przez sekundę. A potem znowu wraca zwykła wrzawa.

Giną dołączyła do Olivera Easterne'a, siedzącego przy swoim stoliku, i zaczęła pluć jadem. — Do kurwy nędzy, na co się wszyscy tak gapią?

-Na ciebie, oczywiście — wyjaśnił Oliver, rozmazując plamkę na obrusie. -- Powinnaś już do tego przywyknąć. Od ilu lat pracujesz w filmie?

-Dostatecznie długo, by wiedzieć, że w tej restauracji w porze lunchu w piątek nikt się na nikogo nie patrzy. Mogłaby tutaj wejść na golasa Raquel Welch i nikt nawet nie mrugnąłby okiem. — Oczy samej Giny wybałuszyły się niepokojąco. — Czy wszyscy już wiedzą, Oliver, powiedz? Czy już się to wszystko rozniosło?

Pogłaskał ją uspokajająco po dłoni. Ciekawe, jakim cudem mogła przypuszczać, że to, iż odwieziono ich z Neilem do szpitala — powiedzmy splecionych w uścisku — mogło się utrzymać w tajemnicy. Wiadomość o tym przechodziła z ust do ust. Wielka sprawa. Gdyby Giną była sprytniejsza, to po prostu nadrabiałaby miną i skorzystała z tego rozgłosu.

Minął tydzień. Neil Gray wciąż marniał w szpitalu. Rokowania nie były najlepsze. Oliver natomiast nie próżnował. Nie miał najmniejszej ochoty pozwolić, żeby film zgasł śmiercią naturalną z powodu niedyspozycji Neila. Toteż stosownie do okoliczności wyrzucił z pamięci dziewczynę z plaży i na nowo rozważył zaangażowanie Giny. Kilka dyskretnych rozmów ukazało mu korzyści płynące z filmu, w którym główne role zagraliby George Lancaster i Giną Germaine. Tych dwoje równało się niezłej gotówce w banku. Oferowano mu rekordowe przelewy bankowe, jeżeli tylko zdoła dostarczyć towar. A to właśnie Oliver zamierzał uczynić.

Gdyby zaś nie spodobało się to Neilowi i Montanie, to on ich pieprzy. Niewielkie mieli możliwości, by z nim zawalczyć.

Giną przywołała kelnera i zamówiła Bloody Mary. Miała na sobie białą sukienkę bez ramiączek, która podkreślała jej wspaniałe piersi. Ale w oczach Olivera nie były one absolutnie wspaniałe, uważał je raczej za obrzydliwe. Tylko że jako człowiek filmu wiedział, że musi dać publiczności to, czego ona żąda. A w przypadku Giny — uwielbiały ją nieprzeliczalne masy i była ogromnie kasowa.

Dlaczego zaprosiłeś mnie na ten lunch? — spytała bez ogródek.

Zastanawiam się nad obsadzeniem cię w roli Nikki.

Och! — zachłysnęła się odrobinę. — Naprawdę?

Ja zawsze byłem zwolennikiem tego pomysłu, ale Neil i Montana nie uważali, że jesteś odpowiednia. Ja, szczerze mówiąc, jestem całkiem odmiennego zdania.

—Zawsze mówiłam, że bystry z ciebie sukinsyn — zamruczała miękko Giną. — Kiedykolwiek ktoś miał coś przeciwko tobie, ja zawsze stawałam po twojej stronie. — Zatrzepotała długimi, sztucznymi rzesami i uściśnęła mu dłoń. — Ogromnie cię lubię, Oliver.

Pospiesznie cofnął rękę. — Dziękuję ci.

—Ja naprawdę tak myślę.

—Nie mam wątpliwości.

Potrząsnęła swoimi cukierkowato-jedwabistymi białymi włosami i spuściła chabrowe oczęta. — Tak mi okropnie wstyd za tamtą noc. To wszystko było takie... poniżające.

—Nie martw się tym — pocieszył ją. — Po prostu myśl o przyszłości.

—O tak, muszę. - Wyglądało na to, że podjęła decyzję. — Problem polega na tym, że zawsze tak bardzo troszcę się o innych. Więc teraz, przynajmniej ten jeden raz w życiu, muszę się zatroszczyć o siebie. — Z jej głosu bila nuta niekłamanej szczerości.

— Bardzo chcę zagrać w „Ludziach z ulicy”, ale kiedy zaczniemy zdjęcia? Neil leży w szpitalu i to... — umilkła. — Jakie masz plany?

Oliver odchrząknął. Ukłonił się paru osobom. — No więc tak, Gina - zaczął. — Biznes to biznes i mimo że mi tak okropnie przykro z powodu Neila... hm... niefortunnej

choroby, przedstawienie toczy się dalej. Mam pewne pomysły. Może zaangażujemy innego reżysera. Nic

się nie martw, po prostu wyobraź sobie czołówkę. /

—Giną Germaine i George Lancaster — zachichotała.

Oliver oczami duszy zobaczył to w następujący sposób:

FILM OLIVERA EASTERNE'A

PRODUCENT OLIVER EASTERNE

GEORGE LANCASTER I GINĄ GERMAINE

W „LUDZIACH Z ULICY”

—No to w porządku — oznajmił. — Zaraz po lunchu zadzwonię do Sadie.

—A co robisz później? Może byś wpadł do mnie na małego drinka?

Wzdrygnął się. Sama myśl o pójściu do łóżka z Giną przepełniała go zgrozą. — Może innym razem skorzystam z twojego zaproszenia.

—Liczę na to — kusła go.

- Nie omieszkam.

Wysiłki Elaine zmierzające do ściągnięcia Rossa z powrotem w małżeńskie pielesze spełzły na niczym. Najpierw aż dwa dni zabrało jej odszukanie go, a kiedy już wytropiła męża w Beverly Hills Hotel, odmówił skontaktowania się z nią przez telefon, mimo jej próśb.

Wprost nie mogła uwierzyć w to, jaką była idiotką, wyrzucając go z domu. Teraz naczelnym zadaniem było znalezienie sposobu na zwabienie go z powrotem i uniknięcie przy tym publicznych scen. Na tym polegał kłopot z Beverly Hills, wszyscy wszystko o tobie wiedzieli.

Dom wyglądał niczym kwaciarnia. Żółte róże od Pamelii i George'a — nieco już przywędłe. Orchidee od Bibi i Adama. Tulipany, lilie, palmy i drzewka yucca... nie kończący się strumień egzotycznych roślin z dołączonymi do nich bilecikami, w których dziękowano cudownym państwu Conti za cudowny wieczór. Kwaciarnia Flowers Fashion musiała przeżywać wielki dzień. W normalnych warunkach Elaine byłaby nieprzytomna z radości. Ale bez Rossa czuła się zdezorientowana i jakby pusta.

Nie miała z kim porozmawiać. Może tylko z Maralee, którą obecnie bardziej interesowało wysiadanie w szpitalu na swoim tak ją ośmieszającym posterunku.

—Przecież rozwiodłaś się z Neilem — podkreśliła stanowczym tonem Elaine.

—Teraz to nie ma znaczenia — odparła przez łzy Maralee.

—Wciąż go kocham i chcę, żeby się o tym dowiedział.

Randy został odsunięty na dalszy plan. Maralee nawet nie chciała o nim mówić. Od czasu do czasu Elaine zaglądała do szpitala, żeby dotrzymać przyjaciółce towarzystwa. Ale nie czuła się tam najlepiej, zwłaszcza kiedy pojawiała się Montana, która panoszyła się, jak gdyby cały szpital do niej należał.

Piętrzył się stos rachunków. Upychała je koło drzwi wejściowych, przygotowując do odesłania doradcy finansowemu Rossa. Kurczył się zapas gotówki, Elaine zastanawiała się, co z tym wszystkim począć. Nie żeby miała tak wielkie potrzeby, bieżące wydatki załatwiały karty kredytowe Visa czy American Express. Ale Lina domagała się zapłaty. I byłoby takie poniżające przyznać się pokojówce, że akurat brakuje pieniędzy.

Och, Ross, dlaczegoś ty mi to zrobił?

To nie on. To ty sama to zrobiłaś. To ty.

W tydzień po odejściu Rossa w progu domu pojawił się Ron Gordino dźwigający ogromne pnącze.

—Myślę, że gdzieś znajdziesz na to miejsce — wycodził.

Oczy Elaine pobiegły ku kroczu jego dresu. Męskość Rona wypuściła się nieprawdopodobnie.

—Dziękuję ci — mruknęła. W świetle dnia prezentował się lepiej niż wieczorem.

Tkwiał na schodach, ociągając się z odejściem, aż wreszcie zaprosiła go na filiżankę mrożonej herbaty. Było południe. Kiedy rozsiedli się nad basenem, zerknęła na nich podejrzliwie Lina.

—Dlaczego... hmmm... nie przyszedł do mnie? — spytał Ron. — Musisz utrzymać formę, Elaine. Jeżeli ciało zwiędnie... wszystko pójdzie za nim. Bierzesz te witaminy? Kiwnęła głową, naprawdę wzruszona jego troskliwością. Przynajmniej jego

obchodziła.

—Krażą pogłoski, że ty i... hmmm... Ross... poszliście każde swoją drogą.

—Kto ci o tym powiedział?

—Tak się mówi.

—Po prostu daliśmy sobie chwilowy oddech.

—Wyglądasz na spiętą.

—Czuję się świetnie.

—Wygląda na to, że potrzeba ci... hmmm... masażu.

—Nie dzisiaj, Ron.

—Dlaczego nie?

—Nie jestem w odpowiednim nastroju.

Pochylił się ku niej i leniwie zagłębił kciuki u nasady jej szyi. — Mała, napięta kobietka — wycedził. — Zrobią ci się zmarszczki na twarzy. Westchnęła znużona. — Już mam zmarszczki.

—Połóż się.

—Nie mogę.

—Dlaczego?

Pomyślała o kręcącej się po domu Linie. — To niemożliwe...

—Żadnego seksu — wycedził Ron. — Zwyczajnie chcę... hmmm... ci pomóc. Potrzebujesz tego.

Czyżby miała swoje życie podporządkowywać jakiejś meksykańskiej pokojówce? Naprawdę tego potrzebowała.

Poprowadziła Rona do sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Potem rozebrała się do stanika i majtek i położyła na brzuchu na kołdrze.

Ron natychmiast zabrał się do pracy — zwinne, kojące, utalentowane palce przynosiły ulgę jej ciału.

—Odwróć się — polecił.

—Żadnego seksu — zaprotestowała słabo.

—Nie powinnaś... hm... myśleć o tym, Elaine.

Zaczął masować jej stopy, co dostarczyło jej szczególnie miłych wrażeń. Potem niespiesznie zabrał się za jej nogi — kostki, łydki, uda. Wewnętrzna strona ud. Mocne palce ugniatały, naciskały. Mocne palce odsunęły krocze jej majtek i wtargnęły w nią z pewnością siebie, której nie miała ochoty się przeciwstawić.

Och, Ross, wróć. Wszystko ci przebaczyłam.

—Och...

Ross przez cały tydzień nie miał nikogo w łóżku. Przypadek Neila Graya i Giny Germaine przeraził go nie na żarty. No, zgoda, wszyscy twardziele utrzymywali dumnie, że nic nie mają przeciwko jeździe w siodle. Ale w rzeczywistości... Dobry Boże. Zapomnij o tym. Nie porafił wyobrazić sobie nic gorszego. A tak, swoją drogą, cóż za pułapkę miała w sobie Giną Germaine? Pułapkę posmarowaną miodem, do której żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie powinien się nawet zbliżać. Jakie szczęście, że on sam nigdy się z nią nie zetknął. Kaliber jego fiuta sprawiłby jeszcze większe kłopoty.

Więc póki co odpadało wyszukiwanie sobie panienki. O wiele ważniejszym zadaniem było zdobycie Sadie.

Spotkał się z nią w jej biurze. Odniosła się do niego z zawodową oschłością. Przez cały czas w jej gabinecie tkwił pedziowaty sekretarz, a ona kwaśno omawiała karierę Rossa.

- Popelniłeś furę błędów — stwierdziła zimno.

Powiedz mi, jakie.

Spotkanie trwało godzinę, a potem Sadie odprawiła go krótko— Pomyślę, co mogę dla ciebie zrobić. Nie ma sensu angażować się, jeżeli nie będziemy pewni, że możemy oferować ci to, co najlepsze.

Poczuł się niczym początkująca gwiazdeczka. Ale gwiazdeczki nie walczyły, one po prostu kładły się na plecach, rozkładały nogi i zapraszały do siebie całą Amerykę.

Hotelowe życie było w porządku. Telewizor. Obsługa do numeru. Uprzedzanie o telefonach. Nikt cię nie podsłuchuje. Od czasu do czasu przechadzka nad basenem. Z rzadka lunch w kawiarence. Przedobiodowy drink w Polo Lounge.

Ignorował telefony od Elaine. Zdecydował, że przyda się jej nieco udręki. Elaine nie była idiotką. Wiedziała, o co gra. To małżeństwo z nim czyniło z niej kogoś, bez względu na to, ile razy robił skoki w bok. Bez niego była zerem. Takie są prawa Beverly Hills, niezależnie od tego, czy jej się to podoba, czy nie. No, chyba żeby miała kupę forsy, a nie miała, lub może władzę, której też nie miała — wtedy rzeczy mogłyby się prezentować zgoła inaczej. Ale Elaine posiadała wyłącznie jego, taka była naga prawda.

Ponieważ Sadie nie zadzwoniła, uczynił to osobiście. — Pani La Salle skontaktuje się z panem najszybciej, jak to będzie możliwe. — Taką uzyskał informację.

Pani La Salle zwlekała. Prawdę powiedziawszy, Ross po upływie czterech dni zadzwonił ponownie i pani La Salle wreszcie uznała za stosowne podejść do telefonu.

—Przepraszam cię, Ross — powiedziała znowu urzędowym tonem, jak gdyby wieczór na przyjęciu nigdy się nie zdarzył. — Po prostu mam wypełniony po brzegi tydzień.

—Rozstałem się z Elaine — oświadczył.

Nawet się nie zająknęła. — Mam nadzieję, że masz do dyspozycji dobrego adwokata. Twoje porozwodowe alimenty muszą być horrendalne.

Uraził go brak zainteresowania z jej strony. — Myślałem, że do mnie zadzwonisz.

—Już ci mówiłam, miałam cholerny tydzień.

- Tak, wiem. Ale musisz mi wreszcie coś wyjaśnić: pracujemy razem czy nie?

Specjalnie ociągała się z odpowiedzią. Potem powiedziała: — Na ten weekend jadę do Palm Springs. Może wpadniesz tam do mnie i wszystko sobie omówimy?

Oślupiał. Od razu zorientował się, jaką grę prowadzi Sadie — grywał w to sam dostateczną ilość razy. — A co byś powiedziała na obiad dziś wieczór? — zaryzykował pytanie.

—Z największą przyjemnością, ale mam sesję zdjęciową.

—A jutro?

—Obawiam się, że albo w ten weekend, albo nigdy. — Umilkła, delektując się tą chwilą. — A w czym tkwi problem? Czyżbyś nie miał ochoty na spędzenie ze mną

weekendu?

Planował uwiedzenie Sadie. Ale na własnych warunkach. A teraz okazało się, że to ona przejęła inicjatywę.

—Nie wyobrażam sobie niczego lepszego — powiedział, usiłując zmienić bieg spraw.

— Więc tak: podjadę po ciebie i zawiozę cię na miejsce.

—Byłabym zachwycona — westchnęła ze smutkiem. — Ale już się umówiłam.

Podam ci adres. Najlepiej będzie, jak wpadniesz do mnie w sobotę koło piątej.

Przystał na jej warunki. Ale jak tylko złapie ją w swoje sidła, Sadie zacznie inaczej śpiewać.

Montanę dręczyły wyrzuty sumienia. A przecież wiedziała, że nie ma po temu powodów. Patrzyła na Neila leżącego na szpitalnym łóżku, wciąż na oddziale intensywnej terapii, i chciała wykrzyknąć: „To twoja własna wina!” Ale oczywiście nie uczyniła tego.

Spędziła nieprzytomny tydzień, instalując się w sąsiednim pokoju, by przebywać jak najbliżej Neila. Leżał niczym głaz, blady i wycieńczony, jak gdyby życie uciekło już z niego na dobre. A na tym świecie utrzymywały go tylko rurki, kroplówki i monitory. Nie mógł mówić, ale Montana wyczuła, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Lekarz — którego ochrzciła panem Gucci z powodu jego zamiłowania do firmowych etykietek — powiedział, że jest zadowolony z poprawy zdrowia Neila.

Jakiej poprawy? Chciała zasięgnąć porady innego lekarza, ale dowiedziała się, że pan Gucci ma znakomitą reputację.

Maralee, blada i we łzach, nie odstępowała Neila ani na krok. Montana uznała, że wcale nie była ona taką dziwką, jak to przedstawił Neil.

Od czasu do czasu wpadał Oliver. Przycisnął ją do muru słowami: — Powinniśmy porozmawiać o filmie.

Wprost nie mogła uwierzyć, że w takich okolicznościach chciał mówić o interesach. I powiedziała mu to.

—Nie bądź naiwna — prychnął. — Mam zobowiązania, które muszę wypełnić.

Zwłoka kosztuje.

—Więc co zamierzasz zrobić? — spytała sarkastycznie. — Nakręcić film bez Neila?

—Owszem — warknął. — I mam takiego prawnika, który uznał, że mam do tego wszelkie prawa. Sama sprawdź w kontrakcie — paragraf dotyczący chorób.

Zakipiała wściekłością. — Nie ośmielisz się tego zrobić!

—Może się założysz? Kiedy w grę wchodzi pieniądze, to stać mnie na wszystko.

Sadie La Salle wydała instrukcje. — Załatwiam dla ciebie, Buddy, sesję zdjęciową z jednym z najlepszych fotografików na tym wybrzeżu. I żądam, abys wyglądał absolutnie sensacyjnie. Więc, nim dostaniesz ode mnie wiadomość, masz kłaść się wcześniej spać i dużo się opalać. Stać cię na to?

Stać go było nawet na to, żeby przelecieć się na golasa po Sunset Boulevard, gdyby tego zażądała.

—Ćpasz? — spytała prosto z mostu. — Kręciłeś kiedykolwiek filmy porno? Pozowałeś do aktów? Robiłeś coś, o czym powinnam wiedzieć, zanim zabierzemy się do roboty? Nie życzylabym sobie, żeby zniecka wyskoczyła skądś twoja przeszłość, więc bądź ze mną szczery.

Nie był szczery. Nie chciał, by wszystko runęło w gruzy, nim jeszcze zaczęło się na dobre. Tak więc stał się Panem Niepokalanym i nie przyznał się do niczego więcej, jak kilka dymków trawkipd przypadku do przypadku.

—A co z twoją rodziną? — dociekała Sadie. — Żaden krewny- wariat czający się w szafie?

Przez jedną gorzką chwilę pomyślał o matce, potem potrząsnął przecząco głową.

—Jesteś żonaty? Rozwiedziony? Pedal? Biseks?

Wyjaśnił, że jest absolutnie normalny bez żadnych małżeńskich zobowiązań ani teraz, ani w przeszłości. Angela będzie niespodzianką. Z rodzaju tych przyjemnych.

Omówili „Ludzi z ulicy”, jego zdjęcia próbne i fakt, że Montana Gray zapewniła go, iż rola przypadła jemu.

—W tej branży nie ma niczego na pewno — przestrzegła go Sadie. — Naucz się tego i zapamiętaj na zawsze, bez względu na to, jak wielki się staniesz. — Zamilkła na

chwile. — Oczywiście, natychmiast porozumiem się z Oliverem Easterne'em. Choć kiedy Neil Gray wciąż leży w szpitalu, podejrzewam, że Oliver ma inne rzeczy na głowie. Film najprawdopodobniej zostanie przełożony na później, więc my nie zawężajmy naszych horyzontów.

—Oddaję się w twoje ręce — wzruszył ramionami. — Zrób, co uważasz za najlepsze.

—Zdrowe podejście. Trzymaj się tego.

Z ich pierwszego spotkania wyszedł wierząc szczerze, że podoła wszystkiemu. Jeżeli Sadie La Salle zobaczyła w nim gwiazdora, to był to znak, że przez te całe lata wcale się nie oszukiwał.

Najpilniejszą potrzebą stało się znalezienie mieszkania. Miał forszę w kieszeni — przynajmniej tyle, by dla odmiany znaleźć sobie coś przyzwoitego. Kupił więc „The Hollywood Reporter” i przejrzał kolumnę ogłoszeń o lokalach.

Po obejrzeniu kilku mieszkań wybrał umeblowany apartament na ; Wilshire w pobliżu Westwood. Żadna rudera. Kosztowne lokum, ale w podziemiach znajdowała się świetnie wyposażona sala gimnastyczna, a na dachu obszerny, czysty basen. Plus służba jak w hotelu.

Wprowadził się i wręczył pokojówce dwadzieścia pięć dolarów, aby miała staranie o jego garderobę, pranie, cerowanie i odnoszenie do pralni. Tysiąc dwieście papierów, szczodry gest ze strony Montany, uratowało mu życie. Postanowił spłacić ją z pierwszego honorarium.

Kupienie samochodu nie było aż tak pilne, gdyż Montana pozwoliła korzystać z jej Volkswagena do czasu, kiedy jej samej nie będzie potrzebny. Usiłował dodzwonić się do niej do szpitala, żeby powiedzieć, jak bardzo mu przykro z powodu jej starego, ale Montana nie przyjmowała żadnych telefonów. Zostawił swój nowy numer, by w każdej chwili mogła zażądać zwrotu samochodu.

I oczywiście bez ustanku myślał o Angeli. Ale prawdopodobnie, akurat teraz, byłaby większą zawadą niż pomocą, więc na pewien czas odsunął ją na dalszy plan. Sadie La Salle nakazała mu dużo spać i dużo siedzieć na słońcu, więc czynił to, koncentrując się na upiększaniu swojego ciała. Kiedy przyjdzie pora stawienia się na sesji zdjęciowej,

chciałby wyglądać daleko bardziej wspaniale niż kiedykolwiek przedtem.

Sadie nie kazała mu długo czekać. Zadzwoiła do niego zaraz po rozmowie z Oliverem Easterne'em i powiedziała, że tak jak przypuszczała, nie zapadły jeszcze żadne ostateczne decyzje. Buddy'ego skręcało z niepokoju. Kurczę, akurat teraz Neil Gray musiał się wybrać z tym zawałem! Cóż za niestosowna pora.

—Na jutro masz zorganizowane zdjęcia — ciągnęła Sadie, wyraźnie nie zmartwiona zwłoką. — Limuzyna podjedzie po ciebie o dziewiątej rano. Przygotuj się na ciężką harówkę.

Nie robiła go w rybę. Samochód przyjechał o dziewiątej; na tylnym siedzeniu zobaczył Sadie we własnej osobie.

Zadbał o swoje ciało i opaleniznę. Znajdował się w szczytowej formie — zupełnie jak zawodnik tuż przed rozpoczęciem wyścigu.

—Jestem z ciebie zadowolona — pochwaliła go Sadie. — Wiesz, na czym rzecz polega.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Rzeczywiście zasługiwał na każdą pochwałę. Ciekaw był, czy Sadie na niego nie leci. Tak bardzo pragnął, żeby było inaczej.

Ale pewnie poleci. Zawsze tak było, ilekroć ktoś wyświadczał mu jakąś przysługę.

Sesja zdjęciowa przebiegła znakomicie. Dziewięć bitych godzin pracy z jedną tylko krótką przerwą na lunch. Siedem osób absolutnie skoncentrowanych na jego osobie. Fryzjer, mistrz makijażu, mistrz garderoby. Fotografik z dwójką asystentów. Oraz Sadie.

We wszystkim miała coś do powiedzenia. Konferowała z każdym nad każdym ujęciem. Wiedziała, czego chce, i nie miała zamiaru spocząć, dopóki się nie upewniła, że wszystko idzie po jej myśli.

Pod koniec dnia Buddy ledwie się trzymał na nogach, ale zarazem był ożywiony. Jeżeli to ma być przedsmak mających nadejść wydarzeń, to pragnął tego więcej.

—Kiedy będę mógł zobaczyć odbitki? — spytał niecierpliwie Sadie, kiedy podwoziła go do domu.

—Niebawem. Zadzwoię do ciebie — przyrzekła.

Nazajutrz wezwano go do jej biura. Kiedy wkroczył do tego sanktuarium, Sadie siedziała przy telefonie. Gestem poprosiła go, by usiadł. Ze słuchawki dobiegały czyjeś męskie krzyki. Sadie chyba niespecjalnie się tym przejmowała. Odsunęła słuchawkę dalej od ucha i cierpliwie potakiwała.

Buddy rozejrzał się po gabinecie. Na ścianach galeria oprawionych w ramki fotografii supergwiazd. Gdzie zawiesi jego podobiznę? Chryste! Wprost nie mógł uwierzyć, że takie cudowne wydarzenia są jego udziałem.

—Nie denerwuj się, George — powiedziała uspokajająco Sadie do słuchawki. — Dziś wieczór mam się ponownie spotkać z Oliverem. Bez zwłoki ustalę dla ciebie datę rozpoczęcia zdjęć.

Po gabinecie odbił się echem jeszcze głośniejszy wrzask.

—Później, George — oznajmiła stanowczo. — Zaufaj mi. — Odłożyła słuchawkę, sięgnęła do srebrnego pudełka i zapaliła długą, wysmukłą cygaretkę.

—Czy mogę zobaczyć swoje zdjęcia? — spytał pełen nadziei Buddy.

—Nie są jeszcze gotowe.

—Och. — Zaczął się denerwować. W jakim celu więc go wezwała? Jakie miała wieści: dobre czy złe?

Przyjrzała mu się z namysłem. — No cóż, Buddy, rola w „Ludziach z ulicy” bez wątpienia przypadła tobie. Piętnaście tysięcy tygodniowo, zdjęcia na dziesięć tygodni, a najlepsze to to, że na afiszach będzie widniało: „W roli Vinnie'ego — Buddy Hudson — po raz pierwszy na ekranie”. W jednej, osobnej linii. Kontrakt już przepisują.

Zatkało go. Po prostu siedział osłupiały.

—Czy to ci odpowiada?

—Piętnaście tysięcy dolarów na tydzień? — wydukał wreszcie.

—A wolałbyś w rublach?

—O... Boże!

—Ciesz się, że jesteś zadowolony. Miło mieć przynajmniej jednego usatysfakcjonowanego klienta.

Nie wiedział, co powiedzieć.

—Jakikolwiek inny agent wydusiłby dla ciebie zaledwie jedną czwartą tej sumy — oznajmiła Sadie z dumą w głosie. — Chcę, żebyś to sobie zapamiętał.

—Nigdy o tym nie zapomnę — wyjąkał.

- Sam się zdziwisz, jak krótka bywa pamięć — stwierdziła zwięźle.

— Za rok będziesz zarabiał grubą forszę za swoje usługi i wtedy właśnie nadejdzie czas, że zechcesz zapomnieć, komu to zawdzięczasz.

No, niezupełnie jej zawdzięczał to wszystko — podziękowania należały się Montanie. Ale nie miał powodu, by wątpić, że właśnie Sadie wynegocjowała dla niego tyle szmalu — i za to właśnie należała się jej dozgonna wdzięczność.

Nagle na jego usta poczęły się cisnąć pytania. — Kiedy dostanę scenariusz? Czy Neil Gray pozostanie reżyserem? Kiedy zaczynamy zdjęcia?

Odpowiadała krótko. — Dotąd nie ustalono daty. Ale nastąpi to szybko. Scenariusz już do mnie przesłano. Później skontaktuje się z tobą scenograf. Dział reklamy domaga się twojego życiorysu i zdjęć — nie wspomnij słowem o naszej sesji, to bardzo ważne. Nie ma to nic wspólnego z filmem, więc niech zostanie, jak jest. — Nie zdradziła mu jeszcze swoich planów oplakatowania jego podobizną całej Ameryki.

—Będę wystrzałowy — powiedział, odzyskując rezon. — Nie pozwolę się nikomu upupić.

—Mam nadzieję.

—Naprawdę jestem zachwycony honorarium.

—Powinieneś być.

Wstał i zaczął przemierzać gabinet, zastanawiając się, czy nie jest to akurat właściwa pora, by wspomnieć o Angeli.

Nie. Najpierw trzeba ją odnaleźć. Zacząć kręcić film. A dopiero potem wprowadzić ją na scenę.

—Na sobotę i niedzielę jadę do Palm Springs — powiadomiła go mimochodem Sadie.

— Mam tam dom.

Wiedział, dobrze wiedział, że musi do tego dojść.

—Byłeś kiedyś w Springs? — spytała.

—Nigdy — wymamrotał ostrożnie.

—Chciałabym, żebyś wpadł do mnie w niedzielę. To niezbyt daleko. Masz przecież samochód?

Zobaczył drogę ucieczki. — Zepsuł mi się na amen.

—No to chyba potrzeba ci nowego. Może mogłabym ci to już zaraz załatwić. Mam znakomitego doradcę finansowego, który się świetnie tobą zajmie. — Nagryzmoła nazwisko i numer telefonu i podsunęła mu kartkę. — Skontaktuj się z nim jeszcze dzisiaj. Dopilnuję, by wiedział, kim jesteś.

—Jeśli chodzi o Palm Springs... — zaczął.

— To bardzo ważne, żebyś tam przyjechał, Buddy. Mam dla ciebie niespodziankę. Pojaw się między dziesiątą a jedenastą w niedzielę rano.

Skinął niechętnie głową. Ciekawe, jak wielką trzeba być gwiazdą, żeby móc wypiąć się na takie propozycje.

Cholera. Nienawidził takich układów.

W Los Angeles mieszkały tabuny krewnych Millie. Nie posiadała się więc z radości, że ich odwiedza, oni zaś cieszyli się z jej przyjazdu. Toteż kiedy Leon powiedział, że na cały dzień wyprawia się do Bars-tow w sprawach służbowych, nie miała specjalnie nic przeciwko temu.

Ruszył wczesnym rankiem samochodem wynajętym u Hertza, unikając w ten sposób korków godziny szczytu.

Hollywood zauroczyło Millie. Zakochała się we wszystkim — od tandetnego Hollywood Boulevard z uwiecznionymi w betonie odciskami stóp gwiazd po obsadzone palmami Beverly Hills.

Leon zaś znienawidził to miasto. Było tam za gorąco i pachniało prowizorką. Czuł, że jest to takie miejsce, w którym może się zdarzyć wszystko. I rzeczywiście, było to zgodne z prawdą.

Jadąc któregoś popołudnia po Sunset Boulevard, przyglądał się na-1 stoletniej prostytutce targującej się z kierowcą smukłego, srebrzystego! Mercedesa. Dziewczyna

nie wyglądała na więcej jak czternaście lat. Dziecinna buzia i ciało nastolatki odziane w obcisłe szorty z czarnej skóry i bluzkę bez pleców. Leonowi przypomniawszy się Joey. Szybko odwrócił wzrok w inną stronę.

— Widziałeś? — spytała Millie. — O, Boże, takie dziewczynki wycierające bruki. Dlaczego nikt się tym nie zajmie?

Wtedy właśnie pojął, że nie mógłby się przyznać do Joey. „Dlaczego jej nie pomogłeś?” — wykrzyczała rozwścieczona Millie. I na takie pytanie nie znalazłby odpowiedzi. To była jego wina.

Barstow było zakurzone i duszne. Leon spędził dzień na zbieraniu informacji o Winifredzie i Willisie Andrewsach, którzy pojawili się naj ślubie pobłogosławionym w kościele, a następnie rozplynęli się mgłę. Jedyne ślad prowadził do emerytowanego lekarza z byłego zakładu pracy Willisa, gdzie nikt o samym Willisie nawet nie pamiętał. Leon zatelefonował do lekarza, który odezwał się starym i niezbyt uprzejmym tonem.

— Nie wiem, czy będę w stanie panu pomóc. Już od dwudziestu lat jestem na emeryturze.

— Może zachował pan kartę chorobową Willisa Andrewsa? — spytał z nadzieją Leon. Stary doktor wymamrotał coś o tym, że w jego piwnicy poniewierają się setki kart chorobowych jego byłych pacjentów.

— Może mógłbym je przejrzeć? — naciskał Leon. Chrząknięcie oznaczało przyzwolenie.

Lekarz mieszkał jakąś godzinę drogi od miasta. Leon jadąc poprzez spaloną słońcem pustynię myślał: *Dlaczego zapuszczam się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc? Co ta cała zaszrańcona robotka ma wspólnego z Joey Kravetz?*

Zmierzchało, kiedy odnalazł dom lekarza. Leon ociekał potem, był głodny, a przecież nie mógł się doczekać wytropienia choćby śladu informacji. Nawet najtrywialniejszych.

Drzwi otworzyła mu jakaś starsza kobieta.

— Przepraszam za nieporządek — powiedziała, wprowadzając go do przytulnego

saloniku. — Tak rzadko miewamy gości. Tatuśku!

—zawołała, kierując Leona ku drzwiom, prowadzącym do sutereny.

—Przyszedł ten policjant.

—To dawaj go na dół! — krzyknął starczy głos.

Leon zszedł do piwnicy, wilgotnego, dusznego pomieszczenia, wypchanego po sufit starymi meblami, kartonowymi pudłami i, ogólnie rzecz biorąc, śmieciami. Pośrodku tego wszystkiego siedział lekarz, sękaty, czerstwy mężczyzna o bujnych, siwych włosach i przenikliwych, szarych oczach. Leon ocenił go na co najmniej osiemdziesiąt lat, tyle że był dobrze zakonserwowany. Wszędzie poniewierały się sterty zamierzchłych ksiąg przyjęć i wystrzępione papiery. Na lodowatej, kamiennej posadzce ustawiono ponad tuzin pudeł z dokumentami. Leon od razu się zorientował, że przejrzenie ich zajęłoby mu ponad tydzień. Wyciągnął rękę i przedstawił się lekarzowi.

Ten uściśnął mu dłoń tak mocno, że niemal ją zmiażdżył.

—Co robimy? — spytał Leon.

A, to dobre pytanie — zareplikował staruszek, pokazując cały ten bałagan.

Leon westchnął. — Przypuszczam, że nie pamięta pan niczego na temat Willisa Andrews?

Starzec wybuchnął ochryłym śmiechem. — Jeżeli mówimy o mojej pamięci, to niekiedy potrafię sobie przypomnieć, co jadłem na śniadanie.

Trzy godziny później Leon jechał autostradą z powrotem do Los Angeles bogatszy o obietnicę lekarza, że ten zatelefonuje, jak tylko odszuka kartę Andrewsów. Nie żeby to było takie ważne. Leon chwycił się najwątlej szych nici i dobrze o tym wiedział. Do hotelu dotarł o czwartej nad ranem. Millie spała jak zabita. Położył się do łóżka obok niej. Zamamrotała coś, ale się nie obudziła.

Leona dopiero po godzinie zmorzył sen.

Palm Springs i temperatura powietrza osiągnęły ciepłość równą stu trzydziestu stopniom Fahrenheita.

Sadie dojechała tam w sobotę o dwunastej w południe wraz ze swoim sekretarzem,

Ferdie'm Cartrightem. Ferdie pracował u niej od siedmiu i pół lat. Miał koło czterdziestki, był schludnie ubrany, wygadany i doskonale kompetentny.

Dom, którego właścicielką była Sadie, znajdował się na Sand Dunes Road w ekskluzywnym Rancho Mirage. Nic wyszukanego, po prostu miejsce, gdzie od czasu do czasu można się było zaszyć — tak określała to sama Sadie.

Ferdie towarzyszył jej z największą przyjemnością, chociaż Sadie wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie będzie mógł zostać.

— Twój dom jest boski — zachwycił się Ferdie, biegając od pokoju do pokoju i marząc o tym, żeby to jego zaproszono tutaj w charakterze gościa, a nie pomagiera Sadie w przyrządzaniu niespodzianki dla Buddy'ego Hudsona. Szczerze mówiąc, Ferdie był nieco wytrącony z równowagi tak nagłym i całkowitym zainteresowaniem Sadie panem Hudsonem. Przecież ona gustowała w kobietach?

I czy w jej wieku aby nie za późno na zmianę zamiłowań? Czyżby nie osiągnęła już takiej pozycji, by pozwolić sobie na coś lepszego niż łapanie się za młodego, bezrobotnego aktora? Buddy Hudson bezsprzecznie był olśniewający. Ale w Hollywood aż roiło się od takich.

Ferdie był ciekaw, czy między nimi doszło już do grzechu a może ten weekend wyznaczono na konsumpcję. — Ferdie! — zawołała Sadie ostrym tonem. — Ogromnie się cieszę, że tak ci się podoba mój dom, ale czy nie byłbyś skłonny pomóc mi w rozładowaniu samochodu?

Pospieszył na jej rozkaz. Nie ma dwóch zdań, Buddy Hudson na pewno przysporzy jej nie lada kłopotów. Pociągnął potępiająco nosem. Miał tylko nadzieję, że Buddy zadowoli Sadie. Chociaż, jeżeliby jego pytać o zdanie, to tacy przystojniacy nie zawsze sprawdzają się w łóżku.

Montana interesy zawsze składała w ręce Neila. Mieli wspólnego nowojorskiego prawnika, który znakomicie znał swój fach i załatwiał Neilowi najwyższe stawki, a także miał pieczę nad jej własnym kontem. Nie znała go za dobrze — spotkali się tylko parę razy w sprawach finansowych, zjedli wspólnie jeden obiad. Po rozmowie z Oliverem natychmiast pospieszyła do telefonu. Prawnik okazał stosowne współczucie,

powiedział kilka okolicznościowych zdań, ale potem poinformował ją o czymś, od czego osłupiała. — Oczywiście, pani musi sobie zdawać sprawę, że Oliver Easterne posiada prawa do scenariusza „Ludzi z ulicy”. Jeżeli Neil nie będzie w stanie dotrzymać warunków kontraktu... to...

Rozwścieczona cisnęła słuchawką. Uspokoila się przemierzając tam i z powrotem szpitalny pokój. Tu musi tkwić rozwiązanie. Nie można Oliverowi dać wolnej ręki, żeby robił z jej własnością to, co mu się żywnie spodoba. Nawet jeżeli sprzedała temu kutasowi scenariusz.

Tak, a co z tą całkowitą kontrolą? Co z równym udziałem w zyskach?

Było pewne wyjście. Powoli to do niej docierało. Dlaczego to nie ona miałaby wyreżyserować ten film? Wziąć go na swoje barki, póki Neil nie wyzdrowieje?

Zadrżała z niecierpliwości. To wydawało się dużo lepsze niż szukanie nowego reżysera. A jeżeli Oliver upiera się przy dotrzymaniu pierwotnego harmonogramu, to ona jest gotowa. Nikt przecież lepiej od niej nie zna scenariusza.

Ale czy mogłaby tego dokonać?

Jasne, że tak. To właśnie do tego przez cały czas zmierzała. Nie jej wina, że Neil dostał zawału, czym stworzył jej tak idealną okazję. A swoją drogą, wcale go nie wysadza z siodła. Kiedy tylko Neil wróci do zdrowia, będzie mógł wszystko przejąć z jej rąk.

Pełna entuzjazmu zadzwoniła do Olivera i zażądała spotkania. Zgodził się na lunch nazajutrz w Polo Lounge.

Tego wieczoru nastąpiła wyraźna poprawa zdrowia u Neila. Mon-tana wiedziała więc, że podjęła właściwą decyzję.

Otoczona ze wszystkich stron nadmiarem kwieciami, Elaine czuła się bardzo osamotniona. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, w jakim stopniu jej codzienna egzystencja zależała od Rossa. Och, oczywiście, narzekała i pomstowała na niego, ale przecież to on stanowił samo jądro jej życia — niczym rozpaskudzony jednak. Wszystko, co robiła, w jakiś tam sposób się z nim wiązało. Prócz, rzecz jasna, Rona Gordino. Którego znienawidziła. Razem z jego prowincjonalnym przeciąganiem słów.

I zdradzieckimi palcami. I długim, cienkim fiutem.

Podczas dziesięcioletniego małżeństwa tylko trzy razy rozstawała się z Rossem. I były to rozstania wymuszone, gdyż Ross kręcił filmy, ona zaś przez cały czas jego nieobecności robiła wszystko dla niego. Wszystko dla Rossa — czy to kupno nowej sukienki, czy woskowanie nóg.

Mocno ją zabolalo, kiedy to sobie uświadomiła. Naprawdę kochała tego leniwego, kłamliwego, bezmyślnego sukinsyna.

Poniżyła się nawet do tego, że mu to wyznała.

- Wiem, Elaine — powiedział rad z siebie. — Zawsze usiłowałem cię o tym przekonać.

Telefon umilkł, jak tylko poszły w ruch języki Beverly Hills. Samotne kobiety nie otrzymywały zaproszeń na premiery, obiadki i przyjęcia. Chyba że same były bogate i sławne. Elaine zaś, bez pary, stwarzała swoją osobą zagrożenie. Któryś ze ślubnych małżonków mógłby poczuć do niej miętę, a Elaine w takiej sytuacji niezbyt byłaby skłonna go odtrącić.

Zorientowała się, że nie ma przyjaciół. Tylko przelotnych znajomych.

Oczywiście była Maralee. Święta Maralee, jak ochrzciła ją filmowa społeczność, odkąd trzymała posterunek przy łóżu boleści Neila.

Następnie Karen.

A, pieprzę Karen razem z jej przerośniętymi sutkami. Elaine znienawidziła jej z całego serca. Miała tylko nadzieję, że Ross nie widuje się już z tą dziwką, modliła się o to.

W tygodniu na progu jej domu pojawił się znowu Ron Gordino. Tym razem z bochenkiem razowca i jajami prosto od wiejskiej kury.

Elaine ukryła się w sypialni i *kazała* Linie powiedzieć, że wyszła.

Ron przeciągle popatrzył na zaparkowanego na podjeździe błękitnego Mercedesa, wreszcie odczepił się i wsiadł do swojego żalosego jeepa.

Elaine zaczęła pić. Nigdy przed dwunastą. Ale w porze lunchu dobrze robiło jej białe wino, potem zaś kieliszeczek wódki uprzyjemniał popołudnie. Natomiast po szóstej, kiedy Lina wracała już do siebie, Elaine pochłaniała wino, kilka wódek i kilka

zawiesistych likierów, nim wreszcie zbawił ją sen.

Niekiedy zapominała o jedzeniu. Z chwili na chwilę zrobił się z niej wrak.

W sobotę Ross kazał wypucować i nawoskować Corniche'a. Kiedy dokonywano tego dzieła, usadowił się na leżaku przed hotelowym basenem i oglądał sobie świat i przechodzących turystów. Ukłoniło mu się kilku znajomych, ale spokoju nikt mu nie zakłócił.

Całkiem zrozumiałe. Był kimś, ale nie na tyle, by go zaczepiać. Najwyżej popatrzeć.

Leniwie przypatrywał się jasnowłosej prostytutce, zabierającej się za jakiegoś kapiącego od złota i potu prowincjusza.

Blondynka kilkakrotnie przedreptała obok leżaka tamtego mężczyzny, aż wreszcie musiał zwrócić na nią uwagę. Miała na sobie wyjątkowo skąpe bikini i białe sandały na superwysokich obcasach. Każdy cal jej smukłego ciała lśnił ciemnooliwkowym blaskiem.

—Dzień dobry — zagruchała wreszcie. — Czy pozwoli mi pan zerknąć do pańskiego egzemplarza „Variety”?

—Spadaj, mała — warknął facet, który wcale nie okazał się takim prowincjuszem, na jakiego wyglądał.

—O, przepraszam — parsknęła dziwka i rozejrzała się za innymi możliwościami. Wyśledziła wzrok Rossa, toteż ku niemu skierowała swój uwodzicielski uśmiech. Obrócił się na brzuch i udał, że niczego nie zauważył.

Chyba zasnął w tym rozprężonym słońcu, gdyż następną rzeczą, jaka dotarła do jego świadomości, było to, że ktoś oblał mu plecy zimną wodą. Usłyszał ochrypły głos, niewątpliwie należący do Karen Lancaster: — Ty parszywy gnojku! Odszedłeś od żony, a ja się muszę o tym dowiadywać z gazet. Czarujące!

Jęknąwszy odwrócił się. — Co tutaj robisz?

—Mam zjeść lunch z tatusiem i z Pamelą. Ale ciekawsze chyba, skąd ty się tutaj wzięłeś?

—Mieszkam tu.

—Miło, że mi to powiedziałaś.

—Przecież mówię ci teraz.

—Wielkie dzięki — wydeła wargi. — Mogłeś przynajmniej do mnie zadzwonić. To znaczy, popraw mnie, jeżeli się mylę, ale sądziłam, że łączy nas coś wyjątkowego.

—Powiedziałaś o nas Elaine.

—Ależ skąd -- zaprotestowała stanowczo. — Jak możesz mnie o coś takiego podejrzewać?!

—Ktoś jej powiedział.

—Ale nie ja. W dniu waszego przyjęcia zadzwoniła do mnie i szukała ciebie, ale ja udałam całkowite zdumienie.

—Możliwe, że nie jesteś zbyt świetną aktorką.

—O co ten cały krzyk, swoją drogą? I tak chciałeś ją puścić w trąbę, więc nie szukaj wymówek, że dowiedziała się o mnie. — Zdjęła lustrzane ciemne okulary i wbiła w niego wzrok. — Dlaczego wprowadziłeś się tutaj, kiedy mogłeś zjechać prosto do mnie?

Nie potrafił wymyślić stosownej wymówki. Karen Lancaster nie miała do niego żadnych praw.

Uratowało go przybycie George'a Lancastera i Pameli London oraz dobranej grupki kierującej się ku altance George'a, gdzie ustawiono stół do lunchu.

—Ross! — huknął George.

—Ross! — zawtórowała mu Pamela.

Powinien był wcześniej to przewidzieć. Basen przy Beverly Hills Hotel niezupełnie nadawał się na miejsce do spokojnego wylegiwania się na słońcu.

- Zjedz z nami lunch — zaćwierkała Pamela. Jej kościste ciało, spowite w powiewną, drukowaną w podobizny zwierząt szatę aż tętniło życiem.

—Jasne — nalegał George, osłepiający w białym garniturze typu safari.

—Ja bym się także niezmiernie ucieszyła — zachrypiała Karen, wkładając na powrót swoje lustrzane okulary.

Minęło dopiero wpół do pierwszej, w Palm Springs nie musiał pokazywać się przed piątą. Jeżeli o drugiej ruszy w drogę, to zdąży z łatwością. — Czemu nie? —

powiedział, podnosząc się i naciągając koszulę.

Pamela objęła go ramieniem. — Tak mi przykro z powodu ciebie i Elaine — szepnęła ciepło. — Ale takie rzeczy się zdarzają. — Roześmiała się ochryple. — Wiem coś o tym, miałam wystarczająco wielu mężów!

Sobota zawsze była najpracowitszym dniem. Koko miotał się wkoło niczym szalenciec, obsługując swoje damy, jak lubił mawiać o najrozmaitszych osobach płci żeńskiej odwiedzających jego salon. Raymon-do jak zwykle lubieżnie puszczał oko i flirtował. Angela odbierała telefony, umawiała wizyty, dzwoniła po zakąski i ogólnie rzecz biorąc, zgrywała wszystko razem.

—Zupełnie nie wiem, jak sobie bez ciebie dawałem radę — westchnął Koko. — Darlene była prawdziwą wiedźmą. Poproszenie jej o przyniesienie sandwicha z tuńczykiem było jak przekonanie Nancy Reagan do nałożenia na siebie niemodnego ciucha!

Angela uśmiechnęła się blado. Od dnia przyjęcia nie czuła się najlepiej. Słabo spała i co rano budziła się wymęczona. Mdlilo ją. Koko popatrzył na nią podejrzliwie. — Dobrze się czujesz, skarbie? Piękne oczy zaszklily się łzami. — Świetnie.

—Świetnie! — zadrwił. — Taką masz minę, jakby świat się walił.

Angela rozszlochała się. — Jestem po prostu przygnębiona.

Zadzwoił telefon. Jakaś zwariowana niewiasta w lokówkach pospieszyła do biurka, krzycząc: — Zamów mi taksówkę. Już jestem dziesięć minut spóźniona!

Z głębi salonu dobiegł wrzask Raymondo: — Następna damulka, proszę!

Koko uspokajająco objął Angelę ramieniem. — Puściły ci nerwy, kochanie. Więc może odłożyłabyś to załamanie do wieczora? Zjemy obiad u mnie w domu i zabawimy się w szczerłość. Zgoda?

- Tak — chlipnęła z wdzięcznością, uprzytamniając sobie, jak bardzo potrzeba jej było zwierzeń. — Z największą przyjemnością.

Akurat kiedy Ross jadł lunch przy basenie z Lancasterami, Oliver Easterne i Montana Gray każde z osobna dziabało swoje jedzenie w Polo Lounge.

Oliver bawił się omletem. Montana z rzadka wtykała widelec w sałatkę szpinakową.

Oboje pochłonięci byli własnymi myślami i oboje] usiłowali prowadzić cywilizowaną rozmowę. Oboje się nienawidzili. Oboje byli sobie potrzebni. Montana zrozumiała to poprzedniego dnia. Oliver dopiero zaczął przyjmować ten fakt do wiadomości — dzięki sile perswazji Montany. Nieustępliwie tłumaczyła mu, że jeżeli chodzi o to, kto przejmie film do czasu, aż Neil wydobrzeje i będzie mógł zająć się nim osobiście, jedyny możliwy wybór musi paść właśnie na nią.

Oliver najpierw roześmiał się jej w twarz. Za kogo ona go ma — za kretyna? Ale w miarę jak wyjaśniała swoje racje, stawało się coraz bardziej oczywiste, że ma to sens.

Nikt lepiej od niej nie znał scenariusza. Wiedziała, że Neil zmontował ekipę sprawniejszą, niż ktokolwiek by to uczynił. Obsadziła cały film prócz ról dla George'a i Giny. (Oliver nie powiedział jej jeszcze nic o Ginie. Ten smaczny kąsek zachował na deser.) Odkryła Buddy'ego Hudsona, który, według słów Sadie, miał rzucić wszystkich na kolana. Już przedtem miała do czynienia z reżyserią. Prawda, że był to tylko niskobudżetowy filmik, ale przecież otrzymała za niego nagrodę.

I co najważniejsze, tak gorąco pragnęła „Ludzi z ulicy”, że prawdopodobnie będzie pracować za pół darmo. A z trzech reżyserów, z którymi dotąd Oliver nawiązał kontakt, dwóch żądało, by odciął sobie dla nich rękę i nogę, trzeci zaś — by wypruł sobie flaki.

Pomysł, żeby Montana została reżyserem filmu, nie był wcale taki j zły. Oczywiście nie powiedział jej tego. Cieszył się z faktu, że tym razem Montana najwyraźniej odnosi się do niego z pewnym szacunkiem. Z rozkoszą pomyślałby, że się przed nim płaszczy, ale tego akurat nie robiła — na razie.

- Nie wiem — rzekł wymijająco. — Ty nie masz doświadczenia. I wątpię, czy George by się na ciebie zgodził. A gdybym nawet bąknął coś na ten temat moim sponsorom, wysmialiby mnie jak amen w pacierzu. — I tu wyciągnął swoją kartę atutową. — Skoro ty nazywasz mnie wypierdkiem, to mogę sobie wyobrazić, co oni by powiedzieli. Popatrzyła na niego zimno poprzez swoje przyciemnione okulary.

Przepraszam cię, Oliver. Czasami mówię głośno takie rzeczy, które powinnam zachować tylko dla siebie.

—Co jest takiego w Palm Springs, o czym powinniśmy wiedzieć?

—zagrzmiał George.

—Po prostu interesy — wyjaśnił Ross, wymawiając się z nieciekawego lunchu.

—Mogę się założyć! — mruknęła rozwścieczona Karen.

—Jedynym interesem, jaki ja kiedykolwiek miałem w Palm Springs, był golf albo jakaś babeczka — zauważył złośliwie George.

Ross uśmiechnął się uprzejmie.

—Musisz nas kiedyś odwiedzić — odezwała się w głos Pamela.

—Jeżeli nie zaczną szybko zdjęć do tego idiotycznego filmu George'a, zwijamy się do domu. I Bóg z tą krainą nierobów. Tutaj jest przeraźliwie nudno.

Ross poczuł szczyptę. I nie była to sprawka Karen, która przez cały lunch ścisnęła mu pod stołem jądra. — A kiedy mają zacząć kręcić? — spytał obojętnie, wstając od stołu.

—Bóg jeden wie. Ten dziwny facecik, Easterne, rozmawiał z nami wczoraj. Bełkotał coś o konieczności znalezienia innego, odpowiedniego reżysera.

—Kiedy wracasz, Ross? — dociekała ostrym głosem Karen.

Nie wiedział, co zaplanowała Sadie. Dwa, może trzy dni w łóżku.

—We wtorek albo w środę.

—Gdzie się zatrzymasz?

—Wielkie nieba, Karen, kochanie, zachowujesz się niczym małżonka tego biedaka — zaśmiała się perliście Pamela.

Karen zmierzyła ją wściekłym wzrokiem, Ross zaś pospiesznie się oddalił. Pomaszerował szybkim krokiem do hotelu. Tak spieszno mu było znaleźć się jak najdalej od basenu, że niemal przegapił Olivera Easterne'a.

—Oliver! — wykrzyknął w ostatniej chwili. — Jak się masz?

Czy ten tępy fagas nie widzi, że ja jestem jedynym aktorem odpowiednim do jego wszawego filmu?

—Cześć, Ross. Jak ci leci?

Niech Bóg mnie chroni przed zapomnianymi gwiazdami w kwiciastych szortach.

—Świetnie, świetnie. Nigdy nie czułem się lepiej.

Spójrz na mnie. Wyglądam sensacyjnie. Teraz trzeba mi tylko twojego pieprzonego filmu i na powrót jestem gwiazdorem.

—To znakomicie. Do zobaczenia.

I ruszyli, każdy swoją drogą. Ross, aby przygotować się na Palm Springs i na Sadie, Oliver zaś, aby odszukać swojego gwiazdora i posmarować go miodem.

Sadie starannie dobierała strój, decydując się wreszcie na biały, sa- j tynowy peniuar, idealnie odpowiedni do tego, co zamierzała zrobić.

Za kwadrans piąta. Miała nadzieję, że Ross stawi się punktualnie. Choć mało prawdopodobne. Ross nigdy w życiu nie zhańbił się punktualnością.

Obejrzała się badawczo w lustrze, jak zwykle niezbyt zachwycona swoim wyglądem. Uczyniła wszystko, co w jej mocy, ale nic nie mogło zmienić faktu, że była kobietą o przeciętnej urodzie, mimo iż miała cudowne oczy i gęste, lśniące włosy.

Włączyła adapter stereo i nałożyła płytę, która zawsze należała do ulubionych Rossa. Stan Getz. Bossa nova. Och, co to były za czasy, kiedy wytańcowywali dokoła pokoju, śmiejąc się, żartując, planując wspólną przyszłość.

Ross. Po upływie tych wszystkich dwudziestu sześciu lat znowu go będzie miała. Poczwała między nogami pożądanie. Przycisnęła czoło do chłodnej tafli lustra.

A jeśli nie uda się jej zrealizować tego, co sobie zaplanowała? A jeśli ten mężczyzna powtórnie ją opęta? Ross świetnie to potrafił.

Puściła głośniejszą muzykę, sprawdziła, jak miewa się szampan na loJ dzie w srebrnym kubku, i czekała na przybycie Rossa.

Koko nigdy dotąd nie zapraszał Angeli do siebie. Czasami po pracy podrzucał ją do domu, niekiedy zachodził do niej i gawędzili przez chwilę, ale tak naprawdę to niewiele o nim wiedziała.

Zdziwiła się zobaczywszy, że Koko wcale nie mieszka sam w małym, stylowym domku na Hollywood Hills, dokąd ją zawiózł. Przedstawił ją swojemu przyjacielowi, Adrianowi, przystojnemu mężczyźnie tuż po trzydziestce. Adrian nie podniósł się na jej powitanie. Przez chwilę pomyślała, że mógł być wściekły na Koko za to, że ją tutaj

zaprosił. Ale Adrian zachowywał się całkiem przyjaźnie i kiedy Koko krzątał się po kuchni przyrządzając linguine al pesto, uprzejmie z nią rozmawiał. Dopiero gdy obiad był gotowy i Koko z miną, jakby robił coś najzwyczajniejszego pod słońcem, przeniósł Adriana na wózek inwalidzki, zorientowała się, że Adrian jest sparaliżowany.

A on, poczuwszy na sobie jej wzrok, powiedział: — Wietnam — nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

Linguine smakowało wspaniale. Podobnie jak mus cytrynowy, który po nim wjechał na stół.

—Koko ma bzika na punkcie kuchni — oznajmił Adrian, patrząc ciepło na przyjaciela.

—Nie bardzo ci to przeszkadza — odparował Koko.

Oczy obu mężczyzn spotkały się na chwilę, a Angela wyczuła, że oni się kochają.

Natychmiast pomyślała o Buddym i o tym, jak to kiedyś było między nimi dwojgiem.

Zebrało się jej na płacz.

—No, no, skarbie — uspokajał ją Koko. — Nie rozczulaj nas. Zmyję naczynia i potem porozmawiamy.

Adrian po obiedzie dyskretnie zniknął w sypialni.

—Zmęczył się — wyjaśnił Koko.

—To takie okropne... — szepnęła.

—Wcale nie — zareagował ostro Koko. — Takie jest życie. I jeżeli Adrian się z tym pogodził, to nie wiem, dlaczego reszta z nas nie może. Paraliż to nie choroba, sama wiesz. — Potrząsnął rozeźlony głową.

—Przepraszam.

Westchnął. — Nic nie szkodzi. To właśnie to jest... okropne. Ale ja nie mogę sobie pozwolić na tego typu myślenie. — Wziął głęboki oddech. — No, a teraz pogadamy sobie na twój temat. Przecież po to tu przyjechałaś, prawda?

Tak bardzo potrzebne jej było zwierzenie się Koko. Był ciepły i dobry i jakoś mu ufała, że bezpiecznie dochowa jej tajemnicę. Wahala się tylko chwilę.

—No, moja słodka, zacznij od samego początku — dodał jej odwagi.

Zacząła powoli, opowiadając mu o Louisville, jej adoptowanym domu, o tym, w jaki sposób traktowała ją przybrana rodzina. Potem o wygraniu konkursu w magazynie filmowym, przyjeździe do Hollywood, o wszystkich swoich marzeniach i nadziejach.

Słuchał, nie przerywając, kiedy opowiadała mu o Daphne, Hawajach, wreszcie o Buddym. Kiedy o nim mówiła, jej twarz ożywiła się, oczy zaś roz błysły. — On jest taki cudowny, Koko. — Potem szybko się poprawiła. — To znaczy, był cudowny...

Opowiadała o pożyczonym mieszkaniu, zajściu w ciążę, braku pieniędzy, potem o Jasonie Swankle'u i domu przy plaży.

Koko, słysząc o szaleństwach sklepowych Buddy'ego z Jasonem, uniósł cynicznie brew.

—A kiedy się wyprowadziliśmy z plaży, nic już nie było tak jak dawniej — ciągnęła smutnym głosem. — Randy, Shelly, narkotyki, i Buddy wydawał się całkiem inną osobą. Więc któregoś ranka odeszłam. To było dokładnie tego dnia, kiedy przyszedłam do salonu i poznałam ciebie.

—I od tamtego czasu nie miałaś z nim kontaktu?

—Tylko w pewnym sensie. — Wspomniała o telefonicznej rozmowie z Shelly i o tych okropnych rzeczach, które jej tamta przekazała. Potem skończyła opowieścią o przyjęciu u Contich i bezradnie zadrżała: — Po prostu nie wiem, co dalej robić. Czy powinnam zapomnieć o Buddym? To znaczy, chyba głupio tak o nim cały czas myśleć, skoro I go już nic nie obchodzi. — Rozpłakała się.

Koko objął ją i pokoił w ramionach. — Moje biedne maleństwo — uspokajał ją. — Prawdziwy współczesny Kopciuszek. I nie mów mi, i na miłość boską, że nie wiesz, co to za jedna.

Tak dobrze się czuła w ciepłe jego ramion, przytulona do miękkiego swetra. Już samo to, że ją tulił, dawało jej pociechę. Koko otarł jej łzy chusteczką higieniczną. — A kiedy spotkałaś się z Buddym na przyjęciu, to czy wspomniał coś o dziecku? Spytał, jak się czujesz, czy coś takiego?

Żałośnie potrząsnęła głową.

—Z punktu widzenia prawa on ma obowiązek utrzymywać i ciebie, i dziecko. Więc

przede wszystkim potrzebny ci jest jakiś dobry adwokat.

—Buddy zupełnie nie ma pieniędzy.

- No to będzie musiał wziąć się za jakąś robotę, jak my wszyscy śmiertelnicy — stwierdził rzeczowo Koko. — Sama wiesz, że nie umrze od tego.

Angela z uporem pokręciła głową. — Nic od niego nie chcę.

—No, nie bądź takim głuptasem.

—Naprawdę.

Koko wyglądał na osłupiałego. — A może byśmy ten pomysł przespali? Jutro możesz inaczej spojrzeć na tę całą sprawę.

—Nigdy nie wezmę od niego pieniędzy.

—Hmmm... w takim razie musimy ci chyba znaleźć bogatego męża, co?

Ross pokonał trasę w rekordowym tempie, mknąc swoim złocistym Corniche'em autostradą niczym Charlton Heston w „Ben Hurze”. Wiadomości, jakie usłyszał od George'a, dodały mu animuszu. Sadie była agentem George'a, musiała więc trzymać rękę na pulsie. Gdyby George zrezygnował, ona pierwsza by o tym wiedziała. A Ross Conti byłby akurat na miejscu — zwarty i gotowy.

Nucąc pod nosem przemierzał spieczone słońcem ulice w poszukiwaniu domu Sadie. W Palm Springs panował upał. Kiedy Ross zatrzymał się na stacji benzynowej, by spytać o drogę, przez otwarte okno, niczym lepka melasa, wsączył się skwar.

—Pan jest Rossem Conti — powiedziała stara baba ze stacji takim tonem, jak gdyby mówiła mu o czymś, o czym jeszcze nie wiedział.

—Owszem — zgodził się uprzejmie. — Jestem.

—Nie podobał mi się pan w tamtym filmie.

—Jakim filmie?

—„Pół żartem, pół serio”.

—Nie grałem w „Pół żartem, pół serio”.

Wycelowała w niego oskarżycielsko palec. — A tak, grał pan. — Nachyliła się bliżej do okna. Miała popsute zęby i wszystkowiedzące oczy. — Jaka naprawdę była Marylin Monroe?

Odjechał bez odpowiedzi. Po pierwsze, to pomyliła go z Jackiem Lemmonem albo z Tonym Curtisem. Kiedy odszukał dom Sadie, było już wpół do szóstej. Wjechał na kręty podjazd, zaparkował przed frontowymi drzwiami i kilkakrotnie nacisnął klakson. Chciał dać znać, że właśnie przybywa gwiazdor. Potem wyskoczył z samochodu, otworzył bagażnik i wyciągnął walizkę.

Tymczasem na progu pojawiła się Sadie.

- Witaj - powiedziała, wyciągając w jego kierunku kieliszek schłodzonego szampana. Oślupiał. Sadie miała na sobie peniuar. Zbiła go tym z tropu.

Podszedł do niej, odstawił walizkę, wziął ofiarowany mu kieliszek i chciał pocałować Sadie w policzek.

Schwyciła go w swoje ramiona niczym w kleszcze i mocno wepchnęła mu język w usta. Niemal go tym zadławiła.

Kompletnie zszokowany złapał oddech. To przecież on miał być tym, kto wykazuje inicjatywę.

- Chodźmy do łóżka — powiedziała gardłowym tonem. — Już dosyć się naczekałam. — Przywarła do jego dłoni i pociągnęła go do domu, kopniakiem zamykając za sobą drzwi.

To nie była ta sama Sadie, którą zapamiętał. Ta z obfitym biustem i powściągliwa w sprawach seksu. Kiedy mieszkali razem, nigdy się tak do niego nie zabierała. Ale lata minęły — i każdy musiał dorosnąć.

Zawlokła go do chłodnej sypialni. Zastony były spuszczone, szum klimatyzacji niknął w melodii Staną Getza dochodzącej z głośników stereo. Ross pośpiesznie łyknął szampana — całe szczęście, gdyż Sadie odebrała mu kieliszek i odstawiła go na nocny stolik.

-Pragnę ciebie teraz, zaraz — powiedziała nagle, zdzierając z niego ubranie.

-Wstrzymaj się chwilę. Poczekaj. Pozwól mi przynajmniej wziąć prysznic — zaprotestował.

Teraz — powtórzyła z uporem, odpinając jego koszulę, ściągając ją z grzbietu i zabierając się za suwak spodni.

Wiedział, że mu nie stoi. Prawdę mówiąc, zdawał sobie sprawę, że] jego fiutek najpewniej skulił się niczym wystraszony królik. — Chwileczkę — jęknął. — Nie potrafię tak na rozkaz.

Natychmiast przerwała i zimno stwierdziła: — Myślałam, że tego właśnie oboje chcemy.

- Zgadza się, ale ja dopiero co przyjechałem. Mam za sobą długą jazdę. Czuję się brudny i zmęczony. Nie chcę, żeby to tak miało być.

Chryste! Zachowywał się niczym baba!

Udało się jej przybrać jednocześnie rozczarowaną i urażoną minę. — No to przepraszam — powiedziała. — Może ja źle zrozumiałam. Był okrutnie speszony. Na przyjęciu zachowywała się rozsądnie i była opanowana. W biurze profesjonalnie i rzeczowo. A teraz to. Po prostu nie spodziewał się takiego wybuchu namiętności. Całkowicie zbiło go to z pantafelku. Czuł się jak głupiec.

—Miły dom — powiedział mętnie.

—Łazienka jest tam. — Sadie pokazała jakieś drzwi. — Znajdziesz tam mydło i ręcznik, i wszystko, czego ci potrzeba. Bądź moim gościem.

Zanurkował do łazienki mając wrażenie, że gdzieś popełnił błąd. Nie wiedział jednak, jaki. Przez dziesięć bezpiecznych minut stał pod prysznicem w nadziei, że do czasu, kiedy stamtąd wyjdzie, Sadie trochę ochłonie.

Niestety, nie dane mu było takie szczęście. Czekwała na niego w łóżku, oparta o podgłówek, paląc długą, czarną cygaretkę i sącząc szampana.

Włożył spodnie i koszulę, ale to bynajmniej nie powstrzymało Sadie.

—Chodź no tutaj. — Poklepała miejsce obok siebie. — Tyle czasu minęło. Aż płonę z niecierpliwości.

Ostrożnie zbliżył się do łóżka. Czego ona od niego chce? Był gotów ofiarować jej swoje ciało, ale czyż nie mogła poczekać?

—Nie zamierzasz się rozebrać? — dopytywała się. Zupełnie jak rozbawiony mężczyzna przemawiający do wstydlivej dziewczyny.

Znowu poczuł się jak głupiec. Ściągnął koszulę, wyskoczył ze spodni. Zachował

jednak slipy, chroniąc przed oczami Sadie klejnoty Con-tiego.

—Tak lepiej — pochwaliła, wyciągając ku niemu ramiona.

Przypomniawszy sobie jej fantastyczne cycki. Powinny go podniecić.

Zamknij oczy i pomyśl o Karen.

Dlaczego o Karen? Przestała już go rajcować. *Tak czy siak, zamykaj oczy, fagasio.*

Sadie znowu zaatakowała go językiem, smakując jego zęby, dziąsła, ostrymi liźnięciami sięgając podniebienia.

—Pamiętasz, co powiedziałeś mi na przyjęciu? — szepnęła. — O tym, jak wspaniale nam było? I że nigdy z nikim więcej nie było ci tak dobrze? Pamiętasz, Ross?

Naprawdę tak powiedział?

Język Sadie wśliznął się do jego ucha i wtedy po raz pierwszy poczuł, że go bierze. Jej zapach na powrót przywołał ciepłe, lepkie wspomnienia. Piżmowy, kobiecy — zapach Sadie. Odetchnął głęboko. Każda niewiasta wydzielala swój specyficzny zapach i to właśnie wprawiało go w podniecenie.

Sięgnął ku jej piersiom, a wtedy — och, jakie rozczarowanie. Zniknęły! Najlepsza para cycków Hollywoodu przeistoczyła się w dwa twarde, małe wzgórki, z łatwością mieszczące się w dłoni,

- Co się stało z twoimi cyckami? — aż się zachłysnął.

—Zrobiłam sobie operację plastyczną.

—Przecież nie było w nich nic złego!

—Owszem, było.

—Uwielbiałem twoje cycki.

—Przykro mi. Gdybym wiedziała, że przyjdiesz do mnie po dwudziestu sześciu latach, to bym je zostawiła, jak były.

Nacisnął sutki. Niczym z gumy. — Popeliłaś wielki błąd —jęknął.

—Na miłość boską! — prychnęła rozzłoszczona. — Czy mamy się pieprzyć, czy odprawiać egzekwia nad moimi cyckami? — Umilkła na chwilę, potem dodała: — Myślę, że powinieneś się o czymś dowiedzieć, Ross. Żaden facet, który nie chce, by określano go jako tępego, męskiego szowinistę, nie nazywa już tego cyckami.

—Sadie, zmieniłaś się — powiedział posepnie

—Cholera jasna! Mam nadzieję, że tak.

Buddy spotkał się z poleconym mu przez Sadie doradcą finansowym. Człowiek ten potraktował go jak ważną personę. I dlaczego miałyby być inaczej? Jeżeli miał zarabiać piętnaście tysięcy tygodniowo, właściwie przestał już być nikim. Nie przyszło mu jednak do głowy, że doradca ma do czynienia z takimi ludźmi, którzy robią miliony, i że wyłącznie wyświadcza Sadie przysługę, zajmując się jego sprawami.

—Sadie powiedziała mi, że potrzebny jest panu samochód — stwierdził. — Mogę więc panu załatwić okazji nowego Mustanga GT. Czy to pana interesuje?

—Nie mam pieniędzy... jeszcze.

—Wszystko w porządku. Zajmę się tym. Kiedy zaczną napływać pana czeki, suma ta zostanie potrącona. A na razie, czy potrzebuje pan gotówki?

Buddy miał teraz niekiedy wrażenie, że jeśli się uszczypnie, to się przebudzi ze snu. To przecież niemożliwe, żeby się wszystko tak całkowicie odwróciło na dobre. Wszystko, prócz Angeli...

Samochód odebrał w sobotnie popołudnie. Był czarny, ze skórzaną tapicerką, a co najlepsze, wyposażono go w cztery głośniki i wmontowany magnetofon. Buddy pojechał prosto do Tower Records, gdzie wydał dwieście dolarów na kasety. Głównie na „Stonesów”. Na całą inasę ich wczesnych kawałków. Potem ruszył na przejażdżkę słuchając „Satisfaction”, „Jumpin' Jack Flash” i wszystkich innych złotych staroci.

Rozmyślał o tym, jak *zabrać* się za odnalezienie Angeli. Jasna sprawa, że nie uciekła do domu, jak przypuszczał.

Zmarszczył brwi. Może powinien dać ogłoszenie do gazety i ufać, że ktoś pokaże je Angeli. Jedyne kłopot polegał na tym, że może zobaczyć je także Sadie.

W niedzielny rano wyruszył do Palm Springs wcześniej, niż było to konieczne. Niewielki samochodzik pędził jak strzała, toteż Buddy do Springs dotarł o dziewiątej, całą godzinę przed czasem.

Zatrzymał się na śniadanie, jednak zdał sobie sprawę, że stracił cały apetyt. Ponuro gapił się przez okno. Pragnął już mieć za sobą całą tę imprezę.

W niedzielę Sadie obudziła się wcześniej niż Ross i pospieszyła do łazienki, by naprawić szkody, jakie wyrządziła działalność z poprzedniej nocy. Wyglądała straszliwie. Rozczochrane czarne włosy sterczały na wszystkie strony. Ślady przemyślnego makijażu rozmazane po całej twarzy. Podbite oczy i ostre, surowe zmarszczki zdradzające jej wiek, jeszcze głębsze niż zazwyczaj.

Kiedy nakładała świeże cienie do powiek, lekko drżała jej ręka. Wieczór przebiegł tak, jak to sobie zaplanowała -- aż do pewnego momentu. Wytrąciła Rossa z równowagi jak diabli, zabierając się za niego tak obcesowo. Był speszony, a ona rozkoszowała się każdą sekundą jego zakłopotania.

Ale potem, ostatecznie, to on ją miał. Na każdy możliwy sposób. I wszystko się zmieniło. Na chwilę.

Nienawidziła się za to, że okazała się taka słaba. Brzydził ją fakt, że Ross zdołał ją wziąć swoją niepokonaną seksualną walecznością.

Zadrzała. Zastanowiła się, czy uda się jej teraz przeprowadzić dalszą część swojego planu. Tak łatwo byłoby przyjąć Rossa na powrót do swojego życia. Ale Sadie świetnie wiedziała, co by się zdarzyło potem.

Wykorzystywałby ją tak długo, jakby mu to odpowiadało. Następnie zaś porzuciłby ją dla jakiejś tępej idiotki o wielkich cyckach i ładnej buźce.

Rossowi Conti nie można było zaufać. Musiał wreszcie dostać nauczkę.

Ubrawszy się wróciła do pokoju. Spał, rozciągnięty w poprzek łóżka.

Patrząc na jego pogrążone we śnie ciało, uświadomiła sobie boleśnie, że wciąż go kocha — czymkolwiek była miłość. Z całą pewnością nigdy w życiu nie trafiła na nikogo innego, kto by sprawił, że czułaby się przy nim tak, jak przy Rossie. Przeklęta moc seksu.

Zła, wymaszerowała do kuchni. Ross to egoista, egotystyczny sukinsyn. Nie zmienił się ani odrobinę. No, może prócz tego, że się postarzał.

Końcowe chrapnięcie. Szybkie przebudzenie. I już był przytomny.

Przez chwilę leżał zdezorientowany. Gdzie się znajdował? W domu? U Karen? W Beverly Hills Hotel? A potem wróciła mu pamięć. U Sa-die. Mimo wszystko nie tak zaciętej. Twarde maniery. Ostry język. Ale kiedy tylko zastosował wobec niej nieco ze swojego sekretnego przepisu...

Ziewnął, potem uśmiechnął się szeroko. Mogła sobie stracić cycki, ale z pewnością nie ubyło jej entuzjazmu. Zmusił ją do jęków i krzyku — do błagania tak jak za dawnych czasów.

Zawsze cieszyło go wprawianie Sadie w podniecenie. Kiedyś nauczył ją pewnych sztuczek, zmusił do zrealizowania ich, co wywoływało na jej twarzy krwisty rumieniec. Teraz sama je знаła — pewnie nawet lepiej od niego — ale ubiegłej nocy skłonił ją do powtórzenia wszystkiego po dziesięć razy, a zabawa ta skończyła się westchnieniem rozkoszy, o której istnieniu Sadie już dawno zapomniała.

Wrócił do jej życia. A teraz oboje skoncentrują się na jego karierze. Przeciągnął się zadowolony i wyjrzał w nadchodzący dzień.

Buddy zapłacił rachunek i wyszedł.

Może nie powinien tego robić. Może powinien wyznać jej prawdę—Może wtedy zerwałaby jego kontrakt, zabrała mu samochód i gwizdnęła na niego.

Cóż to za nieprzenie między dwójką przyjaciół?

Aż nadto go.

Cholera!

Ross pochwycił ją od tyłu, pełen porannej wiary w siebie. — Dzień dobry, malutka — zagruchał, wciskając się w nią i jednocześnie sięgając ręką pod jedwabną bluzkę.

Okrećła się jak osa i odepchnęła go. — Ubieraj się, na miłość boską. Nic tak nie odbiera mi apetytu na śniadanie jak widok faceta bez gaci. Wyglądasz żałośnie.

Ośłupiał. Gdzież się podziała jęcząca, wzdychająca, błagająca kobietka z godzin nocnych?

—Przypominasz mnie sobie? To ja, twój mały Ross. — Usiłował chwycić jej pierś.

Pacnęła go po łapach i odtrąciła.

—Czy mogę zaproponować, aby mały Ross się ubrał?

Jego penis na wpół stanął, gotowy w każdej chwili skoczyć do akcji.

—Myślałem, że poranna wyprawa ścieżką wspomnień...

—No to źle myślałeś.

Nie całkiem ją jeszcze rozszyfrował. Oczywiście odgrywała Jekylla i Hyde'a. Ale on także znał pewne sztuczki, a dzisiejszej nocy naprawdę zmusił ją do błagania. Podniósł ręce w geście poddania. — Dobra, dobra. Jeszcze nigdy nie zmuszałem do tego żadnej damy. — Nachylił się, by pocałować ją w policzek, ale uchylila się szybko i Ross tylko cmoknął powietrze. Oglupiały wrócił do sypialni i wciągnął kąpielówkę.

Dzisiaj naprostuje dwie sprawy. Jedna to „Ludzie z ulicy”. Druga to ich wzajemne stosunki.

Lekkie śniadanko, kilka godzin na słońcu. Może później Sadie będzie w nieco lepszym humorze. Teraz prawdopodobnie dręczą ją wyrzuty sumienia, że aż do tego stopnia rozkoszowała się seksem. Niektóre kobiety tak się zachowują, szczególnie te starsze.

Punktualnie z wybiciem dziesiątej Buddy nacisnął dzwonek do drzwi Sadie La Salle w Palm Springs. Czekaając, w zdenerwowaniu wylamywał sobie palce.

Sadie była w kuchni. Zawołała na Rossa, wciąż guzdrającego się w sypialni: — Czy mógłbyś za mnie otworzyć?

Wynurzył się w pasiastych, barwnych szortach. — A spodziewasz się kogoś?

- Otwierasz te drzwi czy nie? — warknęła zniecierpliwiona.

Skierował się do drzwi frontowych, otworzył je z rozmachem i stanął twarzą w twarz z Buddym.

Obaj mężczyźni wlepili w siebie wzrok. Buddy natychmiast poznał Rossa Conti i przez głowę przeleciała mu myśl, czy aby nie pomylił domów.

Ross także poznał Buddy'ego, chociaż nie znał jego nazwiska. Po prostu zapamiętał go jako jednego z partnerów Karen, kiedy na przyjęciu w jego domu odstawiała pijacki występ taneczny. — Tak? — spytał chłodno. Nigdy nie żywił specjalnie przyjacielskich uczuć wobec młodych przystojniaków. Przypominali mu mściwie o jego utraconej młodości.

—Hmmm... czy to dom Sadie La Salle?

—Owszem.

—Czy... eee... jest w domu?

—A bo co?

Za plecami Rossa pojawiła się Sadie, powitalny uśmiech rozjaśnił jej twarz. — Buddy! Tak się cieszę, że udało ci się przyjechać. — Wyjrzała ponad jego ramieniem. — A, i widzę, że masz nowy samochód. Jesteś zadowolony?

—Chyba żartujesz! Jest wspaniały.

—'- Wchodź do środka. Znasz Rossa Conti?

—Hmmm... Panie Conti, bardzo mi miło. — Wyciągnął rękę, którą tamten zignorował.

—Ross, przedstawiam ci mojego przyszłego gwiazdora — wyjaśniła Sadie, delektując się tą chwilą. — Buddy Hudson. Zapamiętaj sobie to nazwisko, stanie się sławne. Już podpisał kontrakt na jedną z głównych ról w „Ludziach z ulicy”. — Chwyła Buddy'ego za ramię i wprowadziła do środka. — Mam dla ciebie niespodziankę, którą będziesz zachwycony. Ross, chodź z nami. Myślę, że i ciebie to zainteresuje.

Ross zastanawiał się, dlaczego nie powiedziała mu wcześniej, że spodziewa się towarzystwa. I co to za gówniany „mój-nowy-przyszły--gwiazdor”? Oraz „Buddy Hudson. Zapamiętaj sobie to nazwisko, stanie się sławne”. Kiedyś to jego

przedstawiała w ten sposób: „Ross Conti. Zapamiętaj sobie to nazwisko, stanie się sławne”.

Powlókł się za nimi przez cały dom, niezbyt uszczęśliwiony takim obrotem wypadków.

Trzymała Buddy'ego pod ramię. Rossa naprawdę zezłościło, że traktowała tamtego jak swoją własność. Coś gdzieś było nie tak. To do niego, do Rossa, powinna kleić się po dzisiejszej nocy. Był zdziwiony, że w ogóle mogła się utrzymać na nogach.

Minęli lśniący błękitem basen i wyszli przed dom dla gości. Rozpromieniona Sadie otworzyła drzwi i zapaliła wszystkie światła. A potem we trójkę wkroczyli do dużego, jasnego pokoju, pustego, prócz ogromnego plakatu wypełniającego całą ścianę. Na plakacie widniała podobizna Buddy'ego w naturalnych kolorach. Buddy, ze swoimi kręconymi czarnymi włosami, smolistymi oczami, prawie nagi -- tylko w wyblakłych szortach Levisa. Opalony na brąz, o doskonałym ciele.

Zdjęcie było sensacyjne. Identyczne jak tamto, do którego tyle lat wcześniej pozował Ross ze swoimi rozburzonymi jasnymi włosami, ciemnoniebieskimi oczami i opalonym na brąz, doskonałym ciałem.

W poprzek plakatu nakreślono odręcznym pismem jaskrawoczerwone, magiczne słowa: KIM JEST BUDDY HUDSON?

- Je... zus! — krzyknął Buddy. — To absolutnie wystrzałowe, ale jaki to ma cel?

— To najprostsza droga do zrobienia z ciebie gwiazdora — wyjaśniła Sadie. — Ten plakat zostanie rozlepiony od Pacyfiku po Atlantyk. -- Odwróciła się i popatrzyła w oczy Rossowi. — Już raz kiedyś tak zrobiłam, więc mogę to powtórzyć. To tylko odrobina pracy i wdzięczny klient. — Przyśrubowała Rossa wzrokiem, aż upewniła się, że dobrze zrozumiał jej przesłanie, potem splotła z Buddym ręce i oświadczyła: — Wracajmy do L.A. Ten weekend w Palm Springs okazał się wyjątkowym rozczarowaniem. Ale już nigdy się nie powtórzy.

Las Vegas powitało Deke'a niczym tygrysie oko. Jechał nocą ciemnymi drogami pustyni i oto nagle — jarzące się w oddali — miliony migocących świateł. Las Vegas. Nigdy w życiu nie widział jeszcze czegoś takiego.

Powoli wjechał do miasta, przyglądając się kasynom, błyskającym neonom i ludziom. Niczym mrówki roili się wszędzie. Pod dachami i na dworze, roześmiani, pijani, niektórzy ściskający papierowe kubki i trwoniący piwo oraz srebrne dolarówki.

Przypomnił sobie Atlantic City i Joey. Uwielbiała hazard, uwielbiała faszerować lśniące maszyny, jak gdyby tuczyła stado wygłodzonych rekinów.

Powinien był ją powstrzymać. Maszyny to zło. Zjadają pieniądze. Pieniądze to zło. Ludzie, którzy bawią się pieniędzmi, to kanibale. Wysysający krew, kanibale rodem z piekła. Ci ludzie wchłonęli i zniszczyli Joey.

Przez jakiś czas objeżdżał samochodem miasto, chcąc je zrozumieć. Zimnymi, czarnymi, beznamiętnymi oczami wpatrywał się w mrówki wbiegające i wybiegające ze swoich miejsc kultu. Mrówki-kanibale. Ich bogiem jest pieniądz. Czczą kasyna. Zabrali Joey na ofiarę.

Był zmęczony, potrzebował wypoczynku, jedzenia i chłodnej wody, aby zmyć ze swojego ciała brud istnienia.

Przywoływała go setka tanich moteli. Oferowały baseny, wodne łóżka, filmy pornograficzne dwadzieścia cztery godziny na dobę, jednoręki bandytów i śniadanie za darmo. Joey byłaby zachwycona Las Vegas.

Słodka Joey. Gdzież ona się teraz podziewa? Tęsknił za nią.

Zmarszczył brwi, przez chwilę niepewny. Potem przypomniał sobie. Była w domu z matką. Bezpieczna.

Zatrzymał się w którymś z moteli, ale mimo że był bardzo zmęczony, sen do niego nie przychodził.

Może jest coś, czego musi dopełnić, nim pozwoli mu na luksus wypoczynku. Przecież przede wszystkim nie był zwyczajnym człowiekiem. Był Stróżem Porządku. Miał pewne obowiązki.

O trzeciej nad ranem włączył się na piechotę po ulicach przedmieścia. Chciało mu się spać. Oczy piekły go od wysiłku utrzymania powiek w pozycji otwartej. Ale miał do wykonania jakieś zadanie, musiał czekać na znak.

Prostytutka namierzyła go na długo przedtem, nim ją zauważył. Jasne, że to czubek,

ten z ogoloną głową i rozwartymi szeroko oczami. Ale interes szedł nie najlepiej i trzeba było cokolwiek zarobić. Swoją drogą, kto w dzisiejszych czasach nie ma świra? Jeżeli tylko dostanie forszę, a on jej nie pobije, no to co ją to wszystko obchodzi?

Przez chwilę szła za nim, potem poklepała go po ramieniu. — Cześć, kowboju? Chcesz się zabawić?

Odwrócił się jak rażony piorunem, oczy płonęły mu dziko, dziwka przez ułamek sekundy pomyślała, czyby nie zwiewać. Ale potem zrezygnowała, co, u diabła, to jeszcze jeden tępy kutas.

—Joey? — spytał.

—Kto, ja? Chyba żartujesz, że mnie pełna kobitka. Chcesz iść i sam się przekonać? Dwadzieścia zielonych i wszystko, co zechcesz.

Dekę wiedział, że musi za nią iść. Ponieważ ona była Joey. Prosiła go o pomoc. Nazwała go kowbojem. To był ten sygnał.

Poszperał w kieszeni koszuli i odliczył szesnaście dolarów w jedno-dolarowych banknotach.

—Więcej nie masz? — spytała z niechęcią. Potem złapała go za ramię na wypadek, gdyby się rozmyślił. — To chyba wystarczy — zdecydowała i pociągnęła go ulicą.

Poszedł za nią bez ociągania. Po pięciu minutach marszu oddalili się od jaskrawych świateł i znaleźli na opustoszałych, mrocznych uliczkach. Zaciągnęła go do bramy jakiegoś domu i zajęła się paskiem spódnicy. Materiał rozstał się. Pod spodem była naga. Niedbale oparła się plecami o ścianę i rozsunęła nogi.

—Widzisz, jeżeli nie możesz dać mi całych dwudziestu dolarów, to będę stała.

Sięgnęła do jego rozporka.

Sięgnął po nóż.

Była szybsza od niego. Wysupłała go ze spodni, nim zorientował się, co się dzieje, i zaczęła go wprawnie pieścić.

Zmartwiał, nóż zastygł mu w dłoni.

Po upływie kilku sekund odezwała się z niecierpliwą skargą w głosie: — No, co jest, dalej.

Ani drgnął. Gdzieś, w głębi nocy, jakaś kobieta wykrzykiwała pijackie obelgi.
Jeszcze trochę zabiegów. A potem znowu jej głos: — Co z tobą? Masz z tym kłopoty?
Wtedy użył noża, swojej prawdziwej broni. Ulga była słodka.
Krzyknęła niczym zwierzę, a w oddali tamta pijana kobieta darła się jak opętana.
Kiedy dziwka osunęła się na ziemię, Dekę był cały spryskany krwią. Ściągnął koszulę
i cisnął na nią.

— Teraz możesz odpocząć, Joey — powiedział cicho. — Kiedy wypełnię to, co muszę wypełnić, dołączę do ciebie.

Tempo wydarzeń oszołomiło Buddy'ego. Dopiero co był tylko jednym z wielu aktorów poszukujących pracy, a tu już został nowym odkryciem Sadie La Salle i gwiazdorem nowego, głośnego filmu.

Dzięki Bogu, Sadie traktowała go tylko jako odkrycie. Wcale nie miała na niego ochoty, zresztą ku jego wielkiej uldze. Był bowiem przedtem przekonany, że całe to Palm Springs ma na celu wciągnięcie go do łóżka. Ale nie, zademonstrowała mu tylko jego plakat, a potem ruszyli z powrotem do L.A., podrzucił ją do domu i to wszystko.

Sadie La Salle i Ross Conti. Co za szalona kombinacja. Ale popytując tu i ówdzie Buddy okrył, że to wcale nie aż tak nieprawdopodobne. Według hollywoodzkich plotek to Sadie odkryła kiedyś Rossa, zrobiła z niego gwiazdora, a on w podzięce się na nią wypiął.

- Mam nadzieję, że spodobał ci się twój plakat — z wyrzutem pociągnął nosem Ferdie, kiedy Buddy w poniedziałek zajrzał do biura.

- Musiałem go targać tam całą drogę, a teraz muszę przywlec go z powrotem.

— Chciałbym wyglądać naprawdę tak jak na zdjęciu — zażartował Buddy.

Ferdie uśmiechnął się krzywo. — A jak tam weekend? — nie mógł powstrzymać się od pytania.

- Hej, to dopiero był weekend. Jak tylko tam zajechałem, Sadie natychmiast zażądała, abym ją odwiózł z powrotem do L.A. Nawet nie posiedzialem sobie na słońcu.

- To znaczy, że nie zostałeś tam na noc? — dociekał Ferdie. — Skądże.

Ferdie wyraźnie się zdumiał. — Eee... Sadie zobaczy się z tobą za chwilę. Rozmawia przez telefon z Oliverem Easterne'em.

- Nie ma problemu. — Buddy przechadzał się po biurze, oglądając ściany udekorowane fotosami najslawniejszych gwiazd, zaopatrzonymi w autografy. Jego oczy zatrzymały się na gwiazdorze telewizji, który kręcił się koło Angeli na przyjęciu na cześć George'a Lancastera. — Znasz tego skunksa? — zapytał.

— Z rzadka rozwieszam zdjęcia nieznanym — odparł ostro Ferdie. — Jest w naszej agencji. Oczywiście, Sadie nie zajmuje się nim osobiście. Mamy specjalny dział telewizyjny.

—Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

—Zależy, jaką. Mogę wiele dla ulubionych klientów szefowej. Ale nie dostarczam narkotyków ani osobników przeciwnej płci.

Buddy parsknął śmiechem. — Gdybym rzeczywiście potrzebował tego typu przysługi, to byłbyś ostatnią osobą, którą bym o to prosił!

—Dziękuję ci pięknie — powiedział obrażony Ferdie.

—Nie chciałem cię urazić. Popatrz, jest pewna dziewczyna, którą chcę odnaleźć. Była na przyjęciu Lancastera, możliwe że z tym fagasem — wskazał na fotos.

—Jak się nazywa?

Przecież nie mógł powiedzieć „Angela Hudson”, prawda?

—Nie dowiedziałem się tego. Chyba Angela. Jest bardzo piękną blondynką, prześliczną, prawdę mówiąc.

—Zobaczę, co się da zrobić. W Hollywood nie może być zbyt wiele aniołów.

Tego samego dnia, w którym ogłoszono, że to Montana Gray ma reżyserować „Ludzi z ulicy”, George Lancaster zwinął żagle. Nie został nawet, by powalczyć. Wynajęli z Pamelą prywatny samolot i nie oglądając się wstecz odfrunęli z powrotem do Palm Beach.

George Christy w „The Hollywood Reporter” zacytował słowa Pamelę: — Hollywoodzkie dziwki. — No, ale Pamela nigdy nie słyneła z taktu.

Oliver najpierw wpadł w złość. Widział już, jak jego znakomity interes spływa z wodą w klozecie. Potem zaś zaczął szybko myśleć, obliczając, ile to forsy zaoszczędzi bez George'a Lancastera. I uznał, że to wcale nie taka znowu klęska. Samo nazwisko Giny pociągnie cały film. A ją dostał za połowę jej normalnego honorarium — co wielce zdenerwowało Sadie. No i Buddy Hudson — ten otrzymał jakieś szczyny, natomiast to, co miała dostać Montana, to po prostu czysty śmiech.

Postanowił budować na roli Buddy'ego Hudsona — wejść na rynek młodych. Tak jak z niechęcią dał jej wolną rękę, tak Montana naprawdę odkryła zwycięzcę — ten dzieciak miał potencjał.

A teraz musiał się tylko zająć napływem pretendentów do świeżo osieroczonej roli Mąka. I tak zamierzał ją przebudować, skrócić i zrobić mniej znaczącą. Komu potrzebny był nowy George Lancaster? Oliver chciał jakiegoś rozsądnego aktora o na

wpół zapomnianym nazwisku, który nie zażądałby złotej góry.

Kiedy zadzwonił agent Rossa Conti, Zack Schaeffer, ze swoją propozycją, Oliver ocenił ją jako nie najgorszą. Nie żeby to był jedyny wybór w tym mieście. Dzwoniło mnóstwo agentów chętnych polecić swoich klientów, tylko że Oliverowi podobał się sam image Rossa Conti. To mogła być wystrzałowa rola. Przystojny, chłopięcy Conti grający steranego, starego gliniarza. Jego pierwsza poważna rola - magazyny filmowe będą się tym zachłystywać. Już teraz oczami duszy widział okładkę „People”. A do tego Ross się znowu rozwodzi, co jeszcze doda pikanterii artykułom. Natomiast fluidy między Rossem a Giną to może być coś. Wszyscy wiedzieli, że Ross ma fioła na punkcie cycków.

Spikniesz ich razem i co otrzymasz?

Kolejne świetne nagłówki, ot, co.

Tak. Oliverowi podobał się ten układ. Uwielbiał składać wszystko ostatecznie do kupy. Szczególnie, jeśli to wszystko szło po jego myśli.

Trzy tygodnie po ataku serca Neilowi Grayowi zezwolono na powrót do domu. Tylko że on już nie miał domu, jedynie wynajęty domek przy plaży z prywatną pielęgniarką za całe towarzystwo.

Wszystko to zorganizowała Montana. — Tak będzie dla ciebie najlepiej — wytłumaczyła.

—A co z tobą? — spytał, czując się jak człowiek odciągnięty z krawędzi śmierci. Co zresztą było prawdą.

—Postaram się przyjeżdżać na weekendy — powiedziała wymijająco.

Nie rozmawiali o tym, co wywołało u niego zawał. Nie kłócili się z wrzaskiem, nie oskarżali o nic. Jednak Neil wiedział, że Montana zna przyczynę. I rozpaczliwie pragnął zatrzymać żonę przy sobie.

—Przyrzekasz? — prosił, nienawidząc błagalnej nuty, jaka wkradła się do jego głosu.

—Postaram się. Ale ten film i tak dalej... — zamilkła.

—Montana... — zaczął.

—Nie chcę na ten temat mówić — ucięła ostro. — Aż do chwili, kiedy będę gotowa.

Tak więc został zesłany na wybrzeże z instrukcją, aby wypoczywał i odzyskiwał zdrowie, podczas gdy jego żona przejęła film — z Giną Germaine jako gwiazdą. Co

całą rzecz czyniło doprawdy groteskową.

Chciał zapytać, dlaczego zgodziła się na obsadzenie w tym filmie Giny, ale nie potrafił się zdobyć na wymienienie nazwiska tamtej kobiety. Gdyby to zrobił, powiedziałałaby mu, że to wcale nie jej wybór i że jeżeli chciała reżyserować ten film, musiała zrobić wszystko, czego zażądał od niej Oliver Easterne. W innym razie zaangażowałby jakiegoś trzeciego reżysera.

—Albo tak, albo siak — oświadczył Oliver, ciesząc się tą chwilą. — Ale pamiętaj, jeżeli bierzesz ten film, to spodziewam się, że nie spotkam się z twojej strony z żadnymi kłopotami. Ja za to odpowiadam, ale rządzą te dupki. Zgoda?

Tępe dupki. Bo jak tylko Montana przystąpi do kręcenia zdjęć, to wtedy zyska nad wszystkim kontrolę. Każdy wie, że reżyser trzyma producenta w garści z chwilą ruszenia kamery.

Nie do wiary, że Oliver zaangażował Ginę. Ale stało się, i teraz nie było innego wyboru, jak tylko się z tym pogodzić. Tak więc Montana wezwała Ginę do studia na rozmowę. W ten czy w inny sposób zamierzała wydusić z niej wiarygodną grę.

—Tak się zmartwiłam na wieść o Neilu — wionęła Giną, wybałuszone oczy, białe włosy, niewiarygodne cycki.

Montana przygwoździła ją wzrokiem, który wszystko mówił. Potem zaś dobiła ją słowami: — Chcę, żebyś zrzuciła ze dwadzieścia funtów. Twoje włosy nie wyglądają za bardzo naturalnie, chcę, żeby i to się zmieniło. I żadnych wyszukanych kreacji. Zwykle ciuchy. A jeśli chodzi o makijaż... żadnych sztucznych rzęs, szminek czy cieniów.

Giną zapłonęła wściekłością.

—Nie chcę na ekranie zobaczyć Giny Germaine, gwiazdy filmowej. Musisz postarać się uchwycić prostotę Nikki.

Giną wydawała się znudzona.

—Nie oszukujmy się nawzajem — ciągnęła Montana, zdecydowana od razu wyłożyć całą kawę na ławę. — Nie chciałam ciebie w tej roli, a ty najprawdopodobniej jesteś zła, że to ja zostałam reżyserem.

Ale ogólnie rzecz biorąc, chodzi nam o to samo — o dobry film. Więc pomińmy całe to bagno i pracujmy nad filmem. Podamy sobie ręce na zgodę?

Gina popatrzyła zdumiona. — Czemu nie? — zdecydowała i dwie kobiety uściśniły sobie dłonie.

— On chce, żebyś zjadł z nim dzisiaj lunch. W Ma Maison — powiedział Zack Schaeffer. — Sądzę, że możemy ubić interes. Forsy mało, ale jednak to coś, czego powinieneś się chwycić.

Ten kutas jemu mówi, że on powinien to chwytać! A kto, do diabła, od miesiący naciskał go o „Ludzi z ulicy”? Jak tylko Ross posłyszał

o wycofaniu się George'a, natychmiast skontaktował się z Zackiem

i zmusił go, aby ten niezwłocznie zatelefonował do Olivera Easterne'a.

— Już dzwoniłem do niego milion razy — narzekał Zack, którego bardziej interesowało pociąganie koki i nagabywanie panienek, niż załatwianie pracy swoim klientom.

— Więc zadzwoń raz jeszcze. Natychmiast.

Akurat była właściwa pora. Wieść, że George zrezygnował, nie przedostała się jeszcze do gazet. O tym fakcie uprzedziła go Karen. Wreszcie odezwała się z czymś, co go zainteresowało. Zwykle słowa Karen brzmiały: — Dlaczego się nie pokazujesz? Co ci się stało?

Nie wiedział, co mu się stało. Od tamtego wydarzenia w Palm Springs z Sadie, źle mu się wiodło. Potraktowała go niczym jakiś obiekt seksualny. Wykorzystała go, by wzbudzić zazdrość w swoim nowym kochanku, a Ross po raz pierwszy w życiu poczuł się odtrąconym głupkiem. Nie było to zbyt miłe, niech ją szlag trafi.

Zamknął się w pokoju hotelowym i dniami i nocami oglądał telewizję, korzystał z usług kelnerów i nie fatygował się nawet, by się ogolić. Depresja trwała szereg dni, dręczyła go boleśnie. Sprawiała, że poczuł się stary i niepotrzebny, a na dodatek, kiedy urosła mu broda — to okazało się, że jest siwa. Chryste! Z taką brodą i wyblakłą opalenizną prezentował się cholernie staro.

Wtedy wziął się w garść, akurat w porę, bo zadzwoniła Karen z wieścią o spodziewanym wycofaniu się George'a.

Codziennie piętrzyły się wezwania od Elaine. Z początku po prostu zostawiała swoje nazwisko z prośbą o telefon. Potem kartki wsuwane pod drzwi stawały się coraz bardziej osobiste — co było takie zawstydzające. Czyżby Elaine chciała, żeby cały

świat dowiedział się, co się święci?

Musiał coś postanowić w jej sprawie. Iść do adwokata i omówić rozwód. Ale kiedy już co do czego przyszło, to wcale nie był taki przekonany, że naprawdę tego chce.

Nie powinna była go wyrzucać. Więc niech jeszcze trochę pocierpi, a potem zobaczymy.

Buddy nigdy w życiu nie był bardziej zajęty. Ale ogromnie mu się to podobało. Robiono próby uczesania, makijażu, kostiumów. Sesje zdjęciowe. Spotkania ze specami od reklamy i preparowania odpowiedniego życiorysu. Kiedy nadciągał wieczór, padał jak kamień do łóżka. Piątek miał być jego pierwszym wolnym dniem. Postanowił wpaść do Shelly i do Randy'ego i sprawdzić, czy przypadkiem Angela się do nich nie odezwała. Chciał także zwrócić im pożyczone pieniądze.

Gdy stanął w progu mieszkania Randy'ego, wybiło południe. Naciskał dzwonek przez kilka minut, aż wreszcie w drzwiach pojawiła się zataczająca się Shelly, ubrana wyłącznie w porozciągany podkoszulek. Rude loki wichrzyły się na wszystkie strony, przecpane oczy zasnuwał sen.

- Ta...? — wymamrotała, nawet go nie poznając.

—Hej. Jak to miło, że o nas pamiętają.

Patrzyła bezmyślnie, aż wreszcie dotarło do niej, kto to taki. — Bud — zabelkotała. — Miło cię widzieć, Bud.

Wszedł za nią do małego mieszkanka. Na łóżku leżał rozciągnięty nagi i pogrążony we śnie Randy. W pokoju panował większy niż zazwyczaj bałagan - - dokoła poniewierały się ciuchy, płyty, puste butelki po winie, nie dojedzone pizze, a na stoliku przy łóżku przewrócona buteleczka Quaalude, strzykawka i igła, a także mała puszka z kokainą.

Buddy jednym spojrzeniem ogarnął tę scenę. — Widzę, że wy dwoje dobraliście się w korcu maku — powiedział zaniepokojony.

—A czemu nie? — odparowała Shelly, ziewając i przeciągając rękami po skołtunionych włosach. — Tylko zwierzęta śpią samotnie.

- Podniosła parę dzinsów i rzuciła je na bezwładne ciało Randy'ego. Wstawaj, Bud złożył nam wizytę.

—Odpieprz się — wymamrotał Randy.

- Mamy za sobą ciężką noc — wyjaśniła dziewczyna, wskazując obojętnie na narkotyczne przybory. — Prawdę mówiąc, to cały tydzień mieliśmy nielekki. Przy zabawie czas leci szybciej. Chcesz dymka?

Buddy potrząsnął przecząco głową. Czyżby naprawdę takie życie było i jego udziałem? Nic dziwnego, że Angela uciekła.

- Słuchaj — powiedział szybko. — Wpadłem tylko, by oddać wam obojgu pożyczoną forszę. — Sięgnął po zwitek banknotów.

—Coś ty zrobił? Obrabowałeś magazyn Safewaya? Randy! Wstawaj! Bud przyszedł. I przyniósł forszę.

Randy usiadł gwałtownie, z wściekłym wzrokiem. — Cholera jasna. Nie waż się więcej tak wrzeszczeć. Nie cierpię tego.

Buddy poczuł, jak ogarnia go klaustrofobia. Cała ta scena przygnębiała go. Naprawdę, nie chciał tu zostać ani chwili dłużej.

-Wygrałeś na loterii? — dopytywał się Randy. Wyglądał, jakby rozsypywał się na części. Dzikie, szkliste spojrzenie na białej, suchej twarzy.

-Co się z tobą dzieje? — spytał Buddy, pokazując na strzykawkę. — Od kiedy się za to zabrałeś?

—Ou, daruj sobie taką udawaną troskliwość. Dawaj forszę i spływaj stąd.

Przez chwilę Buddy się zastanawiał, czy nie powinien ingerować, a przynajmniej spróbować z nim porozmawiać. A potem pomyślał: *A kim ja jestem? Wariatem? Oni oboje mogą wzajem o siebie zadbać.*

—Macie. — Odliczył kilka banknotów i wręczył im je. — To chyba powinno pokryć długi.

-Znalazłeś robotę, Bud? — wybełkotała Shelly.

-Aha — odparł. Nie miał zamiaru dzielić się swoją nowiną z tą dwójką naćpanych zombi. — Hm... posłuchaj. Przeprowadziłem się do nowego mieszkania. Gdyby Angela zadzwoniła, to prosiłbym, żebyś nie zapomniała podać jej mojego numeru. — Zapisał go w notesie telefonicznym. — I proszę... postaraj się wydobyć od niej, gdzie się obraca. Naprawdę muszę się z nią skontaktować.

—To bryła lodu, stary — wymamrotała Shelly, trąc zaczerwienione oczy. — Rozpuści się pod dotykiem.

—No to... niebawem się zobaczymy — powiedział Buddy, wycofując się ku drzwiom.
- Znowu się sprzedajesz? — dopytywała się Shelly. Nic na to nie odpowiedział. Wyniósł się stamtąd, zbiegł po schodach, wskoczył do samochodu, czym prędzej oddalając się od swojej przeszłości.

—Omówiłem to z Adrianem i obaj zgodziliśmy się, że powinnaś się do nas przeprowadzić — powiedział Koko.

Angela zaczęła protestować.

—Żadnego sprzeciwu - powiedział Koko stanowczym tonem. — A poza tym, miałem wiadomości od dziewczyny, której mieszkanie podnajmujesz. Wraca. Sama więc widzisz, że wszystko się doskonale składa.

Nie chciała się na to zgodzić, tracić swojej nowo odkrytej niezależności. Ale pomysł zamieszkania wraz z Koko i Adrianem był zbyt wielką pokusą, żeby się jej oprzeć. Mogliby stworzyć jej rodzinę. Na jakiś czas. Czy to grzech pragnąć czegoś takiego?

Kilka dni później załadowali jej rzeczy do samochodu i w ten sposób została lokatorką małego domku na wzgórzach.

Z początku czuła się nieswojo i obco, ale Adrian był taki serdeczny, Koko taki miły, że szybko poczuła się w domu.

Właśnie jej brzuch zaczął być widoczny.

- Aha! — zadrwił któregoś ranka Raymondo. — Nie chciałaś sobie pograć w kulki z królem. Ale z kimś to na pewno sobie pograłaś.

—Zajmij się klientką — powiedział ostro Koko, jak zwykle osłaniając Angelę.

—Przynajmniej jeden z nas jest w stanie to zrobić — parsknął w odpowiedzi Raymondo. — Z korzyścią dla interesów, no wiesz, stary.

—Boże, chroń nas przed puertorykańskimi podrywaczami — mruknął Koko. Po czym zwrócił się do Angeli. — Znalazłem ci lekarza. Zajmie się tobą aż do porodu. Prawdę mówiąc, on nawet przyjmie na świat tego małego potworka. — Westchnął teatralnie. — Przeraza mnie, co my pocniemy w domu z niemowlakiem. — Objął dziewczynę opiekuńczym ramieniem. — Ale nie martw się, damy sobie radę. Pewnie będę się zachwycał każdą minutą jego wrzasku!

Uścisnęła mu rękę. — Kocham cię bardzo, Koko. Do końca życia będę ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Splonął rumieńcem aż po swoją strzechę włosów. — Proszę, skarbie, nie rozczulaj mnie. Nie mogę znieść emocjonalnej presji. Zakłóca mi równowagę hormonalną!

Oliver ubóstwiał dręczyć spragnionego roli aktora. Szczególnie jeśli ten był sławny. Zwykle to oni trzymali go w szachu i utrudniali rozstrzygnięcie partii. W przypadku Rossa Conti, wszystkie figury należały do Olivera. I tym się napawał. Prawdę mówiąc, napawał się podwójnie, gdyż zmusił Montanę, by do nich dołączyła, a samo brzmienie obydwóch nazwisk: Giną Germaine i Ross Conti — mogło bez trudu kompletnie ją załamać.

—Chryste, Oliver — stwierdziła słysząc nowinę. -- Mogę zrozumieć, dlaczego George Lancaster był dla ciebie taki ważny. Ale po co decydujesz się na Rossa Conti, kiedy w tym mieście jest naprawdę dużo dobrych aktorów?

Siedząc przy swoim stoliku w Ma Maison, Oliver czuł się w swoim żywiole. Nawet hemoroidy zniknęły — co tylko dowodziło, że nie służyło im zdenerwowanie. Znakomicie im natomiast robiło, gdy Oli-ver grał pierwsze skrzypce.

Montana była rozdrażniona, a nie jak zazwyczaj opanowana i chłodna.

Ross natomiast jak najbardziej ugrzeczniony. Oliver bawił się z nim niczym złośliwy kot myszą.

- Uważam, że to jeden z najlepszych scenariuszy, z jakimi miałem do czynienia — powiedział Ross przymilnie. — Ma świetne tempo i dużą dozę realizmu. I jest tam dla mnie znakomita rola.

Przynajmniej mu się podoba, pomyślała Montana. Pewien krok naprzód w porównaniu z George'em, który najprawdopodobniej wcale nie zadał sobie trudu, by go przeczytać.

—Sadie zadzwoniła do mnie dzisiaj rano - oświadczył Oliver, żwawo polerując widelec serwetką. — Wydaje jej się, że Adam Sutton byłby tym zainteresowany.

Ross przełknął tę pigułę i milczał. Wiedział, do czego pije Oliver, i wszystko, co mógł zrobić w odpowiedzi, to siedzieć cicho.

—Oczywiście, Adam żąda absurdalnego honorarium — ciągnął Oliver, kiwając dłonią w stronę Dani i Hala Needhamów. — A jeśli Bibi jest na planie, to gwarancja, że ten biedny sukinsyn w ogóle

niczego nie zagra. Jednakże wciąż jeszcze cieszy się sporą popularnością, szczególnie w Europie. — Skończył pucować widelec i teraz podziwiał dzieło swoich rąk. —

Wiesz, Ross, Zack robi mi pewne trudności. Jestem świadomy tego, że i ty masz swoją cenę. — Wzruszył ramionami. — Ale uważam, że mogę ci wyznać, iż ten film przekroczył swój budżet jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć.

Ross zaczął się pocić. Przed lunchem rozmawiał z Zackiem i to, co zaproponował Oliver, było obelgą. Czyżby spodziewał się jeszcze obniżyć honorarium?

—Szczerze mówiąc — powiedział Oliver wspaniałomyślnie — jeżeli zgodzimy się co do zapłaty, to ta rola należy do ciebie. Jeżeli nie...

—Wzruszył ramionami. — Decyzję muszę mieć dzisiaj do czwartej.

Montana wstała. — Wiem, że mi wybaczycie — odezwała się.

—Ale obecnymi czasy nie bardzo mogę sobie pozwolić na luksus długich lunchów. Za tydzień przystępujemy do zdjęć i mam jeszcze setki spraw do załatwienia.

—Za tydzień? — zachłysnął się Ross.

—Dokładnie — powiedziała, pełna dla niego współczucia. Spodobał się jej, zaczęła przypuszczać, że może, mimo wszystko, nie jest taki najgorszy do roli Mąka. Skinęła przelotnie Oliverowi. — Do zobaczenia — rzekła ku jego rozczarowaniu i zniknęła.

—Chyba nakręci wystrzałowy film — przyznał niechętnie Oliver

—choć jest tylko kobietą.

—Napisała znakomity scenariusz.

—Owszem. Dobry — zgodził się z trudem Oliver. — Naturalnie muszę dokonać w nim pewnych zmian. — Pociągnął łyk Perriera i rozejrzał się po restauracji. — Czy to nie twoja żona?

Ross obejrzał się akurat w chwili, kiedy Elaine z Maralee ruszały od drzwi. Chryste! Tego mu jeszcze tylko brakowało. Szybko wyprostował się na krześle i spojrzał w drugą stronę, w nadziei, że może Elaine go nie zauważy.

Nie dane mu było tyle szczęścia. Zobaczyła go w tej samej chwili, w której weszła do środka, i jak tylko Maralee usadowiła się przy stoliku, Elaine przyzeglowała do nich.

—Witaj, Oliver — powiedziała, zdobywając się na uprzejmy uśmiech. — Witaj, Ross.

— Zranione, pełne wyrzutu spojrzenie.

Obaj mężczyźni przywitali się z nią. Niezręczna cisza.

—Czy wypijesz później z nami kawę, Ross? Jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

Miała przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, by nie wszczynać scen w obecności Olivera. — Czemu nie? — powiedział łaskawie, zamierzając zrobić coś wręcz przeciwnego.

Skinęła mu zdawkowo głową. Co za upokorzenie dla Elaine. -Dziękuję. — Bez dalszych słów wróciła do Maralee.

—Słyszałem, że jesteście w separacji — zauważył Oliver, jakby nie było to tajemnicą poliszynela.

- Tylko przejściowo — wyjaśnił lekko Ross. — Nic takiego, czego nie moglibyśmy naprawić.

—Świetnie. Wolałbym pozbyć się obaw, że zaczniesz się kręcić koło Giny.

Sposób, w jaki Oliver to wypowiedział, sugerował, że rola jest już jego. Ale Oliverowi można było ufać tak samo jak wygłodzonej piranii.

- Ile jest prawdy w tej historii o Neilu i Ginie? — spytał Ross, bez specjalnego zainteresowania.

—Zbierz do kupy wszystko, co słyszałeś, i pomnóż to jeszcze przez trzy.

—Aż tak?

—Zetknąłeś się pewnie kiedyś z określeniem „zakleszczająca cipa”... No więc taka jest Gina, dosłownie.

Obaj mężczyźni zakrztusili się ze śmiechu — zresztą jak wszyscy faceci — szczęśliwi, że tym kutasem, którego złapano w kleszcze, był Neil Gray, a nie oni.

—Mam wrażenie, że jakoś dogadamy się w tym przedsięwzięciu — powiedział Oliver. — Porozmawiaj tylko ze swoim agentem, bo ja nie jestem w stanie wyczarować forsy z kapelusza. Bądź rozsądny, a uważam, że współpraca się nam jakoś ułoży.

Co za chuj, pomyślał Ross. A co się stało z tymi pieniędzmi, których nie musiał już ładować w George'a Lancastera? Och, gdyby tylko Sadie była jego agentem...

Ale nie była. Nawet samo myślenie o niej wprawiało go w bezdenne uczucie poniżenia — a do czegoś takiego nie przywykł i nie miał zamiaru jeszcze tego podsycać.

—Wygląda okropnie — zatrzepotała się Elaine.

—Mnie wydaje się dokładnie taki sam jak zawsze — odparła Maralee. I chciała dodać: „To ty sama wyglądasz okropnie”.

—Ma za długie włosy, zrobiły mu się worki pod oczami i przybrał na wadze — stwierdziła Elaine. — Nie dba o siebie.

Ty także, omal nie wymknęło się Maralee. Nigdy, ale to nigdy dotąd nie widziała u Elaine łuszczącego się lakieru na paznokciach. A jeśli już mowa o przytyciu, to jej przyjaciółka mogła pochwalić się całkiem okazałą tuszą. Gdy zaś chodzi o jej włosy, to co powiedzieć o wystawionym na pokaz siwym paśmie nad czołem?

Maralee pogładziła swoje niepokalane pszeniczne loki i doszła do wniosku, że bez względu na to, jaki by ona sama przechodziła kryzys w sprawach uczuciowych, zawsze znajdowała czas na pielęgnowanie urody. Elaine, pozwalając sobie na takie zapuszczenie się, popełniała kardynalny błąd.

—Ciekawa jestem, co Ross robi z Oliverem — zdumiała się Elaine.

—Rozeszły się pogłoski, że może wskoczy na miejsce po George'u Lancasterze — wyjaśniła Maralee.

—No to piękne dzięki, że mi o tym mówisz — prychnęła zła Elaine.

—Dopiero co sama o tym usłyszałam. Poza tym i tak miałyśmy się spotkać na lunchu.

— Umilkła na chwilę, zdecydowana nawiązać do tematu, który ją bardziej interesował. — Neil mi powiedział. Codziennie z nim rozmawiam. Wiesz, bardzo mu się polepsza.

—Popraw mnie, jeżeli się mylę — powiedziała zirytowana Elaine, jednym okiem obserwując każde poruszenie swojego marnotrawnego małżonka. — Ale Neil wciąż jest z Montaną, prawda?

—Chyba tak, w pewnym sensie. Nie sądzę jednak, by przetrwało to o wiele dłużej.

Elaine ledwo zdołała ukryć zdziwienie. — I ty chcesz, żeby do ciebie wrócił. Po tym, jak cię zostawił na lodzie?

Maralee władczym ruchem potrząsnęła jasnymi lokami. — No, ty akurat chyba nie bardzo nadajesz się do udzielania rad w kwestii rzucania kogoś. Czy ty nie przyjąłabyś z powrotem Rossa?

Elaine zdławiła złość. — Ross mnie wcale nie rzucił. To ja go wyrzuciłam, gdyż miał romans z naszą drogą przyjaciółką Karen. A jeśli już o tym się zgadało, to ty przecież musiałaś wiedzieć, co się święci. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Maralee szeroko otworzyła swoje niebieskie oczy, pięknie oprawione i bez

najmniejszej zmarszczki, zrobione tak, że nikt nie mógłby powiedzieć, iż ich właścicielka przeszła operację plastyczną. — Nic nie wiedziałam.

- Pewnie, że nie. Zbyt byłaś zajęta pieprzeniem się z Randym. A co się z nim dzieje? Czyżby jego konto bankowe nie dorównywało jego ptaszkowi?

Maralee szybko nałożyła ogromne okulary słoneczne w białej oprawce. — Doprawdy nie wiem, co się z tobą dzieje. Mówisz takie rzeczy, jakich przyjaciele nie powinni.

- Jeżeli nie usłyszysz tego z ust przyjaciół, to od kogo? — oświadczyła logicznie Elaine, przytrzymując przechodzącego kelnera. - Jeszcze jedna wódka z martini. Podwójna. Nie cierpię przerw w picciu.

Ferdie przyłapał Buddy'ego w połowie pompki.

-Musisz sobie załatwić serwis telefoniczny — zrzędził Ferdie do słuchawki. — Czy mam się tym zająć?

-Czemu nie? — zgodził się Buddy. Jeżeli ma zostać gwiazdorem, może równie dobrze zacząć od odpowiedniej oprawy.

-Mam numer telefonu tej dziewczyny, której szukałeś — poinformował go rzeczowo Ferdie. — Naprawdę ma na imię Angela. I pracuje w salonie fryzjerskim przy Sunset. — Następnie zabrał się za dawanie Buddy'emu numeru, a potem rady. — Teraz musisz być bardzo ostrożny w doborze tego, z kim się spotykasz. Sam wiesz. Niebawem wszystko, co robisz, będzie obfotografowane i opisywane. Zwykle najlepiej jest trzymać się aktorek i randek z nimi. Aktorki wiedzą, jak sobie radzić z takimi sprawami.

Buddy wyszczerzył zęby w uśmiechu. Niekiedy Ferdie zachowywał się niczym nędzna imitacja Sadie. Ona już zdążyła wygłosić mu taką samą mowę.

- Dzięki. Zapamiętam to sobie. Muszę już kończyć. W kąpieli czeka na mnie Linda Evans.

—Ale bystrzak — burknął Ferdie.

—A nie wiedziałeś?

Buddy odłożył słuchawkę i odetchnął głęboko. *Angela. Zaraz dzisiaj masz do mnie wrócić!*

Wykręcił przekazany mu przez Ferdie'ego numer i niecierpliwie czekał, aż ktoś podniesie słuchawkę. Odezwał się jakiś męski głos: — Zakład Koko.

—Ta... hm... chciałbym rozmawiać z Angela. Milczenie, a potem: — A kto mówi?

—Powiedz jej, że przyjaciel.

—Nie wątpię, że pan to przyjaciel, ale Angela akurat jest nieobecna. Więc może będzie pan tak uprzejmy i poda mi swoje nazwisko i numer telefonu. Przekażę jej, jak tylko wróci.

Kurde! Co za wytworny kutas!

—Zadzwoń jeszcze raz później — powiedział niezbyt zadowolony Buddy.

—Dziękuję panu — zanucił śpiewnie Koko.

Buddy odłożył słuchawkę i popatrzył bezmyślnie w pustkę. Powinien był dowiedzieć się o adres, wskoczyć do samochodu i po prostu tam pojechać. Wtedy bez żadnego gadania mógłby ściągnąć Angelę z powrotem do swojego życia.

Ale przypuśćmy, że ona wcale by tego nie chciała. Ta myśl przerażała go bardziej, niż sam się do tego przyznawał.

—Ktoś do ciebie dzwonił - powiedział Koko, kiedy Angela wróciła z wizyty u lekarza.

—Kto taki?

—Nie przedstawił się.

Buddy, pomyślała. O Boże, błagam, niech to będzie Buddy.

—Zadzwoń jeszcze? — spytała niespokojnie.

—Jeżeli tego nie zrobi, to jego strata, skarbie.

W jednej sekundzie jeszcze był tutaj, a w drugiej — zniknął. Elaine z bezradną wściekłością wlepiła wzrok w opustoszały stół Rossa. Tylko chwilę była w toalecie dla pań, a ten sukinsyn to wykorzystał i zwiął.

— Widziałaś, jak Ross wychodził? — warknęła do Maralee. - Nie.

Elaine opadła na krzesło. — Nienawidzę tego cholernego miejsca — stwierdziła. — Pełno tutaj pieprzonych bubków, martwiących się wyłącznie takim czy innym przyjęciem. A jeżeli cię nie zaproszą, to wtedy zamykasz się w domu i gasisz światło, żeby wszyscy myśleli, że wyjechałaś z miasta.

Maralee zamrugała powiekami. — Co takiego?

—Nic — odpowiedziała Elaine łamiącym się głosem. — Zaczynam zachowywać się jak Ross. — Westchnęła. — Napijmy się jeszcze po jednym.

—Już wystarczy — powiedziała Maralee z dezaprobatą. — Dziś po południu mam

lekcje baletu.

—Cholera! — krzyknęła wojowniczo Elaine. — Pełno tutaj takich bubków!

Dokładnie pięć po czwartej Ross Conti poinstruował Zacka Schaef-fera, żeby zadzwonił do Olivera Easterna i przyjął jego warunki — jakiegokolwiek będą.

- Jeżeli opuścimy twoją cenę, to jutro o tej porze wszyscy już będą o tym wiedzieli. I za cholere nie zdołamy wywindować jej wyżej.

—Zack zniżył głos. — Wiesz, Ross, aktor jest niczym kurwa. Pieprzy się albo za piątkę, albo za pięćdziesiątkę. Kapujesz, o co mi chodzi?

— Chcę zagrać w tym filmie, Zack. I jestem taką kurwą, która zrobi wszystko, żeby się tam załapać. Dzwon do Olivera. Natychmiast.

Lekarz złapał Leona wczesnym rankiem, kiedy ten jeszcze spał.

—Zastanawiam się, czy nie zechciałby pan do mnie wpaść — powiedział staruszek takim tonem, jakby mieszkali drzwi w drzwi. — Znalazłem kartę chorobową Andrews. To niezwykle interesujący materiał.

—Teraz nie mogę — wyjaśnił z żalem Leon, odsuwając się od uśpionej Millie. — Czy mógłby pan chwilę poczekać?

Pospieszył do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Potem usiadł na klozecie i słuchał. To naprawdę był interesujący materiał. Lekarz, jak tylko odnalazł akta, natychmiast wszystko sobie przypomniał.

—Willis Andrews był cichym, małym człowieczkiem — wspominał. — Najpierw przyszedł do mnie skarżąc się na migrenę. Ale to wcale nie była migrena — tylko jego małżonka. Problemy seksualne. Wyszło to dopiero po jakichś trzech, czterech wizytach. Wie pan, wtedy nie było jak dzisiaj, kiedy otwarcie dyskutuje się sprawy seksu.

—Oczywiście — zgodził się Leon.

—Kłopoty pana Andrews polegały na tym, że był impotentem — ciągnął lekarz. — I to powodowało piekło w domu. Pani Andrews, zdaje się, bardzo chciała zajść w ciążę.

—Tak?

—Udzielałem porad temu mężczyźnie. Rozmawialiśmy o witaminach, diecie, technikach seksualnych. Seks zawsze był jednym z moich ulubionych tematów. Lubiłem pomagać ludziom, którzy mieli z tym jakieś problemy. To było jakby

wyzwanie.

—I czy pomógł pan Willisowi Andrewsowi?

—No więc, nie. Był pełen dobrych chęci, ale pamiętam, jak po szeregu konsultacji zacząłem przypuszczać, że może ten problem wcale nie tkwi w nim samym. Może to była wina pani Andrews...

—Czy spotkał się pan z nią?

—Niestety, nie. Podsunąłem mu ten pomysł, ale był nim zbyt wstrząśnięty. W perspektywie tego, co stało się później, żałuję, że nie wykazałem więcej stanowczości.

—A co się stało później? — dopytywał się zaciekawiony Leon.

—Wyciąłem artykuł z gazety i dołączyłem go do karty Andrews.

—Jaki artykuł? — dociekał Leon.

—Andrewsowie adoptowali dziecko. Dziewczynkę. I przydarzył się wypadek: dziecko zginęło. Powiedzieli, że spadło ze schodów. Ale sąsiedzi twierdzili, że dziecko zostało załuczone na śmierć. Andrewsów aresztowano, ale jakoś oskarżenie upadło. Nie było dostatecznych dowodów, czy coś takiego. Oczywiście, potem wyjechali z miasta. Nigdy nie potrafiłem tego do końca zrozumieć. Willis Andrews absolutnie nie był typem człowieka gwałtownego.

Leonowi w głowie kotłowały się myśli. Dlaczego w pierwszym miejscu zamieszkania adoptowali dziecko? Czy dlatego, że problemy Wil-Hsa uniemożliwiały im posiadanie własnego? Mimo usilnych poszukiwań Leon nie był w stanie trafić na informację o urodzinach Deke'a. Czyżby powodem było to, że i on został adoptowany?

Adrenalina krążyła w jego żyłach. Potrzebuje więcej danych. Dużo więcej.

Musi dowiedzieć się, kim naprawdę był Deke Andrews.

Ustalono obsadę.

Producent Oliver Easterne. „Ludzie z ulicy”. W rolach głównych Giną Germaine i Ross Conti. Po raz pierwszy na ekranie Buddy Hudson w roli Vinnie'ego.

Produkcja Olivera Easterne'a. Reżyseria Montana Gray.

Dwa tygodnie zdjęć w studio. Następne osiem na planie.

Na trzy dni przed rozpoczęciem zdjęć konferencja prasowa w West-wood Marquis Hotel, na której zostaną zaprezentowani aktorzy.

Montana z rozkoszą udusiłaby Ginę Germaine. Napuszone blond włosy ufrizowane aż

do przesady. Biała kiecka podkreślająca obfite kształty, a ledwie przysłaniająca sławne cycki.

—Chodziło o to — przypomniała jej lodowatym tonem Montana - żeby pokazać prasie, iż ta rola jest wielkim zwrotem w twojej karierze. Jak możesz spodziewać się, że potraktują cię poważnie, kiedy ubrałaś się tak, jakbyś za chwilę miała występy w Las Vegas?

—Nie złość się, kochana — zagruchała Giną. — Obawiam się, że musisz się pogodzić, iż ja zawsze jestem w samym centrum uwagi. Bez względu na to, co na siebie włożę.

Jasne, że ta idiotka nie pojęła słowa z ich wcześniejszej rozmowy. - Słuchaj - rzuciła szybko Montana. — Myślę, że koniecznie musimy pogadać.

—Nie teraz, kotku — zbyła ją słodko Giną i oblizując wargi pomachała w kierunku oczekujących ją dziennikarzy.

—To może jutro rano? — nie ustępowała Montana.

—Gdy nie pracuję, nigdy nie wstaję przed dwunastą. — Giną zrobiła taką minę, jakby to rozumiało się samo przez się.

—Wobec tego na lunchu.

Niechętne westchnienie. — Oj, no dobrze.

Potem Montana natknęła się na Rossa Conti. Wyglądał zdecydowanie korzystnie. Co stało się z tamtym starzejącym się aktorem, z którym jadła lunch w Ma Maison?

Godziny pod kwarcówką. Dyskretna farba maskująca siwiznę. Kosmetyczka. Masaż. Dwudniowa głódówka. Specjalne krople usuwające zaczerwienienie oczu.

— Och, nie — jęknęła. Oto dostała się jej para hollywoodzkich gwiazd zdecydowanych prezentować się jak najlepiej i tym samym spieprzyć film. Ale będą mieli z nią do czynienia i ona im na to nie pozwoli.

Tylko Buddy był w porządku. Nic, co by zrobił, nie mogło ukryć jego zwierzęcego seksu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że świetnie pasuje do jej filmu, niezależnie od tego, czy uda się jej wydusić z niego dobrą grę.

Giną, kiedy go tylko zobaczyła, obcięła go powłóczystym spojrzeniem. Podziwiała go niczym mistrz jubilerski, który szacuje wspaniałe kamienie szlachetne.

Kiedy Giną oglądała Buddy'ego, Ross z kolei szacował ją samą. Miała taką parę cycków, jakich od dawna nie widział. Dlaczego nie można znaleźć kobiety z cyckami Giny, sutkami Karen, głową do interesów Sadie i opiekuńczością Elaine?

Na przyjęciu unikał Sadie. Nigdy jej nie przebaczy, że wtedy potraktowała go w taki sposób.

I proszę, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Grał główną rolę w „Ludziach z ulicy”, chociaż o mało nie pękł z wściekłości, kiedy zobaczył nowy scenariusz. Jego rolę cholernie przycięto.

— Nie martw się tym — uspokoiła go Montana. — Nie zwracaj uwagi na skróconą wersję. Będziemy kręcili według oryginalnej. Tylko nie piśnij o tym słówka Oliverowi.

Sadie przyglądała się Rossowi z mieszaniną żalu i satysfakcji. Wiedziała, że go zraniła — a przynajmniej zadała cios jego dumie. Ale jej zemsta była niczym w porównaniu z tym, jak on ją kiedyś potraktował. Powinna była zażądać więcej.

Teraz już za późno — unikał jej. A szkoda. Ona byłaby w stanie wyciągnąć dla niego dwa razy więcej forsy, niż ustalono.

Buddy aż iskrzył. Urodził się, by stać w świetle reflektorów. Rozpalająca się gwiazda. No dobrze, może jeszcze nie gwiazda, ale już krążył po orbicie, prawda? Wszystko przygotowane, by wzbić się w górę.

Ładna, czarnoskóra dziewczyna z zadartym nosem zaczepiła Buddy'ego. — Cześć. Jestem Virgie z „Teen Topics”. — Pomanipulowała przy magnetofonie. — Czy mogę zadać ci kilka pytań?

Uśmiechnął się. — Z największą przyjemnością. — Opowiadanie o sobie weszło mu już w krew. Przed filmem, w ciągu pięciu dni, dwadzieścia trzy wywiady. Ledwie miał czas, by skoczyć do toalety i na razie musiał zrezygnować z wytropienia Angeli. Tylko raz do niej zadzwonił. Żeby ją zdobyć z powrotem, potrzeba czasu i przestrzeni.

Z cichym trzaskiem ruszył magnetofon Virgie. — Gdzie się urodziłeś? — spytała.

Zdyszany, cienki głosik. Nad górną wargą smużka potu. Czyżby się denerwowała? Tym, że przeprowadza z nim wywiad?

—W Nowym Jorku — skłamał. — W Piekielnej Kuchni. Byłem łobuzem, ale już z tego wyszedłem.

—Kiedy przyjechałeś do Hollywoodu?

—W zeszłym roku. Autostopem z Nowego Jorku. Tutaj miałem się wielu zajęć. Ochrona osobista, trener sportowy dla dzieci, kierowca taksówki. I tak dalej. — Przerwał na chwilę. Aby uzyskać bardziej dramatyczny efekt. — I któregoś dnia do mojej taksówki wsiadła Sadie La Salle... i tak to się zaczęło! „Czy jesteś aktorem?“, spytała. „Tak“, odparłem. „A więc chcę, żebyś niezwłocznie zobaczył się z Oliverem Easterne'em“.

Oczy Virgie rozszerzyły się. — O, kurczę.

—Hej, to naprawdę było jak w bajce. W następnym tygodniu miałem próbne zdjęcia. Dasz wiarę?

Ufnie nagrywała każde słowo.

—Wszystko gra, Buddy? — spytał Pusskins Malone, szef reklamy, który pomógł mu spreparować nowy życiorys.

Buddy potwierdził zakręcając kółko kciukiem i palcem wskazującym.

—Chcą zrobić ci zdjęcia z Giną. Wybacz nam, moja droga. Virgie kiwnęła głową. — Dziękuję — powiedziała z wdzięcznością.

— Pójdę na twój film. Może, jak wejdzie już na ekrany, zrobimy jeszcze jeden wywiad?

—Jasne. Czemu nie? — Łaskawość gwiazdy dla wielbicieli. Uwielbiał to.

—Czy masz przygotowany zestaw dla prasy, mój drogi? — upewniał się Pusskins. — Zdjęcia, biografia. Dziennikarze są już za drzwiami. Gdyby ci było jeszcze czegoś trzeba, daj mi tylko znać.

- Jasne.

—Bystry mały — pochwalił go, zapędzając Buddy'ego w kierunku Giny, którą otaczał zwarty pierścień rozentuzjasmowanych reporterów. — Poznałeś już tę supercipę?

—Nie miałem tej przyjemności.

Pusskins roześmiał się cynicznie. — To Hun Attyla z cyckami!

—Nie jest w moim typie.

—To bez znaczenia. A ty jesteś w jej? Jeżeli tak, to wiej, gdzie pieprz rośnie!

—Dzięki, ale słyszałem już o przygodzie Neila Graya.

—Miał szczęście. Niektórzy faceci zanurkowali między tymi cyckami i nie widziano

ich przez tydzień!

Gina powitała go głodnym wzrokiem, wypracowanym uśmiechem oraz wypchnięciem w przód popiersia. — Czy on nie jest seksy, moi kochani? — zagruchała do fotografów.

—Pocałuj go, Gina.

—Przytul go, Gina.

—Mocniej, Gina.

Obejmowała Buddy'ego we wszystkich żądanych pozach.

Buddy zauważył, że pod tym całym uczesaniem, makijażem i płaszczkiem zalotności, była zimna jak góra lodowa.

Reporterzy bez przerwy pstrykali, a ona tymczasem udzielała mu szeregu instrukcji. — Uśmiechnij się. Wyglądaj seksownie. Na miłość boską, zasłaniasz mnie. Co robisz później?

Przypomniał mu się stary dowcip.

Nie zbliżyłbym się do ciebie nawet z dziesięciostopowym kijem. Pokaż mi kija na dziesięć stóp, a będę cię miała w nosie.

Zdecydowanym krokiem podszedł rozpromieniony Oliver. — Co za para! Obsada budząca natchnienie.

Montana, udzielająca wywiadu Vernonowi Scottowi z UPI, obejrzała sobie z oddali tę scenę i aż się wzdrygnęła. Wspaniała prognoza dla jej filmu.

Virgie odkryła Rossa, podsunęła mu pod nos swój trwożliwy magnetofon.

Sadie obserwowała, jak Gina i Buddy pozują do zdjęć. No, gdyby Ross był jej klientem, nie mogłoby się tak zdarzyć, żeby nie było go z nimi. Jutro te zdjęcia obiegają prasę całego kraju i mówić się będzie tylko o „Ludziach z ulicy”, Ginie Germaine i Buddym Hudsonie. Biedny Ross zostanie w cieniu. Znowu.

Zaczęła mu współczuć. A potem wróciły wspomnienia i twarz jej stężała. Do diabła z Rossem Conti. Dostaje to, na co zasłużył.

Odwróciła się akurat w chwili, w której Pusskins chwycił Rossa i wepchnął go w krąg reporterów.

—Pani mi winna pieniądze za dwa tygodnie. Czteryście sześćdziesiąt dolarów, senora.

— Lina niewzruszenie tkwiła na progu tylnych drzwi.

—Czterysta sześćdziesiąt dolarów — powtórzyła bezmyślnie Elaine.

—Za dwa tygodnie. I Miguel dwieście w sobotę.

—Zapłacę ci — powiedziała po wielkopańsku.

Jakim cudem, kiedy Lina mówi o pieniądzach, jej angielski staje się taki doskonały?

—Kiedy? — zażądała odpowiedzi Lina.

—Niebawem.

—Jak niebawem?

—Och, zostaw mnie w spokoju, ty głupia babo!

Elaine pobiegła do łazienki i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Lojalność. Śmiech na sali. Lina pracowała u niej od ośmiu lat. Płaciła Linie regularnie — nawet za okres choroby czy urlopu. I można by się spodziewać, że gotowa jeszcze poczekać dzień lub dwa. Cholerna służba. Gdyby Lina nie była tak staranna, toby ją zwolniła i sama zajęła się domem.

Powinnaś była urodzić dzieci, Elaine. Wtedy Ross nie mógłby cię zostawić bez grosza. A, daj mi spokój, Etta. Myślisz, że sama o tym nie wiem?

Była samotna, samotnie kręciła się po tym wielkim domu. A do diabła z forszą! Może naprawdę miło by było mieć koło siebie dzieci? Najlepiej już wyrosnięte. Nie posunęła się tak daleko, by marzyć o pieluchach, zabawkach i całym tym chłamie do pielęgnacji. Ale skoro to nie było możliwe, to dlaczego w ogóle o tym myślała? Rossowi wcale nie przeszkadzał brak potomstwa. Prawdę mówiąc, był nawet z tego zadowolony. Typowy aktor. Nie zniósłby konkurencji.

Elaine, wzięwszy się w garść, wynurzyła się z łazienki. Lepiej ugodzić się z Liną. Lepsza głupia pokojówka niż żadna.

Mały S. Schortz trzykrotnie przejeżdżał koło domu Contich. Wahał się, czy wejść do środka. Nigdy nie zetknął się z panią Conti, a żony potrafią być bardzo zjadliwe, kiedy przychodzi się do nich ze zdjęciami ich mężów w łóżkach innych kobiet. Ale skoro pan Conti nie pojawił się na umówionym spotkaniu, Schortz uznał, że pani Conti jest dla niego najlepszym wyborem.

Powoli minął go samochód policyjny, gliniarz czujnie przyjrzał mu się przez ramię. Mały szybko zawrócił na podjazd Contich i zaparkował. Czytał w gazetach, że małżeństwo Contich jest w separacji. Jeżeli więc pani C. zechce mieć dowody

rzeczowe, to on je ma — schowane. A gdy zapłaci, wtedy staną się jej własnością.

Wysiadł z samochodu i podszedł do drzwi frontowych, zauważając jednocześnie, jak to niektórym ludziom się powodzi.

Drzwi otworzyła mu zgryźliwa hiszpańska pokojówka o twarzy niczym chmura gradowa. — Si? — warknęła opryskliwie.

Wyciągnął się na całą swoją wysokość, na całe pięć stóp pięć cali wzrostu i wręczył jej sfatygowaną wizytówkę. — Oddaj to pani Conti — powiedział tak władcym tonem, na jaki go tylko było stać. — Powtórz jej, że przychodzę w sprawie jej męża.

—Pana Conti nie ma. Odszedł. Pan przyjdzie innym razem — i zaczęła zamykać mu drzwi przed nosem.

Zablokował je stopą. Przydało się na coś zaczytywanie się książkami Mickeya Spillane.

—Weź pan tę swoją cholerną nogę! — wrzasnęła Lina.

—Chcę się widzieć z panią Conti. Panią Conti — powiedział z naciskiem. — Oddaj jej moją wizytówkę.

Lina zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem. — Dlaczego nie powiedział pan wpierw: „panią Conti”?

—Powiedziałem.

—Pan poczeka.

Zatrzasnęła drzwi z wariacką siłą, przytrzaszukując mu stopę i niemal czyniąc z niego kalekę na resztę życia. Odskoczył, potem skulił się z bólu i wściekłości. Jakakolwiek okazałaby się Elaine Conti, to na pewno nie może być gorsza od swojej pokojówki.

— A, Lina, jesteś — powiedziała słodkim głosem Elaine. Chciałabym cię przeprosić za moją wcześniejszą opryskliwość.

Lina skrzywiła się ponuro i cisnęła jej w twarz wizytówkę.

—Co to takiego?

—Facet w drzwiach — mruknęła i mamrocząc coś pod nosem odmaszerowała do kuchni.

Elaine mrużąc oczy obejrzała wizytówkę. Nie włożyła szkieł kontaktowych, a druk na kartce był zatarty licznymi plamami brudu. Pospieszyła za Liną do kuchni. — Czego ten człowiek chce?

Lina obojętnie wzruszyła ramionami. — Bo ja wiem. — I zajęła się zlewem.

O Boże, to komornik. Ross przestał płacić rachunki.

- Lina — jęknęła — czy byłabyś tak dobra i powiedziała mu, że nie ma mnie w domu?

Lina trzaskała naczyniami i zignorowała jej słowa.

—Lina, moja droga, proszę.

Pokojówka odwróciła się i spiorunowała ją wzrokiem. — Mężczyzna bardzo grubiariski. Nie chcę go widzieć.

Elaine tupnęła nogą. - Płacę ci za to, żebyś miała z takimi do czynienia!

- Pani nie płaci nic — zakrakała Lina triumfalnym głosem.

Elaine dumnym krokiem wyniosła się z kuchni. Boże! Z pewnością da sobie radę z jakimś parszywym komornikiem. Nie musi błagać swojej służącej. Jak Lina śmie zachowywać się w ten sposób!

Podeszła do drzwi frontowych i otworzyła je zdecydowanym ruchem. — Słucham? — zakrzeczała. — Czego pan chce?

Mały tylko spojrzał na Elaine Conti, która miała dzikie spojrzenie i negliż w brzoskwiniowym kolorze, i odskoczył dwa kroki w tył. Natychmiast się potknął i prawie że skręcił sobie kark.

Elaine pomogła mu podnieść się na nogi, pomna tego, że facet znajduje się na terenie jej posiadłości i jeżeli sobie coś zrobi, to będzie mógł się domagać odszkodowania.

— Nazywam się Mały S. Schortz — wystękał. — Prywatny detektyw. Mam kilka takich zdjęć, które powinny panią zainteresować.

— No to co robisz później? — szepnęła Gina do ucha Buddy'ego. Konferencja prasowa dobiegała końca. Ogłoszono właśnie, że zamyka się bar, co zwykle oznaczało masowy exodus.

- Nie wiem, jak ty, ale ja będę się uczył roli — odpowiedział.

Oblizła pełne, uszminkowane wargi i uśmiechnęła się zalotnie.

—A może byśmy razem przejrzyli te role? Chciałbyś pójść do łóżka z gwiazdą filmową?

Udał zdumienie. — Hej, naprawdę przypuszczasz, że Ross Conti by mi na to

pozwolił?

Zmarszczyła brwi. — Jeżeli ty jesteś pedalem, kochanie, to Sadie La Salle jest moją córką!

— Skoro tak mówisz. — Iz tymi słowy wycofał się, wiejąc czym prędzej, póki dokoła kręciło się jeszcze kilka osób. Czy kiedykolwiek pomyślał, że nadejdzie taki dzień, w którym odtrąci prawdziwą, niekłamana, boską gwiazdę filmową? Hej, hej, hej — stanowczo z wiekiem staje się coraz bystrzejszy. Oceniał ją już od pierwszego wejrzenia i nawet nie poczuł do niej mięty. Jak szedł ten sławny cytat z Paula Newmana? Dlaczego mam jeść hamburgera, kiedy w domu czeka na mnie befsztyk.

Tylko że na niego akurat w domu nic nie czekało. A powinna czekać Angela.

Musiał zrobić jakiś ruch. Im dłużej z tym zwlekał, tym się to stawało trudniejsze. Zdecydowanie odszukał budkę telefoniczną. Było po szóstej, ale może Angela jeszcze pracowała.

Odezwał się ten sam, co tamtym razem, głos mężczyzny: — Zakład Koko.

—Chciałbym z Angela — powiedział Buddy.

—Podobnie jak my wszyscy — odparł śpiewny głos.

Buddy'ego poczęła ogarniać pałaca wściekłość. — No to jest tam czy nie?

—Przykro mi, nie. Czy mam jej coś przekazać?

—Gdzie mogę ją złapać?

—Nigdzie.

—Ależ ja muszę z nią porozmawiać.

—Przykro mi. Przekaze pan wiadomość?

Niechętnie podał swoje nazwisko i numer telefonu. — Proszę jej to podać. To pilne.

Koko zapisał tę informację, zastanawiając się, czy przekazać ją An-geli. Teraz była taka spokojna i szczęśliwa. Czyż naprawdę potrzebny był jej do życia powrót męża?

Uznał, że chyba nie, więc złożył kartkę i wepchnął ją do kieszeni koszuli. Później omówi to z Adrianem, przekona się, co on o tym sądzi. Adrian zawsze podejmuje właściwe decyzje.

Gina Germaine, rozeźlona brakiem zainteresowania ze strony Bud-dy'ego, zwróciła swoje względy ku Oliverowi. Ku znacznemu zresztą zakłopotaniu tego ostatniego.

—Gwiazda twojego filmu jest gotowa pójść na obiad do Chasena - zamruczała. —

Chyba że wolałbyś coś bardziej przytulnego. Zawsze możemy jechać do mnie, a po jedzeniu posłać do Chińczyka.

—Do Chasena — odparł pospiesznie. — Zaprosiłem już Rossa. — Co nie było zgodne z prawdą, ale w prawdę mogło się natychmiast zamienić. — Właśnie miałem zamiar i ciebie zaprosić.

Ross już wcześniej umówił się na obiad z Pusskinsem Malone. Ci dwaj ogromnie przypadli sobie do gustu i zabawiali się przerzucaniem się historyjkami z sensacyjnej przeszłości.

—Możesz zabrać ze sobą Pusskina — powiedział niechętnie Oliver, niezadowolony, że tak niespodziewanie wzrośnie rachunek.

Ross wolałby odmówić. Ale reguła tej gry wymagała, by być uprzejmym dla producenta, więc powiedział tylko: — Jasne, przyjdziemy.

Nie wiedział jeszcze, że Oliver planował zaprosić także Sadie La Salle. Gdyby się zawnocześnie zorientował, słowa „tak” nie wyciągnęłyby z niego nawet dzikie bizona.

Oliver postanowił zabrać także Montanę i Buddy'ego. Nie chciał, by ktoś się poczuł zlekceważony. Swoją drogą, jeżeli chodzi o rachunek, to może sobie pozwolić na pójście na całość. I tak to mu się zwróci z budżetu.

Gdzieś między hallem Westwood Marquis a czekającym sznurem limuzyn zmieniono zamiary i miast do Chasena, pojechano do Mortona. W przypadku Rossa był to błąd, gdyż jak tylko wkroczył w chłodną bezosobowość restauracji Mortona, przed nim jak spod ziemi wyrosła postać Karen.

— Dlaczego do mnie nie zaglądasz? — syknęła. Przez białą, jedwabną bluzkę widać było sutki w całej okazałości. — Jeżeli chodzi ci o Elaine, to ja nie mam nic przeciwko temu, żeby na sprawie rozwodowej padło moje nazwisko.

Ross niewiele myśląc wyciągnął odruchowo rękę i sięgnął ku sterczącemu sutkowi. Karen wydała z siebie zwierzęcy jęk. Kilku zaciekawionych obiadowiczów obróciło ku nim wzrok. Ross uświadomił sobie, co robi, i błyskawicznie cofnął dłoń.

Za jego plecami pojawił się Pusskins. — Karen, kochanie. Jak się miewasz?

—Świetnie, dziękuję ci, Puss. — Jej zielone oczy skierowały się na wkraczającą właśnie z pompą Ginę. — Jezu! — prychnęła, piorunując Rossa wzrokiem. — Czyś ty tutaj przyszedł z tym czymś?

—Ten obiad wydaje Oliver — wyjaśnił. — A ty z kim jesteś?

—Z jakimś nudziarzem. Spławię go i jak tylko zdołasz pozbyć się swojego towarzystwa, spotkamy się na parkingu. Daj mi tam znak. Rozumiemy się?

Oczy Rossa osunęły się ku jej sutkom. — Rozumiemy. Odeszła. Pod opiętymi aż do granic możliwości białymi szortami z jedwabiu nie miała na sobie nic.

—A do tego jest jeszcze nadziana —jęknął Pusskins. — Niektórzy faceci to mają szczęście.

Między nich wtargnęła Gina, objęła ich ramionami. — Cześć wam — zachichotała, doskonale świadoma, że cała restauracja obserwuje jej wejście. — Wasza dziewczynka umiera z głodu. Macie jakieś papu?

Stół był okrągły. Takież rozsadzenie gości.

Oliver. Gina z jednego jego boku. Sadie z drugiego. Obok Giny Ross w wojowniczym nastroju, koło niego Pusskins, potem Montana. Buddy'ego usadzono między Sadie a Montaną. Gina zaś pożerała go głodnym wzrokiem ponad stołem.

Konwersacja ograniczała się do półsłów. Jedynie Pusskins miał coś do powiedzenia. Sztywną z napięcia grupę raczył zabawnymi historyjkami z Festiwalu Filmowego w Cannes, prawił o słynnym aktorze i jego nie mniej słynnej peruce oraz opowiedział kilka anegdotek z życia Monroe.

Gina wypchnęła w przód swój godny podziwu gors, zdecydowana wieść prym w rozmowie. — Kiedy byłam w Wietnamie na występach dla wojska, niektórzy żołnierze trzymali w charakterze maskotek dwunastoletnie dziewczynki. Możecie to sobie wyobrazić. — Umilkła na chwilę, potem dodała pospiesznie: — Oczywiście, ja sama byłam wtedy zaledwie nastolatką.

Ross strzelił wzrokiem w stronę Sadie. Jej władcze czarne oczy spotkały się z jego oczami i ani drgnęły. Próbował zmusić ją spojrzeniem, by odwróciła wzrok, ale się mu nie udało. Suka.

Buddy bez przerwy rozglądał się po restauracji. Ogromnie cieszyło go przebywanie w tak znakomitym towarzystwie, a jednocześnie pragnął być teraz w domu i czekać na telefon od Angeli. Wstał od stolika ze słowami: — Muszę zadzwonić. — Potem wypróbował sprawność swojej świeżo wynajętej służby do odbierania telefonów: — Są jakieś wiadomości?

—Chwileczkę, panie Hudson.

A więc Angela dzwoniła! A jego nie było w domu! Miał tylko nadzieję, że podała swój numer.

—Dzwoniła do pana Shelly — powiedziała telefonistka. — Prosiła, żeby się pan z nią natychmiast skontaktował. Mówiła, że to wyjątkowo pilne. — Zapisał numer telefonu i jakby przygarbił się rozczarowany. Zlekceważyłby wezwanie od Shelly, ale, prawdę mówiąc, mogło to mieć coś wspólnego z Angelą. Tak więc wrzucił do automatu kolejną dziesiątkę.

Shelly odebrała już po drugim sygnale, miała bezbarwny, znarkoty-zowany i przerażony głos. — Musisz tutaj szybko przyjechać, Buddy — wymamrotała. — Randy chyba nie żyje.

—Pani Nita Carrolle? — spytał grzecznie Deke.

—A kto się chce z nią widzieć? — zakrakała podejrzliwie stara kobieta, mierząc Deke'a wzrokiem. Stał na progu jej domu; ogolona na pałę głowa połyskiwała w promieniach porannego słońca.

—Pewien przyjaciel z Barstow zasugerował, bym się tutaj zatrzymał i porozmawiał z nią.

—Barstow! — zaklekotała. — Ja nigdy nie miałam w Barstow przyjaciół, syneczku.

—Więc to pani jest Nitą Carrolle?

—Przecież nie Avą Gardner! — Położyła pieszczotliwie tłustą dłoń na biodrze. — Kto cię przysyła? Założę się, że Charlie Nation. To nie był naprawdę przyjaciel — bardziej syn kurwiącej się pluskwy. — Ryknęła śmiechem.

—Jestem synem Charlie'ego — skłamał Deke.

—Syn Charlie'ego! — wrzasnęła. — Nie żartujesz? Właż, synku, i opowiadaj mi o tym kutasie. Dalej pół życia spędza na szlaku?

Nietrudno było wtargnąć do domu Nity Carrolle. Mieszkała z dwoma jazgotliwymi pudłami w otoczeniu nadmiernej ilości falbanek i koronek.

Nita Carrolle była gruba. Miała grube ramiona. Grube nogi. Jej podbródki trzęsły się niebezpiecznie. A spod obszernego kaftanu wypływał nadmiar tłuszczu.

Była także stara. Trudno określić dokładnie, gdzieś między siedemdziesiątką a

osiemdziesiątką. Wysuszoną skórę pokrywał groteskowy makijaż — maźnięcie cynobrowej szminki, krople lepkiego tuszu, zielony cień, który niczym tynk zalegał w kącikach oczu. Farbowane na żółto włosy pierścionkami otaczały głowę. Na szyi miała perły, diamenty w uszach, na każdym tłustym nadgarstku brzęczące bransoletki i cały zestaw różnokolorowych pierścieni.

Podprowadziła Deke'a do ozdobnej pluszowej kanapy, dopytując się serdecznie: — Jak się miewa ten mały pasożyt? Nie widziałam Charlie'ego od lat.

—Zakończył życie — odpowiedział Deke bezbarwnym tonem.

Była wyraźnie wstrząśnięta. — Zakończył życie — powtórzyła głucho. — Stary Charlie? Synku, nigdy na ziemi nie będzie lepszego wszarza. — Z zakamarków swojego kaftana wydobyla koronkową chusteczkę i wytarła nos. — Ta stara suka, założę się, dalej jest w świetnej formie — powiedziała, gdy już się nieco otrząsnęła.

—Owszem — odparł.

—Daje ci niezły wycisk, co? — spytała ze współczuciem, ponownie wycierając nos.

Kiwnął głową.

Nita Carrolle wzięła się w garść. — No to czego ode mnie chcesz? On obiecywał, że zapisze mi w testamencie różowy brylant. Może to ty go przywiozłeś? Dlatego tu przyjechałeś?

—Czy pani mieszka sama? — spytał grzecznie.

—Tylko z pieskami. A bo co?

—Gdyż chciałbym się u pani na trochę zatrzymać.

—Możesz zostać tak długo, jak chcesz. — Potrząsnęła smutnie głową. — Twój tatuś zawsze mi o tobie opowiadał. I o twojej siostrze. Jak jej było na imię?

—Nie wiem.

—Co?!

Patrzył na nią. Z jego bladej twarzy wyzierały oczy bez wyrazu. Ogolona głowa czyniła z niego jakiegoś złowróbnego szaleńca.

Nita Carrolle cicho odchrząknęła. Był to bardzo wątpliwy dźwięk jak na tak tęgą osobę.

— Ty nie jesteś synem Charlie'ego, prawda?

—Nie — odparł spokojnie.

Zebrała całą swoją siłę i odwagę. — Kim więc, u diabła, jesteś? Jednym płynnym

ruchem sięgnął po swój nóż. Wypróbował jego ostrość na czubku palca. Pokazała się kropelka krwi.

—To właśnie pani ma mi powiedzieć — wyjaśnił beznamiętnie.

—Zrywam się — szepnął Buddy do ucha Sadie.

—O czym ty mówisz? — zapytała cichym głosem. — Obiad może jest nudny, ale także bardzo ważny.

—Wiem — ciągnął Buddy równie przyciszonym tonem. — Ale mój przyjaciel wpadł w tarapaty i muszę mu pomóc.

—W tej branży jedynym przyjacielem dla siebie jesteś ty sam. Wzruszył ramionami.

— Przecież nie wywałą mnie z tego filmu, jeśli nie zostanę dłużej na obiedzie.

Przeprosił wszystkich i szybko opuścił restaurację.

Sadie zmarszczyła brwi. Jego kariera jeszcze się nawet nie zaczęła, a już przysparzał kłopotów.

Giną nadeła się. Nie była przyzwyczajona dostawać kosza. Buddy intrygował ją.

Ross się wściekł. To, że Buddy wyszedł wcześniej, oznaczało, że on sam będzie tu musiał siedzieć dłużej, niż miałby na to ochotę.

Montana zwyczajnie pożałowała, że to nie ona pierwsza się wymknęła.

Pusskinsowi to wisiało. Jak długo płynął strumieniem alkohol, on był zadowolony.

Elaine nacisnęła pilota telewizora i patrzyła na Merva Griffina. Uwielbiała Merva. Był taki opiekuńczy i serdeczny, tryskał dowcipami i plotkami. Czasami czuła się bliższa Merva niż kogokolwiek na świecie. Był zawsze na miejscu o tej samej porze, co wieczór. Wiarygodny, niezawodny i przyjazny.

Ale jakkolwiek kochała Merva, to dzisiaj nie był w stanie przyciągnąć całej jej uwagi.

W nozdrzach Elaine utkwiał odór Małego S. Schor-tza. Tani płyn po goleniu, zatęchły pot i gorzka chciwość. Zjawa tego okropnego człowieczka tańczyła jej przed oczami, kiedy wyciągnęła się na łóżku z dużą wódką w ręce.

Ach! Wyraźny, ostry smak. Tak gorzko-kwaśny i odświeżający. Pozwoliła, by do ust wśliznęła się jej kostka lodu, przez chwilę ją ssała, delektując się miłym chłodem.

Mały S. Schortz naprawdę miał towar. Fotografie kochanego Ros-sa, które nigdy nie mogłyby się pojawić na okładkach „Life'u” czy „Ladies' Home Journal”. Nawet w „Playgirl” zastanawiano by się, czy z nich skorzystać. — Za duży penis —

powiedzieliby. Hmm, pomyślała Elaine z krzywym pijackim uśmiechem, czy ktoś kiedykolwiek widział coś takiego?

Odbiło się jej w sposób arcynieprzystojny damie. To jedna z zalet mieszkania w pojedynkę. Nie musisz zawsze prezentować się z najlepszej strony. Możesz wysmarować się „pszczelą kupką” od stóp do głów i nikt nie będzie o to zrzędził. Jeszcze dołożyła sobie na twarz znienawidzonego przez Rossa kremu.

Mały S. Schortz żądał dziesięciu tysięcy dolarów.

A ona nie miała nawet tyle gotówki, by zapłacić pokojówce.

—Muszę otrzymać odpowiedź jeszcze w ten weekend — powiedział. — Wrócę tutaj.

Elaine przeleciało przez głowę, czyby nie zawiadomić policji. Szantaż był przestępstwem. Zamknęliby tego obrzydliwego facecika.

Tylko że była na tyle bystra, by zdawać sobie sprawę, iż to nie całkiem będzie skuteczne. Jakiś parszywy adwokat wyciągnie go za kaucją, zdjęcia staną się cause célèbre i wszyscy dowiedzą się o Rossie Conti i Karen Lancaster. Ona zaś stanie się pośmiewiskiem całego Beverly Hills, nie mówiąc już o reszcie świata.

W przypiływie determinacji sięgnęła po słuchawkę.

—Tu Maralee Gray — odezwała się słodkim głosem jej przyjaciółka.

Elaine wzięła głęboki oddech. — Maralee, moja kochana — powiedziała ochryple — czy mogłabyś mi pożyczyć dziesięć tysięcy dolarów?

Na natarczywy dzwonek Buddy'ego Shelly uchyliła szparę w drzwiach i zerknęła przez nią.

Wepchnął ją do dusznego mieszkania.

—Dobrze, że przyjechałeś — powiedziała wzburzona. — Ja stąd spadam.

—Hej! — przytrzymał ją za ramię. — Nigdzie nie spadasz. — Popchnął ją ku bezwładnemu ciału Randy'ego rozciągniętemu na łóżku i tak jej wykręcił ramię, że musiała na niego spojrzeć. — Masz siedzieć na miejscu i być cicho.

Nie sprzeciwiła się, po prostu osunęła się na podłogę, wspierając głowę o dłoń. — Mówiłam mu, że przesadza — mamrotała. -Ostrzegałam tego świra, ale nie słuchał mnie. A ja jestem specem od narkotyków, stary. Jezu, specem pierwsza klasa. Moja matka ćpała.

Zignorował ją i podszedł do nagiego ciała Randy'ego. Jedna ręka zwisała bezwładnie z łóżka. Szybko uchwycił ją za przegub, szukając pulsu. Na próżno. Przewrócił Randy'ego na plecy i spojrzał prosto w oczy śmierci.

Przez chwilę znowu znalazł się w San Diego. W kostnicy. Tony.

Smród formaliny.

Zebrało mu się na wymioty. Chciał uciekać.

Shelly zaczęła pochlipywać. — To nie moja wina. Jeżeli chciał się szprycować, powinien był wiedzieć, jak sobie z tym radzić. Zgadza się?

—Coś ty mu dała?

Wyciągnęła w rozpaczy ramiona. — Braliśmy wszystkiego po trochu, nakręcaliśmy się, dobrze się bawiliśmy.

—Rzeczywiście, niezła zabawa — powiedział gorzko Buddy.

—Randy miał depresję — wyjaśniała obronnym tonem. — Od kiedy ta bogata dziwka się na niego wypięła. A gdy ty wpadłeś tutaj z forszą, po prostu oszaleliśmy. Ja zdobyłam trochę hery, Randy chciał sobie wstrzyknąć... — umilkła. — Zwyczajnie, trochę za dużo.

—Wezwałaś lekarza?

—Chyba żartujesz? Ja stąd spływam, człowieku. Nie mam ochoty na przepychanki z gliniarzami.

Buddy nagle uprzytomnił sobie, że on także. Mógł sobie wyobrazić minę Sadie, gdyby się wmieszał w sprawę narkotyków. A Randy'eniu i tak już nie mógł w niczym pomóc.

—Idziemy — zdecydował. — Wezwiemy pogotowie z budki telefonicznej.

—Mogę iść z tobą? — zebrała.

—Słuchaj, ja nie...

—Proszę, Bud, proszę — błagała. — Nie mogę teraz zostać sama. To wszystko naprawdę dało mi kopa. Tylko na dzisiejszą noc, nie dłużej.

—No to chodź — powiedział zrezygnowanym tonem. Przywarła do jego ramienia. — Jesteś dobrym kumplem — podziękowała mu.

—A jak... — odparł cynicznie. — Prawdziwym księciem.

—Przekaż jej jego numer — powiedział Adrian.

—To nie takie proste — zaproponował Koko. - Ona jest takim dzieciakiem zagubionym

we mgle. A z tego Buddy'ego to twardziel. Przy jej stanie nie sędzę, by było najmądrzej kontaktować ich ze sobą.

Adrian wózkiem objechał kuchnię dokoła. — Da sobie radę. Nie jest tak naiwna, jak myślisz.

— Jest wrażliwa na ciosy.

Adrian roześmiał się gorzko. — A my wszyscy to inaczej?

— O, mój drogi! — wykrzyknął Koko. — Przecież wciąż ją lubisz, prawda? Nie gniewasz się, że sprowadziłem ją do nas?

Adrian potrząsnął głową. — Uwielbiam ją. Wiesz o tym.

— To dobrze — odetchnął Koko z ulgą.

— Ale musisz przekazać jej jego numer — dodał Adrian. — Ona sama powinna decydować o swoim życiu.

I po obiedzie Koko to zrobił. — Przepraszam cię, skarbie. Zupełnie zapomniałem — tłumaczył się.

Angela na próżno usiłowała skryć swoją radość.

Koko chciał ją zasypać przestrogi, ale Adrian na niego patrzył, więc dał spokój.

Po kilku minutach Angela spytała, czy może zadzwonić.

— Skorzystaj z naszej sypialni — powiedział Adrian. — Będziesz tam miała więcej swobody.

Rozpromieniła się. — Dziękuję. Koko westchnął głęboko i z troską.

— Opanuj się — przyciął mu Adrian. — Zachowujesz się jak stara kwoka-matka.

— Zostańmy przy matce, kochany - odciął się ostro Koko. — Starą i kwokę możemy sobie darować.

Zatrzymali się przy budce i wezwali karetkę. Potem Buddy wbrew rozsądkowi zabrał Shelly do swojego nowego mieszkania. Zrobiło na niej wrażenie. — Jezu! — krzyknęła. — Cóż to za dobra mamuśka płaci ci czynsz?

Był zbyt przygnębiony, by nawet fatygować się z wyjaśnieniami. Nikt nie mógłby powiedzieć, że Randy był najwspanialszym facetem pod słońcem, ale za to był dobrym przyjacielem. Buddy'ego ogarnął głęboki smutek, nie tylko z powodu śmierci Randy'ego, ale także i dlatego, iż umarł w taki sposób. To mogło spotkać również i jego, Bud-dy'ego Boya, gdyby los i Montana Gray nie wzięli jego przyszłości w swoje

dłonie.

Rzucił poduszkę i koc na kanapę w salonie. — Będziesz tutaj spała — powiedział.

—Lepiej by mi się spało z tobą.

—Wyjašnjmy sobie od razu pewne rzeczy. Nie podobasz mi się w takim stanie. - -

Zauważył, że ma rozszerzone źrenice, nerwowe i szybkie ruchy. Wciąż była naszprycowana tym koktajlem, który Randy'ego wysłał na tamten świat.

—Może byś się położyła — zaproponował.

—Wolne żarty. Dopiero dziesiąta, jeszcze przez parę godzin nie zasnę. Chyba żebyś mi coś dał.

—Co?

—Wystarczy parę pigułek.

—Niczego nie mam.

—Naprawdę stałeś się Panem Superporządnym, co?

—Staram się jak mogę.

Pogrzebała w torebce. — Mam receptę. Pójdiesz dla mnie do apteki.

—Prawdziwa?

—Oryginalny produkt, stary.

Zabrał z jej rąk receptę, pojmując, że jedynym sposobem na pozbycie się Shelly, będzie uśpienie jej.

—Zaraz wracam — rzucił. — I nie odbieraj telefonów. Niech zrobi to serwis.

Jak tylko wyszedł, Shelly sięgnęła do torebki po skręta i zapaliła go, pozwalając, by oszłamiający dym wypełnił jej płuca. Natychmiast poczuła się lepiej i zaczęła rozglądać się po mieszkaniu. Wyobrażała sobie, że Buddy musiał znaleźć bogatą kobietę, która go tutaj wprowadziła dla własnej wygody. Zadzwoił telefon. Lekceważąc polecenie Buddy'ego, sięgnęła po słuchawkę.

Obojętne: — Tak?

Głos Angeli, zdyszany i słodki. — Czy mogę rozmawiać z Buddym Hudsonem?

Shelly pospiesznie zaciągnęła się skrętem. — A kto mówi?

—Angela.

—O, cześć, Angela. Tu twoja stara przyjaciółka, Shelly. Jak ci leci?

Głos Angeli zadrżał. — Dobrze, dziękuję. — Dlaczego Shelly była u Buddy'ego?

—Nie zwiłaś jeszcze na swoje słodkie, stare śmieci do Kentucky?

—Czy jest Buddy? — spytała Angela głosem mocniejszym, niż się naprawdę czuła.

—Nie ma Buddy'ego. NIE MA. Kiedy wróci, powiem mu, że dzwoniłaś. A jeżeli mogę ci coś poradzić, to nie kontaktuj się z nim więcej. — Przerwała, żeby jej rada lepiej się utrwaliła Angeli. — Kiedy coś się kończy, moja mała, to się kończy. A ja naprawdę wpadam we wściekłość, kiedy się muszę czymś dzielić. Jasne?

Angela owładnęły złość i bezradność. Nie mogła pojąć, dlaczego Buddy igra z nią w tak okrutny sposób. Najpierw, na tamtym przyjęciu, zapewniał ją, że zaraz wróci, potem w ogóle się nie pojawił. A teraz prosił, żeby do niego zadzwoniła. Zrobiła to, a tu telefon odbiera Shelly. Jeżeli Buddy pragnie Shelly, to niech ją sobie do cholery ma. Bo ona, Angela, ma już tego wszystkiego dosyć. Z zadziwiającą siłą cisnęła słuchawkę na widelki.

W sąsiednim pokoju Koko i Adrian wymienili spojrzenia.

—Może to jednak ty miałaś rację — mruknął Adrian. — Może ona nie powinna była do niego dzwonić.

Koko mądrze pokiwał głową. — Powiedziałbym, że już najwyższy czas, aby poradzić jej pójście do adwokata.

Montana opuściła restaurację tuż po Buddym. Musiała z tymi ludźmi pracować, ale z całą pewnością nie musiała z nimi jadać.

Do domu pojechała Maseratim Neila. Jakoś szybki samochód bardziej teraz odpowiadał jej nastrojowi. Volkswagen to jej przeszłość. Maserati — przyszłość. Szybki i smukły, zdolny wyprzedzić wszystko na drodze. Czuła się naprawdę dobrze. Pełna obaw, ale wreszcie opanowana. Nie mogła doczekać się rozpoczęcia zdjęć, chociaż Gina, zdaje się, przysporzy jej kłopotów, jeśli wnioskować z jej dzisiejszego zachowania. Co ten Neil sobie myślał, żeby iść z taką do łóżka? Znienawidziła go za taki brak gustu, ledwie mogła się zmusić, żeby dzwonić do niego na plażę. Okrutna prawda polegała na tym, że Neil przestał ją obchodzić. Wraz z zakończeniem filmu, skończy się także ich małżeństwo.

Miała cichą nadzieję, że Neil nie wydobrzeje na tyle, by przejąć z jej rąk reżyserię. Teraz ten film stanie się jej dzieckiem. Uwielbiała władzę i siłę, jaką było panowanie nad wszystkim. Chwilowo Oliver trzymał ją w cuglach, ale jak tylko zaczną kręcić —

to miej się na baczności, dupku! Zmykaj, gdzie pieprz rośnie, fagasio!

Pomyślała o Buddym i o ich jedynej nocy namiętności, o której oboje skrupulatnie milczeli. Załatwił wszystko tak, że Volkswagen — wyczyszczony i z pełnym bakiem — znalazł się przed jej domem, kluczyki zaś w skrzynce na listy. Cieszyło ją, że Buddy okazał się mężczyzną, który rozumie, że między przyjaciółmi czasami zdarzają się takie piękne noce. A po nich znowu są tylko dobrymi przyjaciółmi, bez żadnych dalszych pretensji. Montana z utęsknieniem wyglądała chwili rozpoczęcia z nim pracy. Gina to zupełnie inna sprawa. Podczas lunchu musi jej wyjaśnić dobitnie parę kwestii. Ta kobieta może sobie uważać, że jest górą, gdyż pieprzyła się z jej mężem, ale filmu jej z całą pewnością nie spieprzy.

Dotarłszy do domu Montana ściągnęła ubranie, narzuciła na grzbiet starą koszulę, sięgnęła po swoje przyciemnione okulary i zasiadła nad scenariuszem. Teraz jedyną rzeczą, jaka miała dla niej znaczenie, był film.

Sadie, przyglądając się, jak rozwija się wzajemne zainteresowanie między Giną a Rossem, poczuła smutek lub niestrawność. Jedno z dwojga. Przeprosiwszy więc, wyszła.

Zaraz za nią Pusskins Malone. Miał randkę z pieśniarką kabaretową, która zawodziła bluesa i wspaniale robiła minetę. Nie jednocześnie, oczywiście, ale zaraz potem.

Tak więc zostali we trójkę. Oliver także z utęsknieniem wyglądał końca obiadu. Ale wszystko wskazywało na to, że Gina i Ross wielce przypadli sobie do gustu i żadne z nich nie miało ochoty na pożegnanie.

—Myślę, że dobrze by mi zrobiła jeszcze jedna irlandzka kawa — oznajmił Ross.

—A mnie kolejne Brandy Alexander — dodała Gina.

—A ja wiem, moje dzieci, że mi oboje wybaczycie, jeżeli wrócę do domu.

Rachunkiem ja się zajmę — wtrącił Oliver.

Jak gdyby którekolwiek to obeszło. Ross wlepił wzrok w dekolt Giny, ona zaś zastanawiała się, czy sławny penis Contiego jest rzeczywiście tak potężny, jak głosiła plotka.

Oliver wstał. — Dobranoc.

Ledwie spojrzeli w jego stronę. Pospieszył na parking i podał swój kwit komuś z obsługi. Kiedy czekał na podprowadzenie samochodu, z mroku wyłoniła się Karen.

—Gdzie, do cholery, podziwia się ten złamany kutas? — napadła na Olivera.

Bez trudu potrafilyby podać nazwiska wielu facetów, do których pasowałby ten opis.

—Który? — spytał ostrożnie.

—Nieważne. — Skoczyła do swojego Ferrari i odjechała, zostawiając za sobą chmurę wściekłych spalin.

Natomiast w restauracji Gina pytała gardłowym głosem: — Do ciebie czy do mnie?

Ross za nic nie potrafił wyobrazić sobie przeschmuglowania tak rzucającej się w oczy pani Germaine do Beverly Hills Hotel. Jak tylko zobaczyliby ją zapóźnieni turyści, prawdopodobnie doszłoby do zamieszek.

—Do ciebie — odparł.

—Świetnie — zgodziła się.

Buddy, wręczając Shelly flakonik z przepisanyymi na receptę prochami, spytał: — Jakież to lekarz ci tego dostarcza?

— Oni zarabiają na życie przepisywaniem pigulek, stary. Na depresję, odprężające, przeciw stresom, cały ten chłam. — Przeciągnęła się, a przykrótka koszulka, jaką na sobie miała, podjechała do góry, odsłaniając całe połączenie szczupłego, opalonego brzucha. — Mam takiego doktora, który uważa, że ja naprawdę jestem w depresji. I drugiego, który podsuwa mi herę, jeżeli tylko sądzi, że zdejmę dla niego majtki. — Wzruszyła obojętnie ramionami. — A trzeci facet po prostu lubi się pieprzyć. — Pokiwała mądrze głową. — Zawsze należy mieć w zanadrzu sporą ekipę zaprzyjaźnionych lekarzy. To znacznie ułatwia życie.

Buddy pomyślał o Randym. Czy i jemu ułatwiło? Kiedy zrobił sobie złoty strzał, kiedy mieszanka koki, trawki i heroiny wyekspediowała go prosto do nieba — albo do piekła. Gdziekolwiek.

Zadzwonił telefon. Skoczył ku niemu, podnosząc słuchawkę już na drugi sygnał. — Angela? — wybuchnął, tak pewny, że to ona.

—A kim jest Angela? — spytał lodowaty głos Sadie.

—Jedna znajoma babka — odparł bez zająknięcia.

—Jestem wściekła — wyjaśniła rozzłoszczona Sadie. — A kiedy jestem wściekła, to nie mogę zasnąć. Więc zamiast marnować resztę nocy, postanowiłam zadzwonić do ciebie i cię ochrzanić.

—Hej, Sadie. Jeżeli...

—Siedź cicho i słuchaj. Chciałaś, żebym ciebie reprezentowała. Wkroczyłeś do mnie tym swoim seksownym krokiem, z jakąś na wpółbzdurną obietnicą roli w filmie.

—Hej...

—Zajęłam się tobą. Załatwiłam ci ten film, specjalną stawkę, doskonałą forszę. Osobiście sfinansowałam twój plakat. Postawiłam na ciebie, Buddy. A wierz mi, jest mnóstwo innych aktorów, dla których mogłabym zrobić dokładnie to samo.

—Chcesz powiedzieć, że nie okazałem ci dostatecznej wdzięczności? — przerwał jej rozgniewany.

—Mówię tylko, że nie podoba mi się to, w jaki sposób zachowałeś się dzisiejszego wieczoru. Jak śmiałeś wyjść w samym środku obiadu? Nie możesz traktować ludzi w taki sposób. Szczególnie mnie, jakiegokolwiek producenta, dla którego pracujesz, czy twojego reżysera. Gdy już zostaniesz Alem Pacino, to rób, jak uważasz. Ale pozwól mi teraz, żebym ci coś wyjaśniła. Jeżeli będziesz mi sprawiał trudności, zrezygnuję z ciebie i odwołam plakatową kampanię. Chcesz tego? Lepiej przyznaj się zawczasu, póki nie jest za późno.

—Przepraszam cię, Sadie — powiedział stosownie pokornym tonem. — To naprawdę była sytuacja krytyczna. Już się nie powtórzy.

—No więc teraz oboje dokładnie wiemy, na czym stoimy — powiedziała ostro i odłożyła słuchawkę.

—Powiedz mi coś o tej Sadie — zachichotała Shelly. — Czy ta cała Sadie jest mężatką? Czy to ona tutaj ciebie urządziła?

—Zrób mi tę uprzejmość, łyknij parę pigułek i idź spać. — Skierował się do swojej sypialni.

Shelly niezbyt się uśmiechało, że odchodził. — Pewnie nie masz ochoty zajrzeć do Mavericka? Tak okropnie się czuję.

—Spać, Shelly.

Zamknął drzwi. Potem usiadł na brzegu łóżka i zaczął myśleć. Skoro Sadie była taka wściekła, że uciekł z jakiegoś głupiego obiadu, to jak się zachowa, gdy on niespodziewanie przedstawi jej własną żo-nę?

I jeszcze gorzej. Tylko brakowało, żeby zmaterializowała się jego matka.

Do tej pory wcale o niej nie myślał. Tylko w koszmarach nocnych nawiedzała go nieproszona, nie zapowiedziana.

Kazirodstwo.

Wredne słowo.

Za każdym razem, kiedy musiał sobie o tym przypomnieć, jeżyły mu się włosy na głowie. Cała jego przeszłość to jeden wielki śmietnik. Przed oczami zawirowały mu nazwiska — Maxie Sholto, Joy Byron, Dandys, Jason Swankle i setka bezimiennych kobiet, które zobaczywszy go na ekranie mogły spytać: — Czy to nie ten sam facet, któremu płaciłam za pójście ze mną do łóżka?

Wszystko to, gdy nie zachowa dość ostrożności, zniecka wybuchnie mu prosto przed nosem. Tylko w jaki sposób mógłby teraz być ostrożny? Co się stało, to się nie odstanie.

Nienawidził życia w kłamstwie. Czyż jego nowe życie nie miało się toczyć według reguł prawdy? I jak na początek wyjaśnić to wszystko Angeli? Jeżeli mają być razem, winien jest jej prawdę. Im więcej o tym rozmyślał, tym był pewniejszy, że tak właśnie należy zrobić.

Nowy początek.

Przyszła mu do głowy jeszcze jedna, niezbyt mile widziana myśl. Powinien najpierw ułagodzić swoją matkę. Trzeba to uczynić, zanim z hałasem rozpozna go w jego nowym życiu. Co by się stało, gdyby to, co zrobił, przedostało się do wiadomości publicznej? Jak tylko mu czas pozwoli, poświęci dzień na podróż do San Diego.

Podjąwszy tę decyzję, poczuł się lepiej. Potem skontaktował się z serwisem telefonicznym i sprawdził, czy się nie odezwała Angela. Nie.

Natychmiast znowu ogarnęło go uczucie przygnębienia. Dlaczego czuł się aż tak podle, kiedy wszystko szło jak najlepiej?

Aż do całkowitego wyczerpania trenował pompki.

Potem zasnął.

Bardzo rzadko zdarza się tak, by dwoje ludzi spotykających się w łóżku było do tego stopnia ze sobą zgranych — czy może tak sobą zaślepionych.

Gina Germaine i Ross Conti tworzyli właśnie taką parę. Ona, jasna blondynka w każdym miejscu, o zmysłowych wargach i godnych pożądania piersiach.

On, opalony, z błękitnymi oczami i wyjątkowych rozmiarów fiutem.

—Dlaczego cię dotąd nie spotkałem? — zachłysnął się, bliski spełnienia, jego twardy członek mocno ściśnięty w jej łonie.

—Nie wiem. — Gina także z trudem łapała powietrze, podobnie jak on, była bliska orgazmu. — Ale teraz, kotku, jestem już przy tobie.

Wybuchnęli kakofonią jęknięć, chrząknięć, westchnień i okrzyków.

—Cholernie nieźle — rzucił Ross.

—O rany! — zawtórowała Gina

Dopadli siebie niczym dwójka zapaśników.

Emmy-Lou Josus sześćdziesiąt ze swoich osiemdziesięciu dwóch lat przepracowała jako pokojówka. Niejedno już widziała. Pracowała w kurwim dołku w Nowym Orleanie, w domu publicznym w St. Louis, w burdelu w San Francisco. Była świadkiem bijatyk i mordobicia, skrobanek i samobójstw. Ufały jej dziewczęta, służyła radą facetom. Kiedy przybyła do Los Angeles, to wydawało się jej, że w zasadzie już nic nie może jej zaskoczyć.

Nucąc wesoło pod nosem, otworzyła sobie własnym kluczem drzwi wypielegnowanego domku Nity Carrolle. Pani Carrolle należała do jej ulubienic. Wierzyła Emmy-Lou. Nie zamykała przed nią na cztery spusty alkoholu.

W domu cuchnęło. Emmy-Lou pociągnęła nosem i rozejrzała się za psami, które zwykle wybiegały jej na powitanie. — No, co, pieseczki! — zawołała. — Ależ z was śmierdziele.

Podrapała się pod pachą i zdjęła wyblakły, wełniany żakiet, szczerze przyozdobiony dziurami wygryzionymi przez mole. Pani Carrolle przyrzekła jej coś nowego. Może na Gwiazdkę. Albo na urodziny. Zmarszczyła brwi. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy przypadają jej urodziny. W ogóle dzisiejszymi czasy niczego nie potrafiła sobie przypomnieć.

Znowu podrapała się pod pachą, poniuchała dziwny smród wypełniający mały domek i weszła do kuchni. Na stole, ustawionym pośrodku, leżały psy z poderżniętymi gardłami. Przez chwilę Emmy-Lou gapiała się na nie nic nie pojmując. Białą wykładzinę pokrywała krew, wiedziała, że musi ją sprzątnąć. Nie znosiła krwi. Krew przesiąka ubranie, skórę, nie można się pozbyć jej odoru.

Przeżegnała się w milczeniu. Pani Carrolle nie powinna była tego zrobić. To takie okrutne. Emmy-Lou nie cierpiała okrucieństwa. Rozsądnie zabrała się za uprzążanie tego pobjowiska. Wrzuciła psy do czarnych, plastikowych toreb na śmieci, wyszorowała obficie splamioną krwią wykładzinę, zamiotła podłogę, cały czas gniewnie mamrocząc.

Kiedy się z tym uporała, zrobiła sobie filiżankę gorącej, słodkiej herbaty, usiadła przy stole i wypila ją dumając.

Wreszcie uzbrojona w ścierkę i odkurzacz wkroczyła do salonu. Może to, co zrobiła pani Carrolle, nie było aż takie złe. Może nie aż tak straszliwe. — Koniec z psimi gówienkami — zachichotała.

Słowa zastygły jej na wargach. Teraz już na pewno wiedziała, że nigdy nie dostanie obiecanej jej przez panią Carrolle wełnianego zakietu.

Neil Gray niespokojnie przemierzał wynajęty domek przy plaży. Siostra Miller siedziała na swoim miejscu robiąc na drutach. Była to chuda Szkotka o wąskich wargach. Neil miał już powyżej uszu jej nudnego towarzystwa.

Lekarz wyposażył go w listę przykazań: Żadnego picia. Żadnych wymagających wysiłku ćwiczeń. Żadnego palenia. Żadnego tłustego pożywienia. Żadnego stresu. Żadnego seksu. Prawdę powiedziawszy, niczego, co dotąd cieszyło go w życiu. Czuł się świetnie, naprawdę cudownie. Dlaczego więc ma resztę życia przepędzić niczym inwalida? Przerazenie wywołane zawałem już minęło. Codziennie brał lekarstwa i naprawdę szczerze wierzył, że obecnie jest w lepszej, korzystniejszej formie, niż mu się to od lat zdarzało.

—A może by tak dziś na wieczór wielki soczysty stek i buteleczkę wina? — zaproponował siostrze Miller, która porzuciła swoją robótkę na drutach, by udać się na codzienne zakupy do marketu.

—No, no, panie Gray — powiedziała, zwracając się do niego niczym do niepoprawnego dziecka. — O tym nie ma mowy.

—Ależ owszem, siostrzo Miller. Ogromnie byłbym zadowolony ze steku i wina. Może nawet i z cygara, jeżeli mają tutaj cokolwiek, co nadaje się do palenia.

—To absolutnie nie wchodzi w rachubę. Lekarz nigdy by na to nie pozwolił.

—Ależ przecież tutaj nie ma tego cholernego doktora, no nie? Wydęła wargi. —

Najęto mnie po to, bym się panem opiekowała.

I zamierzam się z tego wywiązać, w miarę moich możliwości.

Do sklepu odjechała swoim samochodem, stanowiącym jedyny środek transportu w tym domu. Jego samego odstawił tutaj szofer w asyście Montany. Montana odwiedziła go tylko jeden jedyny raz. Nie żeby ją za to winił. Przyłapano go przecież w sytuacji, jaka może się zdarzyć tylko w koszmarnym śnie. Teraz rodziło się pytanie, co dalej? Nie miał zamiaru tkwić jak tłumok na plaży, kiedy tymczasem tracił swoją żonę, swój film, zdrowe zmysły.

Niecierpliwie przemierzał pokój i ze złością patrzył na ocean. Jakże nie cierpiał tej cholernej wody. Sam szum przyprawiał go niemal o wariactwo.

Siostra Miller wróciła w stosownym czasie. Przywiozła mu gazety i magazyny poświęcone sprawom filmu. Zagłębił się w nie z wdzięcznością.

W „Herald Examiner” znalazł wielki fotos Giny Germaine i Bud-dy'ego Hudsona wraz z krótkim streszczeniem filmu. Zdjęcie było Giny i Buddy'ego, ale słowa Montany. Jemu poświęcono zaledwie jakąś linijkę. Wyglądało na to, że awansował z pozycji rodzinnej sławy na pozycję niedołęznego małżonka.

Artykuł przeczytał dwukrotnie. Zdenerwował go.

Potem wlepił wzrok w podobiznę Giny — naczelną przyczynę wszystkich jego kłopotów.

— Siostro Miller! — krzyknął gwałtownie. — Proszę mi dać kluczyki od samochodu. Na godzinę, dwie jadę do miasta. Proszę się nie niepokoić. Nie będę palił, pił ani też nie popełnię grzechu z żadną niewiastą. Może być pani spokojna, że wrócę w idealnym stanie.

Natychmiast się sprzeciwiła, wąskie wargi zacisnąwszy w linijkę pełną dezaprobaty.

— Nie mogę panu na to pozwolić, panie Gray.

Wmaszerował do kuchni i wyciągnął kluczyki z jej torebki. — Decyzja, moja droga pani, należy do mnie i tylko do mnie.

Podniosła głos. — Panie Gray. Jeżeli będzie się pan upierał przy takim zachowaniu, będę zmuszona wezwać lekarza. — Błyskawicznie wyprzedziła Neila i zablokowała drzwi swoją imponującą postacią.

Grubiańsko odepchnął ją na bok. — Szczerze mówiąc, siostro Miller, mam to w dupie.

Niełatwo było pozbyć się Shelly. Mimo całego potrząsania i poszturchiwania Buddy nie zdołał jej dobudzić, musiał więc zostawić ją w mieszkaniu, kiedy sam wychodził w interesach na lunch z Pusskin-sem Mallone. Do obu aparatów telefonicznych przykleił kartki z ostrzeżeniem: NIE ODBIERAJ TELEFONÓW.

W hallu Beverly Hills Hotel Pusskins podsunął mu pod nos dwie gazety.

GINĄ GERMAINE I NOWY GWIAZDOR BUDDY HUDSON.

Nazwali go gwiazdorem, a on jeszcze niczego nie dokonał!

—Czy mogę dostać po sześć egzemplarzy każdego z tych pism?

—spytał rozgorączkowany.

—Możesz nawet dostać raka, jeżeli będziesz tego bardzo pragnął

—odparł obcesowo Pusskins.

Lunch miał miejsce w Polo Lounge. Czekala tam na nich piękna meksykańska dziennikarka z lśniącymi, czarnymi włosami i figurą Miss Universum.

Miał to opracowane. Te same pytania. Identyczne odpowiedzi. Uśmiech. Stosowna dawka czaru osobistego. Nie spotkał się jeszcze z dziennikarzami wagi półciężkiej, choć Pusskins zapewnił go, że i tacy istnieją.

Dziewczyna stenografowała, on udzielał schematycznych odpowiedzi, natomiast jego myśli dryfowały swoim torem. Ciekaw był, czy gazety zamieściły jakąkolwiek wzmiankę na temat Randy'ego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa — nie.

To grzech. Umrzeć w Hollywood nikim.

Co z przygotowaniem do pogrzebu? Kto się tym wszystkim zajmie?

Drugi z kolei grzech. Umrzeć samotnie.

Pusskins strzelił palcami. — Hej, mały. Skup się — zakomenderował. — Michelle już dwukrotnie zadała ci to samo pytanie. Odpowiedz jej wreszcie, czy nie?

Buddy wrócił do rzeczywistości. Jasne... Może jej odpowiedzieć. On ma odpowiedź na wszystko.

Określenie „ludzki śmieć” znakomicie pasowało do Szczura Soren-sona, który zaczął swoją niesławną i długą karierę, sprzedając po dwadzieścia centów za sztukę akty swojej siostry. Działo się to w latach czterdziestych, kiedy fotografie gołych babek były rzeczą podniecającą. Szczur, kiedy się zorientował w swoich talentach w dziedzinie promocji, rozwinął interes i zajął się handlowaniem fotosami, na których

widniał on osobiście. Wraz z siostrą. Kiedy rozkwitły lata pięćdziesiąte, on już wydawał, drukował i rozpowszechniał (spod lady, rzecz jasna) obskurne próbki w magazynie zatytułowanym „We Dwoje”. Przyniosło mu to fortunę. Żwawo więc wyprodukował serię filmików pornograficznych, również nabijających mu kasę. W latach sześćdziesiątych postanowił się zalegalizować. Wydał barwny magazyn traktujący o ogrodnictwie, który splajtował po trzech numerach i zrujnował go do cna.

Gdzieś po drodze ożenił się z szesnastoletnią nimfetką, która odczekała, aż upłynni się forsa, a potem sama spłynęła. Przyłapał ją w motelu z jakimś siedemdziesięcioletnim żonkosiem i strzelił mu prosto między oczy. Za to otrzymał dwadzieścia pięć lat odsiadki. Wyszedłszy wcześniej, bo po piętnastu latach, za dobre sprawowanie (wkrótce stał się ulubieńcem klawisza z powodów znanych tylko jemu i kumpłowi z celi — szantażyście o nazwisku Mały S. Schortz), zetknął się ze światem, o jakim nie śnił. Szczur błyskawicznie wrócił do interesów, na których znał się najlepiej, i po raz drugi zbił fortunę. Ukazała się następna edycja „We Dwoje” — tym razem w legalnych kioskach z prasą i pod nowym tytułem „Towar w dziurce”. Złakniona publika ogromnie polubiła ów magazyn.

Ale jasna sprawa, że Szczur pragnął czegoś więcej. Poślubił siedemnastoletnią tancerkę brzucha i towarzysząc jej podczas cotygodniowych zakupów w supermarkecie zauważył, że pewien typ gazet zajmuje przodujące miejsca w stoiskach z prasą. Modę tę zaczął „National Enquirer”, po nim ruszyły wydania wszelkiego autoramentu naśladowców.

Szczur chciał się w to włączyć. Postanowił wydawać pismo o tej samej formule — ale z jednym smakowitym dodatkiem. Seksowne fotosy gwiazd w akcji — takie seksowne, jakie tylko zdołał pozyskać. Oczywiście, że jego magazyn nie pojawiał się w stoiskach supermarketów, ale to Szczura niezbyt martwiło. Ludzie i tak go kupowali w specjalnych kioskach.

Niespodziewane spotkanie ze starym kumplem Małym S. Schortzem okazało się szczęśliwym przypadkiem dla nich obu. Wpadli na siebie przed restauracją Tony Roma w samym środku Beverly Hills.

W rozmowie okazało się, że nowego świerszczyka o nazwie „Prawda i Fakty” wydaje i redaguje nie kto inny, jak Szczur osobiście.

—Mam dla ciebie ekstra fotosiki! — wybuchnął Mały. — Oczywiście nie za darmo, bo warte są każdego centa.

Już następnego dnia ubito interes. Szczur zakupił cały zestaw negatywów pary Karen Lancaster — Ross Conti. Na okładkę wybrał jeden z nich, całkiem pikantny fotosik przedstawiający Rossa zabierającego się właśnie do ssania podziwu godnych sutek. Zdjęcia naprawdę szalenie pornograficzne zachował na rozkładówkę.

—Wepchnę je do następnego numeru — oświadczył Szczur.

—Czy mogę liczyć na uwzględnienie moich praw autorskich? — zapytał z nadzieją w głosie Mały. Nigdy nie był zbyt sprytny.

Maralee odmówiła prośbie Elaine o pożyczkę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Prawdę mówiąc, kompletnie ją zatkało, że Elaine miała czelność o coś takiego poprosić. Zadzwoiła do Karen, żeby się poskarżyć, ale Karen zachowywała się wyjątkowo nieprzyjaźnie, oskarżając ją o trzymanie strony Elaine i niekontaktowanie się z nią samą.

— Byłam za bardzo zajęta Neilem, żeby zadzwonić do kogokolwiek — tłumaczyła się Maralee.

- Ależ przecież ty nie cierpisz tego wszarza — zdumiała się niebotycznie Karen.

—„Nienawiść” nie jest już słowem, które należy do mojego słownika — odparła świętoszkowato Maralee. — Neil się zmienił. Myślę, że jest gotów pozbyć się tej całej, no, jak jej tam, i wrócić do mnie.

—Chyba żartujesz?

—Absolutnie nie.

Zapadła chwila ciszy, podczas której obie przetrawiały nową osobowość Maralee. Potem Karen przypomniała sobie o niewielkiej notatce, którą wyłowiła z „L.A. Times”.

—Jakie miał nazwisko ten twój przyjaciel Randy?

- Felix. Tyle razy ci go przedstawiałam, że mogłabyś przynajmniej zapamiętać jego nazwisko. Wiem, że nie jest sławny, ale...

—On nie żyje — przerwała jej Karen.

—Co ty powiedziałaś?!

—Była o tym wzmianka w gazecie. Ktoś wezwał policję. Znaleziono go zaćpanego na

amen w jakimś nędznym mieszkanku w Hollywood. Myślałam, że mówiłaś, iż on ma forszę.

Maralee była zdruzgotana. Zerwała z Randym, ale zawsze, jak taka rzecz mogła się zdarzyć? I co on robił w tej norze? Przecież sam mówił, że mieszka w bardzo miłym mieszkanku. „Tylko trzy sypialnie, ale dla mnie wystarczająco wygodne”, tak jej opowiadał. Ona, oczywiście, nigdy u niego nie była. Może i dobrze się stało.

—Muszę go zobaczyć — postanowiła.

- O czym ty mówisz? On nie żyje — warknęła Karen. — Zajęła się tym policja. Przypuszczają, że w chwili śmierci była z nim jakaś kobieta. — I nagle coś przyszło Karen do głowy. — Ale ty nie brałaś z nim prochów, prawda?

—Nie bądź śmieszna — prychnęła Maralee. — Nigdy w życiu nie zapaliłam nawet marihuany.

- Hmm -- westchnęła Karen. - Nie masz pojęcia, co straciłaś.

Maralee zakończyła rozmowę i poszła do łazienki, by podziwiać swoją blond urodę.

Dlaczego zawsze trafiali się jej nieudacznicy? Cóż było w niej takiego, co przyciągało łowców posagu i chamów?

Pomyślała o Neilu. Starszy mężczyzna. Anglik, szanowany, świetny reżyser.

Kiedyś już był jej mężem i wtedy pozwoliła mu odejść. Najwyższy czas, by odzyskać go z powrotem.

Neil wpadł na autostradę Pacific Coast starym, białym Chevroletem siostry Miller. Teraz, kiedy się już wyrwał, zmienił zamiar zaatakowania od razu biura Olivera i odzyskania kontroli nad swoim filmem. Bardziej niż tego cholernego filmu pragnął Montany, ona zaś z całą pewnością nie byłaby zachwycona, gdyby odebrał z jej rąk ten film. Postanowił zatrzymać się, napić drinka, wrócić na plażę i zadzwonić do żony. Kiedy poprosi o spotkanie z nią, nie będzie mogła odmówić i wtedy we dwójkę wyjaśnią sobie wszystkie te bzdury. Od dawna należała się im poważna rozmowa.

Odnalazł znany sobie bar i wjechał na parking.

Kilka kropel szlachetnego brandy na pewno nie może mu zaszkodzić. Raczej zrobi mu więcej dobrego niż złego. Przecież wszyscy wiedzą, że brandy to rodzaj lekarstwa.

Pierwszy kieliszek smakował niczym nektar. A drugi był zaledwie uzupełnieniem pierwszego. Neil miał ogromną wyporność. W Paryżu bez trudu co wieczór wlewał w

siebie całą flaszkę. Oczywiście, miało to miejsce lata temu, ale przecież nie zapomina się nigdy umiejętności polegającej na dawaniu sobie rady z alkoholem. Czy z kobietami.

Roześmiał się tubalnie i zamówił następną kolejkę.

— Wprowadź się do mnie — zaproponowała Giną rankiem po wspólnie spędzonej nocy namiętności. Przygotowywała się pospiesznie na umówiony lunch z Montaną.

Ross leżał na łóżku i przyglądał się jej. Leniwie wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jedno było jasne, z pewnością nie da się dwa razy prosić. Jej dom był jak z bajki, jej cycki doskonałe. A tak swoją drogą, Bever-ly Hills Hotel kosztował go oczy z głowy.

Montana punktualnie przybyła na lunch do El Padrino w Beverly Wilshire Hotel, Rozejrzała się wokół, zamówiła Pernod z lodem i zasiadła do czekania. Wiedziała z pewnością, że Giną Germaine się spóźni.

Co było zgodne z prawdą. W trzydzieści pięć minut później Giną zrobiła typowe dla gwiazdy filmowej wejście. Miała na sobie żółte, jedwabne marynarskie spodnie, przezroczystą bluzkę, wielkie okulary w białych oprawkach oraz puszyste futerko z rudych lisów. Chociaż na dworze było siedemdziesiąt pięć stopni w cieniu.

— Cholera jasna! — krzyknęła, opadając na krzesło. — Ależ ja miałam noc! Ross Conti jest dokładnie taki, jak mówią, a nawet lepszy. — Zachichotała. — O parę dobrych cali lepszy! Najlepszy pod słońcem facet do łóżka! — Pochwyciła przechodzącego kelnera.

— Rum z coka. I z lodem. Dużo lodu. — Uniosła okulary i wnikliwie popatrzyła na Montanę. — Więc jaki cel ma to nasze spotkanie? Mogłam sobie pospać jeszcze ze dwie godzinki.

Montana potrząsnęła głową, próbując ukryć głębokie zniecierpliwienie. — Giną — powiedziała powoli, jak gdyby zwracała się do krnąbrnego bachora. — Mówiłam ci, żebyś schudła o dwadzieścia funtów, poprawiła sobie włosy, zrezygnowała z seksownej pozy. Czyżbyś mnie wtedy nie zrozumiała?

Giną schroniła się za swoje okulary i nieustannie rozglądała się po skąpo oświetlonej restauracji.

—Montana. Moja droga. Musisz to zrozumieć, że ja mam określony image. Moja publiczność spodziewa się, że będę wyglądać olśniewająco.

—Guzik mnie obchodzi, czego spodziewa się twoja publiczność. Ja, jako twój reżyser, spodziewam się po tobie daleko więcej. I jeżeli się do tego nie zastosujesz, to cię wyrzucę.

—Mnie wyrzucisz! — roześmiała się niedowierzająco. — Moja droga. Nie zapominajmy, kto jest gwiazdą tego filmu.

Kelner przyniósł jej drinka. Pochłonęła go niemal jednym łykiem.

Montana sęczyła Perond i zastanawiała się, jak tu najlepiej poradzić sobie w tej sytuacji. Czuła się zadziwiająco spokojna, ponieważ wiedziała, że to ona weźmie górę. Giną będzie chodziła jak na smyczy. Montana nie wiedziała jeszcze, jak tego dokona, po prostu wiedziała, że tak się stanie.

Zmierzyła blondynę chłodnym wzrokiem. — Dobra — powiedziała.

—Znakomicie. Rób, jak uważasz. Przypuszczam, że będę dosyć zajęta opiekowaniem się Buddym, a przy tym wiem, że Ross okaże się świetny. Sądzę, że wszystkich zadziwi.

Giną nie spodziewała się tak szybkiego odwrotu. Zbiło to ją z pan-
tałyku. Zrzuciła futerko z ramion, co spowodowało, że kilku siedzących w pobliżu mężczyzn zachłysnęło się trunkami. — Ja także zamierzam ogromnie zadziwić publiczność — oznajmiła rozdrażnionym tonem.

—Oczywiście, oczywiście — zgodziła się Montana. — Zmysłowa Gina Germaine dokona tego raz jeszcze. Cycki i dupcia zdobędą jej nagrodę najgorszej aktorki roku.

—Nie zasłużyłam sobie na takie słowa — warknęła Giną. — Fakt, że pieprzyłam się z twoim mężem, nie uprawnia cię do odzywania się do mnie w ten sposób.

Oczy Montany błysnęły niebezpiecznie, ale utrzymała się w ryzach. *Och, Neil! Ty z czymś takim? Ona nie jest warta twojego palca.*

—Cokolwiek robiłaś z Neilem, to jego sprawa, i twoja, oczywiście. Nigdy nie byłam zwolenniczką nakładania cugli — powiedziała spokojnie.

Giną zdjęła okulary i zmrużyła swoje wylupiaste niebieskie oczy.

—Ty jesteś naprawdę dziwna, wiesz o tym?

Montana wzruszyła ramionami. — Uważam, że każdy ma prawo do osobistej wolności. Neil cię pożądał. Dostał cię. I zobacz, jak skończył.

—Boże! Niezbyt to miłe, co mówisz.

—Dlaczego nie? To prawda. — Skinęła na kelnera. — Poproszę rachunek.

—Nie zjadłyśmy jeszcze lunchu — zaprotestowała Gina.

—Nie ma żadnego sensu go jeść — oznajmiła ostro Montana.

—Chciałam porozmawiać z tobą o roli, chciałam pomóc ci ją zagrać. Ale teraz widzę, że tylko tracilibym czas. Ty zwyczajnie chcesz mi pokazać, że jesteś mocniejsza, ale ja się w to nie bawię. Jestem kobietą pracującą, Gina, a nie hollywoodzką pańcią.

—Jesteś naprawdę przebojowa. — W głos Giny wkradł się niechętny podziw.

—Nie. Jestem tylko profesjonalistką, która chce nakręcić film najlepiej, jak potrafi. Powiedziałam ci to już podczas naszego pierwszego spotkania. Myślałam, że zmierzamy do tego samego celu, ale najwidoczniej się omyliłam.

Przyjęła rachunek od kelnera i poszukała w torebce karty kredytowej. — Jeżeli nie życzysz sobie ze mną współpracować, to ja nie zamierzam cię do tego przymuszać. Po prostu skoncentruję się na Buddym i Rossie. Oni będą tak dobrzy, że nikt nie zwróci uwagi na pannę Germaine. Szkoda, ponieważ mogłabyś być naprawdę wystrzałowa, Gina. To w tobie siedzi, tyle że ukryte za włosami, cyckami i makijażem. — Przerwała na chwilę. — Po prostu potrzeba ci kogoś, kto by z tobą popracował, kogoś, kogo by obchodziło, jak ty grasz. Ja mogłabym to z ciebie wydobyć i ty dobrze o tym wiesz.

—Niezbyt świetnie pracuje mi się z kobietami.

—Bzdura. A czy kiedykolwiek próbowałaś? Może się okazać, że spodoba ci się takie doświadczenie.

Na twarzy Giny powoli pojawiał się uśmiech. — Wiesz co? Przypominasz mi mnie samą!

Boże uchowaj, pomyślała Montana.

—Żebyś wiedziała! — rozpromieniła się Gina. — Ten ostry język... Widzę, że ty także masz jaja, kochana. Pewnie ci się to wszystko uda. Założę się, że tak.

—Czy to oznacza, że będziesz mnie słuchać?

—Czemu nie — zdecydowała się Gina. — Owszem. Właściwie dlaczego nie? Słuchałam już fagasów, którzy przede wszystkim chcieli się ze mną przespać. No więc, kto wie? Praca z tobą może być pewną odmianą. — Pochyliła się ku niej konfidencko. — Powiem ci coś, Montana. Neil i ja — to było bez znaczenia. Po prostu rodzaj układu w branży.

—Jestem o tym przekonana.

—I powinnaś być przekonana, ponieważ ja ci mówię, że wszyscy faceci to niewierne kutasy. Wszyscy, kochana. Nigdy nie ufaj im nawet odrobinę. — Mądrze pokiwała głową. — Wiem coś o tym. Zarabiam na sobie już od piętnastego roku życia i pozwól mi sobie powiedzieć, że nie była to droga usłana różami. Może chciałabyś usłyszeć co nieco o tym, przez co musiałam przejść, żeby stać się tym, kim dzisiaj jestem?

Kiedy Giną zaczęła monologować, nie mogła przestać. Dwie godziny później wciąż jeszcze mówiła. A Montana słuchała. W milczeniu.

Aktorzy. Aktorki. Wszyscy tacy sami. Okaż im trochę sympatii, trochę zrozumienia i już są twoi.

Kiedy zaczną kręcić film, Giną będzie jak wosk w jej rękach. A ona zmusi ją do takiej gry, o jaką by jej lubieżna publiczność nigdy nie podejrzewała.

Jeżeli Neil potrafiłby tego dokonać, to dlaczego nie ona, Montana?

Leon bez zwłoki przystąpił do pracy. Uraczył Millie kilkoma mętными wymówkami i wrócił do Barstow. Tam przerzucił policyjne akta, reportaże w gazetach, sprawdził agencje adopcyjne.

Nie wystarczył mu na to jeden dzień, więc wynajął pokój w Desert Inn Hotel i zadzwonił do Millie. Nie była zbyt zachwycona. — To są nasze wakacje — przypomniała mu stanowczo. — Więc nikt nie spodziewa się po tobie, żebyś pracował.

—Wiem. Ale to ważne. A potem zrobię wszystko, co zechcesz, przyrzekam.

—Telefował do ciebie kapitan Lacoste. Chce, żebyś się z nim skontaktował.

Był zbyt poruszony, by dostrzec posępne nuty w jej głosie. — Dziękuję. Wracam najprawdopodobniej jutro.

—Nie ma pośpiechu — mruknęła zimno. Ale on już się rozłączył.

Kapitan przekazał Leonowi takie nowiny, że włosy stanęły mu dęba. Dekę Andrews znowu uderzył. Tym razem w Las Vegas. Ofiarą padła leciwa prostytutka, która włóczyła się po podmiejskich barach i kasynach. — Zostawił dosyć śladów, byśmy wiedzieli, że to on. Odciski palców, ślina, sperma. Te same, typowe dla niego ciosy nożem. I koszula. Policja w Vegas ma kilkoro świadków, którzy mogli widzieć, jak odchodził z miejsca zbrodni. Przesłaliśmy im telegraficznie jego zdjęcie. Czy jesteś

gotów tam pojechać?

Leon nie wahał się ni chwili. — Tak, jestem. Proszę, by odwołano mnie z urlopu i oficjalnie przydzielono do tej sprawy.

—Miałem nadzieję, że tak powiesz. Skontaktuję się z Vegas i dam im znać, że już jedziesz. Przyrzekli pełną współpracę.

W umyśle Leona wirowało. Dlaczego Las Vegas? Jakoś zdawało mu się, że Dekę zmierza do Barstow. Jakiś ślad... ktoś... coś... w Barstow. Ale jeżeli Dekę *zdażył* już złożyć tutaj wizytę?

Jak tylko odłożył słuchawkę, postanowił sprawdzić wszystkie miejscowe zabójstwa z ostatnich czterech tygodni. A potem pojedzie do Las Vegas — co tchu.

—Gdzie on jest? — spytała stanowczo Maralee, jej niebieskie oczy świeciły niepokojem i z troskaniem.

—Ukradł mój samochód — oświadczyła ponuro siostra Miller. — Obrzął mnie i odzywał się do mnie wulgarnie. Chcę natychmiast dostać pełną zapłatę.

—Proszę przestać robić z siebie idiotkę — powiedziała obojętnie Maralee. — Jemu nie wolno prowadzić samochodu.

—Wiem o tym, pani Gray. Ale nie mogłam go powstrzymać. Zachowywał się jak szaleniec.

Maralee niemalże nadepnęła jej na stopę. — Ja chciałam, żeby on był na miejscu. To ważne. Dlaczego pani pozwoliła mu odjechać?

—Spodziewam się zapłaty za dwa tygodnie pracy. A pani może mówić o szczęściu, że nie żądam odszkodowania za uszkodzenia cielesne. Jeżeli mój samochód nie wróci tutaj w ciągu godziny, zamelduję na policji, że go skradziono.

Bardzo szybko dwa, trzy drinki urosły do czterech czy pięciu. Serce Neila zaczęło tłuc się w klatce piersiowej jak oszalałe, ale on nie przejął się tym specjalnie. W ogóle niczym się nie przejmował.

Zamierzał wyjaśnić wszystko Montanie. Opowiedzieć jej całą tę historię. Naprostować ją, jak to czarująco ujmują Amerykanie. Wyczyścić. Wypowiadać się. Błagać o rozgrzeszenie.

Tylko że Montana pewnie tego nie kupi. Montana o tak trzeźwym umyśle, tak opanowana. — Zapomnij o tym, Neil — powie. — Nie potrzebuję twoich żalonych

usprawiedliwień. — I będzie miała świętą rację, gdyż wszystko to sprowadzi się do... idiotycznych wymówek, wyjaśniających liczne lubieżne czyny, dla których wymówki nie istnieją.

Miał ochotę zamówić następnego drinka, ale przemyślał to lepiej i chwiejnym krokiem wymaszerował z baru.

Kiedy Buddy wrócił do domu, Shelly panoszyła się tam na dobre. Leżała wyciągnięta na kanapie, lakierując sobie paznokcie u stóp jas-krawopurpurową emalią.

—Cześć, gwiazdorze. — Chwyła „Los Angeles Times” i pomachała gazetą. — Dlaczegoś mi nic o tym nie powiedział?

Wzruszył ramionami, zirytowany, że podczas jego nieobecności nie wyniosła się po cichu. — Mieliliśmy przecież co innego na głowie. Zamierzałem ci o tym powiedzieć.

—Ty z Giną Germaine. Ho, ho! Co za impreza, stary!

—Hej, posłuchaj. Mam niezwykle dużo do załatwienia w związku z tą pracą. Więc może bym cię odwiózł do domu? — Nim się tutaj wprowadzisz na dobre, chciał dodać, ale się opanował.

—Ja wcale nie muszę tam jechać — oznajmiła. — W zeszłym tygodniu rzuciłam robotę, a skoro Randy odpadł... — Uniosła do góry nogę i podziwiała świeżo pomalowane paznokcie. — Poza tym, mogę ci być pomocna. Przeczytać razem z tobą rolę. A potem może wpadniemy do Mavericka. Oni tam wszyscy wymiękną. Z największą rozkoszą zobaczyłabym, jak zielenieją na twarzy. Co ty na to?

—Lepiej będzie, jak odwożę cię do domu — powtórzył stanowczo.

—Dla ciebie lepiej — odcięła się, mierząc go zrozpaczonym wzrokiem. — Dlaczego nie mogę tutaj zostać?

—Gdyż spodziewam się Angeli.

—A jasne, czekaj tatka latka!

—Co chcesz przez to powiedzieć?

Zeskoczyła z kanapy. — Dobra. Odwieź mnie do domciu, ważnia-ku. Mogę bez ciebie świetnie żyć.

—Dlaczego powiedziałaś, że mogę się nie spodziewać Angeli? — powtórzył pytanie.

—Nieważne — mruknęła.

—Dla mnie ważne.

—No dobra, tak myślę. — Złapała swoją torebkę i przewiesiła ją niedbale przez ramię.

— Wezmę taksówkę, gwiazdorze. Nie chciałabym ci zawracać głowy.

—Czy Angela dzwoniła? Czy odebrałaś jej telefon?! — wykrzyczał z wściekłością.

Dotarła do drzwi i odwróciła się, z jedną ręką wspartą na biodrze, ze złośliwym uśmiechem na wargach. — To jest coś, o czym tylko ja wiem, a ty się musisz domyślać.

Wychodząc, zatrzasnęła za sobą drzwi.

Buddy podnosił słuchawkę.

To, że Maralee odmówiła Elaine pożyczki w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, nie okazało się żadnym nieszczęściem, gdyż Mały S. Schortz nie stawił się na drugie spotkanie. Co znowu było świetne, gdyż Elaine nigdy nie wystąpiłaby o rozwód. Jeżeli Ross chce wolności, to niech on wszczyna postępowanie.

Lina odeszła, ale Elaine zdołała zrealizować czek w zakładzie Rona Gordino (straci tam miejsce — ale co z tego) i przekupić Linę stosowną premią, by wróciła.

Przy kontuarze czekowym w Hughes Market w Beverly podszedł do niej aktor telewizyjny w szortach i podkoszulku z emblematem uniwersytetu kalifornijskiego. Dość nierozważnie zaprosiła go do siebie. On, gdy tylko zwietrzył aromat luksusu, rzucił się na nią jak na zdobycz.

Odesłała go do diabła.

Odszedł niezbyt pokornie.

Po raz drugi natomiast odeszła Lina. Była katoliczką i nie mogła pozwolić, aby coś takiego wyprawiało się w jej obecności.

Elaine wlała w siebie cztery czyste wódki i patrząc na swojego ukochanego Merva osunęła się w niebyt.

Nie usłyszała wiadomości z ostatniej chwili, w których poinformowano Los Angeles, że Neil Gray doznał kolejnego rozległego zawału serca, stracił przytomność, a następnie zmarł na parkingu przed barem z wyszynkiem w Santa Monica.

Mikrobus z piskiem opon zarył w miejscu. Dekę nic nie widział, paliły go czerwone płomienie. Czerwień... krew... krew Nity Carrolle... krew Joey.

Wszystko w porządku. Była bezpieczna. Ocalił ją od grzechu.

Przed opuszczeniem Las Vegas zatrzymał się przed jednym z wielkich hoteli i kupił

sobie ogromne okulary przeciwsłoneczne. Tak ciemne, że przez ochronne szkła nikt nie mógłby zobaczyć jego oczu.

Spodobały mu się. Były oknem na zewnętrzny świat, ale on, Deke, pozostawał za nimi bezpieczny, ukryty, anonimowy.

Joey powiedziałaaby, że wygląda fajnie. Często prawiała mu komplementy. Była jedyną osobą, która знаła prawdziwego człowieka ukrytego za Deke'em Andrewsem.

Sama myśl o tym nazwisku wściekała go.

— Nie jestem żadnym Deke'em Andrewsem! — wrzasnął na cały głos.

Potem wyskoczył z samochodu i nasikał na opustoszałą autostradę.

Wiedział, kim była jego matka.

Jechał do Los Angeles po to, by ją zabić.

Las Vegas zostało za nim, ta oaza światła na pustyni rozwiała się w oddali, kiedy z rykiem silnika mikrobus podążał w stronę Los Angeles. Deke chciałby przefrunąć — przelecieć nad pustynnymi drogami, wiedział, że stać na to jego samochód. Ale nie mógł sobie na to pozwolić. Trzymał się ograniczenia prędkości. Musiał zachowywać ostrożność.

W jego głowie kłębiły się wstrętne obrazy. Nienawiść przepełniała jego żyły. A jednak wiedział, że Joey go obserwuje. Miła, słodka Joey.

Gdzie się ta kurwa podziewa?

Przez chwilę nie porafił sobie przypomnieć i ogarnęła go wściekłość.

Ta dziwka gzi się z innym facetem.

Śmierć Neila Graya była wstrząsem. Ale Buddy był przekonany, że nie odbije się to ujemnie na „Ludziach z ulicy”. Wszyscy wiedzieli, że film przejęła Montana. Mówiono, że początek zdjęć odłożono o tydzień.

Uzmysłowił sobie, że teraz ma czas na podróż do San Diego i wyklarowanie wszystkiego między sobą a matką. Ale najpierw pragnął powrotu Angeli. Już dosyć długo się naczekał. Jednakże osiągnięcie jej nie było prostym zadaniem. Dzwonił. Nigdy nie zastawał jej w pracy. Dzwonił ponownie. Jej wciąż nie było. Poprosił o jej domowy numer i odmówiono mu. Wreszcie wsiadł do samochodu i powoli przejeżdżał przed salonem w nadziei, że się na nią natknie. W oszklonej recepcji siedział jakiś facet o dziko rozwichrzonych włosach.

Buddy zaparkował swojego Mustanga i wkroczył do środka. — Hej — powiedział obojętnym tonem. — Jest Angela?

Koko od pierwszego wejrzenia wiedział, że to musi być Buddy.

Wyglądał oszłamiająco. — Już tutaj nie pracuje — powiedział, bawiąc się suwakiem swojego pomarańczowego dresu. Nie było to kłamstwem. On sam zdecydował, że Angela powinna zostać w domu aż do chwili narodzenia dziecka. Opierała się, oczywiście, ale wreszcie przekonał ją mówiąc, że Adrianowi potrzeba towarzystwa.

—Gdzie ją mogę znaleźć?

—Bo ja wiem. — Koko nigdy nie zaliczał się do najlepszych łgarzy. Nerwowo wyłamywał sobie palce.

Buddy nad blatem wyciągnął rękę, w której leżał stosownie złożony dwudziestak. — Gdzie?

Koko odepchnął pieniądze w jego stronę. — Coś takiego! — warknął. — Pan naoglądał się za wiele filmów.

Akurat tę chwilę wybrał Raymondo na pojawienie się. Omiótł bystrymi piwnymi oczami całą scenę. — Koko! Z ciebie zła mamuśka! Sprzedajesz się! Na miejscu, stary!

—Odpieprz się! — zgasił go Koko.

Pogwizdując i miaucząc Raymondo właśnie to uczynił. Ale na odchodnym rzucił: — Czekaj, aż powiem o wszystkim tej ślicznotce An-geli! — zaśpiewał. — Jej to się nie spodoba!

—Skończ z tymi bzdurami! — powiedział rozeźlony Buddy. Pochylił się nad blatem.

— Jestem jej mężem. Gdzie ona jest?

—Ona chce rozwodu.

Buddy złapał za suwak dresu Koko i podciągnął go tak gwałtownie, że zamek wpił się w ciało pod szyją. — Gdzie... ona... jest?

Koko nigdy nie zaliczał się także do odważniaków. Pisnął z bólu. — Ona nie chce cię widzieć — wykrztusił. — Dlaczego nie zostawisz tej nieszczęsnej dziewczyny w spokoju?

—A dlaczego ty się od niej nie odczepisz?

—Angela jest moją przyjaciółką. A sam Bóg wie, jak bardzo potrzebna jest jej

przyjaźń po tym, jak ty ją potraktowałeś. — Wywinął się z uchwytu Buddy'ego. — Jeżeli natychmiast nie opuścisz tego miejsca, zawołam policję.

Buddy schwycił słuchawkę i cisnął nią o blat. — No, jazda. Mam święte prawo zobaczyć się z własną żoną. I jeszcze jedno. Będę przychodził tutaj dzień w dzień, aż powiesz mi, gdzie ona jest. Pojąłeś, co do ciebie mówię?

Koko pojął dokładnie. Ale nie miał zamiaru ujawniać miejsca pobytu Angeli przed skonsultowaniem się z nią. — Dobra — oznajmił

kwaśno. — Skontaktuję się z Angela i zobaczę, co ona o tym myśli. Jeżeli nie zechce cię widzieć, to czy się odczepisz?

— Musi mi to osobiście powiedzieć.

— Więc jutro. O tej samej porze.

— Dzisiaj o szóstej po południu, przyjacielu. Ja tu wrócę. — Wymaszerował pewnym siebie krokiem.

Koko przez kilka minut usiłował ochłonać, potem zadzwonił do Angeli i opowiedział jej o wszystkim. — I co ty na to? — spytał niespokojnie.

— Porozmawiam z nim i powiem mu to sama. Że nie chcę już go więcej widzieć — powiedziała stanowczo.

— I o rozwodzie — przypomniał jej Koko.

— Owszem — potwierdziła i w tamtej chwili sama wierzyła we własne słowa. Ale nadeszła szósta, Buddy zadzwonił i już zmiękła, słysząc tylko jego głos.

— Wszystko jest inaczej — zapewniał ją. — Zdarzyły mi się różne rzeczy i pragnę, żebyśmy byli razem. Sama wiesz, coś jakby nowy początek. Co na to powiesz?

Zawahała się. — Buddy, nigdy nie będzie już tak samo między nami. Zmieniłam się. Nie chcę wracać do tego życia, któreśmy przedtem wiedli.

— Hej, czyżbyś mnie nie słuchała? Przeszłość jest poza nami. Oboje zrobiliśmy takie rzeczy, jakich nie powinniśmy. Więc zacznijmy od nowa, maleńka. — Pochylił się nad słuchawką, zniżył głos, a Koko stał za biurkiem z założonymi ramionami i udawał, że nie podsłuchuje.

— Dlaczego nie zostaniesz z Shelly? — spytała z rozpaczą Angela. — To jest dziewczyna dla ciebie. A ja nie jestem do niej podobna.

Roześmiał się. — Gdybyś była do niej podobna, tobym się zastrzelił.

—Mieszkałeś z nią od chwili, w której się wyprowadziłam — oskarżyła go. — Dwukrotnie powiedziała mi, żebym zostawiła cię w spokoju. Ja nic nie rozumiem. Czego ty ode mnie chcesz?

—Shelly powiedziała ci, żebyś mnie zostawiła w spokoju?! — spytał nie wierząc własnym uszom. — Ona ci to powiedziała?

—Ja nie kłamię.

—To dopiero gówniara. Szukam cię od chwili, w której odeszłaś.

—Wprowadziłeś się do niej.

—A skąd!

Angela cicho westchnęła. Chciała mu wierzyć, ale już przestała być tą gąską, która wysiadła z samolotu z Louisville.

—Muszę się z tobą zobaczyć — nalegał. — Musimy sobie pewne rzeczy wyjaśnić. — Jeszcze niżej pochylił się nad telefonem. — Kocham cię, maleńka. Tylko cię. Chcę, żebyś o tym już teraz wiedziała.

—Sama nie wiem, co robić, Buddy.

—Ja ci to powiem.

—Muszę mieć czas, aby to wszystko przemyśleć.

—A co tutaj jest do przemyślenia? Mam wspaniałe mieszkanie, nowy samochód. Zagram główną rolę w filmie.

—Wiem. Widziałam w gazecie twoje zdjęcie. Tak się cieszę, Buddy.

—Ciesz się za nas oboje. Tyle mi się wydarzyło, chciałbym, abyśmy to wspólnie dzielili. Bez ciebie to wszystko nic nie znaczy. Rozumiesz?

Kiedy mówił te słowa, uświadomił sobie, że to szczerą prawdą. Wszystko układało się świetnie, ale aby się stało doskonałe, on musiał mieć Angelę. Kiedy do niego wróci, nie będzie już utrzymywał jej istnienia w tajemnicy. Powie o niej całemu światu, a jeżeli to nie spodoba się Sadie, to jej strata. Angela była jego żoną i on był z tego dumny. Razem zainicjują wszystko od początku i teraz im się uda.

—Daj mi kilka dni — odezwała się wreszcie.

—Po co ci te kilka dni?

—Muszę się upewnić, że naprawdę myślisz to, co mówisz, i że jutro nie zmienisz zdania.

—Żartujesz chyba?

—Mówię bardzo poważnie — odezwała się stanowczo, potem dodała: — Czy ty dalej zażywasz narkotyki?

—Jestem tak niewinny, że nawet nie popalam trawki. — Umilkł.

— Mogę przynajmniej wiedzieć, gdzie mieszkasz?

—U przyjaciół.

—Gdzie?

—Nieistotne. Może byśmy porozmawiali jutro o tej samej porze?

—Załatwione.

—Ale błagam, przysięgnij mi, że nie będziesz próbował się ze mną zobaczyć do czasu, aż sama ci powiem.

—Słowo skauta.

Roześmiała się miękko. — Ty nigdy nie byłeś skautem, Buddy.

- Ale teraz jestem.

Podawała mu swój numer telefonu, który wbił sobie w pamięć, nim jeszcze się pożegnali. Koko palił go wzrokiem, w powietrzu wibrowały złe fluidy. Buddy nie odezwał się słowem. Wymaszerował z salonu nie oglądając się za siebie.

Był przekonany, że odzyskanie Angeli to tylko kwestia czasu.

— „Ludzie z ulicy” są anulowani — oświadczył prosto z mostu Oliver. — Już po nich. Skończeni. Kaput.

Montana patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, jego słowa nie docierały do niej. Siedzieli w jego biurze, wszystko tam błyszczało, lśniło, było sterylne czyste. Godzinę temu pochowano Neila Graya. Pogrzeb państwowy ze stosowną oprawą.

Montana zachowywała się z godnością.

Maralee z histerycznymi okrzykami rzucała się na trumnę.

—Co takiego? — odezwała się wreszcie, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała.

—Zabawa skończona. — Oliver wyraźnie bawił się tą chwilą, mimo iż miał do czynienia ze świeżo pogrążoną w żałobie wdową. — Ten film przez swoje opóźnienia i wszystko inne kosztował mnie fortunę. A teraz, gdy Neil... hm... zmarł nie w porę, mogę podjąć ubezpieczenie i wyrównać swoje straty.

—Możesz co?

—Ty się nic nie martw, dostaniesz swoją dolę.

Choć mówiła opanowanym głosem, w środku cała dygotała. — Wyjaśnijmy to sobie do końca. Odwołujesz film, żeby móc odebrać ubezpieczenie?

—Kruczki prawne. Musisz je znać, jeśli spodziewasz się przeżyć w tym mieście.

Całe napięcie, jakie w sobie dusiła, wystrzeliło niczym korek z szampana i objawiło się wybuchem furii: — Ty beztalencie, ty lizusie, ty pełzające gównu. Jak śmiesz to robić?

—Powinnaś przestać nad sobą panować, Montana. Nie zachowuj dla siebie swoich opinii. Daj im upust. Wyrzuć wszystko, co ci zalega na wątrobie. — Zachichotał, zadowolony z siebie. Miał pełną władzę i okazywał to.

Szybko się pohamowała, zdecydowana nie dać mu tej satysfakcji, by ujrzał ją załamaną. — Z pewnością musisz wiedzieć, co ten film dla mnie znaczy, Oliver — powiedziała rozsądnie. — To jest ważny, dobry film. Przyniesie pieniądze. Dużo większe, niż to, co da ubezpieczenie.

—Każdy film to ryzyko — powiedział cierpliwie. — Możesz obsadzić Roberta Redforda i Jane Fondę i jeszcze nie mieć pewności, że publiczność przyjdzie to zobaczyć. A w ten sposób ja jestem górą i nie ma żadnego ryzyka.

—Naprawdę mówisz poważnie?

—Film został skreślony.

Była zbyt zmęczona, by dalej z nim walczyć. — Czy tylko to cię interesuje? Zbijanie forsy? — spytała znużonym głosem.

—Ujmijmy to może w ten sposób: nie pracuję w tym biznesie po to, żeby robiono ze mnie wała.

—Jesteś naprawdę czarujący.

—Ja ciebie także uwielbiam.

Wyszła z jego biura z podniesioną wysoko głową, ale z pokonanym duchem. Bywały chwile, kiedy rozpaczliwie potrzebowała Neila. I to właśnie była jedna z nich. Wmaszerowała do swojego gabinetu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Potem, wzięwszy głęboki oddech, usiłowała opanować łzy, które niebezpiecznie cisnęły się jej do oczu.

Wcale nie potrzebowała Neila. Nauczyła się radzić sobie bez niego. W momentach załamania niedobrze jest płakać. Musi być silna i samodzielnie się z tym wszystkim

uporać.

Neil nie żyje, pomyślała, *i to z własnej cholernej winy*. Przez sekundę ogarnął ją gniew. Kiedyś ich wzajemna miłość była tak pełna... potem czas minął i to i owo się zmieniło. Opuścił ją.

Ale ona to przetrwała.

I wreszcie pozwoliła popłynąć łzom.

Sprawiło to jej ulgę.

Sadie spokojnie przyjęła nowinę. To zdarzało się nie po raz pierwszy i pewnie nie ostatni. Przemysł filmowy był nieobliczalny, delikatnie mówiąc.

Oliver powiedział jej o tym nad drinkami w Beverly Wilshire Hotel. Poinformował ją także, że znalazł reżysera dla drugiego projektu Neila

—dla tego filmu, w którym miała zagrać Giną Germaine.

—Możemy natychmiast rozpocząć przygotowania do produkcji — oświadczył. — Giną będzie uszczęśliwiona. Tam jest dla niej o wiele lepsza rola.

—Nie wiedziałam nawet, że ukończono już scenariusz — odparła zdziwiona Sadie.

—Zaledwie parę tygodni temu. Ale od chwili, w której podpisaliśmy umowę, trzymałem rękę na pulsie. I teraz dostaliśmy znakomity scenariusz. No, oczywiście, wymagało to nieco pracy...

—Przeczytam go — ucięła. — Umowa, jaką podpisaliśmy, mówiła o tym, że reżyserem ma być Neil. Teraz to inna para kaloszy.

—Ale jakoś możemy się dogadać, co, Sadie?

Nie chciała przyznać mu racji. — Zobaczymy — powiedziała, sącząc w zamyśleniu wodę mineralną Perriera. — Czy znajdzie się tam coś dla Buddy'ego Hudsona? On będzie wielki, więc i ty mógłbyś się włączyć w jego start.

—Myślę, że coś się znajdzie.

—Coś nie wystarczy. To musi być odpowiednia rola.

—Przeczytaj materiał i sama się zorientuj.

—Zrobię to.

—Ale szybko, proszę.

—Energiczny z ciebie facet, Oliver.

—Podobny do ciebie, Sadie.

Koko dotarł do domu później niż zwykle. Angela przyrządzała w kuchni pieczone kurczaki, Adrian zaś siedział przed telewizorem oglądając tańce brzucha w wykonaniu mężczyzn.

—Ach... słodkie domowe pielesze — warknął Koko. — Kiedy ja wypruwam z siebie żyły.

Adrian pstryknął wyłącznikiem pilota. Ekran zgasł. — Co cię ugryzło?

—Nic. Zostałem tylko znieważony fizycznie przez twardziela, który jest mężem naszej drogiej Angeli. A gdzież to podziewa się nasza dama?

—W kuchni.

—Ha! Czyżby nie poleciała jeszcze rzucić się w jego stęsknione ramiona?

—Co ci się stało? — spytał Adrian ostrożnie.

—Sam powinieneś wiedzieć. To ty z nią cały czas siedziałeś.

—Nie możemy zatrzymać tutaj Angeli na wieczność — powiedział Adrian łagodnym głosem.

—Na miłość boską. Chociaż ty nie praw mi kazań. Wiem o tym. Jest dostatecznie dorosła, by sama o siebie zadbać. Ale, Adrian!

—Oczy mu się zamgliły. — Jak mogę ci to wytłumaczyć? Ona jest taką słodką osobką. Chciałbym, żeby została z nami, żebyśmy mogli ją ochraniać.

Nie usłyszał, że do pokoju weszła Angela. Stała cicho w progu.

—Dziękuję ci, Koko — wymruczała miękko. — Ale nie martw się, cokolwiek się zdarzy, my i tak będziemy się widywać. I zawsze pozostaniemy przyjaciółmi. Nigdy nie zapomnę, że to ty mi pomogłeś.

—Więc wracasz do niego?

Dłonie Angeli zatrzepotały nad wydętym brzuchem. — Muszę mu dać jeszcze jedną szansę.

—Oho! — prychnął Koko. — Pożałujesz tego.

Leżąc nad basenem Giny wyłożonym włoskimi kafelkami, obserwując dwóch japońskich ogrodników zajmujących się egzotycznymi drzewkami i kwiatami i popijając mrożoną herbatę przyniesioną mu przez pokojówkę, Ross zdecydował, że to jest właśnie życie dla niego. Z całym swoim luksusem i służbą, za które nie musiał płacić nawet złamanego centa. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Znajdź sobie

pracującą kobietę, rozgość się u niej i czerp z tego same korzyści. A poza wszystkim, przez wiele lat kobiety dosyć z niego wydoiły. Należy mu się coś w zamian. .

Dzisiaj przypadała rocznica jego urodzin. Wreszcie dobił do magicznej liczby pięć-zero. I nie było to ani w połowie tak bolesne, jak sobie wcześniej wyobrażał. Zaraz po przebudzeniu przyznał się do tego Ginie. Co prawda, nie zamierzał, ale co, do diabła, nie codziennie mija się taki kamień milowy. No i nie bardzo udałooby mu się ukryć swój wiek. Książki traktujące o filmie podawały dokładne daty. Pięćdziesiątka to jeszcze nie starość. Faceci jak Newman czy Bronson zupełnie lekko przeskoczyli w drugą połowę życia.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?! — krzyknęła Gina. — Moglibyśmy wydać ogromne przyjęcie.

Wcale nie życzył sobie „ogromnego przyjęcia”. Dopiero co przecierpiał jedno. Choć może teraz nie byłoby aż tak źle, bo rachunkami zająłby się ktoś inny.

Giną wpierv obdarowała go licznymi prezentami okolicznościowymi natury fizycznej, co go zmęczyło, ale też i dostarczyło satysfakcji. Potem ubrała się i poszła na lunch z Sadie.

Siadł, upił łyk mrożonej herbaty i sięgnął po scenariusz. Jego kwestie podkreślono grubą czerwoną linią. Znał je wszystkie na pamięć. Po raz pierwszy zresztą, bo zwykle wmaszerowywał tylko na plan i grał przy pomocy suflera. Teraz było całkiem inaczej. Miał przed sobą wielką szansę i nie zamierzał jej zmarnować.

Sentymentalność nigdy nie zaliczała się do przymiotów Giny. Traktowała życie lekko, zajmując się jedynie tym, co mogłoby być z korzyścią dla jej popularności. Kiedy zmarł Neil Gray, nie pomyślała: *Biedny Neil, co za okropna sprawa*. Pomyślała natomiast: *Dzięki Bogu, że nie zdarzyło się to, kiedy leżał ze mną w łóżku. Nigdy bym tego nie przeżyła*.

Poszła na pogrzeb, zjawisko w czarnej koronce, i radośnie pozowała fotografom, mając u swojego boku Rossa Contiego. Związek między nimi dwojgiem wydawał się budzić ogromne zainteresowanie publiczności. Ach! A związek w intymnym zaciszu jej sypialni był bardziej niż udany. Na faceta w jego wieku miał świetną kondycję.

Kiedy przy lunchu w Bistro Gardens Sadie powiedziała jej, że „Ludzie z ulicy” zostali skasowani, otworzyła usta do krzyku.

Sadie natychmiast ją uciszyła nowinami o tym drugim filmie, jaki niegdyś planowali nakręcić z Neilem. Miał natychmiast wkroczyć w fazę produkcji z ukończonym scenariuszem, nowym reżyserem i Oli-verem Easternem jako producentem.

—Przeczytałam to wczoraj wieczór — dodała szybko Sadie. — Jest tam dla ciebie o wiele lepsza rola. Wierz mi, moja droga.

Giną zawsze ufała Sadie. Jej ocena była najtrafniejsza. Przeżuła liść sałaty, a potem powiedziała zdanie tak niesłychane w jej ustach, że Sadie niemal rozlała wodę mineralną.

—Pójdę na to, jeżeli znajdzie się tam rola dla Rossa.

—Co takiego?! — zatkało Sadie.

—Tworzymy świetną parę — wyjaśniła nonszalancko Giną.

—Prasa nas uwielbia. Będziemy razem wystrzałowi na ekranie. Załatw to, masz dosyć władzy.

—Tam nie ma nic dla Rossa — powiedziała Sadie sucho.

—Więc niech to coś dopiszą.

Sadie wlepiła wzrok w swoją przeżuwającą sałatę klientkę. Dlaczego Ross związał się z tą wyrachowaną seksbombą o blond włosach? Przecież to ona, Sadie, chciała go dla siebie, a dostał się Ginie. A co gorsza, Giną, która nawet nie podała by laski kulawemu, jemu chciała pomóc.

—Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co proponujesz? — spytała.

—Jasne.

—Powinnaś to jednak lepiej przemyśleć. Dopisanie roli dla Rossa może zająć całe tygodnie, a nawet miesiące. Film zostanie odłożony, a ty natychmiast powinnaś coś zagrać. Na pewno sama to dobrze rozumiesz.

Giną w zamyśleniu popatrzyła na swoją Agentkę. Jedna rzecz, jeśli chodzi o Sadie — ta zawsze ma głowę na karku. Może to rzeczywiście wcale nie był taki dobry pomysł.

— Masz rację. Chyba nie mogę czekać. Przyślij mi scenariusz.

Sadie poklepała swoją wielką torbę od Vuittona. — Mam go przy sobie.

—A tak przy okazji — dodała Giną. — Dzisiaj są urodziny Rossa i jako niespodziankę chcę wieczorem w Bistro zorganizować przyjęcie. Przyjdź więc i, och, powiedz Buddy'emu.

Ostatnią rzeczą, na jaką Sadie miałyby ochotę, było celebrowanie urodzin Rossa. Ale biznes to biznes, Giną zaś to cenna klientka.

—Na pewno przyjdę, moja droga.

Giną wróciła do domu o czwartej obładowana prezentami. Towarzyszył jej reporter z włoskiego magazynu i kiedy obrzucała Rossa połową sklepu Gucciego, fotograf uwieczniał każdą wzruszającą chwilę.

Ross nie był świadom faktu, że w zamian za wyłączność do zdjęć magazyn sam zapłacił za każdy cenny podarunek. Wszystko mu się ogromnie spodobało, może z wyjątkiem fotografa — naćpanego żigo-laka w obcisłych białych portkach, który bez przerwy dotykał tyłka Giny.

—Dziś wieczór jemy obiad w Bistro — oznajmiła Giną. — W gronie kilku przyjaciół.

—Jakich?

Zachichotała tajemniczo. — Poczekaj, a sam się przekonasz. Uwielbiam niespodzianki, ty nie?

—Co takiego? — Na twarzy Buddy'ego pojawił się wyraz absolutnego osłupienia.

—W branży filmowej nie istnieje słowo „na pewno” — powiedziała Sadie.

—Ależ ja dostałem tę rolę — powtórzył bezmyślnie.

—Z całą pewnością.

—Oni nie mogą mi tego zrobić! — wrzasnął.

—Producenci zachowują się niczym bogowie. Robią, co im się żywnie podoba.

—Pieprzę ich! — rozdarł się na cały głos.

Przez szparę w drzwiach wsunął głowę Ferdie. — Czy wszystko w porządku?

—W doskonałym porządku, dziękuję ci — odparła Sadie. Buddy nawet nie zauważył tego przerywnika. Skulił się na krześle, mamrocząc coś do siebie.

Sadie chwyciła złote pióro i niecierpliwie popukała w biurko. — Weź się w garść. To tylko drobne niepowodzenie. Dostaniesz pełne honorarium i na dodatek z powodu tego całego szumu zyskasz wiele na popularności. Znajdziemy coś lepszego. — Nie miała jeszcze ochoty wyjawiać mu, że już ma to „coś” w zanadrzu. W kontaktach z klientem niezbędne było wyczekanie odpowiedniej chwili.

—Jezu! — jęknął. — Czy Montana o tym wie?

—Tak. Jutro wiadomość znajdzie się w gazetach. I Buddy... mam dla ciebie coś, co

cię zadziwi. W poniedziałek twój plakat pojawi się w całej Ameryce. Więc opanuj się i znowu zacznij się świetnie czuć. Tego wieczoru Giną wydaje przyjęcie-niespodziankę z okazji urodzin Rossa. Chcę, żebyś i ty tam był. Nigdy nic nie wiadomo, może już dzisiaj będę miała dla ciebie jakieś dobre nowiny. Jestem znana jako najszybsza agentka na całym Zachodzie i nie jest to próżny komplement!

Pokiwał głową z taką dozą entuzjazmu, do jakiej potrafił się zmusić.

Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego za każdym razem, kiedy już, już coś ma mu się udać, jakiś cwaniak kopie go prosto w jaja stopą w żelaznym bucie.

stkich zakasować. Jeszcze długo nie będą mogli odłożyć Rossa Conti do lamusa.

Giną nie stworzyła swojego wieczorowego wyglądu bez drobnego retuszu tu i ówdzie. Co wieczór, dokładnie o szóstej, do jej posiadłości przybywał południowoamerykański fachowiec od makijażu. Po nim pojawiał się Węgier-masażysta, następnie zaś fryzjer rodem z Francji.

Jeżeli doda się do tego japońskich ogrodników, filipińskie pokojówki i angielską sekretarkę, to dom Giny zupełnie przypominał Narody Zjednoczone. Siedem imponujących sypialni, siedem odpowiadających im łazienek, sześć ogromnych salonów, pomieszczenia dla służby i kuchnia, jakiej nie powstydziłby się żaden hotel. A mimo tego wszystkiego Ross nie mógł tam znaleźć dla siebie zacisznego miejsca.

Nie traktowano go tutaj w sposób, do jakiego przywykł, co doprowadzało go do białej gorączki. Traktowano go bowiem jak przyjaciela gwiazdy, z pełną, niewinną nieświadomością, że i on sam jest gwiazdorem.

W przerwie pomiędzy makijażem a fryzjerem pojawiła się Giną. — Kontaktowałeś się dzisiaj ze swoim agentem? — spytała sucho.

—A powinienem?

—Kochanie, każdy powinien rozmawiać ze swoim agentem przynajmniej dwa razy dziennie.

—A to po co?

—Ponieważ trzeba trzymać rękę na pulsie. — *Cholera*, pomyślała. *On jeszcze nic nie wie, że film odwołano. A ja nie mam zamiaru mu o tym mówić. Dlaczego ten jego pieprzony agent nie zadzwonił?*

—Może by tak położyć palec na moim pulsie? — zaproponował Ross lubieżnie.

—Jak na faceta w podeszłym wieku masz wielkie potrzeby. Tylko że następnym razem dopadnij mnie przed makijażem, dobrze? — I wyleciała z pokoju, rzucając jeszcze na odchodnym: — Zadzwoń do swojego agenta.

Rossowi odebrało mowę. Facet w podeszłym wieku. Chyba żartuje. Sama przecież nie jest dziewiętnastolatką.

Przyrządził sobie szkocką z lodem i popodziwiał swoje odbicie w lustrze nad barkiem. W podeszłym wieku czy nie, jeszcze może ich wszystkich zakasować. Jeszcze długo nie będą mogli odłożyć Rossa Conti do lamusa.

Między Elaine i Maralee wróciła przyjaźń. Lepiej się nudzić we dwie niż w ogóle nie mieć z kim się nudzić.

Żadna z owych dam nie wyglądała najlepiej, więc unikały Ma Maison, Bistro Gardens, Jimmy'ego i innych modnych miejsc. Zamiast tam, wysiadywały nad basenami u jednej lub u drugiej, rujnując cerę kąpielami słonecznymi i pojąc się wielkimi szklanicami rozmaitych egzotycznych koktajli. O sumie dziesięciu tysięcy dolarów, które Elaine pragnęła była pożyczyć od przyjaciółki, dyskretnie zapomniano. Elaine mówiła wyłącznie o Rossie.

Maralee mówiła wyłącznie o Neilu.

Nie padła najmniejsza wzmianka o Ronię Gordino ani o Randym Felixie. Ale tylko tego należało spodziewać się w mieście, tak oddanym temu, kim jesteś i ile masz szmału.

Montana kipiała wściekłością. Przemierzała niespokojnie swój dom na wzgórzu z cudownym widokiem i wymyślała Oliverowi najgorszymi wyrazami, jakie jej tylko przyszły do głowy — i jeszcze paroma na dodatek. Czowała się bezradna, a nie przywykła do tego ani się jej to podobało.

Branża filmowa.

Możesz się nią wypchać.

Skontaktowała się ze swoim adwokatem w Nowym Jorku i zażądała, aby odzyskał dla niej prawa do „Ludzi z ulicy”. Kiedy oddzwonił godzinę później, poinformował ją, że jest to niemożliwe.

—Nic nie jest niemożliwe! — wybuchnęła.

—Popracuję nad tym. Ale przecież nie masz się czym martwić.

Dostałaś swoje honorarium.

Montana zawsze przeczuwała, że pod tymi garniturami z Savile Row czai się wyjątkowy idiota. Co za znaczenie miała forsa?

Do zapamiętania. Zmienić adwokata.

Próbowała się uspokoić porządkując biurko Neila. W szufladzie znalazła pierwszą wersję „Ludzi z ulicy”. Na stronie tytułowej widniała jej odręczna dedykacja: „Dla ukochanego męża od ukochanej żony. Razem wyniesiemy się ponad to całe gównno”.

Czyżby? Gdzie był Neil, kiedy go naprawdę potrzebowała?

W głowie Montany zakiełkował pewien pomysł. I po raz pierwszy od wieków na jej twarzy pojawił się wąły uśmiech. Pokaże Oliverowi Easterne'owi coś takiego, o czym tamten nieprędko zapomni. Coś, o czym całe to pieprzone miasto nieprędko zapomni.

Jasne.

Jej uśmiech pogłębił się, kiedy wspomniała powiedzonko, którego nauczył ją Neil. Nie wściekaj się — odpłać pięknym za nadobne.

Miała plan. Wariacki. Ale... och! Ta satysfakcja. Neil byłby zachwycony.

Kiedy tylko coś zaczynało się dziać, to już działało się szybko. W ciągu lat pracy Leon nauczył się tej reguły. Jedno wydarzenie pociągało za sobą lawinę innych. Przeczucie mówiło mu, że teraz, kiedy Dekę Andrews ponownie wypłynął na powierzchnię, trudno mu będzie zniknąć po raz drugi. Pittsburgh, Teksas, a teraz Las Vegas. Szlak naznaczony śmiercią. Dwie prostytutki, alfons, beztraska autostopowiczka. Można było doszukać się w tym pewnego schematu. Dekę zajmował się samym dnem życia. Wrogami były kobiety, które sprzedawały swoje ciała.

Takie myśli przebiegały Leonowi po głowie, kiedy pędził wynajętym samochodem pustynną autostradą w kierunku Las Vegas. I jeszcze jedno. Czy Dekę Andrews miał coś wspólnego ze sprawą morderstwa i podpalenia, jakie wydarzyły się w Barstow zaledwie dwa dni temu? Nie znaleziono tam żadnych pewnych dowodów, że to jego sprawka. Budynek spłonął jak stóg siana i wszelkie ślady uległy zniszczeniu. Ale sekcja zwłok zwęglonej sekretarki wykazała, że zadano jej kilka ciosów nożem. Nic nie łączyło Deke'a Andrews z tą sprawą, ale Leon miał szósty zmysł i przez wszystkie lata jego pracy okazywało się, że przecucie przeważnie go nie myliło.

Leon, pokonując samochodem autostradę, nie zauważył jadącego na zachód z

naprzeciwka auta. A gdyby nawet tak było, nie zwróciłby najmniejszej uwagi na nędzny, brązowy mikrobus mknący ku Los Angeles. Kierowcą był Dekę Andrews o twarzy niczym kamienna maska, w ciemnych okularach, za którymi ukryły się oczy śmierci.

Leon bez żadnego wyraźnego powodu poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Pochylił się i przykręcił klimatyzację.

W oddali migotały w fałszywym powitaniu światła Las Vegas.

W normalnych okolicznościach każdy zignorowałby zaproszenie w ostatniej chwili. Ale sekretarka Giny była angielską dziewczyną o silnym darze perswazji, uwodzicielskim głose i bystrym rozumie. Dodatkowo wpłynął także fakt, że w wieczór urodzin Rossa nie było żadnego innego wydarzenia. Żadnych premier, prywatnych pokazów, przyjęć czy specjalnych okazji. Toteż doskonale szacowna grupa przybyła na uroczystość na górne piętro Bistra przy Canon Drive.

Oczywiście Giną i Ross rozmyślnie zjawili się nieco później. Na ulicy czaiła się grupka fotoreporterów. Giną pozowała im wdzięcznie, przyklejona do ramienia Rossa. Delikatnie oswobodził się z jej uścisku. Gniotła mu marynarkę.

Wkroczyli do restauracji i udali się na górę, gdzie oczekiwali ich zebrani goście. Ross nie posiadał się ze zdumienia, kiedy to wszystko zobaczył. Spodziewał się najwyżej kilkunastu osób, a tu było ich co najmniej sześćdziesiąt.

Giną odwróciła się ku niemu z szerokim uśmiechem, odsłaniając doskonale, lśniące zęby. — Nieźle, co? I wszystko to zorganizowane w ostatniej chwili.

Obrzucił wzrokiem salę i napuszył się. — Jestem znowu gwiazdorem. Więc mogę ich skrzyknąć, kiedy mi się podoba.

— Oczywiście, że tak. Tylko z pomocą małego telefoniku ode mnie, jak wiesz.

Miała nadzieję, że agent powiedział mu już, że nie będą kręcić „Ludzi z ulicy”. Jednakże okropne przeczucie podpowiadało jej, że ten kutas tego nie zrobił. Gdyby Ross wiedział, kłąłby i wściekał się, to jasne jak słońce.

No, dobra, to nie jej zmartwienie. Nie miała ochoty zostać heroldem złych wieści. Niech Oliver lub ktoś inny szepnie mu o tym słówko. A potem, kiedy Ross zwróci się do niej z nieuniknionym: „Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?”, ona wzruszy ramionami i powie jak gdyby nigdy nic: „Mówiłam ci przecież, żebyś się

skontaktował z agentem". A potem doda, żeby pokazać mu, jak się o niego troszczy i jak o nim myśli: „Poza tym, nie chciałam ci psuć urodzin”.

Buddy stanął w progu, żeby zorientować się, co się dzieje. Zobaczył sławę, władzę i pieniądze razem wzięte. I przez chwilę odniósł wrażenie, że i on należy do tego grona.

Jeszcze nie, Buddy Boy, jeszcze nie. Nie daj się ponieść. Zachowaj dystans.

Zaproponował Sadie, że po nią wpadnie i ją odwiezie, ale odmówiła. A teraz szukał jakiejś znajomej twarzy.

Przy jednym ze stolików siedziała Karen Lancaster z rozczochranym angielskim gwiazdorem rocka, Joshem Speedem, zjadliwym żartownisiem telewizyjnym i trójką dobranych wielbicielek.

Josh, żartowniś i Karen rozmawiali z ożywieniem, podczas gdy trójka wielbicielek — wszystkie z obwisłymi włosami, o chudych ciałach i żarłocznym wzroku — słuchała pełna nadziei.

Buddy skierował się ku nim. Nie widział nikogo innego, kogo by znał.

— Hej, Karen, jak ci leci?

Popatrzyła na niego wzrokiem mówiącym, że absolutnie go nie poznaje.

— Buddy — przypomniał się jej, lekko speszony. — Buddy Hudson.

Josh Speed i żartowniś popatrzyli na siebie, wzięli rytm na trzy i zaśpiewali chórem:

— „Buddy... Buddy Hudson”. — A potem wszyscy ryknęli śmiechem.

Karen, naćpana jak i oni, dołączyła do ogólnej wesołości, po niej wielbicielki.

Z twarzy komedianta zniknęło całe rozbawienie: — Z czego ty się, do cholery, śmiejesz? — spytał najmłodszej dziewczyny.

Na jej wargach zamarł uśmiech. — Z niczego — szepnęła.

Buddy wycofał się. Nie bardzo wiedział, po co tutaj przyszedł. Sadie powiedziała, że może mieć dla niego jakieś dobre nowiny. Ufał jej, że nie pozwoli mu znowu stoczyć się w cień.

Skierował się do baru i zamówił sok pomarańczowy. Wcześniej rozmawiał z Angelą.

— Mój film skreślono — poinformował ją z żalem. — Ale mam tę agentkę, Sadie La Salle, ona jest najlepsza. I ona mówi, że wynajdzie mi coś innego. Honorarium jednak dostanę. Więc jesteśmy bogaci, maleńka.

Był dumny z faktu, że zachowywał się wobec Angeli uczciwie. I chyba to się jej

podobało, gdyż w głosie jej zabrzmiały ciepłe nutki. Wiedział, że lada dzień zgodzi się do niego wrócić.

Sadie, siedząca w głębi sali i gawędząca z producentem show-wywiadów i jego lalkowatą żoną, zauważyła wejście Buddy'ego. Obserwowała go uważnie. Radził sobie nieźle, a kiedy podchodził do baru, spostrzegła, jak podążają w ślad za nim oczy wielu kobiet.

—Co sądzisz o moim nowym kliencie? — spytała żonę producenta, pokazując jej Buddy'ego.

Kobieta, przynajmniej o trzydzieści lat młodsza od swojego zażywnego małżonka, obrzuciła go głodnym wzrokiem. — Przystojny — oceniła wreszcie, przesuwając palcem po naszyjniku z rubinów i diamentów ozdabiającym jej białą, łabędią szyję.

—Owszem — zgodziła się Sadie. — Będzie wielkim gwiazdorem.

—Czy powinniśmy pokazać go w naszym programie? — spytał producent.

—Przykro mi — odparła Sadie z żalem w głosie. — Ale przyrzekłam go najpierw Carsonowi. Wy jednak będziecie zaraz po nim.

—No, coś ty, Sadie. Nie rób mi tego. My go chcemy. Pierwsi. Powiedz tylko, kiedy.

—Może porozmawiamy jutro? — spytała, wymawiając się i spiesząc do Buddy'ego. Jak łatwo było grać w tę grę — i wygrywać. Kiedy tylko poznałeś wszystkie jej reguły.

Poklepała Buddy'ego po ramieniu. — O czasie. Świetny wygląd. Popijasz sok pomarańczowy. Widzisz, mówiłam ci, że świat się nie kończy.

Uśmiechnął się smętnie i wzruszył ramionami. — Chyba nauczyłem się sztuki unikania ciosów.

—To znakomicie, więc unikaj. Jest bardzo duża szansa, że dadzą ci wiodącą rolę w nowym filmie Giny.

Odzyskał swadę. — Nie żartuj.

—Sadie La Salle nigdy nie żartuje.

Chryste! Dlaczego nie był uprzejmiejszy dla Giny? Ona może wydać o nim niepochlebną opinię.

—Kiedy będę coś wiedział? Co to za rola? Czy mogę zobaczyć scenariusz?

—Scenariusz jest w przepisywaniu. Kiedy będzie gotowy, zrobisz z Giną próbnę

zdjęcia i jeśli iskra zaskoczy...

Wiedział, że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. — Znowu muszę przechodzić przez próbne zdjęcia? — jęknął.

— Tak. Ale jestem absolutnie przekonana, że okażesz się świetny. Prawda?

Ponuro kiwnął głową.

— Uśmiechnij się, kochany. Okaż cały swój czar. Dziś wieczór masz być wyjątkowo uprzejmy dla Olivera Easterne'a, który, nie muszę ci mówić, jest producentem tego nowego przedsięwzięcia. A jeszcze miłszy dla swojej koleżanki z mojej agencji, Giny Germaine.

— Zrobię, co w mojej mocy.

— Chcę, żebyś zrobił nawet jeszcze więcej.

— Ginę mnie chyba nie lubi.

— No to spraw, żeby cię polubiła. Nie powinno ci to sprawić trudności.

— Chcesz, żebym się z nią przespał? — warknął rozzłoszczony. — Ja nie chodzę do łóżka, żeby dostać pracę.

— Nie powiedziałam, że chodzisz. I nie mów do mnie takim tonem.

Zaczerwienił się. — Przepraszam.

— No to jazda. Zaczniemy od Olivera.

— Koteczku. Tak przykro słyszeć, że nie ma już twojego filmu. Dawali tam rolę Adamowi, ale odrzucił ją. Niedobra dla niego. Doskonała dla ciebie. Kochanie, tak mi przykro.

Ross nic nie pojmując wlepił oczy w Bibi Sutton. Niczego nie rozumiał z jej przemowy.

— Koteczku. Elaine? Ma się dobrze? Słyszałam, że dużo popija. Ale ma się dobrze, prawda?

— Wyglądasz cudownie jak zwykle, Bibi. — Nachylił się ku niej i szepnął do jej ucha:

— Któregoś dnia przydybię cię w łóżku i wypieprzę aż do upadłego.

Rzuciła mu skromny uśmiezek. — Okropny chłopak!

Za jej plecami pojawił się Adam Sutton, lakonicznie skinął Rossowi i powiedział: — Lazarowie i Wilderowie chcą, żebyśmy z nimi usiedli przy jednym stoliku.

— Tak? — rozejrzała się wokół, czy nie trafi się lepsza okazja.

—Za minutkę. Zaraz do was dojdę.

Adam wycofał się. Ross znowu nachylił się do Bibi. — Gdybyś leżała ze mną pod kołdrą, to byś na pewno doszła!

—Ross! Co za niegrzeczny chłopak!

—Kto jest niegrzecznym chłopakiem? — wcisnęła się między nich Karen Lancaster, w beżowej satynie i ze sterzącymi sutkami. Towarzyszył jej gwiazdor rocka. — To Josh Speed — przedstawiła go formalnie.

—Jest właśnie w połowie tournée po Ameryce. To jego pierwsze hollywoodzkie przyjęcie i już się zanudził niemal na śmierć, prawda, kotku?

Josh mówił doskonałym cockneyem: — Eeetam, nie zalewaj, stara. Napawam się każdą chrzanioną chwilą.

- On mówi jak Mick Jagger — poinformowała uczenie Karen.

—Tylko że Mick udaje. A Josh jest prawdziwy.

—Jak tam George, słodziutka? — spytała Bibi.

Karen nic nie odpowiedziała. Mierzyła wściekłym, wzrokiem Rossa.

—Cieszę się, że twój film nie wypalił — powiedziała zjadliwie.

—Ja sam pobawiłbym się graniem w jakimś kawałku — zauważył Josh.

Karen chwyciła go za ramię. — Ile ty masz lat?

—Dwudziestaka z dwójką.

Bibi znudzona tą rozmową odeszła.

—Naprawdę? A wiesz, że Ross ma pięćdziesiątkę. Od dzisiaj.

—Roześmiała się. — Właściwie jest na tyle stary, żeby być twoim dziadkiem.

Oboje zachichotali.

Ross natomiast wcale nie był rozbawiony. Dziadek, coś takiego! Karen bywała nie do zniesienia. I co miała na myśli mówiąc, że jego film nie wypalił? Rozejrzał się za Giną i natknął się wzrokiem na wzrok Sadie, zmierzającej właśnie do damskiej toalety. Ukłonili się sobie sztywno i ruszyli w przeciwne strony.

Giną była pochłonięta rozmową z Oliverem. Nadciągnął Ross.

—Dobrze się bawisz? — rozpromieniła się.

Zajrzał głęboko w jej dekolt. No, Doiły Parton z pewnością może się przy niej schować. — Przypuszczam, że lepiej będę się bawił później — zauważył, szczypiąc ją

w tyłek.

—Doprawdy, sam nie wiesz, jak mi okropnie przykro — odezwał się nieszczercze Oliver. — Ale takie rzeczy się zdarzają. Nie muszę ci tego tłumaczyć, Ross.

—Przepraszam was — powiedziała pospiesznie Ginę. — Muszę przywitać się z Wolfie'm.

—Dlaczegoż to ci przykro? — zażądał wyjaśnień Ross.

—Na tyle długo robisz w tej branży, by rozumieć, jak to wszystko działa — ciągnął wylewnie Oliver. — Skoro tylko możesz wziąć forszę i zwiać. Mam rację?

Ross jednocześnie przypomniał sobie trzy zdania.

Skontaktuj się ze swoim agentem.

Koteczku, tak przykro słyszeć, że nie ma już twojego filmu.

Cieszę się, że twój film nie wypalił.

Chryste. Nie trzeba być geniuszem, żeby złożyć to wszystko do kupy.

—Oliver — powiedział ostro. — O co tutaj, do kurwy nędzy, biega?

Buddy uczył się szybko. Bycie uprzejmym w stosunku do ludzi zwykle oznaczało słuchanie tego, co mają do powiedzenia, i nie przerywanie im. Więc łykał każde słowo, starał się udawać zainteresowanie i patrzył, jak oczy rozmówcy bez przerwy omiatają salę. Dwukrotnie porzucono go w pół słowa dla kogoś lepszego, kto się właśnie nawinał.

Adam Sutton poświęcił mu kilka chwil swojego cennego czasu.

— Myślę, że masz przed sobą wielką przyszłość — mówił. — Z Sa-die jako agentką i... — Nie dokończył zdania. Bibi kiwnęła na niego, więc pospieszył do niej.

Buddy zauważył Ginę, wziął głęboki oddech i podszedł do niej.

Powitała go chłodno.

Roztoczył cały swój czar, na jaki mógł się akurat zdobyć. Odtajała. — Zmieniłeś swoje zdanie co do pieprzenia się z gwiazdami filmowymi? — zagruchała zmysłowo.

Od odpowiedzi uchronił go osobisty spec od reklamy Giny, który przepchnął się ku nim, obrzucił Buddy'ego lekceważącym spojrzeniem, wziął Ginę pod ramię niczym swoją własność i powiedział: — Army Archerd chce z tobą pomówić.

Buddy znowu przemierzał salę, wietrząc zapach pieniędzy, żarliwie pragnąc stać się częścią tego wszystkiego, pragnąc, by i jego rozpoznawano. I wtedy zobaczył

Wolfie'ego Schweickera i zamarł w miejscu. Tłusty facecik zabawiał małą grupkę jakąś najwyraźniej komiczną anegdotą, gdyż towarzystwo pokładało się ze śmiechu.

Tłuścioch. Tak Buddy ochrzcił go w myślach. Tłuścioch.

Ponownie spojrzawszy upewnił się, że to ten sam facet, który nafa-szerował Tony'ego kokainą podczas tamtego strasznego w skutkach przyjęcia. Nie odrywał od niego wzroku. Jego czarne oczy zmieniły się w bryłki lodu.

Wolfie poczuł na sobie siłę wzroku Buddy'ego i odwrócił się. Jego brzuch napiął się od seksualnego pożądania. — Kto to taki? — spytał Bibi.

Spojrzała obojętnie. — Nowe odkrycie Sadie. Nikt ważny, koteczku. A bo co?

—Widziałem go na przyjęciu u George'a. Po prostu byłem ciekaw.

—Koteczku. Ta sukienka Giny. Czy myślisz, że sama ją sobie uszyła?

Wolfie odwrócił spojrzenie od Buddy'ego i zajął się zabawianiem Bibi. Zmierzył dokładnie strój Giny, czerwoną suknię wyciętą aż do pasa. — Hmm... — ocenił ją złośliwie. — Zody z odrobiną Frederic-ka z Hollywood, nie uważasz?

Z gigantycznego tortu wyskoczyła pulchna rudowłosa dziewczyna w pierzastym białym bikini. Wepchnęła się Rossowi na kolana, podczas gdy wszyscy wrzeszczeli, wiwatowali i robili kocią muzykę. Zamilkły na jakiś czas rozmowy o interesach, gdyż wszyscy mężczyźni przyglądali się prawie nagiej dziewczynie, która zaczęła śpiewać „Sto lat” wiercąc się na łonie Rossa. Była dobra, ale nie na tyle, by rozmowy o interesach odkładać na dłużej.

Ross odegrał swoją rolę. Nie był niedojdą, jeżeli chodziło o przybranie odpowiedniej miny na odpowiednią okazję. Wyszczrzył szeroko zęby, wygłosił wszystkie stosowne kwestie. Zdmuchnął pięćdziesiąt świeczek, starając się jednocześnie usunąć z kolan naćpaną maskotkę. I przy tym wszystkim aż kipiał ze złości.

Przeklęta Giną Germaine. Jak śmiała wpakować go w taką kabałę? Jak śmiała to wszystko zrobić, kiedy wiedziała — musiała wiedzieć — że nie będą już kręcić tego filmu?

Dlaczego ta tępą dupa mu o tym nie powiedziała? Nie mógł doczekać się chwili, w której dopadnie ją samą. Och, wręcz gotował się ze złości. Ale niefrasobliwy uśmiech nie schodził mu z twarzy. Błękitne oczy — w kącikach drobniutkie zmarszczki, ale urok wciąż zniewalający — uwodzicielsko przesuwają się po sali.

Był upokorzony. Sadie nigdy nie pozwoliłaby na to, by przydarzyło mu się coś takiego.

—Mogę opylić ci trochę śnieżnej koki — szepnęła dziewczyna siedząca na jego kolanach.

—Spływaj! — Pozbył się jej wstając.

—Mowa urodzinowa! — wrzasnął ktoś, zawtórowała mu cała sala. Prędzej zobaczą własne dupy niż usłyszą jakieś przemówienie.

Spotkanie z Tłusciochem zepsuło Buddy'emu cały wieczór. Chciał stąd wyjść. Chciał Angeli.

—Czy będzie w porządku, jeżeli się zmyję? — skonsultował się z Sadie.

—Owszem — powiedziała. — Porozmawiamy w poniedziałek. Jutro jadę do Palm Springs, ale wrócę w porę, żeby wydusić z Olivera coś konkretnego. Nie martw się, wszystko będzie w porządku.

—Mam nadzieję.

Szybko pojechał do domu i wykreślił numer Angeli.

—Słucham? — odezwał się męski głos.

Powiedziała mu, że mieszka z parą homoseksualistów. — Angele — zażądał.

—Angela śpi.

Opanował rozdrażnienie w głosie. — Proszę mi zrobić tę uprzejmość i ją obudzić. To ważne.

—Mogę spytać, kto dzwoni?

—Buddy.

Nieprzyjazne: — Chwileczkę.

Długie oczekiwanie, aż wreszcie słuchawkę podniosła Angela. — Ja już tak dłużej nie mogę! — wybuchnął Buddy z naciskiem w głosie. — Potrzebuję cię przy swoim boku.

—Jesteś naćpany?

—Trzeźwy jak nowo narodzone niemowlę, maleńka.

—Zgodziliśmy się na pewną umowę. Dlaczego więc dzwonisz do mnie w środku nocy?

—Ponieważ postanowiliśmy być wobec siebie uczciwi. A jeżeli mam być szczery, to chcę, żebyś wiedziała, że ja nie wytrzymam bez ciebie ani dnia dłużej.

—Buddy...

—Kocham cię. Musimy być razem.

—Nie wiem... — zaczęła z wahaniem w głosie.

—Tak, wiesz dobrze. I powiem ci, o co mi chodzi. — Wziął głęboki oddech. — Mam matkę, o której nigdy nie wspominałem...

—Mówiłeś, że twoi rodzice zginęli w wypadku samochodowym — przerwała mu z wyrzutem.

—Wiem, że tak ci powiedziałem. Ale teraz to już cała prawda, zgoda?

—Tak.

—Moja matka mieszka w San Diego. Nie widziałem jej od dziesięciu lat. — Umilkł na chwilę. — Chcę z nią wszystko wyjaśnić, więc jutro wczesnym rankiem wyjeżdżam ją odwiedzić. A kiedy wrócę, pragnę, byś na mnie czekała w moim... w naszym mieszkaniu. Zrobisz to dla mnie, kochanie? — Przerwał, czekając na jej „tak”. — No, Angela. Wiesz, że to już odpowiednia pora.

I to on mówił. Dla odmiany.

—W porządku — szepnęła.

Aż płonął z miłości do niej. Od tej chwili ona będzie na pierwszym miejscu. Bez niej nic nie było ważne. Włączając w to jego upragnioną karierę, dla której już nie zamierzał kłamać.

—Załatwię samochód, żeby cię zabrał jutro o piątej po południu. Pokojówka wpuści cię do środka, ja wracam koło szóstej, siódmej. Jeżeli mi coś wypadło, zadzwonię.

Podawała mu swój adres.

—Do jutra — powiedział. — Na pewno nie będziesz tego żałować.

—Kurwa żesz mać! — wrzasnął Ross.

—Uśmiechnij się. Przed bramą domu są fotoreporterzy mu niewzruszona Gina.

—Do cholery, kogo obchodzą jacyś pieprzeni reporterzy?! się, a żyły na jego szyi naprężyły się niczym postronki.

—Mnie.

—No dobra, ciebie też pieprzę.

—To może później. I przestań zachowywać się jak końska dupa.

—Do usług, moja pani.

Wydzierali się tak na siebie od chwili wyjścia z przyjęcia.

—Wiedziałaś, że film odłożono do lamusa? — spytał w tej samej sekundzie, w której zostali sami.

—Tak, wiedziałam. Ale nie do mnie należało cię o tym poinformować. Mówiłam ci za to, żebyś się skontaktował ze swoim agentem.

—Sprawiłoby ci to zbytnią fatygę, gdybyś mi sama o tym powiedziała?

—To nie moja wina, że masz tępego agenta.

Kłótnia zaczęła się od wzajemnych oskarżeń i przerodziła w otwartą walkę. Ross nie pamiętał, kiedy ostatni raz był tak wściekły.

Limuzyna wolno podjeżdżała pod bramę domu Giny. Fotoreporterzy ruszyli do przodu. Giną zapomniała także uprzedzić Rossa, że jej osobisty szef reklamy postawił na nogi wszystkie mass media na pół godziny przed ich wyjazdem z Bistro oświadczeniem, że przed końcem wieczoru pani Germaine pragnie ogłosić swoje zaręczyny z Rossem Conti. Prasa czekała przebierając nogami.

Giną zorientowała się, że wybrała może niezbyt trafny moment na tę szczególną imprezę dla publiczności.

—O, Jezu! — krzyknęła, naciskając guzik, który rozsuwał szybę dzielącą ich od szofera. — Nie zatrzymuj się — poleciła krótko.

—Obawiam się, że będę musiał, pani Germaine. W tym samochodzie nie ma pilota otwierającego zdalnie bramę.

—Dlaczego nie ma? — syknęła wściekle.

Szofer wzruszył ramionami, dając do zrozumienia: „a-skąd-ja-mam--to-wiedzieć-wynajęto-mnie-tylko-na-ten wieczór”, i gwałtownie nacisnął na hamulec białego, smukłego Cadillaka.

Fotoreporterzy ruszyli ławą. Ross zapłonął wściekłością.

Giną szybko postarała się o uśmiech i uchyliła okno od swojej strony. — Cześć, chłopaki — powiedziała wesoło, ufając, że jej czar i instynkt samozachowawczy Rossa pozwolą im przedostać się poza bramę. — Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Zaczęli mówić jeden przez drugiego, zadając to samo pytanie. Kiedy ona i Ross Conti planują ślub?

— Ślub?! — wrzasnął Ross, nie panując nad swoją furia. — Po pierwsze, to ja jestem żonaty. A po drugie — notujcie dobrze, panie i panowie z prasy: nie poślubiłbym Giny Germaine, nawet gdyby była jedyną dupą w całym Hollywood!

Późny wieczór na Hollywood Boulevard. Parada prostytutek, alfonsów, rozbijaków, włóczęgów, ćpunów.

Deke powoli jechał ulicą, zimnym spojrzeniem mierząc tę scenę.

Na czerwonym świetle do mikrobusu podsunęły się dwie znudzone prostytutki.

—Masz ochotę na figle we trójkę? — spytały chórem. — Przejażdżka dokoła świata, złoty deszcz, co tylko chcesz.

Potrząsnął przecząco głową i przetarł swoje ciemne okulary. Kurwy. Świat jest ich pełen.

—No, chodźże — zachęcała go jedna z dziwek, kładąc kościstą dłoń z trzycalowymi sztucznymi paznokciami na jego ramieniu.

—Grzech cielesny zabije cię — ostrzegł, odtrącając jej rękę z taką siłą, że aż trzy z fałszywych paznokci odprysły i upadły na podłogę mikrobusu.

—Skurwysyn! — skrzeknęła z furia, próbując na siłę otworzyć drzwiczki i odzyskać swoje cenne paznokcie.

Deke ruszył pełnym gazem, ona upadła na plecy, sypiąc przekleństwami.

Hollywood Boulevard. Brama do Miasta Aniołów. Rojąca się od robactwa. Rojąca się od szumowin tej ziemi. Do Deke'a, jako do Stróża Porządku, należało uporanie się z tą kotłującą się masą. Posłano go, by zaprowadził porządek. Ale najpierw... kobieta, którą musi odnaleźć. Matka-kurwa. Joey chciałaby, żeby się najpierw z tamtą załatwił. Sama mu o tym powiedziała. Joey nigdy go nie odstąpiła. To była dobra dziewczyna — słodka dziewczyna.

Los Angeles. Miasto Aniołów. Kurwidolek, USA.

—Matko — powiedział na głos. — Wiem, kim jesteś. Wkrótce cię odnajdę. Przysięgam.

—Świetnie, kowboju — odezwała się Joey. Siedziała u jego boku, tak promienna, ładna, z sukienką skromnie spuszczoną na kolana.

Uwagę Deke'a przyciągnął znajomy blask neonu: MOTEL.

—Jesteś zmęczona, Joey? — spytał troskliwie. — Mamy się tutaj zatrzymać?

Odeszła.

Ta kurwa zniknęła.

Przesunął palcem po nożu schowanym w cholewie buta. Następnym razem, jak zobaczy tę sukę, to potnie ją na kawałki.

Buddy nie mógł zasnąć. Po rozmowie z Angelą podekscytowany dreptał po całym mieszkaniu. Podjął pewne zobowiązanie i teraz musi go dopełnić. Sama myśl o spotkaniu z matką była niemiła, ale im szybciej się z tym załatwi, tym...

Żadnych więcej kłamstw.

Wszystko uczciwie.

A co z Sadie? Przyszło mu do głowy, żeby wyznać jej to przed poniedziałkiem, nim jego plakat zaleje całą Amerykę.

Leżał na łóżku, wreszcie zasnął, myśląc o tym, co ma zrobić, i wcześniej rano obudził się z gotowym rozwiązaniem.

Nie miał dość odwagi, by swoim przyływem szczerości budzić Sadie o siódmej rano w sobotę. Żadne jednak skrupuły nie powstrzymały go przed wtargnięciem do Ferdie'ego przed wyruszeniem w drogę do San Diego.

Ferdie już wstał, był ubrany — zgrabny w czerwonym, głęboko wyciętym podkoszulku i dobranych do niego szortach. Opalony, namaszczony oliwką, muskularny, całkiem niepodobny do formalnie odzianego w garnitur faceta pracującego w biurze. Zdawało się, że jest niezłe speszony tym, że przyłapano go na takim luzie. A jeszcze bardziej przyczynił się do tego rozczochrany młodzieniec, mniej więcej czternasto- czy piętnastoletni, który pojawił się za jego plecami na progu, dopytując się obcesowo: — Kto to taki?

Chłopak miał na sobie wyłącznie owinięty wokół bioder ręcznik.

—Zmiataj do kuchni — polecił mu Ferdie tonem nie znoszącym najmniejszego sprzeciwu.

—Cieszę się, że już wstałeś — ciepło odezwał się Buddy.

—A co to za różnica, gdybym nie wstał?

—Miałem do wyboru obudzić ciebie albo Sadie. Uznałem, że lepiej ciebie.

—A skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

—Sprawdziłem w książce telefonicznej.

—To coś pilnego, jak rozumiem?

—Jak najbardziej.

Ferdie westchnął zniecierpliwiony. — No to może wejdiesz do środka, jeżeli już musisz.

—Hej! Niezbyt uprzejmie mnie witasz.

—A czego się spodziewasz o siódmej rano? Kwiatów i fanfar? Buddy podążył za nim do przestronnego, jasnego mieszkania. Nad staromodnym kominkiem panoszyła się samotna podobizna Marylin Monroe na jedwabiu — dzieło Andy Warhola. Poniżej ustawiono dwie na w pół wypalone świece.

Buddy usiadł bez zaproszenia i powiedział: — Wpadłem tylko na chwilę.

—To doprawdy wielka szkoda.

Nastolatek, przyskrzyniony obecnie w kuchni, na cały regulator nastawił hałaśliwą muzykę punkową — aby na pewno nikt nie zapomniał o jego obecności.

—Boże — westchnął Ferdie, a potem podniósł głos. — Załóż słuchawki, Rocky. — Następnie zwrócił się do Buddy'ego: — No i? Powiedzże wreszcie. Umieram wprost z ciekawości, żeby dowiedzieć się, cóż to takiego, co nie może poczekać do poniedziałkowego ranka w biurze.

—Jadę do San Diego.

—Na krótko, czy zamierzasz osiedlić się tam na stałe?

—Chcę być uczciwy wobec Sadie.

—Ach... wiem — uśmiechnął się z udanym zrozumieniem Ferdie. — Ty w rzeczywistości jesteś transwestytą i ani chwili dłużej nie możesz utrzymać tego w tajemnicy. Czy takie są twoje ekscytujące nowiny?

—Daruj sobie te złośliwości. To naprawdę coś poważnego.

—Buddy wstał i podszedł do okna. Rozciągał się stamtąd widok na basen, w którym pływały dwie dziewczyny, a trzecia na brzegu ćwiczyła na skakance. — Hm... są pewne sprawy, do których nie przyznałem się Sadie.

—Na przykład? — spytał Ferdie, wreszcie zaintrygowany.

—Na przykład, że jestem żonaty. Mam piękną żonę i nie chcę już tego dłużej ukrywać.

—O cholera!

—Czy ona się wścieknie?

—Ujmijmy to w ten sposób: z pewnością nie będzie tańczyć z radości po stole.

Buddy wzruszył ramionami. — No więc to tak wygląda. — Popatrzył przez okno. — Ja... tego... chciałbym, żebyś przekazał to jej w moim imieniu.

—Piękne dzięki. Jesteś wielce uprzejmy. Ale muszę z przykrością odrzucić twoją wspianałomyślną propozycję. Powiedz jej o tym osobiście w poniedziałek.

—Nie mogę.

—A to dlaczego?

—Ponieważ ona musi wiedzieć o tym już dzisiaj. W poniedziałek rusza kampania plakatowa. Nie chcę więc zwlekać z tym ani chwili dłużej. To coś, co należy uczynić natychmiast.

Ferdie wyglądał na wytrąconego z równowagi.

—Słuchaj — przekonywał go Buddy, odwracając się od okna.

—Zrób to dla mnie, a winien ci będę ogromną wdzięczność. Zgoda?

—No, może...

—Wiesz równie dobrze jak ja, że w tym mieście należy mieć uskładane zasługi. Zgadza się?

Ferdie niechętnie kiwnął głową.

—Hej, i kto wie, co mi się przydarzy? — ciągnął serdecznym głosem Buddy. — Mogę zostać wielkim gwiazdorem albo skończyć jako zero. To wszystko jak w ruletce, co?

— Poklepał mocno Ferdie'ego po ramieniu. — Ale jeżeli stanę się sławny, moja wdzięczność będzie miała niejakić znaczenie. Mam rację?

Ferdie westchnął. Nigdy nie potrafił się oprzeć zgubnej mieszance nacisku i czaru. A swoją drogą, to chciał się pozbyć Buddy'ego z mieszkania. — W porządku, w porządku. Zrobię to. Nic nie szkodzi, że zepsuję sobie tym cały dzień. No więc, co dokładnie mam powiedzieć szefowej?

—Powiedz jej, że jestem żonaty. Żona ma na imię Angela. I że jest piękna.

—Och, cudownie. Czy to ta sama, którą ci odszukałem?

—Nie denerwuj się... już wtedy byliśmy małżeństwem.

—Więc dlaczego nie...

Ferdie umilkł, gdyż do pokoju wmaszerował nastolatek ze słuchawkami na uszach,

strzelający w rytm muzyki palcami. — Ferdie — za-marudził. — Kiedy jedziemy na piknik?

— Kiedy się ubierzesz.

Chłopak z wystudiowaną beczelnością odplątał węzeł ręcznika.

— Na miłość boską... — zaczął Ferdie, potem przerwał, gdyż okazało się, że młodzian ma pod spodem skape białe kąpielówki.

Buddy już stał w drzwiach. — Przekaż Sadie, że zjawię się u niej w biurze w poniedziałek z samego rana.

Ferdie odprowadził go do progu. — Nie ma obawy, na pewno będzie na ciebie czekała. — Zniżył głos. — Może byś był tak miły i nie rozpowiadał nikomu o moim prywatnym życiu. A szczególnie Sadie?

Buddy puścił do niego oko. — Masz to jak w banku. Hej, wiesz co, Ferdie? Wyznanie prawdy jest najlepszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła od lat!

— Owszem — dodał cierpko Ferdie. — Zwłaszcza że wyznajesz ją za moim pośrednictwem.

List. Polecony. Do Leona Rosemonta w Las Vegas.

Najukochańszy Leonie!

Było nam razem bardzo dobrze.

Ale wszystko, co dobre, musi się skończyć.

To smutne...

Ale takie jest życie...

Skończyły się nasze wakacje i wracam do domu — sama.

Nigdy nie zapomnę o tych dobrych czasach. Millie.

Otrzymał ten list już wcześniej, wtedy szybko przebiegł go wzrokiem i wepchnął do kieszeni. Nie miał czasu na zajmowanie się nim — zdarzenia goniły jedno drugie.

Gdy przybył do Las Vegas, żeby przeprowadzić dochodzenie w sprawie zabójstwa prostytutki, natychmiast wezwano go do domu, w którym Dekę Andrews najwyraźniej spędził trochę czasu.

Mordując.

Leon czuł, że robi mu się niedobrze, kiedy fotografowali zwłoki starej kobiety. Na jej twarzy zastygła straszliwa maska przerażenia i śmierci.

Rzeź... krew... okaleczenia.

I wszędzie odciski palców Deke'a Andrewsa. Nie zadał sobie najmniejszego trudu, by zatrzeć za sobą ślady.

Na lustrze w łazience nasmarowane w poprzek szminką widniały słowa: JAM JEST STRÓŻ PORZĄDKU. MATKO-KURWO. ODNAJDE CIĘ. Zdawało się, że Deke jakby uznał, że absolutnie nie musi być ostrożny.

Leon rozmawiał ze sprzątaczką, która odnalazła ciało. Znajdowała się w stanie hysterii. Nie widziała nikogo ani niczego, tylko w kółko mamrotała bez sensu o jakimś wełnianym żakiecie.

Kim była Nita Carrolle? Dlaczego Deke zerwał ze swoim zwyczajem, wdarł się do jej mieszkania i zamordował ją?

Co łączyło wszystkie te sprawy?

Leon ostro ruszył do pracy. Przerzucał pozostałości po życiu Nity. Nie ustawał przez całą noc i o wpół do ósmej w sobotni rano trafił wreszcie na jakiś ślad. Pod stertą ciuchów w piwnicy znalazł ukrytą starą księgę. Przeglądał pozółkłe wystrzępione stronicę, niektórych brakowało. Pierwotne przeczytanie nie omyliło go. Deke Andrews rzeczywiście był adoptowanym dzieckiem, ale wcale nie w majestacie prawa. Nita Carrolle wraz ze swoją siostrą Noreen prowadziły cichy interes pod nazwą „noworodek na sprzedaż”.

I wreszcie wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce. Leon poczuł w nozdrzach trop Deke'a. Było mnóstwo do zrobienia.

Elaine obudziły oślepiające promienie słoneczne. Zapomniała zaciągnąć zasłony i poranne słońce wdarło się do jej sypialni. Przez parę chwil leżała bez najmniejszego ruchu, wiedząc aż nazbyt dobrze, że jak tylko się poruszy, zacznie łomotać jej w głowie. Jak zresztą ostatnio co rano.

Ruszyła się. W głowie załomotało. Przysięgła sobie na zawsze zerwać z pićciem, jednocześnie doskonale świadoma, że jedynym sposobem na przetrwanie tego dnia jest wlanie sporej porcji wódki do soku pomarańczowego przy śniadaniu.

Elaine Conti, jesteś pijaczką.

Absolutnie nie, Etta. Mogę w każdej chwili przerwać.

Kogo ty oszukujesz? Potrzebujesz się upić. To tłumy ból.

Jutro przestanę. Niech cię szlag trafi, Etta. Daj mi święty spokój.

Pomaszerowała chwiejnym krokiem do łazienki, próbując przypomnieć sobie, co robiła wczoraj wieczorem. Miała kompletnie urwany film, niczego nie pamiętała.

Maralee. Czy były razem?

Nie. Maralee wyjechała z ojcem do Europy dwa dni temu. A może jeszcze wcześniej? Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziała.

Lepiej weź się w kupe, Elaine.

Lepiej zostaw mnie, do cholery, w spokoju, Etta.

Powędrowała do kuchni, nawet nie zerkając do lustra.

Elaine Conti. Potargane włosy, wypłowiałe od słońca a nie rozjaśniane chemicznie. Doskonałe ciało po raz pierwszy od dziesięciu lat opalone, nie białe. Figura nieco zbyt obfita — przybyło jej co najmniej dziesięć funtów. Zamiast koronkowej koszulki nocnej, obowiązującego stroju na noc wśród dam z Beverly Hills, miała na sobie górę od starej piżamy Rossa, u której podwinęła rękawy. Jak na kogoś, kto powinien wyglądać niczym fleja, Elaine prezentowała się całkiem korzystnie. Lekko podpuchnięte oczy, ale i tak bardziej atrakcyjna od zwykle wymuskaney-do-ostatnich-granic Elaine Conti.

Oczywiście zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Wiedziała na pewno, że wygląda straszliwie. Ale skoro nikogo nie widywała i nikt jej nie widywał, to co to miało za znaczenie? Nawet Lina ją opuściła.

Stojący w lodówce sok pomarańczowy z pewnością pamiętał lepsze dni, ale i tak naląła sobie pół szklanki, dodała zdrową porcję wódki — po prostu, żeby zabić smutki. Potem usiadła i zastanawiała się, jak tu spędzić kolejny długi, samotny weekend.

Ross obudził się niedługo po Elaine. Tylko że jemu nie był dany luksus spędzenia nocy w łóżku. Zadanie to spełniło tylne siedzenie jego złocistego Corniche'a. Nie było to najwygodniejsze miejsce pod słońcem, ale i tak lepsze niż dzielenie z Giną Germaine jej łoża typu Kalifornijski Król Wschodu. Jezu Chryste! Wszystko, tylko nie to.

Kopniakiem otworzył drzwiczki auta, rozsupłał swoje skulone ciało, obolały wysiadł i przeciągnął się długo i mocno.

Po podłodze garażu przemknął szczur. Pełno ich było w Beverly Hills. Takich na czterech i takich na dwóch nogach.

Ross Conti. Gwiazdor filmowy. Śpiący niczym włączęga.

W zasadzie tego nie planował, ale skoro od chwili, w której opuścił Elaine, nic mu się nie układało, była to jedna z przyczyn, dla których na noc wrócił do swojego kurnika. Niestety, zbyt późną porą, by pozwolono mu wejść do środka. Poprzedniego wieczoru przez dziesięć minut dobijał się do drzwi wejściowych, ale nikt mu nie otworzył. Jego własny klucz został gdzieś między jego rzeczami u Giny. Fatalnie, ale nie miał zamiaru tam wracać. Kiedy rozszczękały się już wszystkie psy w sąsiedztwie, zrezygnował z zamiaru dostania się do własnego domu i podjechał Corniche'em alejką od tyłu posiadłości. Potem przy pomocy pilota zdalnie otworzył sobie drzwi garażu, zaparkował i ułożył się do snu na tylnym siedzeniu.

Chryste! A teraz łamało go w krzyżu, do tego zaś akurat w tej chwili najbardziej w świecie chciało mu się odlać.

Miał nadzieję, że Lina już przyszła i że wpuści go do środka. Nie chciał przerywać Elaine jej snu dla urody. Pragnął, by była w jak najlepszym nastroju na powrót swojego bohatera.

Dekę uzyskał więcej informacji, niż mu było trzeba. Wirowały w jego głowie niczym larwy w rozkładającej się padlinie. Zżerały jego zdrowe zmysły. Przyprawiały o szaleństwo.

Nita Carrolle. Najpierw milczała.

Dopiero kiedy zaczął dźgać nożem jej tłuste ciało, słowa wylały się z jej ust niczym gęsta czerwona krew.

Mnóstwo wiedziała. Była stara, ale pamięć miała ostrą jak brzytwa. Kiedy wspomniał nazwisko Winifredy i Willisa Andrewsów, na sekundę się zająknęła... ale potem sobie przypomniała. I odnalazła papiery, by to udowodnić.

Dowiedział się, kim była jego matka. Dowiedział się, gdzie mieszkała.

Natychmiast pomyślał o Joey. Wreszcie będą mogli się spotkać. Joey — taka urocza. Mogłaby zostać gwiazdą filmową. O tyle piękniejsza od tych zdzir, które paradują bulwarami.

Następnym razem, kiedy się zobaczą, powie jej o tym. A ona pokocha go za te słowa.

Ucałuje go, przytuli i znowu nazwie swoim kowbojem...

Tak okropnie mu jej brakowało.

Jeżeli on się o wszystko zatroszczy, to czy ona wróci do niego? Postanowił ją o to zapytać. Oczywiście, Stróż Porządku nie będzie błagał. Ani płacił.

Czyżby on jej płacił? Niepewny zmarszczył brwi. Może z raz.

ONA BYŁA TYLKO I WYŁĄCZNIE PARSZYWĄ KURWĄ. Jego umysł, już i tak kipiący nazwiskiem kobiety, która wydała go na ten wszawy świat, przepełniła furia.

Słowa Nity Carrolle poszarpane na miliardy kawałków. *...zawsze wiedziałam, kim była twoja matka ...moje specjalne niemowlaki ...jeżeli mogłam, śledziłam ich losy ...nigdy*

nie sprzedawałam ich tanio ...mile dziewczyny zawsze popadają w tarapaty ...twoja matka dzielnie sobie poradziła ...twoja matka ...twoja matka... PRZEKLINAM

SWOJĄ MATKĘ. Porzuciła go. Oddała go. Zostawiła go jak śmiecia. TA SUKA NIGDY GO NIE CHCIAŁA. Zapłaci za każdy rok jego życia. Krwią. Powolutku.

—Dzisiaj się wyprowadzam — oznajmiła spokojnie Angela.

—Spodziewałem się tego — odparł gniewnym głosem Koko, napychając sobie usta owsianką z owocami i rodzynekami i jednocześnie usiłując nalać sobie do filiżanki kawy.

Delikatnie wyjęła mu filiżankę z rąk.

Wyrwał ją z powrotem. — Mogę sobie doskonale zrobić kawę sam. Dziękuję ci bardzo. Westchnęła. — Dlaczego się tak na mnie gniewasz?

—Kto się gniewa? Ja na pewno nie.

—Proszę, nie złość się. — Czule pogładziła go po włosach. — To przecież ty uczyłeś mnie, jak stanąć na własnych nogach. Bez ciebie nigdy nie zebrałabym dość sił, aby dać Buddy'emu jeszcze jedną szansę.

—Ha! — prychnął. — Mam tylko nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co zamierzasz zrobić.

—Wracam do swojego męża ufając, że wszystko się między nami ułoży i że dziecko będzie miało ojca.

—My z Adrianem bylibyśmy doskonale cudownymi ojcami — pociągnął nosem Koko.

- A może zgodzicie się być ojcami chrzestnymi?

—Takimi jak u Mario Puzo?

—U kogo?

—O, święci anieli! Ty dalej niewiele wiesz, co?

—Dzięki tobie wiem dostatecznie dużo. Nie jestem już tą samą głupią dziewczyną, która z płaczem przyszła do twojego salonu pytając o pracę.

—Ty nigdy nie byłaś głupia. Tylko nieodparcie słodka! Oboje zachichotali i ucałowali się.

—Nienawidzę pożegnań — powiedział Koko ponuro.

—Nie odjadę aż do piątej.

—Wiesz, że sobota to u nas najpracowitszy dzień. Nie uda mi się wrócić do tej pory.

—Czy mogę w przyszłym tygodniu przyprowadzić Buddy'ego?

—Boże! A musisz?

—Proszę.

- Zobaczymy.

Znowu się uściskali. Koko pogładził czule Angełę po jej jedwabistych, jasnych włosach i mocno ją do siebie przytulił. — Bądź szczęśliwa, skarbie — szepnął.

— Będę — odpowiedziała również szeptem. — Wiem o tym na pewno.

Montana nie chciała nosić żałoby po Neilu. W ciągu lat ich małżeństwa Neil utracił dwóch bliskich przyjaciół i za każdym razem powtórzył te same zdania: — Nigdy nie oglądaj się wstecz. Wychodź z podniesionym czołem naprzeciw temu, co cię czeka, i daj poznać tym sukinsynom, że byle co nie wytrąci cię z równowagi. — A potem hałaśliwie się upił.

Wiedziała, że Neil nie chciałby, żeby siedziała oplakując go. Toteż nie uczyniła tego. Wprowadziła natomiast w życie swój plan odegrania się na Oliverze. Wymagało to pewnego zachodu, ale teraz wszystko zostało już dopięte na ostatni guzik. I kiedykolwiek o tym pomyślała, na jej twarzy pojawiał się złośliwy szeroki uśmiezek. Poniedziałek będzie dniem Olivera Easterne'a. Ledwie mogła się tego doczekać.

Tymczasem spakowała resztę rzeczy Neila, potem zabrała się do swoich.

W sobotę rano zadzwoniła do Stephena Shapiro, znanego jej pośrednika handlu nieruchomościami. Przybył, by obejrzeć dom.

— Proszę natychmiast wystawić go na sprzedaż — poinstruowała go. — Zostawiam

wszystko w pańskich rękach. W poniedziałek odlatuję do Nowego Jorku.

Stephen oszacował, że cena w wysokości dwóch milionów dolarów nie będzie zbyt wygórowana. — Jeżeli znajdziemy odpowiedniego kupca — dodał.

Zastanawiała się, czy powinna do kogoś zadzwonić i się pożegnać. Ale potem przyszło jej do głowy, że jej prawdziwi przyjaciele mieszkają w Nowym Jorku. W Los Angeles miała tylko znajomych. Czy ich w ogóle cokolwiek obchodziło, czy ona zostawała, czy wyjeżdżała? Prawdopodobnie nic.

Spróbowała złapać Buddy'ego Hudsona, ale telefon odebrał serwis. Nim wyjedzie, zadzwoni jeszcze raz. Buddy'emu należały się uczciwe wyjaśnienia, dlaczego zrezygnowano z kręcenia filmu. A nie ten stek bzdur, którymi go bez wątpienia nafaszerowano.

Żegnaj, Kalifornio. W jakiś sposób będzie jej Montanie brakować. Oceanu, plaży. Gór i parków. Samego powabu życia w słońcu. I, rzecz jasna, widoku z ich wzgórz. Tej szczególnej gry światła, która czyniła to miejsce krainą z baśni.

Tak. Wiedziała, że będzie tęsknić za Los Angeles, lecz jak to ujął Neil? „Nigdy nie oglądaj się wstecz...”

Buddy trzykrotnie przejeżdżał koło swojego starego domu. Ulica i sam dom nie zmieniły się ani na jotę. A czego się spodziewał? Że na tym miejscu zostanie morze drapaczy chmur i autostradę i że nie będzie sposobu, by kiedykolwiek odnaleźć matkę?

Nic takiego się nie zdarzyło. Nie miał żadnej wymówki.

Może ona już tutaj nie mieszka.

Może umarła.

Miał taką nadzieję.

I nienawidził siebie za to, że marzył o czymś podobnym.

Wcale nie czuł się dobrze. Dlaczego nie potrafił zwyczajnie pójść tam, nacisnąć dzwonek i załatwić wszystkiego raz na zawsze?

Z determinacją zaczął wysiadać z samochodu, ale wtedy właśnie otworzyły się drzwi jego byłego domu i wyskoczył z nich jakiś może siedmioletni chłopczyk. Buddy znieruchomiał, kiedy chłopczyk podbiegł do stojącej opodal półciężarówki, otworzył z rozpędem drzwi z tyłu i zniknął we wnętrzu. Frontowe drzwi domu pozostawały ot-

warte, więc Buddy czekał, wiedząc, że lada chwila pojawi się matka.

I tak się stało.

Zanurkował z powrotem do wnętrza swojego samochodu, czując się tak samo winny, jak w dniu swojej ucieczki. Znowu miał wrażenie, że jest szesnastolatkiem. Matka się nic a nic nie zmieniła.

To go naprawdę przerażyło. Nie wiedzieć czemu spodziewał się — miał taką nadzieję — że te dziesięć lat wycisnie na niej swoje piętno. Ale nawet z pewnej odległości mógł dostrzec, że zmieniła się niewiele, o ile w ogóle. Miała inne uczesanie, to wszystko. Zamiast nosić loki do pasa, przycięła swoje miedziane włosy do ramion, co czyniło ją jeszcze młodszą, niż Buddy zapamiętał.

Ile ona mogła mieć lat? Przypomniwał sobie, że pytał ją o to, kiedy sam był ośmiolatkiem, i że odpowiedziała mu godnie: — Dama nigdy nie wyjawia swojego wieku. Dobrze to sobie zapamiętaj, jeśli łaska.

Matka podeszła do samochodu, potem odjechała w przeciwnym kierunku. Buddy zaś został na miejscu, głęboko sfrustrowany.

Zdecydował, że pętanie się wokół domu w oczekiwaniu na powrót jej i dzieciaka, byłoby głupotą. Miał jeszcze coś innego do załatwienia w San Diego, a im szybciej się z tym wszystkim upora i wróci do L.A. i do Angeli, tym lepiej.

Wolfie Schweicker.

Czy już nie przyszła pora, by powiedzieć o nim policji?

Ostrożnie przyglądali się sobie nawzajem. *Mój Boże, jak ja wyglądam*, pomyślała Elaine. *Mój Boże, jak ona wygląda*, pomyślał Ross. Zawsze mieli ze sobą wiele wspólnego.

—Gdzie Lina? — spytał.

—Odeszła — wyjaśniła Elaine, po raz pierwszy od wieków uświadamiając sobie, że ma połamane paznokcie, włosy w nieładzie oraz niestosowny strój.

—To moja góra od pizamy — zauważył Ross z wymówką w głosie.

—Wiem — odparła. Z jakichś niewytłumaczalnych powodów poczuła się całkowicie beztrosko.

—Mogę wejść?

—A życzysz sobie?

—To chyba mój dom, no nie?

Kiwnęła głową. Był niełojalnym, kłamliwym, wiarołomnym mężem. Powinna powiedzieć mu, żeby się wyniósł do diabła.

Ale zarazem był jej niełojalnym, kłamliwym, wiarołomnym mężem. I wrócił do niej.

—Wchodź.

Błysnęły sławne, błękitne oczy. — Myślałem, że już nigdy tego nie powiesz.

Niewiele było do pakowania. Jedna walizka i torba z wszystkimi jej drobiazgami. Już nigdy nie będzie mogła podróżować tak swobodnie. Niebawem trzeba będzie pomyśleć o dziecku.

Popatrzyła w lustro łazienki. Odwróciła się profilem i spojrzała na wypukły brzuch. Co Buddy powie, kiedy to zobaczy? Nawet nie spytał o dziecko, nie powiedział nawet niczego w stylu: „Jak się czujesz?” Przypuśćmy, że Koko miał rację i powrót do Buddy'ego okaże się pomyłką?

Rozsądnie potrząsnęła głową. Należała mu się ostatnia szansa. Tak inaczej zachowywał się rozmawiając z nią przez telefon. Był taki pewny swego i przekonany o ich wspólnej przyszłości. Angela po prostu czuła, że wszystko ułoży się pomyślnie.

Do drzwi jej pokoju zapukał Adrian. — Może trzeba ci w czymś pomóc? — dopytywał się z troską w głosie.

—Już się spakowałam — wyjaśniła. — Jutro o tej porze zapomnisz, że kiedykolwiek tutaj mieszkałam.

Wjechał swoim inwalidzkim wózkiem do małego, opustoszałego pokoiku. — Mam nadzieję, że nie.

—Chciałam ci podziękować za wszystko — wybuchnęła. — Bez ciebie i bez Koko sama nie wiem, co bym...

—Pamiętaj, nie trać z nami kontaktu. Koko troszczy się o ciebie niczym kwoka. Nie zawieź go.

Oboje się roześmieli.

Sczesła pasemko jasnych włosów z czoła i zadrzała z oczekiwania na ponowne ujście Buddy'ego. Powiedział, że przyśle po nią samochód o piątej, ale któż mógłby się tego doczekać? Była gotowa odjechać natychmiast.

—Hej, posłuchaj, człowieku, wcale nie musiałem tutaj przyjeżdżać

—powiedział zirytowany Buddy. — Po prostu wyobrażałem sobie, no, sam wiesz, że powinienem wyświadczyć wam tutaj pewną przysługę.

—Przysługę z dziesięcioletnim stażem — warknął rosły detektyw.

W gabinecie przesłuchań było dwóch policjantów. Wielki facet i jego partner, milczący Murzyn, który z nie zmaconym spokojem żuł gumę i wykałaczką czyścił paznokcie.

—Więc co zamierzacie z tym zrobić? — spytał niecierpliwie Buddy. Udzielił im już wszelkich informacji. Z własnej woli. Nikt go tutaj nie przywłókł na siłę.

—A czego się pan po nas spodziewa? — spytał masywny oficer.

—Że puścimy list gończy za tym Wolfie'm Jakmutam, ponieważ pan przyszedł tutaj i powiedział, że to on zabił pańskiego przyjaciela dziesięć lat temu?

—Dlaczego nie sięgniecie do akt sprawy? — nalegał Buddy. — Wydobądźcie te akta. Zrozumiecie wtedy, do cholery, o czym mówię.

—Chciałby pan, żeby ponownie otworzono śledztwo? — spytał znużonym głosem czarny gliniarz, po raz pierwszy otwierając usta.

—Hej, posłuchajcie. Nie przyszedłem tutaj na manicure — warknął Buddy, wprowadzony z równowagi ich obojętnością.

—To oznacza kupę papierkowej roboty — stęknął czarny.

—Tak przypuszczam — mruknął zjadliwie Buddy.

Potężny gliniarz westchnął. — Proszę zostawić nam swoje nazwisko i adres. Przekażemy to kapitanowi. Potrzebujemy jego decyzji.

Buddy ze zdziwieniem potrząsnął głową. Okazało się, że wcale niełatwo być praworządnym obywatelem. Potem pomyślał o konsekwencjach, jakie pociągnie za sobą odgrzebanie tej sprawy. Akurat teraz nie potrzeba mu było tego typu rozgłosu. On naiwnie uważał, że wystarczy iść na posterunek, powiedzieć o Wolfie'm Schweickerze i zmyć się. Chyba zgłupiał do reszty, że tak sądził.

Kompletny idiota, Buddy Boy, kompletny, pieprzony idiota.

—Muszę się zastanowić — powiedział raptownie. — Jutro wrócę.

Detektywi wymienili między sobą znudzone spojrzenia. Kolejny świr. Który nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko zawracać im głowę.

† Jasne, zrób pan tak — powiedział masywny gliniarz jowialnie ziewając. — A, i nie

zapomnij. Złapaliśmy właśnie dusiciela z autostrad oraz mordercę-joggera, więc wymyśl coś nowego, żebyśmy tylko nie próżnowali, zgoda?

Buddy wyszedł zniesmaczony, wszedł do samochodu i skierował się prosto do domu matki.

Sadie zaplanowała, że spędzi ten weekend w Palm Springs, ale kiedy się dość późno obudziła, uznała, że nie ma dosyć energii, by się ruszyć. Przygnębił ją widok Rossa i Giny. Czyżby on nie miał za grosz gustu? Giną Germaine to gwiazda filmowa, ale także dziwka, sypia z każdym facetem, który w jakikolwiek sposób może popchnąć naprzód jej karierę. Lecz czego spodziewała się po Rossie, trudno było zgadnąć.

Sadie jednak odgadła. I natychmiast wiedziała, że się nie myli.

Legendarnego fiuta Contiego. Któraż kobieta nie drżałaby, budząc się z czymś takim u swojego boku?

Sfrustrowana zadzwoniła na pokojówkę, potem przypomniała sobie, że dała jej i jej mężowi wychodne na ten weekend, gdyż zamierzała pojechać do Palm Springs. Nic nie szkodzi. Dla odmiany nacieszy się samotnością. Żadnych przyjęć, pokazów czy spotkań w interesach. Zwyczajnie, niczym nie zmacony spokój. Coś, na co niezbyt często mogła sobie pozwolić.

Ross.

Ciągle o nim myślała.

Ross.

Wciąż go kochała.

Mimo iż...

Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer Giny.

Odpowiedział jej skrzekliwy głos amerykańskiej bogini seksu. — Cholera, Sadie — pożaliła się Giną. — Widziałas już gazety?

Akurat tak się zdarzyło, że Sadie nie widziała. — A co, kochanie?

—dopytywała się łagodnym głosem, doskonale wiedząc, że Giną zawsze znajdzie jakiś powód do narzekań, kiedy przejrzy to, co o niej piszą.

—Możesz sobie wziąć tego całego Rossa i wsadzić sobie w dupę — zionęła ogniem Giną.

—A co on zrobił?

—Ha! — prychnęła gwiazda, zbyt rozwścieczona, by nawet po przespanej nocy móc o tym mówić. — Przeczytaj sobie. Wywaliłam tego kutasa na zbity pysk.

—Naprawdę?

—Jak cholera!

—A gdzie on pojechał?

—Gównu mnie to obchodzi.

—Za chwilę wyjeżdżam do Palm Springs — powiedziała pospiesznie Sadie. — Skontaktuję się z tobą w poniedziałek. — Nie mogła doczekać się odłożenia słuchawki.

—Co za szkoda — powiedziała zawiedzionym głosem Giną.

—Myślałam, że może do mnie przyjedziesz. Są pewne rzeczy, które chciałabym z tobą omówić.

—Nie chcesz chyba, abym straciła rzadką okazję do spokojnego weekendu i odpoczynku, co?

—A dlaczego nie? Do Palm Springs możesz pojechać kiedy indziej.

Jak zawsze egoistka. — Obawiam się, że jednak muszę jechać. — I nim Giną zdołała wyjazdgotać coś więcej, Sadie się rozłączyła.

Tak więc związek między Giną a Rossem rozleciał się. Niedługo to trwało.

Myślała przez całą minutę, potem nakręciła numer Beverly Hills Hotel, Beverly Wilshire i Bel-Air; Ross w żadnym z nich się nie zameldował. Więc może wrócił do domu? Prosto w stęsknione ramiona połowicy? Sadie bowiem nie miała najmniejszych wątpliwości, że Elaine czekała. W Hollywood gwiazdy zawsze były mile widziane w domu, cokolwiek zrobiły. Hollywoodzkie żony miały to we krwi. Doskonale, piękne żony z losem wygranym na loterii. Owym losem bywał sławny mąż.

Wahała się tylko chwilę, a potem spróbowała złapać go w domu.

Dzwonek telefonu wdarł się w ich nowe połączenie. Ach, cóż to było za połączenie. Elaine rozkrzyżowana na grubym, wełnianym dywanie, Ross zaś robiący nad nią pompki niczym wyposzczony marynarz.

Wziął ją przez zaskoczenie. Wmaszerował do domu niczym zwycięski bohater po bitwie. — Wyglądasz okropnie — stwierdził. — A dom jeszcze gorzej. — Potem ryknął śmiechem. — A swoją drogą, co się tutaj dzieje?

Co za wstyd, tak dać się przyłapać! Mógłby przynajmniej uprzedzić, że wraca do domu. Spędziłaby wtedy cały dzień u Elizabeth Arden, wezwałaby zawodowych sprzątaczy, żeby zajęli się domem, kupiłaby świeże kwiaty.

E, ale co tam. Powinien zaakceptować ją dokładnie taką, jaką ją znalazł. On sam także nie prezentował się zbyt dobrze. A na dodatek śmierdzał niczym spocony koń.

Ostrożnie czaili się wokół siebie. Potem Ross wybuchnął: — Powiem ci coś, wyglądasz cholernie pociągająco. — I rzucił się na nią, czym zresztą zdziwił ich oboje. W milczeniu przystąpili do konsumowania ich odzyskanego związku na podłodze salonu.

Potem rozdzwonił się telefon. Elaine odruchowo wyciągnęła rękę, Ross zaś warknął: — Daj sobie spokój.

Za późno. Ktokolwiek był na linii, znalazł się już wraz z nimi. Zadzźwięczał czyjś głos: — Halo, halo...

—Słucham? — odezwała się zniecierpliwiona Elaine.

—Proszę z Rossem Conti.

—A kto mówi?

—Sadie La Salle.

—Sadie! Jak się masz? Tu Elaine.

Rosswi przywiedła erekcja. Złapał słuchawkę, mówił krótko, rozłączył się i odwrócił do Elaine z uśmiechem pełnym satysfakcji.

—Sądzę, że znowu jesteśmy na fali — oznajmił. — Pani La Salle uprzejmie prosi, abym odwiedził ją w jej domu.

—Kiedy?

—Zaraz.

—No to się ubieraj.

Znowu się na nią rzucił. — Nie wcześniej, nim skończę, co zacząłem.

—Ross!

—Niech sobie czeka!

Patrzyła od jednego do drugiego, z początku nie rozpoznając Bud-dy'ego. Ale już po sekundzie wiedziała. Z jej warg wyrwało się ciche westchnienie. — Buddy — szepnęła. — Mój Boże! — Nie uczyniła najmniejszego gestu w jego stronę. Po prostu

stała i patrzyła tak, jakby ujrzała ducha.

—Kto to ten Buddy? — dopytywał się chłopczyk.

—Wracaj do domu, Brian — poleciła mu.

—Nie chcę — jęknął.

—Natychmiast! — Miała wciąż gładką cerę. Włosy w kolorze palonego brązu. Przybyło jej kilka funtów, ale poza tym się nie zmieniła. Brian ociągał się w prog.

Buddy rozpostarł szeroko ramiona w powitalnym geście, ale ona bynajmniej nie spieszyła się, by na to zareagować. — Hej — odezwał się. — Uznałem, że już najwyższa pora, aby zapanowała między nami zgoda.

Jak długo ma się tutaj szwendać? Jeżeli to się okaże konieczne, cały dzień. Buddy nie zamierzał wracać do L.A., dopóki nie wyjaśni wszystkiego. Upiory przeszłości, tak to nazywają. Niczego sobie upiory. Jego własna matka. Przez pół godziny odpalał jednego papierosa od drugiego. Wreszcie półciężarówka zjawiała się z powrotem.

Na nic zda się dalsze siedzenie i czekanie. Zdusił niedopałek i pospiesznie wysiadł.

Kiedy podchodził do podjazdu, półciężarówka już zdążyła zaparkować z otwartym bagażnikiem, dzieciak wyładowywał papierowe torby z supermarketu.

—Chcę się widzieć z panią tego domu — powiedział Buddy.

—A w jakiej sprawie? — spytał chłopczyk, zbyt poważny jak na swój wiek.

—W żadnej, jaka może dotyczyć ciebie.

—Mamusiu! — wrzasnął chłopczyk. — Tu jest jakiś mężczyzna, który się grubiańsko zachowuje.

Buddy osłupiał patrząc na chłopca, a z domu wybiegła pospiesznie jego matka. Czyżby to był jego brat?

W Los Angeles był czysty, upalny dzień. Już wpół do jedenastej palił żar, a w kierunku wybrzeża ciągnęło pospolite ruszenie samochodów.

Wysoka temperatura dręczyła Deke'a. Odciął rękawy od swojej czarnej bluzy i podwinął do kolan nogawki dżinsów. Z ogoloną na zero głową, w ogromnych, ciemnych okularach, kowbojskich butach i w podartym ubraniu wyglądał niesamowicie. Ale w Kalifornii nie takie rzeczy się widziało, toteż kiedy szedł powoli wzdłuż Hollywood Boulevard mamrocząc coś pod nosem, nikt się nawet za nim nie obejrzał.

W jego głowie kłębiły się węże. Oplątywały go. Wiły się wokół jego szyi, ramion, nóg, całego ciała, były nawet w ustach.

Splunął na chodnik i obserwował, jak gady wyparowują.

Na jakichś podniszczonych drzwiach reklamowano tatuaże. Wszedł do środka. Wykonanie napisu MATKA zajęło jedynie pół godziny, a już na zawsze stał się częścią jego ciała.

Był gotów.

Wsiadł do swojego starego, brązowego mikrobusu, zaparkowanego przy bocznej uliczce, i ruszył dopełnić tego, co nieuchronne.

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, Sadie pospieszyła otworzyć. Nawet nie fatygowała się sprawdzić, kto to taki, gdyż wiedziała, że musi to być Ross. A tym razem pragnęła przytrzymać go na dobre.

Otworzyła na oścież masywne dębowe drzwi, drżąc z podniecenia.

— Witaj, matko — odezwała się złowieszcza postać w czerni. — Jestem w domu.

Księga druga

Kiedy w latach pięćdziesiątych Sadie La Salle po raz pierwszy zawitała do Hollywood z Chicago, miała dwadzieścia lat. Wydawało się, że to najnieodpowiedniejsze miejsce pod słońcem dla dziewczyny z wyglądem Sadie. Zwykle do tego lśniącego blichtrzem miasta ściągali same piękności — długowłose cuda z lśniącą skórą i apetycznym ciałem. Sadie była niska, tęga, okrutnie ciemna i z masą kręconych krótkich włosów, które porastały nie tylko jej głowę, ale i niemal całe ciało. Szczęśliwym trafem wcale nie pragnęła zostać aktorką. Po prostu, chciała odzepić się od pętającej jej ruchy matki i rozpocząć życie na własny rachunek. W owym czasie Hollywood zdawał się być najodpowiedniejszym miastem, by zrealizować ten cel.

Przyjechała w poniedziałek rano autobusem Greyhounda i już we wtorek po południu znalazła sobie i mieszkanie, i zajęcie. Dwa lata przepracowała w Chicago jako sekretarka, miała więc znakomite referencje. Natychmiast przyjęto ją do prawniczej firmy w Beverly Hills — „Goldman, Forrest and Mead”. Zaczęła jako maszynistka, ale szybko awansowała na osobistą sekretarkę Jeremy 'ego Meada. Był to wysoki,

chudy jak szczapa żonaty mężczyzna, opalony przy grze w golfa, z niedużymi, brązowymi oczkami, orlim nosem i rzadziejącymi ciemnymi włosami. Nie minęło wiele czasu, a Sadie okazała się dlań niezastąpiona.

Praca układała się jej znakomicie. Osobiste zaś życie — przeciwnie. Mężczyźni patrzyli na nią wyłącznie wtedy, kiedy zauważyli jej wyjątkowo obfity biust, co przez chwilę rodziło ich zainteresowanie. Jeżeli miała tyle szczęścia, że poproszono ją o randkę, zawsze kończyło się tym samym. Pospieszny obiad w jakiejś obskurnej restauracyjce, a potem atak na jej ciało. Za trzecim razem zdecydowała, że obiad nie jest wart takiego zachodu, porzuciła więc randki i zajęła się chadzaniem do kina i czytaniem. Obie te rzeczy okazały się daleko bardziej ekscytujące.

Rozwinęła w sobie namiętność do książek o Hollywood i o przemyśle filmowym, zachowując w głowie najdrobniejsze nawet informacje do przyszłego użytku. W przyszłości chciała bowiem zająć się czymś, co miałoby związek z filmem — choć jeszcze nie bardzo wiedziała, co by to miało być. 'A oczekując na wyjaśnienie się tej kwestii, pracowała ciężko i gromadziła całą dostępną jej wiedzę. Jeremy Mead miał interesującą listę klientów, do których zaliczali się producenci, reżyserzy i wielu słynnych aktorów. Studiowała uważnie najrozmaitsze kontrakty, zbierając wiedzę o procentach, różnicy między dochodem brutto i netto, kruczkach finansowych. Nauczyła się także sokolim wzrokiem wynajdywać różne ukryte zasadzki i przy wielu okazjach wskazywała panu Meadowi to, co on sam przeoczył.

Był na tyle z niej zadowolony, że zaprosił ją na lunch, a ponieważ chodziło o sprawy biznesu, zgodziła się.

Trzy kieliszki wina to było więcej, niż mogła sobie pozwolić. Motel w Brentwood z pewnością nie był biurem kolegi — do którego, wedle słów pana Meada, mieli się udać. Mead rzucił się na nią. Oczywiście. Za każdym razem przyczyną tego był jej nadmiernie obfity biust.

Pozwoliła mu na pewną swobodę. No bo przecież dziewczyna nie może wiecznie zostać dziewicą.

Przez dziesięć minut pieczołowicie zajmował się jej piersiami, a potem, bez żadnych wstępów, chciał ją posiąść już całą. Popatrzyła na jego małe oczka, haczykowaty nos, rzadziejące brązowe włosy i zdecydowała, iż jej dziewictwo jest zbyt cenną lokatą, by

ją tracić dla takiego faceta jak Jeremy Mead. A na dodatek, był przecież żonaty.

Odepchnęła go. Nie było to łatwe, gdyż do tego czasu żądze Meada wirowały już na najwyższych obrotach.

Gorąco protestował, ale jakoś jego naprężony członek znalazł ukojenie między jej matczynymi piersiami, potem zaś nagły spazm orgazmu zostawił pana Meada czerwoniczego i zadowolonego. Osunął się z westchnieniem rozkoszy. A Sadie zamknęła się w łazience i płakała.

W kamiennym milczeniu pojechali z powrotem do biura. Namiętność wygasła, jej miejsce zajęła pełna zażenowania biurowa znajomość.

Dwa dni później w drugstorze Schwaba natknęła się na Rossa Conti. I już wiedziała na pewno, że jeżeli ma stracić dla kogoś swoje dziewictwo, to tym mężczyzną będzie ów jasnowłosy opalony Adonis o błękitnych oczach i z uśmiechem, który może stopić lód dziewczęcego serca.

Nie wiedziała, jak jej się to udało, ale przyciągnęła jego uwagę i niebawem gawędzili nad kawą. Oprócz swojego niewiarygodnego wyglądu, Ross miał także absolutnie nieodparty urok. Zaprosił ją na obiad (ona płaciła, ale to bez znaczenia), a kiedy nieuchronnie zabrał się do rzeczy, ona zebrała całą swoją siłę woli i dzielnie mu się oparła. Pragnęła Rossa Conti, ale jednocześnie nie miała ochoty stać się dla niego panienką na jedną noc.

Zostali więc przyjaciółmi.

Gotowała mu, wysłuchiwała jego zwierzeń, dyskutowała z nim o jego najrozmaitszych podbojach.

Wyczekiwała na swój czas, pracując jednocześnie u Jeremy'ego Meada, który zaproponował jej jeszcze dwa lunchy. Z obu zrezygnowała.

Któregoś dnia poznała smutnookiego urzędnika, Bernarda Leftcovi-tza, i podczas gdy Ross przelatywał każdą kolejną niewiastę od oceanu aż do doliny, Sadie zaczęła spotykać się z Bernardem.

A ponieważ Ross miał zwyczaj zwierzać się jej ze wszystkiego, to i wszystko wiedziała o jego najnowszej namiętności — mężatce, która używała perfum „Arpege”. (I najprawdopodobniej bielizny od Frederic-ka z Hollywood). Mąż tej kobiety był muzykiem i pewnej nocy, kiedy wyjechał do San Diego, a Ross spędzał wieczór u jego

żony, Sadie postanowiła wkroczyć do akcji. Bez trudu dowiedziała się, gdzie małżonek występuje. I przez telefon, anonimowo, wyszeptala mu do ucha pewną wiadomość.

Posunięcie zostało zrobione. Teraz zostało jej tylko czekać w napięciu na efekty.

Bernard Leftcovitz raczył się właśnie obiadem przy świecach, kiedy wpadł rozgorączkowany Ross. Zachowywał się po chamsku, opowiadając z detalami, jak to go niemal przyłapano, mówiąc bez przerwy o sobie i mierząc wściekłym wzrokiem Bernie'ego. Dokładnie tak, jak tego sobie życzyła Sadie. Wywalil nieszczęsnego Leftcovitza, a potem w przyływie władczej zazdrości zażądał nagrody.

Och, tak. Z całą pewnością warto było poczekać na Rossa Conti. Kochali się tak, jak Sadie nawet nie śmiała marzyć. Z wdzięcznością oddała mu swoje dziewictwo.

I w ten sposób rozpoczęły się najcudowniejsze miesiące jej życia. Kochała go. Zrobiłaby dla niego wszystko. I tak też się stało.

Ich związek był jednostronny, ale obojgu to odpowiadało.

— Uczynię z ciebie gwiazdora — oświadczyła Rossowi, kiedy rozpaczal, iż załamała się jego kariera. Zostanę twoim agentem.

Wyśmiał ją, ale ona naprawdę była o tym przeświadczona. I co więcej, wiedziała, jak się do tego zabrać. Nagle wszystko, nad czym pracowała, zaczęło mieć sens. Rzuciła pracę, pożyczyła pieniądze i dzięki swojej olśniewającej kampanii plakatowej wepchnęła Rossa na orbitę.

Nastąpiły dni błęgiego szczęścia. Nowy Jork. Program Carsona. Triumfalny powrót do Los Angeles. Oferty sypiące się jak z rogu obfitości.

Negocjacje. Sadie urodziła się do robienia interesów.

Po raz pierwszy w życiu poczuła się całkowicie usatysfakcjonowana.

Ross rzucił ją dokładnie tego dnia, w którym zamierzała powiedzieć mu, że jest w ciąży. O czwartej po południu lekarz utwierdził ją w jej domysłach. Prosto z gabinetu pospieszyła kupić szampana.

Przez całą drogę do domu powtarzała sobie, co ma mu powiedzieć. „Jestem w ciąży. To niczego nie zmienia. Będę pracować aż do dnia rozwiązania. Ross, ty jesteś dla mnie zawsze na pierwszym miejscu. Czyż to nie cudowne?”

Przypuszczała, że może nie być zachwycony tym faktem. Z początku. No, ale przecież to wcale nie oznaczało małżeństwa.

Zaparkowała samochód i popędziła do ich mieszkanek.

W szafie Rossa było pusto. Zniknęły też jego płyty z Sinatrą. Na półce w łazience brakowało jego flakonika z Man-Tan i Old Spice'em. Także szczoteczki do zębów.

Ściśnięty pustką żołądek sprawiał jej tępy, pulsujący ból. Ross odszedł.

Usiadła na krześle przy oknie i czekała, aż się do niej odezwie. Przesiedziała jak sparaliżowana noc i połowę następnego dnia.

Wreszcie telefon zadzwonił. Oficjalny damski głos poinformował ją, że pan Conti życzy sobie, aby wszystkie jego kontrakty i sprawy zostały przekazane do Agencji Lamont Lisie, która od tej pory będzie go reprezentować.

Jak otepiała pojechała do swojego biura i zebrała co do jednego fotosy, kontrakty, wycinki z prasy i korespondencję. Nawet nie przyszło jej do głowy, by walczyć. Nie pomyślała nawet, by wynająć bystrego adwokata i ustalić swoje prawa, jakie niewątpliwie miała do jego kariery.

Ross Conti odszedł. I ona mu na to pozwoliła.

Przez parę tygodni nie uczyniła nic więcej poza wgapieniem się w telewizor i jedzeniem. Potem zaczęły napływać rachunki z banku i okazało się, że Ross wyczyścił ich wspólne konto, zostawiając zaledwie tysiąc dolarów. I ten fakt zaakceptowała. Myślała, czyby nie popełnić samobójstwa, gdyż jeśli o nią chodzi, to całe życie straciło już swój sens.

Nieświadomie uratował ją Jeremy Mead. Pożyczył jej już wcześniej pieniądze (choć niezbyt ochoczo), aby pokryła wydatki związane z kampanią plakatową Rossa Conti. I mimo iż spłaciła mu wszystko co do centa, drażniło go, że ich znajomość nie została do końca skonsumowana. Więc kiedy wiadomość o ożenku Rossa Conti i Wendy Warren przedostała się do gazet, natychmiast zadzwonił do Sadie i wprosił się do niej. Kiedy tam przybył, zastał ją medytującą nad możliwością nadużycia pastylek nasennych, co zresztą jej wyperswadował. Nie minęła godzina, a znaleźli się w łóżku. Sadie nie czuła nic, prócz jego kościstych łokci. A kiedy wyszedł, płakała długo w noc, wyrrywając się tym samym z otępienia, w które popadła po odejściu Rossa.

Rano odetchnęła głęboko i postanowiła wziąć się za bary z własnym życiem. Żaden mężczyzna nigdy nie zniszczy Sadie la Salle. Pokaże jeszcze Rossowi, na co ją stać, zostanie bogata, silna i bez niego osiągnie sukces. Nie wiedziała jeszcze, w jaki sposób

— ale jakoś da radę.

Pierwsza rzecz — musi przerwać ciążę. Była już w czwartym miesiącu, ale dzięki jej naturalnej otyłości prawie nie było tego widać. Odczekała pięć tygodni, potem zadzwoniła do Jeremy'ego Meada i zażądała spotkania. Przybył do jej mieszkania pewny, że oto Sadie nie może już dłużej się oprzeć jego czarowi osobistemu.

— Jestem w ciąży — oznajmiła bez wstępów. — Z tobą.

— Ze mną? — wybuchnął. — A skąd wiesz?

— Gdyż od ciebie nie było nikogo innego.

Wlepił wzrok w ciemną, ognistą, grubą Sadie i przeklinał chwilę, w której zrezygnował z trzymania się opanowanych, zaradnych i zapobiegliwych blondynek.

— Ty głupia dziewczucho — powiedział rozzłoszczony. — Dlaczego nie uważałaś?

— A dlaczego ty nie uważałeś? — odcięła się, nienawidząc go prawie tak mocno, jak nienawidziła Rossa.

— Musisz przerwać tę ciążę — oświadczył twardo.

— Nie mam forsy.

— Ja zapłacę.

— Dziękuję ci.

Dwa dni później przysłał jej kopertę z nazwiskiem i numerem telefonu lekarza oraz z okazałą kwotą pieniędzy na pokrycie wszystkich wydatków. Lekarz mieszkał w Tijuana, w Meksyku.

Następnego dnia Sadie wsiadła w autokar wycieczkowy. Zamówiła pokój w tanim hoteliku, potem skontaktowała się z lekarzem, który zgodził się, aby odwiedziła go w jego klinice o piątej trzydzięci.

Klinika okazała się niewielkim pomieszczeniem na tyłach sklepu z pamiątkami. Jedyne jej meblowaniem było stare, wyszczerbione biurko i zużyta, wytarta, skórzana leżanka. Lekarz był mężczyzną pod pięćdziesiątkę, o zaczerwienionych powiekach, jękał. Ale przynajmniej był Amerykaninem.

— Jestem w ciąży — powiedziała cicho Sadie. — Powiedziano mi, że pan może mi pomóc.

— J-j-ak dłu-ugo w ciąży?

— Trzy miesiące — skłamała.

Kiwnął głową, powiedział swoją cenę i zażądał, by zdjęła ubranie i położyła się na leżance.

Myślała, że chce ją tylko zbadać i powiedzieć jej, żeby nazajutrz wróciła do jego szpitala czy gdziekolwiek tam dokonywał swoich zabiegów, więc zdjęła sukienkę i położyła się, skromnie zachowując stanik.

—Zdejmij i-i-i to — polecił.

W małym pokoiku było gorąco i duszno. Niezmordowanie brzęczały muchy. Sadie zgrzytając zębami odpięła stanik.

Zaczerwienione oczy lekarza wyszły na wierzch. Oblizął wargi podchodząc do niej. — Rozłóż nogi.

Zamknęła oczy i zrobiła, co kazał.

Natychmiast w jej środek wdarty się jego palec, obcesowo macając i badając. Kiedy krzyknęła, powiedział ostro: — Cicho. Nie robię ci nic złego.

Chciała wstać, ubrać się i wyjść stąd. Ale po co? W jej brzuchu rosło dziecko Rossa i należało je usunąć.

Lekarz skończył badanie, po chamsku nacisnął jej obie piersi i oświadczył: — Zajmę się tym.

—Kiedy? — spytała siadając.

—Zaraz — powiedział. — Jeżeli ma-a-asz ze sobą forszę. Oslupiała. — Tutaj?

Prychnął. — Wy dzie-e-ewczyny wszystkie jesteście takie same. Dajecie się wrobić w ciążę, potem chcecie się jej pozbyć i jeszcze żądacie e-e-ekstra warunków. Czy muszę ci przypominać, że skrobanki są nielegalne?

—Wiem. Ale... tutaj? — Bezradnie omiotła wzrokiem zakurzony pokój.

—Przez to miejsce przewinęło się już ponad pięćset dziewczyn —powiedział lekceważąco. — Więc de-e-ecydujesz się czy nie?

Była przerażona, ale chciała zdusić ten strach. Położyła się na plecach. — Niech pan robi swoje — oświadczyła bezbarwnym tonem.

—Najpierw forsa.

Naga wstała, by wyjąć pieniądze z torebki. Jego oczy w czerwonych obwódkach powiodły za nią po pokoju.

—Musisz trochę schu-u-udnąć — stwierdził, kiedy się znowu położyła. Jego ręce

pożądliwie przesunęły się po jej biuście. — Cię-ę-ężko musi być dźwigać coś takiego. — Niech pan lepiej zajmie się swoją robotą — mruknęła z furią. Godzinę później chwiejnym krokiem wyszła na ulicę. Mogła iść tylko z największym trudem. Lekarz kłut ją, dźgał i sondował. Ale bez skutku. Nie zdarzyło się nic więcej prócz śmiertelnego bólu i krwotoku.

Czas mijał, doktor zaczął się pocić. Zaczęły mu się trząść ręce. Jąkał się jeszcze gorzej. I nagle odrzucił jakiś stalowy instrument, którego właśnie używał. — Wracaj do domu — powiedział. — W twoim przypadku mu-u-usi minąć wię-ę-ęcej czasu. Ja za-a-a-cząłem. Poronienie nastąpi samoistnie. Ja ju-u-uż nic wię-ę-ęcej nie mogę zro-o-obić.

— Nic nie rozumiem — pisnęła słabym głosem. — Zapłaciłam panu.

Wcisnął jej między nogi kłęb waty i szybko podał jej ubranie, pomagając je włożyć. — To się zda-a-rza — zapewnił ją, wypychając na ulicę. — Wra-a-acaj do domu. Szy-y-ybko będzie po wszy-y-ystkim.

Jakimś cudem doczłogała się do hotelu, miała coraz silniejsze skurcze. A potem położyła się na łóżku i patrzyła, jak krew przesącza się między jej nogami przez tampon z waty.

Ból stał się nie do zniesienia. Kiedy krew zaczęła przesiąkać przez materac, mętnie uświadomiła sobie, że potrzebuje pomocy. Ten doktor nie zrobił jej skrobanki, on ją porznął.

Usiłowała wstać i przez ulotną chwilę przed jej oczami zawirowała sylwetka Rossa. Potem straciła przytomność i osunęła się na podłogę.

Świadomość wróciła jej dopiero kilka dni później. Niczego nie pamiętała. Otworzyła oczy mrugając powiekami i rozejrzała się dokoła. Leżała na łóżku, do jej ramienia podłączono gumową rurkę. Miała wyschnięte, spieczone wargi, chciało się jej pić. Łóżko otaczał biały parawan, oczy razilo światło. Spróbowała pozbierać myśli. Gdzie była? Co się stało?

Musiła ponownie omdleć, gdyż kiedy ocknęła się następnym razem, zobaczyła nad sobą czyjąś twarz. Kobiety w średnim wieku, która zapytała łagodnym głosem: — Lepiej się czujesz?

— Czy mogę się czegoś napić? — szepnęła.

—Oczywiście, kochanie.

Niejasno zastanawiała się, dlaczego ta kobieta nie jest w fartuchu pielęgniarki. Przecież z pewnością odwieziono ją do jakiegoś szpitala? A potem przypomniała sobie wszystko i kiedy kobieta wróciła z papierowym kubkiem wody, Sadie wykrztusiła: — Dziecko? Czy jestem nadal w ciąży?

Kobieta przyglądała się jej przez chwilę w milczeniu, potem kiwnęła potakująco głową.

—Och, nie —jęknęła Sadie.

—Bóg ma swoje sposoby, by powiedzieć nam, że są jeszcze i inne wyjścia — odezwała się tajemniczo kobieta. — Odpoczywaj, kochanie. Porozmawiamy później.

I porozmawiały później. Sadie dowiedziała się, że kobieta nazywa się Noreen Carrolle. Była niegdyś pielęgniarką. Któregoś dnia przyjechała do Tijuany z przyjaciółką, która musiała usunąć ciążę. — Ani ją chwaliłam, ani potępiałam — mówiła Noreen. — Wydawało się to rozsądną decyzją. Ale mój przyjaciel potraktował ją niczym zwierzę. Następnej nocy zmarła.

Sadie słuchała z napięciem, jak Noreen opowiadała jej, że w tamtej właśnie chwili spłynęło na nią to, co określiła „powołaniem”.

—Wiedziałam, że mogę inne dziewczęta ocalić przed losem tamtej — wyjaśniła po prostu. — I od tamtego czasu tym właśnie się zajmuję.

—Jak na mnie trafiłaś? — spytała zdziwiona Sadie.

—Mam układ z hotelami. Kiedy zatrzymuje się u nich jakaś samotna dziewczyna, dają mi znać. Ty działałaś tak szybko, że nie zdołałam dotrzeć do ciebie na czas. Ale na szczęście znalazłam cię w samą porę. I co jeszcze lepsze, twoje dziecko jest bezpieczne.

Sadie zamknęła oczy, myśląc o bezpiecznym dziecku Rossa w jej brzuchu. Chciała wydierać się na cały głos z rozpacz i wściekłości.

— Nie martw się — powiedziała cicho Noreen. — Mam dla ciebie inny plan. Szczęśliwe rozwiązanie dla wszystkich zainteresowanych. Oczywiście — dodała — mogę cię odwieźć do szpitala. Zawiadomią policję i cała twoja rodzina z przyszłym tatusiem z pewnością będzie ciągnana na przesłuchanie. Mogą wszcząć nawet dochodzenie. — Umilkła, patrząc, jak Sadie na to zareaguje. — Dziewczyny zwykle

wolą zachować te rzeczy w tajemnicy. I ja ich za to nie winię. — Pokiwała ze zrozumieniem głową. — Widzisz, wiem, jak to się dzieje. Jedna noc namiętności... tracisz głowę... nie masz czasu, by zastanowić się nad konsekwencjami...

Przyciągnęła uwagę Sadie. Cierpliwie wyjawiała swój plan. — Urodzisz swoje dziecko, kochanie. Już zbyt daleko zaszłaś, by próbować kolejnego przerwania ciąży. Wyślę cię do mojej siostry w Barstow. Tam będziesz odpoczywać i odzyskiwać siły. Kiedy urodzisz dziecko, będziesz w lepszej niż kiedykolwiek formie. A my przejmemy je z twoich rąk. Jest wiele takich małżeństw, które tęsknią za dzieckiem. Załatwimy to wszystko po cichu, bez całego zachodu wiążącego się z formalną adopcją. Te wszystkie papiery, które należy wypełniać... to takie nieludzkie. Ty będziesz musiała podpisać tylko jeden mały dokumencik. — Noreen uśmiechnęła się, dodając Sadie otuchy. — A moja siostra, Nita, już się wszystkim zajmie.

— Nie rozumiem — Sadie starannie dobierała słowa. Mówiła powoli.

Dekę wbił w nią wzrok. Jego oczy płonęły niczym węgle. Jego oczy. Jej oczy. Niepokojąco znajome.

Poczuła, jak po jej krzyżu przebiega dreszcz. Odruchowo zaczęła zamykać drzwi.

— Nie rób tego. — Zablokował drzwi stopą. — Wróciłem do domu... matko. Przysłała mnie Nita Carrolle. Długą odbyłem drogę, ale już jestem.

Słyszając nazwisko Nity Carrolle, Sadie zawahała się. — Ja... nic... nie pojmuję — powiedziała niepewnie.

Jednak rozumiała wszystko. Dwadzieścia sześć lat temu urodziła dziecko i teraz przed nią stanęła część jej przeszłości.

Przyj, kochanie, przyj.

Przecież prę, prę.

Łzy spływały strumieniem po jej twarzy. Chwila ulgi między bólami. A potem powrót bólu i jej krzyki cierpienia. Długie, zwierzęce wycie, ręce wyrywające włosy z głowy.

— Pomóżcie mi. Błagam, niech mi ktoś pomoże.

— Zatkajcie ją, na miłość boską.

Maska tlenowa opuszczająca się ku jej twarzy. Gaz. Głębokie oddechy. Ulga. Niepamięć. Jestem poza swoim ciałem. Poza bólem.

Beznamiętnie patrzyła na znajomego nieznajomego. — No to może wejdziesz?

Jednocześnie w jej głowie przesuwały się błyskawicznie myśli. Skąd on się tutaj znalazł? Czego chce? Jeżeli spodziewa się, że ona z płaczem rzuci mu się w ramiona, to się grubo myli. Obce jej były jakiegokolwiek matczyne instynkty. Za żadne skarby... Gdyby to kiedykolwiek wyszło na jaw...

Może chce pieniędzy. Wyglądał na obłąkanego. *Nie przyznawaj się do niczego. Sprawdź, czego on chce.*

Jakim cudem mógłby cokolwiek wiedzieć? Przecież przyrzekły mi... tamte dwie kobiety... przyrzekły mi, że nikt nigdy się o tym nie dowie.

Wszedł za nią do domu. Wprowadziła go do kuchni, szczęśliwa, że na ten weekend zwolniła służbę. Przynajmniej tylko ona będzie miała z nim do czynienia.

- Siadaj — poleciła, odzyskując równowagę. Celowo starała się zachować obojętność. — Wiesz, chyba się omyliłeś. Może zechciałbyś mi wyjawić, kto cię tak błędnie poinformował?

—Miałem kiedyś kurwę o imieniu Joey — powiedział, zasłaniając oczy odblaskowymi okularami przeciwsłonecznymi. — Nie ma jej tutaj, ale ja ją kochałem. Ty też ją pokochasz.

Przeszył ją dreszcz przerażenia. — Słucham?

—Kurwa kurwie łba nie urwie.

Wyczerpała się jej cierpliwość. — Kim jesteś? I czego chcesz?

—Jestem twoim synem — wyjaśnił spokojnie. — I ty o tym wiesz.

—No dobra. Proszę. Co skłoniło cię do tak niedorzecznych przypuszczeń?

—Powiedziała mi o tym Ni ta Carrolle.

—Nie znam nikogo o tym nazwisku.

Niespodziewanie odwinął się, uderzając ją z całej siły w twarz.

— Kłamiesz, ty sprzedajna suko! — wrzasnął. — Ja znam prawdę, a ty dopowiesz mi resztę.

Siła jego ciosu powaliła ją na podłogę. Leżała tam oszołomiona, w tej jednej chwili uświadamiając sobie całe zagrażające jej niebezpieczeństwo.

To nie był jej dawno utracony syn. To był jakiś szaleniec. I ona własnoręcznie wpuściła go do swojego domu.

Elaine z zapalem szczotkowała włosy. Czuła mrowienie w całym ciele. Nikt nie mógł

równać się z Rossem — nikt na świecie. Kiedy zechciał, był najcudowniejszym kochankiem pod słońcem.

Ustaliła swój program na nadchodzący tydzień. Fryzjer, klinika manicure, gimnastyka — ale już nie u Rona Gordino, komu potrzebny był Ron Gordino? Może powinna spróbować aerobiku Jane Fondy? Albo Cieleśnej Ulgi Richarda Simmonsa? Nuciała cicho pod nosem. Powinna zadzwonić do Bibi i zaproponować jej wspólne zjedzenie lunchu. Bibi wieść o powrocie Rossa rozniesie po całym mieście prędzej niż „The Hollywood Reporter”.

A co z karierą Rossa? To, że Sadie La Salle zadzwoniła, było doskonałym znakiem, nawet jeśli zakłóciła ich najlepszy seks, jakiego zaznali od lat. Ale rozmowa telefoniczna bynajmniej nie spieszyła Rossa. On potrafi pieprzyć się i rozmawiać jednocześnie. Na taki wyczyn nie każdego aktora było stać.

Tak znakomicie się czuła. Ross doprowadził ją do boskiego orgazmu, potem wziął prysznic i ruszył do Sadie z uśmiechem na ustach. Był taki szczęśliwy, że jest w domu. Elaine była taka szczęśliwa, że ma go z powrotem. Razem znowu wdrapią się na sam szczyt.

Angela zamówiła taksówkę i już rano zjechała do mieszkania Bud-dy'ego. Była pewna, że nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Powiedziano mi, że bym nikogo nie wpuszczała — wymamrotała niechętnie pokojówka. Pokojówka na stałe akurat tego dnia zachorowała i nie pofatygowała się powiadomić swojej zastępczyni o jego poleceniu.

— Ale ja jestem panią Hudson — zaprotestowała Angela. — I Bud... hm... pan Hudson zapewnił mnie, że zostawił pani wiadomość.

Pokojówka uśmiechnęła się zjadliwie, choć nieznacznie. — Jeżeli pani jest jego żoneczką, to dlaczego pani nie mieszka z nim na stałe?

— Nie uważam, żeby to mogło cię w jakikolwiek sposób interesować — spłonęła się Angela, nie ruszając się jednak z miejsca.

Pokojówka zmierzyła wzrokiem jej wydęty brzuch. — Zgoda — powiedziała niechętnie. — Może pani wejść. Ale ja nie biorę żadnej odpowiedzialności, jeśli pani okradnie to mieszkanie.

W ten sposób Angela wkroczyła ponownie w życie Buddy'ego. Niedokładnie w taki

sposób, jak się tego spodziewała, ale jednak. A niecierpliwość, z jaką czekała na ponowne zobaczenie się z mężem, zapierała jej dech.

Ferdie wiedział, że Sadie zamierza wyjechać na weekend do Palm Springs. Wiedział także, że nie planowała wyjazdu przed wpół do jedenastej, jedenastą. Dumny był z faktu, że znał każdy ruch swojej szefowej. Nowiny od Buddy'ego można było przekazać telefonicznie, on jednak powinien zrobić to osobiście.

Wahał się tylko przez chwilę. Oznaczało to zmianę ubrania z plażowego na bardziej stosowne. Oznaczało to wytłumaczenie Rocky'emu, że trzeba nieco opóźnić ich piknik. A Rocky z całą pewnością zacznie się dąsać.

Ferdie tupnął nogą. Ogarnięty na chwilę nie okiełznaną irytacją. Dlaczego miałyby być tak istotne natychmiastowe powiadomienie Sadie? Boże! Jeżeli jemu powierzono jakąkolwiek wiadomość, a Sadie kiedykolwiek się dowie, że zachował ją aż do poniedziałku... Informacja była ważna, jeśli wziąć pod uwagę ten plakat i wszystko.

Madame La Salle z pewnością nie będzie zachwycona.

Ferdie ściągnął czerwony podkoszulek i szorty i pospieszył do sypialni, żeby się przebrać.

Ross czuł się zadziwiająco podniesiony na duchu. Okazało się, że wszystko obraca się na dobre. Krótkie rozstanie z Elaine pomogło obojgu i teraz poczuł się silnie związany z żoną. Nie sądził, że to jeszcze w ogóle jest możliwe. Elaine była waleczna. Żadna tam laleczka z Beverly Hills. No tak, uwielbiała szastać forszą i żyć na wysokiej stopie, ale jednego mógł być pewien — ile razy będzie jej potrzebował, stanie u jego boku.

Telefon od Sadie — przyczyna krótkiej przerwy w kochaniu się — zachwyił ich oboje.

— Zmieniła zdanie — entuzjasmowała się Elaine. — Na pewno zamierza się teraz tobą zająć.

Ross musiał się z tym zgodzić. Bo cóż innego oznaczałoby wezwanie do jej posiadłości w ten sobotni poranek?

Radośnie jechał Sunset, w dobrej formie, opalony, pięćdziesięcioletni. Każda kariera ma swoje wzloty i upadki. Jego zaś obecnie pięła się wzwyż. Czuł wokół siebie dobre fluidy.

— Matka-kurwa! — bluznął Dekę. — Ladacznica. Dziwka.

Pod groźbą użycia noża spętał ją sznurem. Przywiązał mocno do krzesła.

Strach przed zranieniem powstrzymał ją od walki. Od czasów Tiju-any, tamtego lekarza i nieudanej skrobanki zawsze bała się krwi. W pewnym sensie to była jego wina — jeśli, tak jak utrzymywał, był jej synem.

Brutalnie odsunięto maskę tlenową. Wrócił ból. Może śmierć byłaby wybawieniem, gdyż Sadie czuła, jak coś rozdziera ją na pół. Jedyłą ulgę przynosił jej krzyk. Dokoła słychać było czyjeś głosy.

—Zamknij ją.

—Chcesz, żeby wszyscy sąsiedzi to usłyszeli?

—Dlaczego to tak długo trwa?

—To poród pośladowy, cholera jasna.

Ponownie maska. Słodki łomot w uszach, nosie, gardle, niczym śmierć zapraszająca ją do siebie. Osuwanie się w nicość...

Ostry przyływ świadomości...

—To chłopak.

—On nie oddycha.

—Chryste!

—Zrób coś, nim będzie za późno.

Klaps.

Cisza.

—Nie wyjdzie z tego.

—Diabla tam, nie wyjdzie. Potrzebujemy forsy.

Klaps.

—No, dalej, mały sukinsynu.

I płacz.

Krótką chwila wytchnienia.

Niespodziewanie nowe bóle partę. Wiedziała, że to łożysko i że wkrótce będzie po wszystkim.

Wchłonęła powietrze i wypuściła je w przeciągłym, przeraźliwym jęku, który zdawał się trwać bez końca.

Brutalne ręce przyłożyły jej do twarzy maskę. Sadie raz jeszcze osunęła się w

upragnioną nieświadomość.

Kiedy się ocknęła, już było po wszystkim. Leżała czysta i umyta na łóżku, o porodzie przypominał jej tylko tępy ból między nogami.

Noreen Carrolle stała obok swojej siostry, Nity. Obie się uśmiechały. Dwie twarze... jedna nieładna i sympatyczna, druga krzykliwie wymalowana i ordynarna.

—Twoje kłopoty już są za tobą, kochanie — odezwała się Noreen.

—No tak, koniec z puszczałstwem, a będziesz w dobrej formie - roześmiała się Nita.

Sadie znowu zapadła w sen.

Próbowała mówić opanowanym głosem. Gdzieś wyczytała, że kiedy ma się do czynienia z psychopatą, należy bezwzględnie zachować spokój. A poza tym, nie była przecież żadnym bezbronnym kwiatuszkiem, była Sadie La Salle. W jej obecności dorosłym facetom trzęsły się nogi.

Pomyślała o skomplikowanym systemie alarmowym, w jaki wyposażony był dom. Na nieszczęście był wyłączony. Ale jeżeli zdoła się jakoś dostać do awaryjnego przycisku przy drzwiach kuchennych, sygnał o niebezpieczeństwie dotrze prosto na posterunek policji.

Dekę przemierzał kuchnię mamrocząc coś do siebie.

Zastanawiała się, czy powinna spróbować zmusić go do mówienia. Nawiązać bliski kontakt. To jeszcze jeden sposób na wydostanie się z tej opresji.

Jeżeli była jego matką, to czyż może istnieć jakiś bliższy związek?

I skoro ona była matką, to Ross był ojcem. A Ross w tej chwili znajdował się w drodze do jej domu.

Dekę przestał wędrować tam i z powrotem i osunął się na podłogę. Usiadł z plecami opartymi o lodówkę.

—To wielki dom — zauważył.

W dziwny sposób kogoś jej przypominał. Nie mogła się zorientować kogo. Miał jej oczy. Och, Boże! On przypominał ją samą, ten obłąkany, wstrętny nieznajomy.

—Powiedziałem, że masz wielki dom — powtórzył.

—Owszem — zgodziła się szybko.

—Joey lubiłaby tutaj zamieszkać.

—Kim jest Joey?

—Moją narzeczoną.

Zmusiła się, by mówić tak naturalnie i przyjacielsko, jak to tylko możliwe. — A gdzie ona teraz jest? Może zadzwonimy do niej i zaprosimy ją tutaj?

Wstał. — Pieprzy się z facetami. To właśnie robią kurwy. Ona jest taka jak ty, rozkłada nogi dla całego świata. — Powiedział te słowa tak bezbarwnym tonem, jak gdyby nic dla niego nie znaczyły.

Sadie usiłowała zmienić temat, choć w gardle jej zaschło i mówienie przychodziło jej z trudem. — A ty jak masz na imię?

Znowu niespokojnie przemierzał kuchnię. — To bez znaczenia.

—Ależ tak. Jak Joey się do ciebie zwraca?

—Joey? — stanął i popatrzył zdumiony. — A ty skąd znasz Joey?

—Może mnie rozwiązesz i porozmawiamy o niej, dobrze?

—O kim porozmawiamy?

—O Joey.

—Ta suka nie żyje.

—Tak mi przykro.

Dekę na powrót zaczął chodzić, zatopiony w swoich myślach.

Spojrzała na przycisk alarmowy przy drzwiach kuchennych i zastanawiała się, czy istnieje jakiś sposób, by mogła dostać się na tyle blisko, by go uruchomić.

—To wielki dom — powiedział po raz trzeci. — Chyba rozejrzę się po nim.

—Owszem. Zrób to, jak masz ochotę — zachęciła go pospiesznie. Wychodził już z kuchni, więc jej nie usłyszał.

Z wysiłkiem próbowała przesunąć się z krzesłem ku tylnym drzwiom.

Nie było to łatwe zadanie. Dekę związał ją kablem, który wrzynał się w przeguby i kostki. Nie zważając na ból, z najwyższym trudem zaczęła się jednak powoli przesuwać.

Dochodziła jedenasta. Miał nadzieję, że Sadie nie wyjechała jeszcze do Palm Springs.

Leon Rosemont wyleciał z Las Vegas wczesnym rankiem w sobotę. Czuł pilną potrzebę działania, ale jednocześnie wiedział, że Dekę Andrews znajduje się gdzieś w zasięgu ręki. Może.

Ferdie prowadził swojego zwinnego białego Jaguara E szybciej, niż pozwalały

ograniczenia prędkości. W przyszłym roku kupi sobie Mercedesa. Z całą pewnością. A jeszcze za rok — no, może za trzy lata — Rollsa.

Ferdie miał taki cel. Zamierzał wejść w posiadanie każdego z tych samochodów. A na razie zadowalał się szybkimi, angielskimi sportowymi wozami. Czuł, że zasłużył sobie na taki luksus. I na dodatek jego młodzi przyjaciele uwielbiali takie auta.

Wsunął w magnetofon kasetowy jedną z taśm Roda Stewarta należącą do Rocky'ego i porozmyślał nad idiotycznym zachowaniem chłopaka. Co za udręka! Cały czas dąsy i narzekania. Na tym polegał kłopot z młodymi, zachowywali się jak dzieci.

— Chcę z tobą jechać — czepiał się Rocky. — Chcę poznać tę wielką Sadie La Salle.

— Następnym razem — odparł stanowczo Ferdie. Następnym razem. Za sto lat. Nigdy nie mieszaj pracy zawodowej z przyjemnościami. Banał. Ale jakże prawdziwy.

Wtedy Rocky wykonał numer typu „ty-mnie-już-nie-kochasz” i oświadczył: — To ja się zmywam.

Co zmusiło Ferdie'ego do rzucenia wszystkiego w diabły i do ukojenia chłopaka. Wylądowali w łóżku. Podniecające interludium, które nieco nadmiernie się przeciągnęło.

Niespokojnie zerknął na swój czarny zegarek marki Porsche. Gwiazdkowy prezent od szefowej.

Rolls utknął na rogu Canon Drive i Sunset i za nic nie chciał zapalić. Ross wpadł we wściekłość. Kiedy udało mu się kompletnie wyczerpać akumulator, wyskoczył z samochodu i kopnął go ze złością. Na przystanku przy Beverly Hills Hotel stała potupując i pokrzykując grupka meksykańskich służących i dzieci. Ukłonił się im teatralnie i pospieszył przez ulicę na podjazd hotelowy.

— Mam kłopoty z samochodem — powiadomił portiera, wręczając mu kluczyki. — Jeżeli się kupuje pieprzonego Rollsa, to przynajmniej nie powinno mieć się z nim kłopotów. Stoi tam, za rogiem Canon.

— Zajmę się tym, panie Conti. Czy będzie pan w Polo Lounge? Przed spotkaniem z Sadie bardziej nęciły go papieros i filiżanka kawy. — W kawiarni — zdecydował. — To nic wielkiego, tylko zalałem silnik.

— Niech się pan o nic nie martwi, panie Conti. Damy panu znać, kiedy to naprawimy.

Ross wszedł do hotelu.

Luksusowe wyposażenie domu nie zrobiło wrażenia na Deke'u wędrującym z pokoju do pokoju. Bezmyślnie patrzył na cenne obrazy i eleganckie dzieła sztuki. Dla niego były bez wartości.

W sypialni stanął przed wspartym na czterech nogach łóżem i powoli, z rozmysłem rozpiął dzinsy. Zamknął oczy, pomyślał o Joey i zrobił to, co miał zrobić.

W rogu stał wielki telewizor marki Panasonic. Dekę podziabiał ekran swoim nożem, metodycznie rozszarpując go na kawałki.

Jasne, że Joey ogromnie by się tutaj podobało. Dekę planował posłać po nią najszybciej, jak to możliwe.

W kuchni Sadie powoli czyniła postępy. Kabel wokół kostek przeciął już skórę i za każdym razem, kiedy przesuwiała się w przód o następny cal, ze wszystkich sił powstrzymywała się od krzyku. Pragnęła zamknąć oczy, a potem ocknąć się z tego przerażającego koszmaru.

Gdzie był Ross? Co za dziwne zrządzenie losu, że ten intruz może być jego synem. Ich dzieckiem miłości. Ogarnęła ją gorycz. Rzeczywiście, to dopiero dziecko miłości. Nienawistne przypomnienie obojętności i zdrady Rossa.

Dlaczego to dziecko nie zostało usunięte, tak jak powinno się było stać?

Zrobiła zbyt gwałtowny ruch. Krzesło uderzyło o róg kuchennego stołu, zakołysało się i upadło — pociągając ją w dół.

Krzyknęła, potem mocno przygryzła dolną wargę, ufając tylko, że tamten tego nie usłyszał.

Teraz znalazła się w pułapce. W potrzasku bez wyjścia. W gardle zaczęło ją dławić. Poczua się bardziej samotna i przerażona niż kiedykolwiek dotąd w życiu.

Dekę kontynuował obchód domu. W łazience wysypał i powylewał do umywalki zawartość wszystkich flakoników z pudrem, perfumami i olejkami do kąpieli. Joey nie potrzebowała całego tego sztucznego świństwa.

Zdjął okulary słoneczne i popatrzył na swoje odbicie w trójskrzydłowym lustrze nad toaletką. Zdziwiło go własne odbicie. Przysunął się bliżej do lustra i zaczął nacierać swoją łysą czaszkę, z początku powoli, potem szybciej... szybciej... szybciej...

Poczuł, jak znów napręża mu się członek, ale zlekceważył to, nie dotknął się, nie mógł się dotknąć. Musi poczekać na...

— Joey — powiedział. Potem zaczął wrzeszczeć jak szalony. — Joey! Gdzie jesteś, kurwo! Wracaj tutaj, skądkolwiek się ukrywasz, ty suko! Zamierzam cię zabić, dziewczko!

Złapał figurkę z brązu i cisnął nią w lustro.

Szklana tafla rozprysnęła się na tysiąc kawałeczków.

Ferdie wjechał na podjazd domu Sadie. Kiedy ta kobieta założy sobie wreszcie zabezpieczenia i bramę? Jej dom był chyba jedynym na tej ulicy bez takiej ochrony.

Chmknął po cichu. Kiedy on sam będzie miał dosyć pieniędzy, natychmiast zamknie się w pozłacanej klatce. W Los Angeles roiło się od pomyleńców, zboczeńców i Bóg wie kogo. Więc nigdy nie dość ostrożności.

Pospiesznie wyskoczył z samochodu i zadzwonił do drzwi, mając nadzieję, że się nie minął z Sadie.

Przytrzaśnięta na podłodze, Sadie usłyszała dźwięk dzwonka i poczuła ogromną ulgę. Ross przyjechał. Wreszcie nie była już całkiem sama.

Przebywający na górze Dekę również usłyszał dzwonek i w jego myśli wtargnęła rzeczywistość.

Przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Przypomniał sobie o swojej matce, swojej prawdziwej matce.

Nie chciał jej stracić. Nie po tym wszystkim, co przeszedł, aby ją odnaleźć.

Odłożył grubą kredkę do powiek, którą się właśnie bawił, skoczył prędko na schody i popędził do kuchni. Przez jedną rozpaczliwą chwilę sądził, że matka uciekła. I przepelniła go paląca niczym ogień wściekłość. Potem zobaczył ją na podłodze, związaną i bezradną.

—Kto ci to zrobił? — spytał.

Popatrzyła na niego przerażona. Wymalował sobie wokół oczu czarną obwódkę, jak gdyby wyrysował maskę. Wysoko na czole napisał rozmazanymi literami ŚMIERĆ KURWOM.

—Rozwiąż mnie — powiedziała błyskawicznie. — Zobaczę, kto przyszedł. Mogę go stąd odesłać. Pośpiesz się.

Schylił się, by zrobić, co mu powiedziała. Wstrzymała oddech, osłabła z oczekiwania na sposobność ucieczki. Ross ją ocali. Dzięki Bogu, że przyszedł! Może jeśli dobiegną

do jego samochodu, szybko zamkną drzwiczki i odjadą pędem, to...

Odpuł już jedną kostkę, kiedy dzwonek odezwał się ponownie. Przerwał więc swoją robotę i przekrzywił głowę na jedno ramię.

—Szybciej! — ponagliła go.

Przez jego twarz przemknął cień obrzydzenia. — Myślisz, że jestem głupi, co?

—Nie... nie... ja...

—Jeżeli będziesz się ze mnie wyśmiewać, zabiję cię.

—Wcale się z ciebie nie śmieję.

Uderzył ją w twarz, aż głowa odskoczyła jej do tyłu i odbiła się od podłogi. — Nigdy się ze mnie nie śmieję, kurwo.

Poczuła w ustach smak krwi. — Nigdy — szepnęła. — Nigdy tego nie zrobię.

—Zostań tutaj i bądź cicho — rozkazał.

W milczeniu kiwnęła głową.

W pierwszym odruchu Ferdie na widok Deke'a chciał się gwałtownie cofnąć. — Kim ty jesteś? — spytał osłupiały.

Nim Deke zdążył odpowiedzieć, Sadie zaczęła krzyczeć.

Niestety, reakcja Ferdie'ego była zbyt powolna. Niczego nie zrobił.

Deke jednym płynnym ruchem rzucił się w przód. W ręku miał nóż. Wbił go w przerażonego mężczyznę, przebijając mu serce. Oczy Ferdie'ego napełniły się jakby mieszaniną żalu i zdumienia, kiedy Deke przeciągnął go przez próg i rzucił na podłogę w hallu. Ferdie umarł, nim jego głowa dotknęła kafelków.

Deke kopniakiem zamknął drzwi i wrócił do kuchni.

Kiedy Sadie go zobaczyła, jej krzyki przerodziły się w skowyt. Ubranie Deke'a przesiąkło krwią.

—Proszę — zawyła — nie rób mi krzywdy.

—Zrobiłaś mnóstwo hałasu — powiedział łagodnie. — A nie powinnaś.

Jak oszalała zaczęła przeraźliwie krzyczeć. — Coś ty zrobił Ros-sowi? Coś ty mu zrobił?!

—Pan dał, Pan wziął. Matko. Musisz zrozumieć, że ja jestem Stróżem Porządku. Jestem człowiekiem honoru.

Głos Sadie przybrał jeszcze bardziej histeryczne tony. — Zabiłeś go, tak? Ty

bękarcie...

—Czy ja jestem bękartem, matko?

—Jeżeli ja jestem twoją matką — wrzasnęła — to właśnie zabiłeś swojego rodzonygo ojca! — Z jej ust wyrwał się obłąkańczy śmiech. — I jak się teraz czujesz... ty... ty pieprzony, niedorozwinięty kretynie?

Kiedy zbliżał się do niej, jego oczy jarzyły się oszalałą, czarną wściekłością.

—Witaj, Ross — Montana wśliznęła się na sąsiedni stółek w kawiarni.

Spojrzał w górę znad porannej gazety, w której czytał artykuł o sobie i o Ginie. — Jak się masz?

Wzruszyła ramionami. — Chyba dobrze.

Odłożył gazetę. — Naprawdę przybiła mnie wiadomość o Neilu. Nie miałem okazji podejść do ciebie po pogrzebie.

—Dziękuję. — Dotknęła delikatnie jego ramienia. — Przykro mi z powodu filmu.

—Tak, no cóż, mnie chyba jeszcze bardziej. Ta napisana przez ciebie rola była diabelnie dobra. A ja w takiej roli mógłbym być rzeczywiście świetny.

—Nie mam wątpliwości, że tak.

Wzruszył ramionami. — Chociaż, z Oliverem jako producentem, kto wie, co mogłoby się zdarzyć. Potaknęła skinieniem głowy.

—Co teraz zamierzasz robić? — spytał.

—W poniedziałek wracam do Nowego Jorku — westchnęła.

—Przypuszczam, że będzie mi brakować tego słońca, ale tak naprawdę to jestem dzieckiem miasta. Sądziłam, że ostatnia poranna kawa w tym barku w Beverly Hills Hotel będzie właściwym pożegnaniem.

—Zmierzyła wzrokiem półkolistą ladę i roześmiała się. — Swoje najlepsze dialogi podsłuchałam właśnie w tym miejscu!

Zawtórował jej śmiechem.

—A co ty porabiasz? — dopytywała się. — Co dalej?

Uśmiechnął się krzywo i zamrugał słynnymi błękitnymi oczami.

—Coś pomiędzy sięganiem po Oscara a zapomnieniem.

-He?

—Aktorski żart.

—Och. — Zamówiła podwójny koktajl mleczno-czekoladowy i ser.

—To ci dopiero śniadanie — rzekł z podziwem.

—Zawsze miałam niecodzienny gust w jedzeniu.

Założę się, że jest znakomita w łóżku, pomyślał, a potem zbeształ siebie za takie domysły. Czy było możliwe siedzieć obok jakiejś kobiety i nie myśleć o seksie?

Nie.

Elaine nie lubiła robić mu minety. Może dlatego, że nigdy nie odpłacał się jej taką samą uprzejmością. Pomyślał, że mogliby poeksperymentować. Wspólnie. Nigdy nie jest za późno.

—Wróciłem do żony — napomknął.

—Świetnie — zareagowała entuzjastycznie Montana. — Nigdy nie widziałam cię w roli kolejnego kochasia Giny.

Podszedł chłopak hotelowy i poinformował go, że samochód już został naprawiony. Obdarzył go kilkudolarowym napiwkem i postanowił wypić jeszcze jedną kawę. Rozmowa z Montaną nie była ciężką harówką. A poza tym — niech Sadie jeszcze sobie trochę poczeka. Nie chciał lecieć natychmiast na jej pierwsze gwizdnięcie, przecież wciąż był gwiazdorem, prawda?

Głosy w głowie powiedziały mu, że uczynił rzecz słuszną. Ale nie był całkiem pewny. Kiedy wędrował od pokoju do pokoju tego wielkiego domu, wątpliwości osaczyły go niczym czarne chmury. Chodził nerwowym krokiem, mamrocząc coś do siebie. Zawieszono zostały wszelkie reguły logiki, czasu, rozumu. Podążał do pewnego celu i osiągnął go. Ale co dalej?

Bolało go serce. Był zdezorientowany. Pulsowało mu w głowie, otaczały go cienie śmierci.

Gdzie się podziewała Joey?

Kurwi się, oczywiście. *Kurwa... kurwa... kurwa.*

Uważała, że on jest wstrętny. Uważała, że jest nikim.

Przestała go pragnąć.

Wrzasnął z wściekłości i kopniakiem otworzył drzwi do gabinetu Sadie.

Wrzask uwiązał mu w gardle. Stanął jak skamieniały, oszołomiony.

Och, gdyby Joey mogła zobaczyć to, co on widział... och, tak... och, tak...

Ostrożnie wszedł do pokoju i podszedł do gigantycznego, kartonowego plakatu wspartego o ścianę.

Wyciągnął rękę, by się nim ponapawać.

To był on.

Na zdjęciu był on.

Matka zmierzyła Buddy'ego chłodnym wzrokiem. — Myślałam, że nie żyjesz — powiedziała. — Tak jak twój przyjaciel, Tony.

Roześmiał się nieszczerze. Po raz pierwszy zaczynał widzieć wszystko z jej punktu widzenia. I bez względu na to, co ona mu zrobiła, wiedział, że musiał ją okrutnie zranić. — Wciąż jeszcze chodzę po ziemi — rzucił, chcąc to obrócić w żart.

Kiwnęła głową.

Szurał niepewnie nogą, czując się niczym młodociany świr. — Mogę wejść?

—Nie — odparła bezbarwnie.

—Słuchaj... — zaczął. — Przyjechałem tutaj, żeby się z tobą pogodzić. Oboje zrobiliśmy takie rzeczy, jakich nie powinniśmy. Ale, jak mówi stare przysłowie, krew jest gęstsza od wody. Racja?

Rozejrzała się niespokojnie dokoła, zauważyła, że sąsiad podlewa swój ogródek, inny zaś gawędzi z listonoszem. — Chyba jednak będzie lepiej, jak wejdiesz — powiedziała niechętnie. — Ale nie mów niczego w obecności Briana. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Wszedł za nią do domu. Odetchnął głęboko. Pachniało tutaj tak samo — delikatna woń czosnku, duszne perfumy, czysta bielizna. Ogarnęła go nostalgia. Chciał jej wybaczyć i o wszystkim zapomnieć. Któregoś dnia może nawet przywiezie tutaj Angełę.

Zaprowadziła go do oficjalnego salonu, tego wyłącznie dla gości, i powiedziała: — Siadaj.

Na fortepianie stała kolekcja zdjęć oprawionych w srebrne ramki. Babka i dziadek we Włoszech, w kolorze sepii. Ich piękna córka ubrana na biało, z warkoczem sięgającym pasa. Zdjęcie ślubne. Mężczyzna z fotografii nie był jego ojcem. Brian w młodszym wieku. Ani jednego jego zdjęcia. Ani śladu po Buddym Boyu, niegdyś słoneczku jej życia.

Zauważyła, że się przygląda, i wyjaśniła: — Wysłałam po raz drugi za męża.

Wiadomość ta wstrząsnęła nim. Ale dlaczego? Ona także miała prawo do własnego życia. — Hej, to cudownie. — W głosie jego nie było szczerości. — No to, jak sądzę, zyskałem brata... to znaczy przyrodniego. To... hm... wspaniale.

—Nie — odparła lodowatym tonem. — Brian nie ma z tobą nic wspólnego.

Buddy znowu zapragnął mieć rodzinę i pochodzenie. — Wiem, że jesteś na mnie wściekła. Powinienem się z tobą wcześniej skontaktować, ale musiałem sobie wszystko ułożyć tak, jak sam chciałem. Musisz i ty przyznać, że to, co zdarzyło się między nami, nie było normalne. — Umilkł na chwilę, potem ciągnął z naciskiem: — Hej, i ty musisz wziąć na siebie trochę winy.

Jej oczy przypominały sople lodu. — Za co?

Podniósł głos. — Nie mów ze mną w taki sposób. Dobrze wiesz, za co.

—Na twoim miejscu wcale bym się tak tym nie martwiła.

—Posłuchaj, przez dziesięć lat nie dawało mi to spokoju. A teraz chcę tylko o tym zapomnieć.

—Kazirodztwo. Czy to miałeś na myśli?

Niedelikatność, z jaką wypowiedziała to zakazane słowo, przeraziła go. Miał dosyć. Chciał wyjść. Z niewytłumaczalnych powodów zachciało mu się płakać — sentymentalne uczucie, jakiego nie doznawał od lat. — Dlaczego? — zdołał wykrztusić.

—Ponieważ ty nie jesteś moim synem, Buddy. Adoptowaliśmy cię, kiedy byłeś czterodniowym noworodkiem.

Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

—Nie była to legalna adopcja — ciągnęła spokojnie. — Kupiliśmy cię za pewną sumę pieniędzy, gdyż rozpaczliwie pragnęliśmy mieć syna. Powiedziano mi, że nigdy nie będę zdolna urodzić własnego dziecka. — Ucichła na sekundę. — Ale urodziłam Briana, więc sam widzisz. Lekarze się pomylili.

Nie wiedział, co zrobić ani co powiedzieć. Tyle myśli, tyle mieszanych uczuć. I w pewien sposób, choć był to ogromny szok, niemal poczucie ulgi. — Kim jestem? — spytał wreszcie.

—Nigdy mi tego nie wyjawiono — odparła zimno, a potem dodała: — Nie czuję się

za ciebie odpowiedzialna, Buddy. Uznałeś za stosowne opuścić mnie dziesięć lat temu. Więc może umówmy się tak, że nigdy tu więcej nie wróciłeś.

Elaine wzięła prysznic, potem zamówiła sobie wizytę u fryzjera. Usiłowała doprowadzić dom do porządku, ale sprzątanie nigdy nie było jej mocną stroną. Więc zadzwoniła do Liny i wspaniałomyślnie zaproponowała jej powrót do pracy.

—Mam inne zajęcie, senora — odparła niewzruszenie Lina.

—Ale jesteś mnie potrzebna — nalegała Elaine, jak gdyby łączyła je jakaś specjalna więź. — Pan Conti wrócił i sama wiesz, jak bardzo będzie zmartwiony, gdy ciebie tutaj nie będzie.

—Może znajdę pani kogoś innego.

—To nie to samo, Lina. On chce, żebyś to ty była tutaj w poniedziałek od samego rana. Proszę, nie sprawiaj mu zawodu.

Odłożyła zdecydowanym ruchem słuchawkę i przyrządziła sobie filiżankę kawy. Przez krótką chwilę miała ochotę strzelić sobie drinka, ale pokusa minęła, jak tylko rozważyła swoją nową sytuację. Ross wrócił. Musiała więc utrzymywać pewien poziom.

Zatelefonowała do Bibi. — Zgadnij, co się stało - oświadczyła dramatycznie, ignorując fakt, że nie rozmawiały ze sobą od tygodni.

—Co, kochanie? — spytała Bibi z ledwie skrywanym rozdrażnieniem, że dała się przyłapać Elaine.

—Ross i ja jesteśmy znowu razem. Chciałam, żebyś ty pierwsza się o tym dowiedziała.

—Jak to razem? — W głosie Bibi zadźwięczało zdumienie.

—Wczoraj wieczór był z Giną. Przykro mi, kochanie, ale się mylisz.

—Bibi — powiedziała stanowczo Elaine. — Nie jestem głupia. Wczoraj wieczorem mógł sobie być z Giną. Ale dziś rano wrócił do mnie. Na zawsze.

—Jesteś pewna, kochanie?

—Absolutnie tak.

Głos Bibi nabrał cieplejszej nuty. Ona żyła z wyłączności do plotek.

—A wobec tego, co stało się z Giną?

—Może byśmy zjadły lunch w poniedziałek i wtedy ci wszystko opowiem.

—Poniedziałek mam już zajęty, ale myślę, że da się to zmienić. Tak, kochanie, zmienię dla ciebie plany.

—Cudownie. Więc u Jimmy'ego o pierwszej?

—U Jimmy'ego jest tak nudno, kochanie. Odkryłam nowe miejsce, bardzo miłe. U Chińczyka. Moja sekretarka skontaktuje się z tobą w poniedziałek rano i poda ci adres.

—Doskonale. — Elaine odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się. Lunch z Bibi. Odpowiedni sposób na wejście dokładnie w sam wir wydarzeń.

Angela odczekała, aż pokojówka opuści swój posterunek, potem ruszyła do akcji. Na wierzchu pojawiły się Lysol, proszek Ajax, przybory do sprzątania. Zgarnęła do tyłu swoje długie włosy i uczciwie zabrała się do czyszczenia mieszkania Buddy'ego tak, jak to powinno być zrobione. Starannie. Żadne tam splunięcie i maźnięcie. Kiedy Buddy wróci, chciała, by wszystko było w idealnym stanie. I będzie.

Nucąc cicho pod nosem, zaczęła od łazienki.

I zdjął przesiąknięte krwią ubranie, i przepuścił je przez pralkę.

I starł kredkowy napis ze swojego czoła i czerń wokół oczu.

I nagi ukląkł przed swoim plakatem, i pieścił swój nabrzmiąły członek.

I dopełniło się, pulsując rozkoszą.

I zastanawiał się, dlaczego napis KIM JEST BUDDY HUDSON? plugawi jego podobiznę.

Leon Rosemont dotarł do domu w San Diego właśnie w chwili, kiedy Buddy stamtąd wychodził. Niekiedy zdarza się takie idealne zgranie w czasie. I chociaż Leon nie wiedział, to znalazł się dokładnie we właściwym miejscu o właściwej porze. Pięć minut później i mógł w ogóle nie dowiedzieć się o istnieniu Buddy'ego.

Minęli się na progu.

—Przepraszam — zaczął go ostrym tonem Leon. — Czy pan jest Buddym Hudsonem?

Buddy nie był w nastroju do pogawędki. Ten facet miał wypisane na czole, że jest gliną. Cholera! Wyciągnęli akta i teraz chcieli wszcząć dochodzenie w tamtej sprawie.

— Aha... Ale posłuchaj pan, omyliłem się dzisiaj rano. Przesadziłem, wie pan?

Leon popatrzył na niego dziwnym wzrokiem. — Co takiego?

—Upiłem się wczoraj wieczór — mówił dobitnie Buddy. — Może pan znowu

schować te akta. Nawet nie wiedziałem, o czym mówię.

Leon zmarszczył brwi. — Ale właśnie, o czym pan mówił?

— Hej, pan jesteś gliniarz?

Leon niezgrabnie pokazał swoją legitymację. Buddy szybko na nią zerknął. Teraz pragnął jedynie wrócić do Angeli i wzbogacić swoje życie odrobiną miłości.

— Czy możemy wejść do środka i porozmawiać? — spytał Leon. Buddy wskazał na dom. — Tutaj? Pan chyba żartuje? Jestem tutaj równie mile widziany jak zaraza.

— To niezwykle ważne, żebyśmy porozmawiali. I chcę, żeby pańska matka usłyszała to, co mam do powiedzenia.

— Człowieku, to wcale nie moja matka.

— I to jest właśnie jedna z rzeczy, o których chcę mówić.

— Muszę już iść — powiedział Ross.

— Cieszę się, że mieliśmy okazję pogadać — odezwała się Montana. — Kto wie? Jeżeli kiedykolwiek odzyskam prawa do „Ludzi z ulicy”... zgromadzę fundusze...

— Pomyślisz o mnie.

— Naturalnie.

Podniósł się ze swojego stołka i ucałował ją w policzek. — Jesteś równa babka.

Uśmiechnęła się. — Tak właśnie mawiał Neil.

I wszystko stało się jasne. Uzurpator zabrał jego twarz, jego postać, jego rysy i udawał, że jest nim.

Szarpnęła nim wściekłość.

KIM JEST BUDDY HUDSON?

Podszedł do biurka i wziął oprawną w skórę książkę adresową.

KIM JEST BUDDY HUDSON?

Przerzucał schludnie zapisane na maszynie kartki, szukając litery „H”.

Pod nazwami najróżniejszych miast widniało wiele nazwisk. Przesuwał w dół palcem po stronie poświęconej Los Angeles.

KIM JEST BUDDY HUDSON?

Z trzaskiem zamknął notes.

Już wiedział, gdzie go szukać.

— To nic poważnego, panie Conti. Tak jak pan mówił, zalał się silnik.

Ross wsiadł do swojego Rollsa, a w dłoni portiera znalazło się dwadzieścia dolarów. Jakaś turystka w wieku pobalzakowskim rozpoznała go i szturchnęła męża. Oboje wlepili w niego wzrok.

Ross zapuścił silnik samochodu i wyjechał z hotelowego podjazdu. Mimo iż przeszło już tyle lat, wciąż cieszył się, kiedy go poznawano. We wstecznym lusterku spostrzegł Karen Lancaster i jej angielskiego gwiazdora rocka pędzących jaskrawoczerwonym Ferrari. Pomyślał, jakie to szczęście, że on sam tego uniknął. A także Giny Germaine. Jakież był nierozważny dobierając sobie kobiety. Ale wciąż cieszył się życiem, przynajmniej w tej chwili.

Ciekaw był, czego chciała Sadie. Czy miała zamiar przeprosić go za to, jak go potraktowała? Czy może znowu będzie usiłowała złapać go w sieć i potem jeszcze raz upokorzyć?

Nie miał ochoty na spekulacje. Od niej chciał tylko usług w biznesie, a jeżeli ona miała co innego na myśli, to niech lepiej o tym zapomni.

—Kochanie, już prawie południe. Co robisz?

—Jestem w łóżku. A gdzie Adam?

—Och, Adam. Jest taki nudny. Któregoś dnia od niego odejdę.

—Zawsze tak tylko mówisz.

—No i co z tego? Mam taki zamiar.

Ale oboje wiedzieli doskonale, że to nieprawda. Któż inny zgodziłby się wytrzymać Bibi i jej rozkosznie kurewski języczek?

—Kochanie, wiesz co?

—Powiedz mi. Nie trzymaj mnie dłużej w napięciu.

—Ross Conti. Zostawił Ginę i wrócił do Elaine.

—A ty skąd o tym wiesz?

—Ja zawsze wiem wszystko pierwsza, kochanie.

Ciuchy jeszcze wilgotne, ale to nie szkodzi.

Przed domem biały Jaguar z kluczykami w stacyjce.

Włożył ciemne okulary i wsunął się za kierownicę.

Och, matko.

Och, Joey.

Gdybyś mnie mogła teraz zobaczyć.

Włączył silnik rozgrzewając go, aż zaczął ryczeć niczym tygrys gotujący się do skoku. Ze wszystkich czterech głośników buchnęła muzyka. Rod Stewart. Pasujący pomruk.

Prowadził samochód w dół długim i krętym podjazdem, zatrzymując się przy wjeździe na ulicę. Jego mikrobus stał zaparkowany za rowem, częściowo zasłonięty kępą drzew. Sięgnął do środka po swoją torbę, potem wrócił do Jaguara. Wyjął mapę Los Angeles i studiował ją tak długo, aż nauczył się na pamięć, gdzie ma jechać.

Jaguar miał taką moc, jakiej Deke potrzebował. Wspólnie niemal oderwali się od nawierzchni Angelo Drive, pędząc z największą szybkością w obłoku spalin.

—Wolfie, to ty?

—Dla ciebie zawsze do usług, Bibi. Chociaż to strasznie wcześnie jak na sobotę rano.

Ross wcale nie był złym kierowcą. Ale mając głowę zaprzątniętą czym innym, jechał środkiem jezdni, a przy tym prowadził ze zbyt wielką prędkością. Szczególnie zaś za szybko pokonywał zakręty przy Angelo Drive, krętej ulicy, która zakosami podchodziła pod wzgórze, im wyżej, tym węższa.

Dom Sadie stał blisko szczytu. W zwykłych okolicznościach dwaj kierowcy jadący z przeciwnych stron świadomi by byli niebezpieczeństwa, jakie stwarzała droga. Zmniejszyliby więc prędkość i przezornie trzymali stopę na hamulcu.

Ross, pędzący zdradliwą ulicą niczym na wyścigach, nie uczynił tego.

Deke, pędzący w dół, również.

Kiedy spostrzegli siebie nawzajem, było już za późno.

Buddy wracał do Los Angeles oszołomiony. W tak krótkim czasie tyle się wydarzyło. Pojechał do San Diego mając na uwadze jeden cel — odnaleźć matkę i się z nią pogodzić.

Odnalazł i ją, i prawdę. Już to było wystarczająco przygnębiające. Ale wszystko, co zdarzyło się później, okazało się tak dziwaczne i pokrętne, że wciąż nie potrafił otrząsnąć się z szoku.

Leon Rosemont. Gliniarz. Ale wcale nie przyszedł w sprawie identyfikacji Wolfie'ego Schweickera, jak się tego Buddy spodziewał.

Do domu wkroczyli we dwóch, a jego matka (nie, przecież nie jego matka. Estella — tak musi o niej odtąd myśleć) pozwoliła im wejść do środka, dopiero kiedy Leon

okazał swoją legitymację i wspomniał nazwisko Nity Carrolle.

Buddy myślał o słowach, które raz jeszcze odmieniły jego życie. „...brat ...bliźniak ...morderca ...znowu uderzy ...szuka swojej matki ... nazywa siebie Stróżem Porządku”.

Co za niesłychana odmiana losu. *Szuka swojej matki*. Do diabła, to zaczyna być ulubionym zajęciem mieszkańców tego kraju.

Sam zadał pewne pytania: — Kim jest moja prawdziwa matka? Gdzie ona mieszka? Czy jeszcze żyje?

Detektyw Rosemont pokręcił bezradnie głową i pokazał pożółkły arkusz papieru z wypisaną u góry datą. Arkusz dzielił się na dwie kolumny. Po jednej stronie umieszczono nazwisko pana i pani Wil-lisów Andrews i ich adres w Barstow. Po drugiej — państwa Estelli i Richarda Hudsonów oraz ich adres w San Diego. Przez obie kolumny biegła wypisana grubym czerwonym pismem notatka — BLIŹNIĘTA— CHŁOPCY — po jednym dla każdej rodziny. I po odpowiednich stronach suma zapłaty. Wyglądało na to, że w tamtym czasie rodzina Andrewsów ubiła lepszy interes. Hudsonowie wybulili dwa tysiące dolarów — ponad tysiąc pięćset więcej.

Nabazgrany dopisek u dołu arkusza głosił: „Zobacz str. 60”.

—Strona numer sześćdziesiąt została wyrwana — wyjaśnił Leon. — Tak więc jedynym łącznikiem okazała się pani, pani Hudson. Próbowałem się z panią skontaktować telefonicznie, ale skoro nikt nie podnosił słuchawki, uznałem, że to na tyle ważne, by wsiąść w samolot i przyjechać tutaj osobiście. — Przerwał. — Kim jest prawdziwa matka?

—Nie mam pojęcia — odparła zimno. — Nigdy mnie to nie interesowało. Wszystko zostało załatwione, zaopatrzone nas nawet w metrykę jego urodzenia z naszymi imionami i nazwiskiem.

Buddy z całej siły przycisnął pedał gazu i z rykiem silnika gnał autostradą. Jak ma opisać Angeli całą tę wycieczkę do San Diego?

Hej, maleńka. Nigdy nie zgadniesz, co się zdarzyło. Okazało się, że mam brata-czubka. Jest moim... eee... bliźniakiem. I wiesz co? Rozbija się wokół mordując ludzi.

Piękne oczy Angeli rozszerzą się jeszcze bardziej. Pomyśli, że on znowu się naćpał. Cholera! Znalazł się na niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Gdyby nie było

go tam, kiedy Leon Rosemont pojawił się na progu domu, nigdy by go nie odnaleźli i nigdy by nie usłyszał tych wszystkich okropności o obłąkanym bracie grasującym po ziemi.

Ale przecież i tak w końcu wpadliby na jego trop, gdyż nie zadał sobie trudu, by zmienić nazwisko. I nagle zrozumiał dlaczego. Chciał, by matka go odszukała. Chciał, żeby matce na tyle na nim zależało, by zaczęła go szukać.

Nigdy tego nie uczyniła.

I teraz poznał przyczynę.

Detektyw Rosemont powiedział, że mógłby mu załatwić policyjną eskortę w drodze powrotnej do Los Angeles. Buddy odmówił i szybko wyjaśnił, w jakiej sytuacji się znajduje. — Nic mnie nie łączy z tą sprawą — zakończył głucho. — I nie mam zamiaru, żeby łączyło. Nie ma sposobu, żeby ten Dekę kiedykolwiek trafił na mój ślad.

— Spójrz na to — rzekł detektyw Rosemont i wręczył mu fotografię.

Jakiś długowłosy świr z wybałuszonymi oczami.

W pewien sposób różny — ale upiornie podobny. To dlatego detektyw go poznał.

Wprawilo go to naprawdę w wisielczy nastrój. Gwałtownie wepchnął zdjęcie z powrotem w ręce Leona. — Wcale do mnie niepodobny — oświadczył szorstko. — Muszę już wracać do L.A.

Zaraz potem wyszedł, niechętnie podając swój adres i przyjmując numer telefoniczny policjanta, pod który mógł w razie potrzeby zadzwonić.

Żegnaj, San Diego.

Wjechał na autostradę, ku nowemu początkowi, ku Angeli.

Gdzieś tam mieszkała jego matka.

To bez znaczenia. Teraz był wolny.

Leon, siedząc w taksówce odwożącej go na lotnisko, czuł przygnębienie. Miał nadzieję, że kluczem okaże się rodzina Hudsonów. Ale Richard Hudson nie żył, zaś Estella Hudson nic nie wiedziała i nic jej nie obchodziło. Cóż to za kobieta, że adoptowała niemowlę i nie pragnęła nawet dowiedzieć się, kim była jego prawdziwa matka? Kobieta, która przede wszystkim owo dziecko kupiła. Potrząsnął głową z niesmakiem.

Pytania, pytania!

Ale gdzie odpowiedzi?

Za wszelką cenę pragnął poznać tożsamość prawdziwej matki Deke[^]. To do niej Deke zmierzał. Jeżeli ta kobieta jeszcze żyje — a przecucie podpowiadało Leonowi, że tak jest.

Na lotnisku skierował się prosto do budki telefonicznej i zadzwonił do kapitana Lacoste'a w Filadelfii. — Wracam do Vegas — powiedział. — Tutaj niczego nie znalazłem.

— Poczekaj! — krzyknął kapitan. — Miałem właśnie wiadomość z Los Angeles. Chyba go złapali. Wsiadaj w następny samolot.

Moment zderzenia był tak niespodziewany. Błysk białego samochodu, wpatrzona twarz. Zbyt późno na wszystko, prócz przyduszenia do podłogi hamulców i gwałtownego wykręcenia kierownicy Rollsa w prawo.

Kolizja dwóch samochodów. Chrzęst miażdżonej karoserii, brzęk szkła, rozdierający uszy hałas.

Potem cisza. Zakłócona jedynie chrypliwym głosem Roda Stewarta, dobiegającym z wciąż grającego w Jaguarze magnetofonu.

Po barach i knajpach — namiętność. Na ulicach i w alejkach — namiętność. Pokłady fałszu — namiętność. Wszyscy szukają — namiętności.

Koło pierwszej Angela skończyła sprzątać mieszkanie. Wędrowała z pokoju do pokoju podziwiając dzieło swoich rąk. Wszystko świeciło się i błyszczało. I tak właśnie być powinno. Poczula ruchy dziecka i przystanęła na chwilę, kładąc obie dłonie na brzuchu. Co za bajeczne uczucie. Pragnęła urodzić chłopca, miniaturkę Buddy'ego. Na samą myśl o tym ogarniało ją podniecenie. Nazwą go Buddy Junior, a kiedy urośnie, to będzie dokładnie taki sam, jak jego tata. No, może nie całkiem dokładnie.

Uśmiechnęła się miękko, weszła do łazienki, zdjęła ubranie i puściła prysznic.

Deke Andrews wyczołgał się z wraka właściwie bez obrażeń, tylko na czole miał skaleczenie i bolała go prawa noga. Nie powinien był zabierać tego białego wozu. Kradzież jest grzechem. I za to został ukarany.

Ale przecież Stróż Porządku jest ponad karą?

Do jego uszu dobiegł śmiech Joey.

Och, kurwo nad kurwami, zamknij swoją wypacykowaną gębę, zanim ja ci ją zamknę.

— Myślałam, że umiesz prowadzić, kowboju — zakpiła.

Nienawidził jej

Namiętnie.

Nawet prezydent potrzebuje namiętności, Każdy, kogo znam, potrzebuje namiętności, Ten i ów morduje i umiera z namiętności.

Zrozumiał, że musi stamtąd ruszać. Wynieść się daleko od tych dwóch rozbitych samochodów. Powłócząc nogą, zaczął się wspinać na wzgórze.

Na tamten drugi wóz nawet nie spojrział.

Włożyła prostą białą sukienkę, skromne sandaiki i wzburzyła włosy, pozwalając, by wyschły bez suszarki. Koko chciał je obciąć, a przynajmniej uczesać. Ale nie pozwoliła mu na to. Wiedziała, że Buddy kocha je dokładnie takimi, jakie są teraz.

Poparfumowała delikatnie ramiona, skórę za uszami i między piersiami. „Rosa Młodości” Estee Lauder. Podarunek od Koko. — Lepiej pasuje do ciebie, skarbie, niż do większości tych starych pudeł, które przychodzą do salonu. Mój Boże! Kiedy widzą młodość, to jedyna rosa, na jaką mogłyby się zdobyć, pojawiłaby się na ich czołach!

Pragnęła, żeby Buddy poznał Koko. We właściwy sposób. Nie jako przeciwnika. I oczywiście także Adriana. Może mogłaby wydać mały obiad proszony. W mieszkaniu znajdował się miły jadalny kącik, który bez trudu by ich wszystkich pomieścił. I mogłaby ugotować ulubione potrawy Buddy'ego.

Była tak pogrążona w myślach, że nie od razu usłyszała dzwonek do drzwi. Dopiero po chwili, kiedy odezwał się ponownie. Spodziejając się, że to Buddy wrócił wcześniej do domu, pobiegła otworzyć.

— Jesteś świetna, dziewczyno — stwierdził Josh Speed.

— Powinam być. Udoskonalałam tę sztukę od trzynastego roku życia — wyjaśniła sucho Karen.

— Od trzynastego?

I powrócili do zapasów w zamkniętej altance usytuowanej na poczesnym miejscu przy basenie Beverly Hills Hotel. Uprzejmość ze strony wytwórni płytowej Josha. Altanka, oczywiście, a nie pieprzenie się.

— Psiakrew! — wrzasnął niespodziewanie Josh. — Tak szybko się spuszcza, jakby

mi przez fiuta przelatywał pociąg ekspresowy.

—Ależ z ciebie poeta — chrypnęła Karen, sama osiągając orgazm.

Ścisnął jej sutki, niezmienną atrakcją główną. — Co ty tam wiesz, dziewczyno. Później zagram ci parę moich kawałków. Wtedy naprawdę cię weźmie.

Przekręciła się na podłodze sięgając po swój porzucony kostium kąpielowy. — Z rozkoszą.

Nie był Rossem Conti. Ale wystarczał.

—Zaraz wracam — powiedział był Ferdie.

—Zaraz wracam... zaraz wracam — przedrzeźniał go Rocky, kiedy w trzy godziny później wściekle miotał się po mieszkaniu. Tak cieszył się na ten piknik — słońce, surfing, nowe znajomości. Nie po to zwał do Hollywood, by teraz marnować czas czekając na takich Ferdie'ch. On, mały księżę, zrobił już wiele, ale czekał nie będzie. Pieprzy czekanie.

Zebrał swoje rzeczy do torby, potem skierował się ku drzwiom.

Przez chwilę Angela po prostu patrzyła wielkimi, przestraszonymi oczami. — Buddy? — spytała niepewnie, kiedy cofnęła się do mieszkania. Jej twarz wykrzywiło przerażenie. — Twoje włosy... i jesteś taki błydy... Mój Boże! Buddy, co się stało?

KIM JEST BUDDY HUDSON? Ona wiedziała, kim jest. Ta Madonna o pszenicznych włosach i twarzy anioła.

Dekę wszedł do środka, zatraskując za sobą drzwi.

To oczywiście jest Joey. Cały czas wiedział, że ją odnajdzie.

I była w ciąży. Z nim.

Jazda autostradą pozwoliła Buddy'emu na rozmyślenia. Im więcej się nad tym zastanawiał, tym bardziej się gubił. W końcu włączył radio i zatopił się w prognozach pogody, muzyce rockowej, reklamach i wiadomościach.

Spodziewamy się dzisiaj pięknej, upalnej pogody, więc zabierajcie swoje śmigające deski i gnajcie na plażę.

Tak. On też chciałby tak zrobić.

Stevie Wonder. „Tęcza na niebie”. Gorąca czekolada. „Chances”. Randy Crawford. „Rio de Janeiro”. Muzyka go~ uspokajała. Może powinien udać się do psychoanalityka, poustawiać sobie w głowie.

Nie jesteś jeszcze gwiazdorem filmowym. Więc nie wpadaj na takie pomysły.

Jeżeli nie naprostuje go życie z Angelą, to już nic mu nie pomoże. Przecież był w porządku. On ocalał.

Tylko że czuł się taki samotny.

Ruch na autostradzie nie miał znaczenia. Niczym na nie kończącym się pasie transmisyjnym samochody ciągnęły ku swojemu nieodgad-nionemu przeznaczeniu. Czarny Porsche mknął, podwójnie przekraczając dozwoloną prędkość.

Buddy był ciekaw, co mu przyniesie poniedziałek. Czy Sadie powita go dobrymi nowinami?

Jasne, że tak. Myśl pozytywnie. Nic nie przeszkodzi ci w zostaniu gwiazdorem. Już dość długo się naczekał. A kiedy jego plakat zaleje całą Amerykę...

Miał tylko nadzieję, że Ferdie dotrzymał słowa i powiedział Sadie o Angeli. Nigdy więcej kłamstw czy fałszywych startów. Postanowił teraz żyć w prawdzie — od a do zet.

Jak na gust Rocky'ego, w Santa Monica było zbyt tłoczno. I zbyt ostra konkurencja. Powłóczył się tam z jakąś godzinę, ale nic się nie trafiło, a on nie lubił się przemęczać, żeby zwrócić na siebie uwagę. Pieprzy taką zabawę. W wieku siedemnastu lat wyglądał niczym anielski czternastolatek, natomiast myśli miał godne wycwanionego trzy-dziesięcioletka. Zaledwie po sześciu tygodniach pobytu w Los Angeles wiedział, jak sobie radzić. Na Santa Monica Boulevard świat się nie kończył.

Wciągnął podkoszulek, złapał torbę i podążył Doheny w stronę Sunset.

Spóźniona o pół godziny Giną Germaine majestatycznie wkroczyła do Polo Lounge na umówiony lunch z dziennikarką z tygodnika. Gdyby spojrzeć na to od strony Giny, to dziennikarka mogła mówić o szczęściu, że się w ogóle do niej dobiła. Ileż to gwiazd poświęciłoby sobotę dla dobra publicznego? Nieliczne. I dlatego właśnie Giną znalazła się na szczycie, inni zaś utknęli zaledwie w połowie drabiny.

W Polo Lounge odnosili się do niej po królewsku. Ale, rzecz jasna, ona naprawdę była królową. Hollywoodzkiego typu.

Giną nie była w najlepszym humorze. Czuła się odtrącona. Najpierw przez Rossa Conti — który, swoją drogą, okazał się niewdzięcznym sukinsynem. A po drugie, przez Sadie La Salle. Jej przyjaciółkę. Jej agentkę. Kobieta, która jest taką egoistką, że

nie zrezygnowała z weekendu w Palm Springs i nie spędziła dnia razem z nią.

Wiarołomcy — to słowo huczało w głowie Giny, kiedy rozjaśniła się na powitanie dziennikarki i przeszła prosto do rzeczy. — Ja naprawdę jestem skromną osobą. Wszystko, czego mi potrzeba do szczęścia, to mała chatka na wsi, garstka dzieci i odpowiedni mąż.

— A co z Rossem Conti?

Mrożna jak sople lodu. — Z kim?

Josh Speed nosił tak skape kąpielówki, że niczego nie pozostawiały domysłem.

—Hmmm... — zauważyła Karen, paląc z nim na spółkę skręta przed wyjściem z altany. — Ty rzeczywiście jesteś zwolennikiem wystawiania wszystkiego na pokaz.

—Jeżeli masz się czym pochwalić, to zrób to. Moje wielbiciele już z odległości dwudziestu jardów robią w majtki! — ryknął śmiechem.

Trzymając się za ręce wymaszerowali z altany. Odruchowo zatrzymali się, świadomi, iż turyści muszą nacieszyć nimi swoje oczy. Potem Josh wrzasnął: — Najpierw do tej sadzawki! — i wymachując dziko ramionami i nogami wskoczył do basenu.

Karen uśmiechnęła się pobłaźliwie. Cóż to za przyjemna odmiana zadawać się z kimś, kto umie się bawić. Sama bardziej statecznie podeszła do głębokiej wody i wdzięcznie dała nurka.

—Chodź no tutaj, kociaku! — rozdarł się Josh, przytrząskując ją w talii chudymi nogami. — Ehe — szepnął. — Daj mi wsadzić mój wielki paluch do twojej szufladki.

—Nie tutaj, Josh — zachichotała ochryple.

—A to czemu? — zdziwił się. — Myślisz, że te kawożłopy nigdy jeszcze nie widziały wielkiego palucha?

Elaine przybyła do Beverly Hills Hotel prawie punktualnie na swoją dwugodzinną sesję w salonie piękności. Miała na sobie bladoniebieską jedwabną bluzkę koszulową, białe lniane sandały i okulary słoneczne.

—Pani Conti! — wykrzyknęła dziewczyna, która ją zwykle czesała. — Wygląda pani bosko! Czy była pani gdzieś na wakacjach?

Elaine tajemniczo kiwnęła głową. — W pewnym sensie.

—Na Hawajach?

—Niedokładnie.

—No, gdziekolwiek pani była, z pewnością zrobiło to pani znakomicie. Do twarzy pani w opaleniźnie.

—A będzie mi jeszcze lepiej, gdy zrobisz mi coś z włosami.

Oliver Easterne wyszedł z lunchu w sprawach biznesu w Nate'n'Al i pospieszył na późny lunch w sprawach biznesu do Beverly Hills Hotel.

Dzień miał stanowczo za mało godzin. Ale Oliver wypracował sobie własną filozofię. Nigdy nie spuszczał z wędki potencjalnego sponsora. Nawet jeżeli oznaczałoby to przeżarcie się na śmierć.

Wolfie Schweicker nie zwykł podrywać chłopaków. Zresztą nie było takiej potrzeby. Nie miał zbyt wybujałych seksualnych apetytów, a specjalne przyjęcia organizowane raz w miesiącu przez niego i jego przyjaciół całkowicie go zaspokajały. Kiedy więc zobaczył Rocky'ego szwendającego się przy przystanku RTD na Sunset, nawet przez głowę mu nie przeszło, by go zaprosić do samochodu.

Decyzję jednak podjął za niego jego srebrzysty Mercedes. Zwolnił, jasnowłosa chłopczyna przyskoczył i nim się Wolfie obejrzał, już siedział w środku.

Wolfie rozejrzał się niespokojnie dokoła, czy aby nikt tego nie zauważył. Zdaje się, że nikt. Szybko więc odjechał.

Jak mogę zabrać tego chłopaka do domu?, myślał. *Co sobie służba pomyśli?* Na taką nieostrożność nigdy nie pozwalał sobie pod własnym dachem.

Ale jaki miał wybór? Motel? Łaźnia? Nigdy nie chadzał do takich miejsc.

—Gdzie jedziemy? — spytał chłopak, kiedy Mercedes skręcił z Sunset w kierunku wzgórz.

—Do mojego domu — wyjaśnił sucho Wolfie. A do licha tam ze służbą.

Nowiny rozprzestrzeniają się z szybkością pożaru. Do tego złe nowiny dużo szybciej niż dobre.

Zaś Beverly Hills Hotel był najdoskonalszym miejscem do rodzenia się plotek. Wypadek przy Angelo Drive to znowu nic takiego. Ale wypadek, w którym brał udział Ross Conti i jego Rolls to już zupełnie inna sprawa.

—Jest ciężko ranny.

—Okaleczony na całe życie.

—Nie żyje.

Wiadomość miała swoje warianty, w miarę jak plotka przechodziła z ust do ust. Tak łatwo można było wszystko upiększyć, rozdmuchać, przekręcić.

Ginę Germaine powiadomił rozplómienny publicysta, który krążył wokół jej stolika niczym nerwowy flaming. Do niej historia dotarła już w wersji mocno mijającej się z prawdą.

—Jakie to okropne! — zatrzepotała się Gina, spuszczać w dół oczy i pozwalając sobie na widoczne doskonale drzenie dolnej wargi.

—Może w tej sytuacji przerwiemy wywiad? — spytała dziennikarka ze współczuciem w głosie.

Gina błyskawicznie się pozbierała. Podniosła wzrok, a na jej wargach pojawił się omdlewający uśmiech. — Nie — odparła dzielnie.

—Ross pragnąłby, żebym zachowywała się normalnie. Wiem o tym. On był cudownym mężczyzną. — Krótka pauza. — No, to o czym ja mówiłam?

Karen posłyszała nowiny od producenta, przyjaciela swojego ojca, który, gdy wyszła z basenu, odciągnął ją na bok i dyskretnie szepnął do ucha, że Ross Conti zginął w wypadku samochodowym. — Chyba powinnaś zadzwonić do George'a — powiedział poważnie. — Zawsze byli blisko z Rossem.

Tak, ale Ross ze mną był jeszcze bliżej, chciała krzyknąć Karen. I zaczęła niepohamowanie drżeć.

Oliver posłyszał szepty w Polo Lounge. Ross Conti jest na reanimacji. Nie wróżą mu długiego życia. Dzięki Bogu, pomyślał Oliver, że skasowałem ten film. A potem zaraz: może to wcale nie było takie rozsądne posunięcie? Popatrzeć tylko, jaki rozgłos umyka mi sprzed nosa!

Montana jeszcze siedziała w barku kawowym, kiedy nowiny przechodziły od ucha do ucha. Niespodziewanie spotkała przyjaciela, dziennikarza z Nowego Jorku; wspominali sobie stare, dobre czasy. Do niej dotarła wieść o poważnych obrażeniach. — Biedny Ross — mruknęła. — Wprost nie potrafię w to uwierzyć.

Elaine nikt nic nie powiedział. Przynajmniej z początku. W drzwiach salonu piękności zbiła się grupka osób, usiłujących zdecydować, kto będzie heroldem złych wieści. Wreszcie zgłosiła się jej fryzjerka. Szybko podeszła do Elaine, która siedziała czytając „Vo-gue'a" pod suszarką z włosami zakręconymi w setkę świderków.

—Pani Conti — szepnęła. — Zdaje się, że na Angelo zdarzył się okropny wypadek samochodowy.

— A dlaczego mi o tym mówisz? — prychnęła Elaine.

Ale dobrze wiedziała, dlaczego dziewczyna to robi. Zerwała z głowy czepek i wstała na drżących nogach. Pod całą opalenizną widać było, jak zbladła. — To Ross, tak? — wykrztusiła z trudem. — Och, nie! Ross!

Kiedy tylko jej dotknął, wiedziała. Przyłożył do jej policzka swoją dłoń, zimną i lepłą. Odskoczyła od niego z oczami rozszerzonymi strachem.

Ten mężczyzna to wcale nie był Buddy.

W jakiś straszliwy, dziwaczny sposób była to bledsza, szczuplejsza, odrażająca wersja Buddy'ego. Ale oczywiście to nie on, jak w ogóle mogła pomyśleć inaczej?

—Kim jesteś? — szepnęła.

—Kim jest Buddy Hudson? — odparował spokojnie.

—Moim... moim mężem — powiedziała szybko. — On... on wróci... za chwilę. Naprawdę zaraz tu będzie. Przysięgam panu.

Czarne oczy Deke'a rozjarzyły się gniewem. — Joey. Nie życzę sobie, żebyś więcej stosowała wobec mnie swoje głupie sztuczki. To mnie denerwuje.

—Ja... ja nie jestem Joey. Angela.

—Wiem. Zawsze wiedziałem, że jesteś aniołem. — Ponownie wyciągnął rękę ku jej twarzy.

—Nie! — krzyknęła ostro, odpychając jego dłoń.

Chwycił ją mocno za przegub. — Zabijałem, żeby się tutaj dostać. Już raz ci to zrobiłem, więc mogę powtórzyć.

Przycisnęła gwałtownie dłonie do ust. — Proszę. Czego pan chce?

—Ciebie, oczywiście. Zawsze ciebie chciałem, Joey.

—Nie jestem żadną Joey! — krzyknęła. Ale on jej nie słuchał.

W połowie drogi do Los Angeles Buddy zauważył tego samego czarnego Porsche'a, który wcześniej minął go w pędzie. Jechał teraz obok z oznaczeniami policyjnymi i na zapalonych światłach. Odruchowo zmniejszył szybkość. Ostatnie, czego mu było trzeba, to następnej awantury z policją.

Spojrzał na zegarek. Wpół do trzeciej. Jeszcze półtorej godziny i będzie w domu. O

piątej limuzyna podjedzie po Angelę i przywiezie ją do niego. Nie mógł się tego doczekać. Pogadają... pokochają się... znowu pogadają... i pokochają się.

Nacisnął stopą pedał gazu. A do czorta z gliniarzami.

Stewardesa z promiennym uśmiechem spytała: — Czy życzy pan sobie drinka, sir?

Leon zdawał sobie sprawę, że pewnie wygląda tak, jakby mu się przydało coś mocniejszego. Z zaczerwienionymi oczami, nie ogolony, w pomiętym ubraniu, wokół niego nikły zapaszek potu. Gdyby go teraz Millie zobaczyła, dostałby za swoje.

Na myśl o Millie po jego twarzy przemknął posepny uśmiech. Kiedy Millie wpadała w złość, to naprawdę na całego.

—Podać coś do picia, sir? — spytała już lekko zniecierpliwiona stewardesa.

—Whisky z wodą sodową — powiedział.

Nie odpisał jej na list i nie miał zamiaru tego robić. Co przysłoby z wyjaśnień? Millie nigdy tego nie zrozumie. Gdy już będzie po wszystkim, wróci do domu, a ona przyjmie go z powrotem. To takie proste.

I może już będzie po wszystkim... niebawem.

Nim przyniesiono whisky z wodą sodową, zasnął, a obudził się akurat przy podchodzeniu do lądowania w Los Angeles.

Wyglądała inaczej, ale tak być powinno. Zniszczył dawną Joey, wyciął zezujące oko, zasmarowane wargi, bezwstydną ciało. I teraz stała się doskonała. Złoty Anioł Nadziei. Prawdziwa podpora Stróża Porządku.

Ale sprawiała kłopoty, a na to nie mógł pozwolić.

Uwięziona pod nim, zapłakana, walczyła, więc zdecydował, że należy ją związać, tak jak związał matkę. Uczynił to błyskawicznie. Potem podziwiał, jakie się one stają spokojne, kiedy spęta je sznur. Takie ciche i piękne.

Zostawił ją skrzepowaną na podłodze, a sam obejrzał resztę mieszkania. W sypialni powitał go jego wizerunek, wielki na całą ścianę. Nie zdziwiło go to.

KIM JEST BUDDY HUDSON?

Czy on był Buddym Hudsonem? Czy Buddy Hudson Deke'em An-drewsem?

Niepewność i gniew zmieszały się z furją, kipiącą wewnątrz niego. Wyciągnął z cholewki nóż i porznął uwłaczający mu plakat. To wszystko wina Joey.

Kurwa zawsze pozostanie kurwą.

—Dalej się kurwisz? — zażądał odpowiedzi, wpadając do pokoju, w którym leżała Angela. — Co, Joey? Dalej? — W jego oczach płonęła czerń, kiedy się nad nią pochylał. Poczul na swoich piersiach wypukłość jej brzucha i zastanowił się, czy nie powinien wyciąć dziecka na wolność. Niebawem tego dokona. Ale jeszcze nie teraz. Później.

—Nigdy nie byłam... kurwą — szepnęła.

—Byłaś moją kurwą — zachnął się. — Robiłaś ze mną takie rzeczy, jakie tylko kurwy robią.

Dotknął jej piersi. Zaczęła płakać.

Dlaczego ona płacze? Czy nie jest szczęśliwa, że go widzi? A on tyle dla niej przeszedł.

Małżeństwo.

Ta myśl go uderzyła.

Joey pragnęła ślubu.

Tyle razy o tym rozmawiali.

Chcę poznać twoją mamuszkę. O co chodzi, kowboju, czy nie jestem dostatecznie dobra, by poznać twoją mamuszkę?

Raptownie przestał jej dotykać i podniósł się na równe nogi. — W porządku — oznajmił. — Zgadzam się z tobą. Już wystarczająco długo ze sobą jesteśmy. Poznasz moją matkę, Joey.

—Ja nie jestem Joey — załkała.

Zlekceważył jej zaprzeczenie, zostawił ją we łzach i wrócił do sypialni. Tam znalazł czerwony gruby pisak i na poszarpanym plakacie wypisał swoje posłanie. Potem cofnął się o krok, objął je wzrokiem i wrócił do swojej branki.

Pochylił się nad nią i przyłożył czubek noża do jej brzucha. — Teraz zamierzam cię rozwiązać — powiedział cicho. — Nie sprawiaj mi kłopotów. Jeżeli mnie rozzłościś, nigdy nie poznasz mojej matki. Rozumiesz mnie, Joey? — Schował nóż i zaczął rozsupływać węzły.

Szlochała niepowstrzymanie. — Och, błagam, Boże, niech mnie ktoś uratuje.

— Bóg pomaga Stróżowi Porządku — powiedział z namaszczeniem Dekę. — A Stróżem jestem ja.

Jakimś cudem Elaine wydostała się z salonu przed hotel. Robiła z siebie widowisko, gdyż wokół jej głowy sterczały srebrzyste świderki.

Za nią wybiegła fryzjerka. — Pani Conti — tłumaczyła. — Pani nie powinna jechać sama. Nie wolno pani.

Elaine wrzasnęła, by podprowadzono jej wóz, ignorując błagania dziewczyny. Nic jej nie obchodziło, że robi z siebie przedstawienie. Teraz liczył się jedynie Ross.

— Ależ pani nawet nie wie, gdzie go zabrano — jęczała dziewczyna. — Proszę poczekać. Zadzwonimy na policję. Pani Conti, pani nie może stąd tak wybiec. Jest pani pod wpływem szoku.

Pani Conti może robić, co jej się żywnie podoba. I zrobiła to.

Rozczarowanie. Frustracja. Wszystkie negatywne emocje i jeszcze więcej.

Leon stał w południowym upale i patrzył na wraki Rollsa i Jaguara. Czy też to, co z nich zostało.

Westchnął głęboko, z niechęcią i splunął na chodnik. Miał już nadzieję, że wszystko zmierza ku końcowi. A tu nic z tego.

Pościg wyprał go ze wszystkich sił. Szczególnie kiedy wiadomość „złapali go” zredukowała się wyłącznie do torby Deke'a na podłodze Jaguara. Znaleziono w niej jego prawo jazdy. Lepsza torba niż nic, chociaż prowadziła donikąd. Leon zdążył już ją starannie przeszukać. Jedyne interesującym odkryciem okazały się wycinki z prasy traktujące o morderstwie w Filadelfii, starannie przechowywane między stronicami magazynu motoryzacyjnego.

Leon czuł zmęczenie, pędził z miasta do miasta, bez jedzenia, bez spania.

Ale nie był jeszcze na tyle wyczerpany, by zaniechać pościgu. Pościg dopiero się zaczął.

Elaine, skręciwszy w lewo w Hartford Way, uprzytomniła sobie, że nie ma pojęcia, dokąd odwieziono Rossa, więc skierowała się do domu. Chciała dotrzeć do telefonu i dowiedzieć się wszystkiego.

Na podjeździe stał złowieszczo samochód policyjny.

Poczuła, jak wszystka krew odpływa jej z twarzy. Upał dnia przemienił się w siarczysty mróz. Jeżeli Ross nie żyje, to ona tego nie wytrzyma. Zbyt mocno go kochała, żeby utracić go właśnie w chwili, w której otrzymała go na powrót.

A jeżeli jest trwale okaleczony, Elaine?

Wolę to od śmierci.

Przypuśćmy, że już nigdy nie będzie zdolny do pracy? Żadnych więcej wpływów na konto, słynnych restauracji, przyjęć. Nigdy więcej Beverly Hills.

Odpieprz się ode mnie, Etta. Kocham Rossa. I nic więcej się nie liczy.

Popędziła do domu.

Ross opierał się o barek, w rękę trzymał ogromny kielich brandy. Na jego czole tkwił niewielki plaster, lewe ramię miał na temblaku. Obok stał policjant, zapisując coś w notesie.

—Ross! — krzyknęła wniebowzięta.

—Kochanie! — Jego słynne niebieskie oczy błysnęły radością. Potem ryknął śmiechem. — A co ty wyprawiasz? Próbujesz roli w „Gwiezdnym wojnach”?

Jego ręce pobiegły ku jej nastroszonej sreberkiem głowie. Elaine spieszyła się.

—Do diabła, co z ciebie za hollywoodzka żona? — przygadał jej. — Jeżeli Bibi zobaczy cię, że paradowasz w czymś takim, to jak amen w pacierzu wywali cię ze swojego klubu!

Na twarzy Elaine powoli wykwitł uśmiech. — Prawdę powiedziawszy, cytując słowa mojego cudownego małżonka, mam ją w dupie!

Upał. Smog. Pot. Zmęczenie. Skurcz mięśni. Zły dzień. Taki, o którym Buddy pragnąłby jak najprędzej zapomnieć. Znużony zaparkował na swoim miejscu w podziemnym parkingu, wysiadł z samochodu, przeciągnął się, ziewnął. Dostał w kość. Fizycznie. Psychicznie. Z każdej strony.

Było dokładnie piętnaście po czwartej. W ciągu dziesięciu godzin zdołał kompletnie spieprzyć swoje życie. Albo je naprostować. Musi to jeszcze przemyśleć. Ale przynajmniej, raz na zawsze, pozbył się koszmaru kazirodstwa.

Przez chwilę postął w chłodzie garażu. Wreszcie zdecydował, że mimo wszystko może mówić o szczęściu. Żadnej przeszłości. Żadnego gówna. Niczego. Czy to było takie złe, biorąc pod uwagę wcześniejsze doświadczenia?

Na górę wjechał windą towarową, gdyż osobowa była zajęta. W powietrzu unosił się kuszący zapach. Co za odmiana po smrodzie śmierci. Nie żeby budynek był zaniedbany. Mieszkał tu na stałe dozorca, który sprawował nad nim pieczę całą dobę.

Któraś z lokatorek widać uznała, że to za mało. Poproszono go o złożenie podpisu na podaniu lokatorów o przydzielenie ochrony także dla parkingu. Westchnął. Co za piekło. Nie chciałby, żeby Angela przebywała tutaj samotnie.

Angela. Jego serce rwało się do niej. Może odwołać limuzynę? Skoro sam przyjechał wcześniej, to może po nią podjechać osobiście.

Zapach towarzyszył mu przez całą drogę do mieszkania, a kiedy otworzył drzwi, był obecny i wewnątrz. Pierwszą myślą było, że to perfumy pokojówki. Ale potem instynktownie pojął, że to Angela, i serce zaczęło mu walić niczym trzynastolatkowi.

— Angela! — zawołał. — Hej, maleńka, gdzie jesteś?

Otworzył na oścież drzwi do sypialni i błyskawicznie zorientował się, że coś jest tu bardzo nie w porządku.

Angela z trudem łapała oddech. W tyle mikrobusu było duszno i brudno, upiornie gorąco, a okna szczelnie zasłonięto.

Przywarła do jednej ze ścian, kiedy samochód pędził podskakując na wybojach. Drżała o dziecko, gdyż co pewien czas przeszywał ją ból.

Zacisnęła mocno powieki i myślała o Buddym, powtarzając sobie jego imię niczym mantrę.

Jego plakat wisiał poszarpany na strzępy. Ale oczy pozostały nie tknięte — na nich wypisano grubym mazakiem słowa:

TA TWARZ JEST MOJA ANGELA JEST MOJA KIM JEST BUDDY HUDSON?
PRZESTAŁ ISTNIEĆ
STRÓŻ PORZĄDKU

Mroząc mu krew w żyłach, wróciły do niego urywki opowiadania detektywa Rosemonta: „*brat... bliźniak... morderca... nazywa siebie Stróżem Porządku*”.

Ale wtedy Buddy pomyślał: *Co za bzdury, co to mnie obchodzi? Przecież to nie ma ze mną nic wspólnego?*

Coraz bardziej przerażony, mógł tylko rozejrzeć się po mieszkaniu i upewnić, że Angela istotnie tu była. Na stoliku przy łóżku jej budzik, obok kilka oprawnych w ramki fotografii, przedstawiających ich oboje. Przerzucił zawartość otwartej szafy. Tam, jak się spodziewał, przy jego ubraniu wisiały porządnie porozwieszane ubrania Angeli. W łazience jej szczoteczka do zębów, szczotka, przybory do makijażu.

Nie mogło być żadnej wątpliwości. Angela tu była. A skoro tak — to gdzie jest teraz?
— O, Jezu — jęknął. — Nie, nie!

Leon zabrał się do pracy, korzystając z pomocy policji z Beverly Hills, Wydziału Drogowego i wszechstronnego systemu komputerowego. Jaguara zarejestrowano na nazwisko Ferdie'ego Cartrighta. W jego domu nikt nie odbierał telefonu. Sąsiadka powiedziała, że widziała, jak wyjeżdżał swoim samochodem, sam — około jedenastej rano.

Leon porozmawiał z tą kobietą. Świetnie dawał sobie radę ze świadkami. Ludzie mu ufali.

— Czy może pani widziała pana Cartrighta w towarzystwie tego mężczyzny?

Pokazał dwa zdjęcia Deke'a. Jedno z czasów szkoły średniej, drugie przedstawiające portret, na którym wyglądał przypuszczalnie tak jak obecnie. Do jego powstania przyczyniło się wielu świadków. Łysa czaszka, wytrzeszczone oczy, obszarpane ubranie.

Kobieta przyjrzała się, lekko mrużąc oczy. — Pan Cartright ma wielu gości płci męskiej. — Pochyliła się bliżej, jakby zdradzała tajemnicę państwową. — On jest homoseksualistą, pan wie. Ale proszę mu nie mówić, że pan to ode mnie usłyszał.

Leon poważnie kiwnął głową. — Oczywiście.

—A co takiego pan Cartright zrobił?

—Jego samochód brał udział w wypadku. Toteż staramy się odnaleźć właściciela.

—Czy nic się mu nie stało?

Leon przełknął zniecierpliwienie. — To właśnie próbujemy ustalić. Proszę, niech pani jeszcze raz spojrzy na te zdjęcia.

Kobieta przyjrzała się im ponownie, wykrzywiając twarz ze skupienia. — Ten tutaj mi się wcale nie podoba — powiedziała, wskazując portret Deke'a.

—Czy on był tutaj? — naciskał Leon.

—Hm? Nie, jego nie pamiętam... — ucichła. — Ale jest coś w tym drugim.

—Słucham?

—Nie jestem pewna... on niezupełnie tak wyglądał.

—Kto?

—Ten mężczyzna, który przyszedł tutaj dzisiaj wcześniej rano. Bardzo przystojny —

roześmiała się. — Może to zabrzmie głupio, ale był jakby nieco starszą i przystojniejszą wersją tego ze zdjęcia.

Uniosła szkolne zdjęcie Deke'a. Leon poczuł dreszcz. Buddy.

—Nie pamięta pani, w co był ubrany?

—Czarne spodnie, biała koszula, zgrabna, sportowa marynarka, też czarna. — Wybuchnęła śmiechem. — Pan pewnie pomyśli, że jestem starą, wścibską babą przylepioną cały dzień do okna. Ale to dużo lepsze niż oglądanie tych tasiemcowych seriali w telewizji.

—Jestem przekonany, że tak — zgodził się Leon, nie mogąc doczekać się końca rozmowy i już kierując się ku drzwiom.

—Nie potrafię przestać o tym myśleć! — zawołała za nim kobieta. — Jeżeli ten facet jest pedalem, to cóż to za okropne marnotrawstwo!

Ten detektyw w San Diego dał Buddy'emu kilka numerów telefonicznych wypisanych na karteczce. Ale wtedy Buddy'ego to nie obchodziło, wetknął gdzieś kartkę, absolutnie przekonany, że nigdy nie będzie musiał z niej skorzystać.

Wypadł jak strzała z mieszkania, do windy i na dół do garażu. Rzucił się na podłogę samochodu.

Nie mógł odnaleźć tej przeklętej kartki.

Zajrzał do schowka na rękawiczki, obszukał podłogę koło siedzeń, kłął na głos z rozpaczą. Potem pognął z powrotem na górę.

Drzwi jego mieszkania były otwarte, tak jak je zostawił. Wbiegł do środka i stanął jak wryty. W mieszkaniu ktoś był.

Dekę wiózł ją na spotkanie z matką. Czuł się świetnie. Tak inaczej niż poprzednim razem.

Teraz dojdą do porozumienia. Będą się uśmiechać i gawędzić ze sobą. Będą go wspólnie wychwalać, miast krytykować i wyśmiewać.

— A Pan będzie wyśpiewywał pochwały zmarłych — powiedział na głos. — Gdyż tylko w śmierci dusza może zostać oczyszczona ze zła i uwolniona od szatana.

Myślał precyzyjnie.

Zabić.

Zabić matkę.

Zabić Joey.

Zabić siebie.

KIM JEST BUDDY HUDSON?

To już go nie interesowało. Znalazł rozwiązanie.

Jak dobrze było dokładnie wiedzieć, co należy uczynić.

I już nikt nigdy nie będzie się z niego wyśmiewał.

—Co pana łączy z Ferdie'm Cartrightem? — spytał ostro Leon, nim Buddy zdołał cokolwiek wykrztusić.

—Hej! — Buddy chwycił go za ramię. Nawet nie zdziwił się wizytą tamtego. Poczł na jego widok ulgę. — Czy Dekę ma Angelę? Czy ten oszalały skurwysyn zabrał moją żonę?!

—O czym pan mówi?

—On tutaj był!

—Skąd pan wie?

Buddy zaciągnął go do sypialni, przed poszarpany plakat i wypisane na nim przesłanie.

—Co to całe gównno może znaczyć? — dopytywał się gorączkowo. — Czy to znaczy, że on zabrał Angelę?

—Kim jest Angela?

—Moją żoną, do cholery! Co pan zamierza zrobić?

—Może lepiej powiedziałby mi pan wszystko, co wie.

—Miałem się tutaj spotkać z Angelą o piątą. Z jakiegoś powodu przyjechała wcześniej. A teraz zniknęła. Nic nie pojmuję. Jak on mnie mógł odnaleźć? Tylko pan wiedział, że istnieje między nami jakiś związek.

—U kogo jeszcze wisi taki plakat?

—W połowie Ameryki. Mają w poniedziałek rozkleić go od Pacyfiku po Atlantyk.

—Może w tym tkwi jakiś klucz.

—Jaki pieprzony klucz? Gdzie jest Angela?! — krzyczał Buddy.

—Odnajdziemy pańską żonę — powiedział Leon tonem, w którym brzmiało więcej pewności, niż czuł jej w istocie. — Ale potrzebuję pewnych informacji. Kim jest Ferdie Cartright?

—A co on ma z tym wszystkim wspólnego?

—Proszę mnie posłuchać — powiedział ostro Leon. — Odwiedził go pan dzisiaj wczesnym rankiem. Później jego samochód uległ wypadkowi. Kiedy policja dojechała na miejsce, w samochodzie już nikogo nie było. Ale leżała tam torba Deke'a Andrewsa. — Przerwał na chwilę. — Powiedz mi, Buddy. Powiedz mi, co wiesz.

—Ferdie pracuje dla mojej agentki, Sadie La Salle. Zjrzałem do niego dziś rano. Chciałem, żeby wpadł do Sadie i przekazał jej ode mnie pewną wiadomość.

—Czy zgodził się to zrobić?

—Tak.

—Czy ktoś jeszcze u niego był?

—Jakiś stuknięty dzieciak.

—Jak miał na imię?

—A skąd ja, do cholery, mam to wiedzieć?! — wybuchnął Buddy. — Słuchaj pan, czy to pomoże odnaleźć moją żonę?

—Mam nadzieję. Ponieważ to wszystko, czym dysponujemy.

Był ostrożny. Nigdy nie wiadomo, jakie siły mogą próbować wpędzić cię w matnię. Nawet powietrze jest groźne. Upał. Wszędzie dokoła czyhają wrogowie.

Tym razem Deke podjechał swoim mikrobusem prosto pod drzwi Sadie.

Obszedł wkoło dom zaglądając w okna.

Pod nawisem chmur zniknęło późnopołudniowe słońce. Miał nadzieję, że zacznie padać. Brakowało mu deszczu. Woda to siła pozytywna. Upał pochodzi z piekła.

Słyszał, jak wewnątrz domu urywa się dzwonek telefonu, którego nikt nie odbiera.

Prawą dłonią przesunął po swojej gładkiej czaszce. Potem wyjął z kieszeni skradzione wcześniej klucze i otworzył frontowe drzwi.

Zawsze wiedział, że kiedyś wróci do matki.

Wokoło cisza.

Tak być powinno.

Kuliła się z tyłu samochodu wstrzymując krzyk, który wyrwał się jej z gardła. Ból przycichł. Rozprostowała palce i odetchnęła głęboko. W mikrobusie brakowało powietrza, dlatego krztusiła się gęstym kurzem. Była zrana potem i wyczerpana jazdą. Ale przynajmniej się zatrzymali. Może on odszedł. Zostawił ją.

Przypuśćmy, że jest tylko uwięziona.

Z trudem doczołgała się do tylnych drzwi i zaczęła słabo bić w nie pięściami. — Pomóżcie mi... błagam... pomóżcie... pomocy.

Jakaż ona była piękna —jego Złocisty Anioł Nadziei. Jak różna od tamtej, wcześniej poznanej Joey.

Kiedy pomagał jej wysiąść z mikrobusu, szlochała. To w porządku. Woda... łzy... to to samo.

Pół ciągnąc ją, pół niosąc, dotaszczył ją do domu. I wiedział, że pożąda jej tak, jak nie pożądał jeszcze żadnej kobiety na ziemi.

To dlatego, że naprawdę do niego należała. On kierował jej życiem, wykorzenił z jej ciała zło, całkowicie ją oczyścił.

—Joey, słodka Joey — mruczał, pomagając jej wejść na schody.

—Ja... nie... jestem Joey! — krzyknęła rozpaczliwie. Natychmiast się rozzłościł. Dlaczego ona chce, abym się złościł? *Suka.*

Kurwa.

Dziwka.

Brutalnie wepchnął ją do sypialni Sadie i rzucił na łóżko. — Nie mów tak! — wrzasnął. — Nigdy się nie waż zaprzeczać, kim jesteś.

Na łóżku kucnął nad nią, naprężył mu się członek. Nie było nic grzesznego w oddaniu się Joey. Byli mężem i żoną.

Przez chwilę nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie jest. Potem telefon znowu zaczął dzwonić, przerażając go do szaleństwa. Zeskoczył z łóżka, chwycił przewód i gwałtownym ruchem wyrwał go ze ściany.

Gdzie jest matka!

Pokocha Joey tak bladą, jasnowłosą, piękną. Taką damę.

Ale też i kurwę. Nie można o tym zapominać.

Wszystkie kobiety to kurwy.

Przestał myśleć.

Zabić.

Zabić matkę.

Zabić Joey.

Zabić siebie.

Ale najpierw... te dwie kobiety muszą się spotkać. Jest im to winny.

Gwałtownie ściągnął z łóżka prześcieradło i podarł je na pasy. Potem raz jeszcze związał Angelę rozkrzyżowaną na łóżku.

Był obłąkany. Zdawała sobie z tego sprawę. Jego czarne oczy płonęły szaleństwem.

Kim był? I dlaczego był tak okropnie, chorobliwie podobny do Buddy'ego?

Buddy był przystojny.

Ten mężczyzna wstrętny. Potwór.

Dziecko przestało kopać. Poczula tępy, pulsujący ból.

On zabił moje dziecko, pomyślała. I mnie także chce zabić. Skurczyła się cała. Już nigdy nie zobaczy Buddy'ego.

—Matko, matko. Obudź się. To ważne.

Twarz Deke'a wirowała tuż nad nią. Oczy były jak jej własne — nic z Rossa.

Biedny Ross.

Sadie usiłowała przemówić mimo bólu. Szczęka zwisała jej bezwładnie. Wyczuwała w ustach ostry brzeg złamanego zęba, oczy miała jak szparki, zapuchnięte. Ale przynajmniej nie użył noża... jeszcze. Jak długo była nieprzytomna? Chyba długo. Dlaczego on jeszcze tutaj jest?

Może minęło tylko kilka minut. Czowała, że znowu traci świadomość, usiłowała ją podtrzymać, ale ból był zbyt dojmujący.

Odwiązywał ją od krzesła. Może zamierza ją puścić. Może.

I ponownie zemdląca.

—Matko — powiedział Deke. — Jesteś okropnie głupia. — Potem wrzasnął: — Matko! Obudź się!

A kiedy nie posłuchała, kopnął ją. Joey czekała. To nieuprzejmie kazać jej czekać.

Wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce.

Ferdie Cartright pracował dla Sadie La Salle.

Sadie La Salle była agentką Buddy'ego.

Ferdie pojechał zobaczyć się z Sadie.

Sadie mieszkała przy Angelo Drive.

Miała plakat.

Ferdie zniknął.

Sadie nie pojawiła się w Palm Springs, jak powinna.

W jej domu nie odpowiadał telefon.

Telefon jest wyrwany z gniazdka.

— Jedziemy! — rzucił nagle Leon.

Wciągnięcie matki po schodach na górę było ciężką pracą. Matka swoje ważyła, ale wytrwał. Przecież obietnica, to obietnica. Nie może zawieść Joey.

Angela słyszała, że Dekę się zbliża. — Musisz pozwolić mi stąd wyjść! - zawołała rozpaczliwie. — Poronię swoje dziecko. Błagam. Błagam. Pozwól mi odejść.

Kiedy wszedł do pokoju, zmartwiała. Ogarnęła ją bezgraniczna rozpacz. Ciągnął ciało jakiejś kobiety.

Zaczęła histerycznie krzyczeć.

— Matko. To jest Joey. Joey, przywitaj się z matką.

Co za wstyd, że Joey nie potrafi się zachować. Trzeba ją było zakneblować — to naprawdę nie w porządku, że go do tego zmusiła.

Bolała go głowa. Przypomniał sobie Filadelfię, tak dawno i tak daleko stąd.

Spojrzał na matkę, opartą o krzesło przy łóżku. Potem spojrzał na Joey, związaną i zakneblowaną.

Dwie kobiety jego życia.

Dwie wyjątkowe kobiety.

Tyle czasu zajęło zaaranżowanie tego spotkania. I czy one są mu za to wdzięczne? Są?

Wściekle zdarł z siebie ubranie, na końcu ściągając buty.

Złapał nóż, pomacał jego czubek, na jego twarzy pojawił się uśmiech przypominający pośmiertny grymas.

Ogarnęło go pożądanie. Kipiało w jego żyłach, napełniało mózg. Bolała go głowa, bolały oczy.

Joey czekała. Z rozłożonymi nogami.

KURWA.

Joey czekała na niego. Już nigdy nie będzie się z niego wyśmiewać.

ANIOL.

Zadarł jej spódnice, nożem rozciął majtki.

KURWA.

Miała wykrzywioną przerażeniem twarz, ogromne oczy. Pragnęła go. Złocisty Anioł Nadziei pragnął połączyć się ze Stróżem Porządku.

Stanął nad nią okrakiem, przygotowując się do wejścia w jej ciało, uniósł rękę zbrojną w nóż, gotów nią jednocześnie pchnąć.

I WTEDY SIĘ POŁĄCZA.

Buddy szarpnął go od tyłu, pociągnął gwałtownie. Obaj stracili równowagę i upadli na podłogę. Walczyli kilka sekund, potem Deke z głębi gardła dobył nieludzki jęk i wymierzył nóż w twarz Buddy'ego. Nóż rozciął wewnątrz jego dłoni, bluznęła krew.

Buddy nie poczuł bólu, tylko wściekłość, a ta wściekłość dodała mu sił. Prawą ręką złapał przegub dłoni Deke'a, w której był nóż, i odgiął ją do tyłu... powoli... powoli... przemocą...

Przez ułamek sekundy spotkały się ich spojrzenia. Czarne oczy z czarnymi oczami. Różne, a przecież podobne. KIM JEST BUDDY HUDSON? Deke krzyknął, jego ręka nagle zwiotczała, nóż ześliznął się i Deke sam sobie podciął gardło.

Kiedy Leon wdarł się do sypialni, było już po wszystkim.

Epilog

Napad na Sadie La Salle, zabójstwo Ferdie'ego Cartrighta i towarzyszące temu wypadki wywołały falę szoku, która odbiła się od Hollywood. A naprawdę zahuczało, kiedy wczesnym rankiem w niedzielę znaleziono zwłoki Wolfie'ego Schweickera, zastrzelonego przez napastnika w jego własnej sypialni. Ludzie wpadli w panikę. Środki ochrony przybrały niespotykane wymiary. Ogromnie wzrósł popyt na psy obronne, osobistych goryli, kuloodporne limuzyny i broń. Nowy trend rozpoczęła Bibi Sutton, zmieniając swoją sypialnię w fortecę, wyposażając ją w elektronicznie sterowane stalowe kraty na oknach i drzwi niczym w schronie.

Sadie La Salle i Angelę Hudson odwieziono karetką na sygnale do szpitala na ostry dyżur. Zręczni lekarze zdołali uratować Angelę przed poronieniem. Po kilku dniach pozwolono jej wrócić do domu, zalecając spokój i odpoczynek.

Sadie nie miała takiego szczęścia. Dwa połamane żebra, pęknięta kość policzkowa,

złamany nos, liczne obrażenia. Cierpiała także na szok i kompletny zanik pamięci na temat tego, co się zdarzyło.

Leon Rosemont, kiedy ją przesłuchiwał, nie zdołał się niczego dowiedzieć. Angela także nie miała nic do powiedzenia. Obie kobiety nie wyjawily niczego... wydawało się, że łączy je jakaś zmowa milczenia.

Leon miał swoje podejrzenia, ale nawet gdyby się nie mylił, jakież to miało teraz znaczenie?

Dekę Andrews nie żył. Ale tajemnica pozostała.

Oliver Easterne śledził wydarzenia tego weekendu na licznych odbiornikach telewizyjnych rozmieszczonych po jego całym domu. Z samego rana w poniedziałek ruszył do swojego biura, przetrawiając na wszystkie strony pomysł zasadzenia nad tym natychmiast scenarzysty.

Cóż za film może z tego nakręcić! I gdyby tylko zdołał nakłonić Buddy'ego Hudsona, żeby ten zagrał samego siebie!

Punkt siódma rano. Przed budynkiem czekał usłużny pracownik parkingu, by zająć się jego samochodem. Dla Olivera Easterne'a nie było bowiem mowy o żadnym podziemnym parkingu.

Lśniący Bentley przeszedł z rąk do rąk. Oliver pospieszył do środka, zatrzymując się tylko przy kiosku z gazetami, aby odebrać poranną prasę i trzy paczki gumy miętowej. Rytuał jak co dzień.

Niczym gimnastyk wbiegł po schodach. Jeszcze jeden poranny rytuał. Oliver nie miał czasu na ćwiczenia czy gimnastykę. Wbieganie po schodach doskonale służy pracy mięśnia sercowego. Lepsze jest od pompek czy codziennego ćwiczenia na skakance. Kiedy dotarł do najwyższego piętra, jego serce biło dokładnie tak, jak po prawdziwych, wyczerpujących ćwiczeniach.

Wpadł do sekretariatu pełen radości, że udało mu się wymanewrować tyle osób. Wielka przepychanka. Na tym właśnie polega życie, no nie?

Sekretarka nie pojawi się przed dziewiątą. To mu idealnie pasowało, gdyż miał czas na wzięcie prysznic i wykonanie telefonu do Nowego Jorku w ciszy i spokoju. Otworzył drzwi swojego gabinetu — prywatnego sanktuarium, gdzie lubił siadywać za swoim rzeźbionym, obitym skórą biurkiem i podziwiać lśniącą doskonałość skórzanych foteli,

pięknych dywanów i gustownych antyków.

Na środku biurka stało wielkie pudło owinięte w zdobiony papier. Oliver uwielbiał otrzymywać prezenty. Rozdarł opakowanie, otworzył pudło, podejrzliwie pociągnął nosem, potem wydał z siebie ryk absolutnej wściekłości.

Na uginających się nogach skoczył do tyłu — człowiek załamany. Tę właśnie chwilę wybrała Montana, by wśliznąć się do jego biura.

—Dzień dobry, Oliver! Wpadłam tylko zabrać parę rzeczy. — Umilkła. — Mój Boże! A cóż to za smród? — Przysunęła się bliżej. Oliver stał niczym kamienny posąg. Zjrzała mu przez ramię, potem odskoczyła. — Oliver! — krzyknęła. — Ktoś przysłał ci pakę pełną... krowiego gówna! Och, mój Boże! — Nie mogła pohamować śmiechu. —Och... Oliver! Kto mógł ci coś takiego zrobić?

Nigdy nie był zbyt wygimnastykowany. Jeżeli trzeba było kogoś kopnąć, zawsze wynajmował fachowców. Ale teraz ogarnęła go tak ogromna wściekłość, że nie potrafił się opanować. Obrócił się i wziął rozpęd.

Pudło.

Montana zgrabnie odskoczyła w bok, on zaś zachwiał się i wylądował na podłodze.

Wrzasnął z zawodu.

Montana oddaliła się pełna gracji. Och, ta nieziemską przyjemność obejrzenia osłupiałej miny Olivera. I jak łatwo przyszło to wszystko zorganizować. Jeden telefon do firmy usługowej, zgrabne określenie tego, czego ci trzeba, i, po chwili zdumienia, cudownie podejmują się tego wyzwania, dostarczając ci prezent prześlicznie opakowany i prosto od krzepkiego byka. Montana śmiała się do siebie. Oliver Easterne dostał wreszcie całe to gówno, z jakim nawet nie marzył sobie radzić!

Do południa cała ta historia obiegła Hollywood.

Szczur Sorenson zalał wszystkie kioski z prasą wydaniem „Prawdy i Faktów” w tydzień po sensacyjnych nagłówkach z Sadie La Salle.

Ross Conti zrobił ogromną furorę. No... może nie była to dokładnie sława. Bardziej reputacja najszczerzej wyposażonego faceta od czasów Errola Flynna. Oto on, w cudownych kolorach, na okładce, prezentujący swoje naturalne przymioty. I w towarzystwie bardzo współdziałającej i bardzo nagiej Karen Lancaster.

Dla Rossa było to równe temu, co lata wstecz „Cosmopolitan” uczyniło swoją

rozkładówką dla Burta Reynoldsa.

Natychmiastowa supersława. Znowu.

Pełny, błyskawiczny powrót w sam środek reflektorów. Jak za starych czasów.

Pomogło to, że miał na twarzy uśmiech i taki wzwód członka, który spowodował zrzucenie magazynu ze stoisk przez liczne grupy, wrzeszczące o paragrafie za pornografię. Kiedy ciężarówki dostawcze zawróciły, by zabrać wyklęte przez prawo egzemplarze, nie znalazły już ani jednego.

Ross Conti został wyprzedany do czysta.

Mały S. Schortz nie otrzymał wyłączności praw autorskich na fotosy, dostał jednak uczciwą zapłatę.

Uczył to w Marina Del Rey, barze dla osób samotnych, gdzie poznał rudowłosą panią, która obdarzyła go rzeźączką i ukradła mu samochód.

W całym tym kurniku królowała Elaine. Stała się najmodniejszą żoną. Jakaż inna kobieta zniosłaby tego rodzaju nieostrożność, jakiej dopuścił się Ross — publicznie — i wyszła z tego z uśmiechem?

Dziennikarze dobijali się o wywiady z nią. Magazyn „People” poświęcił jej dwie strony, określając ją jako ciepłą, dowcipną i mądrą kobietę. Kochany Merv zaprosił ją do swojego programu i dyskutował z nią na temat zdrady i wyrozumiałych żon. Była znakomitością dzięki własnym cnotom. Conti stali się najbardziej rozrywaną parą w mieście. Bibi Sutton osobiście dzwoniła do Elaine. Zapraszano ich na każdą premierę, przyjęcie, imprezę.

Cieszyli się tym wspólnie. Po dziesięciu latach małżeństwa odnaleźli siebie nawzajem i tak naprawdę tylko to się liczyło.

Leon Rosemont wrócił do Filadelfii. Nie zastał Millie w ich wspólnym domu. Odczekał kilka tygodni, nim się z nią skontaktował. Zatrzymała się u brata.

—Wróć do domu — powiedział głucho. — Już po wszystkim.

—Nigdy nie będzie po wszystkim, Leon — odparła, głosem drżącym z żalu. — Zawsze trafi się jakaś inna sprawa. A to gorsze, niż gdyby była inna kobieta.

Możliwe, że miała rację. Był zbyt zmęczony, by się z nią spierać. Może urodził się do życia w pojedynkę. Często myślał o Joey. O jej radosnej uległości i krzywym uśmiechu.

Buddy Hudson osiągnął wszystko to, czego pragnął od życia. A nawet jeszcze więcej. Jego bohaterskie uratowanie Angeli i Sadie oraz tajemnicze powiązanie z Deke'em Andrewsem znalazło się na pierwszych stronach gazet całego świata.

Jego plakat zrobił furorę.

Znowu miał przy sobie Angelę.

Wszyscy się do niego zwracali. Najwięksi agenci, najważniejsi producenci, dyrektorzy sieci telewizyjnych oraz wszystkie magazyny, programy i gazety w całym kraju.

Taka zmasowana uwaga okazała się z jednej strony podniecająca, ale z drugiej przerażająca.

Zwrócił się do Angeli. Swojej pięknej, ciężarnej żony — bardziej cudownej i ciepłej niż kiedykolwiek, ale z dodatkową, delikatną siłą, którą powitał z radością.

— Nie rób niczego — poradziła po prostu. — Poczekaj na Sadie. Przecież ona jest twoją... agentką.

Jej rada była rozkazem. Kiedy Sadie wyszła ze szpitala, natychmiast z zapalem zabrała się do pracy. A Buddy otrzymał u niej najwyższy przywilej pierwszeństwa. Nigdy nie wspominała o Deke'u Andrewsie, Ferdie'm Cartrighcie ani o tej brzemiennej w skutki sobocie w swoim domu. I nigdy też nie pozwoliła nikomu rozmawiać na ten temat w swojej obecności.

Ginę Germaine uderzyła fala nieprzychylnej prasy. Zaczęło się to od tamtej dziennikarki, z którą była na lunchu w dniu wypadku samochodowego Rossa Conti. Dziewczyna napisała pierwszorzędnie obraźliwy artykuł.

Potem w „Enquirer” wydrukowano historię jej poprzedniego życia. „TV Guide” dobił ją swoim wstępniakiem. I dołączyły się liczne popularne, wydawane w masowych nakładach magazyny.

Giną odfrunęła do Paryża, gdzie przeszła operację redukującą biust, pragnąc rozpaczliwie, by ktoś ją potraktował poważnie. Potem zakochała się w starzejącym się reżyserze francuskiego cinema verite, który przyrzekał jej wielkie role, a obsadził w niskobudżetowej czarnej komedii o głupiej, jasnowłosej amerykańskiej gwiazdce filmowej. Wreszcie! Potraktowano ją poważnie jako aktorkę. Zatelegrafowała do Olivera Easterne'a, że absolutnie nie może wypełnić swoich zobowiązań i wrócić do Ameryki, by zagrać w jego filmie.

Zagroził procesem.

W odpowiedzi wysłała mu jedno słowo.

GÓWNO.

Karen Lancaster wyjechała z kraju ze swoim gwiazdorem rocka. Tatusia wcale nie rozbawiła jej publiczna niedyskrecja. Josh Speed natomiast uznał tę historię za niezwykle wesołą.

Karen stała się wielbicieleką numer jeden, kiedy objeżdżała z Jo-shem jego promocyjną, europejską trasę. Przez jakiś czas podobało jej się to nowo odkryte światowe życie, ale potem samoloty, hotele, rozmaite stadiony i przyjęcia przyjęcia stały się nużącą rutyną.

Zatęskniła za Beverly Hills. Zatęskniła za sklepami Giorgio i Lina Lee. Zatęskniła za lunchem w Ma Maison i Bistro. Zatęskniła za obiadem u Dominicka i Mortona.

Zatęskniła za wspaniałymi nocnymi przyjęciami z okazji rozdania Oscarów, organizowanymi przez Bibi. I za niedbałymi obiadami, które Sadie La Salle wydawała dla gwiazdorów w swojej kuchni.

Brakowało jej parkingów z obsługą, gorącego słońca, tenisa, Polo Lounge. Do diabła — brakowało jej wszystkiego.

Toteż niezwłocznie wmówiła w Josha, że musi załapać się do filmu i że ona właśnie jest najodpowiedniejszą kobietą z najodpowiedniejszymi koneksjami, żeby mu to załatwić.

Pomysł ten spodobał mu się ze wszech miar. Nie był wcale taki tępy, żeby nie zorientować się, jakie korzyści daje związek z kobietą taką, jak Karen. Kiedy kilka tygodni później Karen spostrzegła się, że jest w ciąży, postanowili się pobrać.

Oczy Karen jaśniały. — Wyprawimy takie wesele, o którym będą mówić przez dziesięć lat — oświadczyła. — Damy Beverly Hills taki pokaz, o którym nigdy nie zapomni!

W Beverly Hills wrzało. Ślub Karen Lancaster i Josha Speeda był takim wydarzeniem, że jeśli nie otrzymało się na nie zaproszenia, to równie dobrze można się było wynieść z tego miasta.

Punkt zborny: Disneyland.

Stroje: dowolne.

Sadie zdecydowała, że na tę okazję świetnie się nada beżowa, koronkowa suknia. Ogromnie schudła i teraz z taką nową, szczupłą sylwetką mogła wkładać na siebie praktycznie wszystko. Przyjrzała się uważnie swojej twarzy w lustrze. Ani śladu po obrażeniach, jakich doznała z ręki Deke'a. Na zewnątrz nic, ale w środku...

Pomyślała o Buddym. Taki przystojny i pełny życia. A potem o An-geli. Ta dziewczyna to klejnot. Słodka i uprzejma, i naprawdę miła. Sadie ją uwielbiała. Zresztą z wzajemnością.

Angela na dniach spodziewała się rozwiązania. Sadie uśmiechnęła się tajemniczo. *Zostanę babcią*, pomyślała, *tylko że nikt o tym nie wie prócz mnie samej*. Ross, gdyby się dowiedział, padłby trupem.

Ross Conti. Dziadek.

Ale on nigdy się o tym nie dowie. Gdyż Sadie wreszcie otrzymała swoje zadośćuczynienie. A teraz mogła tylko o nim zapomnieć. Prawdę powiedziawszy, już zapomniwała. Miała coś w zamian...

Buddy opowiedział Angeli historię swojego życia, ona zaś z kolei przekazała ją Sadie. Te dwie kobiety stały się sobie bardzo bliskie. Łączył je milczący sekret... coś, o czym nigdy nawet nie wspominały... lecz co wiązało je w szczególny sposób.

Sadie postanowiła, że któregoś dnia wyjawি wszystko Buddy'emu. W przyszłości... kiedy nadejdzie stosowna pora.

Montana przeczytała o zbliżającej się uroczystości weselnej w kolumnie Liz Smith. Artykuł o Los Angeles przypomniał jej Olivera Eas-terne'a. A kiedykolwiek sobie o nim przypomniwała, nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiešku. Ów klasyczny ranek w jego biurze był jednym z najjaśniejszych momentów w jej życiu. Neil byłby z niej taki dumny!

Zabawne, jak jej brakowało L.A. Spędziła tam wiele dobrych chwil, a teraz miała powrócić, by reżyserować „Ludzi z ulicy”. Oliver został zmuszony do odstąpienia praw za inny film Neila — ten, w którym miała zagrać Giną Germaine. Nie był zbyt uszczęśliwiony, szczególnie kiedy Giną się na niego wypięła. Został na lodzie. Bez gwiazdy. Bez reżysera.

Montana nie uroniła nad nim ani jednej łzy.

Wzięła się do roboty i osobiście zgromadziła fundusze na ponowne wprowadzenie do

realizacji „Ludzi z ulicy”. I teraz miała pełną kontrolę. Absolutną.

Była z siebie dumna.

Z Palm Beach przylecieli Pamela London i George Lancaster.

—Nie cierpię tej obmierzłej dziury — oświadczyła obcesowo Pamela oczekującym dziennikarzom.

—Daj sobie spokój, ty pyskata krowo — powiedział rozbawiony George, zgarniając żonę ku ich limuzynie. — Rusz lepiej swój tłusty tyłek.

Mażeńskie błogosławieństwo przetrwało — przy pomocy drobnych uszczypliwości tu i tam.

Bibi Sutton miała na sobie białą, brokatową, oblamowaną futrem z oposa szatę, która kosztowała Adama cztery tysiące dolarów. A Bibi wyglądała w niej niczym aniołek z bożonarodzeniowego drzewka.

Bez Wolfie'ego była taka zagubiona. Biedny, kochany Wolfie, który wysłuchiwał jej nieustannych plotek, towarzyszył jej tam, gdzie Adam nie chciał iść, i zawsze, ale to zawsze, dobierał jej kreacje.

Maralee Gray przybyła na wesele z nowym mężczyzną swojego życia — podtatusiałym fanatykiem religijnym, który miał na sobie białą, powłóczystą szatę i sandały i nosił się niczym najwyższej klasy ogier.

Maralee była w ekstazie. Któż mógłby więcej wymagać od życia? Religia i seks.

Miło by było, gdyby miał przy tym pieniądze. No ale cóż, przywykła już do płacenia rachunków.

Koko potrząsnął swoimi lokami. — Ja po prostu upiększam różę

—powiedział, całując Angelę. — Baw się świetnie, skarbie. I nie zapomnij, musisz mi o wszystkim opowiedzieć. Zadzwoń do mnie zaraz, jak wrócisz.

Angela kiwnęła głową i uśmiechnęła się. — Dzięki, że wpadłeś. I ucałuj ode mnie Adriana.

Na dole, w swojej smukłej srebrzystej limuzynie czekała już na nich Sadie. Wymieniła uściski z Angela, pocałowała Buddy'ego w policzek. A Buddy jeszcze raz zachwyił się, jak wspaniale się to wszystko skończyło. Sadie zaakceptowała Angelę. Żadnych dąsów. Nie. One dwie cudownie się ze sobą zgadzały.

Rozparł się na siedzeniu samochodu i na chwilę przymknął oczy. Wszystko zagrało...

teraz już poza nim znalazły się złe wspomnienia. Nawet Wolfie dostał to, na co zasłużył. Już nigdy więcej koszmarów.

Sukces. Angela. Czuł się taki szczęśliwy. W połowie drogi do Ana-heim i na wesele Angela wpiła się w jego ramię. — Buddy — szepnęła.

— Chyba się zaczyna...

Nie wpadł w panikę. Zachował spokój. Przechylił się do przodu i zapukał w szybę dzielącą ich od szofera. Przecież teraz był gwiazdorem. Musiał odegrać tę rolę.

— Zawracaj tym gratem do szpitala, jak na skrzydłach! — wrzasnął rozgorączkowany.

Sadie siedziała wyprostowana jak struna i przysunęła się do Angeli. Wzięła ją za rękę.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie. Nic się nie martw. Dojedziemy na czas.

Elaine na różowo. Ross na biało. Co za para!

Buddy w garniturze od Armaniego. Oczywiście. Angela w macierzyństwie. Cóż dodać, cóż ująć?

Koko uwijał się koło niej, sprawdzając, czy każdy włos jest na swoim miejscu i czy makijaż nie mija się z doskonałością.

Buddy uśmiechnął się. — Hej, Koko. Nie możesz sprawić, żeby wyglądała lepiej, niż już wygląda.

Angela urodziła o czwartej po południu. Poród był ciężki. Pierwsze dziecko rodziło się pośladkowo, przez chwilę znajdowało się na granicy śmierci.

Czekający przed porodówką Buddy odebrał niepokojące wibracje, kiedy lekarze walczyli, by zmusić dziecko do oddychania. Poczul, jak ścisza go strach. Angela jęknęła. Na świat przyszło drugie dziecko.

Bliźnięta.

Chłopcy.

W ostatniej chwili pierwszy chłopak zdrowo wrzasnął.